



JUDITH LENNOX



*Zapisane na
szkle*

Tytuł oryginału WRITTEN ON GLASS

Moim braciom, Christopherowi i Davidowi

CZEŚĆ PIERWSZA

Powrót do domu

Sierpień 1946

RS

1

Ależ Topaz. Twój kapelusz. Ubrudzi się sadzą.

Topaz cofnęła się do wnętrza wagonu. Nie usiadła jednak na swym miejscu, lecz wciąż stała, oparta łokciami o framugę okna, obserwując mijane krajobrazy. Przy akompaniamencie pogwizdywań i poświstywań lokomotywy roztaczał się przed nią pejzaż Dorset, wzgórza przetykane pasmami wąskich strumieni i połykujące między nimi chwilami jasne, niespokojne morze.

Tylko od czasu do czasu wzrok dziewczyny natrafiał na coś znajomego. Topaz zastanawiała się, czy to krajobraz się zmienił, czy też ona wszystko zapomniała. Nie odwiedzała wszak Chancellorów od siedmiu lat. Miała dziesięć lat, gdy była tu po raz ostatni, by pożegnać się z kuzynami, Jackiem i Willem, w 1939 roku. Była wtedy dzieckiem.

Wojna wyryła swoje piętno na tej okolicy. Na dawnych łąkach rosły teraz pszenica i ziemniaki, a domy, pokryte łuszczącą się farbą i z dziurawymi dachami, nosiły znamiona zaniedbania. Na złocących się ścierniskach wciąż straszyły szare stanowiska przeciwlotnicze, a na poboczach krętych wiejskich dróg stały olbrzymie cysterny.

– Zamknij okno. Kurz – odezwała się raz jeszcze matka. Veronica Brooke strzepnęła pyłek z liliowego, lnianego zakietu i zerknęła do lustra na swą piękną twarz. – Popraw fryzurę.

Topaz zamknęła okno i również spojrzała w lustro. Uznała wprawdzie, że jej długie, kasztanowe włosy wyglądają tak jak zazwyczaj, ale nie chcąc zadzierać z matką, ściągnęła beret i szarpnęła splecione loki grzebieniem. Czuła dziwne podniecenie, nie mogła więc usiedzieć w miejscu tak spokojnie, jakby sobie tego życzyła Veronica. Przed wojną odwiedzała Chancellorów co roku,

spędzała tam dwa tygodnie każdego lata. Wspomnienia tamtych wizyt pielęgnowała w pamięci jak drogocenne perły.

Pociąg zwolnił, zbliżając się do stacji. Topaz dojrzała już w głębi doliny szare dachy Missencourt otoczone drzewami. Potem spostrzegła samochód, jadący wąską drogą równoległą do linii kolejowej. Z piskiem wypadła na korytarz i pośpiesznie otworzyła okno.

– Will! – wykrzyknęła. – Will!

Will Chancellor, siedzący za kierownicą, pomachał ręką do kuzynki. Auto zwolniło, a Topaz pobiegła korytarzem, przeskakując przez walizki i torby, przeciskając się między stojącymi pasażerami, lawirując między rozkładanymi siedzeniami i psami, starając się dotrzymać kroku samochodowi.

Za plecami słyszała głos matki.

– Ależ Topaz!

Pociąg zatrzymał się na stacji. Topaz natychmiast otworzyła drzwi i rzuciła się w ramiona Willa.

– Urosłaś – powiedział, rozpromieniony na jej widok, ale w jego słowach nie było ani cienia rozczarowania czy krytyki, którą tak często słyszała ostatnimi czasy.

Dwudziestodwuletni Will był młodszym z jej kuzynów. On także się zmienił: zamiast gadatliwego, roześmianego uczniaka w okularach, któremu się wiecznie plątały nogi, ujrzała wysokiego, jasnowłosego młodzieńca. Jego rysy nabrały wyrazistości, jakiej wciąż brakowało jej własnej, okrągłej twarzy. Topaz pomyślała, że ta chwila na zawsze pozostanie w jej wspomnieniach: po tak długiej nieobecności znów była w miejscu, które tak lubiła, z ludźmi, których tak kochała.

Bagażowy przyniósł już walizki pani Brooke.

– Witaj, ciociu Veronico – powiedział Will. – Jak miło cię znów widzieć.
– Pocałował ją w policzek. – Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt uciążliwa.
– Tylko jeden wagon pierwszej klasy. – Veronica zmarszczyła nos z niesmakiem.

Will załadował bagaże do samochodu. Pani Brooke usiadła na przednim siedzeniu, a Topaz za plecami Willa.

– Jak się miewa ciocia Prudence? – zagadnęła kuzyna, gdy już ruszyli. – A wujek John? No i chłopcy – czy wciąż są tacy okropni?

– Mama czuje się dobrze, ojciec też. Oczywiście, że chłopcy wciąż są okropni, po to przecież są. – Ojciec Willa prowadził szkołę z internatem dla chłopców.

– A Jack? Czy już wrócił do domu? – Jack, starszy brat Willa, był w wojsku.

– Wraca w przyszłym tygodniu. Dostaliśmy telegram.

– Założę się, że ciocia Prudence nie może się doczekać. Nie widzieliście go od wieków, prawda?

– Cztery lata. Mama przygotowuje przyjęcie na powitanie. Zaprosiła wszystkich krewnych. – Will podniósł oczy do nieba.

Przed laty bracia Chancellorowie byli jak słońce i księżyc: jasnowłosa, wrażliwy Will i starszy, spokojniejszy, ciemnowłosa Jack. Will nabazgrał do niej kilka listów do Krainy Jezior (chłopięcych listów, usianych kleksami i zwięzłymi), nie miała natomiast żadnych wiadomości od Jacka, który wiosną 1942 roku popłynął z Korpusem Saperów Królewskich do Afryki Północnej i do tej pory nie wrócił do Anglii. Ale Jack przyjaźnił się przede wszystkim z Julią.

Dojechali do szkoły. Drzwi frontowe były uchylone. Spostrzegłszy Prudence Chancellor, Topaz pomachała do ciotki i posłała jej całusa.

Po lunchu Topaz i Will wybrali się do Missencourt, do Temperleyów. Marius i Julia Temperleyowie byli najbliższymi przyjaciółmi Jacka i Willa i pojawiali się we wszystkich najpiękniejszych wspomnieniach Topaz z Dorset.

Po drodze rozmawiali, chcąc nadrobić siedmioletnią rozłąkę.

– Żałowałeś, że nie poszedłeś do wojska, Will? – zapytała Topaz. Wzruszył ramionami i przesunął okulary na nosie.

– Czułem się trochę tak, jak na lekcjach wychowania fizycznego w szkole. Wtedy też zawsze stałem z boku i patrzyłem na innych. Gdy jednak Jack i Marius poszli do wojska, poczułem się niepotrzebny.

Topaz wraz z matką spędziła lata wojny w Krainie Jezior. Hotel, choć nieprzytulny i zimny, istniał jakby w całkiem innym świecie niż ten opisywany w gazetach i w radiu.

– No i ta praca w szkole... – ciągnął Will. – Trudno w ten sposób zostać bohaterem. – Will przez ostatnie trzy lata uczył łaciny i przedmiotów ścisłych w szkole ojca, zastępując nauczycieli, którzy dostali powołanie do wojska.

– Nie znosiłeś nauczania? Will się uśmiechnął.

– Zawsze liczyłem dni do końca semestru. Zupełnie jak wtedy, gdy sam chodziłem do szkoły.

– Zamierzasz w dalszym ciągu uczyć?

– Raczej nie. Nie szło mi to najlepiej, jeśli mam być szczery. Tolerowano mnie trochę ze względu na ojca, a trochę dlatego, że nie mogli znaleźć nikogo innego. Jack był zawsze mądrzejszy, prawda? A zresztą większość nauczycieli już wróciła. Nawet gdybym lubił uczyć, nie chciałbym zostać w tym miejscu. W szkole ojca, w domu rodziców. Chciałbym...

– Co chciałbyś?

– Chciałbym im pokazać, że potrafię dokonać czegoś zupełnie sam.

Topaz zauważyła fioletowe cienie pod jego oczami.

– Czy nadal masz szmery w sercu? – zainteresowała się.

Atak gorączki reumatycznej uszkodził serce Willa, gdy chłopak miał zaledwie pięć lat.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nigdy się nie przysłuchiwałem.

– Mogę posłuchać?

Will się zatrzymał, a Topaz przycisnęła ucho do jego piersi.

– Nie wiem, jak powinno bić serce – stwierdziła, odsuwając się. Zeszli na pobocze, ustępując z drogi przejeżdżającemu samochodowi.

– Riley MPH, rocznik 1934 – mruknął Will z podziwem, patrząc na znikający za zakrętem wóz. – Cudo. Było ich zaledwie dwadzieścia. Ma niesamowite przyspieszenie. – Topaz przypomniała sobie, jak kiedyś kuzyn pokazywał jej z dumą trzymaną w poplamionych atramentem palcach kartkę z listą samochodowych numerów rejestracyjnych.

Wsunęła mu rękę pod ramię i poszli dalej.

– W czasie wojny dużo myślałam o tobie – powiedziała. – O tobie, o Jacku, o Julii i o Mariusie. Kiedy było mi smutno, wyobrażałam sobie spacer ze szkoły do Missencourt. No i znowu tu jestem. – Topaz odwróciła głowę, próbując dojrzeć dom Temperleyów między drzewami. – W przyszłym tygodniu, gdy Jack przyjedzie do domu, wszystko będzie jak dawniej, prawda?

– Tak sądzisz?

– A ty nie?

– Wtedy byliśmy dziećmi. Od tamtej pory wiele rzeczy się zmieniło.

– Przecież uczucia się nie zmieniają. – Will nic nie odpowiedział. – Na pewno strasznie tęskniłeś za Jackiem – dodała Topaz. I nagle przypomniała sobie pewne wydarzenie sprzed lat: jak Jack i Will rzucali monetę, by rozstrzygnąć, który wsiądzie na konia razem z Julią, i jak chabrowe oczy Willa rozbłysły triumfalnie, gdy wygrał, budząc gniew brata.

– To Julia. – Will się uśmiechnął.

Dziewczyna pędziła w ich stronę na rowerze. Zeskoczyła z siodełka i rzuciła się z szeroko otwartymi ramionami na Topaz.

– Spóźniliście się! Myślałam, że już nigdy nie przyjdziecie. Nie mogłam się doczekać, więc wyjechałam wam naprzeciw. – Umilkła i cofnęła się, by spojrzeć na gościa.

– No, dalej – westchnęła Topaz. – Powiedz już, że urosłam.

– Rzeczywiście urosłaś, czyż nie? I masz piersi.

– Julio... – wtrącił zawstydzony Will.

– Przecież ma. Większe niż ja.

Julia była ubrana w białą bawełnianą koszulę i brązowe spodnie, a długie brązowe włosy związała niedbale w koński ogon. Wysoka i szczupła, miała szlachetne rysy i ogromne, głęboko osadzone, szare oczy. Topaz zawsze uważała, że wygląd Julii nie pasuje do jej zachowania. Że niezwykła uroda dziewczyny w żaden sposób nie zapowiada jej wybuchowego temperamentu. Julia działa zawsze pod wpływem impulsu.

– Piersi to bardzo niewygodna część ciała – stwierdziła Topaz. – Ciągłe mi przeszkadzają. A kiedy biegnę, zawsze się trzęsą.

Gdy skręcili, ich oczom ukazała się posiadłość Temperleyów, Missencourt. Elegancki, prostokątny budynek z jasnego kamienia, porośnięty bluszczem, doskonale wkomponowany w tło lasu i doliny. Wielkie balkonowe

drzwi na tyłach domu otwierały się na taras, pod którym rozpościerał się ogromny, miękki trawnik. Wysokie cyprysy, wyznaczające granice ogrodu, rzucały długie cienie na trawę. Na samym środku trawnika był kwadratowy staw. Topaz przypomniała sobie karpia, który tam kiedyś pływał, rozsiewając złote refleksy w zielonej toni.

Nawet Missencourt się zmieniło. Dom wprawdzie wyglądał tak, jak dawniej, ale trawnik został częściowo skopany i zmienił się w ogródek warzywny. Tam, gdzie kiedyś rosła aksamitna trawa, wystawały teraz z ziemi rozwichrzone pióropusze marchewek.

– Mamy nie ma w domu – wyjaśniła Julia. – Ale Mariusz jest w gabinecie. Idź i przywitaj się z nim, Topaz. Czeka na ciebie.

Przez na wpół otwarte drzwi Topaz spostrzegła siedzącego przy biurku Mariusa Temperleya.

– O Boże, Topaz – powiedział, podnosząc się z miejsca. – Wyglądasz cudownie.

Miła odmiana, pomyślała dziewczyna, zamiast nieszczęsnego „ale urosłaś”. A jednak, tak jak kiedyś, musiała wspinać się na palce, żeby go pocałować. Marius był wysoki i barczysty, miał brązowe włosy i jasne oczy, jak wszyscy Temperleyowie, tyle że jego tęczówki nie były szare, lecz niebieskie. Klasyczny, rzymski nos, kolejna cecha charakterystyczna klanu, w przypadku Mariusa nie był już całkiem prosty z powodu bójk stoczonych jeszcze w czasach szkolnych.

– Nie chciałam ci przeszkadzać – usprawiedliwiła się, spoglądając na stertę papierów na jego biurku.

– Ależ wcale mi nie przeszkadzasz. – Uśmiechnął się do niej. – Szczerze mówiąc, bardzo się cieszę, że mogę to przerwać.

– Masz strasznie dużo pracy? – Dokumenty leżały wszędzie, nawet na podłodze.

– Trochę. Chociaż – dodał pośpiesznie – Julia bardzo dzielnie się spisywała.

Temperleyowie byli właścicielami fabryki odbiorników radiowych. Biura i warsztaty mieściły się w pobliskiej wiosce Great Missen, w otoczonej złą sławą kaplicy, w której swego czasu rezydowała tajemnicza i ponura sekta religijna. Ojciec Julii i Mariusa, Francis Temperley, zmarł w czasie wojny i wtedy Julia pod nieobecność brata zabrała się do prowadzenia interesów. Will usiłował kiedyś wyjaśnić Topaz, jak działa radio, lecz gdy zaczął mówić o falach radiowych, dziewczyna zamarła z przerażenia, wyobraziwszy sobie szarą, burzliwą zatokę w Henscombe, która jakimś cudem wędruje przez przestworza.

– Co słyhać, Topaz? – zapytał Marius. – Dobrze się bawiłaś w Krainie Jezior? Zapewne było pięknie i nudno.

– Otóż to – potwierdziła, myśląc o swym kilkuletnim wygnaniu. – Pięknie i nudno. Choć, oczywiście, nie powinnam narzekać. Krajobraz jak z bajki. Tylko hotel dość obskurny. Srebrne sztuce do omletu ze starych jajek i paru ziarenek groszku z puszki. A na dodatek bałam się, że mama wyjdzie za któregoś z pułkowników.

– Pułkowników?

– W tym hotelu były całe stada pułkowników. Wszyscy mieli czerwone twarze i wąsy. A mamę nazywali „memsahib”.

Marius się uśmiechnął.

– A teraz? Spodziewam się, że wróciłyście już do Londynu.

– W marcu.

- Pójdiesz do szkoły?
- Nie, na szczęście nie. – Topaz wzruszyła ramionami. – To byłoby okropne, gdybym musiała zaczynać w nowej szkole.
- To co zamierzasz?
- Mama ma nadzieję, że wyjdę za mąż.
- Myśli o kimś konkretnym? Topaz pokręciła głową.
- Mam siedemnaście lat i nigdy się nie całowałam – powiedziała nonszalancko. – Chociaż...
- Chociaż? – powtórzył Marius, unosząc brew.
- Jeden z pułkowników w hotelu proponował mi tabliczkę czekolady w zamian za pocałunek.
- Topaz!
- Była tylko odrobinę zażenowana.
- Nie masz pojęcia, jaką ochotę miałam wtedy na czekoladę. I wcale nie było tak źle. Chociaż jego wąsy trochę mnie pokłuły. A co z tobą? Cieszysz się, że wróciłeś do domu?
- Wiesz, że jesteś chyba pierwszą osobą, która mnie o to pyta. Wydało jej się, że w jego oczach pojawiło się zmęczenie.
- Sądzę – zaczęła w zamyśleniu – że w wojsku było w pewnym sensie... prościej.
- W pewnym sensie – zgodził się Marius. – Ale oczywiście cieszę się z powrotu do domu. Tylko że jest trochę... inaczej. Bez ojca...
- Och, no tak. Tak mi przykro, Marius.
- Jak się miewa twoja matka?
- Świetnie. Chociaż zmartwiła ją historia z mieszkaniem. Nasze stare mieszkanie zostało zbombardowane. Strasznie długo szukałyśmy nowego.

Topaz uzmysłowiła sobie, że zawsze bardzo jej się podobało to, jak Marius, nawet wtedy, gdy ona była małą dziewczynką, a on prawie młodzieńcem, słuchał uważnie wszystkiego, co miała do powiedzenia. Nie tylko jednym uchem, jak ludzie, którzy robią jednocześnie coś innego albo ledwo skrywają zniecierpliwienie, pragnąc czym prędzej oddalić się do kogoś ważniejszego.

– W każdym razie – dokończyła Topaz – gdy już się wprowadziłyśmy do tego nowego mieszkania, zepsuł się bojler. No więc przyjechałyśmy tutaj.

– Bardzo się cieszę, że tak się stało – powiedział, a Topaz poczuła, jak jej serce rośnie.

Pociąg zatrzymywał się na każdej stacji. Wszystkie miejsca były zajęte, więc Jack Chancellor stał w korytarzu. Został zdemobilizowany tydzień wcześniej, niż się spodziewał. W miarę jak zbliżał się do celu, topniała jego pewność, że ma ochotę zrobić rodzinie niespodziankę niezapowiedzianym przyjazdem. Żałował, że nie zadzwonił albo że nie wysłał telegramu. Pragnął, by całe zamieszanie związane z powrotem było już za nim, żeby mógł przejść ze stanu nieobecności w stan obecności bez tych wszystkich powitań i łez.

Wciśnięty między marynarza śpiącego po trudach minionej nocy i mężczyznę palącego śmierzącą fajkę, Jack musiał przyznać sam przed sobą, że wszelkie jego niepokoje wiążą się przede wszystkim z Julią. Jeśli Julii wciąż na nim zależy, wszystko będzie dobrze, jeśli nie, to równie dobrze mógł zostać we Włoszech.

W Yeovil przesiadł się do lokalnego pociągu, który powiózł go na południe przez górzyste tereny. Zajął narożne siedzenie i powrócił myślami do Julii. Znali się od dzieciństwa. Ich matki bardzo się lubiły, więc oni także skazani byli na przyjaźń. W wieku lat dziewiętnastu Jack wstąpił do wojska.

Został wysłany na szkolenie do północnej Anglii. Gdy w 1941 roku Wrócił do domu na dwutygodniowy urlop, patrzył na Julię innymi oczami. Odniósł wrażenie, że dorosła podczas jego nieobecności – choć może to on się zmienił, może wojsko obudziło jego seksualną samoświadomość? Ujrzał w niej wówczas zdumiewająco piękną, godną pożądania młodą kobietę.

Wydarzył się wtedy cud (do tej pory Jack uważał, że to cud): w Julii zaszła bardzo podobna zmiana. Jack zawsze spodziewał się trudności i komplikacji, lecz gdy odprowadzał Julię do domu, pocałował ją po raz pierwszy. Dotykając jej aksamitnej skóry i pełnych ust, poczuł się tak, jakby jeszcze raz wrócił do domu. Na początku zachowywał ostrożność, lękając się odrzucenia, ale Julia odpowiedziała na jego pocałunek. Parę dni później, w lesie za wioską Jack dotykał jej piersi i płaskiego brzucha.

Tego dnia wrócili do Missencourt bardzo późno. Ojciec Julii – mądry, czarujący Francis Temperley – czekał na nich przed domem. Powiedział tylko: „Bałem się, że się zgubiliście”, ale wyraz jego oczu przyprawił Jacka o zimny dreszcz. Potem już nie nadarzyła się okazja, by znaleźć się z Julią sam na sam.

A Jack o niczym innym nie marzył. Przed wyjazdem do Afryki dostał dwudziestoczwierogodzinną przepustkę i wybrał się do Missencourt. W pokoju, który w czasach dzieciństwa był sypialnią rodzeństwa Temperleyów, gdzie na ścianach wisiały zwijające się mapy i pożółkłe reprodukcje starych mistrzów, Jack wziął Julię w ramiona. Jej włosy spłynęły mu na twarz. Jack wędrował po jej ciele dłońmi, szukał ust, spragniony pocałunków. Julia powiedziała drżącym głosem: „Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Jack. Nie chcę”, a on otworzył oczy, by spojrzeć wprost na różowawy kontur Afryki na mapie wiszącej tuż za plecami ukochanej, i poczuł, że przepelniają go szczęście i rozpacz jednocześnie. Powiedział, że ją kocha, i wydawało mu się, że na tle kroków, które właśnie

wtedy rozległy się na korytarzu, usłyszał wyszeptane przez Julię wyznanie miłości.

Odskoczyli od siebie gwałtownie, gdy do pokoju weszli rodzice Julii. Tego wieczoru Jack nie mógł dojść do siebie. Jąkał się, odpowiadając na uprzejme pytania Adeli Temperley o jego plany, i w nonsensowny sposób reagował na porady Francisa. Gdy wyszedł stamtąd po półgodzinnej wizycie, w głowie wirowały mu setki słów, które chciał powiedzieć Julii. Żegnając się z nią w drzwiach w asyście Temperleyów, zdołał tylko wykrztusić: „Będziesz do mnie pisać, prawda?”. Potem odszedł, a drzwi frontowe się zatrzasnęły, nim zdążył zerknąć na nią po raz ostatni. Następnego dnia odjechał do Plymouth, by wsiąść na pokład statku, wyruszającego w długą podróż do Afryki.

Julia pisała do niego długie, krzepiące listy, strojąc sobie żarty zarówno z wojennych trudności, jak i z własnych wysiłków, by zastąpić Mariusa w przedsiębiorstwie ojca. Jack wodził wzrokiem po stronicach listów i zawsze, czy to w Egipcie, czy to na Sycylii, czy we Włoszech, słyszał jej żartobliwy głos, czuł na sobie spojrzenie szarych, kpiących oczu dziewczyny. Wyobrażał sobie, jak mówi: „Och, na miłość boską, uśmiechnij się, Jack. Zawsze jesteś taki poważny”. I najczęściej się wtedy uśmiechał.

W jednym tylko liście nie było żadnych żartów. Wtedy gdy zmarł Francis Temperley. „Stała się najstraszliwsza rzecz, Jack. Tata zmarł na atak serca. Nie wiem, jak to zniosę”. Potem Julia umilkła na sześć miesięcy. W tym czasie Jack przemieszczał się na północ Italii, jedne mosty podpierając stemplami, inne wysadzając, tu i ówdzie instalując mosty pontonowe. Pisywał do Julii, ale nigdy nie był najlepszy w wyrażaniu uczuć, nie udawało mu się więc zawrzeć w słowach swego ogromnego współczucia. Kiedy wrócić do domu, obiecywał sobie, wszystko nadrobię.

Przez całą wojnę czekał na chwilę, w której się znowu spotkają. Gdy jednak wrócił do Anglii, jego optymizm zaczął kruszeć. Kraj zmienił się nie do poznania w czasie jego nieobecności. Zaskoczyła go posępna i nieprzyjazna atmosfera panująca w zrujnowanym Londynie, zaszokowała monotonia i szarość na ulicach, a także wieczne utyskiwanie i rażąca nachalność rodaków. Gdy tylko opuścił ośrodek demobilizacyjny, z cienia wyłonił się jakiś służalczy osobnik, by zaoferować dziesięć funtów za mundur Jacka. Temperley odprawił go cierpko. Kiedy nieco później wsiadał do pociągu, jakiś mężczyzna w średnim wieku przepchnął się łokciami do przodu i umieścił swe tłuste siedzenie na ostatnim wolnym miejscu. Towarzyszący Jackowi znajomy z armii posłał mu znaczące spojrzenie i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „nie ma co się dziwić, to cywil...”.

Podczas dłużej się podróży było dość czasu, by wątpliwości Jacka się pomnożyły. Gdy w 1942 roku opuszczał Anglię, Julia miała zaledwie siedemnaście lat, chodziła jeszcze do szkoły. I była za młoda, żeby wiedzieć, czego chce. Jeśli nawet kiedyś coś do niego czuła, to wcale nie ma podstaw, aby przypuszczać, że tak jest nadal. Może zapomniała o tych intymnych chwilach. A może ich żałowała.

Pociąg zbliżał się powoli do Longridge Halt. Jack chwycił torbę i płaszcz. Lokomotywa zatrzymała się ze zgrzytaniem i świstem.

Nikt inny. nie wysiadł na tej stacji. Gdy pociąg odjechał, Jack ruszył w stronę Missencourt, a nie w stronę rodzinnego domu. Postanowił najpierw zobaczyć się z Julią. Rodzice i tak się go dziś nie spodziewają.

Po dusznej atmosferze panującej w pociągu z przyjemnością wciągnął do płuc świeże powietrze. Spacer trochę go uspokoił, a bezchmurne niebo poprawiło mu nastrój, rozluźniając nieco napięcie. Na rozpościerających się na

dnie doliny polach jeżyły się złociste ścierniska, a nieco wyżej, na zielonych zboczach widać było puchate kulki pasących się owiec. Jack postanowił, że wkrótce odwiedzi Carrie w Sixfields. Wąska droga wiła się przez las otaczający Missencourt. Drzewa przesłoniły niebo. Jack rozmyślał o tym, co powie Julii. Teraz nie pozwoli, by cokolwiek go powstrzymało.

Zszedł na ścieżkę prowadzącą do ogrodu Temperleyów. Serce mu podskoczyło na dźwięk dziewczęcego śmiechu. Jack spojrział w stronę tarasu i ujrzał Julię. Siedziała na leżaku. Miała na sobie koszulę i spodnie: zaskoczył go widok zarówno tego chłopięcego stroju, jak i odmienionej, starszej Julii.

Nie była zresztą sama. Obok niej siedział jakiś mężczyzna. Jack nie rozpoznał go w pierwszej chwili. Jasnowłosa, szczupły... Will, uzmysłowił sobie nagle. W pewnej chwili Julia wyciągnęła rękę i zmierzwiła włosy Willa bardzo intymnym i ciepłym gestem.

Kiedyś, we Włoszech, gdy Jack wspinał się po dźwigarach jakiegoś mostu, żeby sprawdzić, czy wytrzymają ciężar nadjeżdżającego konwoju, jego wzrok przykuł nagle czarny granat, ukryty między metalowymi belkami. Wystarczyłby jeden jego nieuważny ruch, by granat eksplodował. W okamgnieniu dzień, który wydawał mu się do tej pory pogodny i jasny, zaczął stanowić zagrożenie dla całej jego przyszłości. Wspomnienie tamtej chwili stanęło mu teraz przed oczami.

Musiał wydać jakiś dźwięk, bo Julia wstała i spojrzała prosto na niego, szeroko otwartymi oczami, z rozchyłonymi ustami. Jack pomyślał ponuro, że nie wygląda na zachwyconą jego widokiem. Ruszył jednak w stronę tarasu.

Julia w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to on. Gdy podniosła wzrok i spostrzegła mężczyznę, stojącego w cieniu drzew, przez chwilę wydawało jej się, że to ojciec. Serce w niej zamarło, zadrżała. Zanim

otrząsnęła się z szoku, nim zaczęła w niej wzbierać radość, Jack stał już na tarasie i mówił chłodnym głosem, cedząc słowo po słowie:

– Przyszło mi do głowy, by tu wpaść na chwilę po drodze do domu. Ale zdaje się, że jesteś zajęta.

Julia zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała. Jack nie zareagował, nie objął jej, nie odwzajemnił pocałunku. Zdziwiona, a nawet przestraszona dziewczyna poczuła się niezręcznie i cofnęła się szybko. Jack przywitał się z bratem. Julia drżącym nieco głosem zaproponowała mu drinka, ale odmówił:

– Lepiej nie. Mam trochę rzeczy do zrobienia.

Will zaczął go wypytywać o podróż, o pobyt we Włoszech, a Jack odpowiadał lakonicznie. Julia zresztą nic nie słyszała, walcząc z narastającą paniką. Jack się nie uśmiechał, a w jego spojrzeniu była dziwna szorstkość pasująca do jego zmienionego wyglądu: do bardziej barczystych ramion, ogorzałej od słońca twarzy. Stał się obcym człowiekiem, pomyślała Julia, czując, jak znów ogarnia ją szok.

Gdy goście wyszli, Julia, czując, że eksploduje, jeśli nie zostanie sama, poszła do kuchni, pod pretekstem przygotowań do obiadu. Wyjęła z kredensu jeden ze zwykłych talerzy i rzuciła nim o ścianę, roztrzaskując naczynie na tysiąc kawałeczków. Potem usiadła przy stole, wsparła głowę na dłoniach i zanosła się płaczem. Po chwili wydmuchała nos w papierowy ręcznik i wytarła oczy, próbując się uspokoić. Ojciec uznałby to za jeden z typowych dla córki wybuchów.

Wspomnienie ojca nie poprawiło jej nastroju. Julia zapaliła papierosa i zabrała się do sprzątanía. Czuła się wykończona, ale nie mogła usiedzieć w miejscu. Od kiedy usłyszała o tym, że Jack zostanie wkrótce zdemobilizowany,

nie mogła myśleć o niczym innym. Jakby jego powrót oznaczał, że wszystko znów będzie dobrze.

Zawsze kochała Jacka. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. W dzieciństwie byli niemal nierozłączni. Will często chorował, a Marius zawsze rozpoczynał kolejny etap edukacji wcześniej niż oni. Najczęściej zostawali więc we dwójkę. Wspinali się razem na drzewa, jeździli konno, żeglowali. Ona była porywcza, a on śmiały i pewny siebie, czego mu zawsze potajemnie zazdrościła.

Wojsko go odmieniło. Patrzył na nią inaczej, traktował inaczej. Nagle ujrzała starszego, całkiem odmienionego Jacka i coś w niej drgnęło. A gdy ją pocałował, miłość, którą zawsze go darzyła, przybrała nieco inną formę. Zdumiało ją uczucie rozkoszy, które ją ogarniało, kiedy jej dotykał, choć nie dziwiła się, że to właśnie Jack, jej Jack, potrafi obudzić takie emocje.

A potem wyjechał ze swym korpusem za granicę. Julia skończyła szkołę i zaczęła pomagać ojcu w firmie. Od 1941 roku warsztaty pracowały na pełnych obrotach przez dwanaście godzin na dobę, sześć dni w tygodniu, produkując odbiorniki dla potrzeb armii. Julia, którą nudziły zarówno zajęcia domowe, jak i nauka, odkryła, że dzięki pracy zawodowej nie czuje się tak opuszczona pomimo nieobecności Mariusa i Jacka. W głębi ducha cieszyła się też, że nie musi wstępować do któregoś z kobiecych oddziałów obrony cywilnej, bo to by oznaczało wyjazd z domu i zakwaterowanie w wieloosobowej sypialni, a tego by nie zniosła.

Nie zastanawiała się nad tym, co ona i Jack zrobią po zakończeniu wojny. Czasem, gdy nadchodziły same fatalne wiadomości, wydawało jej się zresztą, że wojna nigdy się nie skończy. A kiedy układ sił się w końcu zmienił, Julia bała się, że jeśli zacznie planować przyszłość, może stracić Jacka.

Tymczasem straciła nie Jacka, lecz ojca. Katastrofa wydarzyła się nieoczekiwanie, wtedy, gdy Julia najmniej się tego spodziewała. Pamiętała każdy szczegół tego strasznego dnia. To była deszczowa, listopadowa niedziela. Ojciec wyszedł na spacer z psami. Prosił, by poszła razem z nim, ale odmówiła, bo całkiem przemokła podczas konnej przejażdżki. Ojciec powiedział: „Odrobina deszczu nie zrobi ci już żadnej różnicy, nie sądzisz, kochanie?”, ale pokręciła głową i pobiegła na górę po ręcznik. Potem tysiąc razy żałowała tej decyzji. Godzinę później, kiedy grała na pianinie, rozległo się pukanie. Matka otworzyła drzwi. Nie słyszała rozmowy, ale brzmienie głosów, które dobiegały z korytarza, obudziło w Julii złe przeczucia.

Przestała grać i czekała, obezwładniona narastającym przerażeniem. Jack, pomyślała, Jack.

Ale nie chodziło o Jacka. Niedaleko domu jeden z pracowników znalazł ojca, zwiniętego w kłębek, zupełnie jakby Francis Temperley ułożył się do drzemki. Sally, stara labradorka, przycupnęła koło swego pana. Julia znenawidziła ich wszystkich za to, że nie pozwolili jej zobaczyć ojca. Przez całe popołudnie szukała szczeniaka, Roba, który gdzieś czmychnął. Przemierzyła wiele ścieżek, aż w końcu znalazła przemoczonego i drżącego psiaka, którego smycz zahaczyła się o krzaki.

Ten dzień odmienił całe jej życie. Nie chodziło tylko o niekończącą się żałobę. Zaszokowało ją nagłe odkrycie, że coś złego może się przytrafić także jej, Julii Temperley. Do tej pory nie dotknęło jej żadne nieszczęście. Julia była dość inteligentna, żeby dostrzec, iż wybuch wojny przyniósł jej samej możliwości, których w normalnej sytuacji by nie miała. Gdyby nie wojna, to przecież Marius pomagałby ojcu w interesach, a nie ona. Julia nie potrafiła

odgadnąć, czym by się zajmowała; nie wyobrażała sobie, by mogła oddać się jakimś zwykłym, kobiecym zajęciom.

Dopiero śmierć ojca uświadomiła jej, jak ulotne jest szczęście. Przez wiele miesięcy nie pisała do Jacka, bo nie miała mu nic do powiedzenia. Kiedy znów zaczęli korespondować, z wielkim wysiłkiem ukrywała wszelkie zmiany, jakie w niej zaszły, udawała, że jest wciąż dawną, dobrze znaną Julią. Wspominała swoje dawne "ja" z politowaniem: rozpieszczoną, naiwną, dziecinną Julię, której się wydawało, że jej szczęśliwy świat będzie trwał wiecznie.

Po śmierci ojca pogorszyły się znacznie jej i tak niezbyt dobre stosunki z matką. Żałoba, z którą obnosiła się Adela, budziła gniew córki. Julia uważała, że źródłem takich gestów, jak noszenie czerni i szarości oraz odrzucanie zaproszeń na wszelkie imprezy towarzyskie, jest ekshibicjonizm matki; uważała, że Adela afiszuje się z uczuciami i żebrze o współczucie. W głębi duszy czuła, że to nieprawda, ale zagłuszyła w sobie ten głos. Sama nigdy nie płakała publicznie, do pracy zaś nie poszła tylko w dniu pogrzebu. Doskonale wiedziała, że większość ludzi przypuszcza, że po śmierci Francisa Temperleya i pod nieobecność jego syna, który walczył gdzieś w północnej Francji, firma padnie. Julia postanowiła, że do tego nie dopuści: ojciec stworzył ich przedsiębiorstwo, a ona dopilnuje, by wszystko dalej należycie działało. Po części z gniewu, po części z zawziętości, wzięła na siebie obowiązki szefa. Na początku podjęła kilka niefortunnych decyzji i przez jakiś czas była na granicy bankructwa. Julia wiedziała, że udało im się jakoś przetrwać ciężkie czasy przede wszystkim dzięki doświadczeniu i lojalności kierownika warsztatów oraz techników, a nie dzięki jej wysiłkom. Na początku 1945 roku udało się

nadrobić zaległości i Ministerstwo Wojny przestało im zarzucać nieefektywność.

W trudnych chwilach Julia tęskniła za Jackiem. Powtarzała sobie, że po jego powrocie znów wszystko będzie w porządku. Ale Jack został we Włoszech, bo choć wojna skończyła się w maju 1945 roku, proces demobilizacji przebiegał strasznie wolno.

Pod nieobecność Jacka Julia spędzała sporo czasu z jego bratem, Willem. Nigdy nie grzeszyła cierpliwością, a utrata ojca pozbawiła ją resztek opanowania. Starzy przyjaciele dobrze znali jej zapalczywy charakter, a wcale nie miała ochoty na zawieranie nowych znajomości. Nie znosiła, gdy ktoś wspominał ojca, bo uważała, że ludzie wygłaszają wyrazy współczucia tylko z obowiązku, ale denerwowała się także, gdy w ogóle o nim nie mówili, jakby nie rozumieli, że Julia wciąż o nim myśli. Wiedziała, że jest przewrażliwiona i nieznośna, ale nie potrafiła się zmienić. Tylko Will, którego znała od zawsze, rozumiał – i wybaczał – jej ostry język i impertynencje. Podczas pierwszych świąt Bożego Narodzenia bez ojca Will towarzyszył Julii w długich spacerach pośród zimowego krajobrazu, gdy starała zmęczyć się tak, by móc zasnąć wieczorem. Próbował podnieść ją na duchu, zapraszając do kina, uczył prowadzić samochód. Z powodu braku benzyny lekcje odbywały się przeważnie w garażu albo na podwórku przed szkołą: Julia operowała pedałami i skrzynią biegów, a Will opisywał jej sytuacje drogowe. Przynosił jej prezenty: powieść, którą wyszperał w antykwariacie, własnoręcznie zrobiony drewniany piórnik, bukietek fiołków z pobliskiego zagajnika. Słuchał, gdy miała ochotę rozmawiać, milczał, kiedy pragnęła ciszy, nie tracił humoru, gdy zachowywała się zgryźliwie, pocieszał ją, gdy rozpaczała. A przede wszystkim był zabawny.

W towarzystwie Willa zdarzało jej się zapomnieć o żalu i wybuchnąć śmiechem.

Choć nigdy o tym nie rozmawiali, Julia domyślała się, jak bardzo Will bolał nad tym, że uznano go za niezdolnego do służby wojskowej. Oboje musieli zostać w domu, by zająć się szarymi, nieprzynoszącymi chwały, a jednak niezbędnymi obowiązkami. Nie można dostać medalu, skomentowała kiedyś kąśliwie, za pracę całymi nocami w celu wypełnienia poleceń Ministerstwa Wojny. Nie można dostać medalu, dodawał Will, za wbijanie uczniom do głowy łacińskich deklinacji.

W końcu to właśnie w obecności Willa Julia się rozplakała. Wzięli wolne i pojechali rowerami na wybrzeże ścieżką biegnącą skrajem ziemi należącej do szalonej kuzynki Willa, Carrie. W połowie drogi, na wzgórzu, zatrzymali się, by zaczerpnąć tchu. Otaczające ich pola i morze w dali skąpane były w promieniach wczesnowiosennego słońca, które dopiero zapowiadało cieplejsze dni. Julia pomyślała, że ojciec byłby w tym momencie bardzo szczęśliwy, i zaniosła się płaczem. Płakała bardzo długo. Większość mężczyzn uciekłaby, gdzie pieprz rośnie, na widok rozhisteryzowanej kobiety, tymczasem Will trzymał ją za rękę, ocierał łzy i wcale nie był zakłopotany. A potem, gdy wydało mu się, że zdoła zwrócić uwagę Julii, zaczął opowiadać jej o swych ulubionych samochodach i o tym, że gdy skończy się wojna, założy warsztat samochodowy.

Wtedy po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy Will nie jest w niej zakochany. Od razu jednak odpędziła te myśli: był dla niej miły, ponieważ taki właśnie był. Myśl o takim podtekście jego starań wciąż jednak drzemała gdzieś w głębi świadomości Julii i stanowiła coś w rodzaju pocieszenia. Dobrze się czuła w towarzystwie Willa. Nigdy się z nią nie kłócił, nigdy jej nie

krytykował. Na wspomnienie zimnego, osądającego spojrzenia Jacka, zdenerwowana Julia zaczęła się teraz zastanawiać, czy nie straciła paru lat życia, czekając na niewłaściwego brata.

Prudence Chancellor zdołała umknąć Veronice, wychodząc do ogrodu po pranie. Powoli i uważnie zdejmowała kolejne części garderoby ze sznurka, starannie składając każdą z nich przed ułożeniem w koszu. Miała przed sobą dwa długie sznury z bielizną, spodziewała się więc, że nim skończy pracę, zdoła odzyskać panowanie nad sobą. Jutro zaś wymknie się do Missencourt, by wypić filiżankę herbaty z Adelą Temperley i pośmiać się z tego wszystkiego.

– Jeden z chłopców upuścił szklanekę z wodą na podłogę, kiedy podawałam kolację – opowie przyjaciółce. – A Veronica nie ruszyła się z miejsca. Nie wzięła nawet miotły, żeby zamieść potłuczone szkło, nie starła wody serwetką, nie zaproponowała, że poda jedzenie, gdy ja zabrałam się do sprzątanania. Siedziała tylko i patrzyła z wielką dezaprobatą, jakby czekała, aż jacyś nieistniejący służący wszystkim się zajmą.

Prudence westchnęła i przeszła do drugiego sznura. To naprawdę wymaga wielkiego wysiłku, pomyślała. Trzeba rozmawiać z Veronicą na tematy, które ją interesują – choć Prudence nie mogła się oprzeć wrażeniu, że szwagierka interesuje się tylko sobą – i dbać o to, by chłopcy jej nie przeszkadzali.

Prudence obejrzała się i zobaczyła, że na końcu długiego korytarza otworzyły się frontowe drzwi. Will wrócił do domu. I kogoś przyprowadził. W pierwszej chwili Prudence pomyślała, że to Marius, a potem, obejrzawszy się raz jeszcze, zorientowała się, że to jednak ktoś inny. Musiała odstawić kosz z bielizną, jakby nagle straciła władzę w palcach. Przez szyby w drzwiach i kilku oknach patrzyła na starszego syna, którego nie widziała od czterech lat.

Zawsze sobie wyobrażała, że gdy – jeżeli – Jack wróci do domu, ona podbiegnie i weźmie go w ramiona. Gdy jednak ten moment nadszedł, sparaliżowały ją przemożne emocje. Stała samotnie w ogrodzie, wiedząc, że nikt, nawet Jack, nie powinien jej w tym stanie zobaczyć. Dopiero po chwili, gdy poczuła, że zdoła unieść to swoje nagłe szczęście, otarła oczy czystą ścierką, wziętą z kosza,

I weszła do środka, by przywitać syna.

RS

2

Carrie Chancellor nigdy nie otwierała ciężkich frontowych drzwi Sixfields (Jack zawsze sobie wyobrażał, że drzwi przykleiły się do futryny, zasnuwane kurzem i pajęczynami), ruszył więc prosto w stronę wejścia kuchennego. Psy zaczęły ujadać, gdy tylko wkroczył na kamienną ścieżkę, wystarczyło jednak, by pstryknął palcami, a przybiegły i wtuliły nosy w jego wyciągniętą dłoń. Drzwi były otwarte, Jack wszedł więc do środka, stanął u stóp schodów i zawołał Carrie. Nad głową usłyszał jej nierówne kroki i postukiwanie laski o drewnianą podłogę.

Dom wyglądał dokładnie tak, jak go Jack zapamiętał, coś pomiędzy sezamem a sklepem ze starym żelastwem. Ogromny i zaniedbany dwór w Sixfields powstawał stopniowo, od czasów średniowiecza. Od zewnątrz mozaika różnej wysokości dachów i nieregularnych murów robiła nawet miłe wrażenie; w środku jednak tu i ówdzie zupełnie nagle obniżał się sufit, a między niezliczonymi, niesymetrycznymi pokojami trzeba było przemieszczać się przez wąskie korytarzyki. Małe, zakurzone okna wraz z awersją, którą Carrie czuła do światła elektrycznego, pogłębiały wrażenie chaosu w domu, który był nieustannie pograżony w szarym półmroku.

Fakt, że gospodyni niczego nie wyrzucała, jeszcze bardziej komplikował sprawę. Wszystkie półki i szafki uginały się pod nadmiarem rzeczy, na podłogach walały się postrzępione szmaty i pożółkłe gazety. Jack nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby przyjrzał się uważnie nagłówkom gazet, to przeczytałby o Wielkiej Wystawie Światowej i otwarciu Kanału Sueskiego. W kątach stały wiktoriańskie cudeńka – a to stojak na parasole w kształcie słonia, a to orzechowy stoliczek. Na ścianach wisiały wyblakłe, osiemnastowieczne

sztychy, pomięte fotografie i cenniki z targów w Dorchester. Na wszystkich meblach, we wszystkich wnękach i na wszystkich półkach piętrzyły się sterty pokrytych kurzem książek, dokumentów i pudełek. Rozejrzawszy się dokoła, Jack zauważył jeszcze stary parasol z rączką z kości słoniowej na półce z książkami i parę dziurawych kamaszy wystającą spod fotela. Zastanawiał się, czy nie leżą tu przypadkiem od śmierci któregoś z przodków.

– Jack – powiedział jakiś głos.

Podniósł głowę i zobaczył Carrie stojącą na samej górze schodów. Wiedział doskonale, że lepiej nie proponować jej pomocy, powiedział więc tylko z uśmiechem:

– Mam nadzieję, że to nie jest niestosowna pora na wizytę, kuzynko Carrie. Właśnie wróciłem do domu.

– Słyszałam. – Carrie zeszła na dół i stanęła obok swego gościa. Była dwa razy starsza od Jacka i przynajmniej o głowę niższa.

Dwadzieścia osiem lat temu zachorowała na polio i od tego czasu miała jedną nogę krótszą i jedno ramię wyższe. Mimo to emanowała z niej jakaś niezwykła siła. Jack musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie cofnąć się pod przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu. W końcu Carrie przerwała milczenie:

– Pewnie masz ochotę na szklanekę jabłecznika.

Jack doszedł do wniosku, że przeszedł chyba pomyślnie jakiś test. Gdy siedzieli już w saloniku, zagadnął kuzynkę:

– Widziałem, że zaorałaś Great Meadow.

– Musiałam. Ted Pritchard nalegał. „Ojczyzna w potrzebie”, mówił. – Carrie prychnęła drwiąco. – Tłumaczyłam mu, że to tylko chwasty i kamienie,

ale mnie nie słuchał. Powiedział, że jeśli nie zaorzę tego kawałka, to jakiś komitet skonfiskuje farmę. Chciałabym zobaczyć tego, kto by się odważył!

Jack wyobraził sobie Carrie ukrytą gdzieś na strychu Sixfields i strzelającą na chybił trafił do Wojennego Komitetu Rolniczego.

– Przypomniałam mu, że jego dziad był wyrobnikiem u mojego. I zapowiedziałam, że poszczuję go psami, jeśli się ośmieli przysłać tu kogoś na przeszpiegi. No więc oczywiście się wycofał. – Kuzynka uśmiechnęła się drwiąco. – Tchórz. Ale zaorałam łąkę, żeby już nie mieć do czynienia z tym idiotą. – Zacisnęła swe pełne odcisków palce na kieliszku. – Przez całe lata nic tylko same nadzwyczajne posunięcia z powodu wojny. Próbowali tu nawet zakwaterować jakichś uchodźców. – Carrie zachichotała. – Ale nie wytrzymali nawet tygodnia. Nie podobał im się dwór. Nawet dziewczucha do pomocy śpi w małym domku.

– Dziewucha?

– Były cztery. Została tylko jedna. Te nowoczesne dziewczyny nie usiedzą w miejscu.

Jack poczuł przyływ współczucia wobec nieznanymi, nieszczęsnych dziewcząt. Spojrzał na kuzynkę.

– Chyba trudno ci prowadzić farmę bez żadnej pomocy. Carrie wzruszyła ramionami.

– Przyzwyczaiałam się i nie narzekam. O tej porze roku jest mnóstwo pracy. Masz szczęście, że mnie zastałeś, Jack. Mark Crabtree wciąż u mnie pracuje. I jego synowie, którzy właśnie wrócili z wojska. Poza tym mają mi przysłać więźniów do pomocy w żniwach.

– Chętnie ci pomogę, jeśli sobie tego życzysz – zaproponował. – Gdy tylko uspokoi się całe to zamieszanie.

– Naprawdę, Jack? Dobrze. Zaczynamy o czwartej nad ranem. Nie spóźnij się.

Jack przypomniał sobie, z czym tu przyszedł.

– Mama kazała mi powiedzieć, że organizuje małe przyjęcie...

– Z okazji powrotu bohatera?

– Coś w tym stylu. Dziś po południu – mruknął Jack.

– I przyszedłeś, żeby mnie zaprosić? Cóż za uprzejmość – powiedziała sarkastycznie. – Wiesz przecież, że nie bywam na uroczystościach rodzinnych.

Ale gdybyś nie została zaproszona, to dopiero mielibyśmy się z pyszna, pomyślał Jack.

– Przekażę mamie, że nie przyjdiesz – mruknął.

Zapadła cisza. Carrie zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. W końcu powiedziała:

– Ale cieszę się, że wróciłeś do domu. Jack aż zamrugnął ze zdziwienia.

– Zamknij buzię, Jack. Mucha ci wpadnie. Przypomniał sobie, o co jeszcze prosiła go Prudence.

– Mama pyta, czy nie moglibyśmy pożyczyć trochę dużych talerzy?

– Jeśli je gdzieś znajdziesz.

Jack ruszył za nią wąskim korytarzem w stronę przepaścistej kuchni, w której trzy wielkie kredensy ugięły się od porcelany. Pomiedzy wyszczerbionymi filiżankami i talerzami, które wyglądały jak pozostałości po wyprzedaży rupieci, Jack wypatrzył śliczne pozlacane półmiski i biało-niebieski serwis sprzed wieków.

– Zdejmiesz je stamtąd, Jack? – Kuzynka wskazała mu końcem laski górną półkę.

Talerze były kremowe z rdzawo-brązowym wzorem, w który wpleciono inicjały jakiegoś nieżyjącego od dawna Chancellora. Carrie dała mu jeszcze szpagat i poźółkłe gazety. Jack ostrożnie zapakował talerze. Kiedy skończył, zapytał:

- Czy mógłbym rozejrzeć się trochę po Sixfields, zanim pójdę do domu?
- Jeśli masz ochotę... – Machnęła ręką i go odprawiła.

Carrie Chancellor nie należała do najbliższej rodziny Jacka. Ojciec jej był najstarszym bratem Johna Chancellora. Jack nigdy dokładnie nie wyliczał stopnia pokrewieństwa, ale wydawało mu się, że Carrie jest jego kuzynką w pierwszej albo w drugiej linii. Jej ojcu, Archibaldowi Chancellorowi, bardzo dobrze się powodziło, podczas gdy ojciec Jacka, John, nie miał tyle szczęścia. Archibald powiększył i tak ogromne Soxfields o jeszcze parę akrów. Plotka rodzinna głosiła, że Archibald ulokował pokaźny majątek na kontach bankowych, a także w akcjach i obligacjach, a wszystko odziedziczyła po nim jedyna córka, Caroline. Dzięki wrodzonej oszczędności Carrie przetrwała trudne lata kryzysu w rolnictwie między wojnami. Nigdy nie wyszła za mąż i nigdy nie zdradziła, kto zostanie jej spadkobiercą. Testament kuzynki był przedmiotem niekończących się dociekań podczas zjazdów rodzinnych Chancellorów.

Jack wybrał drogę przez pola leżące za dworem. Zawsze kochał Sixfields. Will cierpiał istne katusze, gdy w dzieciństwie odbywali obowiązkowe wizyty na farmie, ale Jack lubił tu przychodzić. W przeciwieństwie do brata, nigdy nie bał się kuzynki. Nawet mu to nie przyszło do głowy. Dla niego Carrie Chancellor była częścią pogrążonego w rozgardiaszu, zakurzonego, fascynującego domu i pięknej, rozległej posiadłości. Carrie, której pogardę budziło wszelkie tchórzostwo, zauważyła,

że Jack jej się nie lęka, i odnosiła się do niego w miarę uprzejmie, gdy ją odwiedzał, a nawet pozwalała mu penetrować dom i włości. Jack ze swej strony szanował jej potrzebę prywatności, potrzebę, którą zresztą doskonale rozumiał. Gdy był samotnym, nieszczęśliwym młodzieńcem, traktował Sixfields jako swój azyl.

Szedł wzdłuż wysokiego żywopłotu w stronę morza. Na skraju pola kołysały się czerwone maki, a przez leszczynową gęstwinę przedzierał się strzyżyk. Jack żałował, że nie może, tak jak Carrie, uniknąć popołudniowego przyjęcia. W domu będą się tłoczyć stada krewnych, których nie widział od lat. Sama myśl o tym bardzo go przygnębiała, choć nie wiedział, dlaczego. Może dlatego, że nie lubił wielu swych krewnych, a może dlatego, że odzwyczaił się od zjazdów rodzinnych. Ruszył przed siebie jeszcze szybciej, rozgarniając stopami wysoką trawę. A może gdyby nie Julia, miałby całkiem inne odczucia co do tego przyjęcia? Trudno świętować, jeśli ukochana kobieta odwróciła się od człowieka.

Przechodząc po drewnianych szczeblach na drugą stronę ogrodzenia oddzielającego pola, przystanął na chwilę, by się rozejrzeć. Ze wszystkich stron otaczały go ziemie należące do Sixfields. Przed nim ciągnęły się łąki, ograniczone pasmem lasu, nad którym królował błękitny łuk nieba. Za jego plecami słońce odbijało się od dachu dworu. Gdzieś w oddali połyskiwało morze, zmieniające swój kolor, gdy tylko słońce skrywało się za chmurami. Jack wziął głęboki oddech i poczuł, że opuszczają go gniew i rozczarowanie. Wszystko się zmienia, ale nie Sixfields. Solidność, niezmiennność i historia majątku przynosiły mu ukojenie. Poczuł nagły przypływ zazdrości wobec Carrie Chancellor, która nigdy nie musiała się zastanawiać, gdzie będzie mieszkać i co będzie robić. A przy tym odziedziczyła dość ziemi i pieniędzy,

by przetrwać Wielki Kryzys i wojnę: nie, nie tylko przetrwać, ale nawet nie pozwolić, by te kataklizmy na nią wpłynęły. Życiorysy wszystkich znanych mu ludzi, włączając w to jego własny, zostały ukształtowane przez burzliwe dzieje stulecia. Trzeba mieć tyle pieniędzy co Carrie Chancellor, by nie poddać się tym zawirowaniom.

Myśli Jacka znów zaczęły krążyć wokół Julii. Gdy ujrzał ją u boku Willa na tarasie Missencourt, powróciła zazdrość, którą przyćmiły nieco upływ czasu i rozłąka. Jack zawsze przypuszczał, że wszyscy wolą jego brata. Rodzice mieli wobec Willa mniejsze wymagania i znacznie więcej wybacжали delikatnemu, młodszemu synowi. Nawet wszystkie ciotki i wujowie z klanu Chancellorów faworyzowali Willa. Jack z nikim się nie podzielił tymi odczuciami. Gdyby go ktoś zapytał, powiedziałby, że oczywiście kocha brata. Nikomu by się nie przyznał, że czasami go też nienawidzi. Zazdrościł mu pogody ducha i umiejętności zdobywania ludzkich serc. Często sobie myślał, że życie musi być znacznie łatwiejsze dla Willa.

Jego, Jacka, faworyzowały tylko dwie osoby: Carrie i Julia. Gdy wczoraj ujrzał ukochaną i brata na tarasie, przyszło mu do głowy, że podczas jego kilkuletniej nieobecności uczucia dziewczyny mogły się zmienić. Dlaczego ktoś tak cudowny jak Julia miałby czekać całe lata na niego? Poczł się wystrychnięty na dudka i upokorzony. Szok znacznie spotęgował trudne emocje związane z powrotem do domu, a poczucie wyobcowania i oddalenia towarzyszyło mu już przez całą resztę dnia.

Teraz Jack zamknął oczy i wdychał ciepłe, letnie powietrze. Zastanawiał się, czy nie za szybko wyciągnął wnioski, przyszło mu do głowy, że może zbyt pośpiesznie dodał dwa do dwóch i dlatego wyszło mu pięć. Spokój, którym

tchnął ten odwieczny krajobraz, przenikał go i miał uzdrawiającą moc. Jack odetchnął z ulgą i ruszył w drogę.

Topaz spędziła cały ranek, pomagając Prudence w przygotowaniach do przyjęcia.

– Łosoś – powiedziała tęsknym głosem, gdy Prudence wydobyła puszki ze spiżarni.

– Zrobiłam spore zapasy. Zaczęłam jeszcze przed wyjazdem Jacka. Wszystko czekało na stosowną okazję. Na jakieś święto. – Prudence patrzyła na puszki z łososiem. – Może... kanapki... albo sałatka...

– Mogłabym przygotować *vol-au-vent* – zaproponowała Topaz. Podczas pobytu w hotelu w Krainie Jezior Topaz przeczytała książkę kucharską od deski do deski.

– Naprawdę? – Prudence najwyraźniej odetchnęła z ulgą. – Cudownie. Ja nie mam głowy do tego rodzaju dań. Za dużo roboty. Brak mi cierpliwości.

– Tylko że do tego trzeba strasznie dużo masła...

– Tym się nie przejmuj, masło dostaniemy od Carrie. Poprosiłam też Maurice'a o więcej mąki. – Maurice też należał do klanu Chancellorów. Był właścicielem sklepu z tekstyliami w pobliskim miasteczku Henscombe i ważną figurą w lokalnym zrzeszeniu kupców. – Obawiam się, że ta mąka musi pochodzić z czarnego rynku. – W głosie Prudence było poczucie winy. – Wolałam nie pytać. Maurice jest strasznym kanciarzem. Ale czego się nie robi w potrzebie.

Adela i Julia zjawiły się o pierwszej. Potrawy były już przygotowane, dziewczęta poszły więc do jadalni polerować sztućce.

Nabierając pastę do polerowania na ściereczkę, Julia mruknęła:

– Wiesz, wcale nie miałam ochoty tu przychodzić.

– Dlaczego nie?

Julia zajęła się czyszczeniem chochli.

– Trzeba się zachowywać uprzejmie wobec okropnych ludzi.

– Ale będzie też mnóstwo wspaniałego jedzenia – przypomniała jej Topaz. Na samą myśl o smakołykach czuła wilczy apetyt. Tęskniła za dobrym jedzeniem. Czasem jej się nawet śniło. – Czyż nie wspaniale, że znów jesteśmy wszyscy razem?

Julia nie odpowiedziała. Spostrzegłszy wyraz jej twarzy, Topaz zapytała ostrożnie:

– Chyba się cieszysz, że Jack wrócił do domu, prawda? Zapadła cisza, a po chwili Julia wyszlochała:

– On jest taki... inny! Taki niemiły i nieprzyjazny! – Łyżka wazowa spadła z brzękiem na podłogę.

– Może – zasugerowała Topaz – był zmęczony.

– Tyle lat czekałam na jego powrót do domu! To było okropne!

– Podróż...

– Miałam mu tak dużo do powiedzenia i nic nie powiedziałam, bo wszystko się popsuło, chociaż zupełnie nie wiem, dlaczego!

– Tak długo jechał... pewnie był wykończony. Julia spojrzała na Topaz z nadzieją w oczach.

– Tak myślisz?

– Szybko poszedł spać. Niewiele się odzywał. Może teraz, gdy już odpoczął...

Julia odwróciła wzrok, a potem wyznała:

– Myślałam, że jest na mnie wściekły. Sądziłam, że już mnie nie lubi.

Topaz spojrzała na przyjaciółkę. Pomyślała z rozgoryczeniem, że życie jest niesprawiedliwe, skoro Julia w starej, prostej spódniczce i w białej bluzce, która najprawdopodobniej była kiedyś częścią szkolnego mundurka, z oczami czerwonymi od łez i niedbałą fryzurą, wygląda przepięknie. Ona zaś, w karmazynowej, atlasowej sukience, wykrojonej z matczynej francuskiej sukni wieczorowej i po nocy spędzonej w wałkach wyglądała ni mniej, ni więcej tylko jak przejrzała śliwka.

– Jakżeby Jack mógł cię nie lubić? – pocieszyła przyjaciółkę. – Podobnie zresztą jak Will. Obaj zawsze za tobą przepadali.

Z Julii opadło napięcie.

– Och, Will! – Machnęła ręką.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

– O, Boże! – Julia się skrzywiła. – Przyjęcie się zaczyna.

Nieco później Julia z trudem opanowywała ziewanie, skazana na towarzystwo jednego z wujów Chancellorów, opowiadającego jakąś bardzo nudną anegdotę – coś na temat traktora i policjanta. Kątem oka spostrzegła Jacka. Szedł właśnie w jej kierunku, ze spuszczoną głową i posępnym wzrokiem, nie odpowiadając na pozdrowienia rozentuzjasmowanych krewnych, gratulujących mu szczęśliwego powrotu do domu.

Julia uśmiechnęła się, gdy do niej podszedł.

– Dobrze się bawisz, Jack?

– Niezupełnie. Możemy porozmawiać?

– Oczywiście – odrzekła beztrosko. Nie miała zamiaru przebaczyć mu tak łatwo. – Leonard opowiadał mi właśnie bardzo zabawną historię.

– Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

Towarzyszący Julii wuj Chancellor wycofał się i wmieszał się w tłum. Czowała, jak intensywne spojrzenie Jacka pali jej skórę. Zaczął w niej wzbierać gniew: gniew na Jacka, który najwyraźniej uważał, że ona przybiegnie na każde jego skinienie, i gniew na samą siebie za to, że mu się poddaje.

Jack ujął ją za łokieć i poprowadził przez tłum. Nienawidzę go, nienawidzę, powtarzała w duchu Julia. Jak śmie jej w ten sposób rozkazywać, traktować ją tak, jakby była jego własnością?

Poszli do gabinetu jego ojca. Gdy Jack zaczął coś mówić, Julia natychmiast mu przerwała:

– To wszystko musi być dla ciebie strasznie nudne, Jack. Ucieszyła się, widząc, że wytrąciła go z równowagi.

– Nudne?

– Rodzinne przyjęcie w Dorset. Przyzwyczyłeś się chyba do czegoś innego. We Włoszech – zasugerowała. Krążyła wciąż po pokoju, bawiąc się frędzlami od poduszki albo kałamarzem stojącym na biurku. – I w Egipcie. Tam było tak... egzotycznie. Bazary... i wielbłądy...

– I haremy – dorzucił kąśliwie. – I faraonowie, piramidy, tancerki. Wcale tak nie było, Julio.

– Co ty powiesz? A więc było jak w domu?

– Nie, nie jak w domu. Kurz i muchy, upał i hałas.

Zapadła cisza. Jakiś głos wewnętrzny popychał ją ku niemu, kazał zamknąć oczy i złożyć głowę na jego piersi, ale Julia nie mogła sobie na to pozwolić, by nie stracić całkowicie kontroli nad sobą po wielu miesiącach żelaznej samodyscypliny.

A poza tym, gdy tak leżała z otwartymi oczami przez całą minioną noc, przyszło jej do głowy najprostsze wyjaśnienie przemiany, która zaszła w Jacku.

Powiedziała więc lekko:

– Zapewne spotkałeś mnóstwo interesujących ludzi tam, za granicą.

– Może kilku.

– Zapewne wszyscy tutaj wydajemy ci się mało światowi.

– Julio, ja...

– Pewnie tęsknisz za tamtym światem – ciągnęła nieubłaganie. – Za towarzystwem...

– Tęskniłem za tobą – powiedział nagle bez ogródek. Julia poczuła nagle, że wyschły jej wargi.

– Naprawdę, Jack?

– Naprawdę. – Zarumienił się nieco. – Przez cały czas.

– To dlaczego...

– A ty, Julio? Czy ty za mną tęskniłaś?

– Tak.

– I to wszystko? Tylko „tak”? Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

– A czego się spodziewasz?

– Niczego – mruknął. – Niczego się nie spodziewam.

Poczuła nagle straszliwe zmęczenie po latach wypełnionych ciężką pracą, bolesnymi doświadczeniami i samotnością. Uczucie to całkiem ją obezwładniło, nie miała już siły drażnić się z Jackiem, powiedziała więc cicho:

– Zdaje się, że od dawna już nic nie czuję. Od śmierci taty. Przykro mi, Jack, ale taka jest prawda.

Pomyślała, że Jack pewnie odwróci się i pójdzie sobie.

– Właśnie o tym chciałem porozmawiać. O twoim ojcu. Wiem, że już pisałem, ale to nie to samo, prawda? Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Na pewno wciąż ogromnie ci go brakuje. – Julia zamknęła oczy i poczuła jego palce na swojej dłoni. Mur obronny, który zbudowała wokół siebie, skruszał i szepnęła:

– Och, Jack...

Wtedy drzwi się gwałtownie otworzyły i stanęła w nich postawna, młoda dziewczyna, której ciało omal nie rozsadziło sukienki. Przyglądając się z zainteresowaniem Julii i Jackowi, powiedziała głośno:

– Ciocia Prudence wszędzie cię szuka, Jack. Musisz pokroić tort.

Julia znalazła Willa w garażu, przycupniętego przy kole starego samochodu ojca – astona martina rocznik 1928.

– Co ty robisz?

– Zauważyłem trochę rdzy... Próbuję ją usunąć.

– Kroją właśnie tort. – Julia przysiadła na starym podnóżku, z którego wypruto wnętrzości, i przyglądała się Willowi.

Wspominając rozmowę z Jackiem, czuła zamęt w głowie. W jednej chwili go nienawidziła, a w drugiej pragnęła znaleźć się w jego ramionach. W głowie jej się kręciło, gdy tylko o tym pomyślała. To chyba niemożliwe, by kogoś nienawidzić i kochać jednocześnie? Miłość nie ma przecież nic wspólnego z nienawiścią.

– Mów do mnie, Will – poprosiła.

– Ale co?

– Wszystko jedno. Cokolwiek.

No więc zaczął mówić – coś na temat kuzyna Maurice'a i warsztatu – a Julia patrzyła na niego, patrzyła na włosy, które ciągle opadały mu na twarz i

które ciągle musiał odgarniać pobrudzoną smarem dłonią, gdy pochylał się nad samochodem, patrzyła na jego rozplómięte entuzjazmem oczy. Pomyślała, że towarzystwo Willa wpływa na nią kojąco. Usiadła wygodniej, opłótła kolana dłońmi i po raz pierwszy tego dnia poczuła się lepiej.

Na przyjęciu zjawili się mnóstwo Chancellorów, którzy strasznie dużo jedli i pili. Im więcej pili, tym głośniej się zachowywali. Topaz biegała tam i z powrotem, podając talerze z jedzeniem. Prudence i Adela przygotowywały w kuchni wielkie dzbanki herbaty, a pani Sykes, pomoc domowa Prudence, zmywała szklanki i kieliszki, narzekając na swoje halluksy. Topaz, która wcisnęła stopy w wieczorowe pantofelki matki, też miała obolałe nogi.

Od czasu do czasu ktoś ją pytał, kim jest, więc tłumaczyła, że jest kuzynką Jacka i Willa i ma na imię Topaz. Wszyscy robili jednak wielkie oczy, a gdy wyjaśniała, że jest córką brata ciotki Prudence, tracili zainteresowanie. Zupełnie jakby ktoś, kto nie należy do klanu Chancellorów, wcale się nie liczył.

Kiedy znikła większość jedzenia i opróżniono już prawie wszystkie butelki ginu, Topaz poproszono, by zajęła się dwoma chłopcami, Teddym i Billym, których matka spodziewała się kolejnego dziecka i potrzebowała odrobiny wytchnienia. Billy był całkiem miły, ale Teddy natychmiast pokazał jej język i powiedział parę brzydkich słówek, by ją zaszokować. Topaz zamknęła oczy i zaserwowała mu wiązanekę, jakiej nauczyła się od ogrodnika w hotelu. Teddy się roześmiał. Potem chłopcy zaciągnęli ją nad staw, by popatrzeć na żaby, i zaśmiewali się do łez, gdy Topaz potknęła się w tych swoich przeklętych za małych pantoflach i wylądowała po kolana w wodzie.

Kiedy szła do łazienki, a każdy z chłopców szarpał ją za rękaw sukni, spostrzegła, że z gabinetu wuja Johna wylania się czternastoletnia, potężna

Angela Chancellor, a za nią idą Julia i Jack. Topaz już chciała zawołać przyjaciółkę i zapytać, gdzie, u licha, była przez całe popołudnie, ale wtedy zobaczyła, jak Jack wyciąga rękę, by jednym palcem, delikatnie poprawić jakiś kosmyk, który wymknął się z końskiego ogona Julii. Intymność tego gestu zaskoczyła Topaz niepomernie. Zawstydziała się, jakby podglądała jakąś prywatną scenę. Zawróciła więc i pociągnęła chłopców tam, skąd przyszli.

Przebijała się właśnie przez tłum wypełniający salon, gdy usłyszała głos swojej matki.

– No cóż, Topaz po prostu nie ma żadnych uzdolnień.

Poczuła, jak rumieniec oblewa jej twarz, i byłaby się wycofała czym prędzej z pokoju, gdyby Teddy Chancellor nie wyskoczył właśnie zza fotela i nie pociągnął jej za włosy. Topaz potknęła się o stół i zrzuciła butelkę ginu, która potłukła się na drobne kawałeczki na parkiecie. W salonie zapadła cisza i oczy wszystkich obecnych skierowały się na nią. Potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Ależ, Topaz – to, jak zwykle, matka.

– Co za niezdara...

– Dzieci! Zaraz się pokaleczą...

– Zniszczony dywan...

– Nie biegaj, Billy...

Potem rozległ się czyjś cichy, spokojny głos:

– Może byłoby najlepiej, gdyby wszyscy państwo wyszli na chwilę do ogrodu, a my tymczasem posprzątamy. Angelo, zechciałabyś przynieść miotłę i szufelkę? Pani Brooke, nie wątpię, że ktoś znajdzie dla pani krzesło na tarasie. A ty... – Marius odciągnął Teddy'ego na bok i szepnął mu coś do ucha. Topaz spostrzegła, że oczy malca otwierają się bardzo szeroko.

Wszyscy wyszli do ogrodu, zostawiając w salonie tylko Topaz i Mariusa. Dziewczyna poczuła, że oczy zdradziecko ją pieką, ale miała nadzieję, że jeśli będzie intensywnie mrugać, uda jej się zażegnać najgorsze. Gdy kawałki szkła zostały uprzątnięte, a Topaz uznała, że jest już w stanie coś z siebie wykrztusić, powiedziała:

– Ale głupio się zachowałam, zepsułam całe przyjęcie.

– Bzdura. Dobrze im robi, jeśli odetchną świeżym powietrzem. Uspokój się. – Marius wziął ją za rękę. – Chodź. Pora się stąd wymknąć.

Poszli do szkolnego ogrodu, położonego po drugiej stronie budynku. Teraz, latem, w internacie nie było uczniów, więc nikt im nie przeszkadzał. Gdy Topaz stanęła nad stawem ze złotymi rybkami i zaczęła wdychać zapach lilii wodnych, jej twarz się rozpogodziła.

– Nic się nie stało – tłumaczył łagodnie Marius. – To tylko butelka ginu.

„Topaz po prostu nie ma żadnych uzdolnień”.

– Bo Julia jest taka piękna i zna się na radiu i takich sprawach, a Will wie wszystko o samochodach. Jack jest dobry we wszystkim, a ja... – Topaz spojrzała z rozpaczą na swoje odbicie w wodzie – tylko popatrz na mnie!

– Moim zdaniem wyglądasz wspaniale.

– Marius! To bardzo miło z twojej strony, ale zapewniam cię, że oglądałam swoje odbicie w lustrze.

– Co to właściwie za kolor?... Czerwony... purpurowy...

– Karmazynowy.

– Może to nie jest twój kolor – zauważył ostrożnie Marius. –I te pantofle...

– Czy coś z nimi nie tak?

– Nie dość że dwa numery za małe, to jeszcze są doszczętnie przemoczone.

– Przemoczone... ?

– Próbowałam złapać żabę.

– Za pomocą butów?

Topaz uśmiechnęła się blado.

– O, teraz wyglądasz znacznie lepiej – uznał Marius. Po chwili dziewczyna westchnęła i dodała:

– Mama miała rację, prawda? – Nie była w stanie powtórzyć słów matki, zwłaszcza w obecności Mariusa, ale wiedziała, że nigdy ich nie zapomni.

– Oczywiście, że to nieprawda. – W głosie Mariusa słychać było gniew. – Jesteś ogromnie utalentowana, Topaz. Musisz być doskonałą kucharką, skoro Prudence tak twierdzi. I poradziłaś sobie z tymi nieznośnymi bachorami. Ja udusiłbym obu po pięciu minutach.

Topaz zachichotała.

– Co powiedziałaś Teddy'emu?

– Że jeśli jeszcze raz zobaczę, że ciągnie damę za włosy, to włożę mu do łóżka wielkiego, czarnego pająka, którego przywiozłem z Francji. – Marius poczęstował ją papierosem. Topaz wzięła jednego, zaskoczona, że starszy od niej o dziesięć lat przyjaciel uważa, iż jest wystarczająco dorosła, by palić.

– I masz jeszcze jedną wspaniałą cechę – dorzucił. – Wszyscy lubią twoje towarzystwo.

– Marius...

– To prawda. Wszyscy. Wszyscy lubią z tobą rozmawiać. Wszystkim udzielają się twoja pogoda ducha i spokój. To bardzo rzadki dar. Czy mogłabyś powiedzieć, że ktokolwiek z nas jest tak pogodny i spokojny? Ani Jack, ani

Will. A już na pewno nie Julia. –Mariusz podał jej ogień. – A może poszłabyś ze mną jutro do kina? Rano muszę pojechać do Londynu, ale w Bridport grają film, który chciałem obejrzeć od wieków. Co ty na to?

– Och, bardzo chętnie! – wykrzyknęła radośnie.

Następnego ranka Topaz miała odnieść talerze do Sixfields. Otwierając bramę, pomachała do dziewczyny, która ładowała skrzynki z jabłkami na wóz. Dziewczyna krzyknęła:

– Nie ma co pukać. Ona nigdy nie otwiera. Lepiej od razu wejść tylnymi drzwiami i zawołać.

Ogromne podwórze było częściowo wyłożone kamieniami, a częściowo pokryte błotem. Po jednej stronie znajdowały się stajnie, po drugiej – stodoła. Przed stodołą stał bardzo stary i brudny bentley. Ku Topaz rzuciły się cztery ujadające zapamiętałe psy. Zapukała do kuchennych drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Weszła więc do środka i znalazła się w pomywalni, w której było pełno zakurzonych dzbanków i butli po lekarstwach z brązowego szkła.

– Panno Chancellor? – zawołała. Jej głos odbił się echem gdzieś w zasnutym pajęczynami mroku. – Panno Chancellor?

Korytarze prowadziły we wszystkich kierunkach, a wąskie schody wiodły jakby donikąd. W przyćmionym świetle ujrzała jakąś twarz i aż podskoczyła z wrażenia. Na szczęście mocno trzymała talerze.

– Panna Chancellor?

– A niby kto? – Carrie Chancellor pokuśtykała w jej stronę. –A ty kto jesteś?

– Topaz Brooke – przedstawiła się, tracąc niemal głowę.

– Topaz! Co to za imię?

– Mój ojciec je wybrał.

– Na pewno nie jest chrześcijańskie. – Carrie Chancellor ruszyła w stronę jednego z korytarzy. Topaz poszła za nią.

– Bratanica Prudence – rzuciła nagle Carrie. – Pewnie jesteś bratanicą Prudence.

– Owszem. Brat cioci Prudence, Thomas, był...

– Nie interesują mnie twoi przodkowie, dziewczyno. Pośpiesz się.

Carrie Chancellor była niewysoka i chuda, a jej krótko ostrzyżone brązowe włosy zaczęły już siwieć. Miała na sobie burą tweedową spódnicę i żakiet oraz pulower koloru butelkowej zieleni. Jej niewielka, owalna twarz mogła być kiedyś niebrzydka, ale teraz na osmaganych wiatrem i deszczem policzkach pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Dość już się napatrzyłaś? – Topaz znów podskoczyła, słysząc ostry głos pani tego domu. – Weź krzesło i postaw talerze na kredensie. – Carrie znalazła nóż, żeby przeciąć sznurek. – I jak się bawiliście wczoraj? – zapytała z sarkazmem.

– Na przyjęciu? Och, cudownie.

– Wcale nie było cudownie.

– Zgodna, szczęśliwa rodzina.

– No cóż, my...

– Jack nie lubi przyjąć – dodała Carrie złośliwie. – Jestem przekonana, że świetnie się bawił. Byli tam wszyscy jego przyjaciele, Marius i Julia i...

– Jack jest taki jak ja. Nie lubi zamieszania. – Carrie przecięła sznurek. – Julia? – Zmarszczyła brwi. – Nie ma żadnej Julii w tej rodzinie.

– Julia Temperley. Nie należy do rodziny. To przyjaciółka. – Topaz przysunęła krzesło do kredensu i wdrapała się na nie. Krzesło zachwiało się niepokojąco na nierównej podłodze. Topaz ujrzała oczami wyobraźni dłón

Jacka, dotykając włosów Julii. Ostrożnie ustawiła talerze na najwyższej półce.

– Ciocia Prudence sądzi, że Julia i Jack się kiedyś pobiorą. Bardzo się lubią.

Myślę, że...

– Możesz już iść.

– Proszę? – Spojrzała na Carrie ze zdziwieniem.

– Powiedziałam, że możesz iść. Nie mogę stracić całego dnia na pogaduszki. Muszę zająć się farmą.

Gdy Topaz maszerowała w stronę bramy, dziewczyna, którą spotkała na początku, zawołała:

– I co? Nie jest zbyt gościnna? Topaz wsiadła na rower.

– Chyba jest trochę zła.

– Lepiej się nie spodziewać, że dziś wieczorem będzie miłsza. –

Dziewczyna oparła się o łopatę i zapaliła papierosa.

– Dlaczego?

– Bo odchodzę. Mama załatwiła mi pracę u Timothy'ego White'a.

Dziewczyna była wyraźnie zadowolona z siebie, więc Topaz jej pogratulowała:

– To cudownie. Moje gratulacje.

– Nie ma na co czekać. Ona mnie traktuje jak powietrze. Ale nie będzie zachwycona. – Skinęła głową w stronę domu. – Nie wiem, jak sobie poradzi sama z Crabtreemi. Ale to nie moja sprawa. – Splunęła na swoje dłonie i znów wzięła łopatę. – Dziś wieczorem lepiej jej zejść z drogi. Nie będzie w dobrym humorze.

Niewiele brakowało, by Topaz powiedziała: „No cóż, dziś wieczorem Marius Temperley zabiera mnie do kina”, ale ograniczyła się do krótkiego pożegnania. Jadąc na rowerze, podśpiewywała pod nosem i zastanawiała się,

co na siebie włoży. Chyba tę szarą spódniczkę, choć obawiała się, że wygląda w niej grubo. Może raczej sukienkę w szkocką kratę, którą nosiła jako strój galowy w szkole? W każdym razie na pewno nie atlasową sukienkę w karmazynowym kolorze.

Gdy tylko weszła do holu, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Topaz? – Usłyszała głos Mariusa.

– Witaj, Marius.

– Tak mi przykro, Topaz, ale nie zdążę przyjechać na wieczór.

– Och – powiedziała, a cały świat dziwnie przyblakł.

– Obawiam się, że będę musiał zostać w Londynie. Zdarzyło się coś nieoczekiwanego i muszę się tu zatrzymać jakiś czas. – Marius mówił bardzo szybko, a w jego głosie było coś dziwnego. – Wszystko wyjaśnię po powrocie. Topaz, czy mógłbym cię prosić o przysługę? Czy zechciałabyś powiedzieć mojej matce, że wrócę we czwartek po południu? – Odłożył słuchawkę.

Topaz weszła do salonu. Jej matka stała przy oknie, paląc papierosa.

– Zdaje się, że wszyscy wyszli – powiedziała Veronica z irytacją. – A ja nie wiem, gdzie Prudence trzyma gin.

– Ja wiem – oświadczyła Topaz i przygotowała matce drinka.

– Robisz niezłe martini, Topaz – pochwaliła córkę. Nastrój Topaz nieco się poprawił, gdy tylko usłyszała komplement. – Dzwoniłam do hydraulika – ciągnęła Veronica. – Zdaje się, że już prawie skończyli. Możemy wracać do domu. Jak to dobrze, że znów mamy swoje mieszkanie, prawda, Topaz?

Jadąc pociągiem do Londynu, Marius odłożył egzemplarz „Timesa”, w który wpatrywał się przez dziesięć minut, błędząc myślami gdzie indziej. Przeniósł spojrzenie na okno, wciąż pogrążony w zamyśleniu.

Wybrał się do Londynu, żeby odwiedzić Suzanne Miller. Poznał Suzanne w czasie wojny, wiosną 1944 roku, a ich romans był krótki, zapierający dech i trudny do wymazania z pamięci. Oddział Mariusa stacjonował w Northumberland i czekał na rozkaz wymarszu na południe i początek inwazji na Francję. Suzanne nie była szczególnie urodziwa. Niewysoka, ciemnowłosa i ciemnooka, na fotografii nie wyróżniała się niczym szczególnym na tle reszty koleżanek. Miała jednak w sobie coś, czego nie można zauważyć na fotografii: niezwykłą energię i radość życia, której nie dostrzegł u żadnej z pozostałych dziewcząt. Pograżonego w marazmie, a zarazem żyjącego w wielkim napięciu Mariusa zafascynował jej entuzjazm, jej umiejętność rozkoszowania się życiem. Znalazł w niej to, czego jemu samemu brakowało.

Bóg jeden wie, co ona w nim zobaczyła. Ale już podczas pierwszego spotkania, gdy odprowadzał ją w nocy z pubu (wspomnienie tych chwil do tej pory go poruszało), skorzystali z osłony pierwszej kępy drzew rosnących przy drodze z wioski do obozu. Po raz pierwszy kochali się na łożu z sosnowych igieł, patrząc na gwiazdy migające między konarami drzew. Nawet teraz, gdy zamykał oczy, czuł zapach żywicy i zapach skóry Suzanne.

Romans trwał zaledwie sześć tygodni, ale były to najintensywniejsze i najbardziej szalone tygodnie w jego życiu. Potem jego oddział został wysłany na południe. A w czerwcu odpłynął do Francji. Pisał listy do Suzanne, lecz nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Po powrocie do Anglii próbował ją odnaleźć. Na początku powodowała nim uraza, chciał jej powiedzieć, jak bardzo dotknęło go jej milczenie. Potem zaczęła przeważać ciekawość. Bo wszelki śluch po Suzanne zaginął. Po pewnym czasie Marius ustalił, że zaraz po jego wyjeździe do Francji opuściła swój oddział i zerwała kontakty z przyjaciółkami. Marius przeczuwał wprawdzie, że jego poszukiwania nie mają

sensu, że nie odpisywała mu, bo przestał ją obchodzić, zapomniała o nim i rozpoczęła nowe życie. Mimo wszystko szukał dziewczyny, korzystając z pomocy jej dawnych koleżanek i administracji wojskowej.

Dwa dni temu dostał wiadomość od przyjaciółki Suzanne, Evelyn Thomas. W pierwszej chwili, czytając niepokojąco brzmiący list, podskoczył.

Długo Ci nie odpisywałam, ponieważ nie wiedziałam, co robić. Suzanne znalazła się w trudnej sytuacji, Marius. Wiele się zmieniło w jej życiu od czasu, gdy ją znałeś, i nie wiem, czy próba odnowienia tej znajomości to taki dobry pomysł. Minęło tyle czasu.

Pociąg zbliżał się już do Londynu, jadąc przez przedmieścia zabudowane domkami z czerwonej cegły, a Marius zastanawiał się nad słowami Evelyn. „Wiele się zmieniło w jej życiu”. No cóż, wiele się zmieniło w życiu ich wszystkich. Niewykluczone, że Suzanne także miała kłopoty z przystosowaniem się do życia w cywilu. Może trudno jej związać koniec z końcem albo musiała zamieszkać w jakichś wilgotnych slumsach, bo po wojnie w Londynie brakowało mieszkań. Evelyn podała mu adres w Islington, dzielnicy, która już przed wojną była bardzo ponura, a w czasie wojny została zbombardowana.

Marius brał, rzecz jasna, pod uwagę najbardziej oczywistą przyczynę ostrzegawczego tonu, który wyczuł w liście Evelyn. Niewykluczone, że Suzanne po prostu wyszła za mąż. W takim wypadku zamierzał jej pogratulować i nigdy więcej nie wracać. Wciąż niepokoiły go różne pytania. Czemu zdecydował się szukać Suzanne po powrocie do Anglii? Dlaczego zaniedbał swoje obowiązki i wybrał się w podróż do Londynu? Przecież wcale nie liczył na odnowienie romansu. Brak odpowiedzi na listy świadczył wymownie o tym, jak błahą rolę odegrał w jej życiu. Nie zamierzał robić z

siebie głupca, wymyślając przyczyny, dla których nie odzywała się do niego przeszło dwa lata.

Co zresztą wiedział na jej temat? Że lubiła jeździć samochodem stanowczo za szybko, że była dumna i niezależna. I że w łóżku okazała się namiętna, hojna i niczym nieskrępowana. Już dwa lata temu mieli z sobą niewiele wspólnego, a teraz, po tak długiej rozłące z pewnością będą jeszcze bardziej obcy sobie nawzajem. Zamiast rozmawiać, najczęściej się kłócili. Jeśli wziąć pod uwagę otrzymane wychowanie i poglądy, dzieliła ich przepaść. Suzanne wyśmiewała się z jego edukacji i manier, charakterystycznych dla klasy średniej. Mariusa z kolei drażniły pewne jej gesty czy wypowiedzi. Złościł się na siebie za to, że irytowały go przekleństwa, które się jej czasem wymykały, że zawsze zauważał, jak dmucha na herbatę,

I moczy w niej ciasteczka. Nie mógł jednak na to nic poradzić. Co gorsza, Suzanne zorientowała się, że ma jej za złe te drobne wykroczenia przeciwko regułom dobrego wychowania: „O Boże, Marius, powiedziała mu kiedyś, nie mógłbyś mnie pokazać swoim rodzicom, co?”. Nie szczędziła mu ironii i patrzyła tak, jakby przejrzała go na wskroś i dojrzała całą małostkowość. Może dlatego Evelyn próbowała go ostrzec. Evelyn była w głębi ducha dość staroświecka i wierzyła, że po wojnie znów powrócą wszystkie bariery, które oddzielały od siebie klasy społeczne.

Gdy pociąg zatrzymał się na Paddington, Marius wiedział już, dlaczego wyruszył w tę podróż. Chciał zobaczyć Suzanne raz jeszcze, ponieważ dzięki niej poczuł, że żyje. Z żadną inną kobietą tego nigdy nie doznał. Chciał się przekonać, czy wciąż jest zdolny do przeżywania tak intensywnych emocji. Po powrocie do Anglii, od paru miesięcy, czuł dziwny dystans wobec swej pracy i rodziny. Starał się wprawdzie powrócić na utarte szlaki przedwojennego życia,

ale nic go nie zajmowało, nic go nie poruszało. Przestraszył się, że odrętwienie, w które popadł, może go już nigdy nie opuścić.

Sądził, że Suzanne jest ostatnią deską ratunku.

Sisson Street, przy której mieszkała Suzanne, odchodziła od Tufnell Park Road. Wysoki, czteropiętrowy budynek kiedyś był może elegancki, ale teraz nosił przede wszystkim ślady wieloletniego zaniedbania. Podzielono go na mieszkania: w tabliczkę przy drzwiach wetknięto mnóstwo wizytówek. Ogromna dzielnica, gdzie przed wojną stały domy mieszkalne, zamieniła się w rumowisko. Kamienice, które przetrwały, ucierpiały podczas bombardowań: tu i ówdzie brakowało dachówek, gdzieś tam okien. Na framugach okien i drzwi łuszczyła się farba. Spod brakujących fragmentów sztukaterii widać było nagie cegły. Wokół zrujnowanych budynków unosiła się podobna do mgły atmosfera beznadziejności, jakby nie było szans na podźwignięcie tej dzielnicy z ruin.

Marius zatrzymał się na chwilę pod czternastką i spojrzał w górę. Kamienica była w znacznie gorszym stanie niż pozostałe. Furtka z kutego żelaza wypadła z zawiasów i leżała pośród zardzewiałych rupieci w podmokłym ogrodzie, a frontowe schody były popękane i poszczerbione.

Zerknął na wizytówki i znalazł nazwisko Suzanne: Miller. A więc jednak nie wyszła za męża. Miał właśnie zamiar nacisnąć dzwonek, gdy drzwi się otworzyły i z domu wyszła starsza kobieta. Przytrzymał jej drzwi, a potem wszedł do środka. Pokój Suzanne znajdował się na ostatnim piętrze. Wdrapując się po schodach, po wilgotnym dywanie wyłożonym tekturą, Marius pomyślał, że Suzanne mogła przecież gdzieś wyjść. Powinien był najpierw do niej napisać, bo równie dobrze mogła o nim całkiem zapomnieć. Nie miał pojęcia, jak zacząć rozmowę. Nie będzie przecież udawać, że to niezaplanowana,

przypadkowa wizyta. Pomyślał, że zachował się jak idiota, przychodząc tutaj. Miał nawet ochotę obrócić się na pięcie i uciec, gdy więc dotarł na ostatnią kondygnację, natychmiast zapukał do drzwi, nie pozwalając sobie na dalsze wahania.

Usłyszał czyjeś kroki. Drzwi się otworzyły. Suzanne szeroko otworzyła oczy i usta.

– Marius.

– Suzanne.

Przez chwilę oboje milczeli. Potem ona powiedziała:

– Lepiej już wejść.

Wszedł za nią do pokoju, który wyglądał jeszcze gorzej, niż Marius się spodziewał. Szyby w oknach były pozalepiane taśmą, by się nie rozpadły. Przed niewielkim piecykiem elektrycznym stała suszarka na bieliznę. W kącie, obok jednopalnikowej kuchenki gazowej, straszyla miska wypełniona po brzegi brudnymi naczyniami. Nad tą prowizoryczną kuchnią wisiała zdezelowana półka, na której upchnięto jakieś puszkę i pudełko z jedzeniem. Spostrzegł jeszcze drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju, prawdopodobnie sypialni. Nieliczne meble straszyla swoją brzydotą: wyświechtana, tania sofa, jaskrawo pomalowany stolik i parę krzeseł. Jedną z nóg stołowych, krótszą niż pozostałe, podparto książkami.

– No cóż, to nie jest Ritz... – powiedziała Suzanne, a ton jej głosu wskazywał, że przejrzała go na wylot.

– W każdym razie jest... miło i jasno – oświadczył. Okna wychodziły na południe i w pokoju było strasznie gorąco.

– Okna się nie otwierają, jedno skrzydło się zacięło i nie można go ruszyć. A ja muszę włączać piecyk, żeby suszyć bieliznę.

– Nie ma sznura w ogrodzie... ? – zdziwił się, ale Suzanne pokręciła głową.

– To wspólny ogród. Wszystkie porządne rzeczy znikają.

– Och. – Pomyślał, że to straszne mieszkać w miejscu, w którym ktoś kradnie suszącą się bieliznę z ogrodu. – Czy mam spróbować otworzyć okno? – zaproponował.

– Jeśli chcesz.

Mocując się z wypaczoną futryną, miał trochę czasu, by zebrać myśli. Suzanne się zmieniła: Marius nie potrafił powiedzieć, na czym to polegało, wiedział jednak, że się zmieniła. Miała trochę dłuższe włosy niż przedtem i schudła, zmieniło się także coś jeszcze. Jakby rysy jej twarzy się rozmazały i nie była już tak jasna i promienna. Miała zmęczone, nieufne spojrzenie. Ale dźwięk jej niskiego, lekko zachrypniętego głosu wciąż budził w nim dreszcze i wspomnienia wspólnie spędzonych chwil.

Udało mu się uchylić okno. Do pokoju wpadło trochę chłodniejsze powietrze.

– Dziękuję, teraz da się oddychać. – Zmrużyła oczy. – Jak mnie znalazłeś?

– Dostałem twój adres od Evelyn Thomas.

– Głupia krowa. – Suzanne była wyraźnie zła. Marius uczynił jakiś uspokajający gest.

– Nie było innego sposobu, by cię znaleźć.

Zdjęła ręczniki z suszarki i zaczęła je składać szybkimi, wprawnymi ruchami.

– Nie rozumiem, dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy.

– A po co?

– Choćby z grzeczności... – wysnęło się Mariusowi.

– Och, lordzie Temperley – roześmiała się Suzanne. – Zupełnie zapomniałam, co z ciebie za gość.

Starął się pohamować gniew.

– To by dla mnie wiele znaczyło.

– I właśnie dlatego – odparła łagodnie Suzanne – nie odpisywałam.

– Masz kogoś?

– W pewnym sensie. – Po raz pierwszy nieznacznie się uśmiechnęła.

– Aha. – Zachował się jak idiota, przyjeżdżając do niej. – W takim razie, już idę.

Był już w połowie drogi do drzwi, gdy Suzanne powiedziała:

– Przepraszam cię, Marius. Ale ze mnie jędza. – Wzięła głęboki oddech.

– Nie chodzi o mężczyznę. Prawdę mówiąc, po tobie nie było żadnego. Ale, no cóż... wojna i to wszystko... cała ta historia zdarzyła się tak dawno temu... – Udało jej się uśmiechnąć. – Masz może papierosa? Mam straszną ochotę zapalić, a właśnie mi się skończyły i nie mogłam wyjść do sklepu.

Marius podał jej papierosa.

– Evelyn pisała, że byłaś w trudnej sytuacji.

Suzanne zaśmiała się ochryple.

– Można tak powiedzieć. – Spojrzała na niego ostro. – I co jeszcze ci napisała?

– Nic szczególnego. – Podał jej ogień. – Tylko tyle, że szybko porzuciłaś służbę.

– Wkrótce po tym, jak wyjechałaś do Francji.

– Dlaczego? Sądziłem...

– Wiesz, że nie należę do osób, które lubią wykonywać czyjeś rozkazy.

Jakaś nuta w jej głosie sprawiła, że poczuł, iż lepiej nie pytać o nic więcej. Pomyślał, że może została wyrzucona albo trafiła przed sąd polowy. Choć nie wydawało mu się to prawdopodobne, bo Suzanne była bardzo inteligentna, a takich kobiet bardzo potrzebowano w armii.

– Znalazłaś pracę?

– Szyję coś od czasu do czasu. – Pokazała mu starą maszynę Singera, stojącą na stole.

– Mam trochę przyjaciół w Londynie. Mógłbym się dowiedzieć, czy ktoś nie znajdzie dla ciebie jakiegoś zajęcia.

– Radzę sobie.

– To zapewne byłaby praca biurowa, ale...

– Powiedziałam już, że sobie radzę. – Jeszcze jedno ostrzeżenie. Po chwili jednak znów się uśmiechnęła. – Bardzo się cieszę, że wpadłeś, Marius, ale mam coś do zrobienia.

– Może moglibyśmy pójść gdzieś na lunch... – Marius przerwał, słysząc jakiś dźwięk dobiegający z sąsiedniego pokoju. Cieniutki, wysoki pisk. Spojrzał na Suzanne, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– To mój kot – pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Nie sądzę, by wspólny lunch był dobrym pomysłem.

Jeszcze jeden krzyk. Marius zrozumiał wszystko w jednej chwili.

– To nie kot – mruknął i ruszył w stronę sypialni.

– Marius... – Suzanne zagroziła mu drogę, ale ją odsunął i otworzył drzwi. Stał twarzą w twarz z dzieckiem stojącym w łóżeczku. Maleństwo, ujrawszy obcego, rozplakało się jeszcze bardziej.

– Kiedy się urodziła? – powtórzył raz jeszcze.

Suzanne tuliła małą w ramionach, mrużąc jej coś łagodnie do ucha.

– Mówiłam ci już, że to nie twoja sprawa.

Mariusz rozumiał jednak, że najprawdopodobniej to jest właśnie jego sprawa. Nie znał się na dzieciach, ale ta dziewczynka wyglądała tak, jakby miała z półtora roku.

– Wiesz przecież, że mogę sprawdzić to w urzędzie.

Spojrzała na niego z wściekłością, a potem mruknęła pod nosem:

– Ubiegłej zimy.

– Pytam, kiedy dokładnie się urodziła?

Pocałowała maleństwo w ciemną główkę, a potem spojrzała na niego wyzywająco:

– Dwudziestego szóstego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Mój mały prezent gwiazdkowy.

A więc koniec marca. Poznał Suzanne w drugiej połowie marca. „Po tobie nie było żadnego mężczyzny”, powiedziała mu dziesięć minut temu. Potrzebował chwili, by zebrać myśli.

– To moje dziecko, prawda?

Odwróciła się do niego plecami, biorąc dziecko na biodro.

– To moje dziecko, prawda, Suzanne? – powtórzył, a po chwili, która trwała całe wieki, ona pokiwała głową.

Siedział na wyświechtanej sofie, nie mogąc sobie poradzić z własnymi emocjami: z szokiem, z gniewem, ze wstydem. Wreszcie wszystko rozumiał. Dlaczego opuściła oddział Pomocniczej Służby Wojskowej, czemu Evelyn napisała, że wiele się zmieniło w życiu Suzanne.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – szepnął, a ona w milczeniu pokręciła głową. Dziecko bawiło się koralami, które miała na szyi. – Sądziłaś, że ci nie pomogę?

Popatrzyła na niego zimnymi oczami.

– Nie widzę powodu, byś miał płacić za przyjemność, która trwała miesiąc.

– Sześć tygodni – poprawił ją. – Znaliśmy się sześć tygodni,

– Miesiąc, sześć tygodni, co za różnica?

– Mamy dziecko. I to jest ta różnica.

– Ja mam dziecko. Ona jest moja. Tylko moja. – Marius usłyszał strach w jej głosie.

– To moja córka.

Nie znał nawet jej imienia. Podszedł do okna, starając się zachować jasność umysłu. Myśli wirowały mu w głowie. Został ojcem. Suzanne – dumna, niezależna Suzanne – żyła w biedzie, podczas gdy on opływał w dostatki w Missencourt. Kłopoty z powrotem do cywilnego życia wydały mu się teraz zawstydzająco luksusowym problemem, fochami kogoś, komu zawsze wszystko łatwo przychodziło.

Wiedział, co powinien uczynić, i opór, który od razu w nim się zrodził, wzmógł tylko poczucie winy.

– Musimy się pobrać – oświadczył. Suzanne oniemiała.

– Nie bądź śmieszny. Nie możesz się ze mną ożenić.

– Dlaczego nie?

– Nie możesz i już.

– Ona potrzebuje ojca. Każde dziecko potrzebuje ojca. To moja córka, jestem za nią odpowiedzialny.

– Cóż za przesadne poczucie obowiązku... małżeństwo... mój Boże. – Głos Suzanne wyraźnie zadrżał.

– Dlaczego nie? – powtórzył.

– Dlatego... – Popatrzyła mu prosto w oczy – dlatego, że mój ojciec pracuje na kolei. Dlatego, że przestałam się uczyć, jak miałam czternaście lat. Dlatego, że żylibyśmy jak pies z kotem.

Nie biorąc pod uwagę ostatniego spośród jej zastrzeżeń, powiedział:

– To nie ma znaczenia.

– Nie ma znaczenia! – powtórzyła pogardliwie. – Na jakim świecie ty żyjesz? Słuchaj, Marius, co by powiedziała twoja rodzina, gdybyś przywiózł mnie i moją córkę do waszego domu? Sądzisz, że przyjęliby nas z otwartymi ramionami?

– Mój ojciec nie żyje, mam tylko matkę i siostrę. – Nie zważając na własne wątpliwości, dodał z przekonaniem, którego wcale nie czuł: – Obie cię pokochają. Wiem to na pewno.

– Cholernie mnie pokochają.

Marius był całkiem zamroczony przez szok i nie mógł myśleć o niczym poza tym, co uważał za swój obowiązek.

– To moja córka – powtarzał uparcie.

– Nawet nie wiesz, co mówisz...

Doskonale wiedział, co mówi. Proponował małżeństwo kobiecie, której nie kochał, by stać się ojcem dziecka, którego nie znał. Ale nie widział innego wyjścia. Postanowił, że ślub musi się odbyć jak najszybciej. Trzeba wszystko naprawić. Nie mógł sobie pozwolić na chwilę zastanowienia.

Rozejrzał się po pokoju i powiedział, nie kryjąc tym razem niesmaku:

– Nie możesz tu wychowywać dziecka, Suzanne, na miłość boską!

– Mogę.

– Nie możesz powiesić prania w ogrodzie, bo ktoś je ukradnie... A jak wnosisz wózek na górę? I przecież tu jest wilgoć, czuję wyraźnie. Czy tego dla niej pragniesz?

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby nie trzymała w ramionach dziecka, uderzyłaby go bez namysłu. A potem, nagle, przestała się bronić i powoli pokręciła głową.

– Nie. Nie tego. – Była wykończona.

Zapadła cisza. Potem Marius powiedział łagodniej:

– Pokochasz Missencourt, Suzanne. Wszyscy kochają to miejsce. Dziecko będzie miało swój pokój i wielki ogród do zabawy, gdy podrośnie. A do morza jest tylko osiem kilometrów.

– Wieś... Przywykłam do życia w mieście...

– Będzie mogła pływać i żeglować. Julia nauczy ją jeździć konno. – Marius poprawił kołnierzyk. Mimo otwartego okna wciąż było za gorąco. – Poślemy ją do przyzwoitej szkoły. Będzie chodziła na lekcje tańca, lekcje muzyki, co tylko zechce. Czy sama zdołasz jej to zapewnić, Suzanne?

Suzanne miała łzy w oczach.

– Marius – szepnęła – muszę ci coś powiedzieć... – Ale on jej przerwał.

– Później. Trzeba teraz załatwić wszystkie formalności.

Pragnął czym prędzej wydostać się z tego klaustrofobicznego mieszkania. Potrzebował czasu, by pomyśleć, by przyzwycząić się do nowej sytuacji. Pożegnał się pośpiesznie i wyszedł.

3

We wtorki Julia zawsze jeździła konno. Gdy wyjechała z zagajnika, spostrzegła Jacka jadącego na rowerze w jej stronę. Salem, który nie lubił cyklistów, szarpnął pyskiem.

Jack oparł rower o żywopłot i przeszedł na drugą stronę drogi.

– Twój? – Poglaskał wierzchowca po aksamitnej szyi. Julia pokręciła głową.

– To koń Penny Craven. – Penny była przyjaciółką Julii i właścicielką dużej stajni z końmi pod wierzch. – Szkoda, że nie mój.

Białka ogiera błysnęły, gdy z krzaków wyłonił się nagle bażant.

– Nerwowy – orzekł Jack, chwytając konia za uzdę.

– Przeskoczył bramę na Chalk Meadow bez trudu. Nawet się nie zawahał.

Jack spojrzał na Julię.

– Powinnaś mieć na głowie toczek.

– Wiesz, że nie znoszę toczków.

Jack wciąż patrzył na nią z dezaprobatą, ale zmienił temat.

– Dziękuję, że przyszłaś na niedzielne przyjęcie.

– Było bardzo miło. My nigdy nie urządzamy rodzinnych przyjęć. Zdaje się, że jest nas za mało.

– A nas raczej za dużo. Wszyscy zadzierają nosa i próbują udowodnić, że są więcej warci niż sąsiedzi.

Julia się roześmiała.

– Z wyjątkiem ciebie. – Chociaż Jack też miał w sobie ducha rywalizacji.

– Mój kuzyn Maurice pożyczył nam parę płyt – wyjaśnił. – Jadę więc do Henscombe, by mu je oddać. Pojedziesz ze mną? Moglibyśmy wypłynąć na morze albo pójść na spacer na skały.

– Nie mogę. – Julia odwróciła głowę, ale zdążyła dostrzec wyraz jego oczu, dodała więc czym prędzej: – Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Obiecałam, że pomogę Penny w stajni. W zamian za to ona pozwala mi jeździć na koniach. Ale gdybyś zechciał na mnie poczekać...

– Tak? – Jack podniósł rower.

– W takim razie za godzinę.

Pojechali na rowerach nad morze. Julia cieszyła się, że fizyczny wysiłek odwraca jej uwagę od wątpliwości, które wciąż ją nękały. Czy ona i Jack znów są przyjaciółmi? Czy jest między nimi coś więcej niż przyjaźń?

Wpadli do sklepu, by zostawić płyty. Po chwili Julia wyszła, zostawiając Jacka rozmawiającego z Maurice'em.

Jack wyszedł dziesięć minut później, patrząc spode łba.

– Co za nędzna kreatura – zwierzył się jej, gdy znów jechali w stronę wybrzeża. – Zaproponował mi pracę.

– Maurice? Chyba nie przyjmiesz jego propozycji?

– Prędzej bym się zastrzelił. Ale najpierw bym zamordował Maurice'a.

Jack zeskoczył z roweru, gdy dojechali do zatoki. Szli obok siebie wzdłuż falochronu. Julia pomyślała, że Jack, z tym swoim wyrazistym profilem, z lekko kręconymi, ciemnymi włosami i niebieskimi oczami, jest zabójczo przystojny.

Teraz jego oczy przygasły.

– Maurice ma sklep i udziały w sieci warsztatów samochodowych, mieszka w ogromnym domu i jeździ samochodem, choć nie wiadomo, jakim

cudem zdobywa benzynę. Jego żona nosi futro, a dzieci chodzą do prywatnej szkoły. Ja natomiast nie osiągnąłem nic.

– Coś ci się z pewnością trafi – pocieszyła go Julia.

– Tak sądzisz? Mam dwadzieścia sześć lat, mieszkam z rodzicami i jestem kolejnym zdemobilizowanym żołnierzem bez zajęcia i właśnie tak – Jack uderzył dłonią w kierownicę roweru – się przemieszczam.

Fale rozbijały się o kamienny pomost, a na wodzie kołysały się rybackie łodzie. Julia wsunęła rękę pod ramię Jacka i przytuliła się do niego. Rozluźnił się chyba trochę, bo zaproponował:

– Pójdziemy na plażę? Masz ochotę się powspinać?

Do piaszczystej zatoczki Henscombe Cove, położonej w północnej części miasteczka, można było się dostać tylko ścieżką prowadzącą przez urwistą skałę o wysokości piętnastu metrów. Podczas wojny zarówno wzgórze, jak i plaża były otoczone kolczastym drutem. Pordzewiałe kawałki zasieków wciąż się wiły pośród krzaków porastających podnóże skały.

Jack szedł przodem, stawiając ostrożnie stopy na piaszczystej ziemi i chwytając się kęp trawy, by złapać równowagę. W połowie drogi zatrzymał się i wyprostował. Potem z okrzykiem na ustach zaczął biec w dół, by w końcu upaść na miękki, jasny piach.

– Idiota! – krzyknęła Julia, która została w połowie wzniesienia. Jack skoczył na równe nogi i rozłożył ramiona.

– Nie bój się!

– Nie mogę... – zawołała, ale i ona ruszyła biegiem, pędząc coraz szybciej i rozkoszując się poczuciem, że lada moment może stracić równowagę i polecieć w dół.

Jack chwycił ją w ramiona. Przyłgnęła do niego, z trudem łapiąc oddech i śmiejąc się jednocześnie. Wtedy ją pocałował. Na początek delikatnie i krótko. Julia zdołała nabrać powietrza. Dłonie Jacka zatoneły w jej włosach, w butach miała pełno piachu. Zamknęła oczy i poczuła jego szorstką brodę na twarzy oraz ciepło męskiego ciała. Przygarnął ją do siebie, a jego pieszczoty nabrały bardziej zdecydowanego charakteru. Czuła się tak samo jak przed chwilą, gdy miała zbiec w dół, po stromym urwisku. Czuła dłonie Jacka na nagiej skórze pod bluzką, a szum fal mieszał się z biciem jej serca.

Nagle Jack odskoczył. Usłyszała jego jęk.

– Jack... ? – szepnęła.

Nic nie odpowiedział, tylko podszedł do morza. Julia poczuła się idiotycznie.

Pobiegła za nim.

– Co się stało?

– Przepraszam – mruknął. – Nie miałem zamiaru się tak zachować.

– Cieszę się, że się tak zachowałeś.

Jack uczynił gest zniecierpliwienia. Julia poczuła się fatalnie. Zrzuciła sandały i zaczęła wchodzić coraz głębiej do morza, zostawiając ślady na mokrym, twardym piachu.

– Dokąd idziesz? – zawołał Jack.

– Na skałę. – Pośrodku zatoczki z wody wystawała niewielka skała, z której w dzieciństwie skakali do morza.

– Daj spokój. Będziesz mokra od stóp do głów.

Obejrzała się na niego.

– Czy zrobiłam coś nie tak, jak trzeba?

– Oczywiście, że nie. – W głosie Jacka słychać było gniew.

– To dlaczego przerwałeś?

– Na miłość boską, Julio...

– Powiedz mi. Jack zacisnął pięści.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to przerwałem, bo niewiele brakowało, a przeleciałbym cię tu i teraz. Na plaży.

Jego język, ton jego głosu sparaliżowały ją na chwilę. Zaraz jednak powiedziała:

– Nie miałbym nic przeciwko temu.

– Ale ja miałbym. – Spojrzał na nią spode łba. – Nie powinienem. Nie z tobą.

– Ale... – Julia była nieszczęśliwa – robiłeś to z innymi kobietami.

– Tak – powiedział w końcu.

– Więc dlaczego ze mną nie chcesz?

– Dlatego, że tamte się nie liczyły.

Julia wróciła do brzegu, czując siłę morskich fal i raniąc sobie stopy o ostre muszelki. Jack położył dłonie na jej biodrach.

– Jesteś przemoczona.

– Jestem.

U podnóża urwiska piach był miękki, suchy i ciepły. Julia położyła się obok Jacka, opierając głowę na ramieniu, którym ją obejmował. Słońce mocno przygrzewało. Po chwili zapytała:

– Co zrobimy? Jack zamknął oczy.

– Jeśli pytasz, co zrobimy teraz, to sędzę, że ja się prześpię. A jeśli masz na myśli naszą przyszłość, to porozmawiamy o tym później.

Naszą przyszłość. Julia leżała bez ruchu, rozkoszując się tą chwilą i przypominając sobie wyprawy do Henscombe za czasów dzieciństwa.

Przychodzili we czwórkę, w towarzystwie matek, znosząc ostrożnie po urwistym zboczu wiaderka i łopatki, ręczniki i kostiumy kąpielowe oraz piknikowe kosze. Pływali od kwietnia do października, siniejąc w lodowatej wodzie i czując, jak piach drapie ich pokryte gęsią skórą ciała. Matki siedziały na brzegu, robiąc na drutach, szyjąc albo przygotowując ciastka i kanapki, i nie przestawały rozmawiać. Julia zawsze dziwiła się, że dorosłe kobiety, które prowadzą takie nudne życie, mają sobie tyle do powiedzenia.

Teraz wyobraziła sobie, jak przychodzi tu ze swoimi dziećmi. Wraz z Jackiem będą trzymać je za ręce, by poplaskały się w wodzie. A potem nauczą je pływać. Julia też zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szum morza i oddech śpiącego Jacka.

Carrie Chancellor obudziła się skoro świt. Próbowwała wprawdzie odpędzić wszystkie myśli i zasnąć ponownie, ale wspomnienia paru minionych dni za bardzo ją niepokoiły. Po kilkugodzinnym śnie nie czuła się wypoczęta, a zmęczenie sprawiało, że marzła pomimo upału.

Powrót Jacka, wizyta tej rudej dziewczyny (jakże jej było na imię – coś związanego z biżuterią – Perła? Rubin?), odejście dziewczuchy, która jej pomagała. Za wiele niespodzianek. Carrie wolała spokojne dni, którym rytm dyktowały pory roku. Nieznajomi, nieoczekiwane odwiedziny, jakieś nieplanowane rozmowy, wszystko to ją denerwowało. A na domiar złego, po południu odwiedził ją Smallbone, adwokat. „Właśnie tędy przejeżdżałem”, zaczął, a potem znów rozwodził się na temat niespisanego do tej pory testamentu Carrie. Szybko się go pozbyła, szczując psami. Ale radość z chwilowego zwycięstwa szybko prysła. Aż do końca dnia w jej uszach dźwięczały słowa prawnika. „Jeśli nie zostawi pani testamentu, panno Chancellor, majątek zostanie podzielony w razie pani śmierci”. Carrie siedziała

teraz na łóżku, sama w ogromnym domu swych przodków i śmierć wcale nie wydawała jej się taka nieprawdopodobna i odległa. Jej zdrowie nadszarpnęła choroba Heinego–Medina, którą przeszła, mając lat dziewiętnaście. Od tamtej pory często zapadała na bronchit, a dwa razy otarła się o śmierć, chorując na zapalenie płuc. Gdy poprzedniego dnia pracowała w polu, obolałe kończyny i łamanie w stawach przypomniały jej o coraz słabszym zdrowiu i upływie lat.

Gdyby miała dziedzica... Ale nie miała i nie warto nad tym biadać. Kto chciałby się ożenić z kaleką, nawet dla Sixfields? Zawsze była nieśmiała, a choroba bezlitośnie odebrała jej resztki wiary we własną urodę. Od tamtej pory Carrie unikała ludzi, chroniąc się za pancerzem niegościnnosci.

Dobry Boże, jakże fatalnie się czuła wieczorem. To zapewne z powodu przepracowania – okres żniw jest wyczerpujący.

– Jak długo jeszcze... – szepnęła, próbując odsunąć od siebie przerażającą myśl.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że bardzo się postarzała ostatnimi czasy, że ciało, które nigdy nie było jej sprzymierzeńcem, coraz częściej odmawiało współpracy. Zerknęła na swe dłonie i stwierdziła, że to sama skóra i kości. Wysycham, pomyślała. Od sześciu miesięcy nie miała już menstruacji. Aż dziw, że ją to przejęło.

„Jeśli nie zostawi pani testamentu"... Sixfields musi zostać w rękach Chancellorów. Tylko że Carrie nie znosiła krewnych, którzy się wokół niej ciągle kręcili, udając, że się o nią troszczą, choć w ich oczach widać było tylko chciwość. Wyobraziła sobie, że majątek zostanie sprzedany, podzielony, a cała jego historia pójdzie w zapomnienie. Słuchając skrzypienia starego dworu, Carrie wyobrażała sobie niezliczone, puste pokoje wypełnione meblami, książkami i bibelotami, które stopniowo znikają pod coraz większą warstwą

kurzu. W korytarzach Sixfields nie rozlegały się żadne kroki, nikt nie wołał jej w środku nocy. Poczucie samotności stało się nagle tak dotkliwie, jakby miało pozbawić ją powietrza w płucach, tak jak choroba, która zniszczyła jej zdrowie wiele lat temu.

Carrie wstała i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Znała tu każdy strumień, każde drzewo. Znała każdy kwiat ciemiernika, wyłaniający się z gąszcza orzeszków bukowych, a także każdy dywan utkany z tymianków, posłonków i polnych storczyków rosnących na łąkach. Podczas sianokosów zapach ziół był odurzający.

Jedno z pól zostało już zaorane. Carrie widziała w świetle księżyca wypukłe pręgi świeżo poruszonej ziemi. Po niedzielnej wizycie Jacka weszła tu, do sypialni, i przyglądała mu się przez okno. Przeszedł przez pole, a potem wdrapał się na drewniane schodki na ogrodzeniu. Rozejrzał się powoli dokoła na wszystkie cztery strony. Patrząc na młodego kuzyna, żałowała, że nie ma nawet ułamka tej jego niezwykłej energii. Carrie wiedziała, że Jack kocha Sixfields tak samo jak ona.

Jack, olśniło ją nagle, aż musiała się chwycić framugi, by nie upaść. Ten chłopak nie irytuje jej tak jak większość krewnych. A poza tym Sixfields potrzebuje jego młodości, jego siły. Nie mówiąc już o tym, jak świetnie by się poczuła, mogąc zagrać im wszystkim na nosie. Dlaczego nie Jack?

Przypomniała sobie jego sylwetkę, postać wysokiego, przystojnego mężczyzny. Pamiętała, że przed laty, jako mały chłopiec uwielbiał ten dom. Jego niebieskie oczy myszkowały po każdym pokoju, rejestrując każdy mebel, każdy detal. Dostrzegła wtedy w jego oczach chciwość, chciwość, która charakteryzowała wielu Chancellorów. Carrie nie mogła przywiązać go do

siebie urodą ani wdziękiem, ale miała coś innego, co mogło go pociągać: pieniądze, ziemię i władzę, która szła z nimi w parze.

Carrie uśmiechnęła się pod nosem. A co do tej drugiej sprawy, która nią wstrząsnęła, to przecież rachunki muszą zostać wyrównane.

W środę Jack przyjechał do Sixfields, by pomóc przy sianokosach. Gdy wieczorem obmywał twarz i ręce z kurzu pod kranem na podwórzu, poczuł na sobie wzrok Carrie.

– Chcę ci coś powiedzieć, Jack – odezwała się niespodziewanie.

– Mów. – Wzruszył ramionami.

– Nie tutaj. W salonie.

Wszedł za nią do domu. Kuśtykając korytarzem, Carrie powiedziała ze złością:

– Nie ubywa mi, niestety, lat. A na dodatek ta przekłeta dziewczucha zabrała się i poszła. Choć i tak niewiele z niej było pożytku.

Jack otworzył jej drzwi do salonu.

– Mogę ci pomagać, dopóki nie znajdziesz kogoś innego. Carrie rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

– Podoba ci się ta praca, Jack, prawda?

– Może być.

Wyciągnęła butelkę sherry. Szyjka była szara od kurzu.

– Zastanawiałam się, czy nie chciałbyś pracować tu na stałe, Jack?

Jack nie był pewien, czy cieszyć się z tej zaskakującej propozycji. Wrodzona ostrożność oraz znajomość legendarnego skapstwa kuzynki kazały mu się zawahać. Nie miał zamiaru być traktowany tak, jak ta nieszczęsna dziewczyna ze wsi. Musiał wiedzieć dokładnie, co Carrie mu proponuje.

– Jako kto? – zapytał. – Najemny robotnik... ? Czy jako zarządca majątku... ?

– Ani jeden, ani drugi. Postanowiłam spisać testament. – Carrie naląła sherry do dwóch kieliszeków. – Zamierzam zapisać ci Sixfields, Jack.

„Zamierzam zapisać ci Sixfields, Jack”. W pierwszej chwili to do niego nie dotarło. Słyszał bicie własnego serca. Na czoło wystąpił mu pot, a koszula zaczęła lepić mu się do pleców. Miał ochotę poprosić, by powtórzyła, żeby się upewnić, że to nie sen. „Zamierzam zapisać ci Sixfields, Jack”. Po latach dziwił się, że jedno zdanie może całkowicie odmienić bieg życia człowieka.

– Farmę... ? – szepnął. – Mnie... ?

– Są też pieniądze w banku, oczywiście. Zawsze byłam ostrożna, jeśli chodzi o pieniądze. Nigdy nie szastałam nimi na prawo i lewo jak niektórzy.

Jack wyobraził sobie dwór i otaczające go ziemie. Wszystko ma należeć do niego...

– Nie sądzę, byś musiał długo czekać – dodała Carrie szorstko, kuśtykając w stronę krzesła. – Moje zdrowie nigdy nie było żelazne. Wszystko będzie należało do ciebie, nim zdążysz się obejrzeć.

– Carrie...

– Czy chcesz tego, Jack?

– Tak – powiedział. Bardzo chciał mieć Sixfields. Choć nie wiedział o tym aż do tej cudownej, nieoczekiwanej chwili.

– Tak, chcę.

– No to się dogadaliśmy. Napiszę do adwokata.

– Nigdy nie przypuszczałem... Zawsze sądziłem...

–Co?

– Że wybierzesz któregoś z kuzynów, z moich stryjów... Łączy cię z nimi bliższe pokrewieństwo...

– Oni do niczego się nie nadają. Ty jesteś najlepszy, Jack. Kochasz to miejsce, prawda? Widziałam to w twoich oczach.

Pokiwał głową.

– Jest jeszcze jedna sprawa... – dodała Carrie. – Spodziewam się, że zamieszkaż na farmie.

– Oczywiście. Z przyjemnością.

– Możesz zająć mały domek. – Nie spuszczała z niego oka. – Nie masz chyba innych planów, co?

– Innych planów... ?

– Ostatnio było mnóstwo ślubów. Żołnierze wracali do domu, do swych ukochanych. Myślałam nawet, że dzwony kościelne się pourywają. Nie masz tego rodzaju planów, Jack?

Oczami wyobraźni ujrzał Julię zbiegającą po urwisku prosto w jego ramiona.

– No cóż...

– Nie wierzę we wczesne małżeństwa.

Jack poczuł, że wkracza na śliski grunt. Carrie była kobietą trudną i nieobliczalną. Zaoferowała mu niezwykły dar i trzeba uważać, by wszystkiego nie zepsuć.

– Słyszałam, że widziano cię raz czy dwa z tą dziewczyną od Temperleyów.

– Z Julią? – Rzucił jej ostre spojrzenie.

– Jak już powiedziałam, nie wierzę we wczesne małżeństwa. Najczęściej nic z nich nie wychodzi. A poza tym słyszałam, że ta dziewczyna od Temperleyów jest... płocha.

– Płocha? – powtórzył, przypominając sobie Julię otoczoną wianuszkami adorujących ją mężczyzn podczas niedzielnego przyjęcia. I dłoń dziewczyny, dotykającą włosów Willa.

– To tylko pogłoska – dodała Carrie bez troski. – Trudno się opędzić od plotek. – Podała mu kieliszek. – Co powiesz, Jack?

Kiedy spojrzał na nią beznamiętnie, szepnęła:

– Sixfields, Jack.

– Zgoda, Carrie – wykrztusił ze ściśniętym gardłem, bo wydawało mu się, że w pokoju brakuje powietrza. – Zgoda.

– A więc wypijmy za nasze porozumienie. – Carrie uniosła kieliszek. – Wypijmy za Sixfields.

– Za Sixfields. – Jack wypił. Sherry była strasznie słodka i oblepiła mu gardło jak klej.

Wjechał na szczyt wzgórza i zsiadł z roweru. Oparł go o bramę i obejrzał się, by popatrzeć na dom.

Wszystko należy do niego. Wszystko. Dom, ziemia, pieniądze w banku. Jack zastanawiał się, ile tygodni czy miesięcy musi upłynąć, nim ta myśl przestanie go szokować i nie będzie już wprawiała jego serca w szaleńczy bieg. Wiedział, że testament Carrie może odmienić jego życie. Na razie będzie miał własne mieszkanie i sensowne zajęcie. A kiedy już odziedziczy...

Trzydzieści lat temu, gdy jego ojciec stracił wszystkie oszczędności w czasie Wielkiego Kryzysu, Chancellorowie musieli opuścić swój piękny, przestronny dom na północ od Bridport i przenieśli się do mieszkania przy

szkole. Jack do tej pory nie zapomniał tamtego upokorzenia. Musiał zmienić swój pokój na znacznie mniejszy, pomalowany, tak jak cała szkoła, na zielono i kremowo; czasem, gdy w internacie mieszkało więcej chłopców niż zazwyczaj, dzielił pokój z Willem. Pozostali uczniowie wiedzieli, że bracia nie płacą czesnego, ponieważ ich ojciec jest dyrektorem szkoły. „No i co, Chancellor, twoi starzy oszczędzają, jak mogą, prawda?” – szeptali po kątach. Jack nauczył się zamykać im buzie za pomocą własnych pięści, ale nigdy o tym nie zapomniał. Może i pieniądze szczęścia nie dają, ale mając trzynaście lat, rozumiał, jak podłe jest życie bez nich.

Szukając papierosa, przypominał sobie przebieg rozmowy z Carrie. „Zamierzam zapisać ci Sixfields, Jack”. Ręce mu drżały, gdy pstryknął zapalniczką. Pół tuzina stryjów i kuzynów bliżej spokrewnionych z Carrie mogło sobie rościć pretensje do spadku. Nagle Jack doszedł do przekonania, że Carrie Chancellor zmieni zdanie i zostawi majątek komuś innemu. Że nigdy nie napisze listu do adwokata. Że bawi się nim, kusząc go tym, czego Jack bardzo pragnie, tylko po to, by w odpowiedniej chwili zabrać mu Sixfields sprzed nosa.

Zamknął oczy i zaciągając się papierosem, próbował się uspokoić. Spokojnie, Jack, pomyślał. Jeśli będzie ostrożny, Carrie nie powinna zmienić zdania. Trzeba tylko dobrze rozegrać tę partię.

„Nie wierzę we wczesne małżeństwa, Jack”. Wczoraj, nim zasnął na rozgrzanym piasku, myślał, by poprosić Julię o rękę. Teraz wróciły doń poprzednie wątpliwości. „Słyszałam, że ta dziewczyna od Temperleyów jest płocha”. Jack czuł wczoraj, że Julia pożąda go wcale nie mniej niż on jej. Chciała mu się oddać i wiele wysiłku kosztowało go, by postąpić jak należy. Zaskoczyła go jej namiętność, zupełnie nieprzystająca do niezwyklej urody,

dzięki której sprawiała wrażenie kobiety nieprzystępnej. Julia się zmieniła. Nie była już tą samą niewinną dziewczyną, którą tu zostawił w 1942 roku.

Zaczął się zastanawiać, czy ktoś nauczył ją reagować w taki sposób. Czy w czasie jego nieobecności poznała jakiegoś mężczyznę? Podejrzliwość wzięła górę, gdy zaczął sobie przypominać fragmenty listów, które inni żołnierze dostawali podczas pobytu w północnej Afryce i we Włoszech. Listy od niewiernych żon: „Nie wiem, jak Ci o tym powiedzieć, Bert, ale spotkałam kogoś...”. Listy od sąsiadów, w których zapewnienia o bezinteresownej życzliwości kłóciły się z lubieżną żądzą sensacji wyłaniającą się z każdego niezbyt gramatycznego zdania. „Widziałam Twoją Annie w pubie z jakimś żołnierzem”. Jack raz jeszcze wyobraził sobie Julię, jej przymknięte oczy i rozchylone usta. Przyszło mu do głowy tylko jedno określenie: że Julia to łatwa dziewczyna. Łatwa.

Zgniół papierosa w trawie, upewniając się, że niedopałek zgasł. Potrzebował czasu, by wszystko przemyśleć. Potrzebował czasu, by oswoić się z niezwykłą propozycją Carrie. Wreszcie trochę opadło z niego napięcie. Tłumaczył sobie, że musi tylko poczekać. Poczekać, pilnując, by nikt nie kręcił się koło Julii. Poczekać, nie denerwując starszej pani. Carrie ma już prawie pięćdziesiąt lat, przypomniał sobie Jack, sama podkreślała, że jej zdrowie nie jest w najlepszym stanie. Nie wyglądała na osobę, która dożyje późnej starości. Jeśli poczeka, jeśli będzie ostrożny, zdobędzie i Julię, i Sixfields.

Upały nie ustępowały. Julia, która wolała zimę, ogień w kominku i Boże Narodzenie, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Po kolejnej kłótni z matką i nieudanej próbie dodzwonienia się do Jacka, snuła się po domu, unikając słońca.

Gdyby jeszcze Marius nie zniknął gdzieś tak niespodziewanie, myślała z irytacją, przekładając konika szachowego z kości słoniowej z ręki do ręki. Jak mógł wyjechać właśnie wtedy, gdy ona musiała z kimś porozmawiać. Po raz dwudziesty zastanawiała się, co też porabia brat. Topaz przekazała im wiadomość o telefonie Mariusa z Londynu i od tamtej pory słuch o nim zaginął. Julia nie mogła opanować ciekawości. Marius nie zwykł zachowywać się tak tajemniczo. Miała nadzieję, że brat robi coś ekscytującego – może organizuje wyjazd do teatru albo na krótkie wakacje. Strasznie dawno nie byli na wakacjach.

Julia powróciła myślą do wtorkowych wydarzeń. To był cudowny dzień: Jack ją pocałował i nie miała już wątpliwości, że ją kocha. Ale teraz, gdy stała przy oknie i plotła warkoczyki z frędzli firanki, uzmysłowiła sobie, że właściwie wcale nie mówił, że ją kocha. Przyznał się tylko, że miałby ochotę się z nią przespać i że robił to już z innymi kobietami, których nie kochał.

Ale przecież powiedział: „nasza przyszłość”, przypomniała sobie Julia. Leżąc na piasku w jego ramionach, sądziła, że chodziło mu o małżeństwo. Pół godziny później na plażę przyszła jakaś rodzina, pokrzykując z emocji podczas zejścia po stromiźnie. Obudzili Jacka i potem aż do końca był dziwnie zmęczony i zdezorientowany. Spóźnił się na jakieś spotkanie, pośpieszyli więc do domu prawie w milczeniu.

Następnego dnia czekała na jego telefon, ale nie zadzwonił. „Poszedł pomóc przy sianokosach w Skfields”, mówiła Prudence Chancellor, gdy Julia dzwoniła. Czterdzieści osiem godzin po rozstaniu z Jackiem pewność dziewczyny co do jego uczuć się rozplynęła. Teraz nękały ją wątpliwości. Czy powinna mu pozwolić na pocałunek? Czy powinna była okazać, jak bardzo go pragnie? Wspominając to wszystko, czuła niepewność i zakłopotanie. Czy mu

się nie narzucała? A może za mało się ceniła? Czy Jack nie stracił do niej szacunku?

Bardzo chciała przestać o nim myśleć. Problem polegał na tym, że wszyscy oprócz niej mieli coś ważnego do zrobienia. Marius załatwiał tajemnicze sprawy w Londynie, Jack pracował na farmie. Nawet Will był zajęty – zdaje się, że w garażu czy w warsztacie. Została jeszcze Topaz, ale przyjaciółka wyjedzie jutro lub pojutrze i Julia znów nie będzie miała co robić.

Po raz pierwszy przyznała się sama przed sobą, że tęskni za pracą. Nie sądziła, że to możliwe, ale tak właśnie było. Praca w rodzinnej firmie wyznaczała rytm dnia i sprawiała, że Julia czuła się częścią świata. Jako Julia Temperley, zarządzająca rodzinną firmą pod nieobecność brata, sporo znaczyła. Życie wielu ludzi – a nawet w pewnym sensie powodzenie wojny – zależało od jej sukcesów. Owa odpowiedzialność nierzadko ją przerażała, Julia często marzyła nawet, by Marius już wrócił i przejął ster w firmie. Bo poczucie odpowiedzialności czasami spędzało jej sen z powiek. Wtedy tęskniła do swego przedwojennego trybu życia: chciała mieć czas na jazdę konną, spacery z psami i wizyty u przyjaciół.

Jak długo można jednak spacerować i jeździć konno? Niektórzy spośród przyjaciół się przeprowadzili, od innych sama się odsunęła podczas wielomiesięcznej depresji po śmierci ojca. Większość z nich podjęła pracę zarobkową albo założyła rodziny. Nikt nie miał dla niej czasu. Od wielu tygodni Julii wydawało się, że nie dostrzega żadnego celu w swym pustym życiu. Brakowało jej kontaktów z ludźmi, które miała w firmie, i poczucia, że robi coś sensownego. Brakowało jej gimnastyki umysłu, wyzwań i emocji.

Bratu nie wspomniała nawet słowem o swych rozterkach. Domyślała się, że lepiej utrzymywać go w przekonaniu, iż z przyjemnością oddała mu swe

zajęcia. Wiedziała, że Mariusowi nie będzie łatwo przejąć ster w firmie po pięciu latach spędzonych w wojsku i nie chciała utrudniać mu tego jeszcze bardziej, budząc jakieś poczucie winy. A poza tym miała przecież Jacka, nieprawdaż? Skoro Jack wrócił, nie będzie czuła żadnej pustki. Tylko czemu nie dzwoni...

Warkot silnika samochodu, który podjechał właśnie pod dom, wyrwał Julię z zamyślenia. Wyrzała przez okno i uśmiechnęła się z ulgą, widząc brata za kierownicą. Chciała właśnie wybiec z domu i rzucić mu się w ramiona, gdy spostrzegła, jak podchodzi do tylnych drzwiczek i je otwiera. Z samochodu wysiadła jakaś młoda kobieta z dzieckiem w ramionach. Julia słyszała wyraźnie, że dziecko płacze.

Nie miała pojęcia, czemu Marius przywiózł tu tę dziwną kobietę z dzieckiem. I dlaczego ich nie uprzedził. To zapewne jakaś dawna przyjaciółka, którą spotkał w metrze i zaprosił na herbatkę...

Adela wyszła przed dom, żeby przywitać przybyłych. Julia wybiegła za matką.

Żar bił od żwirku, którym wysypany był dziedziniec. Dziecko zanosilo się od wrzasku. Marius miał posępną minę. Po chwili powiedział:

– Mamo, Julio, chciałbym wam przedstawić moją żonę, Suzanne. I moją córkę, Tarę.

Siedzieli w salonie przy herbacie. Ściślej rzecz biorąc, nad stojącymi na stoliku filiżankami z herbatą. Marius nawet nie tknął swojej, dłonie Adeli drżały, a jej filiżanka pobrzękiwała na spodeczku. A dziecko wyginało się nieustannie w ramionach matki i miało buzię czerwoną od płaczu. Julia wołała więc nie podnosić filiżanki w obawie, by nie rzucić nią w kogoś, najprawdopodobniej w brata.

Matka powtórzyła:

– Specjalne pozwolenie...

A Marius raz jeszcze wyjaśnił:

– To było najlepsze rozwiązanie. Załatwić wszystko jak najprędzej.

Zapadła bardzo długa cisza. Adela wzięła głęboki oddech.

– Nic nie wiedziałam... Gdybyś mi powiedział... – Próbowała najwyraźniej zebrać myśli. Potem zapytała cicho: – Pobraliście się w Londynie? Dzisiaj? – Marius pokiwał głową. – A dziecko? Czemu nie powiedziałeś mi nic o dziecku?

Chciał coś powiedzieć, ale wtrąciła się Suzanne.

– To moja wina, pani Temperley. Marius nic nie wiedział o Tarze. – Poprzez krzyki dziecka Julia wyraźnie słyszała londyńską wymowę swej bratowej. – Dowiedział się dopiero w poniedziałek. Nic mu nie mówiłam. To moja wina. No cicho, kochanie, no już. – Suzanne kołysała dziewczynkę bez przerwy. Na czerwonej twarzączce małej były czarne smugi. Z noska zwisały jej długie smarki. A na pupie miała wielką wilgotną plamę. Suzanne zwróciła się do Mariusa: – Gdybym mogła ją gdzieś przebrać, to chyba by się trochę uspokoiła. A wy moglibyście spokojnie porozmawiać.

– Ja ją wezmę. – Adela podeszła do Suzanne i wyciągnęła rękę.

– Pani Temperley...

– Musisz być bardzo zmęczona, Suzanne. A ja jestem przecież jej babcią.

– Głos Adeli drżał.

Suzanne w milczeniu podała jej dziecko. Ku przerażeniu Julii matka przytuliła brudne, rozwrzeszczane zawiniątko, jakby nie przeszkadzały jej ani mokra plama na pupie, ani zasmarkany nosek.

– Może raczej ja... – Marius nie dokończył zdania i wybiegł za Adelą.

Julia została więc sam na sam z Suzanne. Zastanawiała się, czy jest jakiś typ taktownej towarzyskiej konwersacji, którą można by zastosować w tej sytuacji.

Suzanne odezwała się pierwsza.

– Do licha, i na co mi to wszystko było potrzebne! – Udało jej się jakoś uśmiechnąć, podnosząc filiżankę. – Co za dzień!

– Tak? – W głosie Julii był chłód.

– Co za zamieszanie. Ten ślub. – Przełknęła łyk herbaty. Julia spostrzegła na twarzy bratowej lekki grymas.

– Może trochę cukru?

– Poproszę. – Suzanne miała właśnie zamiar nabrać cukru swoją łyżeczką od herbaty; Julia podała jej łyżeczkę z cukierniczki znaczącym gestem. Niewielka, żywa twarz bratowej, która już była bardzo blada, pobladła jeszcze bardziej.

Trochę herbaty wylało się na spodek. Gdy Suzanne podniosła filiżankę, parę kropelek kapnęło na indyjską serwetę.

– Mogę jakąś ściereczkę... ?

– Serwetkę – poprawiła ją Julia automatycznie, podając serwetkę.

Suzanne zagryzła wargi i osuszyła plamę. A potem popatrzyła Julii prosto w oczy.

– Wiem, co myślisz. Zapewne myślałabym to samo, gdybym była na twoim miejscu. Chyba nie wybrałabyś kogoś takiego jak ja na swoją bratową. Ale jestem nią, czy chcesz, czy nie, więc lepiej się do tego przyzwyczaić. I skoro mamy mieszkać pod jednym dachem, to przynajmniej, ze względu na Mariusa, mogłybyśmy się postarać zachowywać się wobec siebie uprzejmie, nie sądzisz?

Po raz pierwszy Julia uświadomiła sobie, jakie są konsekwencje mezaliansu brata. Podniosła się z miejsca.

– Pod jednym dachem? Ty pod moim dachem? Nigdy. – Zadrżała na całym ciele. – Nigdy! –I wybiegła z pokoju.

Skoro Jack do niej nie przyszedł, to musi go znaleźć. Wściekłość dodawała jej energii, gdy Julia pedałowiała krętą ścieżką przez zagajnik.

Gdy po dwudziestu minutach Jack otworzył jej drzwi, Julia rzuciła mu się w ramiona.

– Jack – zawołała i zalała się łzami.

W salonie podał jej chusteczkę, a Julia zdołała, łkając i chlipiąc, opowiedzieć o Mariusie, jego okropnej żonie i wrzeszczącym dziecku.

–I ta kobieta będzie mieszkać w Missencourt, Jack! W moim domu!

– W domu Adeli – poprawił ją.

Julia dobrze o tym wiedziała, Jack miał oczywiście rację, ale powtórzyła z uporem:

– To mój dom. Zawsze tam mieszkałam. – A potem, gdy nic jej nie odpowiedział, zawołała: – A gdzie ty byłeś, Jack? Czekałam na ciebie!

– Pomagałem przy sianokosach w Sixfields – mruknął. Najwyraźniej myślał o czymś innym i nie zwracał na nią uwagi.

Nagle powiedział:

– Zdarzyło się coś niezwykłego. Coś cudownego. Nikomu o tym jeszcze nie mówiłem. Moja kuzynka Carrie zamierza zapisać mi Sixfields. Dom, posiadłość, pieniądze – wszystko. Chce, żebym u niej pracował, żebym pomógł jej prowadzić farmę. – Głos Jacka był pełen emocji. – To wszystko, czego mi trzeba, Julio: praca, którą lubię, i mieszkanie. Będę mógł zamieszkać w małym domku. To rozwiązuje wszystkie moje problemy.

Julia uświadomiła sobie nagle, że to rozwiązuje wszystkie ich problemy. Poczła się znacznie mniej nieszczęśliwa.

– Przeprowadzę się tam z tobą, Jack – zaproponowała. – Możemy się chyba pobrać. Oboje zamieszkamy w Sixfields i nie będę musiała żyć pod jednym dachem z tą okropną kobietą.

Jack nie odpowiedział jej od razu, dodała więc:

– Wcale mi nie przeszkadza, że domek jest niewielki. Nieważne, gdzie będę mieszkać, ważne, że z tobą. A Missencourt będzie nie do zniesienia z tą kobietą.

– Julio, nie mogę się z tobą teraz ożenić – oznajmił Jack, a ona zamarła. – To znaczy...

– Nie możesz się ze mną ożenić? – wyszeptwała. Zawsze zakładała, że pewnego dnia ona i Jack się pobiorą. Zawsze.

– Nie teraz. – Uczynił jakiś dziwny gest.

Julia poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Jakby stała na brzegu morza i piasek osunął się nagle spod jej stóp. Straciła równowagę, runął cały jej świat.

– Och... – Otworzyła usta.

– Carrie nie pochwała wczesnych małżeństw – wyjaśnił pośpiesznie. – A ja nie chcę jej drażnić. Musimy tylko trochę poczekać, to wszystko.

Prawie go nie słuchała. Przypomniła sobie popołudnie na plaży i to, jak pofrunęła w jego ramiona.

– To nie ma znaczenia. To był głupi pomysł. – Zauważyła wyraz jego twarzy... Zakłopotanie i poczucie winy, które dostrzegła w jego oczach, spotęgowały jej upokorzenie.

– Julio... – Jack wyciągnął dłoń, próbując ją ułagodzić. – Chciałem tylko powiedzieć, że na razie nie możemy się pobrać. To chyba nie jest takie nierozsądne?

„To chyba nie jest takie nierozsądne... ”. Cofnęła dłoń.

– A więc powinniśmy poczekać, aż tobie będzie to pasowało? Jack się zarumienił.

– Nie o to mi chodziło.

– Doprawdy? – Zapragnęła głęboko go zranić. – Nie potrzebuję cię, Jack. Poradzę sobie bez ciebie. – Choć nie miała pojęcia, co robi, skoro nie chce zostać w Missencourt i nie może wyjść za Jacka. Wiedziała tylko, że musi za wszelką cenę uratować swój honor. –Kandydatów nie brakuje – dodała złośliwie, patrząc z przyjemnością, jak Jack podskoczył.

– Co masz na myśli?

– Wydaje ci się zapewne, że będę czekać całą wieczność.

– Czy pojawił się ktoś inny? – zapytał nagle. – Kiedy mnie nie było?

– A jeśli tak? Co cię to obchodzi? – Julia chwyciła swoje okulary przeciwsłoneczne leżące na stole.

–Kto?

– Och, na miłość boską... – Ruszyła do drzwi.

– Któryś z lotników z bazy? A może ktoś z miasta?

– To nie twoja sprawa – rzuciła z obrzydzeniem.

– Will... – Spojrzenie Jacka się zaostrzyło.

To jedno słowo zatrzymało ją nagle w połowie drogi. Obróciła się na pięcie.

– Co powiedziałaś?

– Że może nie jesteś zbyt drobiazgowa. – Jego słowa zmroziły ją jak lód. Patrzył na nią pogardliwie. – Że jeden z braci z powodzeniem zastąpi drugiego.

Julia uniosła dłoń, by wymierzyć mu policzek, ale chwycił ją za nadgarstek.

– Will jest dziesięć razy miłszy niż ty, Jack! – krzyknęła. – Dziesięć razy miłszy dla mnie! – Z satysfakcją spostrzegła, że jego opalona twarz poblądła. Cofnęła się o krok i powiedziała bardzo wyraźnie, lodowatym tonem:

– Zamieszkaj w Sixfields, jeśli tego chcesz. Mam nadzieję, że znienawidzisz to miejsce. Mam nadzieję, że będziesz tam nieszczęśliwy. Zasługujesz na to. Mam nadzieję, że będziesz tam tak samotny, nieszczęśliwy i szalony jak twoja kuzynka Carrie.

Julia była już w połowie drogi do Missencourt, gdy zeskoczyła z roweru, usiadła na skraju drogi i podciągnęła kolana pod brodę. Tym razem jednak się nie rozplakała, lecz zaczęła szperać w kieszeni, szukając papierosów i zapalek. Miała tylko jednego papierosa, ale nie wzięła zapalek, choć wydawały jej się w tym momencie ostatnią deską ratunku. Złożyła głowę na splecionych rękach i zamknęła oczy. Chciała wymazać z pamięci wyraz twarzy Jacka i wszystko, co sobie powiedzieli. Ze zdenerwowania pękała jej głowa.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, gdy usłyszała, że zatrzymuje się koło niej jakieś auto.

– Julio? – Usłyszała znajomy głos.

Podniosła wzrok i zobaczyła stary samochód Chancellorów.

– Witaj, Will.

– Dobrze się czujesz?

– Trochę mnie boli głowa.

– Mogę cię gdzieś podwieźć? Wracasz do Missencourt?

Pokręciła głową. Potem wstała i wsiadła do samochodu. Dostrzegła troskę w oczach Willa, ale nie była w stanie na razie nic nikomu wyjaśnić.

– Załaduję rower – zaproponował.

Julia siedziała na przednim siedzeniu z papierosem między palcami, a Will umieścił rower z tyłu. Potem zajął miejsce za kierownicą.

– Masz ogień, Will? Wyciągnął zapalniczkę.

– To mój ostatni papieros. Ale możemy się podzielić. – Podała mu papierosa. – Marius się ożenił. I ma dziecko. – Poczula się wyjąłowana z wszelkich emocji.

Will zakasłał i oddał jej papierosa.

– Marius? Ożenił się? Kiedy?

– Dzisiaj. W Londynie. – Uśmiechnęła się krzywo. – Jak w powieści, nie sądzisz?

Szeroko otworzył oczy.

– Poznałaś jego żonę?

– Poznałam obie. Przed chwilą. I byłam wobec niej strasznie niegrzeczna.

– Nigdy nie wspominał...

– Prawda?

– Wiedziałaś o tej kobiecie? Mówił coś o niej?

– Nawet słowem się nie zająknął.

– O, Boże. Jak ona wygląda?

– Ładna. Ale ma w sobie coś bardzo pospolitego. Chyba nie jest w jego typie.

– A dziecko?

– To dziewczynka. Tara. – Julia zrobiła dziwną minę. – Mogła ją przynajmniej jakoś normalnie nazwać. Bachor wrzeszczał przez cały czas. Działa mi na nerwy.

– Biedna Julia.

W głosie Willa było współczucie, a ona mało się nie rozplakała. Wcale nie życzyła sobie, by Will był dla niej miły, bo wtedy znów obudziłyby się w niej uczucia, a nie umiała im na razie sprostać. Woląa siedzieć i palić papierosa i mówić te wszystkie okropne rzeczy na temat Mariusa, jego nowej żony i córki.

– Podwieźć cię gdzieś? – zapytał, a ona pokiwała głową, przygryzając wargi.

– Chciałem się trochę przejechać – wyjaśnił. – Samochód potrzebuje trochę ruchu. Tylko nie za daleko, bo zżera strasznie dużo paliwa.

Aston martin terkotał, jadąc wiejską drogą. Po chwili Will powiedział:

– Niezła niespodzianka. Julia się zaśmiała ochryple.

– Można to tak nazwać – szepnęła. – Tylko że teraz już nic mi nie pozostało. – Ta myśl ją przeraziła.

Will rzucił jej niespokojne spojrzenie.

– Julio, dobrze wiesz, że to nieprawda.

– Ależ tak. Nie mam już Missencourt i nie mam firmy. – Mówiła niskim, zachrypniętym głosem, czuła się wykończona. – Brakuje mi mojej pracy, Will. Naprawdę. Choć wcale się tego nie spodziewałam. Nie przypuszczałam, że będę się tak czuć. I nie chcę mieszkać w Missencourt z Suzanne. Wiem, że to nieładnie, ale nie chcę.

– Może nie będzie tak źle – próbował ją pocieszyć. – Na razie jesteś w szoku. Może później ją polubisz.

Po obu stronach drogi rosły wysokie drzewa, blokujące dostęp słońca. Julia zauważyła, że liście kasztanowców już pożółkły, na znak zbliżającej się jesieni.

– Nie chodzi tylko o Mariusa. Ale też o Jacka. Właśnie się z nim widziałam.

– I... ?

– I poprosiłam, żeby się ze mną ożenił.

Will zahamował tak gwałtownie, że Julia musiała się chwycić deski rozdzielczej, żeby utrzymać równowagę. Samochód stanął w cieniu drzew.

– A co on powiedział?

– „Nie”. Powiedział „nie”! – wykrzyknęła Julia. – Co ja mam zrobić, Will? Co ja mam zrobić?

– No cóż... – Chwila pauzy. – Możesz wyjść za mnie. Julia się roześmiała.

– Will...

Rzucił jej niepewne spojrzenie.

– Dlaczego nie? Byłoby zabawnie.

– No wiesz...

Odwrócił się i popatrzył w stronę lasu. Julia paliła papierosa. Po chwili, gdy cisza stała się niezręczna, spojrzała na swego towarzysza.

Zaszokował ją ból, jaki spostrzegła w jego oczach.

– Will – powiedziała. – Nie chciałam... – Głos jej się załamał. – Nie sądziłam, że mówisz poważnie.

– Nie oczekiwałem, że się zgodzisz, nie przypuszczałem jednak, że się będziesz śmiać.

Julia poczuła się okropnie.

– Nie śmiałam się z ciebie, Will. Zaskoczyłeś mnie, to wszystko. – Gdy nie odpowiedział, dotknęła jego ramienia. – Przyjemnie mnie zaskoczyłeś.

Will się obejrzał.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Poczula, że naprawdę jest poruszona. – To bardzo miło z twojej strony – dodała łagodnie – ale wcale nie musisz się o mnie martwić. Nic mi nie będzie. Naprawdę. Nie musisz się nade mną litować.

– Wcale się nad tobą nie lituję. Nie dlatego zaproponowałem ci małżeństwo. – Chwytał kierownicę tak mocno, że aż pobiełały mu kłykcie. – Zaproponowałem ci to, bo cię kocham. – Na jej twarzy musiał się pojawić wyraz niedowierzania. – Czy tak trudno w to uwierzyć?

– Will...

– Myślałem, że chociaż ty jesteś inna – przerwał jej gniewnie. – Mam dość tego, jak traktują mnie rodzice. Ciągłe im się wydaje, że jestem dzieckiem. To mnie doprowadza do szału. Mam już dość bycia biednym Willem, który sam sobie nie poradzi i trzeba się nim opiekować. Myślałem, że chociaż z tobą jest inaczej.

Julia położyła rękę na jego dłoni.

– Kochany Will.

– Zawsze byliście razem. Ty i Jack. A ja tylko patrzyłem, zawsze byłem z boku. A potem Jack wyjechał i zrobiło się inaczej. Wydawało mi się, że mnie zauważyłaś. – Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. – A może tylko udawałaś? Żeby mieć zajęcie, póki Jack nie wróci?

Tym razem Julia się zdenerwowała.

– Jak możesz tak o mnie myśleć? Will wzruszył ramionami i powtórzył:

– Zawsze byliście razem. Ty i Jack.

– Ale to nie znaczy, że nie zależy mi także na tobie.

Rozpromienił się w okamgnieniu. A po chwili znów zapadł się w fotel kierowcy.

– Jak na... kimś w rodzaju brata... albo przyjaciela... kogoś, z kim miło się spędza czas... Ale nie czujesz wobec mnie tego, co czujesz do Jacka.

W ciągu paru ostatnich dni jej uczucia w stosunku do Jacka wahały się nieustannie: raz były źródłem radości, raz przyczyną nieszczęścia. W Henscombe chciała mu się oddać. Kiedy to sobie przypominała, zrobiło jej się gorąco ze wstydu.

Zapatrzyła się w korony drzew.

– Najczęściej jestem na niego zła i nieszczęśliwa z jego powodu. To chyba nie może być miłość, nie sądzisz?

– Ja cię kocham, Julio – powtórzył Will z zapalem. – Uwielbiam cię. Łzy napłynęły jej do oczu. Tym razem łzy ulgi. Że ktoś ją kocha, że komuś na niej zależy i stawia ją na pierwszym miejscu.

– Przecież dobrze się razem bawimy, prawda?

Przypomniała sobie, jak Will starał się ją pocieszyć po śmierci ojca.

– Bardzo dobrze – uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Pamiętasz, jak poszliśmy na tę okropną, pantomimę?

– Dekoracje się przewróciły...

– I jak się zgubiliśmy, wracając z pikniku, bo ktoś zabrał znaki...

Niewiele brakowało, a przestałyby panować nad swoim śmiechem.

– Bardzo mi cię brakowało w tym tygodniu – wyznał Will. Otoczył ją ramieniem i przygarnął ku sobie. Jak miło jest w jego towarzystwie, pomyślała Julia. Jak zabawnie i normalnie.

– Wyjdź za mnie – szepnął.

Jego usta musnęły jej policzek.

O wiele później myślała sobie, że wyszła za niego, bo była zbyt zmęczona, by się spierać. Dlatego, że w ciągu tego popołudnia wszystko, o czym była przekonana, rozplynęło się we mgle i pozostał tylko chaos. Cały świat Julii runął w posadach: Jack, Marius, Will – żaden z nich nie okazał się tym, za kogo go miała.

Zastanawiała się, co jest ważniejsze: kochać czy być kochaną? Pragnęła być kochaną. Straciła ojca, straciła Missencourt, straciła Jacka. Kiedy więc Will wyszeptał:

– Proszę cię, Julio, będzie tak wspaniale... – zgodziła się w końcu.

Nazajutrz Prudence odwiozła Veronicę i Topaz na stację kolejową.

– Przepraszam, że było tyle zamieszania – powiedziała. –I za te sceny.

Nie znoszę scen.

Kiedy wieści o małżeństwie Mariusa i zaręczynach Julii się rozniosły, zarówno w domu obok szkoły, jak i w Missencourt słychać było trzaskanie drzwiami, podniesione głosy i wybuchy płaczu.

– Zapewne zobaczymy się na weselu. Choć nie sądzę, by miała to być huczna impreza, prawda, Prudence?

Prudence nerwowo zmieniła bieg.

– Zamierzają się pobrać, gdy tylko zapowiedzi zostaną odczytane trzy razy.

– Aha... – Na twarzy Veroniki pojawił się znaczący uśmiezek.

– Chociaż nie ma żadnego powodu do pośpiechu. – Twarz Prudence się zaróżowiła.

Na stacji Prudence ucałowała je obie na pożegnanie i ruszyła z powrotem do domu. Topaz machała wytrwale, dopóki samochód nie zniknął w oddali.

Pogoda się załamała, a szare chmury zapowiadały deszcz. Topaz nie poszła z matką do toalety, ale czekała na zewnątrz, przysiadłszy na ławce z rękami w kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego.

Po paru minutach spostrzegła jakiś samochód. Auto zatrzymało się przed stacją i wysiadł z niego Marius.

– Dzięki Bogu, że zdążyłem. Chciałem się pożegnać. Coś ci przyniosłem.

– Marius podał jej paczuszkę. – Zamiast przeprosin za kino.

– Co to jest?

– Możesz to otworzyć w pociągu.

Topaz wsunęła prezent do kieszeni, a potem powiedziała:

– Nie miałam okazji, by ci pogratulować, Marius. Z powodu małżeństwa i córeczki. – Pocałowała go w policzek. – Tara. Bardzo piękne imię.

– Zdaje się, że to ma coś wspólnego z jakimś filmem. Z ulubionym filmem Suzanne.

– „Przeminęło z wiatrem”. – Topaz oglądała ten film pięć razy. – To nazwa domu Scarlett O'Hary.

– Aha. – Marius był wyraźnie zakłopotany.

– Wszystko będzie dobrze, Marius. Na pewno. Będziesz taki szczęśliwy.

– Rzecz w tym, że wcale ich nie znam... – zaczął, ale przerwał i uśmiechnął się smętnie. – Będę się cieszył, gdy wszystko jakoś przycichnie. Biedna mama.

– Domyślam się – wtrąciła Topaz. – Skoro oboje naraz zdecydowaliście się na małżeństwo.

Jego twarz się zachmurzyła.

– Próbowałem porozmawiać z Julią, próbowałem ją powstrzymać, ale nie chce mnie słuchać. Matka też próbowała, lecz to Julię jeszcze bardziej utwierdziło w jej zamiarach.

– Twoja mama nie chce, żeby Julia wyszła za Willa?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie chce.

– Dlaczego?

Deszcz padał coraz mocniej; na poboczu zaczęły się tworzyć kałuże.

– Dlatego, że Julia go nie kocha – wyjaśnił Marius z ponurym obliczem.

– Po co zaczynać wszystko bez miłości, jeśli może być inaczej?

Nadjechał pociąg. Marius pomógł im umieścić bagaże w wagonie. Topaz uścisnęła go serdecznie i wsiadła do pociągu.

Wagon był zatłoczony, ale ktoś ustąpił Veronice miejsce przy oknie, a Topaz usiadła między korpulentnym dżentelmenem w meloniku a tęgą damą, trzymającą na kolanach pekińczyka.

Zawsze czuła się przygnębiona, gdy stąd wyjeżdżała, tym razem jednak jej smutek był dużo głębszy. Czuła się fatalnie. Jakby świat zaczął się kręcić bez niej. Jakby została w tyle. Miejsce, które tak dobrze знаła, ludzie, których tak kochała, nie będą już tacy jak przedtem. Stali się jej prawie obcy, trudni do rozpoznania.

Przyciskając łokcie do siebie, by nie przeszkadzać współpasażerom, rozwinęła paczuszkę, którą podarował jej Marius. Były w niej trzy tabliczki czekolady i karteczka z napisem: „Żebyś już nie musiała całować pułkowników. Twój Marius”.

Schowała czekoladę i karteczkę do kieszeni. Pociąg odjeżdżał właśnie ze stacji, poświstując i buchając parą. Zerwała się z miejsca. Gdy otwierała drzwi

przedziału, usłyszała westchnienie matki: „Ależ Topaz”. A potem pobiegła korytarzem, zaglądając w każde okno.

Lecz Marius już odjechał, a Missencourt zniknęło za drzewami i ścianą deszczu. Piersi dziewczyny kołysały się w rytm biegu, przypominając jej o dojrzewającym, niezręcznym ciele. Po chwili zwolniła i stanęła przy oknie, patrząc na oddalający się krajobraz.

Jej oddech zamglił szybę. Czubkiem palca napisała swoje imię na szkle. Zatrzymała się na chwilę z wyciągniętym palcem i dodała jeszcze jedno imię. Potem błyskawicznym ruchem zmazała wszystko i wróciła do swego przedziału.

RS

CZEŚĆ DRUGA

Pałac z lodu

1946–1949

RS

4

Panie Brooke zamieszkały na pierwszym piętrze w Bayswater, przy Cleveland Close, cichej, półkolistej uliczce, dziesięć minut od Kensington Gardens. Okna pokoju Topaz wychodziły na niewielki skwer porośnięty trawą i drzewami. Jesienią z topoli spadały liście, by utworzyć miękki dywan na trawniku.

Nowe mieszkanie było znacznie mniejsze niż przedwojenne. Meble, wydobyte z magazynu, wyglądały dość dziwnie w nowych wnętrzach. Ciężkie cedrowe skrzynie i bogato rzeźbione stoliki, pamiętające dziewczęce lata pani Brooke, spędzone w Indiach, okazały się zbyt ciemne i zbyt surowe, by pasować do delikatnych arabskich stiuków na suficie. Veronica nie kryła rozczarowania tym mieszkaniem, ale też była rozczarowana wszystkim: mężczyznami, życiem oraz córką.

Topaz przesuwała meble po pokojach, starając się uzyskać lepszy efekt, matka zaś siedziała na sofie i paliła. Zaczęli się pojawiać przedwojenni znajomi: przyjaciele Veroniki posiwiali i stali się ubożsi, przyjaciółki Topaz zmieniły się nie do poznania – zamiast warkoczyków i posiniaczonych kolan miały loki i przypudrowane buzie.

Znajomi Veroniki współczuli jej, że musi mieszkać w mniejszym mieszkaniu.

– Choć w pewnym sensie będzie ci dużo łatwiej – powtarzali. –Dziś tak trudno o pomoc domową.

Dorothy Blanchard poznała Veronicę przed wojną, ich córki były rówieśniczkami. Joyce Blanchard uważała się za przyjaciółkę Topaz. Veronica

i Dorothy sączyły gin z cytryną i grały w karty, wysławszy dziewczęta na spacer.

– Chodzi im o to, żeby swobodnie rozmawiać o seksie – wyjaśniła Joyce pewnego jesiennego, chłodnego popołudnia.

– Skąd wiesz? – Krążyły wokół sadzawki; ostry wiatr zmarszczył tafłę wody i gonił fale tam i z powrotem.

– Podśluchiwałam pod drzwiami.

Joyce Blanchard miała proste włosy koloru marmolady i gładką, piegowatą cerę. Jej jasne oczy nieokreślonego koloru wydawały się jeszcze mniejsze za szklami okularów. Joyce lubiła robić wiele rzeczy ukradkiem, a jej skłonność do nielojalności sprawiała, że Topaz zachowywała się w jej towarzystwie z wielką rezerwą.

Tym razem jednak ciekawość przeważała.

–I co mówiły?

– Rozmawiały o waszej pomocy domowej. O pani Hemmings. Tylko że ona wcale nie jest panią Hemmings.

– Chcesz powiedzieć, że nazywa się jakoś inaczej? – Topaz niewiele rozumiała.

– Coś ty, głupia. – Joyce nie przebierała w słowach. – Chodzi o to, że ona jest panną Hemmings.

Topaz chciała już powiedzieć, że pani Hemmings musi być jednak panią Hemmings, skoro ma małego synka, ale w porę ugryzła się w język, przeczuwając, że się tylko skompromituje. W końcu Suzanne też była panną, gdy urodziła Tarę.

– Miała romans w czasie wojny – ciągnęła Joyce, zniżając głos, jakby w krzakach róż mógł się ktoś kryć – z amerykańskim żołnierzem. Z czarnym

amerykańskim żołnierzem. – Spojrzała triumfalnie na Topaz. – Dlatego jest pomocą domową. Mama mówi, że i tak ma dużo szczęścia. To okropne, prawda?

Topaz pokiwała głową.

– Tyle odkurzania. Mnie odkurzacz zawsze wciąga to, czego nie powinien, guziki, monety, a kurz zostaje tam, gdzie był.

– Chodziło mi o to, że to okropne mieć dziecko, a nie mieć męża.

– Pewnie tak. – Topaz wsunęła ręce do kieszeni i zastanawiała się, czy nie nadeszła już pora podwieczorku i czy nie mogłyby wrócić do domu. Joyce obrzuciła ją raz jeszcze swoim bezbarwnym spojrzeniem.

– Chyba wiesz, jak to robią ptaszki i pszczołki, prawda?

– Jasne – rzuciła Topaz.

Zapadła cisza. Po chwili tamta dodała:

– Koleżanka w szkole mówiła mi, że to trzeba robić przez całą godzinę. – Ton Joyce się zmienił. Dziewczęta zmieszały się i przyśpieszyły kroku, idąc przez trawnik w stronę Porchester Terrace.

Prawdę mówiąc, pomyślała Topaz następnego dnia, stojąc w kolejce do rzeźnika, to jej wiedza na temat tego, jak to robią ptaszki i pszczołki, była dość powierzchowna. Matka nigdy z nią o takich sprawach nie rozmawiała. Syn ogrodnika w hotelu nad jeziorem wyjaśnił jej dość oględnie to, co kobieta i mężczyzna robią w czasie nocy poślubnej, Topaz podejrzewała jednak, że jego wiedza jest także wyłącznie teoretyczna. Zaczęła się zastanawiać, czy nie zagadnąć o te sprawy Julii, która była już przecież mężatką.

Kolejka posuwała się do przodu bardzo powoli. Topaz przeglądała swoją przydziałową książeczkę, by sprawdzić, czy wystarczy jej kuponów na kotlety jagnięce, zastanawiając się, dlaczego ślub Julii był tak strasznie smutny. Może

to dlatego, że chleb wciąż sprzedawano na kartki, a uroczysty napis, który powinien się znaleźć na torcie, został wykaligrafowany na pomalowanym na biało kartonie albo też dlatego, że szampan, który załatwił, Bóg wie jak, Maurice Chancellor, okazał się kiepski. W każdym razie wszyscy tak usilnie starali się być szczęśliwi i pogodni, że najwyraźniej bardzo ich to wyczerpało. Nieobecność Jacka nie poprawiła nikomu nastroju, choć Topaz przeczuwała, że jego obecność zepsułaby atmosferę uroczystości jeszcze bardziej.

Kotlety jagnięce skończyły się, nim doszła do lady, więc kupiła karkówkę. Gdy wracając do domu, skręciła w Cleveland Close, spostrzegła, że zmierza ku niej ktoś znajomy. Ucieszyła się ogromnie, rozpoznając Mariusa, uśmiechnęła się, pomachała ręką i pobięła mu na spotkanie.

– Nie uprzedziłeś mnie, że przyjedziesz!

– Musiałem coś załatwić w ministerstwie i nie wiedziałem, jak długo to potrwa. – Pocałował ją w policzek.

W pobliskiej kawiarence Marius zamówił ciastka i herbatę.

– Jak się miewa Tara? – zagadnęła Topaz.

– Świetnie. – Podał swej towarzyszce cukiernicę. Potem zmarszczył brwi i całkiem niespodziewanie dodał: – Strasznie krzyczy, gdy tylko do niej podchodzę. Pozwala mojej matce brać się na rękę, a mnie nie. Nie miałem pojęcia, że tak to będzie wyglądało.

– Zdaje się, że po prostu nie przywykła do mężczyzn.

– Ale ja jestem jej ojcem. – Rozzłościł się nagle. – Nie mam nic przeciwko temu, by wrzeszczała na widok rzeźnika, piekarza czy szewca. Ale nie chcę, żeby darła się za każdym razem, gdy mnie widzi.

– To musi być... bolesne.

Mariusz nie odpowiedział.

– A Suzanne? Jak ona się miewa? – ciągnęła Topaz.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Czekała, aż Marius powie coś jeszcze, ale milczał. Spytała więc znowu:

– A co u Julii i Willa?

– Wciąż szukają jakiegoś lokum.

– W szkolnym mieszkaniu musi być dość ciasno.

– Jack się wyprowadził... – Marius wzruszył ramionami. – Julia i Will mogliby zresztą zamieszkać w Missencourt. Mamy mnóstwo pokoi.

– Oczywiście.

– Obawiam się, że nasze życie to wielki chaos – powiedział cicho, ale po chwili trochę się otrząsnął. – A co u ciebie, Topaz? Podoba ci się w Londynie? Co porabiasz?

– Przeważnie stoję w kolejkach. Nasza pomoc domowa przychodzi tylko na parę godzin, więc ja robię zakupy wtedy gdy ona sprząta i pierze.

– Nie brzmi to najwspanialej.

– Och, nie jest tak źle. Chociaż chciałabym, żeby już wszystko znów było prawdziwe, a nie na niby.

– Co masz na myśli?

– Na przykład tort Julii. Karton zamiast napisu. I ten niby—marcepan. Kasza manna zamiast migdałów. – Topaz zdjęła lukier ze swego ciastka i zwinęła go w kulkę. – Poza tym muszę chodzić na imprezy – zwierzyła się. – Coś okropnego, Marius. Zawsze jest bufet i ktoś, kto patrzy, czy nie zrzucisz czegoś na podłogę. A ja stale coś zrzucam. Zawsze są tańce. Ale nikt mnie nie prosi. I jeszcze te szarady, i zabawy... – Topaz wzniosła oczy do nieba. –... No naprawdę, Marius. Czy wyobrażasz sobie, jak się bawię w sardynki i ładuję do

szafy? Mam przecież siedemnaście lat – westchnęła. – Chyba fajnie jest być dorosłym i nie musieć już robić tych wszystkich nudnych rzeczy.

– Dorośli muszą robić inne nudne rzeczy. Na przykład chodzić do pracy i płacić podatki.

– No tak. – W głębi ducha Topaz wolałaby jednak chodzić do pracy; wówczas miałyby przynajmniej swoje pieniądze.

Mariusz zapytał ją jeszcze o matkę.

– U mamy wszystko w porządku.

– Wraca do dawnych zwyczajów?

– Mhm. Pojawiają powoli wszyscy jej adoratorzy. Muszę przyznać, że się cieszę, że znam ciebie, Willa i Jacka. Wielbiciele mamy nie są najlepszą reklamą męskiego rodu. A – Topaz wzięła jeszcze jedno ciastko – na imprezy przychodzą chłopcy. Kawalerowie do wzięcia. No więc nigdy nic nie wiadomo, prawda? Może spotkam miłość mego życia.

Na przyjęciu w St John's Wood nie spotkała wprawdzie miłości swego życia, poznała jednak Francescę Lovatt. Gdy po jedzeniu jedna z matek klasnęła w dłonie i zaproponowała szarady, Topaz, usprawiedliwiając się potrzebą przypudrowania nosa, wyszła z domu tylnymi drzwiami.

Ogród był długi, wąski i otoczony murem. Topaz minęła grządki warzywne i zardzewiałe szczątki altany. Na końcu posesji obok sterty kompostu stała szklarnia. Niebo było usiane gwiazdami; Topaz drżała z zimna w swojej wieczorowej sukience z bufiastymi rękawami, podskoczyła więc kilka razy, rozcierając nagie ramiona. Wtedy uświadomiła sobie, że w szklarni siedzi jakaś dziewczyna i paląc papierosa, przygląda się jej z uwagą. Poczuli się dość idiotycznie i otworzyła szklane drzwi.

– Czy tu jest cieplej?

– Trochę. Zamknij drzwi, jeśli chcesz wejść.

W szklarni było duszno i pachniało stęchlizną. Ziemia była zasłana jakąś zbutwiałą słomą. Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Jesteś przyjaciółką Joyce Blanchard.

– Znajomą – poprawiła ją Topaz. – Joyce jest tylko moją znajomą. Nazywam się Topaz Brooke.

– Francesca Lovatt. – Wypuściła kłęb błękitnego dymu.

– Co tu robisz?

– Palę, jak widać. – Podała Topaz paczkę papierosów. – Chcesz? Topaz wzięła papierosa i usiadła koło Franceski na stosie worków. Nowa znajoma zapaliła zapalniczkę.

Topaz znów zadrżała.

– Zimno tu.

– Lepsze to niż szarady – mruknęła Francesca.

– Mogłybyśmy rozpalić ognisko.

– Ciekawe z czego?

– No cóż... – Topaz rozejrzała się dookoła –... na przykład z tych patyków.

W jednym rogu szklarni leżał stos gałązek, niektóre z nich podpierały wysuszone, brązowe krzaki pomidorów.

Dziewczęta połamały gałązki i zapaliły ogień zapalniczką Franceski. Francesca wyciągnęła rękę, by je ogrzać nad ogniem. Wyprostowała długie palce. Była wysoka i szczupła, miała pociągłą, szczupłą, inteligentną twarz i długie, piękne brązowe włosy. Skórę wokół powiek naznaczyły dziwne, maleńkie zmarszczki, tak że oczy dziewczyny wydawały się starsze niż ona sama.

– Zawsze myślałam, że jestem jedyną osobą, która nie znosi przyjęć.
– Mnóstwo ludzi nie znosi przyjęć.
– Ładne dziewczyny je lubią. Tak mi się przynajmniej wydaje, skoro wszyscy chcą z nimi tańczyć.

Francesca zmierzyła ją wzrokiem.

– To i tak nie ma znaczenia, nie sądzisz? – rzuciła pogardliwie. – I tak nie chciałabyś chyba wyjść za żadnego z tych chłopców, prawda? A przecież tylko o to chodzi.

– Nie chcesz wyjść za męża?

– Moje siostry są mężatkami i małżeństwo mnie raczej zniechęca.

– A ile masz sióstr?

– Trzy

– Szczęściara – pozazdrościła jej Topaz. Dorzuciła ostatnią gałązkę do ognia. – Jeśli nie wyjdiesz za męża, to co będziesz robić?

– Znajdę sobie pracę. Chciałabym pracować w teatrze.

¹ Ogień dogasał, w szklarni znów zrobiło się zimno. Topaz wzięła garść słomy i rzuciła ją na żarzące się resztki gałązek. Rozległ się syk i płomienie buchnęły aż po szklany sufit. Iskry osiadły na drewnianych podporach szklarni i na suchych liściach pomidorów, które rozsypały się w pył.

Francesca zdusiła płomienie jutowym workiem.

– Miałam zamiar – ciągnęła, depcząc po żarzącej się słomie – wziąć gazetę. – Trochę się zadyszała. – Mogłybyśmy przynajmniej przejrzeć ogłoszenia.

Topaz się uśmiechnęła. Czarne resztki słomy kołysały się w powietrzu.

– To prawda. Mogłybyśmy.

Marius pomyślał, że gdyby ktoś kazał mu jednym słowem określić swoje małżeństwo, to jego wybór padłby na wyraz: „uprzejmość”. Oboje z Suzanne byli dla siebie nieprawdopodobnie uprzejmi. Ciągłe pytali się nawzajem, jak minął dzień, jak zdrowie. Marius podejrzewał, że Suzanne męczy się tym tak samo, jak on.

Nie próbował jednak przełamać bariery uprzejmości, ponieważ bał się tego, co się za nią kryje. Gdyby zamknął oczy i zapytał, co czuje Suzanne, mógłby się dowiedzieć, co ona sądzi o tym małżeństwie, którego żadne z nich nie chciało. Pozostawało mu tylko zacisnąć zęby, mówić to, co należy, i zapomnieć o pokrewieństwie dusz, choć, obserwując ojca i matkę, sądził kiedyś, że to nieodłączna część każdego małżeństwa.

Tylko w łóżku odnajdywali intymność. Tam sobie przypominał, dlaczego zaczął jej szukać sześć miesięcy temu. Porozumiewali się dobrze jedynie wtedy, gdy nie były potrzebne słowa. Tylko w łóżku Suzanne odzyskiwała wrażliwość i brawurę, a on, wyczerpany i podniecony, pozbywał się wszelkich trosk i zmartwień.

Ale potem, gdy namiętności były już zaspokojone, Suzanne obracała się na wznak i patrzyła w sufit, a on pytał: „Czy było ci dobrze, kochanie?” tonem tak sztucznym i obojętnym, jakby grał w jakimś kiepskim filmie. A ona ograniczała się do jakiegoś sztampowego zapewnienia, zamykała oczy i mówiła, że jest bardzo zmęczona. Marius wiedział jednak, że leżała czasem nawet godzinę bezsennie. Trwali obok siebie w milczeniu, starając się nie przeszkadzać sobie nawzajem.

Marius często myślał o tym, jak bardzo Suzanne różniła się od młodej kobiety, którą poznał w Northumberland. Energia i radość życia, które go w niej tak pociągały, zniknęły bez śladu, a na ich miejscu pojawiła się dziwna

czujność, zupełnie jakby Suzanne coś ukrywała, jakby specjalnie zataiła część własnej osobowości. Przypuszczał, że wszystkie te zmiany są rezultatem jej bolesnych doświadczeń. Udało mu się poskładać z półsłówek historię życia żony w ciągu dwóch ostatnich lat. Gdy opuściła swój oddział, rodzina nie chciała jej przyjąć do domu, wynajmowała więc umeblowane pokoje i miała się każdej pracy. Marius nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak się czuła, gdy urodziła dziecko, będąc samotną i nie mając żadnego wsparcia ani źródeł utrzymania. Przyszło mu do głowy, że mogła rozważać oddanie Tary do adopcji, ale nie miał odwagi o to zapytać. Domyślał się, że ogrom odpowiedzialności i poczucie potępienia przez społeczeństwo skrajnie ją wyczerpały, pozbawiając entuzjazmu i spontaniczności, którymi go niegdyś urzekła. Powtarzał sobie, że z czasem wszystko się jakoś ułoży, ale po trzech miesiącach małżeństwa nie dostrzegł poprawy. Czasem widział, jak Suzanne spaceruje po ogrodzie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrząc na drzewa i krzaki tak, jakby czuła się ich więźniem; jakby Marius, zabierając je obie do Missencourt, skazał ją na więzienie.

Nie umiała się przystosować do życia w Missencourt, nie radziła sobie z codziennymi obowiązkami. Próbowwała pomóc Adeli w ogrodzie, ale nie potrafiła odróżnić chwastów od młodych pędów sadzonek i była zaskoczona, że rośliny hoduje się tak długo. Zaszokował ją także fakt, że autobus do Dorchester odjeżdża tylko dwa razy dziennie i że do najbliższego przystanku trzeba iść prawie półtora kilometra. Prawdziwym przerażeniem napełniał ją natomiast fakt, że w Missencourt posiadano prywatny generator elektryczności i prywatny zbiornik gazu.

Gdy Marius po raz pierwszy zaproponował jej wspólny, niedzielny spacer, zapytała: „Dokąd?”, a gdy wyjaśnił, że przejdą się po prostu po polnych

drogach, powtórzyła swoje pytanie: „Ale dokąd, Marius?”. Zdumiała ją myśl, że można chodzić bez konkretnego celu. Wybrała się z nim jednak, omijając uważnie każde krowie łajno i stawiając duże kroki, by nie wpaść w błoto czy kałużę. Marius miał poważne wątpliwości, czy ta przechadzka sprawiła Suzanne jakąkolwiek przyjemność. Dopiero nad brzegiem morza zainteresowała się krajobrazem i była wyraźnie poruszona. Gdy stanęli na skale, by spojrzeć na Kanał, Marius ze zdumieniem zauważył łzy w jej oczach. Tłumacząc, że to z powodu wiatru, mrugała i ocierała szybko oczy, ale Marius wahał się, czy jej uwierzyć. Potem zaczęła go wypytywać o inwazję na Francję. Czy samoloty przelatywały nad tą skałą? Gdzie wsiadł na statek i gdzie wylądował? Jak to wszystko wyglądało? Marius zauważył, że odpowiada jej na te powtarzane dość często pytania znacznie swobodniej niż komukolwiek innemu. Nie wyjawiał jej, oczywiście, wszystkiego, bo nikt nie zniósłby szczegółów tej historii. Gdy wracali do Missencourt, poczuł, że zaczęli się zbliżać do siebie.

Nowy nastrój prysł, gdy tylko weszli do domu. Tara obudziła się właśnie z popołudniowej drzemki, bardzo niezadowolona, więc Suzanne poszła ją uspokoić i wróciła już w całkiem innym stanie ducha, roztargniona i nieobecna. To dziecko było wprawdzie przyczyną ich pośpiesznego małżeństwa, ale Tara bardziej ich dzieliła, niż zbliżała. Po trzech miesiącach spędzonych w Missencourt wciąż nie akceptowała Mariusa, nadal traktując go jak kogoś przerażającego i obcego. Jej wrzaski zakłócały spokój panujący w domu. Fakt, że go tak zdecydowanie odrzucała, ranił, męczył i irytował Mariusa. W wojsku natrafiał czasem na stawiających opór podwładnych i autokratycznych przełożonych, w firmie zaś musiał sobie radzić z trudnymi klientami i wymagającymi biurokratami. Nikt jednak nie potrafił dotknąć go tak bardzo jak Tara. Suzanne zapewniała go bezustannie, że to tylko kwestia

czasu, ale Marius czuł, że nawet ona przestała mieć nadzieję, iż coś się zmieni. Wprawdzie dzięki miesiącom spędzonym na wsi Suzanne nie była już taka blada, ale niesłuchanie absorbujące dziecko bardzo ją męczyło. Rzadko spała całą noc bez przerwy. Zmęczenie dawało o sobie znać, rzeźbiąc cienie pod jej oczami i zaostrzając ton jej głosu.

Tara, Bogu dzięki, zaakceptowała Adele. A może chodziło po prostu o to, że pani Temperley wiedziała, jak z nią postępować? Marius nie miał bowiem o tym zielonego pojęcia. W najczarniejszych chwilach zastanawiał się, czy to, że córeczka go nie akceptuje, nie wiąże się z jakąś jego istotną acz nieujawnioną do tej pory wadą charakteru. Może dziewczynka, jako jedyna osoba na tym świecie, przejrzała go i wydobyła na jaw całą prawdę o nim.

Nagłe pojawienie się Suzanne i Tary było zrazu wielkim szokiem i rozczarowaniem dla Adeli. Od pewnego czasu jednak matka wydawała się szczęśliwsza niż podczas ostatnich miesięcy. Jej kroki odzyskały sprężystość, w oczach błyskało czasem zadowolenie. Gdy Marius zdobył się wreszcie na odwagę i zapytał Adele o opinię na temat Suzanne, powiedziała:

– Wygląda na rozsądną dziewczynę.

A ponieważ rozwaga była cechą, którą matka ceniła najwyżej, Marius odetchnął z ulgą i się rozpromienił.

Akceptacja Adeli równoważyła w pewnym sensie niesłabnącą wrogość Julii. Od czasu swego zamążpójścia siostra zjawiała się w Missencourt rzadko i na krótko. Gdy Marius próbował przetrwać milczenie Suzanne, krzyki Tary i wrogość Julii, czasem wzbierał w nim gniew, którego się wstydził, ale z którym nie potrafił sobie poradzić.

Topaz znalazła popołudniową pracę u historyka, który nazywał się Rupert de Courcy i mieszkał na Russell Square. Rupert de Courcy nie

zasługiwał na tak wyszukane nazwisko: był łysawy i siwy, nosił workowate, tweedowe ubrania i miał żenujący obyczaj przerywania wypowiedzi w połowie zdania, by zapatrzeć się w dal, postukując palcem wskazującym w przednie zęby.

Topaz pracowała popołudniami, by rano móc chodzić na zakupy. Otrzymywała typowe, biurowe zadania: archiwizowanie danych, prowadzenie korespondencji, pisanie na maszynie. W klawiaturę stukała dwoma palcami, z wielkim mozołem, a po miesiącu udało jej się jakoś zgłębić tajniki archiwizowania. „Odsyłacze, panno Brooke, odsyłacze” – powtarzał zirytowany pan de Courcy. Pisała więc pracowicie ołówkiem odsyłacze i wsuwała je do katalogów. Czasem, gdy otwierała pękate skoroszyty, kartki spływały na podłogę, tworząc białą–szarą gmatwaninę.

Sen z powiek spędzała jej jednak sprawa Legatu. Rupert de Courcy był administratorem charytatywnej fundacji edukacyjnej, zwanej Legatem Mallinghama. Pod szumną nazwą kryło się niewiele. Fundacja co roku przydzielała jakieś psie pieniądze różnym ubogim naukowcom, którzy spełniali skomplikowane kryteria. Jednym z warunków było studiowanie historii na uniwersytecie. Wyciągi bankowe i listy, zawierające dokładne sumy, które zostały wypłacone, nadchodziły z przerażającą regularnością. Topaz miała odnotowywać te sumy i sprawdzać saldo pod koniec każdego miesiąca. Nie wiedziała jednak, w które kolumny należy wpisywać dane, a poza tym nie miała pojęcia, na czym ma polegać sprawdzanie salda. Nic jej się nigdy nie zgadzało. Po paru bezowocnych podejściach zaczęła więc chować korespondencję dotyczącą Legatu na półce z książkami, za „Historią Northamptonshire”. Wiele lat później na samo wspomnienie o tym sumienie ją gryzło.

Wieczorami Topaz najczęściej umawiała się z Francescą w kawiarni na Leicester Square. Spotykały się tam w nadziei, że blask okolicznych teatrów wreszcie na nie podziała. Na razie jednak nic się nie wydarzyło. Od czasu do czasu jakieś piękne i elegancko ubrane towarzystwo wpadało do kawiarni, by po chwili znów zniknąć w ciemnościach, zostawiając za sobą woń perfum i atmosferę tajemniczości. Topaz i Francesca były chore z zazdrości.

Topaz zwierzyła się przyjaciółce ze swego problemu z Legatem.

Francesca zachichotała.

– Studenci umierają przez ciebie z głodu na mansardach, Topaz.

– O, rany. – Wyobraziła sobie studentów z podkrążonymi oczami, chorych na gruźlicę. Westchnęła ciężko. – Masz szczęście, że pracujesz w agencji teatralnej.

Przyjaciółka zapatrzyła się w herbatę w swojej filiżance.

– Dziś dzwoniła Margaret Lockwood.

Topaz była pod wrażeniem.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie pozwalają mi rozmawiać ze sławnymi ludźmi. Zajmuję się archiwum i przygotowywaniem herbaty.

Topaz także przygotowywała herbatę. Dla pana de Courcy i dla panny Black, która raz w tygodniu przychodziła, by przepisywać na maszynie fragmenty biografii Edwarda VI, nad którą pracował historyk. Topaz lubiła pannę Black i jej opowieści o latach młodości tuż po pierwszej wojnie światowej. „Wtedy to były przyjęcia, moja droga”. Teraz panna Black opiekowała się owdowiałą matką, mieszkającą w Twickenham.

Panna Black potrafiła także przepowiadać przyszłość. Gdy Topaz kończyła swoją herbatę, panna Black unosiła filiżankę, fusy wirowały, a ona wpatrywała się w nie z bliska.

– Niedługo twoje życie się zmieni, moja kochana. Widzę wysokiego nieznajomego bruneta. – Wielkie oczy panny Black płonęły. – Ten namiętny mężczyzna cię oszołomi.

Na Russell Square pojawiał się czasem młodszy brat Ruperta de Courcy, Peter. Nosił obszerny czarny płaszcz i postrzępiony, czerwony szal. Najwyraźniej irytował historyka; Topaz też doszła do wniosku, że działa jej trochę na nerwy. Na początku nie zwracał na nią uwagi, aż pewnego dnia stanął za jej plecami, gdy pisała odsyłacze.

– Sposób wygięcia dłoni wskazuje na introwertyczną osobowość – stwierdził.

Topaz zapytała pannę Black o Petera de Courcy.

– To artysta – szepnęła starsza dama.

– Czy jest sławny?

– W pewnych kręgach i owszem. – Panna Black jeszcze bardziej zniżyła głos. – Niektóre jego prace są uważane za szokujące.

Topaz opowiedziała tę rozmowę przyjaciółce w kawiarni.

– To znaczy, że maluje akty – orzekła Francesca. – Może zechce namalować ciebie, Topaz.

Topaz wyobraziła sobie swoje ciało ułożone na sofie, jak te tłuste kobiety na obrazach w National Gallery. Zachichotała. Po chwili zmarszczki wokół oczu Franceski się pogłębiły i ona także zaczęła się śmiać.

W połowie grudnia, pewnego zimnego wieczoru, gdy wiatr wywiewał liście z rynsztoków, bracia de Courcy pokłócili się w pokoju przylegającym do

tego, w którym siedziała Topaz. Dziewczyna zakryła uszy dłońmi, by tego nie słuchać.

Z gabinetu Ruperta wyszedł Peter, trzasnąwszy drzwiami. Wybiła właśnie szósta. Topaz spakowała torbę i narzuciła płaszcz, poruszając się na palcach, by mu nie przeszkadzać.

Wiązała właśnie szalik, gdy zapytał:

– Dokąd się wybierasz?

– Do domu.

– Masz ochotę na drinka?

– Ja i pan? – Topaz nie mogła wyjść ze zdumienia.

Peter de Courcy urządził wielkie przedstawienie, zaglądając pod biurko i za zasłony.

– Nie widzę nikogo innego. – Obrzucił ją spojrzeniem. – Tylko się umaluj, bo cię nie wpuszczą. Wyglądasz tak młodo.

Pośpiesznie nałożyła szminkę i puder. Dłoń jej drżała. Pierwszy raz ktoś zaproponował jej randkę. No cóż, latem Marius zaprosił ją wprawdzie do kina, lecz nigdzie nie poszli, bo tymczasem ożenił się z Suzanne, a w ogóle to i tak nie miała być randka, bo Marius nigdy nie myślał o Topaz w ten sposób. Nie była niestety pewna, czy Peter de Courcy myśli o niej właśnie w ten sposób. Może po prostu potrzebował towarzystwa, bo nie chciał pić sam.

Zabrał ją do pubu w Soho. Bar był niewielki, ciemny i zadymiony, z wytartymi siedzeniami. Gdy zapytał, czego się napije, poprosiła o gin z cytryną, bo to zawsze piła jej matka. Nigdy w życiu nie była w pubie.

Gin z cytryną smakował okropnie. Wyraz obrzydzenia musiał się odmalować na twarzy Topaz, bo Peter de Courcy uśmiechnął się i zapytał:

– Nie pijesz za często, prawda? – Topaz pokręciła głową. – Pewnie też nie palisz?

Tego już próbowała z Francescą.

– Oczywiście, że palę.

Jego papierosy nie miały filtra i były ostre. Podał jej ogień i przytrzymał zapaloną zapalniczkę.

– Zdmuchnij. – Topaz zdmuchnęła. – Jak się nazywasz? Zdziwiła się nieco, że zaprosił ją do pubu, nie zadawszy sobie nawet trudu, by przedtem sprawdzić, jak się nazywała. Przedstawiła się.

– Topaz... – powtórzył. Dziewczyna zarumieniła się pod jego spojrzeniem. – To do ciebie pasuje. – Jeszcze raz zmierzył ją wzrokiem. – Wyglądałabyś nawet nieźle, gdyby nie te okropne ubrania.

Topaz zerknęła na swój zimowy płaszcz, spódniczkę z kontrafałdą i pulower.

– Co jest nie tak z moim ubraniem?

– Tweed i kaszmir... Nuda wyższej klasy średniej.

Topaz nie była pewna, co jej towarzysz ma na myśli, ale nie ustawała w dociekaniach, bo chciała wiedzieć.

– A co powinnam nosić?

Zmrużył swoje półprzymknięte, znużone oczy.

– Wyraziste kolory i szlachetne tkaniny. Kolor rdzy i szmaragdów. Jedwabie i aksamity.

Topaz wyobraziła sobie sklepy pełne takich wspaniałości zamiast przygnębiających, praktycznych ubrań, które wciąż wisiały wszędzie na wieszakach.

– Nie sądziłam, że mężczyźni znają się na strojach – powiedziała.

– Naprawdę? – Zgasił papierosa w popielniczce. – Masz chyba dość wąskie horyzonty.

Topaz wciąż nie wiedziała, co myśleć na temat Petera de Courcy. W następnym tygodniu wybrała się z nim wprawdzie jeszcze dwa razy do tego pubu w Soho, ale sądziła, że zapraszał ją tylko dlatego, że była akurat pod ręką. Nie miała nawet pewności, czy ją lubi. Często z niej żartował. Z jej gustu, z jej wyglądu, z jej komentarzy.

Najczęściej mówił o sobie. Mieszkał w Fitzrovii i twierdził, że lada moment odniesie wielki sukces. Do tej pory karierę uniemożliwiała mu pruderia publiczności i ciasnota umysłowa społeczeństwa. Nadeszła jednak pora, by pokonać te przeszkody i przesunąć granice jak najdalej.

Rzadko pytał o jej sprawy, Topaz się tym jednak nie martwiła: jej życie wydawało się przecież takie nudne w porównaniu z jego doświadczeniami. Przed wojną był we Francji, we Włoszech i w północnej Afryce. Topaz, złaźniona nowych wrażeń, choćby z drugiej ręki, wypytywała go o ludzi, których spotkał, o miejsca, które odwiedził, ale mgliste odpowiedzi Petera za każdym razem ją rozczarowywały. Wspominał o pochwałach, które zebrała jego wystawa w Prowansji, o obrazach, które sprzedał w Oranie, lecz nie potrafił jej opisać ani Prowansji, ani Oranu. Topaz tłumaczyła sobie, że przecież ma do czynienia z artystą. Z artystą, którego tworzywem nie są słowa.

Po raz pierwszy ją pocałował, gdy stali przed wejściem do metra na Tottenham Court Road. Była siódma i na ulicy panował wielki ruch. Mieli się właśnie pożegnać, co za każdym razem wprawiało Topaz w zakłopotanie, bo mówiąc: „Do zobaczenia wkrótce” albo „Do zobaczenia w przyszłym tygodniu”, założyłaby coś, czego nie ośmieliła się zakładać. Podała mu więc tylko rękę i powiedziała:

– No to do widzenia.

Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Co się stało?

– Ależ Topaz... – podniósł oczy do nieba. – Może raczej pożegnamy się porządnie? – Tu przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nie miał wąsów, więc przynajmniej nie drapał. – Twój pierwszy pocałunek... I jak ci się podobało?

Topaz uznała, że zachowałyby się nietaktownie, wspominając mu o pułkowniku.

– Było bardzo przyjemnie.

– „Bardzo przyjemnie”. – I znów zaczął się śmiać. Słyszała wciąż jego śmiech, gdy znikala w tłumie.

Mariusz musiał wybrać się do Londynu w interesach. Zapytał Suzanne, czy nie miałaby ochoty pojechać razem z nim.

– Zapewne chcesz zrobić zakupy, bo zbliżają się święta. Może zresztą chciałabyś się z kimś zobaczyć. I oczywiście tęsknisz za Londynem...

– Mało powiedziane!

Jedli właśnie śniadanie; Suzanne odsunęła swoją filiżankę i podeszła do okna. Stała odwrócona do Mariusza plecami, ze skrzyżowanymi rękami.

Przypomniawszy sobie spacer z żoną po ogrodzie, które wyglądały tak, jakby chciała przesunąć jego granice.

– Wiem, że trudno ci się tu zadomowić.

– Tu się nie da zadomowić – wybuchnęła Suzanne, jakby trzymała to w sobie zbyt długo. – Jest tak... pusto. Tu... nie ma nic. Często marzę, by przynajmniej odprowadzić kogoś do furki. Listonosza... kogokolwiek. Żeby cokolwiek się zmieniło.

– Wiele rzeczy się zmienia – zaprotestował Marius. – I możesz pojechać autobusem do Bridport albo do Dorchester. Mamy tylu znajomych.

– Ty masz znajomych. Oni mnie nie znają. Nie są mną zainteresowani.

– To bzdura... – zaczął, ale Suzanne mu przerwała.

– Wiesz, że to prawda, Marius. Na początku byli trochę ciekawi, a potem wycofali się do swoich bezpiecznych skorupki.

– Sprawa wygląda całkiem inaczej. Zapraszano nas, ale nie chciałaś nigdzie iść.

Oczy Suzanne błysnęły.

– To nieprawda. Byliśmy przecież na cocktail party.

– Szybko wyszliśmy – przypomniał jej Marius. – Nalegałaś na to.

Wzruszyła ramionami.

– Było okropnie.

Marius poczuł, że wzbiera w nim gniew.

– Byliśmy też u Barringtonów. Wtedy też wcześniej wyszliśmy...

– Nudni ludzie, nudne rozmowy. I ten okropny pies wciąż mnie obwąchiwał.

– Musisz się trochę wysilić.

Obrzuciła go chłodnym i rzeczowym spojrzeniem.

– Dlaczego, Marius?

– Dlatego, że są naszymi sąsiadami.

– Nie podzielam ich poglądów politycznych – powiedziała. – Mam inny gust, zostałam inaczej wychowana. A że mieszkamy niedaleko, no cóż, to przecież przypadek, prawda? To żaden powód, by się zaprzyjaźnić.

Ani żeby się żenić, chciał dodać, lecz zdołał się jakoś powstrzymać.

Wziął głęboki oddech.

– Martwię się tylko, że będziesz się czuła osamotniona.

– Czuję się jeszcze bardziej osamotniona w towarzystwie tych ludzi – odparła pogardliwie. – I nie sądzę, żebyś ty miał z nimi wiele wspólnego. – Jej głos trochę złagodniał, choć w ciemnych oczach wciąż czaiło się wyzwanie. – Nie pojedę z tobą do Londynu, bo chyba zaraziłam się od Tary. Ale byłoby wspaniale, gdybyś mógł przywieźć mi parę drobiazgów.

Po południu, u Selfridge'a, Marius podał listę Suzanne sprzedawczyni w dziale pasmanteryjnym, a potem zaczął się rozglądać za prezentami bożonarodzeniowymi. Po wyjściu ze sklepu wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do domu pań Brooke. Veronica powiedziała mu jednak, że Topaz nie ma w domu, gdyż znalazła jakąś pracę biurową. Pracuje tylko po południu, choć są z tym same kłopoty, gdy potrzeba kogoś czwartego do brydża. Biuro było gdzieś w Bloomsbury, a Topaz kończyła pracę o szóstej.

Zrobiło się znacznie zimniej, a wokół pni drzew i ulicznych latarni snuła się żółtawa mgła. Marius postawił kołnierz płaszcza i wsunął ręce do kieszeni. Gdy dotarł do Russell Square, spostrzegł Topaz, wychodzącą z jednego z wysokich budynków na rogu Bedford Place. Towarzyszył jej trzydziestopięcioletni mężczyzna. Miał na sobie czarny płaszcz, kapelusz z szerokim rondem i długi, czerwony szal. Topaz ścisnęła jakąś teczkę, która chyba sporo ważyła. Dłoń mężczyzny zsunęła się po plecach Topaz na jej pośladki, gdy schodzili po schodach.

– Marius! – krzyknęła dziewczyna na jego widok.

– Byłem właśnie w mieście, więc pomyślałem, że cię odwiedzę. – Spojrzał na jej towarzysza. – Nie przedstawisz mnie, Topaz?

– Oczywiście. – Wydała mu się podekscytowana. – Marius, to jest Peter de Courcy. Peter, to jest Marius Temperley, mój stary przyjaciel.

Podali sobie ręce. Marius zauważył, że klapy płaszcza Petera de Courcy były wyświechtane, poczuł też alkohol i francuskie papierosy.

– Chciałem cię zaprosić na kolację – oświadczył.

– Och. Tylko że Peter i ja...

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda, stary? – Rzucił Peterowi de Courcy spojrzenie, które wypróbował wielokrotnie na niesubordynowanych podwładnych w armii. Artysta mruknął coś pod nosem i zniknął we mgle.

Gdy nie mógł już słyszeć ich rozmowy, Topaz westchnęła:

– Och, Marius, zachowałeś się jak gbur. Wziął od niej teczkę.

– Czy twoja matka o nim wie?

W świetle ulicznej lampy nie mógł dostrzec, czy Topaz się zaczerwieniła.

– Nie. A czemu by miała wiedzieć?

– Jesteście z sobą chyba dość blisko.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Głupstwa mówisz. – Ruszył przed siebie, a Topaz dreptała u jego boku.

– Marius...

– On jest stanowczo za stary dla ciebie. Topaz nagle się zatrzymała.

– Jeśli zamierzasz prawić mi kazania, to chyba nie chcę iść z tobą na kolację.

– Przepraszam – mruknął pod nosem.

W kawiarni, przy przecznicy Tottenham Court Road zdjęli płaszcze, szale i rękawiczki. Po szybach spływała para wodna, w powietrzu unosiła się woń wilgotnej wełny, steków i fasolki.

Gdy kelnerka przyjęła zamówienie, Marius wyjaśnił, dlaczego przyjechał do Londynu.

– W interesach. I żeby zrobić zakupy dla Suzanne.

- Jak ona się miewa?
- Dobrze. Całkiem dobrze.
- Zawsze tak mówisz.
- Szczerze mówiąc, prawie się pokłóciliśmy.
- Prawie się pokłóciliście?
- Bardzo dobrze nam idą „prawie–kłótnie” – przyznał z przelotnym

uśmiechem.

Zapadła cisza. Po chwili Topaz powiedziała:

- Peter jest bardzo miły, Marius. To artysta.

O, do licha, no jasne, pomyślał Marius, przypominając sobie wyświechtany płaszcz, przydługie włosy i cienie na zdradzającej rozwiązłość twarzy nowego przyjaciela Topaz.

- Będzie sławny. – Topaz się rozpromieniła. – I chce mnie namalować.

Kelnerka podała jedzenie.

- Chyba mu nie pozwolisz?

- Dlaczego nie?

Marius mógł wybrać którąś z taktownych odpowiedzi, ale żadna nie chciała przejść mu przez gardło.

– Dlatego, że jest zainteresowany czym innym niż portretowanie ciebie – oświadczył bez ogródek.

Topaz w pierwszej chwili pobladła, a potem zrobiła się purpurowa. Zagłębiła nóż w mięsie, rozrywając je na strzępy.

- A ciebie to zapewne dziwi. – Głos jej był pełen napięcia.

– Nie to miałem na myśli. – Marius nie starał się szczególnie ukryć swego cynizmu. – Chciałem cię tylko przestrzec, abyś nie przywiązywała się

do niego zanadto. Tego rodzaju mężczyźni nie są zainteresowani trwałymi związkami.

– Sugerujesz, że mnie wykorzysta i porzuci, tak?

– Właśnie tak.

Spojrzała na niego roziskrzonymi oczami.

– A może ja nie mam nic przeciwko temu? A może wcale mnie to nie obchodzi. A może to lepsze niż nic?

– Sądziłem, że masz lepszy gust, Topaz. – Teraz nawet nie silił się na uprzejmość.

Dziewczyna odłożyła sztucce i zerwała się z krzesła.

– Dokąd idziesz?

– Do domu. – Wkładała już płaszcz.

– Topaz... – Marius nagle się zawstydził; wyciągnął do niej rękę. – Przepraszam. Nie zamierzałem cię obrazić. Nie chciałem tylko, żeby ktoś cię zranił.

Ale wybiegła już z kawiarni i zostawiła go samego. Po chwili Marius spojrzał na dwa pełne talerze i doszedł do wniosku, że wcale nie jest głodny. Rzucił więc garść monet na stół i wyszedł.

Podczas długiej podróży do domu Marius miał dość czasu, by przemyśleć swoje niefortunne zachowanie. Zapomniał nawet dać Topaz prezent bożonarodzeniowy, który jej kupił w domu towarowym.

Zawsze cenił ją za oryginalność, za ciekawość świata i nonkonformizm. Załamał się na myśl, że mógłby ją uwieść jakiś starzejący się rozpustnik. Powinien jednak wymyślić coś innego, coś, co powstrzymałoby dziewczynę od rzucenia się w ramiona tego lubieżnego, pożałuj Boże, artysty. Zawsze

uważał, że Topaz potrzebuje opiekuna. Że potrzebuje miłości. Zapewne dlatego zakochała się w pierwszym mężczyźnie, który się nią zainteresował.

Przyszło mu do głowy, by zadzwonić do jej matki, natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Podczas podróży co jakiś czas zapadał w sen, ale budził się z powodu niewygody i zimna, które mu doskwierało w kołyszącym się nieregularnie pociągu, i z powodu jego własnych, niespokojnych myśli. Była prawie północ, gdy pociąg zatrzymał się w Longridge Halt. W dolinach snuła się mgła, Marius widział niewiele i musiał wypatrywać znajomych szczegółów, by nie pomylić drogi do domu.

Na ganku paliło się światło. Wszedł do domu i od razu poszedł na górę. Gdy przechodził na palcach koło pokoju córeczki, usłyszał, że Tara wierci się i pojękuje, jak zwykle przed sekwencją dzikich wrzasków. Wszedł do sypialni i zawołał cicho Suzanne, ale żona spała głębokim snem, otulona pościelą. Marius zauważył butelkę z aspiryną na nocnym stoliku.

Tara krzyczała coraz głośniejsze. Marius wrócił do jej pokoju. Dziecko stało już w łóżeczku, zaciskając paluszki na szczebelkach, z buzią czerwoną i mokrą od łez. Na jego widok zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze, a Marius poczuł, że wzbiera w nim złość.

Wtedy zauważył rozpacz w oczach małej i cały jego gniew znikł. Wyjął Tarę z łóżeczka i powiedział łagodnie:

– Musimy się jakoś porozumieć, kochanie.

Otulił dziecko kocykiem i zniósł na dół, by krzyki nie docierały do sypialni.

W salonie Tara rozwrzeszczała się na dobre, rzucając główką na oślep i zaciskając piąstki. Otarł jej buzię i przytulił do ramienia, mrucząc coś cały czas, chodząc po pokoju i poklepując ją po plecach. Przyszło mu do głowy, że

nie powinien się dziwić, iż córeczka nie może sobie poradzić ze zmianami, które zaszły w jej życiu, skoro sam miał kłopoty z adaptacją do nowych warunków. Świat musi być dla niej zupełnie niepojęty. Przeżyła zbyt wiele zmian w swym krótkim życiu, mieszkała w tylu różnych miejscach, urodziła się w nędzy. Musi jej wynagrodzić swą długą nieobecność.

Gdy tak spacerował, kołysząc ją i mrużąc, spostrzegł, że mgła zasnuła cały trawnik i taras, a oszronione drzewa wyglądają tak, jakby z niej wyrastały, i przypominają zjawy. Nad powierzchnią stawu kołysał się biały obłok. Spokój, którym tchnął ten pejzaż, przeniknął do wnętrza domu i po chwili Mariusowi wydało się, że Tara krzyczy znacznie ciszej. Jakby na pół gwizdka. Nie przestawał spacerować i poklepywać córeczki, aż wreszcie poczuł, że jej główka spoczęła na jego ramieniu. Jedwabiste, ciemne loczki dziewczynki otarły się o jego twarz. Zadrżała, biorąc głęboki oddech, ale jej ciało wyraźnie się uspokoiło. Zrobiła się jakby cięższa. Marius zwolnił i zniżył głos do szeptu. Uzmysłowił sobie, że zdarzył się cud. Bardzo ostrożnie usiadł na sofie.

Lękając się, by jego spojrzenie nie spowodowało jej znów do płaczu, odczekał chwilę, nim popatrzył na pyzate policzki, na długie, wciąż wilgotne od łez rzęsy i sinawe, zamknięte powieki. Pochylił się i pocałował Tarę.

Po raz pierwszy od powrotu do Anglii zaczął wszystko rozumieć. Przypuszczał, że to jego własna niepewność stała się powodem bariery, jaka wyrosła między nim a córką. Widział w niej tylko ciężar, kogoś, za kogo był odpowiedzialny, a nie wielki dar, jakim w rzeczywistości była. Teraz zrozumiał, że Tara jest jego nadzieją, dzięki niej znajdzie drogę we mgle.

A jeśli chodzi o Topaz, to jutro do niej zadzwoni z przeprosinami. Przyrzekł swej córce bez słów, że zacznie wszystko od nowa. I będzie bardziej się starać.

Topaz nie widziała Petera de Courcy od nieoczekiwanego spotkania z Mariusem. Dzień wcześniej zaprosił ją do swej pracowni, pokazał obrazy i zaproponował, by mu pozowała. Choć ta propozycja ogromnie jej pochlebiała i bardzo ją podniecała, Topaz jednak miała wątpliwości. Co zrobić, jeśli on zechce, by pozowała mu nago? Rozbierając się przed snem, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Tyle białego ciała, z różowymi śladami po staniku, pasie i podwiązkach. „On jest zainteresowany czym innym niż portretowanie ciebie”. W gruncie rzeczy Marius wypowiedział na głos jej własne zastrzeżenie.

Gdy zjawiła się w pracy dzień przed Wigilią, panna Black szepnęła jej do ucha:

– Przyszedł pan Peter. Straszliwie się kłóca.

Tym razem nie zasłoniła uszu rękami. Przez ścianę słyhać było podniesione głosy. Kłócili się o pieniądze. Topaz właśnie rozwiązywała szal i wieszła płaszcz, gdy z gabinetu wyszedł Peter, trzaskając teatralnie drzwiami. Zatrzymał się na jej widok.

– Łajdak – wybełkotał. – Dusigrosz i łajdak. Ruszył w stronę schodów. Topaz pobięła za nim.

– Peter! – zawołała, a on się zatrzymał. – Zastanawiałam się tylko, kiedy się zobaczymy.

De Courcy odwrócił wzrok.

– Nie planowałem... – Wrócił na górę. Miał przekrwione, spuchnięte oczy. „Myślałem, że masz lepszy gust, Topaz”. – Rozumiesz chyba, moja droga – starał się wyraźnie wymawiać każde słowo – że nie chciałbym poczuć na twarzy pięści tego nieźle zbudowanego faceta.

– Mariusa?

De Courcy się uśmiechnął.

- Chyba nie miałbym szans. Przepraszam, moje złotko.
- Myślałam, że chcesz mnie namalować!
- Wątpię, by mojej żonie to się spodobało – oświadczył i wyszedł.

Topaz wróciła na górę. Za jej biurkiem stał Rupert de Courcy. Wokół niego na podłodze leżało mnóstwo papierów. Rupert trzymał właśnie trzeci tom „Historii Northamptonshire”. Z poczuciem nieuchronności losu Topaz zauważyła na fruujących kartkach nagłówek Legatu Mallinghama.

Wychodząc z budynku, pomyślała sobie: Nieźle, Topaz Brooke, nieźle, straciłaś i pracę, i faceta w ciągu dziesięciu minut. Choć w gruncie rzeczy nie była przywiązana ani do jednego, ani do drugiego.

W domu zastała matkę, krążącą nerwowo po salonie.

– Co za okropna kobieta – powiedziała Veronica, zdenerwowana do granic.

– Kto? – Topaz rozwiązywała właśnie swój szal.

– Dorothy Blanchard. Ona oszukuje. Nie wygrałam ani razu od wielu tygodni. – Nozdrza matki drgały nerwowo. – Gramy oczywiście na pensy, ale chodzi o zasadę! – Zmarszczyła brwi. – Cieszę się, że już nigdy nie zobaczę tej przeklętej kobiety, ale brakuje nam czwartego do gry.

– Nie będę już pracować u pana de Courcy. – Topaz rozpięła płaszcz. – Mogę więc grać z wami, jeśli tylko chcesz, mamó.

– Naprawdę, kochanie?

Veronica nie zwykła szastać czułymi słówkami. Topaz, poruszona nieoczekiwaną czułością matki, szepnęła:

– Oczywiście, mamó. Veronica popatrzyła na córkę.

– Naprawdę, musimy ci kupić jakieś nowe ubrania. Nie miałam pojęcia, że tak urosłaś. Pójdziemy razem do Kitty. – Kitty była krawcową pani Brooke. Veronica się uśmiechnęła. – Będzie bardzo przyjemnie, prawda, Topaz?

RS

5

Gdy Jack wyjechał za granicę w 1942 roku, Willowi spadł kamień z serca. Znikła konieczność nieustannego porównywania się z silnym, mądrym, przystojnym starszym bratem. Pod nieobecność Mariusa i Jacka właśnie on stał się w naturalny sposób towarzyszem Julii. A że była urocza i piękna, nic dziwnego, iż Will się w niej zakochał. O swoich uczuciach nic nikomu nie mówił, ponieważ wiedział, że Julia ich nie odwzajemnia. Wiedział, że pisywała do Jacka, nie miał jednak pojęcia, czy to listy miłosne. Cieszyły ją jego kurtuazyjne wysiłki – prezenty i bukietki – ale to w żaden sposób nie zbliżyło ich do siebie.

Podczas wojny stosunki znacznie bardziej intymne niż z Julią łączyły go z kelnerką z Henscombe i z dziewczyną, pracującą na farmie koło Bridport. Obie pozwoliły mu się posunąć dość daleko, na tym jednak się skończyło. Przyjemności i frustracje, w które obfitowały jego pośpieszne spotkania z Hester i Sadie, nie miały nic wspólnego z udręką i uniesieniem, jakie czuł w obecności Julii. Will doszedł do wniosku, że pożąda Hester i Sadie, ale kocha Julię. A ona ciągle, nawet pod nieobecność Jacka, wydawała mu się nieosiągalna. Przyzwyczał się do tego i rozładowywał napięcie, upijając się od czasu do czasu albo jeżdżąc zbyt szybko samochodem, jeśli pozwalały na to skąpe racje benzyny. Gdy Julia przyjęła jego oświadczenia, poczuł się tak, jakby Wenus z Milo pokiwała swą marmurową głową albo Mona Lisa posłała mu swój uśmiech.

Przez dobrych parę tygodni Will z przerażeniem wspominał ów wieczór, kiedy ogłosili zaręczyny. Wrócili do domu przy szkole (chciał poinformować o tym wszystkich natychmiast), ale zastali tam tylko panią Sykes. Pojechali więc

do Missencourt. Julia wkroczyła do salonu i oświadczyła, w obecności Temperleyów i Prudence, że zamierza poślubić Willa. Wszyscy zamarli w milczeniu, a po chwili Adela Temperley powiedziała ze złością: „Och, nie zachowuj się tak idiotycznie, Julio!”.

Fakt, że te słowa wypowiedziała łagodna, delikatna Adela, poruszył Willa. Wtedy właśnie uświadomił sobie, że wprawdzie inni będą równie zaszokowani tym, że Julia zdecydowała się go poślubić, ale nie będą podzielać jego radości.

Wtedy do pokoju wszedł Jack i Julia, z pobladłą twarzą, powtórzyła swoją decyzję. Will spotkał w książkach wyrażenie „Jego twarz poszarzała”, ale do tej pory przypuszczał, że to tylko figura retoryczna. Nim Jack obrócił się na pięcie i wybiegł z Missencourt, Will zdążył uchwycić wyraz oczu brata. I znów coś sobie uświadomił: gdy ujrzał, jak głęboko Jack został zraniony, poczuł wyrzuty sumienia, potem usprawiedliwił się sam przed sobą (w końcu Jack miał swoją szansę), by wreszcie zatriumfować. Wstydził się tego poczucia triumfu i chciał nawet wybiec za bratem, ale matka go zatrzymała. „Nie teraz, szepnęła. Daj mu trochę czasu”.

Upływ czasu niewiele jednak zmienił i nie załagodził sytuacji. Zarówno w domu przy szkole, jak i w Missencourt wybuchały kłótnie, dyskusje, panowała niezgoda. Do tej pory wszelkie domowe burze i zawieruchy wiązały się z Jackiem, a nie z nim. Will nie czuł się najlepiej w atmosferze niezadowolenia. Wciąż potrzebował aprobaty brata. Dlatego na parę tygodni przed ślubem odwiedził Jacka w Sixfields.

Wizyta od samego początku okazała się niewypałem. Gdy tylko wszedł na podwórze, rzuciły się na niego gęsi i psy. Poślizgnął się w błocie i niewiele

brakowało, a upadłby na twarz. Przez otwarte drzwi do stodoły zauważył Jacka naprawiającego stary traktor.

Will pragnął zgody, mówił rozsądnie, okazywał cierpliwość. Jack go ignorował i zagłuszał słowa brata postukiwaniem i pobrząkiwaniem narzędziami. Wtedy Will nieopatrznie powiedział:

– Nie powinienes tego robić śrubokrętem, tylko kluczem francuskim.

Mięśnie ręki, w której tamten trzymał śrubokręt, wyraźnie się napięły. Potem Jack się wyprostował i po raz pierwszy popatrzył bratu w twarz.

– Ona cię nie kocha, chyba o tym wiesz. Ona cię naprawdę nie kocha.

Will przez chwilę nie mógł złapać oddechu, czując ból w mostku, jakby Jack naprawdę go uderzył. I wyszedł ze stodoły.

– Niech cię diabli porwą – mruknął głośno, porzucając wszelkie nadzieje na zgodę.

Po ślubie zamieszkali w domu przy szkole. Gazety wciąż pisały, że brakuje mieszkań, ale Will dopiero teraz w pełni to sobie uświadomił. Odkrył, że całe rodziny mają jeden pokój, że żony mieszkają z teściami, podczas gdy mężowie pracują poza domem; że setki rodzin umieszczono w dawnych obozach wojskowych, na grządkach rosną tam teraz marchewka i kapusta, a dzieci bawią się na placach, na których niedawno odbywała się musztra.

Mieszkając z rodzicami, Will nie czuł, że jest żonaty. Wszystko układało się tak, jakby on i Julia wciąż byli przyjaciółmi, którym całkiem przypadkowo przyszło dzielić wspólny pokój. Przypuszczał, że to właśnie z tego powodu fizyczna strona małżeństwa okazała się wielką katastrofą. Julia wprawdzie twierdziła, że jest zadowolona, ale Will czuł wyraźnie, że jest inaczej. Nie potrafił kochać się z nią w domu swoich rodziców. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że ojciec lub matka słyszą każde skrzypnięcie łóżka, każdy

przyśpieszony oddech. Do tego wszystkiego dołączył się lęk, że Jack może być gdzieś nieopodal i widzieć jego nieporadne wysiłki. Oboje z Julią w pewnym sensie zobojętnieli. I choć często się całowali i przytulali, to mijały całe tygodnie, podczas których się nie kochali. Will miał pełną świadomość tego, że młode małżeństwa powinny się zachowywać inaczej. Dawał więc żonie prezenty, by czuła się szczęśliwsza: kwiaty i błyskotki, nylonowe pończochy i ekskluzywne mydła, kupione spod lady od kuzyna Maurice'a.

Tymczasem otworzył warsztat samochodowy, który wynajął od Maurice'a. Przedsięwzięcie nie okazało się jednak tak dochodowe, jak się spodziewał. Warsztat mieścił się na odludziu, przy drodze przez wrzosowisko, którą rzadko pojawiające się samochody pędziły bardzo szybko, jakby chciały za wszelką cenę dotrzeć czym prędzej do wybrzeża. Will lubił naprawiać samochody, ale nie radził sobie z papierkową robotą. Po pewnym czasie przestał zwracać uwagę na formularze i wezwania, które piętrzyły się na jego biurku. Gdy pewnego wieczora zdobył się wreszcie na to, by wszystko przejrzeć, stwierdził, ku swemu wielkiemu przerażeniu, że warsztat przynosi straty. Niewielkie sumy, tracone co tydzień, kumulowały się, tworząc całkiem pokaźny dług. Will próbował nie panikować i pocieszał się, że wkrótce powrócą normalne czasy. Racjonowanie paliwa lada moment się skończy i ludzie znów zaczną jeździć samochodami dla przyjemności.

Pod koniec roku jeden z klientów powiedział Willowi o domu do wynajęcia. Dom stał na wzgórzu, na które prowadziła tylko polna droga, a do najbliższego sąsiada lub do sklepu trzeba było iść przeszło pół godziny. Choć jego nazwa Hidcote Cottage przywodziła na myśl bieloną wapnem i krytą strzechą urokliwą chatę, w rzeczywistości budynek został postawiony przed wojną, a widok jego szarych murów i ciemnej dachówki napawał Willa

dziwnym przygnębieniem, na które wpływał też bez wątpienia ciemny zagajnik, który rósł dookoła. Podłogi wyłożono kamiennymi płytkami albo szarobrazowym linoleum, ściany zaś pomalowano na kremowo i zielono. Domek został zarekwirowany w czasie wojny i służył jako baza oficerom RAF-u. Na wieszaku w przedpokoju wciąż wisiała maska przeciwgazowa, a na parapecie leżała manierka koloru khaki.

Will podjął decyzję wynajęcia domu od razu, z obawy, że gdyby za długo się wahał, to uprzedziłaby go jakaś inna bezdomna para. Próbował lekceważyć złe przeczucia, przekonując sam siebie, że uda im się przekształcić ten ciasny i posepny domek w jasne i przestronne rodzinne gniazdko. Następnego dnia zabrał Julię do Hidcote Cottage po raz pierwszy i obserwował ją z niepokojem, gdy przechadzała się po ciasnych pokojach. Miała na sobie stary futrzany płaszcz, o wiele za duży, a jej szczupłą, delikatną twarz okalał ogromny kołnierz.

– I co o tym sądzisz, kochanie? – zagadnął niepewnie.

– Tu jest tak ciasno. I zimno...

– Poradzimy sobie z tym. Pomalujemy ściany. Rozłożymy dywaniki.

– No tak... – przytaknęła niewyraźnie.

Will poczuł, jak coś go ściska w żołądku.

– Chodziło mi o to, żebyśmy nie musieli już mieszkać z rodzicami.

– Tak – powtórzyła zgarbiona. Potem postanowiła chyba wziąć się w garść, bo uśmiechnęła się i powiedziała: – Wszystko będzie dobrze, Will. Czyż to nie wspaniale, że wreszcie zamieszkamy u siebie?

I Will odetchnął z ulgą.

Domek był okropny: ciasny, przeraźliwie zimny i położony na odludziu, ale przynajmniej ich własny. Julia uznała, że nawet jaskinia byłaby lepsza niż mieszkanie z rodzicami Willa i tuzinem uczniów.

Przenieśli się tam podczas weekendu na początku stycznia. W poniedziałek rano Will pojechał do warsztatu, a Julia zaczęła rozpakowywać rzeczy. Nie można było nawet usiąść w dużym pokoju, bo stały tam skrzynie i pudła. Ciepło z kuchni nie przedostawało się do reszty pomieszczeń. Julia pracowała w rękawiczkach, w szaliku i nadgryzionym przez mole futrze z lisa, które kiedyś należało do jej babki.

Przeglądając zawartość pudeł, doszła do wniosku, że mają nieprawdopodobną ilość rzeczy. Kolekcja modeli samolotów Willa leżała obok pudełka po butach wypełnionego rozetkami i dyplomami, które ona zdobyła w gimnazjum, i szklanej wazy do serwowania ponczu, którą podarowała im jedna z dziwnych ciotek Willa. Niewiele ślubnych prezentów do czegoś się nadawało. Prudence (na szczęście) dała im pościel i ręczniki. Marius i Suzanne podarowali szklanki, piękne, staromodne szklanki z ciemnego szkła. Z pewnością Marius je wybrał, Suzanne nie byłoby na to stać. Od Adeli dostali porcelanowy serwis, a Carrie, ta rzekomo tak bardzo bogata kuzynka Willa, przysłała im szafę tak brzydką i ogromną, że nie dało się jej wnieść do środka przez wąskie drzwi Hidcote Cottage. Zostawili ją więc w komórce na węgiel. Jack nic im nie podarował i w ogóle nie przyszedł na ślub. Ale Julia wołała nie myśleć o Jacku.

Nie licząc papużki falistej, którą dostali od Topaz, pozostałe prezenty były albo szkaradne (suto haftowane obrusy, serwety i serwetki), albo prozaiczne (ściereczki kuchenne). Julia schowała obrusy do szuflady i

nakarmiła papużkę prosem. Wszystkie szuflady i szafki były już pełne, a pudełek prawie nie ubyło.

O szóstej poczuła, że jest brudna i cała się klei, postanowiła więc się wykąpać. Nie było tam porządnej łazienki, tylko zlew w komórcie i toaleta, do której wchodziło się z zewnątrz, choć przylegała do domu – i to było najgorsze. Julia przyciągnęła metalową balię do kuchni i napełniła ją gorącą wodą, gotującą się na piecu. Nie pomyślała jeszcze o kolacji, ale przecież mogą zjeść tosty, Will nie będzie miał nic przeciwko temu. Gdyby zresztą mąż zastał ją w kąpieli, może by mu to trochę pomogło? Julia nazywała to sprawami łózkowymi i wiedziała, że jeśli te rzeczy nie wychodziły, Will był bardzo nieszczęśliwy. A ona nie miała pojęcia, dlaczego nie wychodzą. I nie było nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać.

Podczas nocy poślubnej Will był bardzo pijany i choć próbował się z nią kochać, nic szczególnego się nie wydarzyło. Strasznie ją przeproszał i był bardzo zawstydzony, podczas gdy ona, w głębi duszy, cieszyła się z takiego obrotu rzeczy, ponieważ okropnie bolała ją głowa. Podczas krótkiego miodowego tygodnia, który spędzili w południowej Walii, Julia miała miesiączkę, a potem wrócili do Dorset. Małżeństwo zostało w końcu skonsumowane w domu jej teściów. Will wtulił twarz w jej ramię, by nie krzyknąć w ostatniej chwili, a ona zamierała przy każdym skrzypnięciu i zgrzytnięciu starego łóżka z żelazną ramą.

Strasznie długo musiała czekać, by napełnić balię, a na dodatek woda bardzo szybko stygła. Julia wyszorowała się więc szybko i wyskoczyła z kąpieli. Uznała, że nie warto się ubierać porządnie, włożyła więc piżamę, a na wierzch futro. Will się spóźniał, musiała więc sama opróżnić balię, wynosząc

wodę do rowu melioracyjnego na zewnątrz. Gdy się z tym w końcu uporała, była bardziej spocona niż przedtem.

Oparła się o framugę drzwi frontowych, próbując złapać oddech i patrząc na zagajnik i polną drogę. Wysoko, w konarach wiązu pohukiwała sowa. Przez poszycie przemknął królik, a światło sączące się przez otwarte drzwi wydobyło z mroku jego błyszczące, zdziwione oczy. Spokój tajemniczego, nocnego pejzażu ją oczarował. Otuliła się futrem i zapatrzyła w ciemność z uśmiechem, ciesząc się tą chwilą.

Wtedy zobaczyła światełko latarki Willa, przedzierające się przez mrok. Pomachała ręką i zawołała męża. Will ją pocałował.

– Co ty robisz?

– Patrzę w gwiazdy. Chyba widzę Wielki Wóz.

– Jeśli popatrzysz w bok, zobaczysz go wyraźniej. Popatrzyła we wskazanym kierunku i rzeczywiście gwiazdy ułożyły się w wyrazisty wzór. Will raz jeszcze ją pocałował.

– Ładnie pachniesz.

– To sól kąpielowa.

Will wsunął dłoń pod fałdy ciężkiego futra i zmarszczył brwi.

– Co ty masz na sobie?

– Piżamę.

– Przeziębisz się na śmierć".

Wziął ją za rękę i wprowadził do domu, zamykając dokładnie drzwi. W sypialni pocałował ją ponownie, rozpinając jednocześnie guziki jej piżamy. Julia, otulona futrem i pościelą, czując na swym ciele jego dłonie, pomyślała: Wszystko będzie dobrze, wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

Uznała, że nie ma sensu rozpakowywać pudeł, skoro brakuje miejsca, by ułożyć rzeczy, zgromadziła więc wszystkie paczki na półpiętrze i ustawiła pod ścianą. Przestrzeni zostało w sam raz, by wciągnąwszy brzuch, prześlizgnąć się obok tej sterty.

Najgorzej było w kuchni, w komórce i w pralni. W kątach i w oknach wisiały grube, zakurzone pajęczyny, a czerwone, kamienne płytki podłogowe poczerniały od brudu. Julia sądziła, że upora się ze sprzątaniami w ciągu jednego dnia, ale przed końcem tygodnia nie udało jej się skończyć porządków w kuchni. W piątek piec przestał działać jak należy i nie można było porządnie zagrzać wody. Na dodatek Julia zapomniała zdjąć pranie poprzedniego dnia, a że w nocy były przymrozki, więc pościel i ręczniki przymarzły do sznura.

Postanowiła zająć się podłogą kuchenną, która wyglądała, oględnie rzecz ujmując, odrażająco. Zabrakło jej jednak płynu, musiała więc pojechać na rowerze do sklepu oddalonego o prawie dwa kilometry; gdy wracała do domu, rower ześlizgnął się z oblodzonej ścieżki i Julia wylądowała na ziemi z odrapanymi dłońmi, posiniaczonym siedzeniem i nadszarpniętą godnością.

Gdy Will wrócił wieczorem do domu, przywitał ją uwagą:

– Masz sadzę na nosie, kochanie. – Pocałował Julię.

– Naprawdę? – Wytarła nos ścierką. Była wykończona i niewiele brakowało, a wybuchnęłaby płaczem.

Will zajrzał do garnka stojącego na piecu i stwierdziwszy, że jest pusty, zapytał:

– Co będzie na kolację?

– Na kolację?

– Jest... – zerknął na swój zegarek –... wpół do szóstej.

– Coś podobnego – odparła z sarkazmem. – Jak ten czas szybko płynie, gdy człowiek się tak dobrze bawi.

– Chętnie ci pomogę, jeśli tylko chcesz. – Will zaczął otwierać szafki, niewłaściwe szafki. Zdaje się, że nie wiedział, gdzie się trzyma jedzenie.

– Nic nie ma – powiedziała. – Nie ma nic do jedzenia.

– Och... – Chyba nie brał pod uwagę takiej ewentualności. – Nie byłeś w sklepie?

– Byłam w sklepie, ale zapomniałam kupić jedzenie.

– No cóż – podrapał się w głowę – więc najlepiej będzie, jeśli pojedziemy do rodziców, prawda, kochanie? Tam coś zjemy.

– Nie zamierzam się przyznać twojej mamie, że zapomniałam kupić jedzenie na kolację.

– Mama nie będzie miała żadnych obiekcji. Zawsze gotuje strasznie dużo.

– Will – Julia starała się mówić spokojnie – nie pojedziemy do twojej matki, bo nie życzę sobie, by uznała mnie za idiotkę, która nie potrafi porządnie prowadzić domu.

– Przecież musimy coś zjeść. – Mąż był bezgranicznie zdumiony. Julia znalazła jakieś zwiędnięte warzywa.

– Zrobię zupę – mruknęła gniewnie, wrzucając je do zlewu. Zabrała się do obierania ziemniaków, ale musiała przerwać, bo jej oczy wypełniły się łzami.

Will objął ją ramieniem.

– Co się stało?

– Tu jest tak zimno – szlochała. – I wszystko zabiera mi dziesięć razy więcej czasu, niż przypuszczałam! I jeszcze spadłam z roweru!

W jego głosie natychmiast pojawiła się troska.

– Zraniłaś się?

– Tylko trochę. Dłonie i kolana.

– Muszę je wycalować. – Wyjął nóż z jej ręki i zaczął pieścić każdy jej palec z osobna. Potem uklęknął i ucałował jej stopy i kolana.

W końcu przypomniał sobie, że zostało jeszcze trochę świątecznego ciasta. Zjedli więc ciasto, popijając słodką sherry. Rodzynki rozsypały się między poduszkami, a oni, prawie pijani, zasnęli przytuleni do siebie.

Po trzech tygodniach spędzonych w Hidcote Cottage Julia doszła do wniosku, że praca zawodowa to coś znacznie przyjemniejszego niż prowadzenie domu. Gdy kierowała firmą, często była wykończona i zamartwiała się stanem interesów, ale zawsze miała towarzystwo i jakiś cel. Nigdy nie żyła w takiej izolacji od świata, w jakiej znalazła się teraz. Czuła się samotna, gdy Jack popłynął do Egiptu, czuła się samotna, gdy umarł jej ojciec. Nigdy jednak nie doświadczyła takiej fizycznej izolacji jak teraz, zamknięta w ciemnym, ciasnym domku, pod ciemnym lasem na wzgórzu. Rowerowe wycieczki do wiejskiego sklepiku stanowiły punkt kulminacyjny dnia. Z utęsknieniem też czekała na cotygodniową autobusową wyprawę do Henscombe.

Właśnie w Henscombe spotkała Jacka. Wychodziła akurat z poczty, a on wchodził do środka, nie dało się więc uniknąć tego spotkania. W pierwszej chwili pomyślała, że może wszystko się ułożyć, że może już się przyzwyczaił i znów będą przyjaciółmi, tak jak zawsze.

Jedno spojrzenie w jego lodowate zimne oczy wystarczyło, by zrozumiała, jak bardzo się myli. Niechęć, którą w nich dojrzała, zaszokowała

ją i Julia poczuła, że wzbiera w niej gniew. Co za niesprawiedliwość! Jack jak zwykle obwinia ją za to, co się stało!

Powitała go jednak lekko:

- Jack! Co za spotkanie.
- Muszę załatwić parę spraw dla Carrie.
- No jasne. A jak życie na farmie?
- W porządku.

W porządku. Wolał Carrie Chancellor i Sixfields niż ją!

- W porządku? – powtórzyła. – Tylko tyle?
- To nie jest przyjemna pora roku. I – spojrzał na zachmurzone niebo – będzie jeszcze gorzej. Idzie śnieg.

Julia nie mogła uwierzyć, że Jack rozmawia z nią o pogodzie. Nie mogła się oprzeć pokusie, by go sprowokować, by wytrącić go z równowagi.

– Wygląda na to, że jesteś trochę zawiedziony, Jack? – zadrwiła. – Co się stało? Czyżby Sixfields nie spełniło twoich oczekiwań? Nie jest aż tyle warte?

Udało jej się skupić na sobie jego uwagę. Spojrzał na nią chłodnym wzrokiem i powiedział:

– Sam nie wiem. Człowiek przynajmniej wie, na czym stoi. Domy i pola na szczęście się nie zmieniają. Mają w sobie coś stałego.

– A ja może nie byłam stała? – syknęła rozwścieczona Julia. –Całe lata na ciebie czekałam!

Przechodnie zaczęli zwracać na nich uwagę, chwyciła więc swoje torby i korzystając z tego, że jej przypadło w udziale ostatnie słowo, postanowiła iść w stronę przystanku autobusowego.

– Doprawdy? – zapytał, a ona się zatrzymała. – Fakty świadczą przeciwko tobie, Julio.

Starła się nie stracić całkowicie panowania nad sobą.

– Czy masz na myśli Willa?

Jack pokiwał głową i zagadnął:

– A byli jeszcze inni?

Julia zaniemówiła. Czuła, że jest strasznie zimno, że z ołowianych chmur zaczął padać śnieg i że coraz więcej przechodniów przygląda im się z zainteresowaniem, szukając materiału do plotek.

– Przecież nie chciałeś się ze mną ożenić – powiedziała lodowatym tonem. – Zaproponowałam ci to, a ty odmówiłeś. Nie próbuj mnie teraz obwiniać o to, co sam wybrałeś.

Ruszyła w stronę przystanku. Po chwili Jack ją dogonił.

– Prosiłem, żebyś poczekała. Tylko tyle. Żebyś poczekała.

Ramiona ją bolały, przeciążone wielkimi torbami. Marzyła, by uciec jak najdalej od Jacka, by znaleźć się jak najprędzej w Hidcote Cottage w ramionach kochającego ją bezwarunkowo Willa.

– Zostaw mnie, Jack – poprosiła. – Proszę, zostaw mnie.

– Prosiłem tylko, żebyś zaczekała, Julio, to chyba nie było takie wygórowane żądanie?

Julia stanęła z nim twarzą w twarz.

– Pragnąłeś Sixfields bardziej niż mnie – powiedziała chrapliwym głosem. – Pragnąłeś majątku bardziej niż mnie.

Spostrzegłszy zmianę, jaka zaszła na jego twarzy, zorientowała się, że ugodziła w czuły punkt.

– Tylko przez chwilę, niech mi Bóg wybaczy. Przez parę godzin. Nie więcej. – Jack spuścił wzrok. W jego głosie nie było już gniewu.

– Gdy sobie poszłaś, po naszej kłótni, wyszedłem z domu, by trochę ochłonać. I dotarło do mnie, że zachowałem się jak idiota. Chciałem cię przeprosić, więc poszedłem do Missencourt.

Julia wpatrywała się w niego bez słowa. W jego oczach dojrzała żal i gorycz.

– Poszedłem do Missencourt, żeby ci powiedzieć, że jeśli muszę wybierać między Sixfields i tobą, to wybieram ciebie.

Julia poczuła, że ogarnia ją przeraźliwy chłód. Od środka.

– Nie wierzę ci, Jack – szepnęła.

– Jak chcesz. Ale taka jest prawda. Przyszedłem do Missencourt, żeby ci powiedzieć, że nie chcę Sixfields, jeśli to miałyby oznaczać, że stracę ciebie. Ale ty już znalazłaś sposób, by o tym wszystkim zapomnieć, prawda? Już się zgodziłaś wyjść za Willa. – Na ramionach i włosach Jacka było mnóstwo białych płatków. – Gdybyś zaczekała parę godzin, Julio – rzucił na odchodnym. – Tylko parę godzin.

Jadąc autobusem do domu, Julia patrzyła przez okno na płatki śniegu. Wirowały w złotym świetle reflektorów i latarni; wisiały na drzewach i żywopłotach, odbierając im kolory. Tańczyły i tworzyły zwiewne wiry, osiadały w brzdach, pozostawionych na polach przez pługi. Płatki stawały się coraz większe i liczniejsze, aż wreszcie przesłoniły całkiem horyzont. Niebo, wzgórza i pola stopiły się w całość, skryte za gęstwiną wirujących, żółtawoszarych plamek. Dobrze znany krajobraz wydawał się całkiem obcy, a swą monotonią przypominał teraz pejzaże charakterystyczne dla obszarów położonych dalej na północ.

Gdybym tylko zaczekała godzinę albo dwie, pomyślała Julia. Przycisnęła palce do ust. Bała się, że krzyknie.

Gdybym zaczekała...

Opuściwszy Henscombe, Jack zjechał na pobocze i zapalił papierosa. W ciągu pięciu minut śnieg przykrył starego bentleya Carrie grubą warstwą i Jack miał wrażenie, że siedzi w jaskini.

Czując, iż nie zniesie samotności, postanowił odwiedzić Marcję Vaughan. Poznał ją parę miesięcy temu w kawiarni w Bridport, poprosiła go o ogień i zaczęli rozmawiać. Parę minut wystarczyło, by się zorientował, że nowa znajoma jest nim zainteresowana i świetnie zna zasady gry. Tydzień później zostali kochankami.

Marcia miała troje dzieci, wszystkie w szkołach z internatem, i męża, który pracował w londyńskim City, w Bridport zaś bywał tylko podczas weekendów. Mieszkała w dużym domu na przedmieściu, w odpowiedniej odległości od wścibskich sąsiadów. Jack jednak na wszelki wypadek zaparkował samochód w bocznej uliczce i poszedł do Marcji na piechotę.

Dostrzegła go zapewne z okien na piętrze, bo nim dotarł do drzwi, usłyszał jej kroki na schodach. Drzwi się otworzyły, zanim zdążył nacisnąć dzwonek.

– Nie spodziewałam się ciebie, kochanie – powiedziała. – Jest taka okropna pogoda...

Jack nic nie odpowiedział, tylko wziął ją w ramiona i pocałował, rozpinając jednocześnie wszystkie guziki, zapinki i haftki. Po chwili Marcia go odepchnęła.

– Ale jesteś dziś niecierpliwy... – Zarumieniła się nieco. Jack znów chciał ją objąć, ale pokręciła głową.

– Nie tutaj, Jack. Nie na podłodze w przedpokoju.

Potrzebował prawie dwóch godzin, by pokonać dwadzieścia dwa kilometry, wracając na farmę. Zamieć wzmagająca się z każdą minutą, a szalejący wicher przeganiał wciąż śnieżne wiry przed maską samochodu. Bentley był wprawdzie duży i solidny, ale koła często traciły przyczepność. Kilkakrotnie Jack musiał wysiadać z samochodu, by odgarnąć zasy, blokujące mu drogę.

Gdy wjeżdżał na dziedziniec w Sixfields, spostrzegł Carrie, mocującą się z drzwiami od stodoły.

– Gdzie ty się podziewałeś, Jack? – Musiała krzyknąć, żeby ją usłyszał pomimo wiatru.

– Byłem w Henscombe. – Podniósł ramię i bez trudu zamknął drzwi na zasuwę.

Poszedł za Carrie do domu. Płatki śniegu spadały z jej ubrania, gdy kuśtykała korytarzem. Pomimo płaszcza przeciwdeszczowego, jej włosy i ubranie niemal ociekały wodą.

– Powinieneś być tutaj – warknęła. – Musiałam przygnać bydło z pastwiska razem z Markiem Crabtreem. Wiatr zdmuchnął brezent ze stogu siana.

– Zajmę się tym.

Gdy wychodził z domu, słyszał za sobą jej skrzeczenie:

– Cudzołóstwo to grzech, Jack!

Musiał z całej siły zagryźć zęby i zacisnąć palce, by nie wygarnąć tej potwornej kobiecie, co o niej myśli.

Zmagając się z wiatrem, by przymocować brezent, osłaniający siano, rozładował trochę swój gniew. Obszedł farmę, by sprawdzić, czy wszystko jest

w porządku, i wrócił do domku. Czuł ból w każdym mięśniu. Nie jadł nic od południa. Przygotował sobie jaja na bekonie i nalał trochę jabłecznika.

Słowa Carrie dźwięczały wciąż w jego uszach. „Cudzołóstwo to grzech, Jack”. Kuzynka była religijna tylko wtedy, gdy jej to pasowało. Nigdy nie chodziła do kościoła i była bardzo niemiła dla pastora, gdy ten zjawiał się w Sixfields. Jack natomiast stracił zaufanie do wiary rodziców gdzieś na bitewnych polach we Włoszech. Wolałby wierzyć, lecz nie był w stanie. Widział rzeczy, o których nie tylko nie chciał rozmawiać, ale wolał nawet nie myśleć. Podczas najstraszliwszych scen, jakie pozostały w jego pamięci, ręka Boga nie zawahała się nawet przez chwilę.

A co do reprimendy Carrie, dotyczącej jego życia seksualnego... Jak ona śmie komentować jego prywatne sprawy? Nie jest jego właścicielką. Tylko pracodawczynią.

Usłyszał znów głos Julii. „Pragnąłeś Sixfields bardziej niż mnie. Pragnąłeś majątku bardziej niż mnie”. Kołysząc szklanekę w dłoniach, jęknął głośno.

Pięć miesięcy temu, gdy tylko Julia ogłosiła swoje zaręczyny z Willem, Jack przeniósł się do Sixfields. Mieszkał w domku, który opuściła służąca Carrie, i harował w pocie czoła od świtu do nocy przez siedem dni w tygodniu. Praca była wyczerpująca i wymagająca, ale bardzo mu się podobała. Miał jedynie zastrzeżenia do zachowania Carrie. Żądała od niego coraz więcej. Nie chwaliła go za wysiłki i znajdowała przyjemność w wytykaniu błędów. Obrażała się, gdy proponował jakieś zmiany: kupno nowego sprzętu, zatrudnienie jeszcze jednego pracownika, zastosowanie nawozów. Nie rozumiała, że poczynione inwestycje zaprocentują w przyszłości.

– To zbyt ryzykowne, Jack. – Kręciła głową. – Czy ty myślisz, że ja śpię na pieniądzach?

Namiętność, którą kiedyś czuł do Julii, skierował teraz całkowicie na Sixfields. Zaręczyny Julii z Willem potwierdziły jego najgorsze podejrzenia. „Płocha” – powiedziała o niej Carrie i, rzeczywiście, trudno o większą niestałość niż oświadczyć się jednemu bratu, a zaręczyć z drugim w ciągu jednego popołudnia.

Od czasu do czasu pancierz jego gniewu atakowały inne myśli. Że miał szansę, którą zmarnował. Że to jego odmowa rzuciła Julię w ramiona Willa. Że gdy Carrie pomachała mu przed nosem farmą, obudziła jego najgorsze instynkty.

Jack sięgał po różne środki, by uwolnić się od tych myśli. Pił znacznie więcej niż przedtem. Romansował najpierw z barmanką w Great Missen, potem ze śliczną ekspedientką z Dorchester, a ostatnio z Marcją. Raz czy dwa Marcja zjawiała się w jego domku. Zaproponował to, mając na względzie jej reputację, a nie swoją własną. Nie przyszło mu nawet do głowy, że Carrie będzie się tym interesować. Sądził, że jako stara panna nie ma o tych sprawach zielonego pojęcia.

Wyrzął przez okno. Od wielu lat nie oglądał śniegu. Przypomniawszy sobie Egipt i zatęsknił za błękitnym niebem, słońcem i ciepłem. Nie cierpiał ciasnej wysepki, jaką stała się Anglia. Nie znosił ludzi, którzy narzekali na system racjonowania żywności, zapominając o cierpieniach, zadanych ich obrońcom w obozach, zapominając o tych, którzy zginęli. Nienawidził spekulantów, którzy wykorzystywali ludzką zachłanność i zmęczenie.

Sącząc jabłecznik, pomyślał, że przestał już chyba wierzyć w cokolwiek. Nie wierzył w Boga, nie wierzył w swój kraj i nie wierzył w kobietę, którą

kochał. Nie mogąc znieść widoku brata, odciął się od rodziny. Stracił kontakt z przyjaciółmi z wojska i miał niewiele wspólnego z przedwojennymi znajomymi. Miłość oznaczała dla niego teraz tylko seks, chociaż czuł, jak wiele przez to traci.

Zamieć śnieżna szalała wszędzie, od Archangielska przez Skandynawię po Wielką Brytanię. Po trzech dniach płatki śniegu tańczące w gwałtownym wichrze zmieniły nie do poznania krajobraz całego kraju. Pięć dni później nadeszła kolejna burza śnieżna. Zamarzła Tamiza. Lodowe kry płynęły od brzegów Norfolk w głąb wzburzonego, szarego morza. Słońce skryło się za chmurami i pozostało tam na długie tygodnie.

Wielka Brytania stanęła w miejscu. Opady śniegu przyczyniły się do pogłębienia kryzysu paliwowego, na który wpłynęły już znacząco strajki pracowników transportu oraz brak węgla. Drogi i linie kolejowe były zablokowane, statki z węglem uwięzły w lodzie w portach na północy kraju. Fabryki i biura zostały zamknięte. Wyłączono światła drogowe i wszystkie windy. Rząd wprowadził znów regulację dotyczącą korzystania z energii elektrycznej: za używanie kuchenek lub grzejników elektrycznych między dziewiątą a dwunastą i między czternastą a szesnastą można było zapłacić grzywnę.

Mieszkańcy Hidcote Cottage korzystali z energii elektrycznej z prywatnej linii poprowadzonej z odległego o półtora kilometra majątku. Prąd został wyłączony już podczas pierwszej zamieci, więc Julia wydobyła lampy naftowe i świece. Na szczęście wciąż mogła palić w piecu kuchennym. Will zrobił tobogan z metalowej płyty i drewnianych płóz i Julia wędrowała z tym urządzeniem do najbliższego sklepu, by kupić puszki i niepsującą się żywność. Na początku nawet nieźle się bawiła, zupełnie jakby w szkole rozpoczęły się

nieoczekiwane ferie. Mieszkali w kuchni, bo tylko w tym pomieszczeniu była znośna temperatura. Przestali się przebierać na noc. Wślizgiwali się pod koce i pierzyny w płaszczach, swetrach i spodniach. Pili kakao, jedli pieczone ziemniaki z groszkiem z puszki i grali w karty. Żyli jak na bezludnej wyspie. Tyle że akurat w tym momencie Julii wcale to nie przeszkadzało.

Gdy zabrakło im węgla (a nie można go już było kupić ani w Henscombe, ani w Bridport; zdaje się, że węgla nie było w całej południowo-zachodniej Anglii), zaczęli palić w piecu drewnem. W ciągu dwóch dni wyczerpały się także jego zapasy. Will pociął więc pudła po rzeczach i wrzucił je do pieca. Gdy jednak zabrakło nawet pudeł, jego optymizm przygasł. Zaproponował Julii, by przeniosła się do Missencourt albo do domu jego rodziców. Julia jednak odmówiła.

Następnego ranka obudziła się z bólem gardła i głowy. Will włożył wełniany płaszcz, szalik, kapelusz, rękawice i wysokie buty i wyruszył do warsztatu. Wyjaśnił, że przyniesie trochę drewna i parafiny do lampy. Gdy wyszedł, dom wydał się Julii przeraźliwie cichy i zimny. Światło przenikające przez zachmurzone niebo oraz śniegowy baldachim okrywający okoliczne drzewa było tak nikłe, że nawet o poranku w kuchni panował posepny półmrok. Bezwiednie włączyła radio, ale ono, oczywiście, nie wydało żadnego dźwięku. Od czytania głowa bolała ją jeszcze bardziej, a poza tym było stanowczo za ciemno. Trudno grać w karty z samą sobą. Julia mogłaby wprowadzić trochę posprzątać, bo w kuchni panował wielki nieład, ale czuła się zbyt zmęczona. Gdy zajrzała do pieca, spostrzegła, że pozostał w nim tylko czerwonawy żar. W wiadrze nie uchował się nawet kawałek węgla.

Julia weszła do komórki. Stała tam tylko szafa od kuzynki Carrie, na podłodze leżało parę kawałeczków kory, a na pajęczynach wisiały zamarzniete

pajaki. Will wróci dopiero za parę godzin, a w tym malutkim domku będzie coraz zimniej i zimniej, ona będzie coraz bardziej senna, aż w końcu zamarźnie, tak jak te pajęczki.

Przyszło jej do głowy, że może miał jednak rację, może powinna wrócić do Missencourt. Nie miała na to ochoty ze względu na Suzanne, ale przecież Suzanne tak czy inaczej jest jej bratową i nic tego nie zmieni. Julia tęskniła za bratem; tęskniła nawet – tu łzy zakręciły się w kącikach jej oczu – za matką.

Kawałki kory, które wrzuciła do pieca, zamieniły się w czerwo–noszary popiół. Nie wolno ci wyjść na dwór, napominała się w duchu.

Wróciła do komórki i ogarnęła spojrzeniem szafę oraz siekierę wiszącą na gwoździu na drzwiach. A potem chwyciła siekierę dwiema rękami i uderzyła w drzwi szafy.

Odgłos metalu walącego w drewno poprawił jej humor. Wystarczyło kilka uderzeń, by rozłupać drzwi na pół. Kawałki dębowych desek wyleciały w powietrze, a potem spadły na podłogę. Julia uderzała dalej. Dźwięk rąbanego drewna odbijał się echem od ściany zagajnika.

Po chwili wycieńczona oparła się o ścianę, kaszląc i słaniając się ze zmęczenia. Wszystkie mięśnie ją bolały, dłonie miała poranione. Minęło trochę czasu, nim zdołała zebrać kawałki drewna i wrócić do kuchni. Uklękła przed piecem i zaczęła wrzucać dębowe szczapy, jakby składała ofiarę jakiemuś groźnemu bóstwu. Gdy ogień zaczął znów płonąć, zwinęła się w kłębek na fotelu, rozgrzana i roztrzęsiona.

Po jakimś czasie wrócił Will, ciągnąc za sobą wyładowany tobogan. Gdy porąbał na kawałki resztki szafy i na podłodze w kuchni wyrósł stos ciemnych szczap, przytulili się do siebie na sofie. Zasypiając, Julia śniła o srebrzystym domku, stojącym w samym sercu gęstego lasu. Okna miał białe i matowe, nie

mogła więc zajrzeć do środka. Obudziła się, drżąc z zimna i ze strachu, a wycie wiatru przypominało do złudzenia głos wilka.

Rano głowa wciąż ją bolała, a ręce i nogi drżały. Julia uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że jest chora. Will jeszcze spał. Wstała ostrożnie, by go nie obudzić, i otuliła się kocem. Ogień w piecu zgasł gdzieś w środku nocy.

Otworzyła frontowe drzwi i wyszła na podwórze. Niebo było szare i zachmurzone, Julia ledwo widziała ścieżkę wiodącą przez las. W pewnej chwili dojrzała jednak postać brnącą uparcie pod górę w stronę domku. Chciała podbiec do niespodziewanego gościa.

– Marius! – krzyknęła. – Marius!

Potknęła się i przewróciła, ale wciąż starała się iść w stronę brata.

Julia zapadła na poważną gripę. Przez cały tydzień kaszlała, leżąc w łóżku w swym dawnym pokoju w Missencourt. W kominku płonął ogień, a matka regularnie przynosiła jej talerze pełne zupy i filiżanki z herbatą.

Na początku gardło bolało ją tak bardzo, że nie mogła mówić. Drzemała tylko i spała, szukając pozycji, w której nogi i ręce mniej by ją bolały. Potem poczuła się nieco lepiej, ale osłabienie nie pozwalało jej się ruszyć z łóżka, miała więc dużo czasu, aby myśleć. Ale jej wnioski nie były pokrzepiające.

Pewnego popołudnia ktoś zapukał do drzwi. Podniosła głowę, spodziewając się ujrzeć matkę.

Do pokoju zajrzała Suzanne. Julia usiadła na łóżku.

– Gdzie mama?

– Zasnęła w dużym pokoju na kanapie. Była bardzo zmęczona. Zastanawiałam się, czy nie masz na coś ochoty... może na herbatę...

Julia w pierwszym odruchu chciała poprawić Suzanne – nie na kanapie, tylko na sofie i nie w dużym pokoju, ale w salonie. Powstrzymała się jednak i pokręciła głową.

– W tym tygodniu wypiałam już chyba kilka litrów herbaty. Z pewnością więcej niż swój przydział.

– Może kakao?

– Nie, dziękuję, nie mam na nic ochoty.

– Rozumiem. – Suzanne chciała już zamknąć drzwi, gdy Julia szepnęła:

– Tylko... –Tak?

– Trochę się nudzę.

– Mogłabym zostać i porozmawiać z tobą chwilę. – W głosie bratowej zabrzmiało wahanie.

Julia usłyszała swój własny głos:

– Byłoby mi miło.

Suzanne usiadła w fotelu pod oknem. Miała na sobie ciemne spodnie i kilka swetrów włożonych jeden na drugi. Małostkowy głos podszeptował Julii: „nie jest wcale ładna, to całkiem zwyczajna dziewczyna”. Ale jej szlachetniejsza część, ta która postanowiła wyciągnąć rękę do bratowej, podpowiadała, że w tej chwili sama nie wygląda chyba najlepiej.

Zapadła cisza. Potem Julia powiedziała schrypniętym głosem:

– Will... Od dawna nie widziałam Willa.

– Był tu przez parę dni, a potem wrócił do warsztatu. Zaczęto już odśnieżać drogi i Will naprawia jakąś ciężarówkę i odśnieżarkę.

Julia przypomniała sobie Tarę.

– Gdzie twoja córka?

– Z Mariusem. Lepią bałwana.

– A dlaczego Marius nie jest w pracy? Czy to niedziela? – Julia straciła rachubę.

– Dziś mamy wtorek. – Suzanne odsłoniła okno, wpuszczając do wnętrza chłodne, jasne światło. Na szybach mróz namalował kwiaty. – Firma została zamknięta na dwa tygodnie z powodu deficytu energii elektrycznej.

– Och! – jęknęła Julia. Na dwa tygodnie! Warsztaty były zamknięte tylko raz, przez jeden dzień, gdy umarł ojciec. – To okropne. Marius musi się strasznie martwić.

Suzanne wodziła palcem po splotach swego swetra.

– Prawie przez cały czas rąbie drewno do kominka. Zdaje się, że dzięki temu czuje się trochę lepiej.

– Wszyscy oprócz mnie są tacy pożyteczni. – Julia była przygnębiona.

– Mężczyźni lubią heroiczne przedsięwzięcia, prawda? – powiedziała Suzanne dość cynicznie. – Rąbanie drewna albo odśnieżanie. Nie zajmują się takimi głupstwami jak zakupy albo pranie.

Julia się uśmiechnęła. Przypomniała sobie ten wieczór, gdy oboje z Willem jedli ciasto świąteczne, ponieważ w domu nie było nic do jedzenia.

– Ja też kiepsko sobie z tym radziłam. Sądziłam, że będę doskonałą gospodynią, ale okazałam się w tym beznadziejna.

Suzanne uniosła brwi.

– A dlaczego chciałaś zostać doskonałą gospodynią?

– Nie warto się do czegokolwiek zabierać, jeśli nie będziemy w tym najlepsi, nie sądzisz?

Julia wyjrzała przez okno i spostrzegła, że znów zaczął padać śnieg. Usłyszała łagodny głos bratowej:

– Czasami trzeba się zadowolić tym, co przynosi życie.

– W każdym razie ja byłam beznadziejna. I nie znosiłam zajęć domowych. – Julia zamrugała i wydmuchała sobie nos.

Suzanne spojrzała na swą szwagierkę:

– Marius opowiadał mi, jak dzielnie się spisałaś w czasie wojny, zarządzając firmą. To nie było łatwe.

– Bardzo mi brakuje tej pracy – wyznała Julia. – Bardzo mi brakuje firmy. Choć nie sądziłam, że do tego dojdzie. A czy ty tęsknisz za armią?

– Czasami.

– Podobało ci się tam?

– Bardzo.

– Ja za nic w świecie nie chciałam wstąpić do wojska.

– Sądzę, że to kwestia wcześniejszych doświadczeń – odrzekła Suzanne rzeczowo. – Ja mieszkałam w jednym pokoju z siostrami i pracowałam w warzywniaku. Przestałam chodzić do szkoły, gdy miałam czternaście lat. Chciałam się dalej uczyć, ale rodzice mi nie pozwolili. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wyrwę się z domu. Świetnie się czułam w wojsku. Wolałam jeździć gazikiem, niż ważyć ziemniaki. I dobrze mi szło. Szybko dostałam stopień kaprała.

– Ja byłabym beznadziejna – westchnęła Julia. – Nie znoszę, gdy ktoś mi mówi, co mam robić.

– Pierwszego dnia w obozie spoliczkowałam moją przełożoną za to, że kazała mi podciągnąć skarpety. Nie rozumiałam, dlaczego ta krowa wtrąca się do moich prywatnych spraw. Za karę musiałam przez cztery godziny obierać ziemniaki, a to było jeszcze gorsze niż praca w warzywniaku.

Gdy Suzanne się uśmiechała, jej rysy się zmieniały, jakby opromieniało ją jakieś wewnętrzne światło. Może jej uroda nie jest wcale taka pospolita, przyznała trochę niechętnie Julia.

Bratowa się podniosła.

– Pójdę już wyratować Mariusa z opresji. – Zatrzymała się w drzwiach i dodała niepewnie: – Będzie lepiej. Gdy urodzą się dzieci. Dzięki nim świat staje się całkiem inny. Człowiek jest gotów zrobić dla nich wszystko.

Gdy Suzanne wyszła, Julia wstała z łóżka, opatuliła się pledem i podeszła do okna. Zobaczyła przechodzącego przez trawnik brata. Tara siedziała mu na ramionach i śmiała się głośno.

Chociaż myśl o powrocie do Hidcote Cottage przepełniała ją trwogą, Julia wiedziała, że musi wrócić. Przyrzekła sobie przekształcić to pępne miejsce w coś, co przypomina dom. Gdy pomyślała o swym małżeństwie, też miała poczucie, że za mało się stara, by było udane, i że oboje z Willem utknęli w dziwnej krainie gdzieś między przyjaźnią a miłością.

Patrzyła, jak Suzanne podchodzi do Mariusa i Tary. Tara ześlizgnęła się z ramion ojca i podbiegła do matki, a potem cała trójka wróciła do domu. Julia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że między bratową a Mariusem wciąż jest dziwny dystans i że wszystkie pieszczoty i pocałunki Suzanne są przeznaczone dla córki. Przez chwilę zapomniała o własnych kłopotach i zaczęła się obawiać o brata.

Woda w studni na podwórku w Sixfields zamarzła. Pasternak i rzepeę trzeba było wyrąbywać spod ziemi siekierami. Korzystając z chwili ciszy pomiędzy zamieciami, Jack pomógł odgarnąć śnieg z drogi dojazdowej, żeby ciężarówki dowiozły żywność i węgiel.

Carrie nie pozwalała mu na chwilę wytchnienia. Szybko pozbawiła go wszelkich złudzeń co do tego, że drzemie w niej odrobina serca i że w ciężkich chwilach do głosu dojdzie lepsza część jej natury. Bez względu na to, jak ciężko Jack pracował, i tak wytykała mu błędy. Gdy po dwunastogodzinnym dniu pracy wracał do domu w przemoczonym i zamarzniętym ubraniu, ogarniała go złośliwym spojrzeniem.

– Już skończyłeś, Jack? – mówiła. – Ręce nie powinny nigdy próżnować.

Uwielbiała go drażnić. Jack starał się ignorować jej złośliwości, wiedząc, że jakikolwiek odzew z jego strony spowoduje kolejne prowokacje. Ale pewnego wieczoru nie wytrzymał.

Przez cały dzień wydobywał z zasp martwe, nowo narodzone jagniątko. Zakopał je, wiedząc, że gdy tylko nadejdzie odwilż, padlina zwabi szczury i muchy. W mroźnym powietrzu unosił się nieprzyjemny odór. Potem zepsuła się oś traktora i Jack musiał się położyć na ziemi w stodole, a lodowaty metal parzył mu palce, gdy odkręcał śruby. Przydałby się ktoś do pomocy, więc pomyślał o Willu, żałując, że go tu nie ma.

Sekundę później przypomniał sobie oczywiście, że nie widział już brata od sześciu miesięcy, a także dlaczego nie widział go od sześciu miesięcy. Zmarznięty i wykończony, zaczął sobie wyobrażać wszystko, co najgorsze. Zastanawiał się, jak długo Julia i Will czekali. Czy rzucili się sobie w ramiona, gdy tylko Jack wyszedł z domu? A może wtedy, gdy jego statek płynął do Afryki? Może Will wykorzystał żałobę Julii i pocieszał ją tak intensywnie, że przyjacielskie stosunki zmieniły się w coś innego?

Usłyszał jakiś dźwięk za swoimi plecami. Do stodoły weszła Carrie.

– Jeszcze niegotowe?

Jack pokazał jej uszkodzony kawałek metalu.

– Zawiozę to jutro do kowala.

– Zawiesz to dziś, Jack. – Carrie obróciła się na pięcie, zmierzając ku wyjściu.

Był na nogach od czwartej nad ranem.

– Nie – odparł.

Na chwilę postukiwanie laski o podłogę ustało.

– Nie poradzimy sobie bez traktora.

– Jestem zmęczony – oświadczył Jack. – To może poczekać.

– Zmęczony! Biedactwo! – szydziła bezlitośnie. – Może mam cię otulić pierzynką i przynieść kakao do łóżka?

– Suka – mruknął. Miał zamiar powiedzieć to bardzo cicho, ale słowo odbiło się echem od ścian przestronnej stodoły, a twarz kuzynki stężała. Carrie podeszła do niego natychmiast.

– Jeszcze nie jesteś właścicielem tej farmy, Jack – powiedziała.

Możesz sobie zatrzymać tę przekłętą farmę... – Gniewne słowa, które cisnęły mu się na usta, zamarły niewypowiedziane. Popatrzył jej w oczy, a satysfakcja, jaką czerpała z władzy nad nim, zmroziła mu krew w żyłach. Usłyszał swój własny głos: – Przepraszam.

A gdy Carrie odeszła, musiał się podeprzeć, by nie upaść.

Po chwili podniósł z ziemi uszkodzoną część osi, zawinął ją w szmatę i pojechał do kowala. Koła samochodu ślizgały się po świeżym śniegu. Bolały go wszystkie mięśnie, nie mógł znieść swojego widoku w lusterku. W uszach dźwięczały mu słowa Julii: „Mam nadzieję, że znienawidzisz Sixfields. Mam nadzieję, że będziesz tam nieszczęśliwy. Mam nadzieję, że będziesz tak samotny, nieszczęśliwy i szalony jak twoja kuzynka Carrie”.

Parę dni później ruszył zdradliwą wciąż i niebezpieczną drogą do Bridport i do Marcii. W sypialni rozebrał ją do naga, i zaczął kochać się z nią, nie myśląc o jakiegokolwiek grze wstępnej. Potem położył się na wznak z zamkniętymi oczami, a ona powiedziała:

– Skoro już się wyładowałeś, to teraz zechciej sobie przypomnieć, że nie jesteś sam w tym łóżku.

Jack z wielką wprawą doprowadził ją do orgazmu. Potem, gdy zapalił papierosy dla siebie i dla niej, Marcia zapytała:

– Masz zły dzień, Jack?

Wzruszył ramionami. Poprzedniej nocy śnił o Julii. Sen trwał bardzo długo, przepełniony gniewem i tęsknotą. Pamiętał, że Julia odrzuciła do tyłu swoje jasnobrązowe włosy długimi, szczupłymi, jasnymi palcami.

Minęła chwila, nim uzmysłowił sobie, że Marcia się ubiera. Przyglądał się jej z uwagą, rejestrując kształt ciężkich piersi i linię zaokrąglonego brzucha z niewielkimi rozstępami.

– Kiedy się znów zobaczymy? – zagadnął.

– Chyba nigdy, mój drogi.

Jack zgasił papierosa w popielniczce.

– Czy Ronald wraca do domu?

Ronald był mężem Marcii. Kobieta pokręciła głową. Jack usiadł na łóżku.

– To dlaczego mielibyśmy się nie zobaczyć?

Marcia przerwała wkładanie pończochy.

– Dlatego, że ty nie masz serca, Jack. Dlatego że – zmierzyła go spojrzeniem swych niebieskich oczu – dlatego, że masz tylko kawałek lodu tam, gdzie powinno być serce.

– Wydawało mi się, że oboje dobrze się bawimy.

– Doprawdy? W takim razie masz bardzo dziwne wyobrażenia na temat dobrej zabawy.

Chciał przerwać tę nieprzyjemną scenę. Wstał i podszedł do Marcii, ale się cofnęła.

– Rzecz w tym, że to nie ze mną chciałeś iść do łóżka, prawda? Nie mam pojęcia z kim i nie chcę nawet wiedzieć, ale nie ze mną.

Gdy Jack wrócił do Sixfields, zaczął padać deszcz. Krople spadające na zmrożoną ziemię zamieniały się szybko w grubą warstwę lodu. Lód pokrył przewody telefoniczne, wrywając je ze słupów. Lód sprawił, że żywopłoty i domy wyglądały jak białe rzeźby o fantastycznych kształtach. Lód przycisnął gałęzie drzew, wyłamując je niejednokrotnie z pni. Gałęzie spadały na ziemię, a lodowe sople rozbijały się jak szkło.

Sixfields wtopiło się w ten zakłęty pod warstwą śniegu krajobraz. Kamienne ściany wyglądały tak, jakby ktoś je wyciął ze śniegowych bloków. Ornamenty zdobiące futryny okien i drzwi pokryły się warstwą lodu, na szybach pojawił się przezroczysty lodowy filtr, który sprawił, że zaczęły przypominać powierzchnię jezior. Całe otoczenie zamarło i znieruchomiało. Żaden ptak nie pojawiał się na tle zachmurzonego nieba; we wnętrzu domu, skrytym za zamarzniętymi szybami, także nie widać było najmniejszego ruchu. Lodowy całun, który przykrył dwór, rzucił czar na jego mieszkańców. Uwięził ich na dobre.

Lodowy pałac, pomyślał Jack, oto, gdzie przyszło mu mieszkać. W lodowym pałacu.

6

Po świętach Topaz podjęła pracę w biurze firmy transportowej w Kilburn; gdy kierowcy ciężarówek zaczęli strajkować, a Wielka Brytania znieruchomiała pod śniegiem, przedsiębiorstwo zamknięto. I nie otwarto go nawet w kwietniu, gdy zima w końcu odeszła.

Topaz zaczęła więc pisać na maszynie w firmie prawniczej, mającej swą siedzibę w Marylebone. Siedziała razem z dziewiętnastoma innymi dziewczętami w pokoju, w którym przez jedyne, umieszczone bardzo wysoko okno widać było tylko kawałek nieba i kilka kominów. Nad maszynistkami czuwała panna Brakespear. Żeby dotrzymać kroku pozostałym dziewczętom, Topaz stukała w klawiaturę szybko, ale na chybił trafił, i gdy panna Brakespear odwracała wzrok, wyrzucała zniszczone kartki do kosza. Kierowniczką dojrzała jednak sokolim okiem, że Topaz nie opanowała techniki maszynopisania, i zdarzyło się to, co się zdarzyć musiało. Topaz znów siedziała w kawiarni w towarzystwie Franceski i jadła ciasteczka.

Opowiadała właśnie przyjaciółce o swej sromotnej klęsce w firmie prawniczej, gdy drzwi się otworzyły i do kawiarni wkroczyła grupka przyjaciół. Francesca szepnęła:

– Popatrz, już są.

Stali bywalcy kafejki przy Leicester Square byli młodzi, hałaśliwi i beztroscy, a przy tym roztaczali wokół siebie atmosferę splendoru, której Topaz i Francesca zazdrościły im już od paru miesięcy. Zawsze siadali w odległym kącie, a ich przybycie zmieniało nie do poznania zaniedbaną kawiarenkę. Łuszcząca się farba nagle zaczynała jaśnieć, zmęczeni klienci prostowali się, a na ich twarze wypływał uśmiech.

Paczkę przyjaciół tworzyło czterech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna zawsze miała upięte na czubku głowy grube, jasne warkocze, młodsza, brunetka, była ostrzyżona na pizia a la Louise Brooks. Obie nosiły ciemne, dzianinowe bluzeczki z krótkim rękawem, dopasowane w biodrach, i rozszerzające się kloszowe spódnice. Twarze miały blade, jeśli nie liczyć karminowych ust.

Topaz i Francesca starały się trzymać papierosy tak jak blondynka, wypuszczały małe kłęby dymu z półprzymkniętymi powiekami i głowami odchylonymi w tył. Spruły niebieskie szkolne sweterki, żeby wydziierać bluzki z krótkim rękawem. Topaz wzięła szminkę i puder z maminej toaletki, a Francesca obcięła proste włosy na pizia.

Stawały przed lustrem w ciasnej damskiej toalecie i patrzyły na swe blade, szkarłatnousto odbicia.

– Za dużo, za dużo tej dekadencji – mruknęła Topaz i obie musiały oprzeć się o umywalkę, by się nie przewrócić ze śmiechu.

Lato 1947 roku było upalne i parne, jakby natura chciała wynagrodzić wszystkim uciążliwą zimę. W powietrzu wisiała przytłaczająca cisza. Topaz żyła w półśnie, jakby nic jej nie dotyczyło. Jakby niewidoczny i lśniący niczym upalna mgiełka mur oddzielał ją od wszystkich małych klik i enklaw, które składały się na londyńskie towarzystwo. Wszyscy szeptali wciąż o sekretach, o których ona nie miała pojęcia. Zastanawiała się, czy zawsze już tak będzie, czy też kiedyś i ona znajdzie się w centrum wydarzeń. Coś w niej bowiem nieustannie wrzało, jakby niecierpliwość i apetyt na życie szukały ujścia.

Zaczęła pracować w agencji usług domowych na West Endzie. Pod koniec pierwszego tygodnia pracy spotkała się z Francescą w kawiarni. Tamci

już siedzieli przy swoim stoliku, czterej mężczyźni, blondynka z warkoczami i dziewczyna ostrzyżona na pazia.

Topaz postawiła herbatę i ciastka na tacy. Musiała przejść obok nich, by dotrzeć do swego stolika. Czuła się wielka i niezgrabna, a na dodatek wiedziała, że się oblewa rumieńcem. Wciągnęła brzuch i starała się iść takim krokiem, jakiego uczono ją w szkole. „Głowa do góry i wciągnij pupę, Topaz Brooke!”.

Nagle się potknęła, taca zachybotwała i strumień herbaty wylał się wprost na spódnicę brunetki.

- Na miłość boską...
- Przepraszam, bardzo przepraszam. – Topaz miała ochotę umrzeć.
- Moja spódnica...
- Mam chusteczkę w kieszeni...
- Jest zniszczona...

Brodaty mężczyzna siedzący na drugim końcu stolika powiedział:

- Nie rób tyle zamieszania, Claudette.
- Będę musiała pójść do domu i się przebrać.
- Ależ Claudie. – Sąsiad Claudette osuszył spódnicę chusteczką. –

Widzisz? Już wszystko w porządku.

Dziewczyna wydeła wargi.

- Jeszcze tu, Charlie. Jeszcze tu jest kropla.

Charlie miał zmierzwione, kręcone, czarne włosy i roześmiane oczy. Topaz zastanawiała się, czy przypadkiem z niej się nie śmieje. Ale właśnie wtedy popatrzył na nią i powiedział:

- Wszystko w porządku. Nie martw się, nic się nie stało.

Zdołała jakoś pokonać dystans dzielący ją od stolika, przy którym siedziała Francesca. Ręce jej drżały, gdy stawiała tacę. Usiadła, chwytając się dłońmi za głowę, i mruknęła:

– Ale ze mnie niezgrabna idiotka... Francesca ścisnęła ją za ramię.

Claudette, Charlie i ich przyjaciele zaczęli zbierać się do wyjścia. Charlie zatrzymał się na moment koło stolika dziewcząt.

– Dlaczego zawsze to robisz?

– Co? – Topaz nie zrozumiała.

– Dlaczego zgniatasz lukier w kulkę?

– Och. Dzięki temu mam całkiem okazały słodki kęs, a nie jakieś okruchy.

– I lubisz taki okazały słodki kęs?

– Wtedy lepiej się czuje smak, nieprawdaż?

– Pewnie masz rację. – Wyszedł z kawiarni.

Gdy drzwi się za nim zatrzasnęły, Francesca syknęła:

– Przyglądał się nam! Zauważył nas!

– On nas zauważył! – Topaz patrzyła na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami. – Och, Fran.

W poniedziałek Charlie przyszedł do kawiarni sam. Znowu zatrzymał się koło stolika Topaz i Franceski.

– Można prosić o ogień?

Francesca odsunęła krzesło.

– Twoich przyjaciół jeszcze nie ma. Możesz usiąść z nami, dopóki nie przyjdą.

Topaz wstrzymała oddech.

– Dzięki – powiedział Charlie i usiadł.

– Masz ochotę na bułeczkę? – Topaz popchnęła w jego stronę swój talerzyk.

– A ty nie chcesz?

Pokręciła głową.

– Nie jestem głodna. – To nieprawda: wprost umierała z głodu. Odetchnęła z ulgą, gdy zaproponował:

– Podzielimy się. – Przekroił bułeczkę na dwie części. A potem wyciągnął rękę. – Nazywam się Charlie Finch.

– Topaz Brooke.

– Francesca Lovatt.

Topaz zabrała się do zdrapywania lukru ze swojej części. Uśmiechnęła się do Charliego.

– Obserwowałeś nas.

– Lubię obserwować ludzi – tłumaczył im. – Zastanawiam się, kim są... gdzie mieszkają... co robią. I pożyczam jakąś część ich osobowości.

– Pożyczasz?... Charlie się roześmiał.

– Proszę się nie martwić, nie jestem Sinobrodym. Pożyczam... gesty, głosy. Jestem aktorem, choć na razie pracuję w biurze. Jako młodszy urzędnik.

– Podoba ci się ta praca?

– Coś straszego. Potworność. A czym wy się zajmujecie?

– Ja jestem recepcjonistką – wyjaśniła Topaz – w biurze pośrednictwa dla pomocy domowych. Prowadzę książkę spotkań, odbieram telefony, zajmuję się klientami.

– No tak. Masz właściwy głos do tego rodzaju pracy.

– Co masz na myśli?

– Elegancki. Głęboki. – Charlie zwrócił się do Franceski. – A ty?

– Pracuję w agencji teatralnej.

– Aha. – Topaz zauważyła, że oczy mu się zaświeciły. – W której?

Francesca wymieniła nazwę firmy.

– Idę jutro na przesłuchanie. Trzymaj za mnie kciuki – poprosił.

– A co to za sztuka?

– Jakaś okropna komedia. Ale od czegoś trzeba zacząć. Może ktoś mnie zauważy. – Uśmiechnął się i znów zwrócił do Topaz. Miał ciemnobrązowe, prawie czarne oczy. – Może pożyczę twój głos, Topaz – powiedział. – Wykorzystam go podczas tego przesłuchania. Nie masz nic przeciwko temu?

Przypomniała sobie, jak Francesca obcięła włosy na pazia i jak obie próbowały palić papierosy w taki sposób, w jaki robiła to blondynka z warkoczem.

– Ależ skąd. Traktuję to jako komplement.

Charlie przedstawił je swoim przyjaciółom. Dziewczyna z warkoczem miała na imię Helena. Brodaty mężczyzna nazywał się Donald, niewysoki brunet – Mischa, a młodzieniec o mięsistej twarzy i brązowych lokach – Jerry. Donald i Jerry znali się z wojska: teraz Donald studiował w Imperial College, a Jerry przygotowywał się do zawodu nauczyciela. Mischa był Polakiem. Jego rodzina osiedliła się w Anglii w latach trzydziestych; jego starszy brat, pilot RAF-u, walczył w bitwie o Anglię. Dziewczyna Mischy, Claudette, rówieśnica Topaz, była tancerką.

Helena przygotowywała kostiumy teatralne. To ona uszyła kloszowe spódnice, które miały na sobie obie dziewczyny.

– Uszyłam je według fotografii w „Vogue” – wyjaśniła Topaz. – To był artykuł na temat kreacji Christiana Diora. Cudowne, cudowne ubrania.

– Uszyjesz mi taką?

– Jeśli chcesz. Tylko musisz mi przynieść materiał. Mam taftę na halki – bo pod taką spódnicę trzeba wkładać halkę – ale musisz znaleźć jakąś interesującą tkaninę.

Topaz zaczęła szperać w jednej z indyjskich skrzyń, przeglądając niezliczone szale i chusty, przywiezione przez matkę: jedwabne i kaszmirowe, wzorzyste i jednobarwne, turkusowe i wiśniowe. Przypomniała sobie, jak Peter de Courcy powiedział, iż powinna nosić jedwabie i aksamity. Przypomniawszy sobie też, jak fatalnie wyglądała w karmazynowej atlasowej sukience na przyjęciu powitalnym Jacka, wybrała czarny jedwab. Matka zawsze twierdziła, że czerń wyszczupła.

Helena uszyła trójwarstwową halkę z tafty, łącząc z sobą skrawki różnych materiałów, które zostawały po kostiumach teatralnych. Halki szeleściły, gdy Topaz poruszała się w nowej spódnicy. Matka spojrzała na nią podejrzliwie raz czy dwa, ale powiedziała tylko:

– Co za dziwny styl. Ktoś, kto ma biodra, nie powinien tego nosić.

Topaz wciągnęła powietrze i, pełna wątpliwości, stanęła przed lustrem, by przyjrzeć się swym obfitym kształtom. W kawiarni powiedziała do Heleny:

– Przyniosłam prezent, by ci podziękować.

– Co to takiego?

– Zamknij oczy i wyciągnij rękę.

Dłoń dziewczyny była pokryta odciskami i zadrapaniami. Topaz umieściła na niej brzoskwinę. Helena otworzyła oczy.

– Topaz! To brzoskwinia! Cudownie!

– Ostatni raz jadłem brzoskwinie we Włoszech – wspomniał Donald. – W czterdziestym czwartym.

– Latem, tuż przed wojną byliśmy w Le Touquet – przypomniła sobie Helena. – Wtedy jadłam brzoskwinie. To były moje ostatnie wakacje.

– Skąd to wzięłaś? – dopytywał się Jerry.

– Jeden z wielbicieli mojej matki pracuje w ambasadzie amerykańskiej. Niejaki major Radetsky.

Donald rozejrzał się dokoła.

– Czego brakuje wam najbardziej sprzed wojny?

– Pięknych ubrań – wyznała Helena.

– Whisky – oświadczył Jerry. – Sprzedałbym duszę za butelkę porządnej szkockiej whisky.

– Mojego psa – przyznał się Mischa. – W Polsce miałem psa. Teraz gospodyni nie pozwala mi trzymać zwierzęcia.

Helena kroić brzoskwinie na kawałki.

– Claudette? Topaz? Francesca? Czego wam brakuje?

– One są za młode – powiedział Donald. – Przed wojną jeździły jeszcze w wózekkach.

– No to teraz Charlie. Ty nie byłeś dzieckiem. Charlie pokręcił głową.

– Niczego mi nie brakuje.

– Charlie...

– Naprawdę. Niczego.

Helena rozdzieliła brzoskwinie między przyjaciół. Wszyscy jedli w milczeniu.

– Proustowska chwila. – Pierwszy odezwał się Donald.

– On chce powiedzieć – wyjaśnił Charlie – że za dziesięć lat, z każdym kęsem brzoskwini, powrócą do nas wspomnienia tego popołudnia.

Jerry prychnął.

– Nie będziemy o tym pamiętać już za tydzień.

Topaz jednak wiedziała, że nigdy nie zapomni tego popołudnia, kiedy siedziała między Heleną i Charliem i jadła brzoskwinie, pachnącą latem.

Helena zaprosiła ich wszystkich na przyjęcie z okazji swych dwudziestych siódmych urodzin. Mieszkała razem z Claudette nieopodal Phoenix Theatre przy Charing Cross Road. Topaz i Francesca włożyły swoje nowe, własnoręcznie wydziergane bluzki i spódnice, które uszyła im Helena. Spódnica Franceski była zielona, jak jej oczy.

To nie było przyjęcie, na którym się pije lemoniadę i gra w szarady. Nie widziało się tu także śledzących każdy gest matek. W dwóch niewielkich pokojach tłoczyło się mnóstwo gości. Jeszcze więcej ludzi wyszło do zakurzonego ogrodu. Gramofon grał tak głośno, że wszyscy musieli się przekrzykiwać.

Dziewczęta zastały Helenę we wspólnej kuchni na półpiętrze i wręczyły jej urodzinowy prezent.

Jubilatka odpakowała paczuszkę.

– Chusteczki do nosa! Cudownie! Zawsze mi ich brakuje. – Ucałowała obie przyjaciółki. – Czego się napijecie? Mam piwo, jabłecznik i wodę. Wszyscy już są. – Helena uczyniła dość nieokreślony gest. – Tylko nie wiem gdzie.

Znalazły Jerry'ego w ogrodzie.

– Nie byłem pewien – powiedział – czy Donald się tu pojawi, po tej całej historii z Heleną.

– Po jakiej historii z Heleną? – zdziwiła się Francesca.

– Nic nie wiesz? – Jerry upychał tytoń w swojej fajce. – Helena i Donald byli parą przez wiele, wiele lat.

– I już nie są?

– No cóż. Chyba wiecie, że Donald jest żonaty?

Dziewczęta pokręciły głowami.

– Musiał się ożenić – wyjaśnił Jerry, zapalając zapałkę. – Dziecko było już w drodze. Chłopak. Teraz ma już chyba ze cztery lata.

Topaz rozejrzała się po ogrodzie.

– Czy oni są tutaj?

– Tylko Donald. Jean nie wychodzi za często z domu. Rozumiecie, dziecko i te sprawy.

– A Mischa i Charlie? Czy oni też mają żony, o których nic nie wiemy?

– Mischa świata nie widzi poza jedną kobietą.

– Claudette?

Jerry pokiwał głową.

– No a Charlie ożenił się z teatrem.

– Widziałeś go na scenie? Jest dobry?

– Bardzo dobry. Charlie na pewno daleko zajdzie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Nawet gdyby talent nie wystarczył, to ambicja zrobi swoje. – Jerry mówił oschłym głosem. Zwrócił się do Franceski. – Zatańczymy?

Weszli do środka, do pokoju, w którym grał gramofon. Topaz kręciła się tu i tam, sącząc swój napój i udając wielkie zainteresowanie plakatami i kwiatami. Wtedy usłyszała jakiś głos za swoimi plecami.

– Cóż to? Przechadzasz się tu opuszczona i samotna? Odwróciła się i ujrzała Charliego.

– Chyba nie potrafię się przechadzać, przeważnie wpadam na kogoś albo na coś.

Finch się roześmiał.

– Gdzie Francesca?

– Tańczy z Jerrym.

– Masz ochotę na następnego drinka? Właśnie zamierzałem się napić.

– Poproszę. – Topaz usiadła na trawie w końcu ogrodu i czekała na Charliego. Kiedy wrócił, zapytała: – Czy naprawdę nie tęsknisz za niczym sprzed wojny?

Aktor usiadł koło niej.

– Naprawdę. Miałem bardzo nudne dzieciństwo. Nie straszne, tylko nudne. Pochodzę z przedmieścia, w szkole udało mi się dostać stypendium. W czasie wojny też się nudziłem. Przez trzy lata marzłem w obozie wojskowym w Szkocji i wypełniałem jakieś papierki. No więc teraz jest lepiej, nie wydaje ci się?

– Pewnie masz rację.

– A ty, Topaz? Czy tęsknisz za przeszłością? Dziewczyna pokręciła głową.

– Chociaż miło spędzałam czas. Ale ostatnio – przerwała na chwilę, czując, że w głowie jej się zaczyna kręcić od jabłecznika – ostatnio czułam się tak, jakbym nie miała żadnego celu. Wydaje mi się, że wszystko wciąż jest takie samo. Że nic się nie zmienia.

Charlie wyciągnął się na trawie i podparł łokciem.

– A co miałyby się zmienić?

– Chciałabym podróżować. Chciałabym nosić piękne ubrania i robić mnóstwo różnych rzeczy. Chciałabym – och, sama nie wiem – dotknąć lodowca i zobaczyć wulkan, pospacerować po pustyni.

Charlie się nie roześmiał, choć tego właśnie się obawiała.

– A ja będę robił to, w czym jestem dobry – oznajmił. Topaz wiedziała, że ma na myśli aktorstwo.

– To cudowne być utalentowanym człowiekiem.

– Chociaż miałbym też ochotę na inne rzeczy. Na brzoskwinie i whisky. I na zagraniczne podróże.

– A podróżowałaś?

– Za granicę? Nie. Wakacje spędzaliśmy w Margate i Hastings. A ty?

Topaz pokręciła głową.

– Przed wojną jeździliśmy do Dorset, do rodziny. Tam było cudownie. Bardzo mi tego brakuje.

– Teraz już nie jeździcie?

– Byliśmy w zeszłym roku, ale to już nie to samo.

– Dlaczego?

– Wszystko się... zmieniło. Chyba zbyt długo mnie tam nie było.

Wydawało mi się, że poczuję się tak jak w domu.

– Jak w domu... – powtórzył Charlie. – Ja zawsze się tego bałem.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Chyba dlatego, że rodzice mają tylko mnie. I często jestem pod wielką presją.

– Nie masz rodzeństwa?

– Nie – uśmiechnął się Charlie. – Jestem jedyny w swoim rodzaju.

Topaz pomyślała, że chyba ma rację.

– Przytłaczają mnie ich oczekiwania – wyjaśnił. – Matka ma album z wycinkami. Wkleja tam fotografie i recenzje ze wszystkich sztuk, w których grałem. Począwszy od szkolnych jasełek. Rodzice trzy razy oglądali moje

ostatnie przedstawienie. Trzy razy, Topaz. A to była okropna, idiotyczna sztuka. Jechali z Chingford do Richmond jakimiś autobusami, przesiadając się niezliczoną ilość razy, bo mój ojciec nigdy w życiu by nie wsiadł do metra, a na taksówkę ich nie stać. – Charlie westchnął. – Prowadzą takie nudne życie i wypełniam im jakąś lukę. Tylko że ja tego nie znoszę. Nie znoszę, gdy ktoś mnie potrzebuje. Duszę się w takiej atmosferze, rozumiesz?

Ona także była jedynaczką. Próbowwała sobie właśnie bez większego powodzenia wyobrazić, jak matka wkleja fotografie do albumu.

– Oni po prostu są z ciebie dumni – powiedziała. Charlie podniósł się z ziemi.

– Pora wybawić Francescę z opresji. Jerry jest okropnym tancerzem.

Weszli razem do środka.

Czasami, gdy siedzieli wszyscy razem w kawiarni albo spacerowali po parku, Topaz czuła na sobie zazdrosne spojrzenia innych dziewcząt. Obecnie ona i Francesca siedziały przy narożnym stoliku; teraz to one zwracały się po imieniu do właściciela kawiarni, kupując herbatę i ciastka. Znalazły się w centrum wydarzeń. W samym centrum.

Donald i Jerry zabierali je czasem do klubów jazzowych, mieszczących się przeważnie w ciemnych zadymionych suterrenach, gdzie rozlegała się cudowna muzyka saksofonów i trąbek. Charlie i Mischa natomiast zapraszali je na francuskie filmy, które wyświetlano w małych salkach. Czasami chodzili wszyscy razem – bez zaproszenia – na przyjęcia do nieznanych ludzi.

– To tylko kwestia pewności siebie – mówił Charlie. – Dla ciebie to pestka, Topaz. Wyglądasz jak trzeba. I mówisz jak trzeba.

No więc Topaz wchodziła do obcych domów, jadła u obcych ludzi, rozmawiała z przyjaciółmi obcych gospodarzy. Wydawało jej się, że odkryła nowy, fascynujący świat, tuż pod powierzchnią szarej banalności.

Została wtajemniczona w skomplikowane życie nowych przyjaciół. Charlie zrezygnował z posady urzędnika, gdy dostał jakąś rolę w „Henryku V” w teatrze repertuarowym w północnym Londynie. Topaz poszła na przedpołudniowe przedstawienie; siedziała wysoko i nie spuszczała wzroku z Charliego, gdy tylko się pojawiał na scenie. Gdy przedstawienie się skończyło, długo tkwiła na swoim miejscu sparaliżowana zachwytem i uniesieniem.

Donald i jego żona mieszkali razem z owdowiałą matką Jean w domu nieopodal Goldhawk Road. Matka Jean wyjechała na tydzień do siostry do Clacton, a Donald, korzystając z nieobecności teściowej, urządził przyjęcie.

Wysokie mieszkanie było dość obskurne, skąpo umeblowane wyświechtanymi sofami oraz poobijanymi stolikami i krzesłami. W holu Mischa grał w krykieta z synem Donalda, Paulem. Claudette siedziała obok nich na schodach.

– Potrzebuję pomocy – powiedział Mischa. – Claudette nie chce grać.

– Nie znoszę sportu – oświadczyła.

– To nie jest sport, moja droga, tylko zabawa z dzieckiem. – W głosie Mischy pojawiła się nuta zdradzająca irytację.

Claudette wzruszyła ramionami.

– Ja ci pomogę – zaproponowała Topaz i biegała po holu, wydobywając gumową piłkę spod różnych sprzętów, a także spomiędzy kapeluszy i płaszczy, póki Jean nie położyła Paula do łóżka.

Donald wystawiał talerze z kanapkami i kielbaskami na stół, Helena mu pomagała. Wciąż przybywali kolejni goście. W pokoju grał gramofon. Topaz i

Francesca tańczyły z Jerrym. Podawał rękę to jednej, to drugiej, obracając nimi po całym pokoju. Po chwili Topaz odniosła wrażenie, że Jerry tańczy już tylko z Francescą, wymknęła się więc i wmieszała w tłum.

W holu zastała Helenę, grzebiącą w stosie ubrań leżących na podłodze. Na twarzy przyjaciółki lśniły łzy.

– Nie powinnam była tu przychodzić. Taka jestem głupia. – Wydmuchała nos. – Nie mogę znaleźć swetra... – i znów zaczęła nerwowo przetrząsać cały stos.

– Jakiego był koloru?

– Cytrynowego.

Topaz podniosła jasnożółty sweter z podłogi. Wyszła za Heleną na ulicę.

– Chcesz gumę? – Podała przyjaciółce paczuszkę.

– To znów ten amerykański major twojej matki? – Uśmiech szybko zniknął z twarzy Heleny. – Może ja też powinnam znaleźć kogoś takiego – powiedziała z goryczą. – Kogoś, kto będzie mi kupował ładne rzeczy, kto będzie się mną opiekował... – Urwała nagle. – Przepraszam cię, Topaz. Nie chciałam przez to powiedzieć, że twoja matka nie żywi żadnych uczuć wobec swego...

– Kochanka? – Topaz przysiadła na murku nieopodal domu Donalda; Helena usiadła koło niej. – Nie sądzę, by major Radetsky był jej kochankiem. Chyba żaden z nich nie jest. Oni tylko przynoszą prezenty, zapraszają ją na kolacje... – Spojrzała na przyjaciółkę, której miła, delikatna twarz była czerwona od płaczu. – Pewnie myślisz sobie, że jestem bardzo naiwna, ale naprawdę sądzę, że tak właśnie jest.

– Ciągłe sobie wmawiam, że mam w nosie małżeństwo Donalda z Jean, ale to nieprawda. Mam już dość tej miłości.

– Od jak dawna go znasz?

– Och, od zawsze. Byłam jeszcze w szkole, gdy się poznaliśmy. A potem zaczęła się wojna i on miał ten głupi wyskok, i... – Helena wyrzuciła swe pełne odcisków dłonie w geście rozpaczony – Jean zaszła w ciążę, więc się pobrali i już. Oczywiście wiem, że powinnam wyjechać z Londynu, jak najdalej od nich, ale mam tu pracę, a poza tym bardzo lubię Jerry'ego, Charliego i Mischę, choć Claudette wyprowadza mnie czasem z równowagi... – Głos Heleny się załamał.

Topaz spojrzała w niebo. Zaczęło się ściemniać, pojawiły się pierwsze gwiazdy.

– Wydaje mi się, że w tych sprawach człowiek nie ma wyboru. To zrzędzenie losu. Jak ospa.

– Tylko że z ospy można się wyleczyć, prawda? A ja chyba nigdy się nie wyleczę z Donalda.

Przebiegła koło nich grupa rozwrzeszczanych dzieci, ciągnących wózek środkiem jezdni. Gdy ich głosy ucichły w oddali, Helena powiedziała:

– Staralam się z tego jakoś wyrosnąć. Mam w końcu dwadzieścia siedem lat, pora na dojrzałość. Zazwyczaj unikam Jean, ale tym razem pomyślałam sobie, że trzeba się zachować jak dorosły człowiek, pokazać wszystkim, że jesteśmy już tylko przyjaciółmi.

– Czy naprawdę tego chcesz? Helena była wyraźnie zaskoczona.

– Tak będzie chyba lepiej dla wszystkich, nie wydaje ci się?

– Zastanawiałam się właśnie – Topaz wciąż nie potrafiła rozwikłać tego problemu – czy lepiej kochać kogoś, kto i tak jest nieosiągalny, czy też nie kochać nikogo. Oczywiście najlepiej pokochać kogoś, kto odwzajemnia nasze uczucia, ale to chyba rzadko się zdarza.

Helena rozmasowała palcami zmarszczone czoło.

– Czasami chciałabym, żebyśmy nigdy się nie spotkali. Ale dopiero kiedy jestem z nim, czuję, że żyję. I nic nie da się porównać z tym przekonaniem. Nic. – Helena wstała. – Pójdę chyba do domu. – Uśmiechnęła się. – Jesteś bardzo miła, Topaz. Dobrze się z tobą rozmawia. – Pocałowała przyjaciółkę w policzek i odeszła.

Topaz siedziała jeszcze przez chwilę, spoglądając na ciemniejące niebo, a potem wróciła na imprezę. Jerry siedział sam w kuchni.

– Gdzie jest Fran?

Na gładkiej twarzy Jerry'ego pojawiły się różowe plamy.

– Z Charliem.

Topaz ruszyła, by ich poszukać, ale Jerry ją powstrzymał.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że oni... no wiesz.

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Są zajęci.

– Tańczą?

– Można to i tak nazwać. – Jerry wziął sobie kilka kanapek na talerz i popatrzył na Topaz. – Nie zauważyłaś? Charlie zawsze interesował się Francescą.

Topaz włożyła spory wysiłek w to, by na jej twarzy nie odmalowały się żadne uczucia. Ale coś ją zdradziło, bo Jerry powiedział:

– Nie rób takiej miny. Lepiej ich zostaw w spokoju. Nie zostałam przecież sama.

Musnął jej policzek wierzchem dłoni. Kiedy zaczął ją całować, Topaz znieruchomiała, śledząc każdy ruch jego ust i palców. Oddech Jerry'ego pachniał piwem, a broda drapała ją w szyję. Dłonie mężczyzny wędrowały po jej szyi, plecach, po piersiach. Wszystkie pieszczoty były jednak jakby przypadkowe. Topaz wiedziała, że powinna coś zrobić – odepchnąć go albo odpowiedzieć na pocałunek – ale nie potrafiła się na nic zdobyć.

Po chwili Jerry mruknął:

– Przepraszam... muszę iść do łazienki. – I opuścił kuchnię chwiejnym krokiem.

Topaz podeszła do zlewu i oparła się, patrząc na domy, stojące naprzeciwko. Okna były zasłonięte, a na ich tle majaczyły ludzkie sylwetki. Zapewne tamci ludzie też kogoś kochają, kłócą się, całują i nienawidzą.

„Nie zauważyłaś? Charlie zawsze interesował się Francescą”. Topaz wreszcie wszystko zrozumiała. Charlie zwrócił uwagę na Francescę i wykorzystał gafę Topaz, by poznać jej koleżankę. Jakże mogła nie domyślić się wcześniej.

Zbiegła po schodach prosto na ulicę. Gdy jechała metrem do domu, czuła się, jakby była posiniaczona, jakby ktoś ją uderzył tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

Drzwi do mieszkania na Cleveland Close były uchylone. Przez szparę usłyszała jakieś głosy.

- Veronica, kochanie...
- Marty, nie bądź niegrzecznym chłopcem.
- Grzeczność jest bardzo męcząca, Veronica.
- Wkrótce wróci moja córka.
- Trzeba płacić swoje długi, kochanie.

A więc nie będzie już żadnych brzoskwiń, pomyślała Topaz i zawróciła na schody.

Klatka schodowa była wyłożona różanym, błyszczącym drewnem, w którym widać było jej odbicie. Topaz usiadła na schodach. Ależ jesteś głupia, pomyślała z rozpaczą, wpatrując się w swoje odbicie, jeśli się łudziłaś, że on kiedykolwiek wolał ciebie.

Gdy śnieg stopniał i po kilku powodziach w końcu nadeszło lato, Marius spędzał niedzielne popołudnia w ogrodzie z Tarą i patrzył, jak mała robi babki z błota oraz ogląda chrząszcze i ślimaki. Pilnował, by córka nie wyrywała marchewek lub nie wpadła do stawu. Kiedy rano wychodził do pracy, Tara domagała się buziaka na pożegnanie; gdy wracał wieczorem, czekała na niego przy furtce. Brał ją w ramiona i obracał w powietrzu, a dziewczynka pisała z radości. Potem sadzał sobie małą na barana i niósł do domu.

Przez sześć miesięcy uczył się, jak postępować z dzieckiem. Wiedział już, że Tara nie znosi kapusty i brukselki, że często próbuje zjeść swoje kredki świecowe i nie uśnie bez starego kocyka. W ciągu tych sześciu miesięcy udało mu się sporo osiągnąć: po raz pierwszy położył ją spać (trzymając się ściśle określonego rytuału: kąpiel, mycie zębów, bajka, pocałunek na dobranoc), po raz pierwszy zabrał ją sam na spacer w wózku.

Wreszcie opadło z niego napięcie. Wydawało mu się, że doświadcza tego, co wszyscy. Lata wojny przyzwyczyły ludzi do życia w ciągłym pogotowiu i teraz muszą na nowo odkrywać dawne przyjemności, które w czasach pokoju wydawały się czymś oczywistym. Marius razem z Tarą odkrywał urok motyli skrzydeł i słonecznych promieni, odbijających się w morzu.

W jego dotychczasowym życiu nie było miejsca na chwilę wytchnienia: szkoła, praca, wojsko, małżeństwo i ojcostwo. Niczego sam nie wybrał, życie mu wszystko narzuciło. A jednak od czasu demobilizacji nie opuszczało go poczucie bezsensu i jałowości. Wraz z Tarą w jego życiu pojawił się cel. Marius obiecywał sobie, że zapewni córce wszystko, czego będzie potrzebowała, wszystko, czego zapragnie. Jej życie nie zostanie okaleczone przez wojnę jak jego własne ani przez niedostatek jak życie jej matki.

Niepokój, który wciąż go trawił, dotyczył teraz tylko żony. Wydawać by się mogło, że Suzanne rozkwitła na wsi. Świeże powietrze przywróciło barwę jej policzkom. Wciąż jednak była nieszczęśliwa, może nawet coraz bardziej nieszczęśliwa. Czasami cicha i nieobecna, czasami skora do zaczepki. Gdy Marius popatrzył na nią znienacka, dostrzegał w jej oczach rozpacz.

Suzanne wciąż szukała sobie jakiegoś zajęcia. Nie potrafiła położyć się na sofie, by przejrzeć czasopisma, nie umiała zrelaksować się na leżaku w ogrodzie. Missencourt, zagrzebane (jak to określała) w wiejskim krajobrazie, nie dostarczało jej wielu rozrywek. Czasami, gdy było trochę paliwa, a Adela zaproponowała, że posiedzi z dzieckiem, Suzanne brała przedwojennego rollsa Temperleyów na całe popołudnie. Zawsze lubiła prowadzić, Marius przeczuwał więc, że znajduje trochę radości, klucząc wąskimi, krętymi drogami po wzgórzach i dolinach. Suzanne jeździła szybko, ale bardzo dobrze i choć Dorchester i Bournemouth nie mogły jej zastąpić Londynu, chyba lepiej się czuła, mając wokół siebie tyle przestrzeni.

Marius podejrzewał, że jego żona czuje się osamotniona, zapraszał więc starych przyjaciół do Missencourt. Czasami, zwłaszcza w towarzystwie Willa i Julii, Suzanne rozluźniała się nieco, rozmawiała i śmiała się, a on rozpoznawał w niej kobietę, która kiedyś zwróciła jego uwagę. Ale ten nastrój nie trwał

długo. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego żona świadomie niszczy wszelkie załączki przyjaźni, nie odbierając telefonów i odrzucając zaproszenia. Jakby nie chciała się zbliżyć do nikogo. Marius wiedział, że wkrótce przestanie próbować to zmienić i przyzwyczai się do obecnego stanu rzeczy: do tego, że są dwojgiem obcych ludzi, którym przyszło dzielić łóżko. Ta myśl go przygnębiała.

W pewną sobotę po południu wybrali się na plażę w Lyme Regis. Zauważył, że Suzanne lubi morze; jeśli cokolwiek mogło usunąć z jej oczu smutek, było to właśnie morze. Spacerowała z córeczką wzdłuż skał, zatrzymując się co jakiś czas, by spojrzeć na zielonkawego kraba albo fioletowy morski anemon. Miała na sobie szorty i koszulkę. Strój ten uwydatniał kształty jej smukłego ciała.

Marius zrobił zamek z piasku dla Tary, bardzo skomplikowaną budowlę z wieżyczkami i mostami. Przyływ zaczął się właśnie wtedy, gdy kopał fosę. Gdy fala uderzyła w mury zamku, Tara krzyknęła i klasnęła w ręce. Marius zaczął kopać jeszcze szybciej, żeby przechwycić napływającą wodę. Fala podmyła jednak wieżę, która się osunęła powoli do wody.

Suzanne się uśmiechnęła.

– Wylądujesz w Australii, jeśli będziesz tak kopał, Marius.

– Fosa powinna być trochę głębsza.

– To obsesja – zażartowała. Uklękła obok niego i zaczęła wybierać mokry piach rękami. Gdy jednak uderzyła następna fala, cały zamek z mostami i wieżyczkami runął.

– Poddaj się – roześmiała się Suzanne. Marius wstał i dotknął jej ramienia.

– Jesteś przemoczona, kochanie.

Suzanne cofnęła się, jakby te pieszczotliwe słowa ją ukłuły. Uśmiech zniknął z jej twarzy i mruknęła:

– Pójdę wytrzeć Tarę.

– Nie ma pośpiechu – próbował ją uspokoić. – Minęło dopiero – zerknął na zegarek – wpół do czwartej.

– Do domu jest dość daleko, a Tara wkrótce powinna wypić herbatkę. – Suzanne masowała małą rącznikiem. Znowu mówiła przyciszonym i matowym głosem. I nie chciała spojrzeć mężowi w oczy.

Gdy Marius i Jack byli dziećmi, piątego listopada, w dzień Guya Fawkesa, kupowali tanie fajerwerki. Uwielbiali się bawić, podpalając je i trzymając w ręku aż do ostatniej chwili, by wyrzucić tuż przed wybuchem. Kiedyś przyłapał ich na tym ojciec Mariusa. Francis Temperley zrobił wówczas to, co czynił bardzo rzadko: zbił syna za to, że naraził się na tak wielkie niebezpieczeństwo dla trywialnej zabawy. Marius nigdy jednak nie zapomniał owych fascynujących i budzących grozę chwil tuż przed wybuchem fajerwerku.

Przypomniawszy to sobie teraz, patrząc na Suzanne. Jej nastrój pogarszał się coraz bardziej. Oscylowała między milczeniem a nerwowością, rozpogadzając się tylko w towarzystwie Tary. Marius przeczuwał, że jeśli wypowie jakieś niewłaściwe słowo albo zrobi coś, czego nie powinien, żona eksploduje jak fajerwerk.

W sobotę wieczorem wybrali się na obiad do Barringtonów. Derek i Lois mieszkali niedaleko Great Missen, w ogromnym domu, w którym bez przerwy unosił się zapach psiej sierści. Derek był potężnym, sympatycznym mężczyzną, a jego żona słynęła z braku taktu i hałaśliwości, spowodowanej wieloletnim pokrzykiwaniem na psy.

W salonie siedzieli już inni goście. Marius wiedział, że lekarz i jego małżonka są bardzo mili, ale serce w nim zamarło na widok drugiej pary. Po Valerie Luscombe nie należało się wprawdzie spodziewać niczego złego, ale jej mąż, George, był nadętym nudziarzem.

Na kakofonię unoszącą się w jadalni składały się szczekania psów, pobrząkiwania porcelany i sztućców i okrzyki Lois.

– ... groszek pochodzi, oczywiście, z naszego ogrodu. To znaczy z grządek Dereka. Derek ma świetną rękę, jeśli chodzi o groszek.

– Te przeklęte bielinki kapustniki narobiły strasznie dużo szkód w tym roku.

– Zazwyczaj zatrudnialiśmy uchodźców, żeby je chwyтали. Jeden pens za motyla. Nigdy nie sądziłam, że będzie nam brakowało tych nieokrzęsanych ludzi.

– Jeśli pies pani przeszkadza, pani Temperley – huknął Derek – to proszę go palnąć po nosie!

– On nie skrzywdzi nawet muchy – powiedziała Lois Barrington czule. – Może jeszcze parę ziemniaczków? – Pani domu spojrzała na Suzanne. – Powinna pani jeszcze coś zjeść, moja droga. Taka pani bledziutka, Biedna pani Temperley bardzo kiepsko wygląda, nie sądzisz, Derek? Chyba nie przyszłście dziś piechotą, Marius?

– To tylko parę kilometrów...

– Nic dziwnego, że twoja biedna żona jest wykończona.

– ... a w baku zostało tylko kilka kropel paliwa.

– Chyba nie jesteś aż taki praworządny, Temperley? – zagadnął George Luscombe.

– Ty nie jesteś?

– Ładnie bym wyglądał, gdybym się ograniczył do przydziału. Czteryście kilometrów miesięcznie? To niemożliwe! – George postukał się w czoło. – Potrzebuję trochę więcej benzyny.

– Wszyscy potrzebujemy więcej – dorzuciła Lois.

Marius pomyślał, że to nie uczciwość powstrzymuje go przed kupowaniem paliwa na czarnym rynku, ale względy praktyczne. Przez sześć lat nie było go w domu, nie miał więc odpowiednich stosunków, wojna nie nauczyła go wymieniać przysług.

George Luscombe nie żałował sobie ziemniaków.

– A dopóki ten śmieszny rząd...

– Lepiej by było, gdyby wrócił Churchill – wtrącił się Derek. – W kraju panuje taki straszny bałagan.

– Gdyby ten rząd nie rozdawał jałmużny na prawo i lewo – powiedział George Luscombe, z ustami pełnymi puddingu – to nie musielibyśmy sprzedawać naszych dusz tym przekętym jankesom, za przeproszeniem drogich dam.

– Jałmużny? – zdziwiła się Suzanne.

– Tych wszystkich dodatków rodzinnych i licho wie jeszcze jakich.

– Czyżby nie pochwalał pan decyzji, dzięki którym poprawi się los kobiet i dzieci?

– Pytanie, czy nasz kraj na to stać, droga pani Temperley.

– Czy nie sądzi pan, że ludzie zasłużyli sobie na to, by przestać cierpieć niedostatek?

– Saldo musi się zgadzać. Dokładnie tak, jak w gospodarstwie domowym, moja kochana.

Suzanne odłożyła nóż i widelec.

– Ludzie zasłużyli sobie na ten gest. Wszyscy ci prości ludzie, którzy wstąpili do wojska i bronili kraju, zasłużyli sobie na coś. Na przyzwoite domy i odpowiednią opiekę medyczną, i na to, by nie musieć się martwić, że stracą pracę, gdy znów nadejdzie kryzys gospodarczy. Dlatego głosowali na pana Attlee. Zaufali, że da im to, na co zasłużyli.

George Luscombe klasnął w rękę.

– Z próżnego i Salomon nie należy.

– Ale nie może być inaczej. – Oczy Suzanne płonęły. – Nie może być inaczej. Czy pan tego nie rozumie? W przeciwnym razie, wszystkie ofiary poszłyby na marne.

– Mówię tylko o faktach ekonomicznych...

– Wszyscy ci ludzie, którzy oddali swoje życie... to nie miałyby żadnego sensu...

– Nie należy pozwalać, by sentymenty przesłoniły nam rzeczywistość...

– Sentymenty! – W głosie Suzanne była już wściekłość. – Ludzie zawsze używają tego słowa, gdy wiedzą, że nie mają racji! Jakby sentymenty, emocje, uczucia były czymś, czego należy się wstydzić!

Lois Barrington przerwała w końcu nieprzyjemną ciszę.

– Czy ktoś ma jeszcze ochotę na warzywa? Nie? W takim razie przyniosę pudding.

Gdy już wracali do domu, Suzanne powiedziała:

– Przepraszam, że tak nakrzyczałam na tego okropnego człowieka. Mam nadzieję, że nie zepsułam ci wieczoru.

Słońce zachodziło i wapienne zbocza zrobiły się najpierw złote, a potem miedziane.

– Och – uśmiechnął się Marius. – Łykowata pieczeń i psia sierść w zupie... Wcale bym nie żałował.

– Mówiłam to, co myślę.

– Wiem o tym.

Suzanne obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

– Nie zgadzasz się ze mną?

– Zgadzam się. Tylko... –Co?

– W pewnym sensie on także miał rację.

– Ależ Marius! Był nieznośny. Nadęty, wyniosły, wstrętny...

– To prawda. Mimo to... – Marius zmrużył oczy, gdy promienie zachodzącego słońca zaczęły go razić – Wielka Brytania musi wyciągnąć rękę do Ameryki. Jeśli Amerykanie nam nie pomogą...

– To co?

– Och... nieważne. – Spróbował się uśmiechnąć.

– Marius! Nie życzę sobie, abys mnie w ten sposób traktował! Nie jestem głupią małą kobietką!

– Wiem o tym. I nigdy cię tak nie traktowałem. – Westchnął. –Ludzie narzekają na system kartkowy, mówią, że jest znacznie gorzej niż w czasie wojny. Twierdzą, że nie zdołają się już dłużej ograniczać do niewielkich przydziałów chleba, mięsa, cukru i benzyny. Nie wydaje mi się jednak, by sytuacja miała ulec poprawie w najbliższym czasie. W czasie wojny wyczerpały się wszystkie nasze zapasy. I nie możemy już liczyć na to, że jako wielkie imperium wkrótce znów wypełnimy sobie skrzynie. Jeśli Amerykanie nam nie pomogą, będzie jeszcze gorzej.

Zboczyli z drogi, idąc skrótem przez pola w stronę Missencourt. W powietrzu wciąż jeszcze czuło się atmosferę przyjemnego czerwcowego dnia.

– Co to znaczy: gorzej?

– Bez pomocy Ameryki możemy zbankrutować. Wszystkie reformy socjalne, które, jak słusznie zauważyłaś, są konieczne i na które ludzie zasłużyli, trzeba będzie odłożyć na później. Mało tego. Niewykluczone, że trzeba będzie skierować robotników do odpowiednich sektorów, tak jak w czasie wojny, albo jeszcze gorzej. I że wszyscy będziemy musieli żyć na głodowych racjach. Tysiąc kalorii dziennie.

Szli przez gęsty, ciemny, iglasty las.

– Nasza firma podupadnie. Mamy za sobą bardzo trudny rok z powodu kryzysu paliwowego i fatalnej pogody. Och, ale nie powinnaś się martwić – dodał pośpiesznie, widząc wyraz jej twarzy. –Jakoś przetrwamy...

– Marius! – powtórzyła Suzanne wyraźnie rozdrażniona. Podał jej dłoń, gdy przechodzili przez ogrodzenie.

– Pragnę tylko, byś była szczęśliwa.

– Jestem szczęśliwa.

W końcu znalazł w sobie dość odwagi, by powiedzieć:

– Nie, Suzanne, nie jesteś szczęśliwa. Zatrzymała się na szczycie drewnianych schodków.

– Myślę nawet – dodał Marius ostrożnie – że jesteś strasznie nieszczęśliwa.

Zagryzła wargi. W jej oczach pojawiła się czujność. Po chwili uśmiechnęła się jednak.

– Mylisz się, Marius. – Zeskoczyła ze schodków. Jej głos stał się miękki i zmysłowy. Przytuliła się do męża.

Gniew był jednak silniejszy niż pożądanie, więc ją odsunął.

– Gdyby tylko o to mi chodziło – powiedział łagodnie – mógłbym to sobie kupować.

Suzanne pobladła, a potem powiedziała z goryczą:

– Większość mężczyzn chce właśnie tego.

Marius musiał się odwrócić i zacisnąć pięści. Intensywny zapach sosnowych igieł wywołał w nim wspomnienie ich pierwszego zbliżenia.

– Jestem twoim mężem – powiedział gniewnie. – Nie chłopakiem ani przechodniem i nie żadnym oficerem, którego poderwałaś w pubie, ale twoim mężem, ojcem twojego dziecka.

Suzanne zakryła twarz rękami.

– Przepraszam.

– Może większość mężczyzn chce tylko tego, ale nie ja. Wiem, że nie pobraliśmy się z miłości. I rozumiem, że było ci bardzo trudno przez te kilka miesięcy, kiedy musiałaś sobie radzić sama. Nigdy nie opuści mnie poczucie winy. Ale pokochałem Tarę. I sądziłem, że w końcu my także się pokochamy. Proszę cię tylko o odrobinę uczucia, odrobinę ciepła. Żebyś się nie wzdrygała, gdy cię całuję, nie odpychała mnie, gdy cię przytulam...

– Ja nie jestem do tego wszystkiego przyzwyczajona – powiedziała Suzanne bezradnie. – Nie potrafię okazywać uczuć. W mojej rodzinie było inaczej. Ludzie się dotykali... tylko podczas seksu albo w złości. Nie z miłości. Kiedy przyjechałam do Missencourt, nie mogłam się przyzwyczaić do waszego zachowania. Do tych wszystkich pocałunków... uścisków... Szczerze mówiąc, wydawało mi się to trochę śmieszne. Dopiero potem zrozumiałam, że w ten sposób okazujecie sobie uczucia. Bez zastanowienia.

Marius pragnął jej wierzyć, ale zapytał:

– To nie wszystko, Suzanne, prawda?

W jej oczach znów pojawiła się czujność.

– Chodzi o mnie, prawda, Suzanne?

– Marius...

– Na początku sądziłem, że chodzi o Missencourt. Że nie lubisz tego domu. Potem pomyślałem, że chodzi o wieś, o ludzi, z którymi się spotykamy. Ale ty czujesz niechęć do mnie, prawda, Suzanne? To przeze mnie jesteś nieszczęśliwa.

Jej twarz była wciąż ukryta w cieniu sosen.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Marius.

– Zostawmy już te puste słówka – poprosił. Suzanne pokręciła głową.

– Nie czuję niechęci do ciebie.

– A do kogo?

– Och, kochany – powiedziała, ruszając przed siebie, w głąb lasu – jeszcze się nie domyśliłeś? Czuję niechęć do samej siebie.

Marius kiepsko spał tej nocy. Obudził się z nerwowej drzemki o szóstej i nie zdziwił się, gdy się okazało, że jest sam w łóżku. Zajrzał do pokoju dziecięcego i zobaczył, że Tara śpi spokojnie.

Ubrał się więc i zszedł na dół. W uszach wciąż dźwięczały mu fragmenty nocnej rozmowy. „Nie czuję niechęci do ciebie... Czuję niechęć do samej siebie”. Wędrował po domu, szukając Suzanne, ale nigdzie jej nie było. Przygotował sobie herbatę, ale jej nie wypił.

Po chwili włożył marynarkę i wyszedł z domu. Przeszedł przez zagajnik i zobaczył żonę na szczycie wzgórza. Jej sylwetka jaśniała w bladym świetle jutrzeńki. Osłaniając dłonią oczy, patrzyła na południe, w kierunku morza.

– Za duża mgła – powiedział, zbliżając się do niej. Suzanne spojrzała na niego. – Trzeba zaczekać, aż się rozjaśni.

Odwróciła wzrok. Miała spuchnięte i zaczerwienione powieki.

– Nie mogłeś spać? – zagadnęła.

Pokręcił głową. Spojrzała raz jeszcze w stronę opalizującego horyzontu.

– Próbowałam podjąć jakąś decyzję.

– W jakiej sprawie? – zapytał, choć bał się odpowiedzi.

– W sprawie nas dwojga. – Znow odwróciła oczy i zaśmiała się nerwowo. – Gdybyś nie był tak cholernie honorowy... – Urwała.

Złe przeczucia sprawiały mu fizyczny ból, ale mimo to zapytał:

– Gdybym nie był tak cholernie honorowy... i nie należał, byś za mnie wyszła? Czy to chciałaś powiedzieć?

Jej milczenie mu wystarczyło.

– Wolałabyś, żebym zachował się inaczej?

– Oczekiwałam, że zachowasz się inaczej.

Mariusz poczuł ogromne zmęczenie: nieprzespana noc, strach przed tym, co miało nadejść.

– Nie rozumiem.

W końcu spojrzała mu prosto w oczy.

– Kiedy ci powiedziałam o Tarze, spodziewałam się, że zaproponujesz mi pieniądze. – Jej głos był szorstki. – Myślałam, że tak właśnie postępują mężczyźni twojego pokroju. – Przez jej twarz przemknął blady uśmiech. – Nie doceniłam cię.

– A wolałabyś, żeby tak się stało? – powtórzył. Suzanne zamilkła. Potem odparła:

– To byłoby w pewnym sensie łatwiejsze.

– Łatwiejsze?... Zamknęła oczy – szepnęła:

– Niż życie w kłamstwie.

Marius ledwo dosłyszał jej słowa. Zmusił się, by zadać pytanie:

– W jakim kłamstwie?

Ktoś zadzwonił do drzwi w samo południe: Veronica Brooke, która siedziała na sofie, czytając listy, powiedziała z urazą w głosie:

– W niedzielę...

Topaz wyjrzała przez okno i zobaczyła Mariusa.

– Wszystko w porządku. Ja zejdę. – I wybiegła z mieszkania.

Gdy tylko go ujrzała, domyśliła się, że wydarzyło się coś strasznego. Był wyraźnie zszokowany i roztrzęsiony; przyszło jej do głowy, że gdyby go teraz dotknęła, rozleciałby się na kawałki.

Gdy usiedli na ławce koło stawu, Marius skulił się i podparł głowę dłońmi. Topaz musiała się wreszcie dowiedzieć, o co chodzi, więc zapytała:

– Czy ktoś zachorował?

Pokręcił głową, a potem powiedział:

– Tara nie jest moją córką.

– Och! – westchnęła. – Biedny Marius.

– Suzanne powiedziała mi o tym dziś rano. – Wzruszył ramionami. – Nie byłem w stanie zostać w Missencourt. Wsiadłem do pociągu i przyjechałem tutaj. Przepraszam, że zakłócam ci niedzielny wypoczynek.

– Nasze niedziele są strasznie nudne. Cieszę się, gdy ktoś je zakłóca. – Wzięła go za rękę. – Jesteś pewien?

– Masz na myśli Tarę? Tak. Całkowicie. Suzanne powiedziała mi, że w czterdziestym czwartym, w obozie, w którym stacjonowaliśmy, miała romans z kimś z dowództwa. Była jego kierowcą. Aha, on był żonaty – mówił z furją. –

Więc ukrywali ten romans. Nie wspomniała nawet koleżankom. No i oczywiście nie powiedziała też mnie.

– Kochała go? – Tak.

– I co się stało?

– Wysłali go na południe już na początku marca. Brał udział w przygotowaniach do desantu. Spotkałem ją parę dni po jego wyjeździe.

– I?...

– Zginął pierwszego dnia. Szóstego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. – Marius zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. – I to wszystko – dodał z goryczą. – Dlatego za mnie wyszła. Byłem odpowiednim kandydatem. Odpowiednim ojcem dla Tary.

Siedzieli w milczeniu, patrząc w wodę. W końcu Topaz zapytała:

– Co zamierzasz zrobić?

– Chyba się rozwiodę.

– Dlaczego?

– Na miłość boską, Topaz, czy to nie oczywiste? Dlatego, że wszystko było kłamstwem: małżeństwo, moje rzekome ojcostwo...

– A mógłbyś być ojcem Tary?

Chwila milczenia.

– Chyba tak.

Tyle w nim gniewu, pomyślała Topaz. Rzadko widywała tego spokojnego, silnego mężczyznę zagniewanego.

– Czy ty ją kochasz, Marius? Czy kochasz Tarę?

– I to właśnie jest najgorsze. – Rzucił papierosa na trawę i zaczął iść przed siebie, bez celu. – Gdyby Suzanne powiedziała mi o tym sześć, osiem miesięcy temu, wtedy jakoś bym to zniósł. Czułbym się wystrychnięty na

dudka, lecz to nie byłoby tak... tak... –Marius zamilkł. Po chwili dodał z furją w głosie: – Ale teraz, kiedy tak przywiązałem się do Tary, a ona do mnie...

– Kochasz ją.

– Tak. – W jego oczach pojawiła się rozpacz. – Tak, kocham ją.

– No widzisz.

– Co masz na myśli, mówiąc „no widzisz”?

– Że w takim razie wszystko jest w porządku.

– Nie, Topaz. – Marius wciąż był rozdrażniony. – Nic nie jest w porządku. Nic a nic.

Topaz przypomniała sobie wydarzenia ostatniego tygodnia i powiedziała cicho:

– Wydaje mi się po prostu, że gdy człowiek znajdzie miłość, to powinien wszystko dla niej poświęcić. Bez względu na okoliczności. Kochasz Tarę, Marius. Po co więc tracić tę miłość?

Marius pokręcił głową.

– Gdyby to było takie proste. Gdyby tylko to było takie proste.

– Nie twierdzę, że to jest proste. Będziesz musiał wybaczyć Suzanne, że cię oszukała, i zdaję sobie sprawę, że to bardzo trudne. Może gdybyś postarał się zrozumieć, dlaczego to zrobiła... Przecież to dobra dziewczyna. Nie sędzę, aby tak postąpiła bez ważnego powodu.

– Czy jest jakikolwiek wystarczająco ważny powód?

Topaz milczała i sam odpowiedział na swoje pytanie:

– Pewnie chciała zapewnić dziecku dom.

Topaz objęła go i złożyła mu głowę na piersi. Gdy zamknęła **oczy**, usłyszała bicie serca Mariusa.

– Moczysz mi koszulę – zauważył.

– Przepraszam. – Podniosła głowę i otarła łzy kciukami.

– Zdaje się, że nie tylko ja mam problemy.

– Znowu straciłam pracę. Po raz czwarty. – Postanowiła zacząć od mniej bolesnej sprawy.

– Co się stało?

– Och – westchnęła. – Czułam się nieszczęśliwa i byłam głodna – zawsze się czuję nieszczęśliwa, jak jestem głodna – i wszystko mi się pokręciło. Zamiast zaanonsować panią Gish–Lake, zaanonsowałam panią Fishcake.

Po raz pierwszy tego dnia Marius się uśmiechnął.

– Moi pracodawcy nie zauważyli w tym nic śmiesznego – oświadczyła ponuro.

– Rozumiem.

–I...

–I?...

– I chyba się zakochałam. Nie martw się – dodała pośpiesznie – on w ogóle nie jest podobny do Petera de Courcy. Wtedy... wtedy ucieszyłam się po prostu, że ktoś miał ochotę mnie pocałować.

Marius podał jej chusteczkę.

– Zdaje się, że powinniśmy poszukać jakiegoś pubu i coś zjeść. Nie mogę wprawdzie sprawić, abys nie czuła się nieszczęśliwa, ale mogę sprawić, abys nie była głodna. A wtedy...

– Tak?...

– Nie wiem, Topaz. Zabrakło mi pointy.

W końcu Marius wrócił do Missencourt. Zjawił się w domu późnym wieczorem. Zastał Suzanne w sypialni. Zobaczył otwartą walizkę i starannie poskładane ubrania.

– Chcesz odejść? – zapytał.

Zarumieniła się na jego widok.

– Tak chyba będzie najlepiej.

Usiadł na skraju łóżka. Pomyślał, jak pusto zrobi się bez nich w domu.

– Dla kogo?

– Dla nas wszystkich.

– Nie rozumiem – odezwał się gniewnie – jak mogłaś tak postąpić!

Suzanne zamknęła oczy. A potem powiedziała zmęczonym głosem:

– Ze względu na Tarę. Zrobiłam to ze względu na Tarę.

– Dlatego... – Marius próbował przezwyciężyć swój gniew, starając się ją zrozumieć –... dlatego, że chciałaś zapewnić jej życie na przyzwoitym poziomie?

– Owszem. – Przestała składać sweter i odgarnęła ciemny kosmyk z twarzy. – Ale także dlatego, że się bałam, iż mogę ją stracić.

– Stracić? Dlaczego, u licha, miałabyś ją stracić?

– W zeszłym roku, gdy mnie znalazłeś, właściciel domu miał zamiar wyrzucić mnie z mieszkania. I nie mogłam znaleźć nic innego.

– Wciąż nie rozumiem... Suzanne spojrzała mu prosto w oczy.

– Dlatego że nigdy nie musiałeś żyć w ten sposób. Nie mając co do ust włożyć. Nigdy nie byłeś na dnie.

– Bez względu na to, w jakiej biedzie przyszło ci żyć – ciągnął ze złością
– bez względu na to, jak trudno ci było, nic nie usprawiedliwia twojego postępu. Spuściła oczy.

– Wiem – szepnęła cicho. – Wiem. – Włożyła sweter do walizki i wyprostowała się. – Marius, żałowałam tego, co zrobiłam, tysiąc razy. I tysiąc razy chciałam ci się przyznać. Ale to by niczego nie zmieniło, prawda? – Otworzyła kolejną szufladę.

– Chcę, żebyś mi wszystko opowiedziała.

– Marius...

– Wszystko. Chyba na to zasługuję, nie sądzisz?

– Oczywiście. – Skinęła głową i wzięła głęboki oddech. – Mój gospodarz...

– Zaczynaj od początku. Od tego, co się zdarzyło w obozie. Opowiedz mi o nim. – Marius nie był w stanie powiedzieć: „ojciec Tary”. – Kochałaś go?

– Tak. – Suzanne przerwała układanie skarpetek w pary. – Bardzo. To nie był pierwszy mężczyzna, z którym poszłam do łóżka, ale pierwszy, którego kochałam. – Przez chwilę Marius dostrzegł na jej twarzy dobrze znaną czujność, ale wrażenie szybko minęło.

– Jak się nazywał?

– Neil. Neil Finley.

– Mówiłaś, że był pułkownikiem.

– Tak.

– To znaczy, że był starszy od ciebie.

– Miał trzydzieści parę lat.

– Żonaty?

– Już ci mówiłam.

– Miał dzieci?

– Nie. – Pokręciła głową.

– Więc byłaś jego kierowcą.

– Przydzielono mnie do niego zaraz po tym, jak się zjawiłam w obozie.

–I... pewnej nocy, gdy wiozłaś go do domu... położył dłoń na twoim kolanie...

– To nie było tak. – W jej oczach pojawił się błysk gniewu. –Pracowałam dla niego parę miesięcy, nim sobie uświadomiliśmy...

–Co?

– Jak bardzo nam na sobie zależy. – Głos Suzanne zadrżał.

Zapadła cisza. Marius wyobraził sobie tę parę: Suzanne, ożywiona i promienna w swoim mundurze; i pewny siebie, kulturalny starszy mężczyzna, siedzący w samochodzie za jej plecami.

– Jaki on był?

– Marius – niemal krzyknęła – czy naprawdę chcesz to wszystko wiedzieć? Czy to nie pogorszy sprawy?

– Powiedz mi.

– Neil... no cóż... – zaczęła drżącym głosem. – Był cudowny. Miły i zabawny, mądry i szlachetny. No i wspaniały w łóżku.

Marius wstał i podszedł do okna, szukając w kieszeni papierosów. Zapalając zapalniczkę, usłyszał:

– Przepraszam. To było... nie na miejscu. – Westchnęła. – Kochaliśmy się i to było najważniejsze. Nigdy w życiu nic podobnego nie czułam. Zawsze mierzyły mnie takie historie w filmach i książkach. Uważałam, że to same bzdury, że ktoś to tylko wymyślił. A potem sama tego doświadczyłam. – Zaśmiała się krótko. – Nieźle mi się dostało za to, że sądziłam, iż jestem

uodporniona, prawda? –Usiadła na łóżku, zaciskając dłonie. Twarz jej pobleadła.

– Czy planowaliście ślub?

– Neil po wojnie zamierzał powiedzieć o wszystkim żonie. Jane mieszkała w Kornwalii i nie widział jej od lat. Twierdził, że takich rzeczy nie mówi się przez telefon i nie pisze w liście. Chciał stanąć z nią twarzą w twarz. Czuł, że między nimi zrodziło się coś naprawdę wielkiego... – Suzanne przerwała, a Marius zobaczył, jak jej twarz się marszczy. – Często myślałam, że może wiedział, iż nie wróci. Może miał przeczucie.

Mariusz przypomniał sobie noc przed wyjazdem do Normandii, noc, którą spędził stłoczony pośród setek innych żołnierzy na statku w Poole. Wszyscy bali się tak bardzo, że marzyli już tylko o tym, by wszystko czym prędzej się zaczęło.

– Sądzę – powiedział powoli – że on po prostu niczego nie był pewien. Uważał, że nie trzeba kusić losu, snując jakieś plany.

Suzanne podniosła oczy.

– Tak. – Opowiadała dalej pośpiesznie, by jak najprędzej skończyć. – Neil próbował załatwić mi przeniesienie na południe, ale się nie udało. Wiedziałam, oczywiście, że mogę go już nigdy nie zobaczyć. I byłam... byłam zrozpaczona. I taka samotna. I wściekła, że musiał mnie opuścić. Wiem, że to irracjonalne, ale tak właśnie się czułam. Tak bardzo za nim tęskniłam. Tęskniłam za tym, co nas łączyło. – Zmarszczyła brwi. – Za czyjąś bliskością. Za seksem. Nie tylko dla przyjemności. Ale też dla pocieszenia. Pragnęłam być z kimś.

– I właśnie tu było miejsce dla mnie – wtrącił Marius z goryczą. – Równie dobrze mógł to być ktoś inny, prawda, Suzanne? – Przyglądał się jej

badawczo, zadając kolejne pytanie. – Czy wiedziałaś, że jesteś w ciąży, gdy się spotkaliśmy?

– Nie. Nie miałam pojęcia. Nigdy nie miesiączkowałam regularnie. Oboje z Neilem byliśmy bardzo ostrożni, więc nie przypuszczałam... – Suzanne zmusiła się, by spojrzeć mężowi w oczy. – To prawda, Marius. Gdyby chodziło mi tylko o to, żeby znaleźć ojca dla mojego dziecka, to powiedziałabym ci o ciąży już wtedy, nie sądzisz? A przecież nie powiedziałam. Pamiętaj, że to ty mnie odnalazłeś.

Musiał przyznać, że nie ułatwiła mu tych poszukiwań. Jeśli jednak nie chciała zrobić go w małżeństwo, to dlaczego poszła z nim do łóżka?

– Powiadasz, że on, że twój kochanek, wyjechał parę dni przed naszym spotkaniem. Przecież mógł wrócić, prawda? Nie byłaś chyba szczególnie wierna, nie wydaje ci się?

Jej wielkie, ciemne oczy zapatrzyły się gdzieś w dal.

– Chciałam o tym wszystkim zapomnieć – powiedziała w końcu. – Chciałam stłumić w sobie niepokój i gniew. I choć to brzmi teraz idiotycznie, chciałam go ukarać za to, że mnie zostawił. Zawsze lubiłam seks. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze poprawiał mi samopoczucie. I wystarczyło, że na ciebie popatrzyłam, a wiedziałam, że z tobą będzie mi dobrze w łóżku. – Po raz pierwszy uśmiechnęła się nieznacznie. – Wiem, że kobiety nie powinny mówić takich rzeczy, ale to prawda.

– To znaczy, że byłem... zmiennikiem... substytutem.

Suzanne zagryzła wargi.

– Lubiałam cię, Marius. I bardzo mnie pociągałeś. Przykro mi, jeśli to... nie ma znaczenia. – Wydeła wargi. – Znam wielu atrakcyjnych mężczyzn. Ale niewielu miłych. Neil był miły. I ty też.

Miły, pomyślał. O, mój Boże.

– Co się z nim stało? Mówiłaś, że zginął pierwszego dnia desantu.

– Jego przyjaciel – zaczęła powoli – powiedział mi, że nie zdołał nawet dopłynąć do plaży. Zginął w morzu. Nie mogłam pójść na pogrzeb. Żona nalegała, by nie wpuszczono nikogo oprócz rodziny.

Marius nie mógł znieść widoku jej oczu. Zapalił papierosa i podszedł do Suzanne.

– Proszę. – Nie wzięła papierosa, więc wsunął go między jej drżące palce.

– Dziękuję – szepnęła. Zamknęła oczy, zaciągając się dymem. –Wtedy byłam już pewna, że jestem w ciąży. Na początku próbowałam zignorować ten fakt. Udawać, że nic się nie stało. Przestałam myśleć logicznie. Neil zginął i tylko to się liczyło. Nie potrafiłam myśleć o przyszłości, bo dla mnie nie było już żadnej przyszłości. –Znów zaciągnęła się głęboko papierosem. – Ale wkrótce ciąża zaczęła być widoczna i wyleciałam ze służby. Straciłam wszystko, Marius: mężczyznę, którego kochałam, pracę, dom. Rodzice nie chcieli mnie przyjąć. Matka uderzyła mnie w twarz, gdy jej powiedziałam o dziecku. Chciałam się pozbyć tej ciąży, poszłam nawet do kogoś w tej sprawie, ale było za późno. – Otworzyła szeroko oczy. – Przepraszam, jeśli to dla ciebie zbyt szokujące, ale chciałeś dowiedzieć się prawdy... – Głos jej się załamał.

Marius wyszedł z pokoju i zszedł na dół. Wziął butelkę szkockiej whisky i dwie szklanki. Kiedy wrócił do sypialni, Suzanne wciąż siedziała nieruchomo na łóżku. Aż podskoczyła na dźwięk otwierających się drzwi.

– Myślałam, że sobie poszedłeś – powiedziała.

Nalał dwie spore porcje whisky i podał jej jedną szklanekę. Mocny alkohol piekł go w gardle, pomagając odzyskać równowagę.

– Co wtedy zrobiłaś?

Po długiej pauzie powiedziała:

– Przyjaciółka pozwoliła mi spać u siebie na sofie przez kilka tygodni. Tylko że miała trójkę własnych dzieci, a dom został częściowo zniszczony podczas bombardowania. Potem znalazłam pokój w Putney i pracę w sklepie. Na parę miesięcy wszystko się jakoś ustabilizowało. Miałam, oczywiście, coraz większy brzuch, ale nosiłam luźne bluzki i swetry, długo więc udawało mi się ukrywać ciążę. W końcu jednak wszyscy zauważyli i zostałam na bruku. Potem wynajęłam pokój w pensjonacie. Kupiłam obrączkę i udawałam, że jestem wojenną wdową. – Suzanne zmarszczyła brwi. – Niewiele pamiętam z tego okresu. Zdaje się, że codziennie były naloty i wszyscy strasznie się bali. To pamiętam. A ja się wcale nie bałam. Myślałam nawet, że bomba stanowiłaby niezłe rozwiązanie. – Wypiła jeszcze trochę whisky. – A potem się urodziła Tara.

– Drugiego dnia świąt.

– Tak. – Przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. – I wtedy, wiem, że to brzmi staroświecko, miałam znów powód, aby żyć. – Suzanne kołysała szklanekę w dłoni. – Nie spodziewałam się, że ją pokocham. W czasie ciąży myślałam często, że to jakieś przekleństwo – straciłam Neila i zostałam z dzieckiem, którego wcale nie chciałam. Nigdy nie przepadałam za dziećmi jak wiele kobiet. Widziałam, co się stało z moją matką, która urodziła ich za dużo. Zawsze sobie obiecywałam, że nie skończę tak jak ona. – Po jej policzkach płynęły łzy. – Pokochałam Tarę. Pokochałam, gdy tylko ją zobaczyłam. W szpitalu próbowano mnie nakłonić, żebym oddała dziecko do adopcji, ale nie chciałam. – Znalazła chusteczkę w rękawie i wydmuchała nos.

– Na pewno bardzo trudno ci było z niemowlęciem...

– To było okropne. – Otarła oczy wierzchem dłoni i znów przełknęła trochę whisky. – Właścicielka pensjonatu kazała mi się wynosić, gdy tylko wróciłam ze szpitala. Domyśliła się, że nie jestem mężatką. Patrzyła na Tarę, jakby mała była nieczysta. – Suzanne odetchnęła głęboko. – Mieszkałyśmy w okropnych miejscach, Tara cały czas się przeziębiała, bolało ją gardło. Z powodu wilgoci. I tak trudno mi było znaleźć pracę, którą mogłabym pogodzić z opieką nad dzieckiem.

Suzanne umilkła. Marius pomyślał, że w czasie gdy on szedł na północ przez okupowaną Francję, Belgię i Niemcy, ona także walczyła, i to całkiem sama.

– Więc kiedy przyszedłem cię odwiedzić...

– Jak już powiedziałam, gospodarz chciał mnie wyrzucić z mieszkania. Było mnóstwo ludzi, którzy szukali jakiegoś kąta i mogli zapłacić znacznie więcej niż ja. Szukałam dachu nad głową przez cały tydzień. Byłam bliska szaleństwa. Wszystko stawało się coraz trudniejsze. Na początku lata Tara zachorowała na odrę, musiałam więc zapłacić za lekarza. Wieczorami pracowałam w pubie, a sąsiadka siedziała z małą, musiałam jednak zrezygnować z tej pracy, kiedy Tara zachorowała. Zaczęłam myśleć, że będzie jej lepiej, jeśli oddam ją do adopcji. Wtedy pękłoby mi serce, ale przecież liczy się dobro dziecka, prawda? I wówczas ty się pojawiłeś. Kiedy założyłeś, że Tara jest twoją córką... – Suzanne uniosła ręce w geście rezygnacji –... przyszło mi do głowy, że to dobry sposób, by móc ją zatrzymać.

Mariusz przypomniał sobie gorącą, wilgotną norę i krzyki dziecka. „To moje dziecko, prawda, Suzanne?” – zapytał wtedy. A ona skinęła głową.

– Powiedziałaś, że spodziewałaś się, iż zaproponuję ci pieniądze?

– Tak – szepnęła. – A gdy stało się inaczej... kiedy zacząłeś nalegać na małżeństwo... uznałam to za jedyną możliwość, by wydostać się z nędzy. Dzięki temu Tara nie byłaby od urodzenia napiętnowana jako nieślubne dziecko. Jako bękart. I gdy zacząłeś mi opowiadać o Missencourt i o tych wszystkich wspaniałych rzeczach, które mogłaby mieć... to sama przed sobą usprawiedliwiłam to kłamstwo. Tłumaczyłam sobie, że stać cię na to, że zawsze miałeś łatwe życie, ty i ludzie twojego pokroju, więc dlaczego nie miałybyśmy z tego skorzystać. – Westchnęła. – Nie znałam cię jeszcze wtedy, Marius. Nie znałam cię wystarczająco dobrze. Wiedziałam, że źle postępuję, wmawiałam jednak sobie, że wszystko się ułoży. Czułam, że wciąż ci się podobam...

– Seks w zamian za dach nad głową.

– Tak. – Suzanne zaśmiała się w dziwny sposób. – Obrzydliwe, prawda?

Marius nie odpowiedział, a ona ciągnęła dalej:

– Później, gdy cię lepiej poznałam, zaczęłam nienawidzić siebie. Kiedy zobaczyłam, jak bardzo kochasz Tarę. Kiedy byłeś dla mnie taki miły. Zresztą nie tylko ty. Adela też. Twoja matka była dla mnie taka dobra. Nie mogłam już tego znieść, po prostu nie mogłam.

Marius odwrócił się i zapatrzył w szybę. Po chwili zorientował się, że Suzanne skończyła pakowanie.

– Dokąd pójdziesz? – zapytał.

– Nie wiem. Znajdę coś.

– A Tara?

– Marius! – W jej oczach było zdumienie.

– To właśnie chcesz zrobić, prawda, Suzanne? Chcesz zabrać Tarę. Chcesz wyrządzić krzywdę mnie i mojej matce, ludziom, którzy ją pokochali.

– Mam tylko ją! – Suzanne się rozpląkała. – Nie mogę jej zostawić, może powinnam, ale nie mogę. – Skrzyżowała ręce, by opanować drżenie.

W pociągu, którym wracał do domu, uświadomił sobie jedną rzecz. „Jeśli człowiek znajdzie miłość, powiedziała Topaz, to powinien wszystko dla niej poświęcić”. Marius wiedział, że miała rację.

– Nie chcę jej stracić – mówił powoli i wyraźnie. – Nawet jeśli nie jest moją córką, to nie chcę jej stracić.

W pociągu Marius rozmyślał o jeszcze jednej sprawie. Czy wiedząc, że nie jest ojcem Tary, wciąż ją kocha? Nie musiał się długo zastanawiać. Miłości nie da się włączyć i wyłączyć jak piecyka elektrycznego. Odkrycie, że w żyłach Tary nie płynie jego krew, było bardzo bolesne, ale nie zmieniło jego uczuć względem dziecka.

Suzanne siedziała na skraju łóżka. Była blada jak kreda.

– Nie zostawię Tary, Marius.

Postanowił grać na zwłokę. Wiedział, że Suzanne jest praktyczna i wrażliwa i że prędzej czy później zrobi to, co najlepsze dla córki: zostawi Tarę w Missencourt.

Czuł jednak, że nie mógłby na to przystać. Byłoby barbarzyństwem oddzielać matkę od dziecka. Byłoby barbarzyństwem kazać im w ten sposób płacić za jego ból i gniew, ranić Tarę, by ukarać jej matkę.

Usiadł na łóżku koło żony. Czuł się całkowicie wyczerpany zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Dostrzegał tylko jedno, jedyne wyjście.

– Jeśli nie chcesz odejść bez niej... a ja nie chcę stracić Tary... to pozostało nam tylko jedno rozwiązanie, prawda?

Suzanne także była wyczerpana.

– Nie rozumiem.

– Żebyś została.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Tutaj? W Missencourt? Nie mogłabym tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo nic z tego nie będzie.

– Dlaczego?

– Zacziesz mnie nienawidzić, Marius.

– To byłoby trudne...

Przerwała mu śmiechem.

– Trudne! Do diabła!

– Ale czy nie warto spróbować, ze względu na Tare?

– Już próbowaliśmy. Cholernie się staraliśmy. – Suzanne wstała i zaczęła krążyć po pokoju, wrzucając na chybił trafił różne rzeczy do walizki. Perfumy, parę butów, książkę. Potem powiedziała: – Nawet jeśli ty zdołałbyś mi wybaczyć, to ja nie zniosłabym takiego życia. Na pół gwizdka.

Tym razem całkiem go zbiła z tropu.

– Na pół gwizdka? – powtórzył, nic nie rozumiejąc.

– Mówię o nas. O tobie i o mnie.

– Chodzi ci o Missencourt?

– Nie, Marius. O nas. Nigdy z sobą normalnie nie rozmawiamy. Nigdy nie mówimy o czymś istotnym. Nie mogę w ten sposób spędzić całego życia. Nawet dla dobra Tary.

– To nieprawda – bronił się. – Bardzo dużo rozmawialiśmy...

– Bzdura. Dawno temu zrozumiałam, że znosisz moją obecność tylko z poczucia obowiązku.

Marius przecesał włosy dłonią. Głowa mu pękała.

– Nie wiedziałem, że tak to odbierasz.

– Czułam, że nie mam prawa narzekać. – Suzanne wyciągnęła szufladę z nocnej szafki i wrzuciła jej zawartość do walizki. – Tam, w obozie, strasznie się kłóciliśmy, ale przynajmniej mieliśmy sobie coś do powiedzenia. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy o czymś istotnym?

Marius musiał się głęboko zastanowić. – Wczoraj – odparł. – Gdy wracaliśmy do domu od Barringtonów. A przedtem... nie pamiętam.

– Kiedyś rozmawialiśmy o wszystkim. O polityce... o ludziach... o wojnie... o filmach... o książkach... – Suzanne wciąż wyrzucała zawartość szuflad na rosnący stos. – Zmieniłeś się, Marius. Stałeś się zamknięty w sobie.

– W ten sposób przetrwałem. – W jego głosie była nuta goryczy.

– W ten sposób możesz przetrwać małżeństwo, którego nie chciałeś, w które zostałeś wmanipulowany.

– Nie to miałem na myśli – odparł ostro. Podszedł do okna i je otworzył, ale nocne powietrze wcale nie ochłodziło pokoju. – Kiedy w zeszłym roku wróciłem do domu, nie potrafiłem przyzwyczać się do normalnego życia. Wszystko było inne, niż oczekiwałem. Czułem się tu obco. Gdy jednak w moim życiu pojawiła się Tara... –Urwał.

Suzanne położyła dłoń na jego zaciśniętej pięści.

– Narobiliśmy straszego bałaganu w naszym życiu, prawda?

Marius przymknął oczy.

– Piekielnie mnie boli głowa – mruknął. – Nie jestem już w stanie myśleć. – Pociągnął za swój krawat.

– Jesteś zmęczony, Marius. I przygnębiony. – Zerknęła na zegarek. – Jest prawie druga.

– Zaczekasz? Dzień albo dwa...

–Marius...

– Nie wolno ci odejść, Suzanne – oświadczył zdecydowanie. –Nie wolno ci jej zabrać bez uprzedzenia.

Suzanne zamknęła oczy.

– Nie zrobię tego.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

Mariusz rzucił walizkę z łóżka. Jej zawartość rozsypała się po podłodze. Potem zdjął buty, położył się i zamknął oczy. Ku swemu zaskoczeniu, zasnął natychmiast.

Sierpniowy upał spowił angielską wieś w mgiełkę, w której łąki, ciągnące się aż do wybrzeża, zaczęły się zlewać z morzem, tworząc mozaikę różnych tonów zieleni i ultramaryny. Zmęczeni duszną atmosferą miast wycieczkowiec przyjeżdżali pociągami i autobusami do nadmorskich miejscowości. Rozkładali się na gorącym piasku plaż w Bournemouth, Hemscombe i Lyme Regis, przypiekając blade ciała na czerwono i mocząc zmęczone stopy w słonej wodzie. Dzieci ciągały za sobą sieci na krewetki, brodząc po płytczynie, raniły sobie kolana na nierównych skałach i wrzeszczały wniebogłosy, gdy lizaki spadały im z patyków, pozostawiając kolorowe plamy na chodniku.

Liczny klan Chancellorów wiódł żywot zgodny z nakazami pory roku. Dzieci, wolne od szkolnych obowiązków, biegały, dokazywały, broiły, szeptały sobie nawzajem do ucha sekrety, budowały kryjówki i kąpały się w strumieniach w gęstwinie ciemnych lasów. Mężczyźni z rodu Chancellorów, zasłużony sobie na dwutygodniowe wakacje, opuścili sklepy, urzędy i szkoły, przenosząc się do pensjonatów i hoteli razem z utyskującymi żonami i

rozbrykanymi latoroślami. John i Prudence uciekli do Krainy Jezior, gdzie przechadzali się pośród zielonych, aksamitnych pagórków i przejrzystych tafli wód. Maurice Chancellor wraz ze swą cichą jak myszka żoną i wścibskimi dziećmi zatrzymał się w hotelu w Torquay, gdzie oglądał się za kelnerkami i obliczał nowe ceny tekstyliów.

W Sixfields rozpoczęły się żniwa, najgorętszy okres roku. Jack pracował od świtu do nocy, jeżdżąc kombajnem po wielkich połaciach ziemi należącej do Carrie Chancellor. Srebrne ostrza cięły złote łodygi zbóż. Pod koniec dnia promienie zachodzącego słońca igrały z cieniami na ściernisku. Wspomnienia wojenne odpływały w dal. Jack cieszył się, że nie doznał żadnych fizycznych obrażeń ani też urazów psychicznych, które nękały byłych więźniów wojennych. Gdy matka po raz kolejny wypomniała mu fakt, że unika rodzinnych uroczystości, postanowił od czasu do czasu wychylić się ze swej ślimaczej skorupy. Niedzielny lunch w domu rodziców, wesele kuzyna. Zdobył się nawet na cywilizowaną rozmowę z Willem i Julią.

Londyńskie towarzystwo się rozpieczęło. Charlie pracował w Blackpool, Francesca wybrała się w odwiedziny do zamężnej siostry, Jerry, Mischa i Claudette pojechali wadzić się, flirtować i godzić do wilgotnego domku w Devon, użyczonego im przez wielbiciela talentu Claudette. Helena deptała po kamykach na plaży w Brighton i osłaniając oczy przed słonecznymi promieniami, przyrzekała sobie po raz kolejny to samo, co zawsze: że wymaże kochanka z pamięci.

Adela Temperley, świadoma wszystkich burz, które przetaczały się przez Missencourt, zamartwiała się, ale milczała taktownie.

Sierpień postanowiła spędzić u siostry w Cumberland. W Missencourt natomiast nastroje Mariusa zmieniały się jak w kalejdoskopie. Pragnął, żeby

Suzanne odeszła, i chciał, aby została. Nie był w stanie jej dotknąć i nie mógł znieść nocy, które spędzali osobno, gdy ona kładła się w pokoju gościnnym albo on padał na sofę w salonie, zmęczony i pijany. Nienawidził jej za to, że zniszczyła mu uporządkowane życie, że wytrąciła go z bezpiecznej rutyny. Gdy w firmie rozpoczęły się dwutygodniowe wakacje, poczuł się w Missencourt jak w więzieniu. Brakowało mu pracy, pił za dużo i spał za mało.

Pewnego wieczoru, gdy wyciągnął dłoń po kluczyki do samochodu, które nieco wcześniej rzucił na kuchenny stół, Suzanne, właśnie zmywająca naczynia, zrobiła to szybciej.

– Nigdzie nie pojedziesz. Stanowczo za dużo wypiełeś.

– Suzanne... – zdenerwował się Marius.

– Nie żartuję. – Trzymała kluczyki w jednej ręce i ścierkę w drugiej. – Gdybyś się zabił, do końca życia miałabym wyrzuty sumienia.

– Oddaj mi to. – Wyciągnął rękę. Suzanne się odsunęła.

– Musiałbyś odebrać mi je siłą, a tego chyba nie zrobisz.

Kiedy rzucił się na nią, odsunęła się na bok. Marius stracił równowagę i chwycił się ociekacza przy zlewie, by nie upaść. Natrafił ręką na szklanekę i rozbił ją. Opierał się o szafkę i wpatrywał w dłoń, w której utkwily kawałki szkła.

– O, Boże, Marius....

– Cholera, cholera, cholera...

– Usiądź. – Popchnęła go na krzesło. – Zadzwoń po doktora.

– Nie! – Krew ściekała mu za rękaw. Zastanawiał się, dlaczego nic nie czuje. Popatrzył na żonę. – Jestem pijany jak bela i potknąłem się o własną nogę. Nigdy! Na miłość boską, Suzanne, ten człowiek pomógł mi przyjść na świat.

– W takim razie opatrę ci ranę – powiedziała.

Usiadła obok niego i zaczęła ostrożnie wydobywać szkło z rany. Mariusowi zrobiło się zimno, poczuł zawroty głowy.

– Kurwa mać, co za głupota...

– Marius! – W jej głosie pojawiło się kpiące zaskoczenie. – Nigdy nie słyszałam, żebyś przeklinał.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie ojca.

– Tylko raz słyszałem, jak ojciec kłął.

– Kiedy?

– W dniu, w którym Wielka Brytania wypowiedziała wojnę. – Marius próbował się skupić. Czuł, że jest pijany i oszołomiony. – Walczył w czasie pierwszej wojny światowej. Sądzę, że to były dla niego straszne czasy. Nigdy o tym nie mówił.

– Muszę chyba użyć pincety, żeby wyjąć te najdrobniejsze odłamki. – Podniosła oczy, by spojrzeć na męża. – Dziwnie wyglądasz, Marius. Nie chciałbyś się położyć?

– Nic mi nie jest.

– W takim razie mów coś do mnie. Opowiedz mi o swoim ojcu. Nigdy o nim nie mówiłeś. Jaki był?

– Był... – Marius przymrużył oczy. – Niedościgłym wzorem. Wysoki. Przystojny. Znał się na wszystkim.

– Jaki ojciec, taki syn – wtrąciła, ale pokręcił głową.

– O, nie. Pod pewnymi względami jestem do niego podobny, owszem, lecz... on był czarujący... dowcipny... ludzie go uwielbiali... zwłaszcza kobiety... O mnie nic takiego nie można powiedzieć.

– Chyba wyjęłam już wszystkie odłamki.

– Kiedyś nazwałaś mnie sztywniakiem... Chyba miałaś rację. Ojciec zawsze mi wbijał do głowy poczucie obowiązku. Musisz wypełniać swoje obowiązki. Wobec ojczyzny. Wobec rodziny. Wobec tych, którzy cię kochają. Ale...

Suzanne otworzyła buteleczkę ze środkiem dezynfekującym.

– Ale?...

– Chyba nawet dla niego nie zawsze było to łatwe.

– To nie jest łatwe dla nikogo.

– Auu...

– Nie zachowuj się jak dziecko – upomniała go stanowczo. – To tylko woda utleniona.

– Mocno szczypie. – Marius wziął głęboki oddech. – Od czasu do czasu wściekał się z jakiegoś powodu. Niezbyt często. To było straszne. Taki lodowaty gniew. Wtedy schodziłem mu z drogi. Mniej więcej raz albo dwa razy w roku.

– Mój ojciec wściekał się raz albo dwa razy dziennie – oznajmiła Suzanne. Wyjęła czystą ścierkę z szuflady. – Przyłóż to, a ja poszukam bandaża.

Marius siedział w kuchni, przyciskając ranę ścierką. Zaczynał odczuwać ból. I to całkiem poważny. Uzmysłowił sobie, że nigdy nie opłakiwał ojca. O jego śmierci dowiedział się za granicą; a gdy rok później wrócił do domu, musiał zacząć wypełniać swoje obowiązki wobec matki i wobec Julii, nie miał więc czasu na żalobę.

Chyba po raz pierwszy wspomniął ojca jako dorosły mężczyzna i zaczynał go rozumieć jak dorosły mężczyzna. Francis Temperley miał skomplikowany charakter. Julia odziedziczyła po nim zarówno namiętą,

impulsywną naturę, jak i potrzebę intymności. Marius podziwiał i uwielbiał ojca, nigdy jednak do niego się nie zbliżył. I najgorsze, że już nigdy nie będzie miał okazji. Suzanne wróciła z bandażem.

– Podaj mi rękę...

Ale on, wciąż siedząc, otoczył ją zdrowym ramieniem, przygarnął do siebie i, zamknąwszy oczy, wtulił głowę w jej brzuch. Poczul dłoń żony na swoich włosach i słyszał, jak powtarza jego imię łagodnym, ciepłym głosem.

Topaz z matką pojechały w sierpniu do Eastbourne, do wielkiego hotelu, w którym pozostały jeszcze ślady przedwojennej świetności. W otoczeniu rosnących w donicach palm i luster w pozłacanych ramach, Veronica trochę się wyciszyła. Czasami, wieczorem, po kilku szklaneczkach ginu z tonikiem, opowiadała Topaz o swym dzieciństwie w Indiach. O letnich wakacjach spędzanych wysoko w górach, o przyjęciach popołudniowych, o imprezach na stadionach i na kortach tenisowych. Topaz chciała usłyszeć, jak ów świat wyglądał, jak pachniał, jak brzmiał, ale nie ośmieliła się o nic zapytać, by nie przerwać jakże rzadkich zwierzeń matki. Tylko raz nie zdołała się powstrzymać od komentarza: gdy Veronica opowiadała o swej długiej podróży statkiem do Anglii, którą odbyła jako dziewięcioletnia dziewczynka, wysłana na pensję. Towarzyszyła jej żona jakiegoś oficera, bo matka uważała, że jest zbyt delikatna, by opuścić wnętrze bungalowu, osłoniętego muślinowymi firankami i pełnego czekającej na każde skinienie służby.

– Nigdy już jej nie zobaczyłam, bo zmarła, gdy miałam czternaście lat – powiedziała Veronica, zamawiając jeszcze jednego drinka.

– Jakże okropnie musiałaś się czuć! Pewnie wylałaś morze łez! – wykrzyknęła poruszona Topaz.

Veronica spojrzała na córkę ze zdumieniem.

– Nie wydaje mi się. Raczej nie. Gdy mi o tym opowiedziano, ominęły mnie zajęcia z hokeja. Bardzo się ucieszyłam, bo nie znosiłam błota.

Później, spacerując jak co dzień brzegiem morza, Topaz wyobrażała sobie matkę jako zachowującą stoicki spokój, niezdolną do płaczu dziewczynkę. I porównywała ją ze sobą, postanawiając, że tego wieczoru nie będzie płakać, myśląc o Charliem. Zwłaszcza że już zdążyła wylać morze łez.

W sierpniu Will nie mógł już dłużej ignorować swych kłopotów finansowych. Ogromne straty spowodowane ciężką zimą i kryzysem paliwowym wpędziły go w jeszcze większe długi. Na początku roku wziął pożyczkę z banku, by jakoś ciągnąć swój interes.

Pod koniec sierpnia odwiedził swojego kuzyna Maurice'a w Henscombe. Maurice, tusty i opalony, słuchał z pozornym współczuciem wyjaśnień, dlaczego Will, z powodu śniegu i racjonowania paliwa, nie może zapłacić czynszu za ostatnie trzy miesiące. Will dodał z przekonaniem, że w końcu na pewno mu się powiedzie. Musi tylko złapać drugi oddech; spłaci wszystkie długi, gdy wyjdzie na prostą.

Maurice przypomniał Willowi, że jest tylko współwłaścicielem warsztatu.

– To nie ode mnie zależy, mój drogi chłopcze. Nie mogę zawieść współników. Gdybym mógł sam decydować... – Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu, gdy Will zegnał się pośpiesznie, dziękując za wszystko, i wybiegł ze sklepu kuzyna.

W drodze do domu zatrzymał się na drinka w Holly Bush, by uspokoić trochę skołatane nerwy. Pub leżał na uboczu przy nieoświetlonej drodze. Wszyscy wiedzieli, że godziny serwowania alkoholu traktowane są tu bardzo elastycznie. Will przyłączył się do sympatycznej gromadki rybaków oraz

wyrobników z okolicznych farm i w miłym towarzystwie szybko zapomniał o swoich problemach. Gdy jednak następnego dnia obudził się z bólem głowy i zgagą, wszystkie zmartwienia natychmiast powróciły. Dług. Procenty do spłacenia. Brak regularnych dochodów.

Parę dni później do warsztatu zadzwonił Maurice. Wyjaśnił, że zmartwiła go sytuacja Willa i zastanawiał się, jak mu pomóc. Rozmawiał z pewnym przyjacielem, który mógłby doradzić Willowi, jak rozkręcić interes. Przyjaciel Maurice'a, niejaki pan Hunter, obiecał, że wkrótce tu zajrzy.

Will wyobrażał sobie, że ów przyjaciel jest bogatym dżentelmenem, który ma dwa albo trzy samochody, wymagające raz na jakiś czas przeglądu. Wstydził się powiedzieć kuzynowi, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, parę dodatkowych zleceń niczego nie zmieni.

Kilka dni później na plac przed warsztatem wjechała nowiutka lancia. Kierowca przedstawił się Willowi.

– Rick Hunter.

Uścisnęli sobie dłonie. Will odniósł wrażenie, że pan Hunter jest niewiele od niego starszy. Gość miał na sobie świetnie skrojone szare ubranie i błękitną jedwabną koszulę. Z kieszonki wystawała chusteczka z tego samego jedwabiu. Mężczyzna był niższy, ale za to lepiej zbudowany niż Will. Miał długi, płaski nos, ciemne oczy i niewielkie usta. Will pomyślał, że ten człowiek przypomina gładkiego, tłustego szczura.

Pan Hunter obszedł warsztat.

– Całkiem przyjemne, zaciszne miejsce.

– Tak zaciszne – odparł z goryczą Will – że prawie nikt tu nie zagląda.

– Trzeba tylko wiedzieć, jak przyciągnąć klientów.

Gdy weszli do biura, pan Hunter obrzucił wszystko taksującym spojrzeniem. Will wskazał mu krzesło.

– Czy jest pan kolegą... przyjacielem Maurice'a?

– Doradzam mu w interesach. – Pan Hunter uśmiechnął się promiennie. – Nazwijmy to w ten sposób, Will. Jestem doradcą. Przejdźmy do rzeczy. Jeśli chcesz, żeby biznes się kręcił, musisz przyciągnąć tu jakoś klientów. Warsztat leży na uboczu, prawda? Musisz więc ich jakoś zachęcić.

– W jaki sposób?

– No cóż, każdy ma prawo zarabiać na życie. Każdy człowiek ma prawo zabrać żonę na zakupy, zrobić jej jakiś miły prezent, zapewnić dzieciom przyzwoity start. – Na twarzy Willa musiało się odmalować zniecierpliwienie, bo pan Hunter powiedział: – Wysłuchaj mnie uważnie. – W jego głosie było tyle zdecydowania, że Will nie odważył się odezwać. – Mam pewne znajomości wśród ludzi handlujących samochodami. Są tacy, którzy szukają uczciwego mechanika, kogoś, kto przyłoży się do pracy. Spróbowałbym skierować tu paru klientów, Will. To mogłoby zmienić twoją sytuację. A gdyby wiedzieli, że przy okazji kupią tu trochę paliwa, jeszcze chętniej zboczyliby z drogi. Mam nadzieję, że mnie dobrze rozumiesz.

Will nie był tego taki pewien. Pan Hunter nie spuszczał z niego wzroku.

–Gdyby na przykład wiedzieli, że nikt nie będzie ich pytał o kupony.

Will poczuł ucisk w dołku.

– O kupony?

– Kupony dostaniesz ode mnie. Klienci płacą za kupon dwa i pół szylinga. Dwa dla mnie, pół dla ciebie. Pobieram coś w rodzaju prowizji.

Sfalszowane kupony na paliwo? A może skradzione? Will zaczął tracić poczucie rzeczywistości. Siedział we własnym warsztacie i rozmawiał z jakimś

cwaniaczkiem z East Endu – Hunter nie potrafił ukryć swego pochodzenia mimo eleganckiego ubrania – o handlu kuponami na benzynę na czarnym rynku.

– Skąd pochodzą te kupony? – Wreszcie odzyskał głos.

– Chyba nie ma potrzeby, abyś to wiedział, Will – odparł pan Hunter i podniósł się z miejsca. – Parę warsztatów na Warren Street działa w tym systemie od lat. Żadnych problemów, same korzyści. – Wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją Willowi. – Przemyśl to sobie. To mój numer telefonu. Zadzwoń, jak się zdecydujesz – rzucił, wychodząc. Po chwili po lancii pozostał tylko obłoczek kurzu.

Will wyobraził sobie, jak Julia się śmieje, słysząc jego opowieść o wizycie pana Huntera, o jego jedwabnej chusteczce, lśniącym samochodzie i nedorzecznej propozycji. Lecz prawie natychmiast porzucił ten pomysł i wizyta pana Huntera została dodana do listy spraw, o których żona nie mogła się dowiedzieć, do listy, na której były już długi, pożyczka i bałagan w księgowości.

Julia wiedziała, że im się nie przelewa, nie miała jednak pojęcia, jak daleko zaszły sprawy. I wcale nie musiała o tym wiedzieć, skoro to tylko przejściowe kłopoty.

Pomimo zmęczenia i niepokoju, w jaki wprawiała go ta rozmowa, zmusił się do ponownego przejrzenia wszystkich papierów. Gdy skończył, zaczął wpatrywać się w te przekłete rachunki i rozważać możliwości wyjścia z trudnej sytuacji. Mógł obciąć koszty, gdyby nie fakt, że już dawno zrobił wszystko, co było możliwe w tym względzie. Mógł poprosić o jeszcze jedną pożyczkę – tylko że i tego już próbował, spotykając się z odmową zarówno ze strony Maurice’a, jak i banku.

Mógł wreszcie zrezygnować z warsztatu. Gdyby powiedział Maurice'owi, że musi poszukać kogoś innego, kto poprowadzi interes, zostałby bez grosza przy duszy. Może znalazłby jakąś pracę, wciąż jednak pozostałyby mu długi do spłacenia. Najprawdopodobniej musieliby się wyprowadzić z Hidcote Cottage i wrócić do rodziców. Gdy wyobraził sobie zdumienie Julii i rozczarowanie Prudence i Johna, strach podszedł mu do gardła.

A gdyby próbował dalej walczyć o przetrwanie... Jeśli nie spłaci pożyczki, zostanie wkrótce bankrutem. Will podszedł do okna i otworzył je na oścież w nadziei, że haust świeżego powietrza uspokoi jego oszalałe serce. Na domiar złego dobrze znany głos przypominał mu wciąż o sukcesie Jacka. Brat odziedziczył Sixfields, a on zbankrutuje. „Ona cię nie kocha, chyba o tym wiesz.

Ona naprawdę cię nie kocha”. Dlaczegoż miałaby go kochać, skoro pograżył ją w nędzy?

Nazajutrz Will zadzwonił do rodziców i wprosił się na lunch. Przy potrawce z baraniny opowiedzieli mu o wakacjach w Krainie Jezior.

– Pierwsze wakacje od szesnastu lat – przypomniała mu matka, podając deser.

Gdy Prudence zmywała naczynia, Will zdobył się wreszcie na odwagę.

– Czy możemy o czymś porozmawiać, tato?

John Chancellor spojrzał na syna badawczo.

– Coś poważnego?

Will pokręcił głową i się uśmiechnął.

– No cóż, tak czy inaczej zapewne przyda mi się fajka. W gabinecie ojca zapytał ze ściśniętym gardłem:

– Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś mi pożyczyć trochę pieniędzy, tato?

Ojciec oderwał wzrok od czyszczonej właśnie fajki i spojrzał na niego. – Ile?

Will wymienił połowę sumy, której naprawdę potrzebował, uznając, że tyle wystarczy, by spłacić najpilniejsze długi.

– To bardzo duża suma, Will.

– Jeśli to za dużo...

– Wpadłeś w tarapaty?

– Nie. – Gwałtownie pokręcił głową. – Nie, tato.

– Jeśli wpadłeś w tarapaty, to na pewno ci pomogę, synu. To nie będzie proste, ale możemy trochę zacisnąć pasa. Sprzedam samochód. I tak nie jeżdżę nim od dawna.

Na rękawach tweedowej marynarki, którą ojciec nosił od lat, pojawiły się skórzane łaty. Will wiedział, że matka zawsze przesywała kołnierze w koszulach na drugą stronę i cerowała pościel.

– Nie wpadłem w żadne tarapaty, tato. Naprawdę.

– Czy mogę w takim razie zapytać, po co ci te pieniądze?

– Trzeba zrobić parę rzeczy w warsztacie i w domu... Julia chciałaby wreszcie mieć porządną łazienkę...

John Chancellor zaczął upychać tytoń w fajce.

– Wiem, że jesteś już żonatym mężczyzną, Will, ale może zechciałbyś wysłuchać rady starego ojca?

– Oczywiście, tato.

– Nie pożyczaj. Wydawaj tylko tyle, ile masz. Nie więcej. Ja kiedyś pożyczyłem pieniądze i od tego się wszystko zaczęło. Dlatego się tu

znaleźliśmy. Straciłem firmę, dom, a także mnóstwo pieniędzy. I to nie tylko z powodu pecha i ciężkich czasów, nie. Przyczyniła się też do tego moja głupota. Sądziłem, że jeśli pożyczę pieniądze, to szybciej wydobędę się z tarapatów, i przez to całkiem utonęliśmy w długach. Do tej pory płacimy za moje błędy, chłopcze. Wciąż spłacamy kredyty, staramy się zaoszczędzić coś na emeryturę, żebym nie musiał uczyć chłopców łaciny, leżąc na łożu śmierci. A co do ciebie i Julii, to przecież oboje jesteście młodzi. Znacznie łatwiej żyć skromnie, gdy jest się młodym. – John Chancellor się uśmiechnął. – Pamiętam, że zaraz po ślubie nie mieliśmy porządnego pieca i gotowaliśmy kolacje na naftowym palniku. Wyobrażaliśmy sobie wtedy, że jesteśmy na romantycznych wakacjach. – W oczach ojca pojawił się wyraz rozmarzenia. – Chyba nigdy potem nie byliśmy tak szczęśliwi.

W drodze do warsztatu Will zatrzymał się na poboczu i zapalił papierosa. Wciąż wstydził się tego, że poprosił ojca o pieniądze. Zaciągnął się głęboko papierosem. W jego uszach wciąż dźwięczał kuszący głos pana Huntera. „Trzeba jakoś przyciągnąć klientów”.

Gdy wrócił do domu, Julia opowiedziała mu najświeższe wiadomości. Tego dnia rząd ogłosił dalsze ograniczenia w sprzedaży paliw. Przez jakiś czas nie będzie można jeździć samochodem dla przyjemności. Sprzedaż benzyny jest dozwolona tylko do użytku służbowego.

– Czy to ma dla nas jakieś znaczenie? – zapytała, a Will pokręcił głową, starając się ukryć panikę.

Nazajutrz, nie zastanawiając się dłużej, zaczął grzebać w stercie papierów leżących na biurku i znalazł wizytówkę pana Huntera. Wykręcając numer, przypomniał sobie błysk w ciemnych oczach tego człowieka.

To potrwa tylko chwilę, przekonywał sam siebie. Tylko tyle, ile trzeba, by wyjść na prostą.

Helena znalazła Topaz nową pracę u emerytowanej aktorki, panny Damerall. Panna Damerall była stara i wątła, ręce jej powykręcał reumatyzm, ale na twarzy wciąż widać było ślady dawnej niepośledniej urody, pomimo suchej jak papier skóry i przerzedzonych siwych włosów. Topaz zjawiała się u starszej pani w południe, by przygotować jej lunch. Po południu zabierała na spacer tłustego psa swej chlebodawczyni, prowadziła jej korespondencję i załatwiała różne sprawy. Na ścianach, na kominku, a także na stonkach wisiały i stały ramki z plakatami teatralnymi oraz fotosami aktorów i aktorek minionej epoki.

Mischa zaprosił Francescę i Topaz na kolację. Mieszkał na ostatnim piętrze wysokiego budynku w Finsbury Park. Na dole były rozmaite biura i agencje, a tuż obok lombard. Na stopniach rozłożyła się bura kotka, skrupulatnie myjąc swe prążkowane futro.

Drzwi otworzył im Charlie. Pocałował je obie na powitanie i mruknął:

– Pioruny latają w powietrzu. – Uniósł brew, wskazując wyższe piętro. –

Mischa wrywa sobie właśnie włosy z głowy, bo znalazł list Jerry'ego do Claudette – wyjaśnił, prowadząc je na górę. – Pił przez cały dzień. A Claudette jest nadąsana. Możecie się spodziewać przypalonej potrawki jagnięcej i rozgotowanych ziemniaków.

Claudette siedziała w kącie, przeglądając jakieś czasopismo i nie zwracając uwagi na gości. Mischa na odległość pachniał alkoholem. Oprowadził je po mieszkaniu. Były tam dwie sypialnie połączone krętymi schodami. Brat gospodarza, Lescek, pilot myśliwca, zajmował pokój na

poddaszu. W kuchni, w kącie koło zlewu i palnika stało złożone połowe łóżko Mischy.

Mischa przygotowywał właśnie jagnięcinę, kaszę i czerwoną kapustę. Miał dwa półokrągłe garnki, które można było postawić na jednym palniku.

– Lescek zdobył gdzieś czerwoną kapustę – pochwalił się Mischa. – Tak trudno o czerwoną kapustę w Londynie.

– Nie znoszę kapusty – oświadczyła Claudette.

– Od kapusty kręcą się włosy – zauważył Charlie.

– Jaki śliczny kolor – zachwyciła się Topaz, zaglądając do garnka. Znała tylko zwykłą, zieloną kapustę. – Czy mam nakryć do stołu, Mischa?

– Bardzo cię proszę, moja droga. I gdybyś też mogła zapalić świece.

W czasie kolacji Claudette tylko dziobała jedzenie na swoim talerzu, a Mischa patrzył spode łba i pił brandy. Charlie usiłował skierować rozmowę na bezpieczny tor.

– Za parę tygodni znów będę bez pracy. – Grał w jakimś przedstawieniu w teatrze na Hammersmith.

– Sądziłam, że są nadzieje na tournée?

– Ja też tak sądziłem, Frannie, tylko że skończyły się już fundusze. Desmond miał nadzieję, że wydobędzie jeszcze tysiąc funtów od przyjaciela, ale chyba się nie udało.

– Jak to cudownie brzmi – westchnęła Topaz. – Tournée...

– Nadmorskie miasteczka w martwym sezonie... dłużące się podróże pociągiem...

– Potworne gospodynie – wtrąciła Claudette – które wypowiadają ci mieszkanie za to, że suszysz pończochy w łazience.

– Na widowni ledwo tuzin widzów, a na dodatek część z nich szuka jedynie schronienia przed deszczem.

– Nie mogę się doczekać chwili, gdy nie będę już musiała jechać na żadne tournee. – Claudette odłożyła nóż i widelec. – Powinnam wyjść za mąż za kogoś bogatego, prawda? Wtedy będę robiła to, co zechcę.

Mischa zbladł jak ściana.

– Claudette jeździ na tournee od wielu lat – wtrącił pośpiesznie Charlie. – Znacznie dłużej niż ja, prawda, kochanie?

– Od dwunastego roku życia – pochwaliła się dziewczyna. – Pantomimy... rewie... sztuki. Grałam w „Niebieskim ptaku”, który nie schodził z afisza przez rok. Miałam właściwy wygląd. Trzeba mieć właściwy wygląd. Jeden z recenzentów napisał, że mam twarz anioła.

Mischa mruknął coś po polsku.

– Sztuka, w której gram teraz, jest okropna – powiedział Charlie. – Mam już serdecznie dość morderstw i tajemnic z nimi związanych.

– Charlie się specjalizuje – Francesca uśmiechnęła się z afektacją – w rolach radosnych młodzieńców w białych garniturach.

– Najczęściej wchodzę i wychodzę przez taras – wyjaśnił z ponurą miną. – Przydałaby się wreszcie jakaś odmiana.

Claudette zapaliła papierosa.

– Ty przynajmniej coś robisz, Charlie. Coś twórczego.

– Ona pogardza mną za to, że pracuję w restauracji – wybuchnął Mischa. – Patrzy na mnie z góry.

– Bzdury opowiadasz, Mischa.

– Czy mam już posprzątać? – Topaz podniosła się z miejsca. Mischa nie dał się zbić z tropu.

– Jej chodzi tylko o pieniądze. To dlatego robi słodkie oczy do Jerry'ego. Bo on jest nauczycielem, a nie kelnerem.

– Wcale nie robię słodkich oczu do Jerry'ego. To nie moja wina, że się we mnie zakochał!

– Jerry zakochuje się w każdej napotkanej kobiecie – powiedział spokojnie Charlie. – Dobrze o tym wiesz, Mischa.

Mischa nie wyglądał, jakby go to pocieszało. Topaz zaczęła zbierać talerze, przypominając sobie pocałunek Jerry'ego i jego dłonie na swoich piersiach.

Na deser była strucla z makiem. Mischa pokroił ciasto na porcje.

– Polska specjalność. Według przepisu mojej mamy.

– Wiesz przecież, że nie jadam ciasta – powiedziała Claudette. – Jest takie tuczące.

Nawet Charlie zaczął tracić dobry humor.

– Boisz się, że nie zmieścisz się w kostium?

– Oczywiście, że nie – zdenerwowała się Claudette. – Każdy tancerz musi dbać o figurę.

– Ona się boi, że zgrubnie – oświadczył Mischa, zdenerwowany tak, że jego angielszczyzna zaczęła szwankować – i że mężczyźni przestaną się do niej oglądać. Prawda, Claudette?

Dziewczyna zmrużyła oczy i wygięła usta.

– No proszę, nie odpowiada. Siedzi i nic nie mówi! Ma w nosie to, że mnie rani. A ja... ja gotów byłbym dla niej umrzeć! – Mischa zerwał się na równe nogi i skierował nóż, którym kroił struclę z makiem, w swoją pierś.

Claudette pisnęła. Topaz zakryła usta dłonią.

– Mischa! – krzyknął Charlie.

– Mam dla ciebie umrzeć, Claudette? Chcesz, żebym to zrobił?

Ostrze się ugięło i na białej koszuli Mischy wykwitła krwawa plama. Claudette krzyknęła.

– Mischa, stary przyjacielu – zaczął Charlie łagodnie – odłóż ten nóż.

Claudette nie miała na myśli nic złego. Ona cię uwielbia. Prawda, Claudie?

Tancerka zanosła się płaczem.

– Mischa, kochanie...

– Proszę cię, odłóż ten nóż. Przestraszyłeś dziewczęta.

Przez długą chwilę Topaz sądziła, że tamten naprawdę wbije sobie nóż w pierś. Nagle całkowicie się odprężył, opadło z niego napięcie. Nóż spadł na podłogę, a Claudette zerwała się i rzuciła w ramiona Mischy.

Nim zdążyła zakleić plastrem ranę, goście wyszli. Gdy już byli na dole, Charlie mruknął:

– Cholerni komedianci. Po kolacji z Claudette i Mischą zawsze dostaję niestrawności.

– Takie rzeczy już się zdarzały? – zdziwiła się Francesca.

– Nie było jeszcze sceny z nożem. To nowość. Ale zawsze coś się dzieje.

Ostatnim razem Claudette rzuciła w niego talerzem pełnym gorącej zupy. Świetny rzut. Powinna zająć się krykietem, a nie tańcem. Potem spędziła pół wieczoru, przykładając masło do jego oparzeń.

– Dlaczego się nie rozstaną, skoro są ze sobą tak bardzo nieszczęśliwi? – zapytała Topaz.

– Topaz, kochanie, przecież oni to uwielbiają. Uwielbiają sceny. Klótnie to dla nich chleb powszedni. Wydaje im się, że w ten sposób udowadniają światu, jak szaleńczo się kochają.

Charlie objął Francescę ramieniem. Topaz zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś przestanie jej to przeszkadzać. Przypomniała sobie nóż, który Mischa skierował w pierś, i nagle zrozumiała, że można wierzyć, iż zadając sobie ból, da się złagodzić inny, znacznie większy.

Julia poświęciła parę miesięcy na urządzenie Szkaradnego Domku, jak go po cichu nazywała. Pomalowała ściany, powiesiła zasłonki i wygospodarowała trochę miejsca na kwiatowy ogródek pośród jeżyn i pokrzyw, otaczających chatkę. Powiesiła półki i zaszpachlowała dziury w ścianach. Zrobiła zapasy węgla i drewna na podpałkę, wypełniła spiżarnię. Mając świadomość, że domek nigdy nie będzie piękny, chciała, by przynajmniej chronił ich przed skutkami niepogody.

Gdy Will wracał do domu, zawsze czekała na niego wyprasowana koszula i gorąca kolacja. Jeśli się spóźniał – a zdarzało się to coraz częściej – kolacja przywierała do dna garnka. Gdy Julia nakładała na talerze przypalony gulasz albo wysuszoną zapiekankę, Will otaczał żonę ramionami i wtulał twarz w jej szyję. Czasami przynosił jej drobne prezenty – bukietek kwiatków, trochę gruszek, słodycze – które, jak sądziła, dostawał od wdzięcznych klientów. „Taki byłem zapracowany – tłumaczył się. – Dziś był straszny ruch”. Ale czuła wyraźnie, że jego oddech pachnie alkoholem.

Jesienią Julia zaczęła znów pomagać w stajni. Zrobiła to dla pieniędzy, na których brak ciągle narzekał Will, a po części dlatego, że nie służyła jej samotność w Szkaradnym Domku. Lubiła tę pracę, lubiła nawet jeździć pięć kilometrów na zardzewiałym rowerze, który kiedyś należał do Mariusa.

Martwiła się jednak wciąż o swoje małżeństwo. Nie kłócili się jak inne pary. Zdarzały się im wprawdzie krótkie wybuchy irytacji, ale albo on ją przeproszał, albo ona starała się poskromić swój temperament. Po roku

małżeństwa Julia wciąż nie najlepiej się czuła w łóżku z mężem. Chyba dlatego nie robiła szumu o spóźnienia – gdy Will był zmęczony i trochę podпиты, znacznie mniej się przejmował sprawami seksu – miała jednak poczucie, że coś traci. Z rzucanych mimochodem uwag innych kobiet wynikało wprawdzie, że większość uważa seks za niezbyt przyjemny obowiązek, ale Julia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że umyka jej coś bardzo istotnego. Gdy pokazała kiedyś teściowej wolną sypialnię, którą pomalowała na różowo i na niebiesko resztkami farby z Missencourt, Prudence zawołała swym donośnym głosem:

– Różowy dla dziewczynki i niebieski dla chłopca! Widzę, że jesteś przygotowana na każdą ewentualność, Julio! Bardzo rozsądnie.

Julia wyjaśniła, że wcale się nie spodziewa dziecka; zatrzymała jednak dla siebie podejrzenia, że jeśli tak będą się miały sprawy, to najprawdopodobniej minie wiele lat, nim zajdzie w ciążę, o ile w ogóle to kiedykolwiek nastąpi. I gdy doszła do takiego wniosku, zrobiło jej się smutno.

Często myślała, że Will zmienił się po ślubie. Nie zauważała w nim tego, za co kiedyś go tak lubiła: niefrasobliwości, pogody ducha, optymizmu. Przychodził do domu zmęczony i niespokojny. Zbywał ją byle czym, gdy próbowała o tym porozmawiać. Twierdził, że wszystko jest w porządku, okazując przy tym irytację. Nie powinna robić tyle niepotrzebnego zamieszania.

We wrześniu wybrali się na wesele jednego z kuzynów Willa. Gdy Julia spostrzegła, że idzie ku nim Jack, spodziewała się sarkazmu i złośliwości. Rozmowa, choć krótka i nienaturalna, była zadziwiająco spokojna. Wymienili uprzejmości, pytania o zdrowie i powodzenie oraz kilka uwag na temat nowożeńców. Potem Jack zniknął w tłumie.

Julia powtarzała sobie, że powinna się cieszyć z ustabilizowania stosunków między nimi a Jackiem. A jednak znów opanował ją smutek, smutek, którego nie mogła się pozbyć, choć usiłowała o nim zapomnieć, jeżdżąc konno, spacerując albo czyszcząc z zapamiętaniem wiecznie zakurzone kąty domku na wzgórzu.

RS

8

Na początku Marius uważał, że nie rozstali się tylko dlatego, że żadne z nich nie wpadło na lepsze rozwiązanie. Przyczyny, dla których zostali małżeństwem – istnienie Tary i fakt, że Suzanne sama nie byłaby w stanie zapewnić dziecku utrzymania – były wciąż aktualne.

A jednak coś się zmieniło w ciągu tych paru miesięcy, które upłynęły od ujawnienia istnienia Neila Finleya. Suzanne starała się włączyć w życie wioski, uczęszczając na spotkania lokalnej organizacji laburzystów i wstępując do Czerwonego Krzyża. Pomagała przy organizacji wyprzedaży i skutecznie zachęcała sąsiadów, by ofiarowali puszki i inne produkty żywnościowe, które mogłyby być wysłane głodującym w innych regionach Europy. Marius, dostrzegłszy ziarno prawdy w zarzutach Suzanne („życie na pół gwizdka”), dotyczących jego niewielkiego zaangażowania w małżeństwo, starał się to naprawić, zabierając ją do Londynu na zakupy lub do teatru i zmuszając się do podejmowania, a nie omijania trudnych tematów.

Dzięki rozmowom wreszcie poznał swoją żonę. Poznał jej pełną sprzeczności naturę, dzięki której Suzanne zawsze potrafiła go zainteresować (po pewnym czasie uświadomił sobie, że niezależnie od tego, jakie uczucia w nim budziła – pożądanie, irytację czy wściekłość, nigdy się z nią nie nudził). Jej wstyd pomieszany z dumą z powodu zdobytej własnym wysiłkiem wiedzy, żarliwość i zdrowy rozsądek, jej zdecydowanie połączone z fizyczną delikatnością, wszystko to go fascynowało. Odkrył (choć była to kolejna niezbyt wygodna prawda), że podczas ich burzliwego romansu w czterdziestym czwartym pochłonięła go za bardzo fizyczna strona tego związku, by mógł

zobaczyć w niej człowieka. Dopiero szok spowodowany oszustwem Suzanne sprawił, że Marius spojrział na nią z dystansu i o wiele uważniej.

Po powrocie do Anglii szukał jej nie dlatego, że była taka a nie inna, ale dlatego, że ucieleśniała w jego oczach to, czego jemu samemu brakowało: witalność i energię. Teraz poznawał ją na nowo. Proces ten trwał długo i był bolesny, ponieważ poznając Suzanne, dowiadywał się jednocześnie wielu rzeczy o sobie, choć często wcale nie pragnął tej wiedzy. Czuł się tak, jakby, usuwając warstwę za warstwą, docierał do nagich kości, pozbawiając się przy tym wielu złudzeń.

Pod koniec roku zmarła matka Suzanne. Marius zaproponował, że pojedzie na pogrzeb, ale Suzanne odmówiła. Przypomniała mu, że Adela się nie najlepiej czuje i dlatego powinien zostać w Missencourt z Tarą.

Kiedyś sądził, że tego właśnie pragnie: zostać sam z dzieckiem. W miarę upływu dni zaczęła go jednak nużyć ich jednostajność. Wstawał z Tarą każdego ranka i kładł ją spać wieczorem. Gdy dziewczynka mówiła, że tęskni za mamą, nie mógł nie przyznać, że podziela to uczucie. Pod nieobecność Suzanne dni dłużyły mu się w nieskończoność, nic nie układało się gładko, a dom wydawał się dziwnie zimny, pusty i nieprzyjazny.

Gdy pewnego dnia grzebał w szafce, szukając czystej piżamy dla Tary, natrafił na bluzkę Suzanne. Jedwab przesiąkł zapachem jej perfum. Marius zamknął oczy, przycisnął bluzkę do twarzy i zaczął wdychać zapach, jakby w ten sposób mógł przekreślić nieobecność żony.

Wtedy z pokoju dziecięcego zawołała go Tara, przerywając czar. Marius otworzył oczy. Gdy tak stał koło szafki, ściskając w dłoni czerwono-białą tkaninę, coś sobie uświadomił. Nie mogąc się oprzeć zdumieniu, pomyślał, że był głupcem. Arogancja skrzyżowana z dumą od samego początku kazała mu

widzieć w ich związku tylko namiastkę tego, czym był naprawdę, najpierw fizyczne zauroczenie, a potem możliwość nadania sensu własnemu życiu. A później, po ślubie uznał, że związali się zgodnie z konwenansami, ze względu na dziecko, które potrzebowało ojca.

Wszystko to było prawdą, ale nie całą. Dzięki Suzanne odkrył na nowo świat uczuć. Tęsknił za nią, ponieważ stała się częścią jego życia, złączoną z nim tak, jak perfumy z jej bluzką. Tęsknił za żoną, bo dzięki temu, że zmusiła go do zmagania się z własnymi emocjami, nauczył się ją kochać.

Na początku lutego Charlie zachorował na gripę. Topaz odwiedziła go w jego domu w Whitechapel. Mgła spowijała budynki i zamazała prawie zupełnie pajęczce odnóża dźwigów w porcie. Po jednej stronie straszyły ruiny zbombardowanych kamienic i fabryk. Po drugiej otwarto już sklepy i punkty bukmacherskie.

W holu czuło się stęchliznę i zapach nieświeżej żywności. Po schodach kuśtykała bardzo stara kobieta, w jednym z pokoi śpiewał jakiś mężczyzna; Topaz nie rozpoznała, w jakim języku.

Zapukała nieśmiało do drzwi Charliego, nie chcąc mu przerywać snu. Usłyszała jednak zachrypnięty głos:

– Proszę.

Topaz uchyliła drzwi.

– Topaz! – Charlie miał na sobie stary wojskowy płaszcz. Był blady, wychudzony, miał podkrążone oczy, a do czoła lepiły mu się kosmyki czarnych włosów.

– Helena powiedziała mi, że jesteś chory. – Topaz uniosła koszyk. – Coś ci przyniosłam. Mogę wejść?

W pokoju znajdowały się niewielki grzejnik elektryczny, sofa, obita wyświechtaną, brązową tkaniną, stół, krzesło i półka na książki.

Charlie śledził jej spojrzenie.

– Jesteś przyzwyczajona do innych wnętrz, prawda? Czy to Helena ci powiedziała, gdzie mieszkam?

– Martwiła się o ciebie.

– Robi za dużo zamieszania. Chyba nie powiedziała Francesce? – Topaz pokręciła głową. – Dzięki Bogu! Nie chciałbym, żeby zobaczyła ten pokój.

– Wcale by jej to nie przeszkadzało.

– Oczywiście, że by jej przeszkadzało – odpowiedział ostro. –A w każdym razie mnie by przeszkadzało. – Zamrugął. – Przepraszam. Proszę, usiądź, Topaz. – Zdjął stertę książek z sofy.

Zaczęła grzebać w koszyku.

– Przyniosłam herbatniki – dostałam je od pani Damerall –i aspirynę... i czasopisma... i trochę brandy... – mówiła, wyjmując wszystko po kolei. –I grę planszową.

– Jesteś bardzo dobra. Topaz się rozpromieniła.

– Od czego zaczniesz? Od herbatników czy od brandy? – Podzieliła alkohol na dwie porcje i wysypała na dłoń chorego aspirynę. –Może zagramy?

Charlie rzucił kostką, a Topaz zjadła herbatniki.

– Bardzo miło, że przyszłaś. Chorzy ludzie są tacy nudni, prawda?

– Ty nigdy nie jesteś nudny, Charlie – powiedziała szczerze.

– To bardzo wspaniałomyślne stwierdzenie, Topaz. Kiedyś ci wszystko wynagrodzę. Gdy będę sławny i bogaty i stanę się właścicielem jednego z tych cudownych domków w Chelsea, zaproszę cię na obiad. Jedząc wędzoną

szynkę, oliwki i inne egzotyczne smakołyki, będziemy wspominać tę zatęchłą norę i śmiać się z tego.

– Uwielbiam oliwki – wyznała.

– Po raz pierwszy skosztowałem oliwek pół roku temu. – Znów rzucił kostką. – Gdy skończyliśmy grać „Henryka V”, stara ciota, która grała Extera, przyniosła puszkę oliwek.

Topaz policzyła pola.

– Ciota?

– Facet, który woli to robić z facetami – wyjaśnił Charlie. A że mina Topaz wskazywała na to, że dziewczyna dalej nic nie rozumie, wyjaśnił trochę dokładniej: – Który woli chodzić do łóżka z facetami.

– Och. – Zmarszczyła brwi. – Tracę ruch. Czy on chciał pójść z tobą do łóżka?

– Topaz! Zadajesz pytania, jakich żadna inna dziewczyna nie ośmieliłaby się zadać. Owszem. Chyba tak.

Topaz westchnęła.

– Ale ci dobrze. Masz takie interesujące życie. Podróżujesz po całym kraju...

– Mieszkam w takich egzotycznych miejscach... – Charlie potoczył wzrokiem po ponurym wnętrzu.

– Ale to ci chyba nie przeszkadza?

– To, że tu mieszkam? Przeszkadza, gdy inni na tej podstawie mnie osądzają. I dlatego, że to najlepszy dowód, iż niczego nie osiągnąłem.

– Masz jeszcze mnóstwo czasu – pocieszyła go. Aktor pokręcił głową.

– Niestety nie. Pamiętaj, że późno zacząłem, ze względu na wojnę. Muszę się wybić. – Uśmiechnął się. – Zanim stracę wygląd. To ja powinienem

tobie zazdrościć. Pierwszą oliwkę zjadłem, mając dwadzieścia trzy lata. Założę się, że ty znacznie wcześniej.

– Kiedy miałam siedem lat, podkrađłam mamie jedną w czasie przyjęcia. Wyglądała ślicznie i nie mogłam uwierzyć, że smakuje tak okropnie.

– Chodziłaś na przyjęcia?

– Moja mama je urządzała. Przyjęcia dla dorosłych. – Topaz przypomniała sobie pokoje skąpane w świetle, lśniące stroje i biżuterię.

– Kiedy byłem dzieckiem – powiedział Charlie – ojciec przez cały czas chorował. Zatruił się gazem w czasie tamtej wojny i miał przez to zszarpane nerwy. Próbował pracować, ale gdy przeszedł załamanie nerwowe, przerwał pracę i został w domu. A to znaczyło, że zawsze musiało być cicho. Żadnych gier. A już na pewno żadnych przyjęć. Żadnego hałasu. – Charlie znów rzucił kostką.

– Chyba wygrałeś. – Topaz zerknęła na zegarek. – Powinnam już iść.

– O, nie. Proszę. – Złapał ją za rękę. – Jeszcze nie. Tak się nudziłem. Nie znoszę samotności. – Zaśmiał się chrapliwie. – Nigdy nie znosiłem samotności. Wyobraź sobie jedyńaka, który nie lubi być sam. Beznadziejna sprawa.

– Twoje gardło jest w strasznym stanie – zauważyła Topaz.

– W przyszłym tygodniu mam przesłuchanie – zmartwił się Charlie.

– Musisz płukać gardło – powiedziała stanowczo. – I nosić szalik. Aha, i powinieneś brać pastylki na gardło... – Zaczęła grzebać w torbie i wyjęła fiolkę z tabletkami.

– O Boże, Topaz, zawsze przygotowana na każdą okazję... Chyba nie byłaś skautką?

– Tylko na pensji.

Oczy mu się zaświeciły.

– Na pensji...

– Byłam tam tylko przez rok – wyjaśniła. – Potem szkołę zamknięto. Z powodu skandalu.

– Nauczyciel rysunków, który za bardzo się zaprzyjaźnił z szóstoklasistką?

– Coś w tym stylu – przyznała.

– Przyjęcia... skandal na pensji... hotel w Krainie Jezior... twoje życie było znacznie ciekawsze niż moje.

– Bzdura. – Topaz podała mu fiolkę z pastylkami na gardło. Muszę?

– Zagramy jeszcze raz.

– No dobra. – Charlie zdjął sweter. Topaz rzuciła kostką.

Parę tygodni później znów wybrali się bez zaproszenia na jakieś przyjęcie do eleganckiego domu w Belgrawii. Magnolie z nieśmiało rozwijającymi się pączkami stały w cynkowanych donicach po obu stronach kamiennych schodów. Okna parteru spowijała mgła. Topaz miała na sobie zieloną aksamitną suknię, którą Helena wypożyczyła dla niej z teatru.

– Na plecach jest trochę śmieszna plamka – uprzedziła ją – ale możesz przecież coś narzucić. – Potem cofnęła się o krok. – Wyglądasz wspaniale, Topaz. Jak królowa.

W holu wisiał kryształowy żyrandol. Służąca wzięła od nich płaszcze, a potem Topaz i Francesca stanęły przed lustrem w biało-brązowej łazience, by w towarzystwie całego tłumu dziewcząt poprawić makijaż.

Potem tańczyły. Pewien wysoki mężczyzna z wąsikami przedstawił się Topaz. Był po trzydziestce, miał inteligentną twarz i błysk humoru w niebieskoszarych oczach. Pod koniec pierwszego fokstrota zapytał:

– Skąd znasz Dobsonów? – Topaz popatrzyła na niego ze zdziwieniem. – Naszych gospodarzy.

– Och. – Przypomniała sobie zalecenia, Charliego. – Jestem przyjaciółką ich przyjaciół.

Nowy znajomy uśmiechnął się nieznacznie.

– Brzmi podejrzenie. Jak wyjaśnienie gościa bez zaproszenia.

– Nie zdradzisz mnie, prawda?

– Oczywiście, że nie. Nie ma w tym nic złego. Nawet ludziom z najlepszych domów to się zdarza. Przyszłaś sama czy w towarzystwie?

Topaz wskazała mu Charliego i Francescę. Mężczyzna wziął dwa kieliszki z tacy przechodzącego właśnie kelnera i podał jeden Topaz.

– Może zapoznam cię z kilkoma osobami?

Poszli razem w głąb domu. W pokoju, pełnym książek i obrazów, Topaz wyłączyła się z rozmowy o podatkach i inwestycjach kapitałowych, wpatrując się w wiszące na ścianach sztychy, przedstawiające weneckie pejzaże: plac Świętego Marka, Rialto, Canal Grande. Obiecywała sobie, że pewnego dnia wsiądzie do gondoli i popłynie Canal Grande.

Po chwili stanął koło niej nowy znajomy.

– Bardzo przepraszam – szepnął. – Tylko nudziarze rozmawiają o pieniądzach na przyjęciu. Może coś zjemy?

Na stole były kurczak na zimno, szynka z goździkami, warzywa w galarecie – wyglądają jak klejnoty zatopione w lodzie, pomyślała Topaz – i tuzin rozmaitych sałatek.

– Ale wspaniałe jedzenie!

– Powinnaś wpadać tu częściej. Dobsonowie zawsze przygotowują wspaniały szwedzki stół. Wystarczy znać odpowiednich ludzi. – W jego oczach pojawił się ironiczny błysk. – Zdaje się, że powinienem to potępić.

– Dlaczego?

– Pracuję w Ministerstwie Żywności. Mamy się troszczyć o to, by każdy dostał swój sprawiedliwie wyliczony przydział.

– I co? Potępiasz?

– Całkowicie – oświadczył, nakładając sobie kolejną porcję kurczaka na zimno. – To godne ubolewania. Ale nie mogę się oprzeć pokusie.

– Zawsze mi się wydaje, że trzeba cieszyć się z tego, co się ma, gdy jest po temu okazja.

– Zgadzam się. Jeśli wybuchnie kolejna wojna... Topaz popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Chyba nie będzie żadnej wojny?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Stalin potrząsa szabelką. A to, co się dzieje w Czechosłowacji, mrozi krew w żyłach.

Nagłówki gazet wywieszonych w kioskach pełne były wykrzykników na temat komunistycznych czystek w Pradze.

– Przecież nas to nie dotyczy – zdziwiła się Topaz.

– To samo powtarzaliśmy w trzydziestym ósmym. Po Monachium. Przepraszam, nie chciałem cię przerazić.

– Chodzi tylko o to, że w moim życiu coś się wreszcie zaczęło dziać.

– Rosjanie nie zechcą prowokować losu. – Ale uśmiech mężczyzny był cokolwiek wymuszony.

– Myślę, że gdyby rzeczywiście wybuchła następna wojna, to byłaby inna niż ta, która się właśnie skończyła. To znaczy, byłaby błyskawiczna. – Topaz wyobraziła sobie niebo, zasnuwające się chmurami w zastraszającym tempie.

– Głowa do góry. Jestem przekonany, że do tego nie dojdzie. Skosztuj lepiej biskoptu. Georgie Dobson zawsze serwuje biskopt dobrze nasączony sherry.

Po kolacji rozpoczęły się przemówienia. W połowie Topaz zaczęła przeciskać się przez tłum w kierunku łazienki. Zastała tam osamotnioną Francescę, która siedziała w kącie i płakała.

– Fran?...

Twarz przyjaciółki pokryta była białymi i różowymi plamami. Łzy wyłobiły ślady w warstwie pudru.

– Charlie dostał nową rolę.

Topaz przypomniała sobie, że wspominał coś o przesłuchaniu.

– To chyba dobra wiadomość?

– Dostał rolę w Durham. Wyjeżdża na dwa miesiące. – Francesca otarła łzy i dodała: – Nawet mu nie przyszło do głowy, że mogłabym mieć coś przeciwko temu. Sądził, że się ucieszę. W pewnym sensie cieszę się, oczywiście, ze względu na niego. To dobra rola...

– Nie będzie musiał wchodzić przez taras w białym garniturze? Francesca zdobyła się na uśmiech.

– Gra człowieka z charakterem. Lubi takie postacie. – Przyjaciółka mocno zacisnęła powieki i oparła głowę na rękach. Potem powiedziała, z trudem tłumiąc ziewnięcie: – Rzecz w tym, że ja się martwię, a on wcale. Mówi, że jest inaczej, ale przecież wiem, że to nieprawda, wcale się nie martwi jak ja. A zresztą między nami chyba i tak już wszystko skończone.

– Przecież to tylko dwa miesiące, Fran... Francesca wydmuchała nos.

– Jest tu ta twoja okropna znajoma, Joyce. Widziała mnie w towarzystwie Charliego.

– Joyce Blanchard?

– Tak. Na pewno powie swojej matce, a ta powie mojej i będzie po wszystkim.

– Może nie powie. – Topaz przypomniała sobie Joyce Blanchard, jej przylizane, bure włosy i jasne, dociekliwe oczy.

Francesca wstała i podeszła do lustra. Zaczęła pudrować twarz.

– To i tak musiałyby się kiedyś skończyć. Zawsze o tym wiedziałam. Nigdy nie pozwolą mi wyjść za kogoś takiego jak Charlie. A on... – Urwała i odwróciła się do Topaz. – Czy sądzisz, że byłoby inaczej, gdybym poszła z nim do łóżka?

– Nie mam pojęcia, Fran. – Bez powodzenia usiłowała wymyślić coś pocieszającego. – Nie znam się na tych sprawach. Naprawdę, nie mam pojęcia.

W oranżerii, w której ściany z dykty wciąż zastępowały szyby roztrzaskane podczas wojny, Topaz znalazła Charliego. Opierał się o framugę drzwi balkonowych i patrzył na ogród, paląc papierosa.

– Zdaje się, że narozrabiałem. – Potarł czoło dłonią i obrócił się ku Topaz. Był wyraźnie zakłopotany. – Nie miałem pojęcia, że ona tak zareaguje. Wydawało mi się, że oboje się dobrze bawimy. – Jęknął i przeczesał włosy dłonią. – Czy ona mnie nienawidzi? Bardzo nie lubię, gdy mnie ktoś nienawidzi.

Topaz pokręciła głową.

– Ale jedziemy do domu. Obiecałam Fran, że ci o tym powiem. Weźmiemy taksówkę.

– To miała być wspaniała impreza.

– I była. – Topaz się uśmiechnęła. – Zjadłam przepyszną kolację. I bardzo dużo tańczyłam. Wielu mężczyzn prosiło mnie do tańca. To chyba dzięki tej sukience.

Charlie się uśmiechnął.

– Sukienka rzeczywiście uwypukła twoje atrybuty.

Topaz spojrzała na siebie, pełna wątpliwości.

– Może jest za bardzo wydekoltowana? Czy sądzisz, że powinnam włożyć sweter?

– Na pewno nie. – Charlie zgasił papierosa w doniczce. Z sąsiedniego pokoju dobiegała muzyka.

– Ale z tobą jeszcze nie tańczyłam, Charlie.

Wyciągnął do niej rękę, a ona położyła mu głowę na ramieniu, gdy tańczyli w pustym pokoju. Trzeba się cieszyć z tego, co się ma, gdy jest po temu okazja. Topaz zamknęła oczy i pomyślała, że jeśli nawet go tylko pożyczka, to jest to wspaniała, upajająca pożyczka.

Will trzymał podrabiane kupony na benzynę w szufladzie pod stertą starych gazet. Klienci zjawiali się od czasu do czasu. „Jestem przyjacielem Ricka Huntera” – słyszał wtedy. Albo: „Rick mnie przysyła”. Na zapleczu brał pieniądze za kupony, a palce mu się plątały ze zdenerwowania. Potem napełniał baki prywatnych samochodów benzyną przeznaczoną do celów służbowych. Wydawało mu się zresztą, że ci dobrze odżywieni, niezłe ubrani i pewni siebie mężczyźni, którzy wjeżdżali na plac przed warsztatem, szarpiąc mu nerwy, byli rzeczywiście swego rodzaju biznesmenami.

Jadąc do domu, często zahaczał o Holly Bush. Wystarczał drink albo dwa, by Will przestał wyobrażać sobie wizytę policji z nakazem przeszukania

warsztatu. Albo Julię, która znajduje fałszywe kupony lub spotyka Ricka Huntera. By przestał wyobrażać sobie jej rozczarowanie, gniew i odrazę. Parę kufli piwa wystarczało, aby mógł spokojnie zasnąć. Powtarzał sobie ciągle, że to potrwa tylko chwilę, póki nie wyjdzie na prostą. Trzeba jedynie zachować ostrożność: zamykać drzwi, gdy się zjawiają klienci przysłani przez Ricka, i nie zdradzić się w żaden sposób przed Brianem, chłopakiem do pomocy, po co przyjeżdżają ludzie Huntera.

Lenny i Gene dostarczali fałszywe kupony i pobierali prowizję Ricka. „Dwa szylingi dla mnie, pół dla ciebie”. Lenny był mniej więcej tego samego wzrostu, co Will, ale jego potężna, pokryta szczecina głowa wyrastała bezpośrednio z szerokich, przysadzistych barów. W jego szarym ubraniu zawsze brakowało guzika, a krawat utrzymany w krzykliwych kolorach był wytarty. Gene natomiast był niewysoki, ciemny, cichy i schludny. Will myślał, że powinien bać się Lenny'ego, który mógłby go powalić jednym palcem. Ale zorientował się, że serce przestaje mu bić na widok tego drugiego, na widok Gene'a o pustych oczach.

Pewnego ranka, gdy wybierał się do pracy, Julia zapytała:

– Zastanawiałam się, Will, czy nie mogłabym ci jakoś pomóc w warsztacie?

Will zdjął czajnik z płyty.

– Niby jak? Chciałabyś obsługiwać dystrybutor paliwa?

– Oczywiście, że nie.

– Herbata... gdzie jest herbata?...

– Tam gdzie zawsze. W puszcze. – Julia siedziała nad talerzem z owsianką. – Mogłabym zająć się rachunkami, poprowadzić ci księgowość.

Will poczuł zimny dreszcz.

– Och, nie ma potrzeby – wykrztusił jakimś cudem.

– Znam się na księgowaniu. Ojciec mnie tego nauczył, gdy zaczynałam pracę w firmie.

– Naprawdę, Julio, nie ma potrzeby. – Starał się mówić swobodnie, ale dłonie mu się ześlizgnęły z puszki i herbata rozsypała się po stole.

Julia westchnęła i zabrała się do sprzątanía.

– Myślałam, że się ucieszysz z tej propozycji.

W jej głosie słychać było urazę. Jakże mógłby się ucieszyć z jej propozycji? Nie chciał, żeby mu pomagała, bo wystarczyłoby jedno spojrzenie na rachunki, a zorientowałaby się, że Will tkwi w długach po uszy. Od osiemnastu miesięcy był nieustannie na minusie.

– Gdybym ci pomogła, moglibyśmy spędzać razem więcej czasu.

Will wolałby, żeby Julia zmieniła temat. Starał się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

– Wkrótce będę miał więcej czasu. Interes się rozkręca. Zacznę wcześniej wracać do domu. Może nawet kogoś zatrudnię.

– Jeśli kogoś zatrudnisz, będziesz mu musiał płacić, Will. A moja pomoc nic nie kosztuje.

Próbował obrócić to w żart.

– Nie mogę przecież wykorzystywać swej uroczej żony jako bezpłatnej siły roboczej.

– Nie miałabym nic przeciwko temu.

– A poza tym masz przecież swoją pracę w stajni...

– Wystarczy mi czasu.

– Rachunki są takie nudne.

– Lubię liczyć. Jestem w tym niezła.

– W warsztacie jest brudno, wszędzie pełno smarów. To nie miejsce dla kobiety.

– Przestań, Will! – Talerz z owsianką wylądował przed jego nosem. – Codziennie po południu wybieram łopata końskie łajno! Parę plam po smarach nie ma żadnego znaczenia. Chyba sam widzisz, że to bardzo dobry pomysł?

Will wpatrywał się w szarą owsiankę.

– Nie, Julio.

– Czy dlatego, że nie chcesz mnie widzieć wtedy, kiedy pracujesz?

– Ależ skąd!

– No to dlaczego?

– Już ci mówiłem. I daj już wreszcie spokój!

Zanurzył łyżkę w owsiance, choć wcale nie był głodny. Rzadko umiał poradzić sobie z rozgniewaną żoną. A teraz miał nieczyste sumienie, co jeszcze pogarszało sprawę.

– Wydawało mi się, że jeśli zaczniemy razem pracować, będziemy trochę szczęśliwsi – powiedziała lodowatym tonem.

Tego ranka nie był w stanie przystąpić do analizy swego małżeństwa, mając sto sfalszowanych kuponów na benzynę na zapleczu warsztatu i spodziewając się Lenny'ego o dziewiątej.

– Jesteśmy szczęśliwi – oświadczył z posepną miną.

– Doprawdy? – Chciała go sprowokować.

– Nie rozumiem, dlaczego robisz tyle zamieszania. – Zerknął na zegarek. Wpół do ósmej. Pomyślał o Lennym, który miał wypisane na twarzy swoją profesję i powiązania i który będzie się kręcił przed warsztatem jak żywa reklama tego, w co Will się wplątał.

– Nie rozumiesz? – Słowa Julii zapiekły go do żywego. – Jesteśmy małżeństwem zaledwie od roku, prawda?

– I co z tego? – Will poczuł, że i on traci cierpliwość; pomyślał, że przecież robi to wszystko tylko dla niej.

– W zeszłym tygodniu codziennie wieczorem wstępowałeś do pubu.

Zepchnięty do narożnika, zapytał po cichu, jadowitym głosem:

– Liczyłaś?

– Trudno było nie zauważyć! – Jej oczy płonęły. – Czasami nie mogłeś nawet utrzymać równowagi!

– Szpiegujesz mnie...

– Zupełnie nie rozumiem, jak możesz się tak zachowywać! – zawołała. – Myślałam, że się ucieszysz!

– Mam się cieszyć z tego, że uważasz, iż sam sobie nie poradzę?

– Nie to miałam na myśli.

– Nie to? Ale tak to właśnie zabrzmiało. „Biedny Will pewnie wszystko partaczy, lepiej będzie, jak mu pomogę”. – Podniósł się z miejsca tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło.

– Dokąd idziesz?

– Do pracy, oczywiście. – Chwycił płaszcz z wieszaka. – Tam, gdzie zawsze, do jasnej cholery.

Gdy trzasnął drzwiami, słyszał jeszcze słowa Julii:

– Spędziłam wiele tygodni, doprowadzając do ładu ten obrzydliwy domek, a ty nie jesteś nawet łaskaw zjeść śniadania, które ci przygotowałam! – Jej nabrzmiały wściekłością głos odbił się echem od ściany zagajnika.

Gdy Will wyszedł, Julia chwyciła jego talerz i rzuciła nim o ścianę. Grudki owsianki przykleiły się do podłogi i zostawiły oślizgłe plamy na

ścianie. Julia oparła się o framugę, próbując złapać oddech. Rozejrzała się po kuchni i uznała, że pomimo wszystkich jej wysiłków wciąż jest tu obrzydliwie. Za niski sufit, widok z okna źle ją nastraja, stół i krzesła są brzydkie i zajmują zbyt wiele miejsca. Przyszło jej żyć w domku dla lalek, do którego nic nie pasowało. Julia codziennie przesuwiała meble, ale nigdy nie udało jej się znaleźć dla nich właściwego miejsca.

Tego popołudnia, gdy w strugach deszczu odprowadzała Salema do stajni, usłyszała, że po drugiej stronie drogi zatrzymuje się jakiś samochód. Zza peleryny, poprzez zasłonę deszczu rozpoznała Jacka.

Wysiadł z bentleya.

– Podwiózłbym cię – powiedział, podchodząc do niej – ale on się chyba nie zmieści. – Pogłaskał konia po aksamitnej szyi.

Serce Julii zabiło szybciej.

– Zgubił podkowę – wyjaśniła.

– Powinnaś się trzymać samochodów i traktorów, jak ja. – Poczowała na sobie spojrzenie Jacka. – Wyglądasz jak tonący szczur. Pomogę ci.

– Nie ma potrzeby. Twój samochód...

– Nie ucieknie.

– Zmokniesz.

– Niezła pokuta.

– Żałujesz czegoś, Jack?

– Nie zachowałem się szczególnie uprzejmie, gdy ostatnio byliśmy sam na sam.

Julia przypomniała sobie spotkanie na ulicy w Henscombe: śnieg w powietrzu i chłód w oczach Jacka.

– Ja też zachowałam się okropnie.

– Zawsze miałaś niewyparzony język. – Uśmiechnął się i dotknął jej dłoni. – Zmarzłaś.

– Zapomniałam rękawiczek. – Julia szybko schowała ręce do kieszeni.

Jack wziął wodze.

– Pracujesz w stajni?

– Codziennie po południu – wyjaśniła. – Daję dziewczynkom lekcje jazdy konnej.

– Mówiłaś, że nigdy nie będziesz uczyć. Że tego nie znosisz.

– Dzięki temu mogę się wyrwać z domu. – Julia nie zdołała ukryć goryczy.

Poczuła na sobie jego spojrzenie, więc się odwróciła. Deszcz zlepiał jej włosy i zaczął kapać za kołnierz. Jeszcze nie zapomniała o porannej kłótni, była więc przygnębiona i dotknięta.

– W każdym razie – dodała – mogę sobie pojeździć konno, a to uwielbiam.

Droga wiła się między kępami wysokich brzoź. Deszcz smagał nagie, srebrne gałęzie. Minął ich jakiś samochód i Salem o mało nie stanął dęba. Jack uspokoił konia.

Przyglądała się smukłym drzewom, które mijali, i nawet nie czuła, że drży z zimna, dopóki Jack nie powiedział:

– Chyba się przeziębiałaś.

– Niewiele brakowało, a bym spadła – powiedziała nieoczekiwanie – gdy zgubił tę podkowę. To moja wina, bo za bardzo go popędzałam, choć zrobiło się ślisko. – Chciała wyładować swój gniew po porannej kłótni, chciała zapomnieć o tym, że wrzasnęła na Willa niczym żona jędza. Salem potknął się

na kamienistym gruncie; dopiero widmo prawdziwej katastrofy trochę ją otrzeźwiło.

– Już ci mówiłem, że powinnaś nosić toczek.

– Życie stanowczo jest zbyt nudne. Nie zamierzam czynić go jeszcze nudniejszym, jeżdżąc konno w toczku jak staruszka.

– Nie mogę znieść myśli, że mogłoby ci się coś stać.

– Doprawdy? – Julia rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Bez względu na to, co zaszło... bez względu na wszystko, co nas dzieli... nie chciałbym, żeby przytrafiło ci się coś złego, Julio. Chyba o tym wiesz?

Zagryzła wargi.

– Wydawało mi się, że mnie nienawidzisz.

– Nigdy w życiu. – W jego głosie zabrzmiał smutek.

– Ale gniewałeś się na mnie? – naciskała.

– Byłem wściekły. Miałem ochotę cię udusić. Lecz to jeszcze nie znaczy, że chciałbym, żebyś wpadła do rowu i złamała sobie kark. Więc lepiej kup sobie ten cholerny toczek.

– Ależ jesteś apodyktyczny, Jack.

– Ależ jesteś uparta, Julio.

Tym razem ona westchnęła.

– Po prostu lubię mieć poczucie, że jestem wolna.

Jack milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– A teraz nie masz takiego poczucia.

Julia zdobyła się na promienny uśmiech.

– Czuję się świetnie, wręcz znakomicie. Tylko ta okropna pogoda.

Szli obok siebie w milczeniu. Po chwili Jack znów się odezwał:

- Mieszkacie w tym niewielkim domku na Maiden Hill, prawda?
 - W Szkaradnym Domku. – Julia zrobiła wymowną minę.
 - Aż tak źle? – W jego oczach czaił się uśmiech.
 - To okropne miejsce, ale nie mogliśmy znaleźć nic lepszego. Gdy tylko interesy Willa zaczną iść lepiej, przeprowadzimy się gdzieś indziej.
 - Pewnie się czujesz osamotniona, z dala od ludzi.
 - Mnóstwo ludzi nas odwiedza. – Julia starała się mówić jak najbardziej pogodnym tonem. – Mama, Marius, Suzanne... – Poczowała na sobie jego badawcze spojrzenie i dodała zawstydzona: – Ona jest całkiem miła, naprawdę. Trzeba ją tylko poznać. – Zmieniła temat. – A co u ciebie, Jack? Co słychać w Sixfields?
 - Lubię pracę na farmie, choć kuzynka Carrie potwornie zrzędzi. – Julia zauważyła, że Jack jest zakłopotany. – Nie mogę jej znieść. Czasami wydaje mi się, że ona mnie nienawidzi.
 - Nienawidzi cię?
 - Poniża mnie. Uwielbia mi pokazywać, kto tu jest panem.
 - Nie sądzę, by cię nienawidziła – odrzekła Julia całkiem logicznie. – Nie zrobiłaby cię swoim spadkobiercą, gdyby cię nie znosiła.
 - Może jeszcze zmienić zdanie. Lubi mi o tym przypominać.
 - A czy ty, Jack, nie jesteś przypadkiem trochę przewrażliwiony?
 - Być może – zgodził się. – To jedna z moich wad.
- Moich także, pomyślała Julia.
- Może panna Chancellor jest po prostu trochę zbikowana. W końcu tyle lat mieszkała sama. Ludzie od tego dziwaczejają, prawda?
 - Ja też mieszkam sam. Czy sądzisz, że też tak skończę: będę wrzeszczał na krewnych i miał w oknach pajęczyny zamiast zasłon?

Julia się roześmiała.

– Widziałam Sixfields tylko z daleka. Jak tam jest?

– To zwyczajny dom.

– Jack!

– No cóż. – Zmarszczył brwi. – Chyba jest bardzo duży. Gdy byłem mały, uwielbiałem w nim myszkować. Zawsze trafiałem do pokoju, w którym nigdy przedtem nie byłem. Albo na schody, które prowadziły donikąd, czy do wiecznie zamkniętych drzwi. Fascynowały mnie te wszystkie zakamarki. I rozgardiasz, który tam panował. Nie rozumiem, jakim cudem Carrie może cokolwiek znaleźć, choć zawsze twierdzi, że wie, gdzie co jest.

Julia wyobraziła sobie ciemnowłosego, lubiącego samotność chłopca, buszującego po zaczarowanym zamku.

– Gdy byłem za granicą – wyznał – często myślałem o Sixfields. Śniłem o Sixfields. To zabawne. Nigdy nie śniłem o moim rodzinnym domu. Chyba dlatego, że Sixfields jest takie inne, takie niezwykle...

– To dlatego, że kochasz to miejsce, Jack. – Julia przerwała, by zaczerpnąć tchu. Wiatr porwał kosmyk jej mokrych włosów, rozwiewając je po twarzy.

– Chyba tak. – W jego głosie znów był smutek. – A za miłość trzeba zapłacić, prawda?

Doszli wreszcie do stajni. Julia wzięła wodze i mrużąc pod nosem słowa pożegnania, odeszła.

Wróciwszy do Sixfields, Jack spotkał lekarza, który właśnie wychodził z domu. Doktor O'Connor mieszkał tu od niedawna, był młodym człowiekiem, eksoficerem. Wyglądał na człowieka zmęczonego i znękanego, zupełnie jakby Carrie zrugła go bez miłosierdzia.

– Jak ona się czuje? – Jack otworzył doktorowi drzwi samochodu.

– Dziękuję. Obawiam się, że z panną Chancellor nie jest najlepiej. – Doktor O'Connor zapakował swoją torbę lekarską do bagażnika. – Pan u niej pracuje, prawda?

– Pomagam jej prowadzić farmę. Jestem jej kuzynem. Jack Chancellor. – Podali sobie ręce.

– Powinna trochę odpocząć. Może jest ktoś, siostra albo przyjaciółka, kto mógłby trochę się nią zaopiekować?

Jack pokręcił głową.

– Carrie jest bardzo niezależna. Dba o swoją prywatność. Doktor O'Connor powiedział bez ogródek:

– Płuca ma w fatalnym stanie. Zniekształcenie kręgosłupa jeszcze pogarsza sprawę, gdyż są stale ściśnięte. Mówię to panu w zaufaniu, bo pacjentka nie chciała mnie w ogóle słuchać. Jeśli nie zacznie o siebie dbać, nie dożyje następnej dekady.

Lekarz odjechał. Jack wszedł do domu. Zatrzymał się przed drzwiami sypialni Carrie i zapukał.

– Kto tam?

– To ja, Jack. Przyszedłem sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz.

Usłyszał atak kaszlu i niewyraźny okrzyk:

– Potrzebuję trochę spokoju!

– Czy w kominku pali się ogień? – Nie ustępował Jack.

– W sypialni? Oczywiście, że nie! – Słyszał jej kaszel i przekleństwa, idąc na dół. Wziął z komórki wiadro z węglem i drewno na podpałkę.

Raz jeszcze zapukał do drzwi.

– Wchodzę – oświadczył.

Znów zaskrzeczała. Odczekał parę minut, by mogła doprowadzić się do porządku, i wszedł do środka.

W pokoju było przeraźliwie zimno. Nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył, że z ciemnych mebli zwisają sople lodu, a książki, papiery i bibeloty pokrywa warstwa szronu.

Carrie siedziała na łóżku, otulona szalem, a jej oczy zionęły nienawiścią.

– Co ty sobie wyobrażasz, Jack?

– Nic sobie nie wyobrażam, tylko rozpalam ogień – odparł spokojnie, klękając przed paleniskiem.

– Uważam, że sypialni nie wolno przegrzewać, to szkodzi zdrowiu. Jak śmiesz tu wchodzić? Wynoś się, wynoś się z mojego pokoju...

Carrie skrzeczała i chrypiała, papier szeleścił, skrzypnęła zapałka potarta o brzeg pudełka. Gdy ogień się rozpałił, Jack wstał.

– Mogę zmienić testament, mogę go podrzeć. Zaraz napiszę do mojego prawnika... – Carrie urwała i upadła na poduszki, powalona atakiem kaszlu.

Jack podszedł do stolika i nalał jej wody do szklanki. Potem powiedział:

– To twoja sprawa, czy zmienisz zdanie, czy też nie. Ale jeśli mam odziedziczyć tę farmę, to zamierzam zrobić to w sposób uczciwy. Nie będę stał i patrzył, jak się zabijasz.

Jack wyszedł z pokoju. W kuchni ugotował jajko, posmarował chleb masłem i zaniósł jej wszystko na tacy. Carrie tymczasem zasnęła, postawił więc tacę na nocnym stoliku, dołożył węgla do kominka i wyszedł, cicho zamykając drzwi. Potem włożył kalosze i gumowe ubranie, żeby zabrać się do pracy.

Przyszedł do domu po dziesiątej. Dopiero wtedy wrócił myślą do spotkania z Julią. Przypomniał sobie deszcz spływający po jej włosach i te

ogromne, smutne oczy. Zastanawiał się, czy Julia nie jest przypadkiem nieszczęśliwa. Oczywiście z powodu domu. Jak ona go nazwała? Obrzydliwy Domek. Parę miesięcy temu przejechał tamtędy i zatrzymał się na poboczu, żeby zerknąć na tę malutką, nędzną chatę. Pomyślał, że to niestosowne miejsce dla kogoś tak pięknego i pełnego temperamentu jak Julia. To wcale niewykluczone, że jest nieszczęśliwa z powodu tego domu. Albo dlatego, że jest samotna. Lub znudzona.

A może w ich małżeństwie coś się nie układa.

Jack podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Noc była pogodna i zimna. Chwycił się mocno krawędzi zlewu. Co jeszcze Julia powiedziała? Że pracuje w stajni codziennie po południu. Bez trudu mógłby więc spotkać się z nią i porozmawiać. Po przyjacielsku, oczywiście. Cóż niestosownego mogłoby być w odnowieniu starej przyjaźni?

Jack wiedział, że i tak nie zaśnie, włożył więc płaszcz i otworzył kuchenne drzwi. Jego pies, Con, otrząsnął się i wybiegł za swoim panem. Wędrowali przez łąki, brzegiem strumyków, przez wszystkie ulubione miejsca Jacka. Księżyc oświetlał im drogę, a w tle cały czas majaczyły przysadziste kształty Sixfields, z baśniowymi dachami i pomalowanymi przez mróz oknami.

W uszach Jacka zabrzmiał raz jeszcze głos doktora. „Jeśli nie zaczniesz o siebie dbać, nie dożyje następnej dekady”. W rytm kroków, skrzypiących na zamarzniętym śniegu, umysł Jacka zaczęła opanowywać niebezpieczna, kusząca myśl.

Jeśli będzie cierpliwy, dostanie i Sixfields, i Julię.

O osiemnastej Marius czekał na żonę przed domem towarowym Selfridge'a. Był w Londynie już od dwóch dni; Suzanne przyjechała dziś rano, by zrobić zakupy i pójść z nim do teatru.

Spostrzegł ją w tłumie, gdy machała do niego ręką.

– Jak minął dzień? – zagadnął, całując ją w policzek. Niosła z pół tuzina paczek i toreb.

– Kupiłam kawałek ślicznego jedwabiu... – Marius wziął od niej zakupy, a Suzanne wyjęła kawałek jasnofiołkowej tkaniny. – To tylko resztko, ale wystarczy na sukienkę dla Tary. I popatrz jeszcze... – Pokazała mu następny kawałek materiału. – Biała bawełna. Egipska. Wreszcie będziesz miał parę nowych koszul, Marius. Znalazłam to w dziale bieliznianym. – Uśmiechnęła się z dumą. – Trzeba wiedzieć, gdzie szukać.

– Tym razem nie kupiłaś żadnych nylonowych pończoch od podejrzanych ulicznych handlarzy?

W oczach Suzanne pojawił się żal.

– Nie miałam czasu. Ten przekłety pociąg się spóźnił. A co u ciebie? Jak minął dzień?

Marius przywołał ruchem ręki taksówkę.

– Nasi dostawcy narobili straszego bałaganu – wyjaśnił żonie, pomagając jej wsiąść. – Ostatnia partia oporników była wadliwa. Będę musiał jeszcze raz tu przyjechać w przyszłym tygodniu. Chyba powinienem znowu otworzyć filię w Londynie.

Suzanne poprawiła płaszcz i ułożyła paczki, sadowiąc się w taksówce.

– Mielście tu jakieś biuro przed wojną, prawda?

– Ojciec kupił niewielki lokal, w którym załatwiano wszystkie sprawy związane ze sprzedażą odbiorników w Londynie. Ale filia została zbombardowana w czterdziestym czwartym i wszystko przeniesiono do Great Missen.

Suzanne zerknęła na zegarek.

– Jedziemy do hotelu?

Marius pokręcił głową.

– Nie mamy czasu. O wpół do siódmej jesteśmy umówieni z Glanville'ami.

– Tylko że chciałam z tobą o czymś porozmawiać.

– Coś poważnego?

– Mam pewien pomysł. Długo się nad tym ostatnio zastanawiałam. Choć oczywiście może ci się nie spodobać.

Marius się zaniepokoił.

– Powiedz, proszę.

Suzanne właśnie pudrowała nos, zerkając w lusterko puderniczki.

– Później. Kiedy będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Nie lubię zaczynać poważnej rozmowy, jeśli nie będę mogła jej skończyć. – Wyjęła szminkę. – Czy oni są strasznie wytworni, ci Glanville'owie?

Niepokój towarzyszył Mariusowi przez cały wieczór. Od czasu rozmowy o Neilu Finleyu sprawa, czy Suzanne zostanie w Missencourt, czy odejdzie, pozostała otwarta. Ostatnio zaczął wierzyć, że skoro trudno znaleźć satysfakcjonujące rozwiązanie, to trzeba odkładać ostateczną decyzję i czekać, aż czas wszystko rozwiąże. Suzanne i Tara powinny zostać w Missencourt, bo nie było żadnego innego sensownego wyjścia z sytuacji. Ale słowa Suzanne wzbudziły jego niepokój. „Długo się nad tym ostatnio zastanawiałam... Może ci się to nie spodobać”. Zapewne podjęła w końcu jakąś decyzję. Marius musiał jednak przyznać, że w miarę upływu dni, tygodni i miesięcy, sama myśl o tym, że Suzanne i Tary mogłoby zabraknąć w Missencourt, stawała się mu coraz bardziej nieznośna.

Niewiele się odzywał podczas spotkania z Glanville'ami – Roger był jego przyjacielem z czasów służby wojskowej – i nie zwracał uwagi na przedstawienie – bardzo skądinąd słabe, przetykane niewpadającymi w ucho piosenkami i nieciekawymi układami choreograficznymi. Kiedy spektakl dobiegł końca, Roger Glanville zaproponował, że mogliby zjeść razem kolację w Quagolino, ale Suzanne, tłumacząc się zmęczeniem, odmówiła.

W taksówce powiedziała:

– Wyglądałeś tak, jakbyś miał już wszystkiego dość. Sądzę, że w hotelu dostaniemy jakieś kanapki.

– Mam nadzieję, że nie żałujesz, iż ominęła cię taka atrakcja. Suzanne szczerzej otuliła się płaszczem.

– Marzę o gorącej kąpieli i kolacji w łóżku. Czy może być większa atrakcja?

W hotelu Marius zapalił papierosa i wysączył kieliszek brandy, czekając, aż Suzanne się wykąpie. Stał przy oknie i patrząc na horyzont, poznaczony dachami, kominami i smugami dymu, zaczął wspominać lata, które minęły, od kiedy ją poznał. Cztery lata. Dziwny, skomplikowany związek. Najpierw sześć tygodni fizycznej fascynacji, potem długa rozłąka. Po powrocie do domu zaczął szukać Suzanne. Poślubił ją, nie kochając jej, ale potem miłość go zaskoczyła. Teraz nie wyobrażał sobie życia bez tej miłości.

Suzanne wyszła z łazienki otulona szlafrokiem, zarumieniona i rozczochrana.

– Umieram z głodu.

Podał jej kanapki.

– Z szynką.

Przysiadła na brzegu łóżka i zaczęła suszyć włosy ręcznikiem.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

– Jeśli jesteś zbyt zmęczony, mogę poczekać. – Pochyliła się do przodu, przeczesując dłońmi swe ciemne, gęste loki. – Chyba nie ma sensu prosić cię o podjęcie decyzji, skoro wyglądasz tak, jakbyś zasypiał.

– Lepiej mieć to jak najszybciej za sobą. Suzanne była odrobinę zaskoczona.

– Dobrze. – Zacisnęła palce na kieliszku brandy. – Myślałam o tym, żeby otworzyć przedszkole, Marius. Chciałam cię zapytać, co o tym sądzisz.

Patrzył na nią, jakby nie rozumiał, co do niego mówi.

– Przedszkole?

– W Missencourt. – Uznała jego milczenie za brak entuzjazmu, bo dodała: – Brałam pod uwagę to, że nie będziesz zachwycony. To przecież twój dom.

– Czy to znaczy, że zostajesz? – zdradził się bezwiednie. Teraz Suzanne nie wiedziała, co powiedzieć.

– Marius?

Próbował zatuszować nieporozumienie.

– Przedszkole... w Missencourt? Czemu nie?

– Tara miałaby towarzystwo. W okolicy nie ma żadnego przedszkola, z wyjątkiem tej okropnej instytucji w Henscombe, w której dzieci siedzą w rządki i noszą mundurki... – Urwała. – Myślałeś, że chcę cię zawiadomić, że odchodzę? Że wyjeżdżam z Missencourt?

Czuł się jak idiota.

– Nie byłem pewien... kiedy powiedziałaś... – Zgasił papierosa. – To było idiotyczne.

Jej wilgotne włosy skręciły się w loki.

– Czy chciałeś to usłyszeć? – Zmarszczyła czoło.

– Nie, Suzanne! Nie! Suzanne, jeśli możesz ze mną wytrzymać, to, proszę, zostań.

Mariusz przerwał, zakłopotany nieskładnością własnych słów. Dlaczego tak łatwo mu mówić w obecności klientów, a nawet wysoko postawionych urzędników państwowych, pomyślał z wściekłością, a tak trudno wyrazić to, co czuje, w obecności własnej żony?

– Czy tak naprawdę myślisz? Że staram się z tobą jakoś wytrzymać?

– Nie wiem. Przepraszam.

– Wiesz co, Mariusz, czasem zachowujesz się jak idiota. Chyba nie uważasz mnie za szczególnie cierpliwą i wyrozumiałą?

Z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

– To na pewno nie są określenia, które w pierwszym rzędzie przychodzą mi do głowy w związku z tobą.

– Ale wydaje ci się, że staram się jakoś z wami wytrzymać?

– Sądziłem, że ze względu na Tarę...

– Och, ci mężczyźni! – Westchnęła z niesmakiem.

– Przepraszam.

– Przestań mnie wreszcie przepraszać. – Szarpnęła włosy grzebieniem. – Mariusz, gdyby tak było, odeszłabym już wiele miesięcy temu. Nie radzę sobie najlepiej z „wytrzymywaniem” czegokolwiek na siłę, chyba to zauważyłeś.

– Ale nie czujesz wobec mnie tego, co czułaś do Neila? Suzanne odłożyła grzebień i odwróciła wzrok.

– Nie. Nie sądzę, bym jeszcze kiedykolwiek mogła coś takiego poczuć.

Coś go ścisnęło w gardle.

– Nie sędę, bym była jeszcze zdolna do takich uczuó – ciągnęła Suzanne, obracając się w jego stronę. – Powinniśmy być wobec siebie szczerzy, prawda? W każdym razie ja muszę być szczerą wobec ciebie.

Zapadła cisza. Marius wciąż stał przy oknie, wpatrując się w ciemniejące niebo.

– Marius, posłuchaj mnie, spróbuń zrozumieć. Neil i ja... nie mogę powiedzieć, że to wszystko niewiele dla mnie znaczyło, to by była nieprawda. Ale przecież nie wiadomo, co by się wydarzyło, gdybyśmy mieli trochę więcej czasu. Czy nasze uczucie by przetrwało? Nie zdążyliśmy tego sprawdzić. Nie przeszliśmy żadnej próby. Nasza miłość chroniła nas jak bańka mydlana – utrzymywaliśmy wszystko w tajemnicy, nikt o nas nie wiedział. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdyby ta bańka pękła. Czy poradzilibyśmy sobie z rozwodem, z dzieckiem... takie sprawy wszystko komplikują, prawda? A ty i ja... a my przeszliśmy wiele prób już na samym początku...

– Można to i tak określić. Suzanne zamilkła na chwilę.

– Nie powinieneś myśleć, że skoro nasz związek jest inny, to nic dla mnie nie znaczy. Nie powinieneś myśleć, że mi na tobie nie zależy.

Marius zauważył, że Suzanne nie wypowiedziała słowa „miłość”. Nie miał jednak ochoty jej naciskać, żądać definicji.

– Ale zostaniesz?

– Jeśli tylko chcesz.

Starał się nie zważać na to, że ulga, którą poczuł, zabarwiona była smutkiem i świadomością, że ich uczucia względem siebie nawzajem nie są jednakowe, nie znaczą tyle samo. Lepiej cieszyć się tym, co jest, pomyślał.

– W organizacji Czerwonego Krzyża poznałam pewną kobietę. Nazywa się Vivien Lewis i mieszka w Longridge. Przed ślubem była nauczycielką i ma

małego synka w wieku Tary. Pomyślałyśmy, że skoro w okolicy nie ma dobrego przedszkola, to może warto je otworzyć. Muszę mieć jakieś zajęcie, Marius. Mam oczywiście Tare, ale nie jest już tak absorbująca, jak przedtem. A ja nie potrafię siedzieć beczynn timer.

– Zauważyłem.

– Tak bardzo to widać? – Suzanne najwyraźniej poczuła się winna.

– Zachowujesz się jak kotka na gorącym dachu, jeśli musisz siedzieć z założonymi rękami. – Ale przecież zawsze to w niej kochał: ten entuzjazm i tę energię.

– Przedszkole musiałyby się mieścić w Missencourt, bo dom Vivien jest za mały. Rozmawiałam już z Adelą i obiecała, że cię zapyta.

– Co tylko zechcesz, Suzanne – zapewnił ją Marius. – Zgadzam się na wszystko, co mogłoby cię uczynić szczęśliwą. Pragnę tylko twego szczęścia, Suzanne.

Jeśli nawet ich małżeństwo było sumą układów i kompromisów, to niewykluczone, że podobnie wyglądała lwia część małżeństw. A on dostawał w zamian perły, których nie sposób przecenić.

Marius wsunął dłonie pod jej szlafrok i zorientował się, że jest naga. Wilgotne włosy pachniały szamponem. Zatopił twarz w ramieniu Suzanne i zaczął ją pieścić tam, gdzie najbardziej lubiła być pieszczona. Aż położyła się na łóżku i rozchyliła uda, przyciągając go spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek.

Francesca została odesłana do Norfolk, do zameężnej siostry. Pisała stamtąd długie listy do Topaz. Ta odpisywała jej równie obszernie, a jednocześnie wysyłała krótkie, zabawne kartki do Charliego do Durham.

Pewnego popołudnia wyszła nieco wcześniej od panny Damerall, bo miała się spotkać z matką, by pójść na przymiarke do krawcowej. Wróciwszy do domu, zastała Veronicę w salonie, przy oknie, z papierosem w ręku. Na parkiecie leżała rozbita szklanka.

–Mamo!

– Trzeba to posprzątać.

– Co się stało? Dobrze się czujesz, mamó? Potłukłaś szklankę? Popiół z papierosa Veroniki spadł na odłamki szkła.

– Rzuciłam ją w tego drania.

– W pana Dextera? – Pan Dexter był kolejnym przyjacielem matki, właścicielem sklepu w Knightsbridge.

– W Terence'a. W tego cholernego Dextera. – Veronica zamrugła powiekami i opadła na sofę.

– Przyniosę szczotkę i szufelkę.

Gdy Topaz wróciła do salonu, matka trzymała już w dłoni kolejną pełną szklankę.

– Oczywiście wyszedł z niego sklepikarz – uśmiechnęła się Veronica. – Mój ojciec nie cierpiał sklepikarzy. Twierdził, że świata nie widzą poza pieniędzmi. Powinnam była to przewidzieć, prawda? – Zmrużyła swe szafirowe oczy. – Zawsze mi się wydaje, że oni przynoszą te prezenty, bo mnie podziwiają, ale nigdy im to nie wystarcza.

Topaz odniosła wrażenie, że matka oczekuje odpowiedzi.

– Nie wiem, mamó. Niewiele z tego rozumiem.

– Pora, żebyś zrozumiała – odparła Veronica szorstko. – Ile masz lat? Osiemnaście?

– Dziewiętnaście.

– Najwyższy czas, żebyś się dowiedziała, jacy są mężczyźni. – Śliczna, delikatna twarz pani Brooke zrobiła się na moment brzydka. – Nigdy nie dawaj im tego, czego chcą, dopóki nie masz pierścionka na palcu. To moja rada. Chodzi im tylko o jedno. – Veronica przestała patrzeć na butelkę martini i obrzuciła krytycznym spojrzeniem córkę. – Choć nie sędzę, byś miała wiele tego rodzaju problemów. – Uśmiechnęła się krzywo. – To znaczy nie sędzę, żebyś musiała się opędząć od adoratorów.

Topaz poczuła, że chłód ogarnia jej serce.

– Kitty – przypomniała matce. – Miałyśmy iść do Kitty.

– Odwołała przymiarkę. – Veronica dołała sobie martini. – Nie dostała jeszcze zamówionych guzików czy coś w tym stylu. – Przymknęła oczy, odchylając głowę do tyłu i zaciskając smukłe palce na szklance. Potem jakby ponownie zauważyła Topaz, bo otworzyła oczy i rzuciła zirytowana: – Och, zajmij się czymś pożytecznym. Wprowadzasz tylko nieład do tego mieszkania.

Topaz poczuła, że musi natychmiast gdzieś wyjść, więc włożyła płaszcz i beret i zamknęła za sobą drzwi. Nieprzyjemne wrażenie pozostało, jakby gdzieś w okolicy serca wciąż miała kawałek lodu. Pomyślała, że lód stopnieje, gdy tylko ona znajdzie się w miłym towarzystwie, skierowała się więc w stronę kawiarni. Wystarczy porozmawiać z Heleną, Miszą i Jerryem i znów poczuje się normalnie; prawdopodobnie uda się jej zapomnieć słowa matki: „... nie sędzę, żebyś musiała się opędząć od adoratorów”.

Ale przy narożnym stoliku siedziała tylko jedna osoba.

– Charlie! – zdziwiła się, a on posłał jej swój czarujący uśmiech. Musiała usiąść i przycisnąć dłonie do kolan, by powstrzymać ich drżenie. – Sądziłam, że jesteś w Durham.

– Przestaliśmy grać parę tygodni wcześniej.

–Och.

– No i jestem. Znów odpoczywam.

– A gdzie pozostali?

– Nie wiem. Dzwoniłem do Jerry'ego – jego matka jest chora. A Helena i Donald są pewnie zajęci. Więc musisz jakoś wytrzymać ze mną.

– Chyba jakoś to zniosę. Charlie przyjrzał się jej badawczo.

– Wszystko w porządku?

– Trochę mnie boli głowa. – Topaz czuła, że łzy napływają jej do oczu. Przycisnęła dłonie do żeber, jakby chcąc pozbyć się tego, co ją dławiło gdzieś w piersi.

– Postawię ci herbatę. – Charlie podniósł się z miejsca.

– Chodźmy raczej gdzie indziej – zaproponowała nagle, uświadamiając sobie, że teraz ma Charliego tylko dla siebie. Ale jeśli zjawi się ktoś z paczki, będzie musiała się nim podzielić.

– Masz coś konkretnego na myśli? Topaz pokręciła głową.

– O której musisz wrócić?

– Nikt na mnie nie czeka. – W jej głosie pojawiła się nuta gorzkości.

– No to zastanówmy się chwilę. – Charlie narzucił marynarkę. –Może do jakiegoś pubu albo do klubu... zaraz, zaraz, w Pimlico jest takie śmieszne miejsce, w którym pokazują interesujące jednoaktówki... – Zmarszczył brwi. – Chociaż niektóre z nich są po francusku...

– We francuskim jestem równie dobra, jak we wszystkim innym. Czyli beznadziejna.

Znów spojrział na nią badawczo.

– Powinnaś chyba potańczyć. To zawsze dobrze robi na samopoczucie.

Najpierw poszli do pubu. Topaz wypła drinka, a Charlie wreszcie zdołał ją rozśmieszyć, opowiadając o trupie teatralnej w Durham. Zrobiła się dziwnie ożywiona. Ogarnęło ją niezwykle podniecenie, bo uświadomiła sobie, że nie może zmarnować tej okazji.

Gdy wychodzili z pubu, zagadnęła go:

– Pewnie tęsknisz za Francescą.

Charlie pokiwał głową, a potem powiedział:

– Na początku tak. Ale życie wciąga, prawda? – Topaz wsunęła mu rękę pod ramię.

W klubie w Battersea, w zatłoczonej i zasnutej papierosowym dymem sali jakaś dziewczyna śpiewała piosenki Edith Piaf.

– To moja zagranica – uśmiechnął się Charlie.

– Poczekaj jeszcze trochę – pocieszyła go. – Wkrótce będziesz sławny. Europejskie tournee Charliego Fincha!

Wszystkie krzesła były zajęte, więc stanęli, opierając się o kamienny łuk.

– Czy nie sądzisz, że gdy uda nam się wreszcie wyjechać, to przeżyjemy rozczarowanie?

– Biały piasek, palmy, kafejki – czy to może kogoś rozczarować?

– Ale kiedy człowiek osiąga coś, o czym marzył całymimi latami, to często ma wrażenie, że rzeczywistość nie spełnia jego oczekiwań.

Pieśniarka zeszła ze sceny żegnana brawami, a jej miejsce zajął zespół jazzowy. Wszyscy ruszyli w stronę niewielkiego parkietu. Charlie wziął Topaz za rękę i pociągnął ją w sam środek tańczącego tłumu. Topaz pomyślała, że w tych warunkach można co najwyżej poszurać trochę nogami. Ale muzyka zaczęła powoli sączyć się do jej wnętrza, rozgrzewając ją i dodając energii. Zdziwiła się, że jej trudne do opanowania ciało, które zazwyczaj wymykało się

spod kontroli, tym razem porusza się z gracją. Nagle pierzchnęło gdzieś wszelkie zażenowanie i wypełniał ją tylko rytm tej muzyki. Z jej głowy odpłynęły wszystkie myśli – liczyli się tylko taniec i Charlie.

W pewnej chwili Charlie przyciągnął ją bliżej i szepnął jej do ucha:

– Oho, zaczynają się kłopoty. Lepiej będzie, jeśli stąd znikniemy. Topaz obejrzała się przez ramię. Po wąskich schodach wchodziła właśnie do sali grupka policjantów.

– Czego oni chcą?

Muzyka ucichła. Charlie wzruszył ramionami.

– Być może właściciele nie mają licencji na sprzedaż alkoholu. Albo ktoś tu handluje czarnorynkowymi papierosami lub kuponami. – Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę drzwi. Wspięli się po schodach przy świetle latarni i wyszli na ulicę.

Tymczasem zrobiło się ciemno, księżyc zniknął co chwila za postrzępionymi chmurami. Na rzece rozległ się dźwięk sygnałów przeciwmgielnych, a w ruinach zbombardowanych kościołów i kamienic mignął jakiś lis. Topaz i Charlie kupili rybę z frytkami. Gdy skończyli jeść, Charlie zrobił łódkę z papierowego opakowania i rzucił ją do rzeki z Chelsea Bridge. Przebiegli między samochodami na drugą stronę mostu i oboje krzyknęli, gdy w końcu na ciemnej wodzie pojawił się jasny kształt łódki.

– Pokażę ci, gdzie zamieszkać, gdy już będę bogaty – zaproponował i pociągnął ją w stronę Cheyne Walk.

Jedno z okien w wysokich budynkach z widokiem na rzekę było otwarte. Topaz słyszała dźwięki grającego gramofonu.

– W którym domu?

– W tym.

– Dlaczego?

– Bo jest tu kołatka w kształcie delfina. Zawsze chciałem mieć kołatkę w kształcie delfina.

Topaz się zaśmiała.

– I pierwiosnki w skrzynkach na oknie – dodała. – Moje ulubione kwiaty.

– Naprawdę? – Charlie przechylił się przez ogrodzenie i zaczął zrywać kwiatki.

– Charlie! – syknęła.

– Dla mojej najmilszej – powiedział, wtykając jej bukiet w dziurkę od guzika.

Topaz zabrakło nagle tchu. Pochyliła głowę, by powąchać kwiatki, i poczuła zapach wiosny i nadziei.

– O czym myślisz? – zagadnął.

– O wakacjach z moimi kuzynami w dzieciństwie. Wtedy było tyle pierwiosnków. Wszystkie lasy stawały się żółte.

Gramofon zaczął grać kolejną melodię. Topaz przechyliła głowę.

– To tango – powiedział Charlie, wyciągając ku niej rękę.

– Nie umiem tańczyć tanga, Charlie. Nigdy się nie uczyłam.

– Nauczę cię.

Tańczyli na bulwarze, a gdy nie było słyhać muzyki, Charlie nucił właściwą melodię. Pierwiosnki wysunęły się z dziurki od guzika i rozsypały po bruku niczym konfetti. Kiedy się zatrzymali pod gazową latarnią, by złapać oddech, Topaz po raz pierwszy w życiu dostrzegła cień niepewności w oczach Charliego, więc stanęła na palcach i pocałowała go delikatnie w usta. Wplótł dłonie w jej włosy. To był bardzo długi pocałunek. Potem Charlie się cofnął i powiedział:

- Nie byłem pewien...
- Czego?
- Co o mnie myślisz.
- Co ja o tobie myślę?
- Jesteś... jesteś z innej sfery.
- Ja?!
- No wiesz. Hotele, pensja i oliwki...

Topaz dojrzała własne odbicie w jego ciemnych oczach.

- Charlie!
- Nie miałem pewności, czy nie wymierzysz mi policzka albo czy nie pojawi się nagle jakiś utytułowany narzeczony.
- Oczywiście, że nie. Ale jesteś niemądry. – W jej śmiechu była nadzieja.
- Nigdy nie zdołałem cię rozszyfrować – wyznał poważnie. – Robisz i mówisz rzeczy, których wcale się nie spodziewam. Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy w kawiarni, wydałaś mi się wręcz... niedosiężna.

Topaz zastanawiała się, czy mówił prawdę. Odrobina rozsądku, która jej pozostała, nie pozwalała jej zapomnieć, że Charlie jest aktorem, że bez trudu potrafi każdego przekonać.

Powiedziała więc bez ogródek:

- Wiedziałam, że mnie lubisz. Ale sądziłam, że nie ma mowy o czymś więcej. No wiesz: miła, sympatyczna Topaz, dobry kumpel i tak dalej.

Kąciki jego ust uniosły się do góry.

- Topaz, czasem naprawdę zachowujesz się jak idiotka – powiedział i znów ją pocałował.

Jego dłonie powoli ześlizgnęły się po jej ciele, zatrzymując się nieco dłużej w okolicy piersi i bioder. Topaz pomyślała: no cóż, nawet jeśli on tylko

gra, to nic mnie to nie obchodzi, a potem zamknęła oczy i przestała przejmować się swoimi wątpliwościami.

RS

9

Czasem Jack czekał na Julię pod stajniami, czasami – znając rozkład jej tygodnia – wpadał na nią „przypadkiem”, gdy robiła zakupy w Henscombe albo odwiedzała znajomych w Bridport. Zdarzało się, że zapraszał ją na herbatę; na początku odmawiała i zerkając na zegarek, ruszała w kierunku przystanku autobusowego, ale zazwyczaj udawało mu się ją przekonać. „Tylko pół godziny – kusił. – Miałem się z kimś spotkać, ale ten ktoś się nie pojawił i nie bardzo mam co robić”. Wtedy Julia się uśmiechała i mówiła: „No, cóż...” i Jack już wiedział, że mu się udało.

Siedząc naprzeciwko niej przy kawiarnianym stoliku lub odprowadzając ją ze stajni, zmuszał się, by nie patrzeć na Julię bez przerwy, by nie sycić wzroku jej urodą. Starał się nie ujawniać radości, jaką sprawiało mu przebywanie w jej towarzystwie. Wiedział, że jeśli Julia zorientuje się, jak on pragnie tych spotkań, ucieknie, lękając się konsekwencji. Wybierał więc tematy niebudzące kontrowersji i cieszył się, gdy udało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy, gdy muskała wargami jego policzek przy rozstaniu. Ale wiedział, że coś w niej drgnęło, że Julia czeka na te spotkania, że nie mogłaby się bez nich obejść.

Gdy się rozstawali, był w stanie myśleć tylko o niej. Jej wizerunek nie zniknął spod jego powiek. Myślał o niej, gdy zasypiał i gdy się budził. Wiedział, że zaczęli się ocierać o coś bardzo niebezpiecznego i że wystarczy jeden niewłaściwy krok, by polecieeli w przepaść. Zauważył, że Julia stała się nerwowa; on zaś rzucał się w wir fizycznej pracy, by rozładować napięcie, jakie wywoływały w nim te spotkania. Raz czy dwa wyobraził sobie Julię w Sixfields. Stary dwór obudzony do życia dzięki jej energii i urodzie. Tego

rodzaju fantazje wprawiały go w niepokój, bo czuł, że jest w nich coś odrażającego, coś, co sprawiało, że narastała w nim niechęć do samego siebie.

Gdy odprowadzała kucyka po pożegnaniu z ostatnim uczniem, podniosła wzrok i spostrzegła, że Jack na nią czeka. Na jego widok się przestraszyła: ona, która nigdy niczego się nie bała.

Przestraszyła się, bo choć nigdy nie przejmowała się konwenansami, zawsze jednak starała się trzymać własnych reguł. Nigdy przedtem nie naruszyła zasad moralnych wpojonych przez szkołę, Kościół i przede wszystkim przez ojca. Przestraszyła się, bo nigdy nie znosiła tego, co ukradkowe i potajemne, a choć wiedziała, że w jej spotkaniach z Jackiem nie ma na razie nic złego, czuła, że wkrótce mogą się przerodzić w coś całkiem innego. Powtarzała sobie cały czas, że wystarczy jedno słowo, by wszystko przerwać. Przerażeniem napawało ją także to, że nie wypowiedziała owego słowa.

Źle sypiała, nie mogła jeść. Mężowi okazywała czasem irytację, czasem pełne poczucia winy ciepło. Gdy ogarnęła ją radość po pierwszym spotkaniu koło stajni, poczuła przyływ euforii. W ślad za nią pojawiła się jednak depresja. Śnił się jej ojciec. Przypomniła sobie jego wskazówki. „To, co robisz, gdy ludzie cię nie widzą, jest równie ważne jak to, co robisz wtedy, gdy cię widzą”. Przerażająca bezkompromisowa zasada, w myśl której nie istniały okoliczności łagodzące.

Pewnego popołudnia bezlitośnie krytykowała swe mniej pojętne uczennice. Potem na moment oparła czoło o szyję Salema i zamknęła oczy. Gdy wychodząc ze stajni, zorientowała się, że Jack na nią nie czeka, sama nie wiedziała, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie. Jechała pod górę na rowerze i

wydawało się jej, że ciemne chmury ją przytłaczają, a nieruchome powietrze zrobiło się dziwnie lepkie.

Wtedy usłyszała pisk hamulców i w zacienionym tunelu utworzonym przez brzozy zatrzymał się koło niej stary bentley. Julia zeskoczyła z roweru. Gdy trzasnęły drzwiczki i z samochodu wysiadł Jack, ogarnęło ją napięcie.

– Przepraszam – powiedział. – Nie mogłem się wyrwać.

– Przecież – powiedziała ostro, ruszając pod górę – wcale się ciebie nie spodziewałam.

Jack zacisnął pięści.

– Co za przeklęta baba!

– Jaka przeklęta baba? – Julia się uśmiechnęła. – Nie mówisz chyba o swojej dobrodziejce, Jack? Nie mówisz o Carrie Chancellor?

– Nagle sobie ubzdurała, że dzierżawcy nas oszukują. Siedziałem prawie całą noc nad księgami. Przeszukałem cały strych, szukając umów dzierżawnych sprzed Bóg wie ilu lat, z czasów napoleońskich. Powiedziała, że jeśli nie mam ochoty jej pomóc, to znajdzie sobie kogoś innego. Jak zwykle – zapisze farmę kuzynowi takiemu albo takiemu, jeśli się zerwę z postronka...

– Tak to już jest, gdy człowiek sprzeda duszę.

Jack pobladł. Julia nawet się nie zatrzymała. Usłyszała jego głos za plecami.

– Oczywiście, masz rację. – Mówił cicho i z goryczą. – Tańczę, jak mi zagra.

Minał ich jakiś samochód. Julia rozpoznała Lois Barrington za kierownicą.

– Zrobiłeś interes – podsumowała. – Dobiłeś z nią targu. Warto było?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. – Zamknął oczy i zaczął masować skronie opuszkami palców. Nagle powiedział: – Od czasu do czasu mam ochotę rzucić to wszystko. Zostawić Sixfields. Przekląć ją. I wiesz, co ona wtedy robi? Zaczyna chorować. Zaczyna nagle ciężko chorować. Przechodzi doktor, bada ją i mówi, że to długo nie potrwa. No więc zostaję. Bo widzę światełko w tunelu. Bo wydaje mi się, że za parę tygodni, za parę miesięcy ten dom i ta ziemia będą należeć do mnie. Masz rację, dobiłem targu. Zrezygnowałem z ciebie, żeby dostać Sixfields. Więc jeśli ktoś inny dostanie majątek, to co mi pozostanie?

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy – szepnęła przerażona Julia.

– Taka jest prawda. Pragnąłem Sixfields, pragnąłem tak bardzo, że zrezygnowałem z kobiety, którą...

Julia rzuciła rower na pobocze i przycisnęła palce do jego ust. Jack przykrył je swoją ręką i ucałował wewnątrz jej dłoni.

– Nie wolno ci.

– Dlaczego?

– Dobrze wiesz, dlaczego. – Odsunęła się i chciała podnieść rower. Ale pasek płaszcza przeciwdeszczowego wplątał się w łańcuch i nie mogła się uwolnić.

– Przecież tylko ze sobą rozmawiamy – powiedział. – Nikomu nie dzieje się krzywda.

– W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, gdy pani Barrington zacznie rozpowiadać, że nas razem widziała, tak? I że ja opowiem Willowi o tej rozmowie? Powiem, że spotkaliśmy się w Henscombe, powiem, że czekasz pod stajnią i odprowadzasz mnie do domu? Tylko że dziwnym

trafem nie odprowadzasz mnie pod drzwi, prawda, Jack? Tylko do skrzyżowania. Ciekawe dlaczego?

– Nie ma sensu dolewać oliwy do ognia.

– Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal – zadrwiła. – Czy to jest twoje motto? Co za cholerny pasek...

– Pozwól, że ci pomogę. Zaraz zepsujesz rower. – Jack przyklęknął i ostrożnie wyplątał skrawek tkaniny. Julia wyciągnęła dłoń i prawie dotknęła jego skóry między włosami na karku a kołnierzem.

– Proszę bardzo. – Podał jej pasek. – Zdaje się, że się pobrudził, ale... – Urwał. – Och, Julio, przestań płakać.

Wtuliła twarz w jego ramię, a on ją objął.

– Dziś są urodziny taty – szepnęła. – I ciągle myślę, co on by o tym wszystkim powiedział, co by o mnie powiedział... – Szybko się cofnęła. – Muszę już iść.

Odjechała, znacząc drogę łzami. Gdy dotarła do skrzyżowania, zatrzymała się i spojrzała na Maiden Hill. Hidcote Cottage wyglądał jak mała smutna plamka na tle wiosennej zieleni.

Nie rozumiała, jak to wszystko się stało. Jej impulsywność i gwałtowny temperament sprawiły, że popełniła taki błąd.

Monstrualny, niemożliwy do naprawienia błąd: poślubiła niewłaściwego brata.

Julia zadzwoniła do Penny Craven i powiedziała, że źle się czuje. Potem wypucowała cały dom i powyrywała chwasty w ogródku. Trzeba się starać. Ojciec zawsze jej powtarzał, że wszystko można zmienić w sukces, jeśli człowiek pilnie pracuje. Julia zauważyła, że Will schudł i zrobił się nerwowy, i zaczęła się zastanawiać, kiedy to się zaczęło. Może był chory, a ona nawet tego

nie zauważyła, pochłonięta swym... no właśnie, czym? Nie potrafiła znaleźć słowa, które oddałoby to, co się działo między nią a Jackiem. Flirt? Fascynacja? Bo przecież nie romans? Jeszcze nie romans.

Źle się czuła w samotności. Jeździła więc na rowerze po okolicy, odwiedzając znajomych, których nie widziała od wieków, albo kręcąc się po sklepach w poszukiwaniu czegoś, co nagle było jej niezbędnie potrzebne: szpulki zielonych nici, pudełeczka szpilek.

Pewnego popołudnia w czasie lunchu pojechała do warsztatu. Nikogo tam nie zastała, weszła więc do biura. Otworzyła drzwi, nim się zdążyła zorientować, że Will nie jest sam.

– Julio...

– Przepraszani, kochanie. – Uśmiechnęła się do gościa i powiedziała: – Nie przedstawisz nas sobie, Will?

– Rick, to moja żona – mruknął Will pod nosem. – Julio, to pan Hunter...

– Klient – wtrącił pan Hunter. – Will i ja robimy razem interesy, pani Chancellor. – Wyciągnął do niej rękę.

Pożądliva, czujna twarz nieznanego przywiodła Julii na myśl pysk obserwującej swoje terytorium kuny, na którą kiedyś natknęła się w komórce w Missencourt. Teraz jego ciemne, pełne wyrachowania oczy patrzyły na nią tak, że poczuła niepokój.

– Zaczekam przed warsztatem – zaproponowała pośpiesznie.

Usiadła na trawie w promieniach wiosennego słońca. Po paru minutach pan Hunter wyszedł i wsiadł do samochodu. Julii nadal się wydawało, że czuje na sobie jego spojrzenie, więc zsunęła ciemne okulary na nos i podwinęła gołe łydki.

Znów weszła do biura. Will chował właśnie coś do szuflady i zamykał ją na klucz. Podniósł głowę, gdy Julia weszła do pokoju.

– Trzeba było mi powiedzieć, że się tu wybierasz. Nie powinnaś wpadać tak bez uprzedzenia.

Jego słowa i ton głosu wprawiły Julię w osłupienie.

– Przepraszam cię, Will – wyjąkała. – Przepraszam. – Próbowała jakoś uratować sytuację. – Nie chciałam ci przeszkadzać. Czy pan Hunter przyszedł tu w jakiejś bardzo ważnej sprawie?

Will zaczął kartkować książkę zamówień.

– To nic wielkiego.

– Nigdy go nie widziałam. Czy mieszka gdzieś w okolicy?

Will zatrzasnął księgę z hukiem.

– A co to takiego? Przesłuchanie?

– Oczywiście, że nie. – Poczowała dziwny tępy ból, zrodzony z przekonania, że bez względu na to, jak bardzo będzie się starała, małżeństwo z Willem się nie ułoży.

Will schował księgę zamówień do szuflady. Potem zerknął na żonę.

– Po co tu właściwie przyszłaś?

Zupełnie jakbym była, pomyślała Julia gniewnie, zapominając o swojej depresji, jakimś natrętem, którego trzeba się jak najszybciej pozbyć.

– Czy potrzebuję specjalnej przyczyny, żeby odwiedzić męża?

– Oczywiście, że nie – Will próbował zdobyć się na wysiłek i załagodzić sytuację. – Tylko że zazwyczaj nie zaglądasz do warsztatu.

– Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy... – Urwała. Wybrać się na piknik, chciała powiedzieć. Albo na drinka do pubu. Lecz gdy zobaczyła stos papierów na biurku i samochody zaparkowane na zewnątrz,

najprawdopodobniej czekające na naprawę, ta propozycja wydała jej się nie na miejscu. – Postanowiłam, że wpadnę na chwilę, żeby cię uściskać – dokończyła niezgrabnie.

– Bardzo miło z twojej strony – odparł Will, ale Julia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że myślami jest już gdzie indziej.

– Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

– Nie ma potrzeby...

– Może trochę posprzątam?

– Naprawdę, Julio. Pewnie to wygląda na wielki bałagan, ale wierz mi, wszystko jest pod kontrolą. – Zmusił się do uśmiechu. – Masz na coś ochotę? Może się czegoś napijesz?

Julia pokręciła głową.

– Lepiej już pójdę.

– Mógłbym poprosić Briana, żeby ci przygotował herbatę...

– Dziękuję, Will. Widzę przecież, że jesteś zajęty.

Julia wyszła z warsztatu. Nie miała żadnego pomysłu, co zrobić z tym popołudniem, wróciła więc do Hidcote Cottage. Nawet w promieniach wiosennego słońca domek wydawał się zimny i wilgotny. Usiadła na schodach frontowych i zapatrzyła się na drzewa. Po raz pierwszy przyznała się sama przed sobą, że ma poczucie beznadziejności i jałowości własnego życia. Gdy zobaczyła zarzucone papierami biuro Willa, przypomniała sobie pracę w Temperley's Radios: pośpiech, podniecenie, satysfakcję. Wszystkie jej obecne zajęcia były nużące, niesatysfakcjonujące i trywialne. Czy ktoś by zauważył, że Julia nie umyła podłogi w kuchni albo nie wytarła kurzu? Na domiar złego, pomyślała ze smutkiem, wcale nie jest mistrzynią w prasowaniu koszul czy sprzątaniu.

Jeszcze gorzej znosiła poczucie izolacji. W położonym koło zagajnika domku czuła się jak w klatce. Czasem miała ochotę zacząć szarpać kraty. Kiedyś była kimś ważnym w oczach innych ludzi. W oczach swego ojca, w oczach ludzi pracujących w Temperley's Radios. Kiedyś miała coś ważnego do roboty. Ale te czasy minęły i teraz zastanawiała się, czy już zawsze pozostanie na drugim planie, czy ciągle będzie grała nic nieznaczące role. Julia nienawidziła wojny, która rozdzieliła ją z Mariusem i Jackiem. Byłoby wielką ironią losu, gdyby patrząc na swoje życie jako staruszka, miała uznać lata wojenne za najszcześniejszy okres swego życia. Przerazała ją myśl, że jej przyszłość upłynie pod znakiem samotności i bezsensu.

Zerknęła na zegarek. Druga. Niewiele myśląc, wskoczyła na rower i pojechała do stajni.

Jeśli Penny Craven zdziwiła się nagłym powrotem przyjaciółki, to jako osoba taktowna, nic nie powiedziała. Julia zaś, wdychając dobrze znany zapach końskiej sierści i siana, próbowała się uspokoić.

Gdy skończyła zajęcia o siedemnastej, wyjrzała przez stajenne okno i spostrzegła Jacka opartego o bramę. Poczuli się tak, jakby stała na skale, zastanawiając się, czy skoczyć do głębokiej wody. Wiedziała, że jeśli skoczy, nie będzie już powrotu. Czekwała chwilę, ukryta za oknem. Ale gdy Jack obrócił się na pięcie i zaczął odchodzić, Julia wybiegła ze stajni i popędziła za nim.

Słyszając jej kroki, obejrzał się i zatrzymał. Podbiegła, wplotła palce w jego dłonie i pocałowała go w policzek.

– Tęskniłeś za mną, Jack? – zapytała.

– Od lat. – Jego oczy pociemniały z pożądania. – Od lat.

Jego usta spoczęły na jej szyi. Julia zamknęła oczy. A gdy Jack ją pocałował, poczuła się tak, jakby wreszcie wróciła do domu.

Charlie siedział w kawiarni i wodził palcem po kolumnach z ogłoszeniami o pracy.

Panna Damerall przeszła wylew i została umieszczona w domu opieki na wyspie Wight, więc Topaz znów szukała zajęcia. Gdy powiedziała mu o tym, zapytał:

– A nie masz ochoty popracować trochę w teatrze? Spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem, więc wyjaśnił:

– Desmond wygrzebał trochę pieniędzy na tournée. Claudette jedzie z nami. – Skrzywił się lekko. – Trudno przewidzieć, co z tego wyniknie. Jest ładna, więc oczywiście przyciąga widzów, ale tańczy znacznie lepiej, niż gra. Jeszcze nie mamy inspicjenta. Co ty na to?

– Myślisz o mnie?

– Dlaczego nie?

– Nie znam się na teatrze, Charlie.

– To nic nie szkodzi – zachęcał ją. – Trzeba się trochę zająć rekwizytami, posuflerować.

– Ale nie będę musiała grać?

– Nie. – Charlie pokręcił głową.

– Bo ja nie potrafię. – Topaz wyobraziła sobie, jak stoi na scenie, jak zapomina roli albo jak jej ciało wylewa się spod kostiumu.

– Chodzi o rozstawianie i sprzątanie dekoracji, obsługiwanie gongu, pilnowanie, żeby wszystkie rekwizyty były pod ręką. – Charlie objął ją ramieniem i przytulił. – Łatwizna. Pójdzie ci znakomicie. – Spojrzał na nią badawczo. – Tylko że będziesz poza domem przez parę miesięcy. Co o tym sądzisz?

– Musiałabym porozmawiać z mamą.

– Jedziemy na południe, na wybrzeże. Pojedziesz z nami, prawda, kochanie? Byłoby tak cudownie. – Ton Charliego stał się nagle bardzo rzeczowy. – Obawiam się, że nie da się wiele zarobić. Po opłaceniu wszystkiego, co trzeba, zostanie zaledwie parę szylingów tygodniowo.

Wyjechali z Londynu dwa tygodnie później. Spotkali się wczesnym rankiem pod pubem przy St Martin's Lane. Desmond zaproponował, że ich podwiezie. Reszta zespołu miała dołączyć w Broadstairs.

Charlie przedstawił Topaz Desmondowi. Pan McKenna miał koło czterdziestki, czerwoną twarz i gęste, siwiejące, kręcone włosy. Nosił marynarkę w pepitkę i krawat w karmazynowe wzory. Wyciągnął rękę do dziewczyny.

– Tak się cieszę, że dołączyła pani do naszej wesołej bandy, panno Brooke. – Pomachał do pary, która wyłoniła się właśnie zza rogu. – Freddie! Sylvio! Tu jesteśmy!

– O, Boże! Ryderowie! Desmond, nie uprzedziłeś mnie...

– To sól tej ziemi, stary.

– Desmond, Freddie nie umie grać, a Sylvia pije jak smok.

– Już przestała. Tak mi mówiła.

Charlie pociągnął nosem, a potem się uśmiechnął i otworzył ramiona.

– Sylvio, kochanie, jak miło cię znów widzieć. Wyglądasz cudownie! Freddie, tak się cieszę, że jedziesz z nami...

– Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym został w Londynie.

Wszyscy się przywitali, Topaz została przedstawiona. Charlie zerknął na zegarek.

– Claudette się spóźnia.

– Lubi efektowne wejścia – powiedział Desmond spokojnie.

– Daję jej jeszcze dziesięć minut. – Charlie zaczął się przechadzać wzdłuż krawężnika. – Bez niej będzie więcej miejsca w samochodzie.

Tuż obok zatrzymała się taksówka, z której wyskoczyła Claudette z tuzinem toreb i torebek. Za nią wysiadł Mischa.

– Kochani! Chyba się nie spóźniłam? Tyle czasu szukaliśmy taksówki.

– Pewnie zaspalaś, Claudette? – wycedził Charlie. Aktorka wydeła wargi.

– Nie bądź małostkowy, Charlie. – Pocałowała Desmonda w policzek. – Nie jesteś na mnie zły, Desmondzie? I chyba nie masz nic przeciwko temu, że Mischa pojedzie z nami? Żeby trzymać za mnie kciuki?

– Siedem osób w jednym samochodzie... – mruknął Charlie. Wszyscy wzięli swoje bagaże i przekomarzając się i drocząc, ruszyli ulicą.

Topaz nie była pewna, czego, w gruncie rzeczy, oczekiwała. Na pewno jasnych świateł; może jeszcze aksamitnej kurtyny i mieniących się cekinami kostiumów. Gdy po raz pierwszy zobaczyła mroczne, wystawione na przeciągi wewnątrz Gaiety Theatre z łuszczącą się farbą na ścianach, straciła złudzenia na temat świetności i splendoru życia aktorskiego. Teatr stał przy nadmorskim bulwarze w niemodnej dzielnicy Broadstairs. W gąszczu uliczek na tyłach budynku Topaz znalazła pensjonat prowadzony przez jakąś panią Gibson, która sama wiele lat temu występowała na scenie. Gospodyni wyjaśniła nowej lokatorce, że ze względu na swoje nogi grała przede wszystkim główne role chłopięce. „Miałam takie piękne nogi” – wzdychała. Od dwudziestu lat pani Gibson prowadziła pensjonat dla ludzi teatru. „Pyszne jedzenie i przyjemny pokój, wszystko, czego potrzeba po wieczorze spędzonym na scenie”. W sypialni dziewczyny na kapie, zasłonkach i tapetach widniały rozmaite różowe kwiatki. Musiała przyznać, że w tym pokoju trudno by było poczuć się nieszczęśliwą – choć można by zapewne dostać zawrotu głowy.

Pierwszy tydzień upłynął im na próbach. Przed wyjazdem z Londynu Charlie wyjaśnił Topaz dokładnie, jak będą wyglądały jej obowiązki. Suflerowanie miało polegać na podpowiadaniu tekstu grającym, którzy czegoś zapomnieli. Charlie tłumaczył jej, że musi mówić w ten sposób, by słyszeli ją aktorzy, ale nie publiczność. Rekwizytami były wszystkie przedmioty, używane w przedstawieniu – filiżanki, sztylety, butelki szampana. Gongi wyznaczały czas, jaki pozostał do podniesienia kurtyny.

Topaz kupiła sobie notes, ołówek i latarkę i przygotowała listę rekwizytów, potrzebnych w każdej ze sztuk. Szybko się zorientowała, którzy aktorzy znają swój tekst, a którzy nigdy się go nie nauczą. Charlie umiał swoją rolę na pamięć już pierwszego dnia, a Claudette wiecznie wtrącała niewłaściwe wyrazy i przestawiała głoski w innych. Freddie natomiast przeskakiwał ze sceny do sceny zupełnie na oślep.

Dziewczyna poznała także innych członków zespołu. Sylvia poradziła jej, jak się powinna czesać. „To bardzo proste, kochanie. Tylko popatrz”. Jeden zręczny ruch dłoni i długie włosy Sylvii ułożyły się w elegancką fryzurę. Muśnięcie czerwoną szminką i mascarą wystarczało, by zmęczona twarz aktorki stała się wyniosła i piękna.

Sylvia odgarnęła włosy Topaz z czoła.

– Prawdziwy Tycjan! Szczęściara! Dużo bym dała, żeby mieć takie włosy.

– Kolor twoich też jest bardzo piękny – odparła Topaz uprzejmie.

– Tylko że nie mój własny, kochanie – wyjaśniła tamta ze smutkiem. – Nie mój.

W Broadstairs dołączyli do nich pozostali: Pauline, Nora, Martin i Cyril. Pauline i Nora, obie szczupłe, ciche i bardzo uczuciowe, skończyły właśnie

szkołę aktorską. Martin był przystojnym brunetem, a Cyril niewysokim, pogodnym blondynem. To właśnie Cyril nauczył Topaz układać rekwizyty na stoliku i podpowiedział, na co uważać, wołając aktorów na scenę. Cyril zdradził jej, gdzie można coś tanio zjeść i wypić, i zaprowadził Topaz na targi staroci i do sklepów ze starzyzną, w których szukała potrzebnych rekwizytów czy kostiumów. W oczekiwaniu na wieczorne przedstawienie Martin czytał amerykańskie powieści detektywistyczne o sensacyjnych tytułach, jak na przykład „Zabójcza blondynka” albo „Urodzeni mordercy”, a Cyril robił swetry na drutach. Twierdził, że nauczył się robić na drutach w marynarce handlowej. Topaz nie od razu się zorientowała, że Martin i Cyril należą do mężczyzn, określanych przez Charliego jako ci, którzy wolą to robić z facetami, choć bardzo szybko zauważyła, nie bez zazdrości, z jaką czułością Cyril traktuje Martina.

Co wieczór mieli grać dwa przedstawienia, pierwsze o siedemnastej, drugie o dwudziestej. W sklepie na bulwarze Topaz kupiła Charliemu ptaszka z muszelek na szczęście. Miał czarne oczy z paciorków i stał na cokolicu z napisem „Pamiętka z Broadstairs”. Oglądając premierę, Topaz zrozumiała, że Charlie nie ujawniał wszystkich swych aktorskich możliwości na próbach. Gdy odwracała wzrok, by przewrócić kartkę, miała poczucie, że się wymyka z magicznego kręgu.

Po premierze poszli do pubu, w którym na ścianach wisiały oprawione plakaty teatralne, upamiętniające przedstawienia i aktorów sprzed lat. Kiedy po zamknięciu lokalu wyszli na ulicę i stanęli na lśniącym od mżawki chodniku, poczucie ulgi zamieniło się w prawdziwe uniesienie. Topaz ruszyła ze wszystkimi, ale Charlie pociągnął ją za rękę, tak że oboje zostali z tyłu. Skręcili w przecznicę i oczom dziewczyny ukazało się czarne jak smoła morze

i migoczący pomiędzy chmurami księżyc. Zbiegli na plażę po krętych schodach. Charlie brnął po piasku w stronę brzegu, zamykając oczy.

– Bogu dzięki, że mam to już za sobą. Każda premiera...

– Byłeś zdenerwowany?

– Przerażony. – Otworzył szeroko oczy. – Zawsze jestem przerażony.

– Byłeś cudowny.

– Poszło mi... – szukał właściwego słowa –... tak jak trzeba. Topaz pokręciła głową.

– O, nie. Znacznie lepiej.

– Przed każdą premierą obiecuję solennie, że dam sobie z tym spokój. Że znajdę inne zajęcie. Jakaś sensowną pracę. Że więcej nie będę już się na to narażał. – Charlie zamknął oczy. – A potem zmieniam zdanie. I tak jest za każdym razem. Nie mam pojęcia, dlaczego. Wcale nie chodzi o aplauz. Ludzie tak właśnie myślą, nie mają jednak racji. Brawa są oczywiście bardzo przyjemne, ale nie najważniejsze. Najważniejsze jest chyba to, że potrafię się całkowicie zatracić w roli, gdy przedstawienie idzie dobrze. Zapominam, kim jestem. I bardzo dobrze się z tym czuję. Nic innego nie daje mi takiej satysfakcji. – Ogarnął ją swym ciemnym spojrzeniem. – No, może jeszcze parę innych rzeczy. – Zrzucił marynarkę. – Chodź tu. Usiądź.

Topaz usiadła koło niego. W jego pocałunkach była jakaś dziwna intensywność. W pewnej chwili poczuła, że może powinna go odepchnąć, otrzepać się z piasku i wrócić do pensjonatu. Powróciły do niej echem słowa, które od wieków powtarzają starsze, bardziej doświadczone kobiety. „Chodzi im tylko o jedno. Nie dawaj im tego, czego chcą, póki nie masz pierścionka na palcu. Mężczyźni nie szanują łatwych kobiet. Przyzwoite dziewczęta tak się nie zachowują”. Taki pełen wyrachowania, bezduszny targ.

Zawsze martwiła się technicznymi szczegółami związanymi z uprawianiem seksu, skomplikowanym rozpinaniem podwiązek i zdejmowaniem pończoch, trzęsącym się jak galareta białym ciałem, piersiami, które, uwolnione z podtrzymującego je stanika, mogą zacząć niepokojąco zwisać. Wszystko wskazywało jednak, że Charlie nie ma z tym żadnych problemów; wszystko wskazywało, że rozkoszuje się, mogąc wtulić twarz w jej piersi, że wzdycha ze szczęścia, wodząc dłonią po jej zaokrąglonych kształtach. Noc skryła zażenowanie, szum morza zagłuszył dźwięk odpinanych zatrzasków. Potem, wtulona w ramiona Charliego, pomyślała sobie, że ta plaża w Broadstairs wcale nie była najgorszym miejscem, w którym mogła stracić dziewictwo. Zawsze to bardziej oryginalnie niż w małżeńskim łóżku, no i na piasku, a nie na kamieniach.

Gdy Willa ogarniały szczególne zdenerwowanie i depresja, powtarzał sobie w duchu, że przecież wszyscy są w jakiś sposób wplątani w czarnorynkowe interesy. Bez tego trudno by było sobie poradzić. Maurice trzymał na zapleczu towary tylko dla wtajemniczonych; kuzynka Carrie, które była zaprzysięgłym wrogiem racjonowania dóbr konsumpcyjnych i wszelkiej rządowej kontroli, sprzedawała rodzinie jajka i mleko. Nawet Prudence Chancellor wykorzystywała rodzinne kontakty, by mieć co postawić na stole. Will pocieszał się, że handlowanie kuponami na benzynę pod ladą to mniej więcej to samo, jedynie na większą skalę.

Pewnego ranka, gdy pracował w warsztacie, na podjeździe zatrzymał się samochód policyjny. Na ten widok Willowi wypadł z ręki z brzdękiem klucz francuski. Słyszał bicie własnego serca i chciał popędzić do biura, by podrzeć fałszywe kupony na strzępy. Ale nie mógł się ruszyć z miejsca.

Kierowca wdał się w rozmowę z Brianem. Po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach samochód odjechał. Will zamknął oczy i odetchnął z ulgą. Nie mógł opanować drżenia. Usłyszał głos chłopaka:

– Dobrze się czujesz, Will?

– Tak. – Przycisnął dłoń do klatki piersiowej. – Czego chcieli?

– Pytali, jak dojechać do Longridge. – Brian wciąż był zatroskany. – Może zrobię herbaty?

– Dobry pomysł. – Will przełknął ślinę. – Nie byli stąd?

– Pewno nie. Zdaje się, że z Londynu.

Will nie zaglądał do Holly Bush od wielu tygodni, od czasu kłótni z Julią, ale tej nocy nie mógł się powstrzymać. Pił dużo, pragnąc wymazać z pamięci wydarzenia minionego dnia. Nie mógł już dłużej ukrywać przed sobą prawdy: wielkie, straszne tajemnice, które oddzieliły go od Julii, miały zupełnie inny charakter niż drobne wykroczenia przeciwko prawu, na jakie pozwalali sobie krewni i przyjaciele. Postanowił sobie, że gdy tylko zacznie trochę więcej zarabiać legalnie, powie Rickowi, że nie chce już robić z nim tego rodzaju interesów.

Koło północy jeden z rybaków, trochę zwariowany Johnnie Gamble, zaproponował, by wypłynęli na morze. Jego łódź, „Katie Rose”, była zacumowana w Henscombe. Will zawiózł więc całą czwórkę – Johnniego, jego młodszego brata, Micka, i ich kuzyna, Eddiego – do portu. Samochód ocierał się o nasyp, gdy pijany Will prowadził go po cichych, ale krętych wiejskich drogach.

„Katie Rose” wypłynęła z portu w Henscombe na gładkie, czarne morze. Noc była zimna. Will położył się na pokładzie i zapatrzył w gwiazdy. Jego spojrzenie wędrowało między Orionem a Pegazem i przypomniał sobie trik,

którego nauczyła go matka: patrząc z boku na gwiazdę, można ją zobaczyć wyraźniej. Wpatrywał się w niebo intensywnie, ale gwiazdy wciąż migotały i znikały. Po chwili zamknął oczy i zasnął ukołyszany ruchem łodzi.

Czasami dostawał od nich prezenty. Szampana, puszki z łososiem, perfumy – „dla twojej ślicznej żony”, mawiał wówczas Rick. Will podarował perfumy Julii i patrzył, jak spryskuje szyję i nadgarstki. W nędznym domku zapach był obezwładniający i dekadentcki.

Pewnego ranka w warsztacie zjawił się Lenny. Gdy znaleźli się w biurze, Will przekazał mu pieniądze i patrzył, jak tamten liczy monety, mrużąc cały czas pod nosem, a potem wrzuca je do skózanego portfela. Potem Lenny wyciągnął spod płaszcza sporą paczkę.

Położył ją na biurku Willa.

– Rick zabierze to stąd za parę dni – powiedział. – Pilnuj tego dobrze. – Paczka była duża, owinięta brązowym papierem, zabezpieczona sznurkiem i łąkowymi pieczęciami.

– Co to jest?

Lenny postukał palcami w nos.

– Ci, którzy zadają za dużo pytań...

– Nie jestem pewien, Lenny, nie jestem pewien, czy chcę... – zaczął nerwowo Will.

– To rozkaz Ricka. – Mężczyzna osuszył swą okrągłą jak księżyc twarz brudną, jedwabną chusteczką, a potem zerknął na zegarek. – Na mnie już czas.

Will patrzył, jak Lenny odjeżdża swym jowettem javelinem, a potem wrócił do biura i zamknął za sobą drzwi. Na pakunku nie było żadnego adresu ani żadnego opisu zawartości. Przewyciężając mdłości, które nagle go ogarnęły, Will ścisnął i obracał paczkę, próbując wysondować palcami, co się

w niej kryje, ale pogłębiło to tylko jego dezorientację. „Rozkaz Ricka” – powiedział Lenny, jakby to wystarczyło, by zagwarantować sobie posłuszeństwo. Co jeszcze rozkaże Rick? Do czego jeszcze go użyje?

Will schował paczkę do szuflady z kuponami. Nie potrafił jednak o niej zapomnieć. Wyobrażał sobie, że brązowy papier skrywa fałszywe banknoty, opium, biżuterię albo rewolwer. Gdy parę dni później zjawił się jakiś jegomość w wytartym ubraniu w prążki, by zabrać paczkę, Will odetchnął z ulgą.

W czerwcu rząd zaostrzył przepisy związane z racjonowaniem benzyny: paliwo przeznaczone do użytku służbowego miało być zabarwione na czerwono. Każdy kierowca prywatnego samochodu, w którym znaleziono by taką benzynę, zostanie postawiony w stan oskarżenia. W ten sposób rząd chciał zdławić czarny rynek.

Will czuł, jak wielki ciężar spada mu z serca. Nie będzie już żadnych fałszywych kuponów w szufladach. Żadnych wizyt Lenny'ego i Gene'a. Żadnych prezentów „dla twojej ślicznej żony, Will”. Interesy szły nie najgorzej; wprawdzie nie spłacił jeszcze wszystkich długów, ale czuł, że teraz już sobie poradzi.

Starał się naprawić swoje stosunki z Julią. Zabrał ją do kina i na niedzielny lunch do rodziców. Po raz pierwszy tego lata zauważył otaczający go świat, piękne wrzosowisko, pośród którego stał warsztat, ptaki, śpiewające w zagajniku nieopodal domu. Miał wrażenie, że budzi się z długiego, pełnego koszmarów snu. Znow zaczął spać i jeść.

Pewnego ranka, przyjechawszy do warsztatu, nie zauważył zaparkowanego z boku jowetta javelina. Zdejmując w locie marynarkę i zawijając rękawy, przywitał się z Brianem i wszedł do biura. Gdy tylko

otworzył drzwi, ogarnęło go przerażenie. Na jego własnym krześle siedział rozparty Lenny, trzymając nogi na biurku.

– Ale przecież nie ma już kuponów... – wyjąkał.

– Nie przywiozłem żadnych kuponów, Will. – Lenny sięgnął pod marynarkę. – Tylko parę paczuszek. – Położył je wszystkie na biurku.

Will patrzył z niedowierzaniem.

– Myślałem, że to już się skończyło – wyjąkał.

– Trzeba jakoś dalej pracować, stary. Jesteśmy teraz kumplami. Robimy razem interesy.

Will był wprawdzie przerażony, ale obudził się w nim gniew. Zdobył się na odwagę:

– Nie – oświadczył. – Nie, Lenny. Ja już nie chcę z wami robić interesów. – Gdyby jeszcze udało mu się opanować drżenie głosu.

– Następnym razem przywiozę ci buteleczkę szkockiej – zapowiedział tamten, podnosząc się z krzesła. – Albo coś dla żony.

– Ale ja nie życzę sobie, żeby był jakiś następny raz. Chcę porozmawiać z Rickiem.

Lenny zatrzymał się w drzwiach.

– Rick jest za granicą. Wyjechał w interesach.

– Zabierz te paczki. – Will czuł, że mówi nieco zmienionym głosem.

– Nie mogę tego zrobić, stary. One są warte więcej niż moja praca. Rick oddał ci przysługę. No więc, coś mu jesteś winien. – Niebieskie oczy Lenny'ego były pełne troski. – Musisz uważać na to, co mówisz, Will – dodał i wyszedł z pokoju.

Nogi Willa drżały niebezpiecznie, chwycił się więc stołu, by odzyskać równowagę, i opadł na swoje krzesło. Oparł się łokciami o biurko i przycisnął pięści do ust. Nie mógł oderwać wzroku od pakunków,

Gdy wreszcie zdołał się ruszyć, wziął nóż do papieru i przeciął sznurek na największej z paczek. Złamał lak i odwinął papier. Potem długo siedział i patrzył na to, co było w środku. Banknoty –francuskie, włoskie, holenderskie. Setki, tysiące banknotów. Potem bardzo ostrożnie zawinął paczkę i umieścił ją w szufladzie.

Po wizycie Lenny'ego nie zdołał odzyskać równowagi. Wyobrażał sobie, że już nigdy się nie wypłacie z sieci zobowiązań i oszustw. Wszystko, co zrobił dla Ricka, każdy prezent, który od niego przyjął, każda paczka, którą przekazywał nieznanemu, wciągała go w wir ciemności. Wtedy w jego duszy zaczęła kiełkować myśl o ucieczce.

Trupa zaczęła się rozpadać. Agent Claudette zadzwonił z propozycją roli w jakimś przedstawieniu na West Endzie; pojechała więc do Londynu, zabierając ze sobą Mischę i wszystkie walizki.

Charlie i Topaz wybrali się pociągiem do Bournemouth. Mieli cały przedział dla siebie. Charlie zasunął zasłonki, tak by nikt nie mógł zajrzeć do środka.

Pisał coś ołówkiem na egzemplarzu.

– Pauline może przejąć rolę Claudette. Nora poradzi sobie z wejściami Pauline. – Zmarszczył brwi. – Szczerze mówiąc, znacznie bardziej martwię się o Sylwię. Dotrwała do końca ostatniego przedstawienia tylko dlatego, że Freddie prowadził ją po scenie.

Desmond z nią wprawdzie rozmawiał i obiecała, że nigdy nie będzie pić przed spektaklem, ale... – Zerknął na Topaz. – Wygląda na to, że się zmartwiłaś.

– Wcale nie chcę, żeby to się tak szybko skończyło.

– Żeby co się skończyło?

– Tournee.

– Nie martw się. Ziemia musi dalej się kręcić. – Charlie wyciągnął do niej rękę. – Chodź, usiądź mi na kolanach.

– Nie wytrzymasz tego.

– Nie opowiadaj głupot.

Gdy Topaz usiadła mu na kolanach, zaczął rozpinąć jej bluzkę.

– Charlie!

– Mmmm?... – mruknął Charlie, który już ukrył głowę w jej piersiach.

– W każdej chwili może nadejść konduktor.

– Masz takie śliczne, takie śliczne piersi.

– Zawsze mi zawadzały.

– Sama widzisz, jaka jesteś niemądra. Masz najpiękniejsze piersi na świecie. – Sięgnął ręką pod jej bluzkę i rozpiął stanik. Topaz poczuła przypływ pożądania i przegarnęła dłonią jego czarne, jedwabiste włosy. Charlie mruknął: – Moja piękna, piękna Topaz.

W jego gestach i głosie było coś, co sprawiło, że z trudem przełykała ślinę i powstrzymywała łzy szczęścia napływające jej do oczu. W tej właśnie chwili pociąg zatrzymał się na stacji. Słyszając trzaskanie drzwi i tupot kroków na korytarzu, Topaz ześlizgnęła się z kolan Charliego i zapięła bluzkę.

W Bournemouth nie było nawet porządnego teatru, tylko sala kościelna na obrzeżach miasta, ze stołem pingpongowym i kręglami.

- Nie znalazłem nic lepszego o tej porze roku – tłumaczył się Desmond.
- Ale zobaczcie, że i tak przyciągniemy tu tłumy widzów.

Nie przyciągnęli. Trzydzieści osób na premierze, piętnastu widzów na drugim przedstawieniu. No i całe szczęście, pomyślała Topaz, patrząc na Sylvie, która chwiejnym krokiem przemieszczała się po scenie, z trudem bełkocząc coś pod nosem. Gdy kurtyna wreszcie opadła, Topaz odetchnęła z ulgą.

Schodząc ze sceny, Charlie zrzucił marynarkę, zerwał wąsiki i mruknął:

- Uduszę tę cholerną babę!
- Może raczej ja z nią porozmawiam. Zrobię jej kawę. Znalazła Sylvie w garderobie.

– Czarna kawa i aspiryna – zaproponowała.

Sylvia połknęła pół tuzina tabletek, popijając je ginem.

– Dobra z ciebie dziewczyna – powiedziała, poklepując Topaz po policzku. Spojrzała na kawę z niechęcią. – Zdaje się, że to cykorია?

– Obawiam się, że tak.

– W latach dwudziestych byłem na tournée we Francji, z inscenizacją „Cyrana de Bergerac”. Pewnie nie wiesz, że mówię po francusku – uśmiechnęła się Sylvia. – Francuska kawa! Do tej pory czuję ten zapach. – Zmarszczyła twarz. – To, co się działo podczas przedstawienia, i tak nic nie znaczy. Nikt nas nie ogląda. Skoro ci cholerni Rosjanie zamierzają rozpocząć trzecią wojnę światową, to jakaś głupia sztuka i tak się nie liczy! – Spojrzała na Topaz zamglonym wzrokiem. – Nic nie wiedziałaś? Nie słuchasz radia? Pewnie nie. Jesteś zakochana, prawda? – W jej głosie była nuta gorczy. – Ale to też długo nie potrwa. Wkrótce będzie wielkie boom... – Sylvia zgmiotła w

rękach papierowego muchomora. – I spłoniemy żywcem. Śliczne młode dziewczyny, takie jak ty, i stare wiedźmy, takie jak ja.

Na wszystkich plakatach wielkimi literami wypisano nazwisko Stalina i nazwę miasta: Berlin. Po przyjeździe do Henscombe w niedzielę Topaz kupiła gazetę. Rosjanie przestali wpuszczać do swojej części Berlina jakiegokolwiek pociągi i samochody, izolując w ten sposób strefę aliancką i zaciągając ostatecznie Żelazną Kurtynę. Kruchy powojenny pokój stał się jeszcze bardziej niepewny. Topaz pomyślała, że nie zniosłaby kolejnej wojny. Wyobraziła sobie, że wszyscy znów znikają. Że Charlie zostaje powołany do wojska. Właśnie wtedy, gdy ona, Topaz, znalazła wreszcie swoje szczęście. Przypomniała sobie zdjęcia z Hiroszimy i Nagasaki, czarne pustynie zniszczenia, i zadrżała.

Nazajutrz przygotowała plakaty i zabrała się do rozlepiania ich w całym mieście, na drzewach i latarniach oraz w sklepach, w których ktoś zgodził się przyjąć za to parę pensów. Gdy wychodziła ze sklepu spożywczego, po drugiej stronie ulicy spostrzegła Willa. Zawołała go i wymachując energicznie rękami, przebiegła przez ulicę.

– Will! – zawołała i rzuciła mu się na szyję.

– Topaz! – Oślupiał ze zdziwienia. – A cóż ty tutaj robisz?

– Jestem inspicjentką w teatrze – wyznała z dumą. – I miałam właśnie do ciebie zadzwonić, ale na szczęście cię zobaczyłam.

– Masz coś do roboty właśnie teraz? – zagadnął ją.

Powinna pomóc Pauline naprawić zjedzoną przez mole kurtynę w malutkim teatrze na nadmorskim bulwarze, ale Will powiedział nagle:

– Miałbym ochotę z kimś porozmawiać.

W jego tonie było coś takiego, co sprawiło, że Topaz zaproponowała:

– Może wpadniemy do pubu? Mam właśnie przerwę na lunch.

– Tylko nie do pubu – zaprotestował. – Tam jest za dużo ludzi. – Zmarszczył brwi. – Może zrobimy sobie piknik? Prawie przestało padać. Moglibyśmy pójść w jedno z tych miejsc, które znamy z dzieciństwa. Piknik na plaży... i wszystko będzie jak za dawnych lat, prawda? – Poraził ją cynizm w jego głosie.

Pojechali samochodem Willa do zatoki. Deszcz przestał padać i słońce przedzierało się właśnie przez chmury, gdy Topaz i Will schodzili po stromym zboczu na plażę. Zrzucili sandały i zaczęli spacerować po piasku. Topaz opowiadała staremu przyjacielowi o teatrze, o barwnej grupie aktorów i nieobecnej widowni.

Po chwili uświadomiła sobie, że Will wcale jej nie słucha.

– Will, co się stało?

–Nic.

– Will! Martwisz się tym, co się dzieje w Berlinie?

Popatrzył na nią, jakby nie rozumiał, o czym mowa, a potem powiedział drżącym głosem:

– Wpakowałem się w nie lada tarapaty, Topaz.

Czekała na ciąg dalszy, Will jednak milczał. Wzięła go więc za rękę.

– W jakie tarapaty?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Chodzi o Julię?

Zaśmiał się bardzo dziwnie.

– No cóż, nasze małżeństwo nie wygląda najlepiej, ale to nie to.

– A więc o Jacka?

– Prawie go nie widuję. Wymieniamy uprzejmości na rodzinnych spotkaniach i to wszystko. Żadnej otwartej wojny.

– W takim razie... – Topaz zauważyła, że Will jest bardzo blady, wychudzony i nerwowy. – Źle się czujesz, Will? Coś nie tak z twoim sercem?

– Niestety nie. To by uprościło sprawę, nagły atak serca

I po wszystkim.

– Will! – Topaz nadal nie mogła opanować zdumienia. – Nie wolno ci mówić w ten sposób.

– Nie wolno tak? – Obrócił się ku niej i dostrzegła panikę w jego oczach.

– Pewnie mi nie wolno. Trzeba zachowywać pozory. Wszyscy od nas tego oczekują, prawda? Zachowywać pozory. – Wyrwał jej swoją dłoń i podszedł do brzegu.

Topaz poczuła nieprzyjemny ucisk w dołku, jakby ktoś nagle podkopał niewzruszone fundamenty jej życia. Dorset zawsze oznaczało zabawę. Dorset kojarzyło się ze słońcem, z wakacjami, z ukochanymi ludźmi, dzięki którym jej życie nabierało blasku. Topaz dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że Dorset to byli przede wszystkim ludzie, którzy ją kochali, akceptowali i nie chcieli, by się zmieniła. Ludzie, którzy ofiarowywali jej to, czego matka dać nie mogła lub nie chciała. Dorset symbolizowało w jej oczach szczęśliwe życie rodzinne i było jej prywatnym rajem.

Topaz podeszła do Willa, który zdobył się na nikły uśmiech.

– Przepraszam. Okropnie się zachowałem. Zapraszam cię na piknik, a potem zanudzam na śmierć swoim marudzeniem.

– Bez względu na to, co się stało, Will, pamiętaj, że ja nie będę cię osądzać.

– Nie będziesz? Jak możesz tak mówić, skoro nie wiesz, co zrobiłem.

– Przecież dobrze cię znam. Wiem, co mógłbyś zrobić i czego nigdy, przenigdy byś nie zrobił.

Zapadła cisza. Nadeszła pora odpływu. Topaz patrzyła na cofające się fale, które pozostawiały na brzegu koronkę piany na muszelkach i gładkich kamieniach.

– Myślałem, że wszystko się jakoś ułoży. Jak sądzisz, Topaz, czy jeśli się zrobi coś złego, to lepiej się do tego przyznać, nawet gdyby to miało boleć? Czy lepiej oczyścić się i zacząć wszystko od nowa? A może trzeba w tym trwać i mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży?

Will przyglądał się jej, czekając na odpowiedź, a w jego chabrowych oczach widział niepokój. Topaz nie mogła się oprzeć nieprzyjemnemu wrażeniu, że zbyt wiele zależy od jej odpowiedzi. Ogarnęła ją panika, bo uzmysłowiła sobie, że w zasadzie niezupełnie rozumie te pytania.

– Nie wiem, Will – odrzekła, lecz gdy usłyszała jego rozpaczliwe westchnienie, dodała: – Wiem tylko, że pracowałam w wielu różnych miejscach i za każdym razem, gdy narobiłam jakiegoś zamieszania, wszystko w końcu wychodziło na jaw. A teraz sobie myślę, że byłoby lepiej, gdybym od razu się przyznawała, że czegoś nie umiem albo nie rozumiem.

Will z powagą pokiwał głową. Jakby z jej ust padały perły prawdziwej mądrości, pomyślała coraz bardziej zdenerwowana Topaz. Dorzuciła więc czym prędzej:

– Ale nie wiem, czy tak samo jest w twoim przypadku. Will był wyraźnie wyczerpany.

– Mówisz tylko to, o czym sam od dawna myślałem, tylko nie potrafiłem temu sprostać.

Słyszając to, Topaz zmartwiła się jeszcze bardziej.

– Może opowiedziałbyś mi o wszystkim, Will?

– Nie mogę, Topaz. Naprawdę nie mogę. I nie wolno ci z nikim rozmawiać o tym, co ci powiedziałem. Obiecujesz? A już w szczególności z Julią. Przymknij!

Topaz przyrzekła, choć ogarniał ją coraz większy niepokój. Z Willa opadło jednak napięcie.

– Kiedy byłem mały, marzyłem czasami o tym, by uciec. Tak jak w książce przygodowej. Uciec i zostać chłopcem okrętowym na statku poszukiwaczy skarbów. Coś w tym stylu. Zwłaszcza wtedy, gdy byłem chory, gdy miałem dość bycia Willem Chancellorem, wiecznie przykutym do łóżka. Chciałem stać się kimś innym. – Rzucił kamieniem i patrzył, jak skacze po wodzie. – Teraz też mam na to wielką ochotę. Uciec i zacząć wszystko od nowa. Być kimś innym.

Po rozstaniu z Willem w Henscombe Topaz usiadła na ławce na promenadzie. Przypomniła sobie wyraz jego oczu – mieszaninę przerażenia i paniki – przypomniała sobie drżący głos mówiący: „wpakowałem się w tarapaty, Topaz”.

Zastanawiała się, co zrobić. Przyszło jej do głowy, by porozmawiać z Julią. Przymknęła wprawdzie Willowi, że tego nie robi, czy powinna jednak dotrzymywać tego rodzaju wymuszonych obietnic?

Gdy zerknęła na zegarek, okazało się, że dochodzi czwarta. Przeciskając się przez tłum spacerowiczów, pomyślała, że przecież zostają w Henscombe przez cały tydzień. Postanowiła więc odwiedzić nazajutrz Willa w warsztacie i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Wróciła do teatru i zastała Desmonda w poczekalni dla artystów.

– Przepraszam za spóźnienie, Desmondzie – zawołała.

– Nie ma sprawy, moja droga. – Szeff machnął ręką.

– Gdzie jest Charlie?

Desmond oderwał wzrok od papierów.

– Zdaje się, że rozmawia przez telefon. Dostał jakiś telegram. Znalazła Charliego w biurze. Odkładał właśnie słuchawkę, gdy

Topaz weszła do pokoju. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Charlie? – Topaz podeszła do niego. – Co się stało?

– Coś strasznego. – Otarł twarz dłońmi.

– Coś z twoim ojcem?

– Nie, z Heleną. – Charlie spojrział na nią szeroko otwartymi oczami. – Próbowała popełnić samobójstwo. Włożyła głowę do piecyka gazowego.

– O, Boże, Charlie...

– Żyje. Ktoś znalazł ją w samą porę. – Na jego twarzy pojawił się wyraz gniewu. – Policja się tym zainteresuje. Próba samobójstwa to przestępstwo. – Charlie przytulił Topaz tak mocno, że aż zabrakło jej tchu. – Wiedziałem, że Helena jest w złej formie – mruknął. – Zawsze czuje się fatalnie latem.

– Ale dlaczego to zrobiła?

– Oczywiście, że z powodu tego cholernego Donalda – zdenerwował się Charlie. – Dlatego, że to się znowu zaczęło. Nie wiedziałaś?

– Nie, nie wiedziałam – odrzekła głucho brzmiącym głosem. Pomyślała o Helenie i o Willu. Tego dnia odkryła, jak niewiele wie o ludziach, którzy wydawali się jej najbliżsi. Głupia, mała Topaz, która nigdy nie będzie w centrum wydarzeń.

– Mam ochotę udusić Donalda – wściekał się Charlie. – On nie chce opuścić Jean ze względu na dziecko, ale nie umie też zdobyć się na przyzwoitość i odzepić się wreszcie od Heleny, żeby i ona mogła zacząć życie od nowa.

Wrócili razem do Desmonda.

– Muszę jechać do Londynu, Desmondzie. Teraz. Zdarzyło się coś bardzo ważnego.

– Nie ma sprawy, chłopcze.

– Możesz mnie zastąpić w dzisiejszym przedstawieniu, prawda?

– Niewykluczone, że z dzisiejszym przedstawieniem będą pewne kłopoty

– odrzekł wymijająco Desmond. – Chyba będziemy musieli je odwołać.

– Odwołać?

– I chyba nie musisz się śpieszyć z powrotem z Londynu...

– Desmond?... Co się dzieje? Desmond zaszeleścił papierami.

– Niewykluczone, że zapomniałem opłacić tantiemy autorskie...

– Cholerny idiota – podsumował Charlie zwięźle. – Zawsze to samo. –

Chwycił marynarkę. – Zadzwoń do ciebie z Londynu. – Odwrócił się do Topaz. – Jedziesz ze mną, prawda?

Dopiero gdy siedzieli już w pociągu, Topaz przypomniała sobie o Willu. W zestawieniu z samobójczą próbą Heleny jego kłopoty wydawały się znacznie mniej poważne niż przedtem. Pomyślała tylko, że szczęście jest takie kruche. W zatłoczonym wagonie nie znaleźli miejsc obok siebie, Topaz trąciła więc Charliego stopą, a on podniósł oczy i uśmiechnął się lekko. To dodało jej otuchy.

Jeszcze tego samego wieczoru Will zadzwonił do Ricka. Wyjął wizytówkę z szuflady i poprosił w centrali o wybranie numeru, nie czekając, aż obleci go strach. Telefon dzwonił bardzo długo, a Will nie mógł się zdecydować, czy poczuje ulgę, czy rozczarowanie, gdy nikt nie podniesie słuchawki. W końcu ktoś jednak odebrał telefon.

–Tak?

– Rick? – zapytał Will.

– Zaraz go poproszę. A kto dzwoni?

– Will Chancellor.

Will żałował, że nie ma pod ręką żadnego alkoholu. Siedział na skraju biurka, owijając kabel telefoniczny wokół palca.

– Will? – Tym razem w słuchawce rozległ się głos Ricka. – Co się stało?

– Muszę z tobą porozmawiać, Rick.

– Wal śmiało.

– Chodzi o te paczki. – Willowi zaschło w gardle. – Nie chcę, żebyście je tutaj zostawiali. – Na kablu powstał węzeł. – Mam już dość.

Cisza.

– Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz się wycofać?

– Tak. – Will poczuł ulgę: Rick zrozumiał, o co mu chodzi.

– A co z naszą umową?

Will poczuł, że głos Ricka się zaostrzył.

– Nie chcę już mieć z tym nic wspólnego. Otworzyłem jedną z paczek. Nie mam pojęcia, co robicie z tymi pieniędzmi i nie chcę wiedzieć. Ale też nie chcę mieć z tym nic do czynienia.

– To może nie być takie proste, Will.

Will poczuł, jak ogarnia go spokój. W końcu udało mu się odzyskać kontrolę nad swoim życiem, wreszcie zdobył się na to, co powinien był zrobić wiele miesięcy temu.

– Jeśli zostawisz tu jeszcze jedną paczkę – uprzedził – to zaniosę ją na policję.

– Aha. – Znów długa chwila ciszy. – Zastanowię się nad tym, co powiedziałeś, Will. – I brzdęk odkładanej słuchawki.

Następnego dnia Will siedział w pracy dłużej niż zwykle. Późnym wieczorem usłyszał, że przed warsztatem zatrzymuje się jakiś samochód. Brian poszedł już do domu i Will został sam, by dokończyć papierkową robotę. Od rozmowy z Rickiem minęły dwadzieścia cztery godziny. Will był wciąż spokojny i po raz pierwszy od wielu miesięcy mógł powiedzieć, że nie czuje nienawiści wobec samego siebie. Wiedział, że wreszcie zrobił to, co należy. Miał szansę ułożyć sobie życie od nowa.

Otworzył drzwi i wyrzwał na podjazd. Z samochodu wysiadał właśnie jakiś mężczyzna. Will miał zamiar podejść do pompy paliwowej, gdy rozpoznał Gene'a. Poczul swój przyspieszony puls i pot na dłoniach. Pomyślał, że Rick sobie z niego zażartował. Po chwili spostrzegł jednak, że Gene zjawił się z pustymi rękami, że nie niesie żadnych paczek.

- Czego chcesz? – wykrztusił.
- Przywiozłem ci wiadomość od Ricka.
- Wiadomość? – zdziwił się Will.

Gene się uśmiechnął. A potem go uderzył. Okulary Willa spadły na podłogę i rozległ się brzęk tłuczonego szkła. A przed oczami Willa zawirowały gwiazdy.

10

Przy każdym kolejnym spotkaniu posuwali się o krok dalej, coraz bardziej zbliżali się do przepaści. Julia siedziała na tylnym siedzeniu bentleya w ramionach Jacka. Jego usta wędrowały po jej szyi, jego dłonie pieściły jej piersi. Zamknęła oczy, czując, jak ogarnia ją niemoc spowodowana ciepłem panującym w samochodzie, rozkoszą i pożądaniem. Jej ciało stało się dziwnie ciężkie, a wszystkie członki całkiem bezwładne. Palce Jacka przesuwały się po wewnętrznej stronie uda Julii. Gdy dotarły tam, dokąd zmierzały, poczuła, że jej ciało przeszywają dziwne iskry, i ogromnym wysiłkiem woli odepchnęła jego dłoń.

– Jack, tak nie wolno – upomniała go po raz kolejny. – Nie wolno. A on odpowiedział jej tak jak zawsze:

– Nie chcesz? – I przesunął dłoń z powrotem na jej udo. A stanowczość Julii nagle gdzieś zniknęła.

W tym momencie Jack zeszywniał.

– Ten cholerny Nat Crabtree wyszedł z psem – szepnął. – Pochyl głowę.

Przycisnął palcami jej kark. Julia przywarła do popękanej skóry na siedzeniu. Nie miała żadnych złudzeń: w tym momencie stała się współniczką Jacka. I znenawidziła się za to. Znenawidziła się za upokorzenie, do którego dopuściła, i za poczucie, że robi coś złego.

Nat Crabtree zawrócił, nie zauważywszy ich. Gdy zniknął na dobre, Julia zapięła sukienkę i wysiadła. Gdy wracała do domu na rowerze, rozsadzały ją zarówno irytacja, jak i pożądanie. Czasami wydawało się jej, że wspomnienia są równie przyjemne jak spotkania z Jackiem. A nawet w pewnym sensie przyjemniejsze, bo wolne od strachu, że w każdej chwili ktoś ich może

zauważyć; we wspomnieniach nie było też odsuwanego przez cały czas przeświadczenia, że wszystko, co robią, jest skażone oszustwem.

Po powrocie do domu ledwo zdążyła przeczesać włosy grzebieniem, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Kiedy drzwi się otworzyły, odwróciła się, by powitać męża. Słowa zamarły jej na ustach, gdy ujrzała jego posiniaczoną, opuchniętą twarz.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem cię przestraszyć. – Usiadł przy stole. Gdy wykrzywił rozciętą wargę, Julia zorientowała się, że próbował się uśmiechnąć. – Miałem drobny wypadek. Lewarek nawalił.

Julia wyobraziła sobie spadający na Willa samochód. Wtedy gdy ona przytulała się do Jacka.

– Byłeś u lekarza? – wykrztusiła.

– Nie ma potrzeby. To tylko siniaki.

– Mogłeś sobie coś złamać.

– Nie sędzę.

– Lepiej się upewnić. Zaraz zadzwonię...

– Proszę cię, Julio. Proszę, nie rób tego. Nie zostawiaj mnie samego.

Słowa męża dotarły do niej pomimo podniecenia, które czuła zawsze po spotkaniach z Jackiem.

– Zaparzę herbatę – zaproponowała, rzucając się w stronę kuchni. Chciała zagłuszyć w sobie poczucie winy troskliwością i krzątaniną. – Zrobię ci okład. – Uklękła przy szafce pod zlewem, szukając plastrów i arniki.

– Nie jestem najlepszym mężem, prawda? – odezwał się nagle Will, a serce Julii stanęło na moment.

– Co ty opowiadasz, Will.

– Zawsze się bałem – zaczął powoli – że wyszłaś za mnie tylko dlatego, że nie mogłaś wyjść za Jacka.

Julia bezmyślnie patrzyła na szafkę. Nie mogła zapomnieć spotkania z Jackiem na tylnym siedzeniu samochodu. Will zaś ciągnął bezbarwnym głosem:

– Myślałem, że ci to zrekompensuję. Że kiedyś będziesz wołała mnie. Ale mi się nie udało, prawda?

Czyżby się czegoś dowiedział? Czy ktoś widział ją w towarzystwie Jacka i powiedział o tym Willowi? Co mu powiedzieć, jeśli zapyta ją o to wprost? „Nie kocham cię, kocham Jacka”. A zresztą, czy to prawda? Jeśli naprawdę nie kochała Willa, to dlaczego serce jej się ścisnęło, gdy ujrzała go w tym stanie?

Gdy postawiła przed nim kubek, Will złapał ją za rękę.

– Chciałem zrobić dla ciebie wszystko – szepnął. – Chciałem dać ci wszystko, czego zapragniesz, ofiarowywać ci ładne prezenty.

Julia zdobyła się jakoś na uśmiech.

– Podarowałeś mi te pończochy. I te wspaniałe perfumy...

– Perfumy! – powtórzył, zaciskając pięści. – Dobry Boże!

Prawe oko spuchło mu tak, że niewiele widział. Lewe oko Willa zdradzało jednak, że w jego duszy walczyły rozpacz i pogarda dla samego siebie.

– To się mogło udać – mruzczał dalej – gdyby nie pieniądze. Gdybyśmy nie byli tacy biedni. – Jego słowa były trochę bełkotliwe z powodu spuchniętej wargi. Zachowywał się tak, jakby pochłaniała go próba rozwikłania trudnej zagadki.

Julia uśmiechnęła się blado.

– Wiesz, że nigdy mi nie zależało na pieniądzach.

Spojrzał na nią przelotnie.

– Nic nie rozumiesz, Julio.

– To prawda. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Nic nie rozumiem.

Przycisnął jej dłoń do swej zmasakrowanej twarzy.

– Tak mi przykro, Julio. Tak mi przykro, że cię zawiodłem.

– Nie wolno ci tak mówić, Will. Nie wolno. – Głos Julii drżał. Zaczynała rozumieć, że popełniła błąd. Straszny błąd. Przypomniła sobie prezenty, które jej przynosił, i długie godziny, spędzane przez niego w pracy. Niewykluczone, że ponury nastrój Willa i jego zachowanie miały całkiem inną przyczynę, niż jej się wydawało. I że na wszystko powinna spojrzeć w innym świetle. Ogarnęły ją złe przeczucia. – Nie przypuszczałeś chyba, że mam ci za złe warunki, w jakich żyjemy? – szepnęła.

– Ale ja miałem to sobie za złe. Kiedy się pobieraliśmy, kiedy otwierałem warsztat, myślałem, że wreszcie będę mógł wszystkim pokazać, na co mnie stać. Udowodnić, że wcale nie jestem gorszy niż inni. – Zaśmiał się nieprzyjemnym, gardłowym śmiechem. – Nie gorszy niż Jack.

– To nie były żadne zawody, Will.

– Doprawdy? A mnie się zawsze wydawało, że to jest współzawodnictwo. I że zawsze przegrywam. Gdy wreszcie coś mi się udawało, okazywało się, że Jack zrobił to wcześniej, lepiej, szybciej.

– Nie miałam pojęcia, że tak się czujesz.

– Nie? Jesteś bardzo mało spostrzegawcza, Julio. Cofnęła dłoń, jakby ją ukłuł, a Will jęknął.

– Przepraszam. Jakże mogę mieć czelność krytykować ciebie.

– Will! – Julia nie mogła już tego znieść. – Nie wolno ci tak mówić! Jakbym była... ideałem!

– Bo jesteś – oświadczył z wielką powagą. – W moich oczach zawsze byłeś ideałem, Julio.

Bezwiednie krzyknęła z przerażenia i odwróciła twarz. Wszystko jest inaczej, niż miało być, pomyślała. Wstał i objął ją mocno.

– Nie martw się – powiedział łagodnie. – To moja wina, a nie twoja.

Wtuliła twarz w ramię Willa, obejmując go i głaszcząc, mrużąc słowa pocieszenia. Po chwili poczuła jego dłonie tam, gdzie jeszcze niedawno wędrowały dłonie Jacka. Obaj bracia złączyli się w jedno, ciemny i jasny, słońce i księżyc. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić, że to Jack ją pieści. Pożądanie, które tyle razy musiała w sobie zagłuszać i tłumić podczas minionych miesięcy, zapłonęło natychmiast.

– Nie winiłbym cię wcale – szepnął – gdybyś chciała z tym wszystkim skończyć.

Julia otworzyła oczy. Poczuła, że musi zadać to pytanie.

– A czy ty tego chcesz, Will?

– Nie. – Wplótł palce w jej włosy. – Mój Boże, nie!

Łzy zakręciły się w kącikach jej oczu. „Jeszcze nie teraz, powiedziała sobie. Jeszcze chwilę. Już niedługo i tak serce mi pęknie”.

A potem rozpięła sukienkę, pozwalając, by niebieska tkanina opadła na podłogę. Rozpięła stanik i zdjęła figi. Wkrótce ujrzała rozkosz w podbitych oczach Willa.

Rick zjawił się w warsztacie następnego popołudnia. Zauważywszy jego lancję, Will wyprostował się i wytarł pobrudzone smarami ręce w kombinezon. Miał ochotę rzucić się do ucieczki, ale zdołał się jakoś opanować, wiedząc, że na nic by się to zdało.

Gdy zamknęli się na zapleczu, Rick powiedział:

– Przyjechałem tu, żeby cię przeprosić. Gene'a czasami ponoszą nerwy.

Will bezwiednie podniósł dłoń do twarzy.

– Przywiozłem ci parę drobiazgów. – Rick otworzył neseser. – Chyba się nie gniewasz, co?

Will ujrzał butelkę whisky, kilka paczek papierosów i nylonowych pończoch. Hunter poczęstował go papierosem. Gdy Will wyjmował papierosa z paczki, dłonie mu drżały.

– Rzecz w tym, że zawarliśmy porozumienie – powiedział Rick, podając mu ogień. – Oddałem ci kilka przysług, a teraz ty odpłacisz mi tym samym. To żelazna zasada w moich interesach.

– Myślałem, że to już się skończyło – szepnął Will, ale tamten pokręcił głową.

– O, nie.

– Ale ja się boję. – To dziecinne wyznanie wymknęło mu się, nim zdołał pomyśleć.

– Wiem o tym, Will. – Rick oparł się o biurko. – Opowiem ci trochę o sobie. Opowiem ci, jak doszedłem do tego, co mam dzisiaj. Pochodzę z Londynu, z East Endu. Ojciec zwiął, kiedy byłem mały. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Szybko rzuciłem szkołę. Miałem swój rozum i wiedziałem, że z książek wiele się nie nauczę. Żyłem na ulicy, często nie mając co do ust włożyć, o ile rozumiesz, o czym mówię. – Jego przenikliwe spojrzenie przeszło Willa na wskroś. – Choć nie sądzę, byś rozumiał. Zdaje się, że twoje życie wyglądało trochę inaczej.

W głosie Ricka była nuta pogardy, która sprawiła, że Will, pomimo bólu głowy i strachu, powiedział:

– Ja też nie opływałem w dostatki, jeśli o to ci chodzi. Moje życie też nie zawsze było proste.

– Skoro tak twierdzisz, Will... W każdym razie, gdy zaczęła się wojna, zostałem powołany do wojska. Od razu się zorientowałem, że to nie dla mnie. Więc wydostałem się z armii.

– Zdezerterowałeś? Rick pokręcił głową.

– Zostałem zwolniony dyscyplinarnie. Za niestosowne zachowanie. – Roześmiał się. – Nie patrz tak na mnie. Każdy sposób jest dobry, byle prowadził do celu. – Zgasił papierosa. – No i zabrałem się do interesów. To były dobre czasy, wojenne czasy. Nie brakowało okazji. Ludzie byli gotowi słono zapłacić za to, czego potrzebowali. Na początku zajmowałem się drobiazgami: sprzedawałem na czarno owoce i warzywa na Petticoat Lane i na bazarze w Romford. Potem udało mi się zdobyć trochę kuponów na benzynę. Powiedzmy, że wypadły z transportu. Zarobiłem na tym parę groszy i otworzyłem warsztaty na Warren Street. A potem, kiedy przyszli jankesi, udało mi się nawiązać inne kontakty. Skrzyneczka whisky, papierosy, nylony. A po lądowaniu w Normandii zaczął się raj. Cała chmara biedaków na kontynencie, gotowych sprzedać wszystko, co posiadali, za kawałek chleba albo parę wiader węgla. No i chłopcy, którzy wrócili do Anglii, do domu, i mieli ochotę kupić wreszcie butelkę szampana czy perfumy, nie pytając o ich pochodzenie.

– A pieniądze? – Will przypomniał sobie paczki.

– Nie ma po co wybierać się za granicę bez forsy, prawda? No a dzisiaj władze nie pozwalają trzymać w domu franków, lirów i innej waluty. To śmieszne, bo przecież ludzie wciąż chcą jeździć na wakacje, ale mnie to nie przeszkadza, dzięki temu mogę trochę zarobić. – Rick nadal się uśmiechał. – Widzisz, Will, ja pomagam ludziom, zapewniam im to, czego potrzebują. Nie

uwierzyłbyś, kto prosi mnie o zagraniczną walutę. Lord X, pani Y..., lekarze, prawnicy... wybitni eksperci. – Teraz nie krył pogardy. – Wszyscy mnie potrzebują, by spędzić tydzień wakacji w słonecznych stronach. –Podszedł do okna i odwrócony plecami do Willa ciągnął: –Przed wojną ludzie tego pokroju mnie nienawidzili. Nie wpuściliby mnie nawet na schody. A dziś mnie potrzebują. Teraz to oni przychodzą do mnie. Czasy się zmieniają, prawda, Will? Teraz ja się ubieram lepiej niż oni, jeżdżę lepszymi samochodami. Jeszcze trochę, a kupię sobie większy dom. Spędzam wakacje za granicą, mieszkam w najlepszych hotelach. Kiedy się ożenię, pošlę dzieciaki do najlepszych i najmodniejszych szkół. Za parę lat nic już nas nie będzie różniło. – Obrócił się na pięcie i Will zobaczył w jego płonących oczach chciwość, inteligencję i amoralność. – Oni nie mają już żadnej przyszłości. – Machnął ręką lekceważącym gestem. – Tacy jak ty, Will. Tylko nie bierz tego do siebie. Miły z ciebie facet. Ale brakuje ci tego, co jest potrzebne w dzisiejszych czasach. – Rick wyjął kolejnego papierosa. – Ostatnio zająłem się jeszcze innymi interesami. To znacznie lepsze niż whisky i kupony na benzynę. Bardziej lukratywne. Dlatego byłeś mi potrzebny.

– Co to za interesy? – spytał szeptem Will.

– Na kontynencie łatwo zarobić parę groszy. Jest tam mnóstwo obrazów... biżuterii... starych książek, rzeźb. A u nas to wszystko słono kosztuje. Naziści zabierali, co chcieli, z muzeów i zbiorów prywatnych. Jak zaczął im się grunt palić pod nogami, sprzedawali wszystko na prawo i lewo. Nie uwierzyłbyś, jakie cuda można zdobyć, jeśli człowiek wie, gdzie szukać. I do tych interesów jesteś mi potrzebny, Will.

– Nie bardzo rozumiem...

– Nie mogę już tego załatwić drogą lotniczą. Służby specjalne zwęszyły to i owo. Starannie przeszukują samoloty. Ale są jeszcze łodzie. Mnóstwo łodzi i mnóstwo ludzi, którzy chętnie za parę groszy przepłyną przez Kanał. Trzeba mieć tylko przyjemne, odludne miejsce, gdzie można przybić do brzegu. W tej okolicy jest mnóstwo takich terenów. Niewielkie zatoczki, ujścia rzek. Twój kuzyn, Maurice, pokazał mi parę takich punktów. Kto wie, może nawet zbuduję tu dom letniskowy. – Rick rozchylił nieco usta, ukazując krzywe zęby.

– To niezły pomysł. Chętnie osiadłbym na wsi. Chyba rozumiesz, o czym mówię. Moi przyjaciele w alianckich armiach na kontynencie mają dostęp do różnych obrazów i innych drobiazgów. Przysyłają je tu, korzystając z łodzi rybackich. I odwiedzają ciebie.

– A więc używasz mojego warsztatu – powiedział Will z namysłem – jako magazynu, w którym trzymasz kradzione rzeczy? Jako czegoś w rodzaju... meliny?

Rick spojrzał na niego z urazą.

– To nie są kradzione rzeczy, Will. Płacę uczciwą cenę.

– Doprawdy? – Will spojrzał na swego ogolonego, dobrze odżywionego, pewnego siebie rozmówcę. I przypomniał sobie zdjęcia zamieszczane w gazetach. Fotografie wychudzonych, obdartych kobiet i dzieci myszkujących w ruinach Berlina.

– To miłe i spokojne miejsce – oświadczył Hunter, rozglądając się dokoła. – Z dala od reflektorów. W Londynie zrobiło się trochę gorąco, więc musiałem wprowadzić pewne zmiany.

Willowi pękała głowa. Poprzedniej nocy, gdy kochał się z Julią, uwierzył, że cuda się jednak zdarzają. Że jeszcze może odwrócić bieg wydarzeń, że wciąż ma jakieś wyjście.

Postanowił się upewnić, jak jest naprawdę.

– Jak długo to potrwa? Parę tygodni? Parę miesięcy?

– Nie bądźmy drobiazgowi, Will. Ustalmy, że to umowa na czas nieokreślony.

– Ale ja muszę wiedzieć. – Will poczuł się tak, jakby musiał przejść po linie. Jedno spojrzenie w dół i spadnie w przepaść. – Muszę wiedzieć, czy to się kiedyś skończy.

– To się skończy wtedy, kiedy nie będę cię już potrzebował, Will. – Głos Ricka stał się lodowaty. Hunter wyjął paczkę ze swego nesesera. – Chciałbym, żebyś tego przypilnował. To coś szczególnego. Traktuję to jako mały test. Jako próbę lojalności. Nie chciałbym przysyłać tu Gene'a nigdy więcej. On jest dość porywczy. Łatwo się denerwuje. – Rick położył paczuszkę na biurku. – Pilnuj tego dobrze. Za parę dni zgłosi się po to pewien dżentelmen. – Zatrzymał się w połowie drogi do drzwi. – Aha! I nie będziemy już chyba rozmawiać o policji, prawda, Will? Siedzisz w tym po same uszy. Sprzedawanie fałszywych kuponów na paliwo... paserstwo. Jeśli mnie wkopiesz, policja dowie się, jaką rolę odgrywałeś w tym wszystkim. Oficerowie śledczy są często znacznie surowsi wobec przestępców z dobrych rodzin. Jestem pewien, że grozi ci kara więzienia. Zastanów się tylko, co by to oznaczało dla twoich bliskich. Wstyd. Zastanów się, co by to oznaczało dla twojej ślicznej żony, która zostałaby całkiem sama. Siedziałem za kratkami przez sześć miesięcy parę lat temu. Mogę cię zapewnić, że więzienie to nie żarty. Nie sądzę, abyś coś takiego przetrzymał. Nie sądzę, by przetrzymał to ktoś taki jak ty.

Hunter wyszedł. Czoło Willa było mokre od potu, oddech mu się rwał. Usiadł na krześle i podparł trzęsącą się głowę rękami.

Domek Jacka leżał u stóp wzgórza w pewnym oddaleniu od dworu Carrie Chancellor. Julia zostawiła rower za płotem i poszła przez pola na piechotę. W połowie drogi zatrzymała się w cieniu zagajnika i podniosła wzrok. Dwór w Sixfields był ciemny i zwalisty na tle błękitnego nieba. Julia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ten dom ma w sobie coś złowróżbnego.

Jack zawsze zostawiał otwarte tylne drzwi, Julia wślizgnęła się więc do środka. Nie było go w domu. Tylko pies pośpieszył jej na powitanie. Zanurzyła dłoń w jedwabistej sierści Cona, ciesząc się, że będzie miała okazję pozbierać myśli w ciszy i spokoju. Była zmęczona i niespokojna. Niewiele spała poprzedniej nocy, zapadała tylko w drzemkę, przetykaną plastycznymi, wyczerpującymi snami. Obudziła się na dobre jeszcze przed świtem, i leżąc wciąż w ramionach Willa, patrzyła, jak ciemności zaczynają szarzeć. Teraz niebo zasnuło się chmurami, które co chwilę przesłaniały słońce.

Gdy usłyszała kroki Jacka na ścieżce, zastygła bez ruchu, z mocno splecionymi palcami.

– Kochanie – powiedział, obejmując ją mocno. – Przybiegłem tak szybko, jak mogłem.

– Przyszłam tylko na chwilę, Jack. – Wymknęła się z jego objęć. – Musimy porozmawiać.

W jego oczach pojawiła się czujność, powiedział jednak bez troski:

– O czymś szczególnym?

– Nie możemy więcej się widywać. – Te słowa raniły jej usta.

– Nie rozumiem.

– To proste, Jack. Nie chcę, byśmy się spotykali.

Jack zacisnął palce ledwo zauważalnym ruchem. Julia pomyślała, że on zawsze potrafił milczeć.

- Dlaczego?
- Bo tak nie wolno.
- Rozmawialiśmy już o tym. – Mówił łagodnym, pojednawczym tonem.
- To tylko nerwy, kochanie.
- To nie nerwy – zaprotestowała Julia, choć od rana zbierało jej się na mdłości z przerażenia.
- Julio, najdroższa...
- Czy tego właśnie chcesz, Jack? – zawołała. – Potajemnych, krótkich spotkań, kiedy nikt nie widzi, kradzionych chwil? Czy wyobrażasz sobie, jak ja się czuję, chowając rower za żywopłotem i kuląc się na tylnym siedzeniu twojego samochodu?
- Jack odwrócił wzrok.
- Mówisz, że nie cierpisz oszustwa. Możemy chyba położyć temu kres, prawda? Możemy się oczyścić. Powiedzieć prawdę.
- Powiedzieć prawdę! – powtórzyła. – Powiedzieć Willowi... mojej mamie, twoim rodzicom...
- Dlaczego nie?
- Zastanów się, Jack! Pomyśl tylko, co wszyscy powiedzą. Pożądanie żony własnego brata nie mieści się w granicach przyzwoitości. Pomyśl, jak to wpłynie na nasze rodziny. Na twoją matkę, na moją...
- W końcu się z tym pogodzą. – W głosie Jacka nie było przekonania.
- Nie. – Pokręciła głową. – Nie pogodzą się. To im złamie serca. Nie sądzę zresztą, bym ja zdołała to znieść. Nie chcę, by wszyscy ludzie, których kocham, źle o mnie myśleli. A co do Willa... Nie przeżyłby, gdybym odeszła od niego do ciebie. Czy naprawdę chcesz go tak bardzo zranić?

Po chwili Jack prawie niezauważalnie pokręcił głową. Oczy miał boleśnie suche. Julia popatrzyła przez okno. W oddali, na samym końcu doliny, iskrzyło się i migotało morze w promieniach zachodzącego słońca. Powiedziała bezbarwnym głosem:

– Ostatniej nocy uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd. Myślałam, że Will mnie nie kocha. Myliłam się jednak.

– A ty? – Jack obrócił się na pięcie. – Czy ty go kochasz?

Julia spuściła głowę.

– Chyba tak. Na swój sposób.

– Na pewno nie tak.

– A ty wiesz, jak trzeba kochać, Jack?

– Po twoim ślubie z Willem nie zachowywałem celibatu.

Odwróciła spojrzenie.

– Nie chcę o tym wiedzieć.

– Nie chcesz? A to szkoda. Bo chodzi o to, że żadna z nich nic dla mnie nie znaczyła. Och, nie da się zaprzeczyć, że to były przyjemne doświadczenia. Ale u boku każdej kolejnej kobiety uświadamiałem sobie przede wszystkim, jak bardzo cię kocham. Po pewnym czasie zaczynałem ich nienawidzić za to, że żadna z nich nie jest tobą. – Jack przerwał, a po chwili dodał rzeczowo: – Nigdy nie kochałem żadnej innej kobiety, Julio. I nie wiem, czy kiedykolwiek pokocham inną.

– Bzdura – szepnęła. – Na pewno kogoś poznasz. Jesteś jeszcze bardzo młody.

Jack pokręcił głową.

– Nie zakochuję się tak łatwo. Nie jestem szczególnie ufny. A trzeba komuś zaufać, żeby pokochać. Niewiele osób obdarzyłem miłością w moim

życiu. Nawet nie wiem, czy je naprawdę kochałem. Ale ciebie Kocham, Julio. I nie sądzę, że jeśli ty odejdziesz, to wzruszę ramionami i poszukam sobie innej kobiety. Będzie jeszcze gorzej niż za pierwszym razem, niż wtedy, gdy wyszłaś za Willa. Bo teraz wiem, za czym tęsknię. Teraz wiem, jak powinno być.

– Jack... zachowujesz się tak, że jeszcze trudniej to wszystko znieść! – zawołała.

Na jego twarzy dostrzegła nagle cień niepewności, który upodobił go do młodszego brata.

– Tak właśnie to widzę – powiedział z rozmysłem. – Wiem, że popełniłem błąd. Wiem to od dawna. Wybrałem Sixfields wtedy, gdy powinienem był wybrać ciebie. Ale ty także popełniłaś błąd, Julio. Sądzę, że zgodziłaś się zostać żoną Willa, bo byłaś wściekła, że Marius ożenił się z Suzanne, a ja odrzuciłem twoją propozycję. Wtedy pojawił się Will i podsunął wyjście z sytuacji. Czy mam rację?

W oczach Julii zalśniły łzy.

– Nawet jeśli masz rację... to przecież niczego nie zmienia.

– Dlaczego mamy płacić za swoje błędy do końca życia? To chyba zbyt wysoka cena.

– A czy jest inne wyjście?

– Zawsze są inne wyjścia. – Wzruszył ramionami. – Możemy na przykład żyć dalej tak, jak dotąd.

– Doprawdy? Jak długo? Kiedy posuniemy się jeszcze dalej? Kiedy pójdziemy do łóżka? I kiedy w końcu ktoś to odkryje? Bo przecież prędzej czy później tak właśnie będzie. Świat jest taki mały. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Wszyscy nas znają. Ktoś nas w końcu zobaczy.

– Jeśli będziemy ostrożni...

– Nie unikniemy błędów, Jack. Możemy mieć pecha – mówiła głuchym, wypranym z emocji głosem.

– Moglibyśmy stąd wyjechać i zacząć wszystko od nowa.

Julia wyobraziła sobie: ona i Jack, wreszcie razem, niczym nieskrępowani. Marzenie szybko legło w gruzach.

– Musiałbyś na zawsze pożegnać się z Sixfields, Jack.

– Niech diabli porwą Sixfields...

– Jesteś człowiekiem, który ma tylko kilka namiętności. Sam to przed chwilą przyznałeś. I Sixfields jest jedną z nich, prawda? A zresztą nawet gdybyś ty zniósł bez trudu wygnanie, to nie wiem, jak ja bym się czuła, nie mogąc wrócić do domu. Ciekawe, kiedy zaczęlibyśmy się nienawidzić nawzajem?

– Ja nie potrafiłbym nienawidzić ciebie. – Jego słowa odbiły się echem od ścian. Julia zaczęła obracać obrączkę na palcu. – A czy to, czego oboje pragniemy i potrzebujemy, nie ma żadnego znaczenia? – zapytał z rozpaczą w głosie.

Julia starała się uśmiechnąć.

– Wygląda na to, że nie ma żadnego rozwiązania, nie sądzisz? Jeśli nadal będziemy się widywać, ja będę nieszczęśliwa, bo rozumiem, że robię coś bardzo złego. Ale nie wiem, jak zniosę to, że miałabym cię już nigdy nie zobaczyć.

Jack podszedł do niej i ujął jej twarz obiema rękami.

– Zawsze pragnąłem tylko twojego szczęścia.

– W takim razie pozwól mi odejść. Pozwól mi odejść i nie gniewaj się na mnie, nie miej do mnie żalu. Obiecuj, że spróbujesz być szczęśliwy. Bo wtedy może jakoś to wszystko zniósę. Pozwól mi odejść, mój kochany.

– Nie prosź mnie o to. – W jego oczach znać było udrękę. – Błagam, nie prosź mnie o to.

Julia wspięła się na palce i musnęła jego usta wargami. A potem położyła mu głowę na ramieniu.

Will posłał Briana do domu i wcześniej niż zwykle zamknął warsztat.

Był w takim stanie, że gdy tylko zaczynał myśleć, wpadał w spiralę paniki. Czuł się jak w labiryncie bez wyjścia. Nie mógł pójść na policję, ponieważ musiałby przyznać się do winy. Wyobraził sobie, jaki wstyd przyniosłby w ten sposób rodzinie. Przypuszczał, że wszyscy by się od niego odwrócili. Widział, jak stoi w sądzie, otoczony wianuszkami policjantów, i słuca sędziego, który odczytuje wyrok. Wyobraził sobie więzienie. Zimną, malutką celę i siebie siedzącego tam z jakimś osiłkiem, który tłucze go bez przerwy dla przyjemności. Rick miał zapewne rację, twierdząc, że Will nie przetrwałby więzienia.

A jednak myśl o tym, że miałby bez końca pracować dla Huntera, również przejmowała go obrzydzeniem. Poddany szantażowi i przemocy, stracił kontrolę nad własnym życiem. Rick mógł domagać się jego współpracy przez długie miesiące, a nawet lata. Nie można też wykluczyć, że sprawa wcale się nie zakończy na sprzedawaniu fałszywych kuponów i przechowywaniu skradzionych towarów. Równie dobrze Rick mógł wplatać go w znacznie gorsze przestępstwa. Handel bronią lub narkotykami, wymuszenia haraczu... Może nawet morderstwa. Wir zła wciągał go coraz głębiej i głębiej. Will miał poczucie, że tonie.

Głowa go bolała na samą myśl o precyzyjnych, sadystycznych uderzeniach pięści i butów Gene'a. Wyszedł z garażu, siadł za kierownicą i ruszył przed siebie bez celu, jadąc wąskimi nadmorskimi drogami. Mrużył swe oczy krótkowidza, ponieważ Gene zniszczył mu okulary. Wtedy pomyślał o Topaz.

Zawrócił na drogę wiodącą do Henscombe. Postanowił, że opowie o wszystkim Topaz, nie będzie niczego ukrywał, nie będzie posługiwał się półprawdami. Szkoda, że już wtedy nie wyznał jej prawdy. Powinien zwierzyć się komuś już dawno, dawno temu.

Zaparkował samochód nieopodal portu i ruszył przed siebie nadmorską promenadą. Zza chmur wylaniało się od czasu do czasu słońce, zabarwiając taflę wody na miedziany kolor. Will dotarł do teatru i przekonał się, że drzwi są zamknięte, a wszystkie plakaty przekreślone taśmą z napisem „Odwołane”. Stał na chodniku, nie wiedząc, co począć. Na plaży wciąż siedzieli turyści, korzystając z ostatnich promieni słońca. Potrącali go wycieczkowicze, śpieszący do pociągu albo do autobusu.

Wszedł do ciasnej i dusznej budki telefonicznej, by zadzwonić do mieszkania pań Brooke, do Londynu, ale Veronica nie miała pojęcia, gdzie szukać Topaz. Will odłożył słuchawkę i zapatrzył się na morze. Wyobraził sobie, że wsiada do jednej z tych rybackich łodzi i odpływa w dal. Płynie tam, gdzie jest tylko niebo i woda, by w końcu przybić do nieznanego brzegu.

Ktoś zastukał w szybę, Will wyszedł więc z budki, mrużąc pod nosem jakieś przeprosiny. Idąc po wąskim molo, osłaniał oczy przed blaskiem słońca. Doszedł do końca, tam, gdzie morskie fale rozbijały się o kamienną ścianę, odwrócił do góry dnem wiadro na homary, usiadł na nim i wyjął papierosy. Nie może tak po prostu uciec ze względu na Julię. Poprzedniej nocy, natchniony

optymizmem po miłosnych uściskach, uwierzył na parę godzin, że uda mu się rozwiązać wszystkie problemy. Wizyta Ricka rozwiąła te złudzenia.

Widział teraz wyraźnie, że kilka na pozór niegroźnych kroków przekształciło jego życie w koszmar. Pierwszy błąd popełnił wtedy, gdy wynajął warsztat od Maurice'a. Wbrew zapewnieniom kuzyna to nie był dobry interes. Budynek leżał na uboczu i od samego początku przynosił straty. Brak doświadczenia i bałagan w księgach pogorszyły znacznie sprawę. Do ostatecznego upadku przyczyniła się ostra zima i restrykcje na rynku paliwowym.

A on ślepo i bezmyślnie pakował się coraz głębiej w tarapaty. Pożyczka zaciągnięta w banku... Maurice, który nie chciał czekać na czynsz... i ta fatalna chwila, gdy Will sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Ricka. Optymizm, ignorancja i naiwność pchnęły go w paszczę lwa. Will jęknął głośno, chwytając się za głowę.

Przypomniawszy sobie wydarzenie sprzed lat, z czasów szkolnych. Był wtedy dyżurnym i do jego obowiązków należało napełnianie kałamarzy stojących na ławkach atramentem trzymanym w wielkiej butli. Pewnego popołudnia upuścił butlę z atramentem w magazynku i zniszczył pół tuzina podręczników. Przerażony, wyniósł zniszczone książki ze szkoły, chowając je pod swetrem. Z jakiegoś powodu, którego nie mógł już sobie przypomnieć, ukrył je w szopie ogrodnika. Z dnia na dzień rosły jego poczucie winy i niepokój. Był przekonany, że nauczyciel zauważy brak książek... że podejrzenie padnie na ogrodnika i wyrzucą go z pracy... Will czuł się wtedy tak samo jak teraz: ogromnie się wstydził i bardzo się martwił. Widział jednak istotną różnicę: wówczas jego wyobraźnia wyolbrzymiła drobne przewinienie, czyniąc z niego

wielkie przestępstwo. Tym razem przestępstwo było jak najbardziej rzeczywiste.

W końcu kiedyś Jack znalazł zapłakanego brata w chłopięcej toalecie. „I to wszystko?” – zdziwił się, gdy Will, szlochając, wyznał mu prawdę. Jack przyniósł książki z szopy i przyznał się do winy. Za karę skonfiskowano mu tygodniówkę, musiał też napisać sto linijek w zeszycie do kaligrafii. I w ten sposób sprawa się zakończyła.

Will niemal zapomniał, że kiedyś Jack był jego obrońcą, chronił go przed światem. Kiedyś byli przyjaciółmi. Nie potrafił wskazać momentu, w którym wszystko się zmieniło. Może to się zdarzyło wtedy, gdy się przeprowadzili do mieszkania przy szkole. A może ich drogi się rozeszły, gdy Jack był za granicą. Albo to zazdrość ich rozdzieliła i zatrąła wszystko, co dobre. Ta myśl go bardzo przygnębiła.

Jack, pomyślał Will. Palce zaciśnięte na papierosie zadrżały. Wyobraził sobie, że opowiada o wszystkim bratu, że mówi mu o wszystkich głupstwach i oszustwach, które popełnił w ciągu minionego roku. Tym razem Jack z pewnością nie powie: „I to wszystko?”.

Jeśli pójdzie do Jacka i powie mu prawdę, pogardliwe spojrzenia brata zyskają inny wymiar. Jack w szczególny sposób pogardzał tymi, którzy dopuszczali się machinacji na czarnym rynku. Nie znosił też słabości i nie miał współczucia dla niekompetentnych ludzi. Jack nie może się o tym wszystkim dowiedzieć.

Czy jednak jest jakieś inne wyjście? Jeśli nic nie przedsięwzięmie, z każdym dniem będzie coraz bardziej się zaplątywał w pajęczą sieć Ricka. Codziennie będzie umierał ze strachu i wstydu. Will potrzebował siły starszego brata, jego zdecydowania i opanowania, jasności umysłu. Tylko Jack może

znaleźć jakieś rozwiązanie. Will uświadomił sobie nagle, że dłużej już nie zdoła dźwigać tego ciężaru na swoich barkach.

Wsiadł do samochodu. Przekręcając kluczyk w stacyjce, spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Jechał szybko, lękając się, że opuści go odwaga. Gdy zatrzymał się przed bramą Sixfields, przypomniał sobie dziecięce lata i wizyty w tym domu: zawsze kichał z powodu kurzu i był przekonany, że za skrzypiącymi drzwiami i w mrocznych korytarzach kryją się duchy. Gdy matka czytała mu bajki na dobranoc, czarownice miały nieodmiennie rysy kuzynki Carrie.

Na szczęście nigdzie nie było widać kuzynki, a psy chyba go sobie przypomniały, bo ucichły, gdy tylko do nich przemówił. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że pokryte pajęczynami butelki i słoiki na parapecie spizarni stały tam od lat, od czasów gdy odwiedzał Sixfields z matką; w przedzielonych słupkami oknami wisiały te same obszarpane zasłony, chroniąc wnętrze domu przed słonecznym światłem.

Will wkroczył na ścieżkę wiodącą do małego domku. Powietrze było ciężkie od kwaskowatego zapachu świeżo zaoranej ziemi. Nad polami, żywopłotami i zagajnikami królowała cisza. Liście na drzewach i zakurzone źdźbła trawy zastygły bez ruchu. W oddali traktor ciągnął za sobą pług, jadąc pod górę. Will szedł cicho, jakby nie chciał, by prysnął czar.

Wreszcie dotarł do domku. Chciał właśnie zapukać do drzwi, gdy ujrzał w oknie jakiś ruch.

Popatrzył w tę stronę i cofnął się szybko w cień. Potem spojrzął raz jeszcze. Musiał mieć pewność, że nie uległ złudzeniu. Bo zobaczył swoją żonę w objęciach brata.

Carrie Chancellor widziała ze swego okna, jak Will zawraca i biegnie z powrotem. Poruszał się w dziwny sposób, jakby był pijany albo chory. Carrie przetarła tłustą od brudu szybę, by lepiej widzieć. Will pędził przez podwórze, przeskakując psy i zardzewiałe maszyny.

Potem zniknął jej z oczu. Po chwili Carrie usłyszała dźwięk silnika. Samochód jechał wąską drogą zygzakiem. Carrie patrzyła tak długo, aż wreszcie tuman kurzu, który Will po sobie pozostawił, zniknął za horyzontem.

Will wrócił do garażu i przeszukiwał półki, odsuwając na bok skoroszyty z dokumentami i księgi rachunkowe, by wydobyć kasetkę z pieniędzmi. Dokumenty rozsypały się po podłodze, gdy wytrząsał monety i banknoty, by wrzucić je do kieszeni. Chciał podpalić warsztat, ale nie mógł znaleźć zapalek. Przypomniawszy sobie, że zostawił papierosy i zapalki koło wiadra na homary w Henscombe.

Paczka Ricka leżała na biurku między butelką whisky a paczką papierosów i nylonowymi pończochami. Will odwinął papier. Spodziewał się, że ujrzy pieniądze, kupony, sfałszowane paszporty. Ale tym razem w środku coś mignęło kolorami i złotem. Po chwili Will trzymał w rękach drewniany obrazek. Odziana w błękitny Madonny siedząca w ogrodzie. Ogród był usiany różowymi, białymi i złotymi kwiatkami. Nad Madonną artysta namalował trzy anioły. Willowi wydawało się, że anioły tańczą, tańczą w niebiosach. Miały wyciągnięte stopy, rozwinięte skrzydła i wirujące szaty. Na zaabsorbowanych tańcem twarzach malował się spokój. Uniesiona do góry dłoń Madonny nakazywała ciszę. Spokój, którym emanował ten obraz, sprawił, że Will przypomniał sobie Sixfields. Madonny wraz z aniołami i z całym ogrodem czekała na coś niezwykłego, co miało się dopiero wydarzyć.

Rick, Sixfields, Julia... Will wsunął obraz, papierosy i pończochy do chlebaka i wyszedł z warsztatu. Pojechał do Holly Bush, stanął przy barze i pił. Chciał o wszystkim zapomnieć, o niczym nie myśleć. Jeśli wypije wystarczająco dużo, to na pewno wymaże z pamięci Ricka i jego słowa: „Nie chciałbym przysyłać tu więcej Gene'a". Gdy dotykał twarzy, czuł ból wszędzie, gdzie pięści tamtego pozostawiły ślad. Wątpił jednak, że uda mu się wypić aż tyle, by mógł wykreślić z pamięci obraz Julii w ramionach Jacka. Ten obraz wrył się na dobre w jego źrenice. Gdy myślał o Jacku, nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Nigdy nie przypuszczał, że jego starszy brat byłby zdolny do takiej zdrady. Jack musiał go głęboko nienawidzić. Will zastanawiał się, kiedy zaczął się ich romans. Przed paroma tygodniami... może miesiącami... a może zaraz po ślubie. Jęknął z rozpaczony tak głośno, że aż barman obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

Późnym wieczorem w pubie było pełno gości. Johnnie Gamble postawił Willowi piwo, a ten usiadł z nim i jego bratem w ciemnym kącie i zaproponował, że doleje do kufli trochę whisky. Potem wszystko zaczęło się na siebie nakładać, wydarzenia mieszały się ze sobą. Mick Gamble wygrał jakiś pijacki pojedynek i Will dał mu paczkę z pończochami jako nagrodę. Mick rzucił swoje podkute ćwiekami buty i udawał, że chce włożyć pończochy, ku uciesze wszystkich obecnych. Potem zaczęła się jakaś bijatyka. Will trzymał się od niej z daleka, bo chwiał się na nogach i nie miał ochoty zarobić jeszcze paru siniaków. Krzesła i kufle fruwały w powietrzu. Barman musiał interweniować i wyrzucić za drzwi paru krzepkich robotników.

Mick Gamble zaproponował, żeby wypłynęli na morze. Will przypomniał sobie „Katie Rose", morze, niebo i gwiazdy. Aksamitny spokój. Bracia Gamble

wyciągnęli go z pubu i posadzili za kierownicą samochodu. Noc była duszna i parna.

Julia obudziła się wczesnym rankiem i spostrzegła, że leży sama w małżeńskim łóżku. Naciągnęła spodnie i sweter i zeszła po schodach, upinając długie, potargane włosy w kok na karku. Głowa ją bardzo bolała. Pomimo przespanej nocy czuła się zmęczona. Kręciła się po domu, układając książki i inne drobiazgi, trzepiąc poduszki. Myślała o Jacku i o Willu. Usiadła na sofie, kołysząc w dłoniach filiżankę z herbatą. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że szare chmury wiszą nisko nad zagajnikiem; wydawało jej się nawet, że dotykają wierzchołków drzew. Między pniami brzoź coś się poruszyło. Julia spodziewała się, że za chwilę na ścieżce pojawi się Will. Ale to był tylko stary lis, którego rude futro ginęło niemal wśród suchych liści.

W poczucie samotności i odrętwienie zaczął się wkradać niepokój. Will nigdy dotąd nie spędził całej nocy poza domem. Przypomniała sobie jego spuchniętą i posiniaczoną twarz. Myśl, która już wcześniej zakiełkowała w jej głowie – że to nie są obrażenia, jakich można doznać, gdy opadnie lewarek – zapuściła zbyt mocne korzenie, by Julia mogła ją zlekceważyć. Skłonna była przypuszczać, że ślady na twarzy Willa zostały pozostawione przez czyjeś pięści, a nie przez samochód. Zacisnęła mocno dłonie, wspomniawszy wyraz twarzy męża i rozpacz w jego głosie, gdy mówił, że ją zawiódł.

Nie mogła usiedzieć w miejscu. Czuła się opuszczona, w domu zrobiło się zbyt cicho. Wyszła do ogródka, który własnymi rękami wydarła dzikiej naturze. Dotykała nerwowymi palcami kwiatów i malin. Spostrzegła pleśń na jeżynach. Zauważyła, że liście migdałowca poczerniały i zaczęły się zwijać. Zapragnęła zobaczyć niebo, ruszyła więc ścieżką przez las. Na dole, u stóp wzgórza stał jakiś samochód. Ktoś szedł pod górę w stronę domu. Will,

pomyślała z ulgą. Postać zbliżała się i była coraz większa. Julia rozpoznała policyjny mundur. Zaczęła biec w stronę przybysza.

Gdy znalazła się w zasięgu jego głosu, usłyszała wołanie:

– Pani Chancellor?

– Tak. – Julia z trudem łapała oddech. – Co się stało?

– Wolałbym wejść do domu, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Julia pokręciła głową.

– Nie. Proszę mówić tutaj – poleciła, z trudem dobywając z siebie głos.

– Obawiam się, że zdarzył się wypadek, pani Chancellor.

W oknach były kraty, a pod ścianami stały dwa rzędy identycznych łóżek. Leżący w łózkach pacjenci, otoczeni szepczącymi coś krewnymi, byli do siebie tak podobni, że Topaz nie potrafiła w pierwszej chwili odnaleźć Heleny.

Dopiero po jakimś czasie spostrzegli, że koło jednego z łóżek siedzi policjant.

– Tam – powiedział Charlie i ruszył w drugi koniec szpitalnej sali.

Helena leżała wsparta na poduszkach. Widać było tylko jej twarz okoloną rozpuszczonymi, jasnymi włosami; ciało i ramiona kryły się pod fałdami kołdry. Gdy podeszli do łóżka, policjant odsunął się na bok, zezwalając na odrobinę prywatności.

– Przyjechaliśmy, gdy tylko się dowiedzieliśmy – powiedział Charlie.

Helena bardzo powoli podniosła oczy.

– Mówili... że tylko krewni...

– Powiedziałem, że jestem twoim bratem. – Charlie pocałował ją w policzek. – Sądziliśmy, że dobrze ci zrobi towarzystwo.

Helena zerknęła na policjanta, a na jej bladych wargach pojawił się cień uśmiechu.

– Mam towarzystwo.

– Przynieśliśmy ci kwiaty – oznajmiła Topaz – ale nam je zabrali. Znow zapadła dłuższa chwila ciszy.

– To bardzo miło z waszej strony – szepnęła Helena, marszcząc brwi. – Jak myślisz, Charlie, czy oni wsadzą mnie do więzienia?

– Znajdziemy ci adwokata. Dobrego adwokata.

– Wszystko mi jedno. Naprawdę. Tylko... Rodzice by się zmartwili. I tak cierpią, widząc mnie tutaj. Nie sądziłam... Ja muszę to wiedzieć...

– Nie pozwolimy, by cię wsadzili do więzienia, Heleno. Przysięgam – oświadczył Charlie.

Helena ze sporym wysiłkiem skupiła wzrok na przyjacielu.

– Wasze tournee... – szepnęła.

– Już się skończyło – uspokoił ją Charlie. – Wróciliśmy do Londynu. Więc możemy cię odwiedzać codziennie, kochana.

Głowa chorej opadła na bok. Helena spojrzała w stronę okna. Gałąź kasztanowca, poruszana wiatrem, postukiwała lekko w szybę.

– Wciąż mi się wydaje – mruknęła – że ktoś próbuje dostać się do środka.

– Wszystko będzie dobrze. – Charlie dotknął delikatnie jej ramienia.

Helena uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Przechodząca obok nich pielęgniarka ofuknęła Charliego za siedzenie na łóżku, więc wstał, by przynieść krzesła, które stały w kącie. Topaz myślała o tym, czego nie wolno jej było powiedzieć. „Dlaczego to zrobiłaś? Jak mogłaś?”. Helena miała półprzymknięte oczy. Topaz usłyszała swój własny głos, opowiadający chaotycznie o tournee. Gdy Charlie wrócił z krzesłami, umilkła.

– Była u ciebie Claudette? – zagadnął Charlie.

– Z Miszą. Wczoraj. – Szczupłe, blade palce Heleny wydobyły się spod kołdry. – I Jerry. A Donald nie.

– Och. Może myślał... – Głos mu się załamał. – Jeśli masz na coś ochotę...

Helena jednak nieznacznie pokręciła głową.

Topaz nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jakaś część osobowości przyjaciółki zniknęła, może została w małym mieszkanku, które kiedyś dzieliła z Claudette. Zniknęły wszystkie cechy, dzięki którym Helena była kiedyś wyjątkowa: jej spokój, jej wielkoduszność i troskliwość. I nic się nie pojawiło na ich miejscu. Nawet żal.

– Myślałam, że jestem w ciąży – wyznała Helena. Charlie szeroko otworzył oczy.

– Z Donaldem?...

– Tak. – Znow zmarszczyła brwi.

– Czy to dlatego?

– Och, nie. – Po raz pierwszy na bladej twarzy Heleny pojawiły się emocje. Gorycz wygięła jej kąciki ust. Błysk gniewu rozświetlił puste, niebieskie oczy. – Próbowałam się zabić, kiedy się okazało, że nie jestem w ciąży. Bo wszystko wydało mi się takie bezsensowne. Tak strasznie jałowe i beznadziejne.

Wyczerpana wysiłkiem zamknęła oczy. Gdzieś w oddali zadzwonił dzwonek. Krewni w szpitalnej sali zaczęli wstawać, zmierzając w stronę drzwi.

Charlie był blady i niemy. Topaz pocałowała Helenę w lodowaty policzek. Gałąź kasztanowca wciąż postukiwała w szybę.

Następnego ranka Topaz poszła do domu, żeby wziąć czyste ubrania. A także żeby zobaczyć matkę i zorientować się w sytuacji.

Veronica siedziała na sofie w salonie i paliła papierosa. W takiej samej pozycji, w jakiej Topaz ją zostawiła miesiąc temu.

Gdy spojrzała na córkę, w jej oczach pojawiły się iskry.

– A więc raczyłaś się zjawić.

– Witaj, mamó. – Pocałowała matkę w policzek.

– Gdzie ty się podziewałaś?

– Byłam na tournée, mamó. Chyba pamiętasz.

– Pytam – powiedziała Veronica z irytacją w głosie – gdzie byłaś wczoraj. Telefon dzwonił przez cały dzień i sama musiałam sobie ze wszystkim radzić. A to takie męczące. – Spojrzenie szafirowych oczu się zaostrzyło. – Wyglądasz, jakbyś spędziła noc w stogu siana. Albo w którymś łóżku.

– Teatr... – zaczęła Topaz.

– Teatr został zamknięty przedwczoraj. Dzwoniłam i rozmawiałam z jakimś Irlandczykiem.

– Z Desmondem?

– Nie pamiętam, jak się nazywał. – Veronica zgasila papierosa w popielniczce. – Jeśli zamierzasz sypiać z kim popadnie, Topaz, to twoja sprawa. Ale jeśli przyniesiesz mi tu jakiegoś bękarta do domu, to wylecisz razem z nim w jednej chwili. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. – Wzięła kolejnego papierosa. Gdy nerwowym ruchem zapalała zapalniczkę, zadzwoniły złote bransoletki na nadgarstku. Obrzuciła córkę krytycznym spojrzeniem. – Wyglądasz okropnie. Powinnaś wziąć kąpiel i doprowadzić się do porządku. Jeden Pan Bóg wie, co sobie pomyślą sąsiedzi.

– Dobrze. – Topaz zatrzymała się w drzwiach. – Ktoś dzwonił, mamó?

Veronica zaciągnęła się dymem.

– Głównie Prudence. I ten ich przyjaciel... taki przystojny chłopak... ten, który popełnił megalians.

– Marius?

– Tak. – Veronica spojrzała na zegarek. – Wyprasuj sobie coś czarnego. Zdaje się, że będziemy musiały pojechać do Dorset. – Zmarszczyła czoło. – Jeżeli w ogóle będzie pogrzeb. Nie wiem, jak się postępuje w takim wypadku.

– Mamó?... – Topaz się przeraziła.

– Will Chancellor nie żyje. Podobno wypłynął na morze we czwartek w nocy razem ze znajomymi. Łódź trafiła na jakąś minę. Policja sądzi, że wszyscy zginęli na miejscu.

Will spędził czwartkowy wieczór w pubie Holly Bush. Wyszedł około północy w towarzystwie Johnniego i Micka Gamble'ów. Trzej mężczyźni pojechali do portu w Henscombe i wsiedli na łódź rybacką, „Katie Rose”, należącą do Gamble'ów. Dzień, tydzień, a może miesiąc wcześniej od dna odzepiła się niezabezpieczona mina i zaczęła dryfować z prądem po zatoce. Gdy „Katie Rose” dotarła do wyjścia na morze, natrafiła na minę. Eksplozja obudziła prawie wszystkich mieszkańców Henscombe, słysząc ją było w odległości wielu kilometrów. Wysłano łódź ratunkową, ale nie znaleziono żadnych rozbitków. Niedaleko portu stał tylko samochód Willa.

Podczas kilku następnych dni Julia bez końca analizowała fakty, jakby w ten sposób mogły nabrać realności. Pub. Łódź. Mina. Chwytała się szczegółów i roztrząsała je bez końca. Dlaczego nie słyszała wybuchu? Dlaczego Will wypłynął na morze w środku nocy? Dlaczego nie wrócił do domu po paru drinkach, tak jak zwykle?

Rodzina próbowała tłumaczyć jej wszystko, ale Julia dostrzegła w oczach najbliższych litość i w końcu przestała zadawać pytania. Chociaż wciąż kołatały w jej głowie. Tamci radzili, by usiadła i odpoczęła, a ona próbowała czytać czasopisma skulona na sofie. Albo kładła się na łóżku w swojej sypialni w Missencourt i patrzyła w sufit, obserwując jego pęknięcia, by uspokoić myśli.

Przeprowadziła się do Missencourt, bo rodzina nie zgodziła się, by została sama w Hidcote Cottage. Policjant, który przyniósł wiadomość o śmierci Willa, chciał od razu zawieźć Julię do Missencourt, lecz odmówił. Gdy jednak po pewnym czasie przyjechał Marius, Julia, spostrzegłszy wyraz jego twarzy, wiedziała, że nic nie wskóra. Wrzuciła więc kilka rzeczy do torby i pozwoliła, by brat zabrał ją do rodzinnego domu. Siadywała to w salonie, to w ogrodzie, próbując ułożyć to, co się stało, w jakąś sensowną całość i powracając obsesyjnie do wydarzeń minionych czterdziestu ośmiu godzin. Okazało się jednak, że nie potrafi myśleć logicznie. Gdyby nie była taka zmęczona. Gdyby nie nękały ją mdłości. Gdyby mogła z kimś porozmawiać. Z kimś, kto powstrzymałby się od osądzania. Gdyby mogła pozbyć się przekonania, że w pewnej mierze jest winna śmierci Willa, bo go nie kochała tak, jak powinna.

Wszyscy byli dla niej bardzo mili, ale Julia źle się czuła wśród ludzi, nie potrafiła się skoncentrować i wysłuchać kondolencji. Wszyscy po kolei – matka, Suzanne, Marius – siedzieli obok, jakby uznali, że nie należy zostawiać jej samej. Nawet gdy Julii udawało się na moment zapomnieć o wszystkim podczas zabawy z Tarą, to po chwili straszliwa świadomość powracała. Świadomość, że Will nie żyje. Że już nigdy go nie zobaczy. I że to jest w pewnej mierze (choć nie potrafiła tego do końca rozwikłać) jej wina.

Nocą, gdy dom był pogrążony w ciszy, zeszła na dół i usiadła na tarasie. Na bezchmurnym niebie migotały gwiazdy. Podniosła wzrok, szukając Plejad. „Popatrz na gwiazdę z boku, to zobaczysz ją wyraźniej”. Łzy całkiem zamglily jej wzrok.

Usłyszawszy za plecami czyjeś kroki, obejrzała się i ujrzała brata.

Marius stanął koło niej.

– Nie możesz spać?

Pokręciła głową.

– Nie chciałam cię obudzić.

– To nie ma znaczenia. Masz na coś ochotę? Może trochę whisky? Albo kakao?

– Poproszę kakao – powiedziała, bo wydawało jej się, że brat poczuje się lepiej, mogąc coś dla niej zrobić.

Marius zabrał się do podgrzewania mleka w kuchni.

– Suzanne ma jakieś tabletki nasenne. Może ci przynieść?

– Chyba nie. – Julia zmarszczyła brwi. – Próbuję uporządkować jakoś to wszystko. Jest parę spraw, które mnie niepokoją. Wszyscy mi mówią, że nie powinnam się martwić, ale nic na to nie poradzę.

Marius nalał mleka do kubków i podał jej jeden.

– Powiedz mi, co cię dręczy.

– Sprawa warsztatu. Co się stanie z warsztatem? Will tak ciężko pracował, żeby interes ruszył z miejsca, a teraz... wszystko pójdzie na marne.

– Brian pilnuje interesu. Byłem tam dziś, żeby zabrać księgi rachunkowe i faktury. Trzeba będzie je przejrzeć któregoś dnia.

– Ja to zrobię.

– Julio, nie ma potrzeby.

– Marius – powiedziała drżącym głosem. – Ja chcę to zrobić. Dla Willa. –
Wydmuchnęła nos. – No i jest jeszcze domek na wzgórzu...

– Zostawiłaś tam coś cennego?

– Nie mieliśmy nic cennego. Tam zostały... no po prostu nasze rzeczy.

– Możemy jutro tam się przejechać, jeśli chcesz.

– Dlaczego nie słyszałam wybuchu? – zapytała nagle. – Dlaczego tak spokojnie spałam?

– Dlatego, że Hidcote Cottage leży daleko od brzegu. A wzgórza stanowią barierę dla dźwięku. Tu, w Missencourt, też nic nie było słyhać – wyjaśnił.

Julia zakryła usta dłonią.

– Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. To przecież bez sensu. –Zaczęła obgryzać paznokcie i skórki. – Gdybym go zobaczyła, może zdołałabym uwierzyć w jego śmierć.

Marius zapalił dwa papierosy i podał jednego siostrze. Jej paznokcie krwawiły.

– To nie jest dobry pomysł, Julio.

Potarła dłonią czoło, jakby w ten sposób mogła się pozbyć bólu głowy, który dręczył ją od wielu dni.

– Wracaj do łóżka, Marius. – Chciała zostać sama. – Pewnie jesteś bardzo zmęczony.

– Dotrzymam ci towarzystwa.

– Nie! Proszę cię! – Zdobyła się na uśmiech. – Za parę minut ja także pójdę na górę. Obiecuję.

Gdy Marius poszedł spać, Julia nie mogła sobie znaleźć miejsca. W Missencourt zawsze czuła się szczęśliwa i bezpieczna, ale tej nocy czar

rodzinnego domu przestał działać. Zatrzymała się dłużej w gabinecie Mariusa. Na biurku leżała sterta zeszytów i dokumentów. Julia przerzuciła kartki jakiegoś zeszytu. Wszystkie strony od góry do dołu były pokryte dziecięcym pismem Willa. Usiadła za biurkiem, wspominając, jak mąż nie zgodził się na jej propozycję poprowadzenia rachunkowości. „Will, ty idioto”, szepnęła na głos, wodząc palcem po kolumnach. Na pierwszy rzut oka widać było, że biedak nie miał pojęcia o księgowaniu. Julia pomyślała, że tylko fałszywe poczucie dumy czy męskiej siły kazało mu odrzucić jej ofertę. Wyobraziła sobie, jak siedzi w zagraconym biurze w warsztacie, z poplamionymi atramentem palcami i marszcząc brwi, próbuje zaprowadzić ład w rachunkach.

Saldo bilansu się jednak nie zgadzało. Nie mogło się zgadzać. Julia patrzyła na księgi zdumiona i zszokowana. Jeśli wpisane tu liczby są poprawne, to od wiosny 1947 roku warsztat był stale zadłużony. Liczba na dole strony oznaczała wysokość strat. Will podkreślił tę liczbę sześciokrotnie, jakby nie mógł uwierzyć w fakty. Jego pióro poszarpało nawet papier w tym miejscu – oznaka niepokoju i rozpacz. Julia próbowała przypomnieć sobie tę wiosnę. Z powodu nieoczekiwanych opadów śniegu warsztat stał zamknięty przez parę tygodni. Może właśnie wtedy sprawy przybrały tak fatalny obrót. Zarówno w garażu, jak i w ich małżeństwie. Od tamtej pory Will zostawał w pracy bardzo długo. Julia przypominała sobie prezenty, które jej przynosił. Pończochy, perfumy, kwiaty. Żeby ją ułagodzić? A może dlatego, że nie śmiał wyznać prawdy?

Następnego ranka Suzanne zawiozła Julię do Hidcote Cottage. Zgodnie z prośbą Julii, bratowa została w samochodzie zaparkowanym na poboczu głównej drogi. Julia sama poszła do domku. Tego ranka padał deszcz, musiała więc przeskakiwać kałuże.

Wyjęła klucz, żeby otworzyć drzwi, ale okazało się, że wystarczy je lekko popchnąć. Wydawało jej się, że Marius je zamykał, zapewne jednak się pomyliła. Gdy stanęła w wąskim korytarzyku między kuchnią a komórką, odniosła wrażenie, że ten dom już jest opuszczony i zapomniany. Woda kapiąca z kranu wypełniła zlew do połowy, Julia zanurzyła więc rękę w zimnej wodzie i wyjęła korek. Zauważyła, że wszystkie szafki kuchenne są pootwierane i panuje w nich straszny bałagan. Zdziwiła się, jak mogła zostawić kuchnię w takim stanie.

W salonie ktoś porozrzucił książki wyciągnięte z półek. Na podłodze leżały dokumenty, ołówki, kartki. Jakby jakiś olbrzym podniósł ten dom do góry i mocno nim potrząsnął. Na górze znalazła ubrania – swoje i Willa – powyciągane z szuflad i szaf. Sweter, który dla niego zrobiła, bluzkę, którą Will bardzo lubił. Podniosła sweter, złożyła i przycisnęła do siebie, siadając na schodach. Ze zdumieniem zauważyła, że zapach, który subtelnie przeniknął sploty wełny, sprawił, że poczuła się tak, jakby Will był tu razem z nią.

Po chwili zauważyła stos kartonowych pudeł. Prezenty ślubne. Nigdy ich nie rozpakowała do końca, ale ta sama ręka, siejąca zniszczenie w całym domu, wyrzuciła ich zawartość na podłogę. Prezenty najwymowniej świadczyły o ich małżeństwie, w które nie włożyła dość serca.

W ciągu dwóch miesięcy, jakie minęły od nabożeństwa żałobnego, Jack nie widywał się z Julią. Gdy zjawiał się w Missencourt, zawsze była zajęta, odpoczywała albo właśnie gdzieś wychodziła. W kościele stała koło Adeli i Mariusa, jakby ich obecność stanowiła jej tarczę. Jack nie mógł się oprzeć wrażeniu, że musi być chora, patrząc na jej przezroczystą cerę i wychudzoną postać.

Po pewnym czasie pojął, że Julia nie chce go widzieć. Przestał przyjeżdżać do Missencourt, przestał pisać listy i dzwonić. Pracował na farmie po czternaście godzin na dobę, chwytając się bez namysłu najbardziej wyczerpujących fizycznych prac, by zmęczyć się i móc zasnąć wieczorem. Zaczął nienawidzić Sixfields, zrozumiał, że farma obnażyła jego zepsucie, że stała się zarówno symbolem, jak i przyczyną jego winy.

Szedł właśnie ścieżką wzdłuż grzbietu wapiennych skał, leżących na granicy posiadłości Carrie, gdy w odległym krańcu doliny ujrzał konia, czarną plamę na tle płowego ścierniska. Koń pędził jak strzała z wyciągniętą szyją, rozwianą grzywą i ogonem. Kopyta dudniły o ziemię w szaleńczym tempie; Jack wiedział, że jeźdźcom, który rozpaczliwie próbuje się utrzymać na siodle, musi być Julia.

Rzucił się do biegu. Przez chwilę miał nadzieję, że Salem, zbliżając się do zagajnika, zrozumie, że nie może wpaść w dzikim pędzie między drzewa, i zwolni. Ale wtedy spłoszony bażant poderwał się do lotu, trzepocząc gwałtownie skrzydłami. Koń stanął dęba i zrzucił amazonkę, a później pocwałował dalej. Jack myślał, że Julia nie żyje. Leżała nieruchomo wśród paproci i pokrzyw. Upadek wyglądał naprawdę groźnie. Chwycił ją za

nadgarstek, szukając pulsu. Potem z wielką ostrożnością wydobył ją spomiędzy krzaków paproci. Julia otworzyła oczy.

– Wiedziałam, że to ty – szepnęła. A potem zmarszczyła brwi. –Gdzie jest Salem?

– Mam nadzieję, że zleciał z jakiejś skały.

Jack zaniósł ją do domu. Carrie wyjechała do Dorchester, na targ bydła, położył więc na sofie Julię, a ona, blada i posiniaczona, rozejrzała się z zaciekawieniem po pokoju.

– Cóż za niezwykle miejsce. – Uśmiechnęła się słabo. – Zawsze chciałam zobaczyć Sixfields.

Dotknął zadraśnięcia na jej czole wilgotną chusteczką.

– Nie zamierzasz mnie strofować?

– Za co miałbym cię strofować?

– Za to, że nie włożyłam toczka.

– O Boże, Julio. Myślałem, że nie żyjesz – jęknął Jack, kładąc głowę na jej piersiach.

Głaskała go przez chwilę, a potem odsunęła delikatnie. Wyprostowała się i ostrożnie zgięła ręce i nogi.

– Chyba nic sobie nie złamałam.

– Powinnaś jednak pójść do lekarza.

Pokręciła głową i skrzywiła się lekko. Przez zakurzone okna sączyło się złote popołudniowe światło, rzucając na podłogę diamentowe refleksy.

– Dlaczego mnie unikałaś?

– Och, Jack, dobrze wiesz, dlaczego – szepnęła ze smutkiem. –Po co mielibyśmy się widywać?

– Żeby porozmawiać.

– O czym?

– O nas. O tobie i o mnie.

– Nie ma potrzeby. – Palce Julii skubały nerwowo rękaw koszuli. – Jest jednak coś... – Spojrzał na nią z nadzieją. – Jest coś, co powinieneś wiedzieć. – Zmarszczyła brwi. – O Willu. I o mnie. Nie mam pieniędzy, Jack. Nie mam nic. A nawet mniej niż nic. Will miał długi. Zapożyczył się w banku i u Maurice'a Chancellora. Był winien bardzo duże sumy.

– Jesteś pewna?

– Przejrzałam księgi rachunkowe. Fatalna pogoda na początku zeszłego roku odbiła się na kondycji warsztatu. Will wziął więc pożyczkę. I wpakował się w jeszcze gorsze tarapaty, bo musiał spłacać odsetki.

– A ty nic o tym nie wiedziałaś?

Julia pokręciła głową. Will wpadł w długi! Will miał kłopoty! Jack nie mógł w to uwierzyć. Zaschło mu w gardle.

– Jak sobie dasz radę?

– Marius pożyczył mi pieniądze na spłatę długu w banku. Rozmawiałam też z Maurice'em Chancellorem, który zgodził się darować mi niezapłacony czynsz. Chociaż zgodził się dopiero wtedy, gdy mu powiedziałam, jak zareaguje reszta rodziny, jeśli się dowie, że nalegał, bym spłaciła należność. – Julia przerwała, a potem dokończyła łagodnie: – Ciagle myślę, jak bardzo Will musiał być przerażony. Jak się denerwował. Mogłam mu pomóc. Wiedziałabym, co zrobić. Ale nie miałam o niczym pojęcia. Nie mówił mi, że ma kłopoty. Jak myślisz, dlaczego?

Jack odwrócił wzrok. Otaczały ich przedmioty należące do Carrie: kufel w kształcie grubasa w trójgraniastym kapeluszu, zakurzony kryształowy wazon z resztkami jakichś łądyg, obrazek przedstawiający modlące się dziecko.

– Na pewno strasznie się martwił. I nie powiedział ani słowa. – Julia zaśmiała się nerwowo. – Wcale go o to nie winię. Nie spodziewałam się zapewne, że go wysłucham ze współczuciem. Gdy późno wracał z pracy, wierciłam mu dziurę w brzuchu. Gdy zaglądał do pubu, narzekałam. Teraz rozumiem, że próbował jakoś zapomnieć o swoich problemach. A ja nigdy nie zapytałam go, co się dzieje. Tylko się złościłam. – Kąciki jej ust wykrzywiły się boleśnie. – No i byłam roztargniona. Z twojego powodu.

Jack zauważył, że Julia jest bardzo blada. Zielonobiała. Uznał to za rezultat szoku. Dotknął jej dłoni i zaproponował:

– Zrobię ci herbaty. Kiepsko wyglądasz.

Gdy krzątał się po kuchni, gotując wodę i szukając filiżanek, przez jego głowę przemykały bardzo nieprzyjemne myśli. A jeszcze godzinę temu wydawało mu się, że nie mógłby pogardzać sobą jeszcze bardziej.

Policzki Julii zarumieniły się lekko, gdy wypila herbatę.

– Mówiłaś już komuś o tym? – zapytał.

– Powiedziałam co nieco Mariusowi, bo musiałam spłacić pożyczkę w banku. Ale nie rozmawiałam z nikim innym. Nie chcę – oświadczyła stanowczym tonem – żeby ludzie źle myśleli o Willu.

Jack usiadł w fotelu Carrie. Spod popękanej skórzanej tapicerki wystawały kłęby końskiego włosia.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Pokręcił głową. – Nie mogę uwierzyć, by Will mógł trzymać coś takiego w tajemnicy. To nie w jego stylu.

– Chcesz powiedzieć, że w takiej sytuacji byłby nerwowy? Skłonny do irytacji? Niespokojny? Taki właśnie był przez sześć miesięcy przed śmiercią.

– Julio...

– Powiem ci coś jeszcze. Sądzę, że w nocy przed wypadkiem brał udział w jakiejś bójce.

– W bójce? – Jack spojrzał na nią z niedowierzaniem. – To niemożliwe.

– Powiedział mi, że gdy leżał pod samochodem, zawiódł lewarek. Sądzę, że kłamał. Chociaż wtedy niczego nie podejrzewałam. Już zresztą mówiłam – dodała szorstko – że byłam wówczas zaabsorbowana czym innym. – Umilkła na chwilę, a potem dokończyła znacznie ciszej: – Bez względu na to, co zrobiliśmy, a czego nie, bez względu na to, jak zawiedliśmy Willa, będziemy musieli jakoś z tym żyć, prawda, Jack?

Słysząc tylko tykanie starego zegara. Julia podniosła się z miejsca.

– Muszę już iść.

Jack nie mógł się powstrzymać od pytania.

– Czy cię jeszcze zobaczę?

Julia pokręciła głową.

– Nigdy?

Jej oczy były suche i puste.

– Dużo o tym myślałam, Jack. Ale chyba nie kochaliśmy się wystarczająco mocno.

– To nieprawda...

– To prawda. – Patrzyła na niego chłodnym wzrokiem, w którym nie było przebaczenia. – Oboje podjęliśmy decyzję bardzo dawno temu. Wtedy, gdy wróciłeś z Włoch.

– To nie tak – jęknął Jack. – Musisz mi uwierzyć.

– Doprawdy? Wiem, że nie powinnam była wychodzić za Willa. Nie mogłam dać mu szczęścia. – Jej głos brzmiał szorstko. – Poślubiłam go, bo nie

mogłam mieć ciebie. A ty... no, cóż... pragnąłeś wówczas czegoś innego bardziej niż mnie.

– Nie – zawołał z rozpaczą. – Nie, Julio! Tylko że Carrie powiedziała...

– Carrie? – Julia odgarnęła włosy z czoła. – A co Carrie ma do tego?

Wszystko, pomyślał. Wszystko. Doskonale pamiętał ten wieczór. Carrie zaproponowała mu Sixfields, podarunek, który miał zmienić jego życie. Budząc w nim chciwość, zasiała jednocześnie ziarno zazdrości i nieufności. „Julia Temperley? Słyszałam, że jest... płocha”. A on uwierzył bez zastanowienia. Skusiło go bogactwo. Zwątpił w kobietę, którą kochał, i sprzedał samego siebie.

– Carrie mi zasugerowała, że spotykasz się z innymi mężczyznami – wyznał w końcu niechętnie.

Julia wyglądała na zmęczoną i zupełnie zbitą z tropu.

– O czym ty mówisz, Jack? Musiałeś źle usłyszeć. Przecież panna Chancellor nawet mnie nie zna.

– Twierdziła, że słyszała plotki na twój temat. A ja pomyślałem... – Głos mu się załamał. –... o Willu – mruknął.

Wydało mu się, że Julia popatrzyła na niego z pogardą. Obróciła się na pięcie i wyszła. Wybiegł za nią na dziedziniec. Poraził go upał letniego popołudnia, kontrastujący z chłodem panującym wewnątrz domu.

– Pozwól przynajmniej, bym cię zawiózł do domu! – zawołał.

– Pójdę piechotą.

– Mogło ci się jednak coś stać. Albo nie wyszłaś jeszcze z szoku...

– Nic mi nie jest, Jack.

– Przyrzeknij, że pójdziesz do lekarza. Na wszelki wypadek. Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie pójdę. Bo każdy lekarz mnie zruga.
- Za co miałby cię zrugać?
- Ciężarne kobiety nie powinny jeździć konno, prawda?

Jack oniemiał; oślepiło go słońce.

– Spodziewam się dziecka – oświadczyła Julia wyzywającym tonem. – Spodziewam się dziecka Willa. I to jest kolejny powód, dla którego nie będę się już z tobą spotykać. Jestem w ciąży, Jack.

Po jej odejściu Jack poszedł do domku i nalał sobie dużą porcję whisky. Alkohol nie zmącił, niestety, jego myśli. Wciąż widział wszystko jasno.

Julia spodziewała się dziecka Willa. Dziecka jego zmarłego brata. Brata, któremu on nie pomógł w potrzebie. Brata, któremu nie chciał pomóc.

Szybko potępił Willa i nie potrafił mu wybaczyć tego, że ożenił się z jego ukochaną. Teraz, rozważając wszystko, co się zdarzyło w ciągu minionych dwóch lat, doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie mógł tego wybaczyć sam sobie. Obdarzony przez los siłą, energią i zdrowiem, powinien był opiekować się słabszym bratem. A on tymczasem utrzymywał dystans i pozwolił, by Will pograżał się coraz bardziej w błocie. Musiał przyznać w duchu, że zawsze miał tendencję do spoglądania na brata z wyższością. Od dawna jego pogardę budziły nadwrażliwość i wyobraźnia Willa oraz jego brak pewności siebie. Zarazem jednak subtelność Willa zjednała mu wielu przyjaciół; Jack od lat wściekał się, że brat, choć słabowity i nieporadny, był przez wszystkich bardziej niż on kochany.

Nalał sobie jeszcze jedną whisky. Zamknął oczy, ale nie zdołał w ten sposób uwolnić się od obrazów, które go zewsząd osaczały. Ufny i naiwny Will, wykorzystany przez Maurice'a Chancellora, borykający się z interesem, z góry skazanym na niepowodzenie. Will, który próbuje za wszelką cenę

utrzymać się na powierzchni. Will, zbyt przerażony i zawstydzony, by zwierzyć się komukolwiek.

A gdyby jednak się zwierzył, to co wtedy on, Jack, by zrobił? Okazałby mu współczucie i zaproponował pieniądze albo jakąś pomoc? Czy też ucieszyłby się z upadku brata? Jack zadrżał. Bardzo pragnął, by małżeństwo Willa okazało się nieudane. Czy podszedłby inaczej do materialnych problemów brata?

Nie tylko nie pomógł Willowi, ale też przyczynił się do eskalacji jego kłopotów. Gdy tamten potrzebował wsparcia, Jack okazywał jedynie wrogość. Kiedy Will coraz bardziej pograżał się w długach, on próbował uwieść Julię. Ścigał ją przecież z premedytacją. Lekceważył jej skrupuły, sięgał po wszelkie środki, by odebrać bratu żonę. Skorzystał z nieuwagi Willa, skorzystał z jej samotności. Zachowywał się egoistycznie i mściwie. Starał się zranić brata w sposób najgorszy z możliwych.

Wszystko, co się wydarzyło, miało swój początek w 1946 roku, podczas pierwszego tygodnia po demobilizacji. Gdy wrócił do Missencourt i zobaczył Julię z Willem. Zazdrość zasiana w dzieciństwie, wsparta przekonaniem, że wszyscy bardziej kochają jego młodszego brata, zakiełkowała przy pierwszej okazji. A jej trujące kwiaty rzuciły zły urok na życie ich wszystkich. Jack przestał ufać ludziom, których powinien był chronić, pozwolił, by brak zaufania przerodził się w nienawiść. Nie potrafił w żaden sposób usprawiedliwić swojego postępowania wobec brata. Utrata wiary doprowadziła do tego, że odepchnął Julię. Uwaga Carrie nic by nie znaczyła, gdyby sam Jack nie zaczął wątpić w wierność kobiety, którą kochał. Z perspektywy czasu widział wprawdzie, jak wpłynęły na niego lata wojny, ale czuł, że nawet to go w żaden sposób nie usprawiedliwia. Teraz rozumiał, że źródłem jego gniewu był strach

– obawa, że wszyscy o nim zapomnieli, że nie znajdzie dla siebie miejsca po powrocie do domu. Był zazdrosny i opętany zarówno miłością do Julii, jak i pragnieniem posiadania Sixfields. Uwierzył, że brat ukradł mu jego własność, więc Will stał się ofiarą jego obsesji.

Gorycz pogardy do samego siebie zaczęła się mieszać ze smakiem alkoholu. Jack przypominał sobie przekleństwo Julii: „Mam nadzieję, że znienawidzisz Sixfields. Mam nadzieję, że będziesz tam nieszczęśliwy. Mam nadzieję, że będziesz samotny, nieszczęśliwy i szalony jak twoja kuzynka Carrie”. I rzeczywiście był nieszczęśliwy. I samotny. Stracił Willa i Julię. W ciągu minionych dwóch lat stracił też szacunek dla samego siebie; przyczyniło się do tego zachowanie Carrie i świadomość własnej sprzedajności. Chciwość uczyniła go więźniem kaprysów i manipulacji kuzynki. Tak bardzo pragnął tego domu, tej ziemi, że stracił jasność widzenia. Julia miała rację, mówiąc mu kiedyś, że sprzedał własną duszę. Jeśli nawet nie był jeszcze tak szalony jak kuzynka Carrie, to w każdym razie widział w sobie cechy, prowadzące do tego, że mógł za parę lat pójść w jej ślady. Potrzebę prywatności, która za jakiś czas uczyni z niego pustelnika. Rezerwę wobec ludzi, która może przerodzić się w mizantropię. I brak poczucia bezpieczeństwa, który z czasem przekształcił się w skąpstwo.

Wniosek był tylko jeden: Sixfields go do tego wszystkiego doprowadziło. Trzeba więc opuścić Sixfields. Jack przeczuwał to od wielu tygodni, od wielu miesięcy. Od śmierci Willa wiedział, że musi jakoś za wszystko odpokutować. Ściskając szklankę w rękę, popatrzył przez okno na ziemię, którą tak kochał. Dziwne, pomyślał, że wciąż ma w sobie tak żywe uczucia wobec tego miejsca. Nadciągała jesień, wiatr zrywał ostatnie suche liście z drzew. Jeszcze parę tygodni i czarne, nagie gałęzie będą wyglądać jak pociągnięcia pióra na tle

ciemniejszego nieba. A jego tu nie będzie. A on nie będzie już wdychał ostrego mroźnego powietrza, nie będzie patrzył na przezroczystą, srebrną warstewkę lodu wypełniającego bruzdy na ziemi.

Następnego dnia wybrał się w odwiedziny do matki. Gdy powiedział, z czym przyszedł, Prudence zapytała:

– Mam więc stracić obu synów? – W jej oczach rozblęły przerażenie i gniew, który wciąż się tam czał od śmierci Willa.

– Muszę wyjechać na jakiś czas – powiedział Jack. – Ale obiecuję, że kiedyś wrócę do domu. Będę dzwonił, będę pisał.

– To z powodu Julii?

– Muszę zniknąć z jej życia.

Zapadła cisza. Prudence piekła właśnie struclę z jabłkami. Podważyła ciasto nożem i zaczęła kroić je na kawałki.

– Mówiłeś już Carrie?

– Powiedziałem jej wczoraj.

– I jak to przyjęła?

Jack doskonale pamiętał tę nieprzyjemną scenę. Carrie wrzeszczała na niego. „Jeśli ci się wydaje, że będę na ciebie czekać, jeśli sądzisz, że twoje imię pozostanie w moim testamencie, gdy raczysz wrócić do domu, to bardzo się mylisz!”.

– Nie jestem pewien, czy przejęła się tym rzeczywiście. Zdaje się, że rozczarowałem ją przez te dwa lata. Ale się zdenerwowała.

Matka odłożyła nóż.

– Jest coś, czego nie mogę znieść, Jack, coś, co wciąż budzi mój gniew. Tyle lat na ciebie czekałam. Tyle lat się za ciebie modliłam. Tyle lat leżałam w ciemnościach i myślałam o tobie. A potem, gdy już wróciłeś szczęśliwie do

domu, Will zginął w taki sposób... zabiła go mina... zabrała mi go wojna, która się dawno skończyła... – Prudence zakryła twarz pobrudzonymi mąką dłońmi i zaszlochała.

Carrie nie wierzyła, że Jack naprawdę odejdzie, póki nie zobaczyła, jak znika w oddali z chlebakiem i walizką. Myślała, że pieniądze go zatrzymają. Że Sixfields go zatrzyma. Gdy zniknął jej z oczu, odwróciła się i pokuśtykała na dół. Nie mogła przecież pozwolić, by jego odejście zakłóciło jej rutynę, zakłóciło tok jej dnia wypełnionego ciężkimi obowiązkami. Dlaczegoż by ziemia i dom nie miały przynieść jej pocieszenia.

Gdy jednak mimo upływu czasu czuła pustkę, zaczęła rozumieć. Przywiązała się do tego chłopca. Do Jacka Chancellora. Co za idiota, pomyślała. Jej laska postukiwała o podłogę i o bruk na dziedzińcu.

Co za idiota. Popęłnił dwa razy ten sam błąd.

Julia nie płakała po wyjeździe Jacka. Wiedziała, że straciła ich obu, Jacka i Willa. Straciła obu swych najstarszych przyjaciół, ale od żałobnego nabożeństwa nie uroniła ani jednej łzy.

Zaczęła się natomiast pakować. Marius zauważył, że chodzi po domu i zbiera wszystkie swoje rzeczy.

– Wracam do Hidcote Cottage – oświadczyła, wyjmując chusteczki i pończochy z komody.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

– Tam będzie spokojniej. Odpocznę od waszego przedszkolnego hałasu!

– Uśmiechnęła się lekko.

– Ja też się cieszę, gdy mogę rano uciec do pracy – przyznał. Julia składała pończochy w pary.

– Jak sobie poradzisz? – zapytał.

– Znajdę jakąś pracę na pół etatu. Na przykład w sklepie. – Zaczęła wrzucać pończochy do koszyka. – Muszę coś robić, Marius –wyznała. – Potrzebuję pieniędzy. Nie chcę być od nikogo zależna. Nie zniosłabym tego.

– Dlaczego nie wrócisz do firmy? – zagadnął Marius, a Julia popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Mówisz poważnie?

– Całkowicie. Potrzebujemy pomocy, a ty się na tym znasz. Julia gniotła w rękach lnianą bluzkę.

– Nie mówisz tak przez grzeczność?

Marius pokręcił głową.

– Myślałem o tym, by znów otworzyć filię w Londynie. Gdybyś ty pracowała w Great Missen, mógłbym spędzać w Londynie parę dni w tygodniu.

Julia oparła się o kaloryfer. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez okno i ogrzewały jej szyję.

– Bardzo bym chciała, Marius. Bardzo. Ale... – zerknęła na swój brzuch – ... dziecko...

– Wiesz przecież, że mama nie może się doczekać wnuka. Jestem przekonany, że z przyjemnością ci pomoże. Spróbuj, może ta praca ci się spodoba.

Julia nie miała wątpliwości, że jej się spodoba. Po raz pierwszy od śmierci Willa spojrzała na świat z optymizmem. Wyjrzała przez okno. Suzanne zbierała zabawki z trawnika.

– Na początku waszego małżeństwa mieliście pewne kłopoty, prawda?

– Można to tak określić. – Marius się uśmiechnął.

– Kłóciliście się?

– Nie za często. Rzecz polegała raczej na tym, że choć byliśmy małżeństwem, każde z nas miało swoje własne życie.

– Ale teraz wszystko jest w porządku, prawda?

Marius nie odpowiedział i Julia spojrzała na niego ze zdziwieniem. Stał koło niej i też popatrzył przez okno. Jego spojrzenie przyłgnęło do Suzanne poruszającej się w ogrodzie.

– Wydawało mi się, że z nami też będzie coraz lepiej – wyjaśniła Julia. – Ze mną i z Willem. Tak jak z tobą i Suzanne. Chciałam o to walczyć. A teraz już nie mogę.

– Małżeństwo to niełatwa sprawa. Na początku obie strony mają ogromne oczekiwania. A tymczasem najczęściej nie wszystko wychodzi tak jak trzeba. Tobie zabrakło czasu, Julio. Staralaś się, jak mogłaś najlepiej.

– Nie, nie starałam się. I właśnie o to chodzi. – Zaciśnęła dłonie.

– Spotykałam się z Jackiem, Marius. W czasie małżeństwa z Willem spotykałam się z Jackiem – powtórzyła, by nie było żadnych wątpliwości. – Nie mieliśmy romansu. Sprawy nie zaszły tak daleko. Ale to była tylko kwestia czasu. – Julia czuła, że musi o tym komuś powiedzieć, a Marius znał ją najlepiej. Teraz zastanawiała się, czy ją potępi, czy ją osądzi.

– Ludzie nie zawsze kochają się w taki sam sposób. Nie można się zmusić do miłości. Zdarza się, że ona wcale nie przychodzi.

Zaskoczyła ją niezwykła gorycz w głosie brata. Marius odsunął się od okna, a Julia spostrzegła, że Suzanne gdzieś zniknęła. Przez chwilę miała ochotę zapytać go o coś jeszcze, ale wiedziała, że jest równie dumny i skryty, jak ona. Temperleyowie nie lubią obnażać swoich dusz, pomyślała. Liżą rany po kryjomu, pokazując światu opanowaną twarz, którą niektórzy uważają za oznakę chłodu emocjonalnego.

– Cieszę się z powodu tego dziecka. Na początku wcale go nie chciałam. Pomyślałam, że to idiotyczne: stracić Willa i wylądować z jego dzieckiem. Ale potem przyszło mi do głowy, że w ten sposób mogę wynagrodzić mu nasze małżeństwo. Zamierzam być dobrą matką, Marius – oznajmiła stanowczo.

– Wolisz chłopca czy dziewczynkę? – spytał z uśmiechem. Przypomniała sobie hałaśliwych chłopców z przedszkola Suzanne i wzruszyła ramionami.

– Dziewczynkę – oznajmiła zdecydowanie. Wyobraziła sobie jasnowłosą, niebieskooką, delikatną jak Will córeczkę. – Słodką, cichą dziewczynkę.

Przez kilka tygodni po śmierci Willa Topaz ciągle się wydawało, że gdzieś go widzi. Spostrzegła jakąś jasną czuprynę na stacji metra i zerwała się z miejsca, by wysiąść na niewłaściwym przystanku. Zdarzało się, że czekając na autobus na Tottenham Court Road, zwracała uwagę na jakiegoś przechodnia, którego krok wydawał się jej dziwnie znajomy, i przebiegała przez jezdnię, nie zważając na trąbiące samochody i wymachujących pięściami taksówkarzy, tylko po to, by w końcu stracić tamtego z oczu albo przekonać się, że to nie Will, ale obcy człowiek, wcale do niego niepodobny.

Pewnego wieczoru wydało jej się, że zobaczyła go w kinie. Nie zastanawiała się, jakim cudem Will Chancellor, który zmarł sześć tygodni temu, mógłby siedzieć w kinie na Leicester Square. Przecież zawsze lubił filmy grozy. Pobiegnęła przejściem między rzędami foteli, przeskakując torby i parasole i mrużąc pod nosem przeprosiny. Gdy zawołała go po imieniu, obrócił się ku niej jasnowłosy mężczyzna ze zniekształconą bliznami twarzą. Domyśliła się, że to były lotnik RAF-u, który uległ poparzeniu w myśliwcu, nie mogąc się wyplątać spomiędzy metalowych urządzeń i sznurków spadochronu.

Charlie znalazł ją na schodach przed kinem. „Myślałam, że to on”, powiedziała, przyciskając dłonie do mokrej od łez twarzy. A potem czując, że musi się komuś zwierzyć, i usprawiedliwiając się tym, że Charlie nie należy przecież do rodziny, opowiedziała mu o rozmowie na plaży w Henscombe. O tym, że Will miał jakieś kłopoty. I o tym, że chciał uciec, by zacząć wszystko od nowa. Żeby stać się kimś innym.

Wyjaśniła też, że wypadek zdarzył się dwa dni później. Zaledwie dwa dni później. I nigdy nie odnaleziono zwłok. Pół tuzina świadków widziało, jak trzech mężczyźni wychodzili z pubu. A potem zauważono samochód Willa nieopodal portu. Nie znaleziono jednak ciała, które można by pochować, złożyć w ziemi na wieczny odpoczynek. Odbyło się tylko nabożeństwo żałobne. Topaz wydało się ono pustym gestem, pozbawionym oczyszczającej mocy. Czy to jednak nie dziwne (wyraźnie oczekiwała, że Charlie się z nią zgodzi), że Will zniknął wkrótce po tym, gdy opowiedział jej o swym marzeniu?

Topaz urwała w pół słowa, widząc wyraz twarzy swego towarzysza. Charlie objął ją ramieniem i opowiedział o wypadku, do którego doszło w czasie wojny, gdy stacjonowali w Szkocji. Wóz z amunicją wybuchł niespodziewanie podczas ćwiczeń. Wielka eksplozja zabiła pół tuzina żołnierzy. Charlie należał do grupy, wysłanej na miejsce wypadku. Po mężczyznach stojących najbliżej wozu pozostało niewiele, zaledwie porzucane strzępy ciał. Nie było kogo pochować, bo nie odnaleziono żadnych trupów. Mina, na którą natrafiła „Katie Rose”, była prawdopodobnie duża, miała przecież zniszczyć opancerzony kadłub okrętu wojennego. Niemożliwe, by ktokolwiek przeżył wybuch takiego ładunku.

Topaz wiedziała, że Charlie mówi o tym, sądząc, że lepiej jak najszybciej rozwiąć złudne nadzieje, i przeczuwając, że źródłem jej wątpliwości jest opór

przed pogodzeniem się z tą stratą. Próbowwała więc sobie wyobrazić, że Will przemienił się w pył na powierzchni morza, że zmieszał się z muszelkami, koralami i piaskiem. Z biegiem czasu tamte wizje zdarzały się coraz rzadziej i Topaz przestała się oglądać za każdym jasnowłosym mężczyzną. Nigdy więcej nie mówiła nikomu o swych podejrzeniach, chociaż pozostał w niej cień wątpliwości. Przyzwyczaiała się jednak traktować te zastrzeżenia podobnie jak inni, jako – w najlepszym razie – coś w rodzaju naiwnego optymizmu – w najgorszym zaś jako niezdolność do udźwignięcia prawdy.

Czasami jednak budziła się w środku nocy i myślała o Willu. Przypominała sobie Willa z lat szkolnych, z poplamionymi atramentem palcami, zapisującego numery rejestracyjne samochodów w notesie. Willa za kierownicą samochodu, gdy ścigał się z pociągiem, którym przyjechała do Dorset po siedmiu latach nieobecności. Willa stojącego na brzegu morza i wyznającego, że wpadł w tarapaty. Co on takiego zrobił? Co myślał o swym postępku? Czy powiedziała wtedy coś niewłaściwego? Czy powiedziała za mało, czy może za dużo? Wspomnienia nie dawały Topaz spokoju.

Starala się skupić na codziennych sprawach. Na swej nowej pracy w restauracji przy Landbroke Grove i na Charliem, którego życie zaczęło się zmieniać. Latem w Bornemouth (tam, gdzie w garderobie były papierowe muchomory i gdzie Sylvia tak się upiła) zauważył go ktoś bardzo wpływowy. Charlie dostał rolę w „Końcu podróży” w teatrze przy Hampstead. To zupełnie coś innego, tłumaczył Topaz z wypiekami na twarzy. Tym razem nie będzie dwóch przedstawień każdego wieczoru i podziału wyimaginowanych zysków między członków rozpadającej się trupy złożonej ze studentów i byłych gwiazd. Ani tandetnych dekoracji i pijanych aktorów. W tym teatrze występują ambitni profesjonaliści.

Przedstawienie odniosło sukces i dostał stały angaż, zyskując tym samym nowe możliwości. Uśmiech losu zmienił Charliego, przydał mu pewności siebie i oddalił wątpliwości, które przedtem go często nawiedzały. Topaz cieszyła się jego szczęściem, zadowolona, że w końcu osiągnął to, o czym marzył. Sama grzała się w promieniach jego sukcesu, dotrzymując mu towarzystwa podczas przyjęć i koktajli albo kochając się z nim w jego nowym mieszkaniu w Finsbury Park. Tak długo czekał na sukces, że nie chciała psuć mu humoru, zdradzając się ze swą trwającą wciąż żalobą.

Rzadko się widywali ze starymi znajomymi z kawiarni przy Leicester, Square. Jerry został nauczycielem w Bassingstoke. Jedyne spotkanie Charliego i Donalda po samobójczej próbie Heleny omal nie skończyło się bójką. Zgodnie z postanowieniem sądu Helena po wyjściu ze szpitala musiała pojechać do rodziców do Maidstone. Topaz odwiedzała ją raz w miesiącu. Czuła się wówczas tak, jakby patrzyła na kogoś starającego się wyjść z bardzo głębokiej studni. Helena od czasu do czasu próbowała wyciągnąć dłoń ku światłu tylko po to, by wpaść jeszcze głębiej i znów zacząć długą, mozolną wspinaczkę w ciemnościach.

Charlie miał wielu nowych przyjaciół. Wyjątkowych, eleganckich przyjaciół. Ci ludzie nie szyli sobie kopii modnych kreacji ze ścinków i tafty, ale nosili stroje z metką Diora. Topaz i Charlie nie chodzili już do zadymionych klubów jazzowych, nie oglądali francuskich filmów w ciasnych wynajętych salkach. Spotykali się z tymi nowymi znajomymi w eleganckich restauracjach lub w modnych pubach. Nie musieli wciskać się bez zaproszenia na przyjęcia, bo wszędzie ich zapraszano.

Pośród nowych przyjaciół Charliego byli aktorzy, dziennikarze, tancerki, modelki, osoby z towarzystwa. Tworzyli rodzaj grupy, do której nie mógł

należć nikt zbyt stary, zbyt prostoduszny czy zbyt biedny. Wszyscy byli bowiem przystojni, dowcipni, wszyscy mieli poczucie humoru. Uwielbiali Charliego, a on uwielbiał ich. Kobiety przypominały Topaz dziewczęta, które dobrze znała ze szkoły: śliczne, inteligentne, pewne siebie, zbuntowane. Dziewczęta, które nigdy nie wątpiły, że mają cały świat u stóp. Trzymały pióra szczupłymi, sprawnymi palcami i wypisywały zaproszenia na kolacje i na koktajle. „Przyprowadź kogoś, mówiły. Przyprowadź tę przyjaciółkę, swoją dziewczynę, narzeczoną. Przyprowadź tę zabawną dziewczynę. Przyprowadź Topaz”. Topaz nie dziwiła się ich kłopotom z określeniem jej statusu. Sama nie była bowiem pewna, jaką odgrywa rolę w życiu Charliego.

Zdarzało się, że nie widywali się całymi tygodniami. Przedstawienia kończyły się późno, w ciągu dnia bywał na próbach, a popołudniami grał w dodatkowych przedstawieniach. Topaz tłumaczyła sobie, że tak jest lepiej, że byłoby fatalnie, gdyby przez cały czas siedzieli sobie na karku. To dobrze, że nie są od siebie zależni, to dobrze, że nie jest dziewczyną, która sprząta dom i piłuje paznokcie wieczorami, gdy jej chłopak pracuje. Czasem jednak patrzyła w lustro i zadawała sobie pytanie, czy wszystko nie wyglądałoby inaczej, gdyby ona była inna. Gdyby miała szczupłą, piękną twarz. A także proste i gładkie włosy, sięgające do ramion. Gdyby miała większe oczy, pełniejsze usta, zgrabniejszy nos.

Topaz uwielbiała swą pracę w restauracji i zastanawiała się, czemu wcześniej o tym nie pomyślała. W tych wszystkich okropnych biurach jej palce musiały stukać w maszynę do pisania, podczas gdy przecież były stworzone do tego, by ciąć, obierać czy ubijać. Topaz była kelnerką, ale pomagała też w kuchni. Właścicielką restauracji, która nosiła zresztą jej imię, była Francuzka, Angélique. Angélique wyszła za mąż za angielskiego żołnierza i uciekła z nim

z Dunkierki w 1940 roku, po upadku Francji. Nie znosiła angielskiej kuchni i pogardzała tym, co oferowali angielscy rzeźnicy i sklepikarze. Przemyciała więc wiele produktów ze swej rodzinnej farmy we Francji: błyszczące, ciemne oberżyny, kolczaste, niebieskoszare karczochy, czerwone jak rubiny papryczki chili i piękne, jasne ziarna fasoli. Topaz nigdy nie widziała niektórych spośród używanych w restauracji warzyw i owoców, inne zaś ledwo pamiętała z dzieciństwa. Angelique nauczyła ją przygotowywać lśniący i jedwabisty sos beszamelowy, francuskie ciasto, które rozpływało się w ustach, pyszną zupę cebulową i delikatne bezy w sosie śmietanowym.

Topaz знаła wszystkich stałych klientów restauracji. Na lunch przychodzili nauczyciele, urzędnicy i studenci medycyny z pobliskiego szpitala. Poważni ludzie, którzy czytali podręczniki albo naukowe czasopisma, jedząc zupę vichy i przegryzając krokietem. Coście, przychodzący wieczorem, przyprowadzali swoje żony, miłe kobiety w eleganckich niegdyś, ale mocno już podniszczonych ubraniach. Kobiety współczuły Topaz, która musiała tyle stać i biegać. A ich mężowie wspominali przedwojenne wakacje spędzane we Francji. „Pamiętasz ten mały hotelik nad Loarą? Winnice i pola słoneczników. Złoto–różowe światło wieczorami”.

Pani Brooke, wciąż otoczona wielbicielami, narzekała, że Topaz tyle czasu spędza w restauracji. „Moja córka, mówiła, wykrzywiając znacząco usta, kelnerką!”. Topaz starała się udobruchać Veronicę, poświęcając od czasu do czasu popołudnie, by zagrać w brydża z jej wiecznie znudzonymi przyjaciółmi. Reakcja matki na śmierć Willa uświadomiła Topaz, że Veronica nie jest zdolna do żadnych uczuć. To spostrzeżenie niewiele jednak zmieniło: Topaz wciąż pragnęła jakże rzadkich czułych słów i gestów albo jeszcze rzadszego poczucia więzi emocjonalnej z matką. Nie potrafiła wyzbyć się pragnienia miłości i

akceptacji i wciąż podejrzewała, że nie zaznaje ich tylko ze względu na własne wady. Nauczyła się jednak nie oczekiwać za wiele, nie przykładać zbyt wielkiej wagi do matczynej aprobaty lub niechęci. Wydawało jej się, że wydorosłała.

RS

CZEŚĆ TRZECIA
Rozwiane złudzenia
(1950–1951)

12

Wiosną 1950 roku Topaz skończyła dwadzieścia jeden lat i mogła dysponować pieniędzmi, którą zostawił jej ojciec. Postanowiła wydać je na kurs gotowania w jednej z londyńskich szkół. Angelique serdecznie jej to jednak odradziła. W tego rodzaju szkołach dziewczęta przygotowują pulpet warzywny w galarecie albo mętne desery, udekorowane kandyzowanymi wiśniami i bitą śmietaną. Jeśli Topaz naprawdę chce się czegoś nauczyć, powinna pojechać do Francji, do matki Angelique.

Topaz spędziła więc sześć tygodni na farmie madame Caillot, nieopodal Chinon, w dolinie Loary. I to było prawdziwe objawienie. Chodziła na targi, gdzie powietrze pachniało ziołami – oregano, szalwią i tymiankiem, podziwiała malownicze stragany, zarzucone lśniąco, fioletowymi oberżynami, połyskującymi zielenią i czerwienią papryczkami chili i warkoczami białego czosnku. Przechadzała się między klatkami, w których kwakały kaczki i gdakały kury, zaglądając do glinianych mis, pełnych czarnych i zielonych oliwek i malutkich, słonych sardeli błyszczących jak klejnoty. Po dziesięciu latach postu wszystkie te smaki i zapachy niemal ją obezwładniały, przyprawiając o zawrót głowy. Czuła się tak, jakby zakosztowała magicznego, zakazanego owocu.

Madame Caillot nauczyła ją przyrządzać zupy i suflety. Topaz dowiedziała się, jak dusić cielecinę do weków, jak podawać solonego dorsza i smażyć omlety z grzybami. Przygotowywała langusty na maśle oraz małże w śmietanie. Popołudniami zaś wędrowała po cudownej, skąpanej w słońcu dolinie Loary, gdzie przed wiekami żyli francuscy królowie. Zwiedzała zamki, których smukłe, srebrne wieże zdawały się sięgać chmur, przechodziła przez

nieprawdopodobnie wąskie mosty nad chłodnymi fosami. W gorące popołudnia woda w sadzawkach i rzekach była ciemna, nieruchoma i bezdenna, a proporce na masztach zwisały smętnie w bezwietrzne dni. Topaz siadywała w cieniu, by napisać listy albo popróżnować trochę, wygrzewając się w słońcu i wdychając zapach trawy i rozgrzanej ziemi.

Po powrocie Londyn wydał jej się szary, zakurzony i zatłoczony. Matka nie omieszkała skomentować zgryźliwie jej piegów, ale Charlie całował je jeden po drugim, gdy po południu poszła z nim do łóżka. Przez szpary w żaluzjach do wnętrza sypialni wkradały się promienie słońca. Gdy Topaz zamknęła oczy, wydawało jej się, że znów jest we Francji. Powiedziała Charliemu, że powinni wybrać się razem za granicę, a on z uśmiechem ucałował kolejny pieg. Wyobraziła sobie, jak podróżują razem po Francji, jedzą kolacje w chłodnych, ciemnych restauracjach, zatrzymują się na pikniki na zielonych brzegach rzek. Przypomniała mu, że jeszcze nigdy nie byli razem na wakacjach. Obiecał, że wyjadą, gdy tylko uda mu się znaleźć trochę czasu.

Tego lata spędzali weekendy u znajomych Charliego. Jego nowi przyjaciele mieli wspaniałe domy, wille w East Dean albo w Hendon, urocze drewniane domki w Cotswolds lub w Sussex Downs. Zaprosił ich reżyser filmowy, David, Celia, która знаła samego Oliviera, oraz jasnowłosa, szczupłą Jennifer Audley, grająca w tym sezonie wszystkie główne role. Topaz patrzyła, jak Charlie się zmienia w towarzystwie tych ludzi, jak przejmuje ich żarty, a także zaraża się od nich lekceważeniem cudzych uczuć. Słuchała, jak modeluje swoją przeszłość tak, by pasowała do wyobrażeń na jego temat, i wymyśla sobie nową osobowość specjalnie dla tamtych. Czasem w ich towarzystwie z trudem go rozpoznawała.

Ale gdy byli sami, zachowywał się jak dawniej. Budziła się często o świcie i przyglądała się jego twarzy, gdy spał: wysokim kościom policzkowym, zgrabnemu nosowi, głęboko osadzonym oczom. Obracał się we śnie i obejmował ją ramieniem, a ich ciała pasowały do siebie tak idealnie, oddechy unosiły je w tym samym rytmie. Oto prawdziwy Charlie, powtarzała sobie każdego ranka, gdy budził się i przytulał ją z rozmarzonymi oczami.

We wrześniu pojechali na weekend do jakiegoś domu w Lewes. Po południu Charlie powiedział, że musi załatwić parę nudnych spraw, więc Topaz poszła sama do miasta, by zwiedzić księgarnie i antykwariaty. Wracając do domu, spostrzegła, jak Charlie i Jennifer Audley spacerują po ogrodzie. Zatrzymała się na chwilę, by popatrzeć. Srebrnozłote włosy Jennifer rozwiewał wiatr, a jej dłoń przepleciona była przez ramię Charliego. Słońce skryło się za chmurą i powiew wiatru strącił pierwsze liście z leszczyny. Scena, którą ujrzała, splotła się w jej wyobraźni z końcem lata: dłoń tamtej kobiety na ramieniu Charliego i garść suchych liści na trawie.

Pewnego dnia jedna z przyjaciółek poprosiła, by Topaz przygotowała kolację dla jej gości. Dziewczyna zgodziła się nie bez obaw. Na kolację miały przyjść cztery pary, a gospodyni obiecała dostarczyć kawę i wino. Żywność wciąż kupowano na kartki, a przy tym Topaz obawiała się, że suflet nie wyrośnie, a ciasto francuskie się przypali. Przygotowała więc bardzo proste menu: zupę z pasternaku i tartę cytrynową. Do gotowania zupy zabierała się dwukrotnie, ponieważ przyjaciel matki zadzwonił akurat wtedy, gdy zaczynała wrzeć, i mleko wykypiało. Jako danie główne podała solę z ziemniakami i zieloną fasolką szparagową. Czuła się dość niepewnie w obcej kuchni, zonglując garnkami i rondlami na niewielkich gazowych palnikach. Co będzie, jeśli zapomniała posolić ziemniaki? A jeśli fasolka okaże się włóknista?

Pracowała według szczegółowego planu i sprawdzała wszystkie składniki dwukrotnie, ale i tak nie mogła się pozbyć lęku, że kolacja zamieni się w katastrofę.

Jedna z porcji ryby rozpadła się na patelni, a fasolka trochę się rozgotowała, ale żaden z gości nie zauważył niedociągnięć. Gospodyni nie szczędziła jej komplementów, a dwóch gości poprosiło Topaz o numer telefonu, zapowiadając, że chętnie skorzystają z jej usług. Gdy sprzątała kuchnię, była wyczerpana, ale i szczęśliwa.

Nie musiała wiele robić, żeby interes zaczął się rozkręcać. Jeden z gości obecnych na tej pierwszej kolacji zaangażował ją, by przygotowała szwedzki stół przed przedstawieniem teatralnym. Potem bogaci, zajęci przyjaciele Charliego dowiedzieli się jakoś, że Topaz gotuje. „Chodzi tylko o skromną kolację, zapewniali, prosząc, by znalazła jakiś wolny wieczór w kalendarzu. Tylko szwedzki stół, nic poważnego, kochanie”.

Topaz nauczyła się układać menu, znajdując właściwe proporcje między daniami, które da się przygotować wcześniej, a tymi, które trzeba przyrządzić podczas przyjęcia. Przytrafiały jej się, oczywiście, różne niemiłe przygody. Kiedyś sos waniliowy zwarzył się w ostatniej chwili i w popłochu musiała szukać otwartego wieczorem sklepu, by kupić śmietanę. Innym razem kot gospodyni dobrał się do wędzonego łososia i Topaz musiała ratować danie, zdobiąc je plasterkami ogórka i cytryny. Jeszcze innym razem gospodarz, który wypił stanowczo za dużo, uznał, że przyniosła gotową kolację ze sobą, i gonił Topaz po kuchni, tak że musiała wypłoszyć go z pomieszczenia, używając wałka.

Penetrując nieznane zakątki Londynu, odkryła w Soho miejsce, gdzie sprzedawano gliniane naczynia kuchenne i miedziane garnki, takie same, jak

te, których używały Angelique i jej matka. Do innego sklepu sprowadzano różne produkty z kontynentu: zieleninę, cytryny, oliwę z oliwek, świeże makarony i migdały. Charlie często podwoził ją ze wszystkimi torbami i koszykami do domów, w których odbywać się miały przyjęcia, a potem jechał do teatru na przedstawienie. Czasem wracał po Topaz po kilku godzinach. Promieniał ze szczęścia, jeśli przedstawienie było udane, i patrzył spode łba, gdy było odwrotnie. Czasem jedli to, co zostało. Topaz czuła nagle, że jest śmiertelnie głodna. Charlie, zbyt podniecony, by jeść, ograniczał się do skosztowania befsztyka czy musu czekoladowego.

Matka zaczęła narzekać na zapach czosnku i bałagan w kuchni. Podczas przerwy na kawę w restauracji Angelique Topaz przeglądała ogłoszenia dotyczące mieszkań do wynajęcia. Gdy miała wolne popołudnie, odwiedzała malutkie mieszkanie przy Earls Court albo na Highgate. Pokazywano jej nieskazitelnie czyste kuchnie, przypominające do złudzenia szkolne laboratoria albo ponure, wiktoriańskie łazienki z popsutymi kranami i porysowanymi wannami. Zaglądała do szafek i pod zlewy, na wilgotne podwórka i do luksusowych ogrodów na dachach. W jednym z mieszkań między żarówką a okiennym parapetem rozciągały się wielkie pajęczyny, w innym podłoga tonęła pod stosami starych gazet. W jeszcze innym nie było nawet cienia kurzu, a Topaz mogła się przejrzeć w wypolerowanej podłodze. Nigdzie nie było tak, jak trzeba. Topaz wyczuła, że pośrednicy, do których dzwoniła, zaczynają się już trochę niecierpliwic. A ona szukała czegoś wyjątkowego. Szukała domu.

Śmiertelnie zmęczona Julia, nie mogąc poradzić sobie z chaosem, wspominała czasem nocną rozmowę z Mariusem. Gdy mu powiedziała, że spodziewa się słodkiej, cichej dziewczynki. No cóż, nie urodziła słodkiej, cichej dziewczynki, tylko Williama. Ważył prawie cztery kilogramy i nie

przespał ani jednej nocy przed ukończeniem czwartego miesiąca, a nawet później budził się o wpół do szóstej, krzycząc wniebogłosy, co zresztą robił nader często podczas pierwszych osiemnastu miesięcy swego życia.

Początki macierzyństwa wspominała jako wielką udrękę. Nie miała pojęcia, że można być aż tak zmęczoną, nie wiedziała, że ona – pogodna, świetnie radząca sobie ze wszystkim Julia Temperley –mogła się przeobrazić w szlochające stworzenie, które dopiero koło południa zauważyło, że od świtu chodzi w wywróconym na lewą stronę swetrze i że z nieznanej bliżej przyczyny zostawiła klucze od domu w zlewie. A gdy sześciomiesięczny William, wrzeszcząc z frustracji i złości, zaczął się przemieszczać po podłodze, by sięgnąć po jakiś wspaniały, choć śmiertelnie niebezpieczny przedmiot, Julii przybyło powodów do zmartwień i niepokoju, który uznała za nieodłączną cechę macierzyństwa. Bała się, że William włoży palce do kontaktu czy też pociągnie za kabel od lampy i zrzuci ją sobie na głowę albo że otworzy zręcznymi paluszkami szafkę pod zlewem i zatruje się płynem do czyszczenia. Mały był nieustannie posiniaczony i podrapany. Gdy Julia wymieniała uprzejmości z innymi matkami podczas zakupów, widywała śliczne małe dziewczynki z gładko uczesаныmi włoskami, różowymi buziami bez żadnych zadrapań, w czystych, różowo-białych śpioszkach. William miał zawsze fioletowo-żółte siniaki na czole, strupy na kolanach i rozdarte przed godziną nogawki. Julia nie miała wątpliwości, że najchętniej ciągnąłby spotkane dziewczynki za ich śliczne loczki.

Przed urodzeniem dziecka Julia postanowiła być dobrą matką. Wydawało jej się bowiem, że to jedyny sposób, by wynagrodzić nieudane małżeństwo Willowi. Czy jednak dobre matki oddychają z ulgą, gdy budząc się o poranku, stwierdzają, że właśnie tego dnia muszą iść do pracy? Czy dobre matki czują

się tak, jakby kamień im spadł z serca, gdy oddają swego jedynaka którejś z babć? Czy zatrzymują samochód w drodze z pracy i zamykają oczy, by jeszcze przez chwilę napawać się ciszą i spokojem?

A przy tym wszystkim Julia uwielbiała Williama. Był jej oczkiem w głowie, jej pępkiem świata. Kochała jego błękitne oczy i jasną czuprynę, którą odziedziczył po ojcu. Cieszyła się jego niespożytą witalnością, tym, że obracał się, siadał, raczkował i chodził znacznie wcześniej niż wzorcowe dzidziusie z książek o pielęgnacji niemowląt. W skrytości ducha podziwiała nawet jego upór i bezkompromisowość, rozpoznając w tym własne cechy. Nawet wtedy, gdy ze zmęczenia nie była w stanie myśleć logicznie, wiedziała, że najprawdopodobniej zanudziłaby się na śmierć, mając słodkie, grzeczne maleństwo. Czasem marzyła o tym, by mieć pół tuzina synów, zarazem wiedziała jednak, że nigdy nie pokocha żadnego dziecka tak, jak Williama.

Bo Julia go uwielbiała. Mając za sobą nieudane małżeństwo i nieskonsumowany romans, sądziła, że wie wszystko na temat miłości. A przecież żadnego ze swych związków emocjonalnych – ani z ojcem, ani z Willem, ani z Jackiem – nie przeżywała tak intensywnie jak miłości do synka. Miłość ta przyszła nieoczekiwanie i w jednej chwili – gdy położna umieściła dziecko w jej ramionach. Jego płacz rozdzierał jej serce, jego śmiech wystarczał, by czuła się szczęśliwa. Gotowa była kłamać, kraść i zabijać dla niego. W najstraszliwszych chwilach, gdy musiała z nim jechać do szpitala, gdy stracił przytomność podczas nieudanej próby wdrapania się na szafę i kiedy mając półtora roku, gorączkował, chory na różyczkę, Julia czuła, że nie przeżyje, jeśli Williamowi przytrafi się coś złego. Gdyby go straciła, straciłaby najlepszą część swego serca. Wiedziała, że pełen temperamentu syn na dobre zawładnął jej sercem.

Gdy William miał trzy miesiące, przeprowadziła się z Hidcote Cottage do Longridge. Hidcote Cottage nie nadawał się do wychowywania dzieci: koła wózka wiecznie się blokowały w błocie, a poczucie izolacji potęgowało niepokój i niepewność Julii w pierwszych miesiącach, gdy niezbyt ufała swemu instynktowi macierzyńskiemu. Wyprowadzała się z mieszanymi uczuciami, szczęśliwa, że nie będzie musiała się borykać z piecem i pralnią w zimnej komórce. Czuła jednak zarazem, że opuszczając swój pierwszy małżeński dom, żegna się z Willem na dobre. Gdy po raz ostatni zamykała za sobą drzwi, ogarnęły ją wspomnienia i obrazy z przeszłości: Will na ścieżce, oświetlający sobie drogę latarką; oboje z Willem przytuleni na sofie podczas tej pierwszej strasznej zimy, zapatrzeni w ogromne płatki padającego śniegu. Starła się odgrodzić od ostatnich wspomnień o kłótniach i zdradzie, o jego nieobecności i śmierci.

Wynajęła niewielki domek na przedmieściach Longridge. Były tam dwie sypialnie, salonik, kuchnia i łazienka na piętrze. William mógł się bawić w ogródku za domem, a Julia mogła zaparkować starego astona martina, którego pożyczył jej teść, na dróżce przed frontowymi drzwiami. Domek był kilkakrotnie mniejszy niż Missencourt. Staroświecki dekor na ścianach, przetarty i łuszczący się tu i ówdzie, z czasem został ozdobiony śladami malutkich rączek i dziecięcymi bazgrołami. Meble przywiezione z Missencourt zajmowały stanowczo za dużo miejsca w niewielkich pokojach.

Julia była tu jednak szczęśliwa o tyle, o ile w ogóle potrafiła być szczęśliwa. Jej emocje falowały; nie było równowagi między niepokojem, zadowoleniem i wycieńczeniem, przeważało wycieńczenie. W pogodne dni zabierała synka na spacer, mając nadzieję, że mały trochę się zmęczy. Gdy William zrywał garściami trawę albo skakał po kałużach, jego matka

rozglądała się po dolinie. W oddali widać było masywną sylwetkę Sixfields, na poły ukrytą za zielono–złotymi wzgórzami.

Ze względu na Williama Julia starała się zintegrować z mieszkańcami Longridge, choć wiedziała, że nigdy jej się to nie uda. Większość młodych matek, których mężowie najmowali się do pracy na farmach, z onieśmieleniem skrzyżowanym z zazdrością patrzyła na Julię Temperley, mówiącą całkiem inaczej i pochodzącą z bogatej rodziny. To, że sama pracowała, prowadziła samochód i nosiła futro (czterdziestoletnie wprawdzie i zjedzone przez mole), oddalało ją jeszcze bardziej od owych miłych i wesołych żon i pań domu. Julia miała poczucie, że jej tryb życia stanowi niejasne wyzwanie dla systemu wartości tych kobiet, które po wojnie z ulgą powróciły do domowych i rodzinnych obowiązków. Przyjmowały wprawdzie jej zaproszenia i przyprowadzały swych małych synków, by William miał się z kim bawić, ale Julia wiedziała, że nigdy nie będzie uczestniczką ich spotkań przy kawie czy herbacie. Gdy latem chodziła rano do sklepów, słyszała wybuchy śmiechu i szmer intymnych rozmów dobiegający z ogródków.

W firmie też nie czuła się najlepiej. Coś się zmieniło od czasu wojny; akceptacja, której doświadczyła wówczas, gdy zastąpiła zmarłego ojca i nieobecnego brata, zniknęła. Wtedy była traktowana jak bohaterka, teraz zaś jak dziwoląg. Podczas wojny wiele technicznych zajęć wykonywały kobiety, które zajęły stanowiska swych nieobecnych mężów. Obecnie w warsztatach pracowali sami mężczyźni. Julia doznała kilku drobnych upokorzeń: niektórzy rozmówcy brali ją przez telefon za sekretarkę Mariusa, niektórzy przedstawiciele handlowi poklepywali po siedzeniu, żądając spotkania z szefem. Musiała wysłuchać gorszących obelg pracownika, którego wyrzuciła z pracy za notoryczne spóźnienia. Kiedyś w toalecie usłyszała przypadkiem

rozmowę pakowaczek: „Biedny chłopczyk, stracił ojca, a na dodatek matka zostawia go na pastwę losu, żeby tu przychodzić. Coś okropnego, prawda?”. Julia zamarła bez ruchu i z trudem powstrzymywała się od łez, zastanawiając się, czy rzeczywiście zaniedbuje Williama i czy te kobiety nie mają racji. Tkwiła w kabinie, rozważając wybór, którego dokonała, i zadając sobie pytanie, czy nie rani w ten sposób małego człowieka, którego kocha najbardziej na świecie.

Jack opuścił Dorset przed dwoma laty, ale Julia śledziła jego losy na podstawie listów, jakie pisywał do Prudence. Wiedziała, że mieszka w Kanadzie, w Saskatchewan i pracuje na farmie. Po narodzinach Williama dostała przesyłkę od Jacka. Znalazła w niej wspaniałego pluszowego misia dla synka i porcelanowego, czarnego – jak Salem – konia dla siebie. Nie było żadnej kartki, ale Julia doszła do wniosku, że to propozycja zawieszenia broni. William bardzo polubił pluszową zabawkę. Miś szybko przestał być wspaniały, od kąpieli w kałużach i wanience złote niegdyś futro zrobiło się szare i matowe. Koń zaś stanął na kominku jako symbol niegdyśszego beztroskiego życia Julii. Nie jeździła konno od czasu pamiętnego upadku z Salema. Macierzyństwo ją odmieniło; teraz uważała nie tylko na dziecko, ale i na siebie. Wiedziała, że dla dobra syna musi o siebie dbać. William nie miał przecież poza nią żadnego innego oparcia.

Jack kochał ją kiedyś za nieustraszony charakter. Julia zastanawiała się czasami, co myślałby o niej teraz, kiedy spodziewała się, że niebezpieczeństwo może czyhać na każdym kroku. Podczas zakupów mocno trzymała Williama za szelki; jeździła samochodem wolno i ostrożnie. W pewnym sensie cieszyła się, że Jack opuścił Sixfields. Wszystkie swe uczucia ulokowała w synu i często

myślała, że gdyby nawet Jack wrócił kiedyś do domu, to nie miałyby mu wiele do zaoferowania.

Przy śniadaniu Marius pokazał Suzanne zaproszenie.

– „Tom i Linda Page” – przeczytała. – Kto to?

– Tom był moim sierżantem w wojsku – wyjaśnił. – Od lat go nie widziałem. Porządny gość. – Państwo Page zapraszali na przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy ślubu. – To kawał drogi, chyba nie pojedziemy do Londynu tylko na przyjęcie, jak sądzisz?

Suzanne nic nie odpowiedziała, ale w jej oczach pojawił się wyraz, który zawsze Mariusa niepokoił. Wyraz starannie ukrywanej rozpacz.

– Chyba że masz ochotę pojechać? – dodał czym prędzej.

– Może to niezły pomysł? Od dawna nigdzie nie byliśmy.

– Jasne, właściwie dlaczego nie? Warto by pojechać na cały weekend. Zjeść obiad w jakimś przyzwoitym miejscu. Mogłabyś zrobić zakupy. Chętnie zobaczę się z Tomem po latach.

Zatrzymali się w małym mieszkanku na Holborn, które Marius kupił w zeszłym roku. Popołudnie spędzili na Regent Street, chodząc po sklepach. Potem zjedli obiad w Savoyu i pojechali na przyjęcie.

Page'owie mieszkali w Mortlake, w południowym Londynie, w szeregowcu z ceglanym tarasem. Nieopodal płynęła rzeka, ciemna i gładka, a nad powierzchnią wody snuły się tajemnicze mgiełki.

W niewielkim domku panował straszny ścisk. Goście tańczyli w wielkim tłoku do muzyki płynącej ze skrzeczącego gramofonu, Tom wydał się Mariusowi prawie niezmieniony, może trochę cięższy i bardziej łysy. On i Suzanne natychmiast przypadli sobie nawzajem do serca. Tom urodził się i wychował w Stepney; bawili się na tych samych ulicach, chodzili do tych

samych szkół. Jego żona, Linda przez pewien czas pracowała w tym samym warzywniaku, co Suzanne. Tom poprosił Suzanne do tańca i wtopili się razem w podrygujący rytmicznie tłum.

Marius wypił w kuchni piwo. Gdy wrócił do pokoju, okazało się, że jego żona wciąż tańczy, tyle że z innym partnerem. Marius uzmysłowił sobie, że od wielu miesięcy nie widział jej tak szczęśliwej. Kiedy ostatnio byli na tańcach? Wiele lat temu, jeśli nie liczyć wieczoru u Barringtonów, kiedy to dreptali pośród innych par do muzyki sprzed dwóch dekad. Teraz Suzanne tańczyła tak żywiołowo, że ciemne kosmyki wymykały się ze starannie ułożonej fryzury. Marius zauważył spojrzenia, jakimi obrzucał ją partner. Zresztą połowa mężczyzn ją obserwowała. Marius zadrżał, choć w zatłoczonym domu było bardzo gorąco.

Wiedział, że małżeństwo odcięło Suzanne od życia, do którego przywykła. Marius wściekał się sam na siebie. Tego samego wieczoru zabrał przecież żonę na kolację do Savoyu, w przekonaniu, że to wielka atrakcja. A przecież to wcale nie była dla niej przyjemność. Jeśli nawet on nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest tam intruzem, wyróżniającym się akcentem, strojem i sposobem bycia, to jak czuła się Suzanne?

I jak czuła się w Missencourt, na wsi, której nigdy nie rozumiała i nigdy nie polubiła? Nie narzekała wprawdzie, starając się uczestniczyć w życiu okolicy, zorganizowała nawet przedszkole, aby mieć jakieś zajęcie. Lecz czy nie byłaby szczęśliwsza, gdyby mieszkała w mieście, które znała i kochała?

Marius nie widział jednak żadnej możliwości, by porzucić Missencourt. Życie połowy mieszkańców Great Missen zależało od zatrudnienia w jego fabryce. A poza tym nie mógłby przecież zostawić matki samej, nie mógł

rozdzielić jej z ukochaną wnuczką. Adela nie czuła się najlepiej. Nie dałaby sobie rady z ogromnym domem i wielkim ogrodem.

Małżeństwo związało Suzanne nie tylko z Mariusem, ale też z jego rodziną. Lęk, który nigdy w gruncie rzeczy go nie opuszczał, lęk, że Suzanne w skrytości ducha żałuje swej decyzji, wypłynął na powierzchnię, gdy Marius patrzył, jak jego żona tańczy. Uderzyła go nagle myśl, że nigdy nie będzie jej pewien. Że zawsze będzie miała w sobie coś nieuchwytnego, coś co nie przestanie mu się wymykać.

Gdy wyszli z przyjęcia i skręcili na główną drogę, by złapać taksówkę, Suzanne wsunęła mu rękę pod ramię i powiedziała z uśmiechem:

- O rany, chyba zdarłam sobie podeszwy w butach.
- Dobrze się bawiłaś, prawda?
- Czułam się jak za dawnych lat. Jak w młodości, kiedy dużo tańczyłam.
- Powinienem chyba częściej zabierać cię na tańce.
- Przez pewien czas raczej nie będzie to możliwe. – Odwróciła wzrok i popatrzyła w stronę rzeki, zupełnie jakby nie miała ochoty spojrzeć mu w oczy.
- Wiem, że czasami czujesz się w Missencourt jak na końcu świata, ale...
- Przyzwyczyłam się. A poza tym to wymarzone miejsce dla dzieci.
- Tara uwielbia Missencourt, prawda?

Suzanne poklepała się po brzuchu.

- I ono także polubi ten dom.

Marius stanął jak wryty.

- Suzanne?...
- Spodziewam się dziecka. – Jej oczy jaśniały. – Dlatego muszę pożegnać się na jakiś czas z tańcem.
- Czy nie powinnaś więcej odpoczywać? – zaniepokoił się natychmiast.

– Marius! Jeszcze nie! Czego ode mnie oczekujesz? Że będę siedziała na sofie przez siedem i pół miesiąca? Nie bądź śmieszny. –Zerknęła na męża. – Cieszysz się?

– Tak – powiedział i pocałował ją. – Bardzo się cieszę. Zagłuszył w sobie niegodną myśl, że źródłem jego radości jest

między innymi nadzieja, iż drugie dziecko bardziej ją z nim zwiąże.

Dwa tygodnie później Marius zaprosił Topaz na drinka do pubu nieopodal restauracji, w której pracowała.

Zwierzyła się mu, że szuka jakiegoś lokum. Odziedziczyła trochę pieniędzy po ojcu, więc stać ją, by coś kupić.

– A poza tym – dodała – matka złości się, że moje rzeczy zajmują za dużo miejsca w kuchni. Mam zresztą dwadzieścia jeden lat, więc najwyższy czas się wyprowadzić, nie sądzisz? Oglądałam dziś po południu parę mieszkań i wynotowałam sobie sześć. Trudno znaleźć coś sensownego – jeśli kuchnia jest w porządku, to w łazience nie da się wytrzymać, tam, gdzie miło byłoby posiedzieć w ogrodzie, kuchnia jest jednocześnie łazienką...

Marius doszedł do wniosku, że Topaz wygląda, jakby była zmęczona i zrezygnowana.

– Nie sądziłem, że można połączyć kuchnię z łazienką.

– Teraz wiem, że jednak można. – Westchnęła. – Na wannę nakłada się drewnianą deskę, która pełni funkcję kuchennego blatu. No i oczywiście ani kuchni, ani łazienki nie da się normalnie używać.

– Może więc powinnaś zadowolić się najlepszym mieszkaniem spośród tych, które znalazłaś? Szukając doskonałości, narażasz się na duchowe katusze.

Topaz sięgnęła do kieszeni i wydobyla pomięte karteluszkę i pióro.

– Próbowałam robić notatki, ale przez tego agenta, który tak się śpieszył, wszystko mi się poplątało. No i jeszcze te problemy z elektrycznością. – Wykrzywiła usta. – Te wszystkie bojlerzy i piecyki gazowe. Nie chcę mieć piecyka gazowego, który prawie eksploduje, gdy wkłada się do niego zapalnik.

– Czy nie znasz nikogo, kto mógłby ci pomóc w wyborze?

– Miał ze mną pójść Charlie, ale był zbyt zajęty. – Oczy Topaz przybrały nieodgadniony wyraz.

Marius spotkał Charliego Fincha tylko raz. I to wystarczyło, by uznał, że ten mężczyzna nie jest wart Topaz. Nie dlatego, że aktor wydał mu się niesympatyczny – Marius odniósł wrażenie, że jest dokładnie odwrotnie. Odkrył w nim jednak lekkoducha. Kogoś, kto nigdzie nie zagrzeje miejsca. Zachował jednak tę opinię dla siebie.

– A co u niego słyhać?

– Wszystko w porządku.

Marius spodziewał się, że dowie się czegoś jeszcze, ale Topaz umilkła. Zapytał więc:

– Jest teraz zajęty? Występuje dzisiaj na scenie?

– Gra w jakiejś sztuce w Drury Lane Theatre. Premiera odbędzie się za parę tygodni. Dlatego jest tak bardzo zajęty. I musi chodzić na te przyjęcia.

Marius uznał, że Topaz ma nieszczęśliwy wyraz twarzy. Zmarszczył brwi i spojrzał na dziewczynę badawczo.

– Na przyjęcia?

– To konieczne w tym zawodzie.

– Ale skoro miał ci pomóc...

– Nie musisz na mnie patrzeć w ten sposób – oburzyła się gwałtownie.

– W jaki sposób?

– Dobrze wiesz, w jaki. – Topaz wygięła dolną wargę. Marius wzruszył ramionami.

– Wydawało mi się tylko, że kto jak kto, ale Charlie powinien mieć czas dla ciebie.

– Doskonale sobie radzę sama – oświadczyła.

– Co dwie głowy, to nie jedna...

– A poza tym, przecież chodzi tylko o obejrzenie mieszkań...

– Nie w tym rzecz... – przerwał jej.

Zapadła cisza. Topaz wlepiła wzrok w swoją szklanę.

– Dobrze mi z Charliem, Marius. Jestem bardzo szczęśliwa – szepnęła.

– Naprawdę? – zapytał Marius, a jej głowa podskoczyła do góry.

– Kocham go. – Oczy Topaz zalśniły.

– Wiem, że ty go kochasz – potwierdził łagodnym głosem.

I nie zadał oczywistego pytania: „A Charlie? Czy także cię kocha?”. Ale ta kwestia zawisała w powietrzu. Wówczas Marius postanowił zmienić temat i powiedział jej o dziecku.

– To cudownie!

– Suzanne czuje się fatalnie. Codziennie rano ma mdłości.

– Julia miała straszne mdłości, gdy się spodziewała Williama, pamiętaj o tym. A potem jej przeszło i jadła strasznie dużo.

– O, tak. – Przez jego twarz przemknął uśmiech. – Suzanne uparła się, że dalej będzie prowadziła przedszkole. Próbowałem ją przekonać, by zaczęła choć trochę uważać na siebie, ale wiesz, jaka ona jest. – Sięgnął po torbę, która stała koło stolika. – Kupiłem jej to i owo u Fortnuma i w Harrodsie: winogrona, pierniczki. Mam nadzieję, że uda jej się coś przełknąć.

Topaz zdołała się jakoś uśmiechnąć. A potem podniosła kieliszek.

– Za nowe dziecko – wzniosła toast.

– No, już po wszystkim – powiedziała Suzanne, a Julia, która właśnie zeskrobywała galaretkę z kuchennej podłogi, przykucnęła i odetchnęła z ulgą. Tego popołudnia urządziła przyjęcie dla przyjaciół Williama. Sześcioro dzieci przewróciło dom do góry nogami, podczas gdy ich matki usiłowały prowadzić jakąś konwersację nad herbatą i kieliszkiem sherry.

– Nie wiem, kto gorszy – zastanawiała się Julia – dzieci czy ich matki. Ale wiem jedno: nigdy więcej.

– William był zachwycony.

– William – Julia zaczęła płukać szmatę w zlewie – zachowywał się fatalnie. Nie zamierzam urządzać przyjęć dla dzieci, póki nie skończy szesnastu lat i nie stanie się cywilizowanym człowiekiem.

Pół godziny później wykapała syna i położyła go do łóżka. Potem zabrała się do sprzątnięcia, układania zabawek i książek oraz do szorowania podłogi pod kuchennym stołem. Uporała się ze wszystkim dopiero koło dziewiątej i poszła na górę, by wziąć kąpiel. Ciepła woda została jednak zużyta do kąpieli dziecka i podczas sprzątnięcia, więc Julia musiała porzucić ten pomysł. Gdy ujrzała swoje odbicie w łazienkowym lustrze, zamarła z przerażenia. Nigdy nie była próżna, ale widok zaniedbanej kobiety w poplamionym swetrze i spodniach i z włosami oblepionymi jakąś białą substancją (lukier? a może krem waniliowy?) przeraził ją na dobre. Kiedyś byłam ładna, pomyślała i poczuła, że zbiera jej się na płacz, co przerażyło ją jeszcze bardziej.

Zamiast się rozplakać, zeszła na dół, by zjeść resztki i nalać sobie sporą porcję sherry. Potem wzięła książkę, włączyła radio i zwinęła się w kłębek na sofie. Nie mogła jednak pozbyć się napływających mimo woli myśli, postanowiła się więc z nimi zmierzyć. Zazwyczaj nie przejmowała się

własnym wyglądem, dlaczego zatem tym razem tak się zmartwiła? Dlatego, pomyślała ponuro, że mam dopiero dwadzieścia sześć lat. I dlatego, że jest sobotni wieczór, a ja siedzę w domu. I dlatego, że nawet mając Williama, Mariusa, Suzanne, Topaz i wszystkich Chancellorów, czuję się samotna.

Pomyślała cynicznie, że przecież nie może narzekać na brak okazji. Nie brakowało mężczyzn, uważających, że jako kobieta, która straciła męża, najprawdopodobniej tęskni za seksem i z wdzięcznością przyjmie ich niezręczne awanse. W biurze Temperley'a Radios zjawiali się dość często panowie, a w ich oczach widziała błysk niekłamane go zainteresowania. Zainteresowanie pryskało jednak, gdy Julia, zaproszona na drinka czy na kolację, mówiła, że musi poszukać kogoś, kto zostanie z dzieckiem. Julia Chancellor jako kobieta współzarządzająca firmą była interesującą partią; Julia Chancellor jako samotna matka – nie.

Przez dłuższy czas, zakłeta w kręgu odwzajemnianej miłości do Williama, nie pragnęła niczego więcej. Ostatnio jednak coraz bardziej doskwierało jej poczucie niespełnienia w innej sferze. Potrzebowała towarzystwa dorosłych. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio malowała sobie paznokcie, była u fryzjera czy wkładała wieczorową suknię.

Jej spojrzenie zatrzymało się na niewielkim kartoniku, leżącym na kominku. Maurice Chancellor zapraszał ją na swoje srebrne wesele. Nie odpowiedziała jeszcze, bo choć poczuwała się do okazywania względów rodzinie Willa, szczerze nie znosiła Maurice'a Chancellora. Teraz jednak wzięła zaproszenie do ręki. Kolacja i tańce w najlepszym hotelu w Henscombe. Julia od lat nie tańczyła...

Wszystkie jej przedwojenne stroje wieczorowe były beznadziejne, ozdobione falbankami i kokardkami. Julia ucieszyła się więc, gdy matka

zapropnowała, że pożyczycy jej suknię. Dotykając jedwabi i aksamitów w garderobie Adeli w Missencourt, Julia sięgnęła pamięcią do tych przedwojennych wieczorów, kiedy rodzice wybierali się do miasta na tańce albo do teatru. Przedwojenne czasy wydawały się strasznie odległe, a zarazem wspaniałe. Miała w oczach wysoką sylwetkę przystojnego ojca w smokingu i szczupłą postać pięknej matki w aksamitach i perłach.

Wybrała jasnoszarą suknię z satyny w kolorze swoich oczu, skrojoną ze skosu. Dopasowana, wąska suknia dawno już wprawdzie wyszła z mody, ale Julii, która nawet po urodzeniu Williama miała chłopcę figurę, było w niej do twarzy. Adela pożyczyła jej jeszcze kolczyki, torebkę oraz pantofle do kompletu i obiecała zająć się dzieckiem.

W dniu przyjęcia Julia umyła i ułożyła włosy, choć kosztowało ją to sporo nerwów, bo długie loki uparcie wymykały się spod jej palców. Pojechała do Henscombe swoim samochodem. Wprawdzie John i Prudence proponowali, że ją podwiozą, ale Julia odmówiła, tłumacząc, że woli być niezależna ze względu na Williama. Gdyby, na przykład, musiała do niego szybko wracać. W głębi ducha postanowiła natomiast, że musi mieć czym uciec, jeśli się okazało, że przyjęcie jest okropne i nie wytrzyma tam dłużej niż godzinę.

Jej niepokój sięgnął zenitu, gdy dojechała do miasta. Parkując samochód przed hotelem, prawie żałowała swej decyzji. Żałowała, że nie odrzuciła zaproszenia, by spędzić kolejny sobotni wieczór w domu, słuchając radia i czytając książkę. Siedziała za kierownicą, patrząc, jak z innych samochodów i taksówek wysypują się goście i zacierają w stronę rzęsiście oświetlonego foyer. To żalosne, Julio, powiedziała sama do siebie. Nigdy się niczego nie lękałaś. A już żeby bać się zwykłego przyjęcia...

Gdy weszła do sali, uświadomiła sobie, że jest jedyną samotną kobietą. Wszystkie inne panie wisiały na ramieniu ubranego w smoking mężczyzny albo przynajmniej miały go w zasięgu wzroku. Może powinna kogoś przyprowadzić. Zrobiła szybki przegląd kawalerów, których знаła: jeden z kierowników w firmie, chłopak, który przynosił jej warzywa, listonosz. Niewiele brakowało, a uśmiechnęłaby się do tych myśli. Zauważyła, że wszyscy na nią patrzą, uniosła więc głowę i ruszyła przed siebie powoli i z gracją.

Maurice Chancellor pocałował ją w policzek i zmierzył pożądlivym spojrzeniem. Jego żona pociągnęła nosem i powiedziała, że nie miałyby tyle odwagi, żeby przyjść sama. Julia spostrzegła Johna i Prudence w przeciwległym rogu i nie dbając o dobre maniery, uciekła przed lepkiemi dłońmi Maurice'a i krytycznymi spojrzeniami jego żony.

Usiadła przy stole z Prudence, Johnem i gromadką innych Chancellorów. Nie brakowało jej okazji do rozmowy i ciągle ktoś dbał o to, by miała wino w kieliszku. Szybko sobie uzmysłowiła, że mężczyźni doceniają jej śmiałość, ale kobiety ją potępiają. Powinna zapewne siedzieć w domu w swej wdowiej żałobie albo popełnić samobójstwo na stosie pogrzebowym męża. Tylko że biedny Will nie miał żadnego stosu pogrzebowego ani nic w tym stylu. Julia czym prędzej porzuciła mroczne myśli i wypła kolejny kieliszek wina.

Po kolacji, podczas przemówienia, które wygłosił Maurice, ubarwionego przygotowanymi zawczasu kiepskimi żartami i aluzjami do niezmiernego bogactwa bohatera wieczoru, Julia wędrowała wzrokiem po sali. Widok jasnych sukien kobiet i roziskrzonych kandelabrow sprawił, że po raz pierwszy od lat poczuła się młodo. Muzyka potęgowała czar. Gdy w rytm kolejnych

melodii płynęła w ramionach coraz to nowych partnerów, zdołała uwolnić się od smutku, który ją prześladował przez tyle lat.

Wtedy poprosił ją do tańca Maurice Chancellor. Ciągał ją po parkiecie mniej więcej tak, jak ciągał bele z tkaninami po ladzie swojego sklepu. Był o pół głowy niższy od Julii, posmarowane brylantyną włosy zaczesał do tyłu, a czerwone usta miał do połowy otwarte. To z pewnością trzeci migdał, mawiał często Will i doprowadzał Julię do śmiechu, naśladując sposób oddychania kuzyna.

– Niezła impreza – stwierdził Maurice, nie kryjąc samozadowolenia. – Oczywiście właściciel hotelu jest moim znajomym.

– Ach tak... – Julia miała ochotę ziewnąć, ale zdołała się jakoś powstrzymać.

– Mieszkasz w tym małym domku w Longridge, prawda, Julio? Mógłbym znaleźć dla ciebie coś ładnego na zasłony za niewygórowaną cenę. Albo materiał na sukienkę. W tym tygodniu będę miał trochę pięknej tafty. W żywych kolorach. W sam raz dla ciebie.

– Wolę kolory pastelowe – oświadczyła stanowczo Julia.

– A to szkoda. Byłoby ci do twarzy w szkarłacie.

Julia poczuła jego dłoń na pośladkach. Poruszyła się nerwowo, by ją strząsnąć, ale ręka Maurice'a przyssała się do niej jak pijawka.

– Albo w kolorze szmaragdów. To są barwy dla takiej dziewczyny jak ty.

Tuż obok rozległ się jakiś głos:

– Żona cię szuka, Maurice.

Dłoń Maurice'a odskoczyła jak oparzona, a jej właściciel rozejrzał się nerwowo po sali.

– Chyba mi wybaczysz, Julio, ale obawiam się, że będę musiał cię opuścić – oświadczył.

Gdy odszedł, wybawca Julii odezwał się jeszcze raz:

– Chętnie podejmę się zastępstwa, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu...

– Chyba jakoś to zniosę – uśmiechnęła się Julia.

Podczas tańca Julia zerknęła na swego nowego partnera. Nie potrafiła go ocenić na pierwszy rzut oka. Był człowiekiem średniego wzrostu, dobrze zbudowanym. Miał silne, kanciaste dłonie, którymi prowadził ją w tańcu pewnie, lecz nie autorytarnie. W spojrzeniu jego ciemnych oczu zauważyła coś intensywnego, co sprawiło, że odwróciła wzrok, gdy na nią popatrzył. Nie należał do przystojnych mężczyzn, roztaczał jednak wokół siebie aurę mocy i siły, która przydawała mu atrakcyjności.

Gdy krążyli po zatłoczonym parkiecie, zapytał: – Czy jest pani krewną Maurice'a? Zdaje się, że wszyscy goście są z nim spokrewnieni.

– Jestem tylko powinowatą – roześmiała się Julia. – A pan?

– Robię z nim interesy.

– Jakie interesy?

– No cóż... kupno... sprzedaż.

– Maurice sprzedałby własną duszę, gdyby ktoś mu zaproponował atrakcyjną cenę – skomentowała Julia. – Gdy pan się pojawił, próbował zaoferować mi swoją osobę.

– Mam nadzieję, że za okazyjną cenę?

– Nawet to by mnie nie skusiło – odparła swobodnie.

Uzmysłowiła sobie właśnie, że flirtuje z tym mężczyzną. Tak dawno nie tańczyła i nie flirtowała. Prawie zapomniała, jak to się robi.

Mężczyzna rozejrzał się po sali.

– Imponujące przyjęcie.

– Rzeczywiście – przyznała Julia i zmarszczyła nos. – Tylko że w złym guście.

– W złym guście... – powtórzył, jakby coś takiego nie przyszło mu nigdy do głowy. – Tak pani sądzi?

– Ten tort! – Julia wywróciła oczy do nieba. –I wszystkie srebrne liście. Dziwne, że stół się nie załamał.

– Bardzo mi smakował. – Uśmiechnął się mężczyzna. – Tort to dla mnie przede wszystkim tort.

– No i te okropne kwiaty. – W sali było pełno ogromnych wazonów ze zbytkownymi liliami, chryzantemami i różami.

– Wydawało mi się, że są wspaniałe.

Julia pokręciła głową.

– Okropne – orzekła stanowczo. – Ale orkiestra grała nieźle. No i kolacja była wyśmienita.

Julia wyszła godzinę później, wytańczywszy się do upadłego. Uzmysłowała sobie coś, o czym prawie zapomniała: jaką moc ma jej uroda. Wydawało jej się, że po śmierci Willa i po narodzinach Williama ten aspekt życia stracił znaczenie, i ucieszyło ją odkrycie, że jest inaczej.

Radość jednak prysła, gdy się okazało, że samochód nie chce zapalić.

– Chyba się nie ośmielisz – mruknęła pod nosem. Podjęła jeszcze jedną próbę. Nie zdołała jednak poruszyć korbą. Silnik milczał niewzruszenie. Julia zaklęła po cichu.

Na parkingu pozostało zaledwie kilka samochodów. Prudence i John wyszli pół godziny temu. Julia mogłaby wprawdzie wezwać taksówkę, podejrzewała jednak, że wszystkie zostały już wykorzystane przez innych

gości. Z przerażeniem pomyślała, że będzie zdana na łaskę i niełaskę Maurice'a Chancellora.

Wysiadła i podniosła maskę. Wpatrywała się w silnik, próbując sobie przypomnieć wszystko, czego Will ją nauczył na temat samochodów. Dotknęła jakiegoś wężyka, brudząc sobie dłoń smarem.

– Przeklęty, przeklęty samochód – syknęła.

Usłyszawszy za plecami czyjeś kroki, obróciła się szybko. Ujrzała mężczyznę, który wybawił ją od kłopotliwego towarzystwa Maurice'a.

– Nie chce zapalić – wyjaśniła.

– Może na coś się przydam? – powiedział i pochylił się nad silnikiem. – Piękny wóz.

– Należy do mego teścia i jest bardzo kapryśny.

– Jak kobieta. – Nieznajomy zatrzasnął maskę i stanął przed autem, by przekręcić korbę. – Może wystarczy coś przeczyścić.

Niebo migotało gwiazdami, a z hotelu wychodzili ostatni goście, bełkocząc pod nosem słowa pożegnania. Julia otuliła się szczelniej płaszczem, czując chłód jesiennego powietrza.

Wtedy korba się przekręciła i silnik ożył. Julia odetchnęła z ulgą.

– Bardzo panu dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Wybawił mnie pan już po raz drugi tego wieczoru, panie...

– Hunter. – Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. – Rick Hunter.

13

Topaz znalazła mieszkanie na drugim piętrze przy South Kensington, w wiktoriańskiej kamienicy z wysokimi sufitami i ogromnymi oknami. Kuchnia, najważniejsze z jej punktu widzenia pomieszczenie, była dwa razy większa niż w mieszkaniu matki: długa i wąska, z widokiem na ogród.

W sklepie ze starzyzną Topaz znalazła dębowy stół, a mąż Angelique wtaszczył go na górę, zatrzymując się na każdym półpiętrze, by zaczerpnąć tchu. Kupiła nową kuchenkę gazową, na której mogła z wielką precyzją przygotowywać sosy. Pomalowała ściany na żółto, drzwiczki szafek na niebiesko. Na hakach wbitych w ścianę powiesiła swoje miedziane rondle. Gliniane naczynia ustawiła na półkach, a książki kucharskie i białą oraz niebieską porcelanę schowała w starej serwantce. Od jeżdżącego na rowerze francuskiego handlarza w berecie kupiła cebulowy wieniec i zawiesiła go na drabince pod sufitem.

Veronica, która przyszła z wizytą, skrytykowała pomalowaną zieloną farbą łazienkę ze śladami wilgoci i narzekała na przeciągi w sypialni z popękana framugą okienną. Topaz oświadczyła, że jest gotowa się z tym pogodzić. Nie powiedziała matce, że ma w nosie łazienkę i sypialnię, bo wystarczy, że wejdzie do kuchni i od razu czuje się szczęśliwa.

Bardzo się cieszyła z własnego kąta. Nie przekręcała już klucza w drzwiach w wielkim napięciu, niepewna, w jakim nastroju jest matka. Nikt jej nie mówił, że zaburza ład i porządek w mieszkaniu; nikt nie narzekał na zapach czosnku. Nikt nie gasił papierosów w oliwie i nie rozlewał ginu po kuchennym stole. Topaz mogła się kłaść o dowolnej porze i wstawać, kiedy miała ochotę. A także wylegiwać się godzinami w wannie, słuchać ulubionej muzyki albo

leżeć z książką przed kominkiem. Mogła przyjmować przyjaciół i nie musiała później wysłuchiwać krytycznych uwag na temat ich strojów, manier czy sposobu mówienia.

Sztuka, w której grał od sześciu miesięcy Charlie, miała wkrótce zejść z afisza. Topaz widziała w jego oczach zarówno wielkie wyczerpanie, które zawsze się pojawiało, gdy praca nad jakąś rolą dobiegała końca, jak i ambicję, każącą mu szukać czegoś nowego. Uznała, że Charlie kiepsko wygląda, zaczęła więc przygotowywać dla niego kolacje na swej nowej kuchence i karmić go pieczonymi kurczętami. Czasem jednak podejrzewała, że z równie wielkim entuzjazmem zjadłby byle jaką kanapkę, a nawet ser nadający się tylko do pułapki na myszy.

Spędzili razem weekend w domu Jennifer Audley w Marlow. Pojechali tam nowym samochodem Charliego. W Marlow Charlie zwolnił i powiedział:

– Chyba poszukam tu czegoś dla siebie.

– Tutaj?

– Dlaczego nie? – Rozglądał się na prawo i lewo. – Za parę lat będę miał trzydziestkę na karku, Topaz. Nie mogę wiecznie mieszkać w wynajętych mieszkaniach. Nikt nie traktuje poważnie tych, którzy nie dbają o swoją opinię. Trzeba iść do przodu, być na bieżąco. Gdy się człowiek zatrzyma, to zostanie w tyle, prawda?

Ogród Jennifer Audley ciągnął się aż po sam brzeg Tamizy. Nad rzeką rosły wierzby płaczące. Na wietrze kołysały się astry i nasturcje, a delikatna mżawka marszczyła gładką taflę wody.

Topaz przypomniała sobie popołudniowe przyjęcia, na które musiała chodzić w 1946 roku, po powrocie do Londynu. Tylko że teraz dorośli zastąpili pryszczatych nastolatków, a zamiast lemoniady i ciasteczek podano drinki i

kanapki. Jennifer Audley w eterycznej bieli zajęła miejsce przypisane niegdyś matkom odzianym w tweedowe garsonki: dyrygowała gośćmi, kierowała ich to na taras, to do salonu, żądała, by organizowali gry towarzyskie i rozmawiali. Panowała tu taka sama atmosfera nudy pomieszanej z obawą, tylko że teraz Topaz nudziła się, słuchając teatralnych plotek, i bała, aby nie kazano jej przyłączyć się do chóralnych śpiewów przy pianinie. Tutaj także grano w szarady, tutaj także obowiązywała zasada rywalizacji i poczucie, że przez cały czas podlega się ocenie.

O osiemnastej wszyscy goście zebrali się w salonie. Jennifer Audley usadowiła się na ogromnym krześle, zakładając z gracją nogę na nogę. Popielate włosy upięła w gładki kok, na powiekach miała chłodne niebieskoszare cienie. W jej postawie było jednak dziwne napięcie, wyglądała jak kot, który szykuje się do skoku.

– Nudzę się! Powinniście mnie zabawić. – Zatrzepotała długimi rzęsami.
– Rozkazuję, byście mnie zabawiali.

– O, Boże, Jennifer...

– Dobrze wiesz, Davidzie, że szybko się nudzę, więc proszę cię, postaraj się najlepiej, jak potrafisz.

– Chętnie bym cię zabawił – odezwał się jakiś mężczyzna o czerwonej twarzy – ale obawiam się, że mogłoby się to nie spodobać Brianowi. – Brian był mężem gospodyni.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Niesforny Edgar!

– Zrobiłem ci koktajl, Jennifer, kochanie. To cię powinno rozbawić, nieprawdaż? – powiedział Brian.

– Oczywiście – przytaknęła aksamitnym głosem. – Nie od wszystkich oczekuję czegoś oryginalnego. – Spojrzała na swych gości. – Kochani, czemu jesteście tacy nieśmiali? Może powinnam zaproponować jakąś nagrodę? Coś na zachętę. Temu, kto najbardziej mnie rozbawi, dam... całusa.

– O Boże! – jęknęła cicho Topaz. Kobieta, która siedziała tuż obok, odwróciła się i zagadnęła także po cichu:

– No wiesz... Nie jesteś oczarowana? Powinnaś być oczarowana.

– No cóż...

– A jeśli wygra któraś z dziewcząt? – zawołał jeden z gości.

– Dla mnie to żaden problem, mój drogi – odrzekła Jennifer figlarnie. – Jestem pewna, że mogłabym zagrać Safonę, gdybym tylko spróbowała.

– Teraz – szepnęła sąsiadka Topaz – powinnaś być zaszokowana. – Uśmiechnęła się i podała jej dłoń. – Mary Hetherington.

– Topaz Brooke.

Mary wyglądała na rozsądną. Lekko siwiejące brązowe włosy miała zwinięte w luźny kok tuż nad karkiem.

– Przyszłaś z tym przystojnym facetem? – zagadnęła.

– Z Charliem? Tak.

Charlie siedział na dywanie, oparty plecami o krzesło Jennifer. Ręka gospodyni spoczywała niedbale na oparciu, tuż obok jego głowy. Topaz zorientowała się po chwili, że nie może oderwać wzroku od tych bladych, niespokojnych palców.

– Kto zaczyna? – zawołała Jennifer.

– Powiedz jakiś wiersz, Topaz – zaproponowała Mary uprzejmie. – Coś, co pamiętasz ze szkoły. O podróżnym, który puka do drzwi, czy coś w tym stylu. Albo zrób to, co ja, i zaproponuj jej, żeby się wypchała.

Goście prześcigali się w pomysłach. Przepowiadali przyszłość, odgrywali pantomimę, recytowali wiersze. Gdy przyszła kolej na Mary Hetherington, ta tylko machnęła niedbale ręką i powiedziała:

– Obawiam się, że brak mi pomysłu. To doprawdy okropne, ale nie mam żadnych szans na nagrodę.

– Zapomniałabym o przyjaciółce naszego Charliego. Jak zamierzasz mnie rozbawić, moja droga? – zagadnęła wówczas Jennifer.

Topaz poczuła, że zaschło jej w gardle. Nie mogła sobie przypomnieć ani jednego wiersza. Zresztą zawsze były z tym kłopoty. Jennifer zaczęła drążyć:

– Może umiesz śpiewać? Tańczyć? Wróżyć?

– Umiem gotować – oświadczyła Topaz bez zastanowienia.

– Gotować?

– Tak – potwierdziła stanowczym tonem. – Zajmuję się gotowaniem. Mam do tego talent.

– O Boże – Jennifer uniosła brwi w geście niedowierzania. Popatrzyła na siedzącego tuż obok Charliego i dotknęła palcami jego włosów.

– Jeszcze ty mnie nie zabawiałeś, Charlie.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, co byłoby ciebie godne, Jennifer.

– Naprawdę? – Jej palce przesunęły się w kierunku twarzy Fincha i zatrzymały się na jego ustach. – Jestem pewna, że gdybyś się postarał...

W pokoju zapanowała całkowita cisza. Serce Topaz biło jak oszalałe. Miała ochotę wymierzyć Jennifer Audley siarczysty policzek; omal nie zerwała się na równe nogi, by chwycić Charliego za kołnierz i wyprowadzić go z tego okropnego domu.

Wtedy Jennifer cofnęła dłoń i powiedziała:

– Zaczę chyba myśleć, że wcale ci nie zależy, Charlie. Będziesz musiał mi to jakoś wynagrodzić. – Potem wskazała, nie patrząc, na jednego z gości. – Edgarze, chodź tutaj. – Tamten podszedł do jej tronu i skłonił głowę, by mogła musnąć go ustami w policzek. Wówczas Jennifer ziewnęła i oświadczyła: – No cóż, dochodzi siódma, czas się przebrać. Więc chociaż was kocham, muszę was opuścić.

Topaz przebierała się właśnie do kolacji, gdy do sypialni wszedł Charlie.

– Co za okropna zabawa – westchnęła.

Charlie rzucił się na łóżko. Miał na sobie wieczorową marynarkę i niezawiązany czarny krawat.

– Ja dobrze się bawiłem.

– To było żenujące. Poczułam się jak idiotka.

– Bzdura. – Położył głowę na poduszce i zamknął oczy. – Nie powinnaś tak się przejmować.

Potem żałowała, że w tym momencie nie zakończyła tej rozmowy. Żałowała, że nie położyła się obok Charliego i nie oparła głowy na jego ramieniu. Nie zrobiła tego jednak, tylko powiedziała powoli:

– Ale przecież o to chodziło, prawda? Żeby każdy popatrzył uważniej na samego siebie i sam dostrzegł, kto tu rządzi.

Charlie otworzył oczy i oparł się na łokciach.

– To znaczy?

– Jennifer – odrzekła, czesząc włosy. – Ona lubi mieć dokoła siebie usłużny dwór.

– To tylko jedna z możliwych interpretacji. – W jego głosie zabrzmiała nuta gniewu, która powinna dać jej do myślenia.

– Nie widzę żadnej innej.

– Doprawdy? – Charlie już siedział na łóżku i patrzył na nią. –A może chodziło o zabawę? O to, żeby zapewnić gościom trochę rozrywki?

– No cóż, Jennifer nie kryła się z tym, że chętnie by się z tobą zabawiła – odparła Topaz, nim zdołała pomyśleć.

Usiadła przy toalecie i wyjęła szminkę. Pragnęła, by podszedł, by ją pocałował i zapewnił, że piękna Jennifer wcale się nie liczy, że ona, Topaz jest jedyną kobietą w jego życiu.

Ale Charlie powiedział coś innego.

– Mogłabyś wreszcie dorosnąć, Topaz. – Jego słowa ją zmroziły. Ręka Topaz zadrżała i szminka zsunęła się z jej warg.

– Przecież ona z tobą flirtowała, Charlie.

Wzruszył ramionami.

– Przecież to zabawa. – Przeczesał palcami sterczące w nieładzie włosy.
– W gronie przyjaciół.

– To twoi przyjaciele.

Obrzucił ją zimnym i mrocznym spojrzeniem.

– Mogliby być także twoimi, gdybyś tylko trochę się postarała. Topaz starła szminkę chusteczką.

– Wcale nie jestem pewna, czy chcę się z nimi zaprzyjaźnić. Wydaje mi się, że nie mamy z sobą nic wspólnego.

– Do licha, Topaz... – Teraz w jego głosie brzmiał już nieskrywany gniew. – To interesujący, utalentowani ludzie. Nie sędzę, by tak trudno było się z nimi porozumieć.

Topaz przypomniała sobie z nostalgią stare dobre czasy w kawiarni na Leicester Square.

– Wolałam naszych starych przyjaciół. Helenę, Mischę, Donalda. Nawet Claudette.

Charlie machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Nie zamierzam siedzieć w obskurnych kafejkach do końca życia. Bardzo ci dziękuję. Mam trochę większe ambicje.

Zapadła cisza.

– A ja? – szepnęła Topaz. – Czy jest dla mnie miejsce wśród twoich ambicji?

Charlie wstał i podszedł do okna. Oparł się ręką o parapet i popatrzył na mokry ogród. Po chwili znów się odezwał, tym razem już bez gniewu, głosem, w którym było tylko zmęczenie.

– Muszę się przyjaźnić z tymi ludźmi, jeśli chcę cokolwiek osiągnąć. Oni znają, kogo trzeba. W moim zawodzie liczy się nie tylko talent, ale także znajomości oraz to, gdzie się bywa. I właśnie oni: Jen i Brian, David Earnshaw, Edgar White są ludźmi, których powinienem znać. To jest miejsce, w którym powinienem bywać. Wydawało mi się, że to rozumiesz.

Topaz się zawstydziała. Podniosła się i podeszła do niego, by oprzeć mu głowę na ramieniu. Charlie odwrócił się i objął ją. Jego blada skóra i podkrążone oczy świadczyły o zmęczeniu. Pogłaskała go lekko po twarzy wierzchem dłoni i szepnęła:

– Twój krawat... – Zawiązała go starannie.

– Dzięki. – Pocałował ją delikatnie. – Nigdy się tego nie nauczę.

Rozpiął zamek błyskawiczny sukni Topaz i dotknął jej skóry. Jego usta zaczęły wędrować po szyi dziewczyny. Wtedy rozległ się dzwonek. Charlie się cofnął gwałtownie.

– Do diabła! Kolacja. Jesteś gotowa?

Przy stole nie siedzieli obok siebie. Na kolację podano jedzenie, którego nie znosiła, potrawy, przygotowane z myślą o tym, jak wyglądają, a nie jak smakują. Później rozpoczęły się kolejne gry towarzyskie i podawano kolejne drinki. Topaz siedziała z boku, na sofie, razem z Brianem i Mary. Wrogo usposobiona do tego, co się działo, zastanawiała się, do jakiej kategorii teraz należy.

Ktoś zwinął dywan i włączył gramofon. Topaz tańczyła, ale nie z Charliem, bo Jennifer nie wypuszczała go z ramion. Po chwili dziewczyna się zorientowała, że oboje gdzieś zniknęli. Przyglądała się uważnie wszystkim parom, czując, jak ją ogarniają panika i gniew. W uszach Topaz wciąż dźwięczał jej własny głos: „No cóż, Jennifer nie kryła się z tym, że chętnie się z tobą zabawi”. Zazdrość to doprawdy nieprzyjemne uczucie.

Poszła na górę. Wyglądając przez okno, spostrzegła, że ktoś otworzył drzwi na taras. Światło z salonu rzucało refleksy na trawę. Ktoś musiał wyjść z domu. Pomykające po niebie chmury często przesłaniały na moment księżyc, który odbijał się w wodzie.

Wtedy zauważyła Charliego i Jennifer, przechadzających się nad brzegiem rzeki. Suknia kobiety jaśniała w blasku księżyca. Topaz przyglądała się im przez chwilę. Patrzyła, jak Jennifer odrzuca głowę do tyłu, jak pokazuje swą łabędzią, białą szyję i się śmieje. Widziała, jak Charlie obejmuje ją ramieniem.

Gdy zobaczyła, jak Charlie ją całuje, gwałtownym szarpnięciem zasłoniła okno. Cała się trzęsła. Oplotła się rękami, by powstrzymać to drżenie, rozebrała się, położyła do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę.

Sen, którego pragnęła jak wybawienia, nie nadchodził. W jej głowie wirowały obrazy minionego dnia. Szczupłe palce w ciemnych lokach.

Pocałunek przy świetle księżyca. Zastanawiała się, co by powiedział, gdyby go o to zapytała. „To bez znaczenia, Topaz, to nic takiego. Jennifer jest po prostu moją przyjaciółką”.

Albo: „Trzeba iść naprzód. Nie wolno stać w miejscu”.

Charlie był utalentowany, ambitny i uparty. Szukał wszelkich środków, by stać się tym, kim pragnął być. Kupił nowy samochód, wkrótce sprawi sobie dom. Przed laty dzięki tej samej determinacji zaczął mówić z właściwym akcentem. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie w kawiarni. „Chętnie pożyczylbym twój głos, Topaz, na przesłuchanie”. Niewykluczone, że chętnie zamieniłby i inne rzeczy. Na przykład starą dziewczynę na nową, znacznie wspanialszy model.

„Trzeba korzystać z życia, kiedy nadarza się okazja”. Frazesy stają się jeszcze bardziej banalne, gdy często je się powtarza. Topaz nakryła głowę poduszką, próbując zagłuszyć śmiech dobiegający z ogrodu.

Aston martin zepsuł się w połowie drogi między Longridge a Missencourt; Julia musiała zostawić samochód na poboczu i przejść trzy kilometry piechotą, ciągnąc za sobą Williama. Padał deszcz, więc przyszła do pracy spóźniona trzy kwadransy, w zabłoconych butach i podartych pończochach. Siedziała właśnie za biurkiem, próbując oczyścić nieco pantofle za pomocą zwilżonej śliną chusteczki, gdy otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł kierownik warsztatów. Raymond Bell zastąpił trzy lata temu sympatycznego starego Teda Butchera, który pracował na tym stanowisku podczas wojny. Bell nie zachowywał się wprawdzie bezczelnie, ale też nie krył swej niechęci wobec Julii. Miał zresztą w sobie coś, co ją irytowało: na jego ustach tkwił zawsze ironiczny uśmiezek, a nieco skośne oczy płonęły w bladej twarzy jak węgle.

Bell spojrział na stopy Julii z mieszaniną lubieżności i dezaprobaty w oczach. Pośpiesznie włożyła buty.

– Wolałabym, żeby nie wchodził pan do mojego gabinetu bez pukania, panie Bell – oznajmiła lodowatym głosem.

– Sądziłem, że już pani nie przyjdzie, pani Chancellor. Myślałem, że wzięła pani wolny dzień.

– Zepsuł mi się samochód. – Ledwo to powiedziała, miała ochotę przełknąć własne słowa, czując, że się upokorzyła tymi wyjaśnieniami.

– Powinna pani sprawić sobie jakieś malutkie autko. Coś, co się nadaje dla kobiety.

Julia opanowała gniew i podniosła się zza biurka.

– Chodźmy do warsztatów.

Raymond Bell przytrzymał jej drzwi, musiała więc przejść tuż obok niego. W warsztacie odetchnęła dobrze znaną atmosferą i uspokoiła się trochę. Zawsze dobrze się tu czuła, lubiła zapach metalu i cyny do lutowania. Pamiętała, jak przychodziła tu z ojcem jako mała dziewczynka; siedziała na jego ramionach i rozglądała się po tym pomieszczeniu z ogromnymi oknami i wysokim sufitem. Zafascynowana przyglądała się aparatom lampowym, dotykała kolorowych drucików, które sterczały z oporników, i pokręteł na drewnianych obudowach.

– Czy pamiętała pani o złożeniu tego zamówienia, pani Chancellor?

Julia zakryła usta dłonią. Poprzedniego dnia po południu jeden z techników powiedział jej, że zabrakło kondensatorów. Obiecała, że zamówi je telefonicznie, ale właśnie wtedy zadzwoniła Adela, by przypomnieć jej o wizycie u lekarza, a chwilę później Mullard, który zakwestionował jakąś

fakturę. Ostatecznie Julia tak się śpieszyła, by zdążyć odebrać Williama, że zapomniała o swej obietnicy.

– Strasznie mi przykro. – Wiedziała, że się mimowolnie zaczerwieniła. – Zaraz zadzwonię.

– Wszystko w porządku. Już to zrobiłem. Chciałem się tylko upewnić.

Zobaczyła wyraz triumfu w jego oczach. Miała zamiar pouczyć go, że zamówienia są w jej gestii, w porę się jednak powstrzymała, uświadomiwszy sobie, że wygłupiłaby się jeszcze bardziej.

– Dziękuję, panie Bell – powiedziała sztywno. – Bardzo mi pan pomógł.

– Drobiazg. Pani zapewne jest bardzo zajęta, mając na głowie cały dom i wychowanie dziecka.

Innymi słowy, pomyślała z wściekłością, wracaj do kuchni, bo tam jest twoje miejsce. Wychodząc, spostrzegła, jak Bell nachyla się i szepcze coś do jednego z młodych techników. Tamten zerknął natychmiast na Julię i się uśmiechnął.

Wróciła do gabinetu, usiadła za biurkiem i przyłożyła dłonie do brwi, próbując ochłodzić rozpaloną głowę. Na blacie leżały stosy dokumentów, nieprzejrzana poczta piętrzyła się na segregatorze. A jeśli ten obrzydliwy Raymond Bell ma rację, pomyślała całkiem już zdeprimowana; może powinna zadowolić się rolą gospodyni domowej. Może, próbując pogodzić macierzyństwo z pracą zawodową, osiągnęła tylko tyle, że niczego nie robi tak, jak należy. Jak jednak zdoła się utrzymać, nie mając żadnych dochodów? Tacy jak Raymond Bell wolą o tym nie pamiętać. Will nie miał żadnych oszczędności, żadnego ubezpieczenia. Zostawił jej tylko długi. Wdowia renta wystarczała ledwo na chleb. Gdyby Julia nie pracowała, byłaby całkowicie zdana na łaskę Mariusa. Nie miała wprawdzie najmniejszych wątpliwości, że

brat zadbałby o to, by niczego jej nie brakowało, ale nie chciała być już od nikogo zależna.

Wyszła z pracy o piętnastej trzydzieści, by złapać autobus do Henscombe. Robiła w pośpiechu zakupy, choć wciąż padał deszcz i wiał wiatr, który kołysał łódkami w porcie i szarpał jej parasolkę. Biegła właśnie przez High Street, gdy za plecami usłyszała czyjś głos. Gdy się odwróciła, ujrzała Ricka Huntera.

– Pani Chancellor? – Przeszedł przez ulicę, by podejść do Julii. – Jak miło znów panią widzieć. Zastanawiałem się, czy pamięta pani o moich przysługach?

– O przysługach?

– Samochód – przypomniał jej – i wybawienie od towarzystwa Maurice'a Chancellora.

– Och! – jęknęła na samo wspomnienie. – Dwie przysługi. Jak mogę się odwdzięczyć, panie Hunter?

– Może pozwoliłaby pani zaprosić się na herbatę?

Julia była mokra, zmarznięta i zmęczona. Dręczył ją ból głowy, efekt irytującego poranka. Czowała, że nie przetrwa nawet dwóch kwadransów spędzonych nad herbatą w towarzystwie człowieka, którego prawie nie знаła.

– To bardzo miła propozycja, ale obawiam się, że niestety nie mogę z niej skorzystać – odpowiedziała uprzejmie. – Raz jeszcze dziękuję za pomoc podczas przyjęcia.

Obróciła się, by odejść, gdy usłyszała:

– Muszę pani coś wyznać.

Spojrzała na niego ponownie.

– Wyznać?

– Już się kiedyś spotkaliśmy, pani Chancellor. Nie chodzi mi o przyjęcie Maurice'a. Spotkaliśmy się wcześniej. Nie pamięta pani?

Zacząła sobie coś kojarzyć, ale zbyt mgliście, by przywołać właściwe wspomnienie.

– Przykro mi...

– Znałem pani męża.

– Willa? Znał pan Willa?

– Robiliśmy razem interesy. Przyjeżdżałem czasem do warsztatu. Pewnego dnia pani też tam zajrzała i Will nas sobie przedstawił.

„Pani też tam zajrzała... Will nas sobie przedstawił”. Julia przypomniała sobie nagle tę scenę. Weszła do biura bez pukania. Will się zdenerwował, bo przyjmował właśnie klienta. Potem tego samego dnia pocałowała Jacka.

Klientem, z którym wówczas rozmawiał jej mąż, był Rick Hunter. Dwa obrazy tego samego człowieka nałożyły się na siebie, ale ten wcześniejszy miał zupełnie inny, znacznie mniej przyjemny charakter. Dwa obrazy Ricka Huntera jakoś do siebie nie pasowały.

– Zapomniałam. – Julia się zmieszała.

– To było dawno temu. Dlaczego miałyby pani pamiętać?

– Pan pamiętał.

– Nigdy nie zapominam twarzy napotkanych ludzi – uśmiechnął się. – Może zechciałyby pani jeszcze raz się zastanowić nad moją propozycją?

Tym razem ciekawość zwyciężyła i Julia poszła z Hunterem do herbaciarni. Gdy czekali na zamówioną herbatę i ciastka, opowiedziała mu o rodzinnej firmie.

– Po wojnie mieliśmy pewne trudności – wyjaśniła – ale teraz interesy idą bardzo dobrze.

– A jak będzie w przyszłości? Nie boi się pani przyszłości?
Konkurencja...

– Nasze odbiorniki są najwyższej jakości – odparła z dumą. – Nie można kupić nic lepszego. Ludzie o tym wiedzą.

– Miałem na myśli telewizję.

– Telewizja nie stanowi moim zdaniem konkurencji. Zawsze będzie dodatkiem do radia, nie sądzi pan? Radio jest znacznie bardziej poręczne. Słuchając radia, można robić mnóstwo innych rzeczy.

Kelnerka przyniosła herbatę.

– A pan? – zagadnęła. – Czym się pan zajmuje, panie Hunter?

– Mam na imię Rick. Proszę mi mówić po imieniu. Zajmuję się nieruchomościami. Kupuję i sprzedaję nieruchomości.

– Jest pan pośrednikiem?

– Nie. Developerem. Kupuję ziemię i buduję domy albo biura, w zależności od lokalizacji. Przeważnie działam w Londynie – wyszukuję zbombardowane i zniszczone parcele. Trzeba tylko wiedzieć, które rejony miasta będą się rozwijać.

– A co pan robi tutaj? Też pan kupuje nieruchomości?

– W pewnym sensie. Chciałbym mieć dom w tej okolicy. Podoba mi się tutaj. Widzę tu duże możliwości rozwinięcia interesów. A przy tym jest tu na czym oko oprzeć. – Hunter popatrzył, a Julia się odwróciła, czując, że się czerwieni.

Nalała sobie herbaty.

– Jak pan poznał Willa?

– Przed paru laty robiłem tu pewne interesy.

– Dobrze pan go znał?

– Już mówiłem, że to była znajomość biznesowa. Kiedyś zajmowałem się samochodami.

– Dostarczał pan coś Willowi?

Hunter pokiwał głową.

– Gdy się dowiedziałem o jego śmierci, nie mogłem uwierzyć. Wydawało mi się, że to... – szukał właściwego słowa – nieprawdopodobne.

Kiedy Julia wspominała tygodnie po śmierci Willa, wszystko wydawało jej się dziwnie nierzeczywiste, jak koszmarny sen.

– To były trudne chwile – szepnęła.

– Przepraszam. – Hunter zmarszczył brwi. – Nie chciałem wywoływać bolesnych wspomnień.

– Nic nie szkodzi. Cieszę się, że mogę porozmawiać z kimś, kto znał mojego męża. Z kimś, kto nie jest krewnym. Moja teściowa prawie o nim nie wspomina. Nie jest w stanie. A wszyscy inni starają się zachowywać tak taktownie.

– To musiał być straszny szok dla całej rodziny. Julia podała mu filiżankę.

– Na początku nie mogłam w to uwierzyć. Może zawsze tak jest, gdy śmierć przychodzi nagle.

– I gdy zdarza się tak niefortunny zbieg okoliczności – dorzucił.

Julia ze zdziwieniem stwierdziła, że jego słowa brzmią jak echo jej własnych myśli.

– Cały czas myślę, że gdyby Will nie poszedł tego wieczoru do pubu... gdyby nie wsiadł na tę łódkę... gdyby mina nie oderwała się od dna właśnie wtedy... A na dodatek to wszystko jest do niego tak niepodobne. Will nigdy nie był nieobliczalny.

– Co pani ma na myśli? – Ostra nuta, która się nagle pojawiła w jego głosie, zwróciła jej uwagę.

– Will był taki delikatny. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Wszystkim się martwił – chyba nawet za bardzo. Chciał, żeby życie toczyło się gładko, nie znosił niespodzianek. Gdyby go zapytać, sam by przyznał, że nie jest odważny. Że nie jest odważny jak Jack. Ale to nieprawda. Will był dzielny na swój własny sposób. W dzieciństwie bardzo ciężko chorował. Wiedział pan o tym? Trzeba odwagi, by to znieść, by się pogodzić z tym, że nie wolno robić wielu rzeczy, które robią wszyscy. A w czasach, w jakich przyszło mu żyć, było to jeszcze trudniejsze. W czasie wojny uznano go za niezdolnego do służby wojskowej. Myślę, że to utwierdziło go w przekonaniu, że jest nieudacznikiem, człowiekiem drugiej kategorii. – Poprawiła włosy, które jak zwykle wymykały się spod spinek i wsuwek. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego powierza tak intymne sprawy obcemu człowiekowi, ale mówiła dalej: – Miałam na myśli to, że Will zazwyczaj trzymał się ustalonej rutyny. Gdy między nami wszystko było w porządku, zdarzało mu się zostać trochę dłużej w pracy, potem niekiedy zaglądał do pubu na drinka i wracał do domu. – Julia zacisnęła obie dłonie. – Ale tym razem nie wrócił. Nie przyszedł na noc do domu.

Zagryzła wargi, przypomniawszy sobie nagle z bolesną ostrością dźwięk kroków Willa, wracającego wieczorem do Hidcote Cottage. Przypomniała sobie, że w pierwszych miesiącach małżeństwa jego kroki były pełne energii, machał do niej ręką i całował na powitanie. I że z czasem zamknął się w sobie i zaczął odzywać się tylko monosylabami.

– Kim jest Jack? – Głos Ricka wdarł się w jej myśli.

– Jack?

– Wspomniała pani o Jacku.

– To starszy brat Willa. Jack był zawsze mądrzejszy, zdrowszy, przystojniejszy. I nie musiał się starać. To strasznie trudne, gdy ktoś jest skazany na takie współzawodnictwo od urodzenia. Strasznie trudno żyć z myślą, że jest się skazanym na drugie miejsce. – Julia zerknęła na zegarek i włożyła rękawiczki i szal. – Muszę już iść. Mój autobus...

– Nie przyjechała pani samochodem?

– Samochód, niestety, znów odmówił posłuszeństwa. – Uśmiechnęła się słabo.

– Odwiozę panią do domu. – Nie pozwolił jej zaprotestować, tylko szybko rzucił parę monet na stół i ruszył do wyjścia. Gdy byli przy drzwiach, zapytał nagle: – A nie zechciałaby pani wybrać się ze mną na drinka? Na przykład dziś wieczorem.

– Niestety, nie mogę. – Julia wykorzystała swoją doskonałą wymówkę. – Mam małe dziecko. Syna.

– To może kiedy indziej. W przyszłym tygodniu. Albo w sobotę, jeśli w czasie weekendów ma pani więcej czasu.

Julia poczuła, że znów ogarnia ją dziwne uczucie niepokoju.

– Szczerze mówiąc, jestem tak zmęczona po pracy i po całym dniu z Williamem, że rzadko wychodzę. Mam nadzieję, że mnie pan zrozumie.

– Oczywiście – powiedział i otworzył jej drzwi samochodu.

Topaz czuła, że Charlie się od niej oddala. Jego życie najwyraźniej zmieniło tor. Odwoływał spotkania w ostatniej chwili. Ciągłe coś mu wypadalo, wymawiał się brakiem czasu. „Bardzo cię przepraszam, kochanie. Chyba to rozumiesz, prawda?”. Topaz nie potrafiła tego w żaden sposób zatrzymać.

Wybrali się razem na jeszcze jedno przyjęcie. Straciła go z oczu, gdy tylko przywitali się z gospodarzami. Topaz snuła się więc po pokoju i rozmawiała z tymi, którzy tak jak ona podpierali ściany i tak jak ona, z wyboru albo z konieczności, nie należeli do kręgu wtajemniczonych. Charlie pojawił się godzinę później, we wspaniałym nastroju. Poinformował ją, że idą na kolację do restauracji. Topaz czym prędzej wymówiła się pod byłe pretekstem, on zaś mruknął pod nosem, że bardzo żałuje, i pocałował ją w policzek na pożegnanie.

Gdy dla niego gotowała, zawsze miała poważne wątpliwości, czy Charlie w ogóle rozpoznaje, co je. Kiedyś wydarła mu talerze w połowie posiłku.

– Co właściwie jesz? – krzyknęła rozwścieczona. – Co jesz?

Charlie zdziwił się trochę, a ona chwyciła płaszcz i rękawiczki i wybiegła, by przez godzinę włóczyć się po mrocznych ulicach. Padał deszcz, więc po powrocie do domu była przemoczona do suchej nitki. Biorąc kąpiel, myślała, że zachowała się idiotycznie, urządzając takie przedstawienie tylko dlatego, że ukochany mężczyzna nie potrafi odróżnić omletu od sufletu. Wiedziała, że on wróci, jak będzie trochę bardziej pewien swojej przyszłości. Za każdym razem gdy był bez pracy, zachowywał się tak samo.

Od czasu do czasu dzwonił, by powiedzieć dwa słowa.

– Nie widzieliśmy się już od wieków – zauważyła pewnego wieczoru.

– Przesłuchania – wyjaśnił. – Chodzę na przesłuchania.

– Ale to trwa już tak długo. Stęskniłam się za tobą, Charlie. – Była na siebie wściekła za ten ton.

Odniosła wrażenie, że zgodził się szybko na spotkanie pod koniec tygodnia tylko dlatego, by nie słyszeć jej narzekania. Charlie nie lubił wymówek. Czekaając na niego w barze przy Firth Street, usiadła przy oknie, by

móc obserwować ulicę. Czas mijał; gdy tylko ktoś się wyłaniał zza rogu, Topaz się ożywiała. Za każdym razem jednak przeżywała rozczarowanie, choć na wszelki wypadek przyglądała się przechodniom jeszcze uważniej. Potem znów zaczynała wpatrywać się w swój kieliszek i wlewała kropelki oliwy do martini, którego nawet nie tknęła.

„O siódmej”, powiedział. Przyszło jej do głowy, że może coś źle zrozumiała. Może powiedział „siódma trzydzieści”, a jej się wszystko poplątało. Gdy kwadrans przed ósmą usłyszała za plecami czyjeś kroki, serce zabiło jej mocniej.

To jednak nie był Charlie, tylko jakiś nieznajomy. Przystojny, młody, uśmiechnięty.

– Czy ktoś tu siedzi? – zagadnął i Topaz przez chwilę się zastanawiała, czy go nie zaprosić do stolika. Gdyby spóźniony Charlie zobaczył ich razem, poczułby może iskierkę zazdrości, która tak bardzo dręczyła Topaz. W końcu jednak powiedziała:

– Czekam na kogoś.

Nieznajomy odszedł. Siedziała jeszcze przez jakiś czas, czując się coraz bardziej upokorzona. Zrozumiała, jaką rolę przyszło jej odegrać. Rolę opuszczonej. Po chwili chwyciła torbę i rękawiczki i wyszła z baru.

Charlie zadzwonił następnego ranka. Jego pociąg się spóźnił, a na dodatek nie mógł znaleźć telefonu. Topaz wybaczyła mu jak zawsze. Ale gdy się kochali tego popołudnia, obejrzała uważnie kołnierz jego koszuli, szukając śladów cudzej szminki. Zastanawiała się, czy Charlie nie będzie przez sen wołał kogoś innego po imieniu.

Mary Hetherington poprosiła, aby Topaz przyrządziła kolację w jej domu. Charlie obiecał, że ją zawiezie do domu Mary przy St James's Square. Kolacja miała się zacząć o szóstej trzydzieści.

O szóstej Topaz czekała już w holu, z siatkami pełnymi puszek i pudełek. Dziesięć po szóstej wróciła do pokoju, by stanąć przy oknie. Żaden z samochodów nie zamierzał się najwyraźniej zatrzymać. Kwadrans po szóstej zadzwoniła do Charliego. Nikt nie podniósł słuchawki.

Ledwo złapała taksówkę. Spóźniona dobre trzy kwadransy, pracowała w szaleńczym tempie. Gdy wreszcie służąca wniosła ostatni pudding do jadalni, Topaz usiadła przy kuchennym stole. Głowa jej pękała z bólu, ale, co gorsza, bliskie pęknięcia było także jej serce.

Między deską serów a kawą do kuchni zajrzała Mary.

– Wspaniała kolacja, Topaz. Wszyscy są zachwyceni. Topaz zmywała właśnie naczynia.

– Przepraszam za spóźnienie. Charlie miał mnie podwieźć – usprawiedliwiła się. – Mam nadzieję, że nie przytrafiło mu się nic złego. Czy mogłabym zadzwonić do niego z twojego telefonu?

– Ale on jest przecież u Jennifer, prawda? Topaz obróciła się, słysząc te słowa.

– U Jennifer?

– Tak. – Mary zmarszczyła brwi. – O Boże, myślałam... – Urwała nagle.

Topaz poczuła się mniej więcej tak, jak wtedy, gdy stopa zawisa nam w powietrzu, choć wydaje się, że zeszliśmy już ze wszystkich schodków. Z trudem wykrztusiła pytanie:

– Co myślałaś?

– Nic. Nic takiego.

– Proszę cię...

– Myślałam, że już nie jesteście razem.

Topaz pomyślała wtedy, że Mary ma chyba rację, od pewnego czasu rzeczywiście rzadko bywają razem.

– Dlaczego? – szepnęła. – Dlaczego tak myślałaś? – Widząc wahanie przyjaciółki, dodała: – Muszę to wiedzieć.

Mary westchnęła.

– Gdy pojawił się u Jennifer bez ciebie, wydawało mi się...

– Charlie był u Jennifer Audley? Po tamtym weekendzie, podczas którego były te okropne gry towarzyskie?

– Raz, może dwa – odparła Mary z ociąganiem. – Widziałam go u Jennifer raz, może dwa.

Topaz pozbierała resztki swojej dumy i odwróciła się w stronę zlewu.

– Zaraz skończę i pójdę do domu.

– Och, Topaz, zostaw to zmywanie...

– Już prawie skończyłam.

Łzy przesłoniły jej wzrok tak, że prawie nie widziała, co zmywa; kapały ciurkiem do wody. Usłyszała, że Mary wychodzi z kuchni.

Gdy skończyła wycierać porcelanę, spakowała swoje rzeczy do kartonowych pudełek, przetała stół i kuchenkę i zdjęła fartuszek. Wtedy pochyliła się i napisała jego imię na zaparowanym szkle. Potem zmasała wszystko starannie palcami, by spojrzeć przez przezroczystą znów szybę na padający śnieg.

Po powrocie do domu w drzwiach znalazła karteczkę. „Kochana Topaz, strasznie cię przepraszam, zatrzymała mnie ta okropna pogoda i nie zdążyłem.

Mam nadzieję, że wieczór był udany. Ściskam cię gorąco, Charlie". Topaz zmięła karteczkę i wrzuciła ją do kosza.

Charlie czekał na nią przed restauracją Angelique następnego wieczoru. Trzymał w ręku bukiet chryzantem. Na przeprosiny, jak powiedział. „Nie znalazłem pierwiosnków, dodał, powiedziano mi, że jeszcze za wcześnie". Łzy napłynęły jej do oczu, ale się nie rozplakała.

Gdy tylko go zobaczyła, domyśliła się, że coś się stało; tryskał energią i podnieceniem. Pomyślała, że gdyby spojrzała w dół, mogłoby się okazać, że on nawet nie dotyka stopami ziemi. Wciągnął ją pod swój płaszcz i pocałował. Mijały ich samochody, rozświetlające mrok reflektorami.

Po chwili Charlie cofnął się nieco.

– O co chodzi? Chyba mi wybaczyłaś, prawda? Przeprosiłem cię za wczorajszy wieczór. Samochód...

– Byłeś z Jennifer, prawda, Charlie? – przerwała, mu i zauważyła, jak zmienił się wyraz jego twarzy.

– A nawet jeżeli, to co z tego? Jest moją przyjaciółką.

– Przyjaciółką... – Przyływ gniewu zburzył jej pozorny spokój. – Charlie, widziałam, jak ją całowałeś. Wtedy, gdy byliśmy razem w jej domu.

Zareagował tak, jak się spodziewała.

– To nie ma żadnego znaczenia. Wiesz przecież, jak to jest w teatrze... wszyscy się całujemy, obejmujemy. To zupełnie nic nie znaczy.

– W takim razie dlaczego mi nie powiedziałeś, że się z nią widujesz?

– Sądziłem, że to nie ma żadnego znaczenia. – Wzruszył ramionami.

– Dla mnie ma.

– Widywałem się z nią w związku z pracą. Mówiłem ci przecież, że Jennifer zna wielu ważnych ludzi. – Charlie wziął ją za rękę i znów twarz mu

pojaśniała. – Nie kłóćmy się. Przywiozłem cudowną nowinę. Dostałem rolę w filmie.

– To cudownie – mruknęła.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej.

– W filmie, Topaz! Nareszcie! Choć już prawie zrezygnowałem. – Jego oczy zabłyły w ciemnościach. – To nie jest główna rola, ale i nie epizod. Będę miał swój tekst. A film ma nosić tytuł „Różany ogród”. To taka komedia salonowa, akcja toczy się w angielskim domu na prowincji. Coś w stylu Noela Cowarda.

– Radośni młodzi mężczyźni w białych garniturach? – Topaz nie mogła się powstrzymać od sarkazmu.

– To jest film, Topaz! Wszystko jedno, o czym! Pomyśl tylko, ilu widzów go zobaczy. Tysiące ludzi, może nawet dziesiątki tysięcy. Wielka Brytania... Ameryka... pół świata, jeśli wszystko się powiedzie.

– Twoje nazwisko w blasku reflektorów.

Charlie zmarszczył brwi.

– Mówisz tak, jakby ci się to nie podobało.

– Skądże znowu. Jeśli właśnie tego pragniesz, Charlie, nic innego się nie liczy.

Szli właśnie przez Knightsbridge. Chmury się rozsunęły, odsłaniając błądy, srebrny księżyc. Podekscytowany Charlie wymachiwał rękami.

– To okazja, żeby się dostać do filmu. Nawet jeśli ten nie będzie najlepszy, to na pewno mam szansę dostać kolejną rolę. A przy tym nieźle zarobię – trzy razy więcej niż tutaj obecnie. I zobaczę Amerykę. Zawsze chciałem pojechać do Ameryki.

– Do Ameryki? – powtórzyła.

– Ten film będzie kręcony w Hollywood.
– Mówiłeś, że w angielskim domu na prowincji...
– Zrobionym z tektury. – Charlie się uśmiechnął. – Nie mogę w to uwierzyć. Ja, Charlie Finch, jadę do Hollywood!

Topaz zastanawiała się, kiedy by jej o tym powiedział, gdyby rozmowa nie potoczyła się w ten sposób.

– Na jak długo?
– Na parę miesięcy.

Na mijanym murze płożyły się gałązki laurowe o mokrych, pokrytych błotem liściach. Topaz przypomniała sobie Francescę, „Rzecz w tym, że ja się martwię, a on wcale”.

No cóż, pomyślała, nie możesz mówić, że nikt cię nie ostrzegął, Topaz Brooke.

Charlie objął ją w talii.

– Będzie mi ciebie bardzo brakowało.
– Naprawdę, Charlie?
– Oczywiście. – Spojrzał na nią niepewnie. – Chyba mnie rozumiesz, kochanie? Chyba rozumiesz, że to dla mnie bardzo ważne?

– Oczywiście. – Topaz zadrżała z zimna i szczerzej otuliła się płaszczem. – Doskonale rozumiem.

Spojrzał na nią z ukosa.

– To nie fair.
– Naprawdę?
– Nie mogę pozwolić, by wymknęła mi się taka okazja.
– Wcale tego nie chcę.
– Ale nie podoba ci się to?

– Mówiłam już, Charlie, że to ty musisz wybrać. Musisz wybrać to, co uważasz za właściwe.

Doszli już prawie do jej mieszkania. Na rogu Charlie zatrzymał się, jakby nagle coś mu przyszło do głowy.

– A może pojedziesz ze mną?

– Charlie...

– Właściwie, dlaczego nie? Mogłabyś przecież rzucić pracę, prawda? Chyba lepiej leżeć na plaży w Kalifornii, niż obierać ziemniaki. Tylko pomyśl: palmy, ocean...

Topaz dała się przez chwilę ponieść wyobraźni. Ona, Topaz Brooke, leżąca na złotym piasku w cudownie skrojonym amerykańskim kostiumie kąpielowym, dzięki któremu będzie miała figurę jak Jane Russell.

– Jedź ze mną, Topaz. Będzie cudownie. Powiedz, że pojedziesz.

– W jakim charakterze? – zapytała.

– Co masz na myśli?

– Jako twoja przyjaciółka, twoja dziewczyna...

– No cóż...

– Czy jako narzeczona?

Charlie zdziwił się i zmieszał. W głębi jego ciemnych, pięknych oczu pojawiło się przerażenie. Podrapał się po czole i zaniemówił. Topaz zrobiło się go żal.

– Nie przejmuj się. Wcale nie oczekuję, że się ze mną ożenisz.

– Małżeństwo... – Zaśmiał się nerwowo. – Nigdy o tym nie myślałem. Nie mam poczucia, że już się jakoś urządziłem w życiu. Wszystko jest na razie palcem na wodzie pisane. No i nie znoszę zobowiązań... wtedy przestaje być już tak miło, nie sądzisz?

Topaz wtuliła twarz w bukiet chryzantem. W mroźnym powietrzu kwiaty miały nieprzyjemny, drażniący zapach.

– Ale pojedziesz ze mną do Ameryki... prawda?

– Nie sądzę. – Dotarli już do jej mieszkania. Topaz wyjęła klucz z torby.

– Topaz...

– Zegnaj, Charlie.

– Chciałbym, żebyś ze mną pojechała. – Charlie zmarszczył brwi. – Będzie mi ciebie brakowało.

– Mnie ciebie też.

– Zaczekasz na mnie, prawda? – W jego głosie pojawiła się niespodziewanie nuta niepokoju.

– Nie sądzę, Charlie.

– Topaz... – Był bezgranicznie zdumiony.

– Między nami wszystko skończone, nieprawdaż? – Zdziwiła się, że te słowa zabrzmiały tak spokojnie. – Myślę, że oboje o tym dobrze wiemy.

Charlie otworzył szeroko oczy.

– Z powodu Jennifer? Już ci mówiłem, Topaz, że to nie ma żadnego znaczenia.

Pokręciła głową.

– Nie, nie z powodu Jennifer.

– No a gdybym powiedział, że się z tobą ożenię...

– Nie. – Znów pokręciła głową i uśmiechnęła się lekko. – Nie.

– Nic nie rozumiem, Topaz. Dlaczego?

Dlatego, pomyślała, że nie chcę wypełniać dziur w niczyim życiu. Już nigdy więcej. Mam tego dość. Ale powiedziała tylko:

– Dlatego, że się zmieniłam, Charlie. A ty nie.

Potem weszła do domu. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, poczuła się straszliwie samotna i natychmiast zaczęło jej go brakować. Chciała nawet otworzyć drzwi i zawołać Charliego.

Nie zrobiła jednak tego. Weszła po schodach i otworzyła drzwi swojego mieszkania. Usiadła w kuchni, rozejrzała się dokoła i po raz pierwszy poczuła, że wszystkie rzeczy, które tak lubi, wcale jej nie cieszą.

Rick Hunter zadzwonił do Julii.

– Znalazłem dom – powiedział. – Chciałbym zasięgnąć jeszcze czyjejs rady, zanim go kupię. Może zechciałabyś rzucić okiem?

– Nie jestem pewna... – Znów intuicja nakazała jej ostrożność.

– Nie chciałbym się narzucać – przerwał jej. – Na pewno jesteś bardzo zajęta.

Julia wzięła głęboki oddech. To śmieszne, że stara się wciąż zachowywać tak nieprzystępnie. Rick stara się po prostu być uprzejmy.

– O jakim dniu myślałeś?

– Najlepiej byłoby obejrzeć dom po południu. W świetle dziennym. Może w niedzielę?

– Niedziela to nie najlepszy termin. William...

– A gdybyś zabrała go ze sobą? Koło domu jest wielki ogród, w którym będzie się mógł pobawić.

Strzał w dziesiątkę, pomyślała.

– W takim razie do niedzieli – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Dom był oddalony o piętnaście kilometrów od Longridge. Julia domyśliła się, że gdzieś niedaleko jest morze. Poczowała zapach soli, spostrzegła ten charakterystyczny kolor nieba. Z głównej drogi trzeba było skręcić w wąski trakt. Samochód podskakiwał w koleinach. Po obu stronach traktu rosły drzewa

i dopiero gdy ich szpaler się skończył, Julia po raz pierwszy ujrzała dom Ricka Huntera.

Zabrakło jej tchu z wrażenia. Spodziewała się jakiejś solidnej, przysadzistej bryły, a nie zgrabnego, delikatnego budynku z jasnego kamienia, który wspaniale harmonizował z błękitem i zielenią morza i lasu. Gdy wysiadła z samochodu, przez chwilę stała nieruchomo, złożonywszy dłonie. Wzdłuż domu ciągnęła się weranda. Wokół kutego żelaza wiły się jakieś gałązki; Julia wyobraziła sobie, że wczesnym latem kwitną tam błękitne kwiaty, którymi delikatnie kołysze morską bryza. W ogrodzie zauważyła brązoszare krzaki ostrokrzewu i pierwsze maleńkie pączki listków modraka. Oraz ciemne, masywne liście rododendronów. Za miesiąc, może dwa wszystkie się pokryją różowymi, purpurowymi lub szkarłatnymi kwiatami.

Weszła za Rickiem do domu. Pokoje były przestronne, miały właściwe proporcje. Przez wysokie okna do wnętrza sączyło się modroszare światło. Na piętro wiodły kręte schody z jasnego kamienia.

Na górze William zaczął biegać, otwierał wszystkie drzwi, i pokrzykiwał, słysząc echo własnych kroków. Julia musnęła palcami odrapaną drewnianą poręcz i dotknęła tapety zwisającej ze ściany.

W największej sypialni, pośrodku sufitu wisiał pokryty pajęczynami kandelabr. Julia aż podskoczyła do góry, gdy Rick nagle się odezwał. Zatopiona w marzeniach, jakby całkiem zapomniała o jego obecności. – I co o tym sądzisz?

– Jest piękny. Przepiękny.

Hunter wyjął z kieszeni plik kartek.

– Był tu już architekt wnętrz. Z Londynu. – Zerknął na jedną z kartek. – Powiedział, że w tym pokoju powinna dominować purpura. Zasłony w

czerwone i czarne pasy, ze złotą lamówką i złotą pas... – Rick zmarszczył brwi, próbując odczytać wyraz –... pas...

– Pasmanterią? Chodziło mu pewnie o chwościk i ściągacz. – Julia obróciła się, ogarniając wzrokiem wysokie okna, delikatne rzeźbienia na suficie i architrav nad drzwiami. – Purpura i złoto... No cóż, ja bym ten dom urządziła zupełnie inaczej.

– Od razu wiedziałem, że ten facet jest idiotą. – Rick porwał kartki i rzucił je na podłogę. Gwałtowność tego gestu zakłóciła panujący w domu spokój. – A jak byś go urządziła?

–Ja?

– Musisz mi powiedzieć, jak to zrobić. Bo ja nie mam pojęcia.

– Rick... – Była naprawdę zakłopotana –... Przecież ja nie jestem architektem wewnątrz...

– Ale masz dobry gust. Na przyjęciu Maurice'a powiedziałaś, że dekoracja sali jest w złym guście. Ja bym nie potrafił tego ocenić. A nie chciałbym, żeby ten dom – Rick uderzył dłonią w parapet –był ordynarny. Chcę, żeby wyglądał tak, jak uważasz, że powinien wyglądać.

– Przecież dopiero się zastanawiasz nad kupnem... Pokręcił głową.

– Podpisałem papiery w zeszłym tygodniu. Ktoś inny był także poważnie zainteresowany. – Zerknął na nią i powiedział: – Chyba zmarzłaś. Chodźmy. W starych murach zawsze jest wilgotno.

Gdy szli przez dziedziniec, Hunter powiedział:

– Chcę ci pokazać coś jeszcze.

Poprowadził ją ścieżką wiodącą przez gąszcz rododendronów. Ciemne liście krzewów łączyły się ponad ich głowami, tworząc tunel i przesłaniając niebo. Szum fal był coraz głośniejszy. Julia trzymała Williama za rękę i szła za

Rickiem. Nagle krzaki się skończyły i znaleźli się na drewnianym pomoście na samym środku ustronnej plaży. Parę kroków dalej morze obmywało kamyki. Ciemnobrązowe morszczyzny połyskiwały na wilgotnym, lśniącym piasku, a w niewielkim baseniku, który się utworzył koło pomostu, kołysała się pomarańczowa rozgwiazda. Wapienne skałki otaczały plażę z dwóch stron, tworząc niewielką, trudno dostępną z zewnątrz zatokę. William wyrwał jej rączkę i pobiegł, by spenetrować brzeg.

– To magiczne miejsce – powiedziała na głos. Znów zabrakło jej tchu. – Cudowne.

Dziecko miało przyjść na świat w końcu kwietnia. Marius wydobyl niemowlęce łóżeczko Tary i pomalował je na nowo. Wytapetował też stary dziecięcy pokój. Żeby dziewczynka nie czuła się zazdrosna, pomalował też jej sypialnię na wybrany przez małą kolor. Na niebiesko.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Tara skończyła sześć lat. Wyglądała jak miniatuurka Suzanne: drobna jak na swój wiek, z jasną cerą, ciemnymi oczami i kręconymi włosami. Okazało się jednak, że ma całkiem inne usposobienie. Suzanne zawsze toczyła zacięte boje z każdą władzą, Tara natomiast okazywała ogromny szacunek nauczycielce, pannie Rokeby. Cytowała jej słowa podczas podwieczorku i obdarowywała ją drobnymi upominkami: pieczątką z ziemniaka lub ciasteczkami z lukrem własnej roboty. Suzanne traktowała wszelkie prace domowe jako zło konieczne, a Tara uwielbiała polerować małą toaletkę, którą zrobił dla niej Marius, i wpadała w rozpacz, gdy w szufladach był choć lekki nieporządek. Suzanne zawsze się śpieszyła, a Tara była cierpliwa i dobrze zorganizowana. Podczas gdy Suzanne najlepiej czuła się w koszuli i spodniach, Tara nosiła sukienki, preferując te,

które były różowe i miały dużo falbanek. Kiedy dziewczynka stroiła się przed lustrem, Suzanne mówiła z rozpaczą:

– Ja tego nie zniosę, Marius. To nie może być moja córka. Chyba ją podmienili w szpitalu.

Marius natomiast był bezgranicznie dumny ze swej maleńkiej, ślicznej córeczki. Za każdym razem, gdy wracał z Londynu, przywoził jej jakiś prezent: spinkę do włosów, wstążkę, nową sukienkę dla ulubionej lalki.

Tara poszła do szkoły w Henscombe. Szkoła była niewielka, ale dość postępową. Nie wymagano w niej mundurków i surowej dyscypliny, której tak nie znosiła Suzanne. Dziewczynka uwielbiała szkołę. Miała wiele przyjaciółek, które przychodziły do Missencourt na podwieczorki i bawiły się z nią domkiem dla lalek i świnką morską. Julia obiecała, że za rok, może dwa, nauczy ją jeździć konno. Tara chodziła na balet i wraz z dwudziestoma innymi dziewczynkami, ubranymi w identyczne różowe kostiumy, wyciągała paluszki w takt muzyki płynącej ze starego gramofonu.

Marius w każdą niedzielę rano zabierał córkę na spacer. Oboje wstawali bardzo wcześnie i na paluszkach, by nie obudzić Suzanne i Adeli, wychodzili z domu, włożywszy płaszcze i kalosze. Tara za każdym razem chciała, by urządzili sobie piknik, Marius zabierał więc butelkę z herbatą i ciasteczka. Potem maszerowali w stronę wzgórz albo do lasu, wskakując w kałuże i błoto lub wdrapując się na wapienne skały. Szukali kasztanów albo żołądzi, a wiosną krokusów.

Najbardziej jednak lubiła morze, Marius sadzał ją więc na tylnym siedzeniu i jechał na plażę. Urządzali sobie piknik wśród białych skał, gdzie kraby i inne morskie stworzenia urządziły sobie mieszkania w niewielkich basenikach. Zimą rozmowę uniemożliwiały im huk fal i wycie wiatru. Tara

jadła ciasteczka i piła słodką herbatę z mlekiem, a potem bez względu na pogodę chciała budować zamek z piasku. Gdy szli razem w stronę brzegu, opowiadała ojcu o łodzi, którą wypłynie w morze, gdy będzie już duża. Łódź musi mieć niebieskie żagle i kotwicę, a ona zamierza łowić ryby. Marius cmokał z podziwu i wyobrażał sobie swoją małą córeczkę kołyszącą się w wątlej łupince na ogromnych falach. Oboje z Julią w dzieciństwie wypływali w morze na pontonie: Marius drżał na samą myśl o tej szalonej lekkomyślności. Przypuszczał, że wpłynęła tak na niego śmierć szwagra. Od czasu gdy Will zginął w morzu tak nagle i bez śladu, na jasne wspomnienia z dzieciństwa kładł się zawsze mroczny cień.

Kiedyś Julia go zapytała:

– Czy sądzisz, że kiedykolwiek przestaniemy się o nie martwić, Marius?

Czy to kiedyś przechodzi?

A on, wiedząc, że siostra ma na myśli dzieci, Williama, Tarę i to nienarodzone, pokręcił głową.

– Chyba nie. Mama wciąż się denerwuje, gdy długo nie wracam z Londynu.

– O rany! – jęknęła Julia i zrobiła taką nieszczęśliwą minę, że musiał czym prędzej uścisnąć i pocieszyć siostrę, która kiedyś niczego się nie bała.

Cieszył się z tego, że Tara kocha wieś, że lubi wiatr i zmieniające się pory roku. Nie chciał wiedzieć, czy w jej żyłach płynie czy nie płynie jego krew; wystarczało mu, że mogą razem chodzić brzegiem wapiennego urwiska, że oboje kochają morską bryzę, która spryskuje im twarze maleńkimi kropelkami, gdy stoją obok siebie na plaży. Wystarczało mu, że patrzą razem na taniec fal, zapominając o bożym świecie, i że razem śpieszą się do domu, by nie spóźnić się na śniadanie.

Suzanne była w szóstym miesiącu ciąży, ale wciąż pracowała w przedszkolu, które zostało przeniesione do Great Missen, gdyż nie mieściło się już w pokoju zabaw w Missencourt. Często była blada i zmęczona. Anemia, stwierdził doktor, zalecając, by Suzanne jadła dużo wątróbki i jak najwięcej odpoczywała. Marius raz jeszcze zasugerował, by przerwała pracę w przedszkolu przynajmniej do końca ciąży. Tym razem się zgodziła; postanowiła, że odejdzie, gdy tylko Vivien znajdzie kogoś na jej miejsce. Marius odetchnął z ulgą. Ale po chwili zobaczył, że żona znów patrzy przez okno z taką samą rozpaczą w oczach, jak kiedyś. Jakby w domu, na wsi czuła się wciąż jak w klatce,

Tuż po wojnie rodzinna firma Temperleyów przeżywała cięższy okres ze względu na konieczność dostosowania się do wymagań gospodarki czasów pokoju, a także ze względu na kłopoty z dostawami materiałów. Pięć lat później firma przynosiła już spore dochody i miała mnóstwo zamówień. Teraz borykali się z innymi trudnościami: czasem nie byli w stanie zrealizować wszystkich zamówień. Decyzja Mariusa o przeniesieniu części produkcji oraz otwarciu punktu sprzedaży w Londynie w pewnej tylko mierze rozwiązała ten problem.

Pod koniec lutego w londyńskich warsztatach wybuchł pożar, który doprowadził do wstrzymania produkcji. Marius pojechał do Londynu, by ocenić rozmiary szkód. Suzanne wybrała się razem z nim.

Wrócił do londyńskiego mieszkania o siódmej. Suzanne spojrzała na męża i od razu naląła mu drinka.

– Zły dzień?

– Okropny. Zdaje się, że jakiś idiota wrzucił niedopałek do kosza na śmieci pełnego papieru. – Marius wypił łyk whisky. – Ale mogło być jeszcze gorzej. Pożar mógł pochłonąć wszystko.

– Całe szczęście, że nikt nie ucierpiał. – Suzanne przygotowywała kolację we wnęce kuchennej.

– Tylko ten osioł, który spowodował pożar. Obawiam się, że bębunki w uszach mogły mu popękać, gdy krzyczałem, co o tym myślę. – Marius ściągnął krawat i rzucił go na krzesło. – To się nie mogło wydarzyć w gorszym momencie. – Wciąż nie opuszczał go gniew. – Warsztaty będą wyłączone z produkcji przez co najmniej tydzień. W Great Missen nie będzie co robić. Chyba będę musiał zwolnić część ludzi.

Marius podszedł do żony i starał się zapomnieć o kłopotach, obejmując ją w miejscu, gdzie kiedyś miała talię, i całując w plecy. Ale Suzanne się odsunęła.

– Podaj mi, proszę, białka, Marius...

Podał jej miskę.

– Jak minął ci dzień?

– Świetnie – powiedziała. – Świetnie.

Uznał jednak, że Suzanne wygląda na zmęczoną. Świadczyły o tym cienie pod oczami i prawie przezroczysta cera. Jej drobna twarz zupełnie nie pasowała do coraz większego ciała.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Zetrzyj trochę sera... – Podała mu ser i tarkę. – Widziałam dziś śliczny kosz dla niemowlęcia na Brompton Road. Nie miałam nic takiego dla Tary.

– Kupiłaś?

– Oczywiście, że nie! Był strasznie drogi. Kupiłam za to zwykły wiklinowy kosz i materiał, którym go obszyję. Będzie równie piękny, choć zapłaciłam grosze.

– Nie wątpię, że będzie piękny, ale nie musisz oszczędzać.

– Nie lubię wyrzucać pieniędzy bez potrzeby. Weszło mi to w nawyk.

Mariusz uporał się właśnie z serem.

– Wszyscy jesteśmy tacy sami, prawda? Matka wciąż odkłada resztki mydła. A ja używam zapisanych z jednej strony kartek na brudnopisy.

– A ja nie mogę zjeść całej paczki słodyczy za jednym zamachem, choć robiłam to przed wojną – westchnęła Suzanne. – Myślisz, że zawsze już tak będzie? Że zawsze będziemy mieć poczucie winy, gdy cokolwiek zmarnujemy?

– Obawiam się, że tak. I najprawdopodobniej nasze wnuki będą się z nas śmiać.

Suzanne odłożyła trzepaczkę i miskę z białkami i pochyliła się nad zlewem, masując sobie plecy.

– Pozwól, że ja to skończę – zaproponował zatroskany Mariusz. – Powinnaś odpocząć. Wyglądasz, jakbyś była wykończona.

Pokręciła głową.

– Już prawie gotowe. – A potem odwróciła się i powiedziała niespodziewanie: – Jutro muszę wracać do domu, Mariusz. Dzwoniła Vivien. Bardzo potrzebuje mojej pomocy w przedszkolu.

– Myślałem, że ta..., no, jakże jej było na imię... ta rudowłosa dziewczyna ma ciebie zastąpić?

– Sally O'Brien? Owszem, ale jej syn dostał właśnie świnki, więc nie będzie mogła przychodzić jeszcze przez parę tygodni.

– A Vivien sama sobie nie poradzi?

– Nie poradzi sobie z dziesiątką dzieci. Czy nie masz nic przeciwko temu, że wezmę samochód?

– Oczywiście, że nie mam, Suzanne, ale to nie najlepszy pomysł. – Marius starał się ukryć zdenerwowanie. – To bardzo długa podróż. A ty już jesteś zmęczona.

– Nic mi nie jest. Wieczorami rzeczywiście nie czuję się najlepiej, ale jutro wszystko będzie w porządku.

– Jeśli naprawdę musisz wracać do domu, choć nie rozumiem, dlaczego nie mieliby sobie poradzić bez ciebie przez jeszcze jeden dzień, to byłoby chyba rozsądniej, gdybyś pojechała pociągiem.

– Gdy ostatnim razem jechałam pociągiem, trwało to strasznie długo, okropnie zmarzłam, a na dodatek nie było wagonu restauracyjnego. – W głosie Suzanne pobrzmiwała irytacja. – A w Longridge nie mogłam złapać żadnej taksówki i musiałam iść do domu piechotą. Na domiar złego na drodze stało pełno krów. – Suzanne zadrżała. – Wolę jechać samochodem. Wiesz o tym, Marius.

– Ale wyglądasz na tak bardzo zmęczoną...

– Marius, nie marudź! – Odwróciła się od niego i zaczęła wrzucać naczynia do zlewu. – Cięża to nic nadzwyczajnego. Miliony kobiet na świecie z tym żyje.

Marius czuł, że po tak ciężkim dniu lada moment straci panowanie nad sobą.

– Spośród tych milionów kobiet, które są w ciąży, niewiele musi opiekować się sześciolatkiem, pracować w przedszkolu i prowadzić całkiem spory dom.

– Moja matka – wykrzyknęła Suzanne z wściekłością – pracowała Bóg wie ile godzin w fabryce i mieszkała w domku wielkości pudełka po butach z mężczyzną, który ją bił, gdy tylko na nią spojrzeł. I miała siedmioro dzieci! – Popatrzyła na męża i chyba zniknął jej bojowy nastrój, bo westchnęła i powiedziała: – Przepraszam. Nie chciałam wszczynać kłótni.

Mariusz wziął ją w ramiona, ale znów się odsunęła.

– Nie mogę cię zawieźć do domu rano, bo spodziewam się jeszcze jednego rzeczoznawcy. Powinien jednak zakończyć oględziny koło południa. Moglibyśmy więc wyjechać po południu. Zatrzymamy się na noc w Andover albo w Salisbury.

– Kochany Mariusz – powiedziała lekko drżącym głosem.

Rzeczoznawca, który się umówił na dziesiątą, przyszedł dopiero o jedenastej. A potem oglądał wszystko tak skrupulatnie, że Mariusz zgrzytał zębami. Rozmawiał ze wszystkimi pracownikami po kolei, sprawdzał każdą gaśnicę i każde wiadro z piaskiem.

Gdy Mariusz miał już wyjść, zadzwonił telefon. Dzwonił kierownik hurtowni w Leeds, jeden z najważniejszych klientów, zaniepokojony wieściami o pożarze. Chciał się upewnić, czy jego zamówienie zostanie zrealizowane na czas. Mariusz uspokajał go przez dwadzieścia minut. Po zakończeniu tej rozmowy zadzwonił jeszcze do Julii, do Dorset, żeby jej przypomnieć, że zamówienie z Leeds powinno zostać zrealizowane w pierwszej kolejności.

Wyszedł z biura dopiero o trzeciej. Złapał taksówkę, by nadrobić stracony czas, i w ten sposób był w mieszkaniu o wpół do czwartej.

Gdy jednak otworzył drzwi, zorientował się, że w środku jest pusto. Zniknęły walizki, a także płaszcz i kapelusz Suzanne z wieszaka w przedpokoju.

Mariusz przeczytał wiadomość, którą mu zostawiła na lustrze w sypialni.

Mój kochany. Postanowiłam pojechać jednak do Missencourt dziś rano. Wzięłam samochód. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Widzę, że jesteś bardzo zajęty, nie musisz się więc śpieszyć z powrotem do domu. Jeśli poczuję, że jestem zmęczona, zatrzymam się w jakimś hotelu po drodze. Obiecuję.

Całuję Cię, Suzanne.

Mariusz wyjrzał przez okno. Parę dni temu znacznie się ochłodziło, niebo było jasne, poznaczone tu i ówdzie smugą dymu z komina.

Suzanne nie przypuszczała, że to będzie takie trudne. Nie sądziła, że na poszczególnych etapach drugiej ciąży ożyją wspomnienia pierwszej. Że nudności i zmęczenie charakterystyczne dla trzech pierwszych miesięcy sprawią, iż powrócą gniew i niepewność, takie same jak wtedy, gdy Neil wyjechał. Nie sądziła, że gdy poczuje pierwsze, dziwne ruchy maleństwa, przypomni sobie te straszne tygodnie po śmierci Neila we Francji. I że będzie się budziła w środku nocy w poczuciu bezgranicznej rozpacz, przeżywając raz jeszcze swoją żalobę, lęk o nienarodzone dziecko i niechęć do niego.

Vivien w gruncie rzeczy wcale nie nalegała na powrót Suzanne do Dorset. W przedszkolu brakowało wprawdzie rąk do pracy, ale Vivien – spokojna i opanowana – powiedziała jej wyraźnie, że nie musi się śpieszyć. „Odpocznij, póki możesz, kochana, poradziła, bo już niedługo znów będziesz musiała wstawać co godzinę”.

Suzanne wyjechała z Londynu, ponieważ potrzebowała trochę czasu dla siebie, a poza tym zapragnęła nagle odwiedzić miejsce, w którym po raz ostatni widziała się z Neilem. Pod koniec kwietnia 1944 roku udało im się spędzić razem weekend w Salisbury. Neil stacjonował w pobliskim Tidworth; Suzanne

pamiętała, jak, wpisując się do księgi hotelowej, schowała lewą rękę do kieszeni, by ukryć brak obrączki. Pomyślała z krzywym uśmiechem, że w owym czasie mnóstwo takich samych par wynajmowało hotelowe pokoje, bo w pobliżu były przecież obozy pełne żołnierzy, którzy lada moment mieli odpłynąć na kontynent.

Gdy wjechała do Salisbury, zaparkowała niedaleko White Hart Hotel. Patrząc na stary budynek, przypomniała sobie, że tamten weekend nie był udany. Nie pokłócili się wprawdzie, ale ona nie zdołała otrząsnąć się z depresji, w którą popadła podczas długiej podróży z Northumberland. Wytworzył się wówczas między nimi dystans, jakby kilkutygodniowa separacja już odcisnęła na obojgu swoje piętno. Kochali się rozpaczliwie, jak gdyby próbując odzyskać coś, co odeszło bezpowrotnie. Kiedy w poniedziałek rano ruszyła na północ, ogarnęły ją mdłości. Przypuszczała, że to efekt rozstania, ale to były pierwsze symptomy ciąży.

Teraz oddaliła się od hotelu w stronę Cathedral Close. Dzień był zimny, ale pogodny, niebo przybrało odcień najjaśniejszego błękitu. W cieniu ziemia iskrzyła się lodem, a ciemnozielone listki bluszczu, który piał się po murze, pokrył szron. Przechodząc przez Bridge Street, Suzanne pomyślała: Właśnie tu widziałam go po raz ostatni. Właśnie tu pocałowaliśmy się na pożegnanie. Neil chciał ją odprowadzić do dżipa, ale odmówiła. Nie zносиła rozstań.

Próbowała go sobie wyobrazić, starała się odtworzyć w myślach jego twarz. Ale rysy Neila wciąż się rozmywały, jakby kryła je tafla wody. Nie mogła sobie przypomnieć koloru jego oczu, kształtu ust. Poczula, że ogarnia ją panika. Jeśli naprawdę go kochała, to dlaczego zapomniała, jak wyglądał? Czy właśnie w ten sposób kończy się miłość? Czy kiedyś zapomni też, jaki był

kolor oczu Mariusa? Czy jako stara kobieta zapomni twarz, oczy i głos swojej córki?

Jakiś głos wyrwał ją z zamyślenia i, ku swemu przerażeniu, uświadomiła sobie, że płacze. Stoi na środku ulicy i płacze. Mruknęła coś do staruszki, która patrzyła na nią z troską w oczach, i wróciła do samochodu. Miała zamiar coś zjeść w Salisbury, a nawet zatrzymać się tu na noc, otarła jednak łzy i wyjechała z miasta.

Jechała szybko; zawsze lubiła prowadzić samochód. Nauczyła się tego w wojsku; pamiętała, jak pędziła po długich, prostych drogach w Northumberland, a siedzący za jej plecami Neil krzyczał, by trochę zwolniła. Drogi tu, na południu były jednak całkiem inne. Gdy Suzanne skręciła na Exter Road, szosa zaczęła się wić i kluczyć przez niezliczone wioski. Od czasu do czasu musiała zjechać na skraj drogi, by ustąpić jakiejś ciężarówce czy autobusowi. Stopa jej zeszywniała od naciskania opornych pedałów, bolały ją ramiona od kręcenia ciężką kierownicą.

– Przeklęty samochód – mruknęła pod nosem. – Gorszy niż wojskowy dżip.

Poczuła, że ogarnia ją straszliwe zmęczenie. Zatrzymała się przy drodze, wyłączyła silnik i siedziała znużona, uświadomiwszy sobie, że zamykają jej się oczy. Spłynął jednak na nią jakiś spokój, a poczucie żalu, które nie opuszczało jej przez kilka dni, nagle się oddaliło. Jakby przyjazd do Salisbury zamknął pewien rozdział jej życia i rzucił właściwe światło na przeszłość jako coś skończonego. Teraz mogła śmiało spojrzeć w przyszłość. W przyszłość z Mariusem, Tarą i tym nienarodzonym jeszcze dzieckiem. W całkiem dobrze zapowiadającą się przyszłość. Suzanne zamknęła oczy i zasnęła.

W samochodzie szybko zrobiło się bardzo zimno, więc po kilku chwilach obudziła się, drżąc i szcękając zębami. Wciąż ogarniała ją senność, ale ruszyła dalej. Uznała, że od Missencourt dzieli ją zaledwie pół godziny jazdy. Gdy tylko przyjedzie do domu, weźmie gorącą kąpiel i położy się do łóżka. Marius miał rację: jej zaawansowana ciąża nie pozwalała na tego rodzaju maraton za kierownicą. W przyszłości będzie rozsądniejsza.

Szosa wznosiła się i opadała, gdy Suzanne mknęła na południe przez wzgórza i doliny. Pojechała skrótem, który zjeżdżał wprost na drogę prowadzącą do Henscombe. Nie знаła zbyt dobrze tego skrótu i bardzo się zmęczyła, pokonując liczne nieoczekiwane zakręty.

– Prawie w domu – mruknęła na głos sama do siebie.

Obsadzona szpalerem droga wreszcie przestała się wić i Suzanne nacisnęła pedał gazu. Zjeżdżała z góry przez las, a gdy zimowe słońce wyłoniło się sponad czubków drzew, przymknęła na sekundę oczy. Kiedy je otworzyła, odkryła, zbyt późno, że dojechała już do skrzyżowania i właśnie wjeżdża na główną szosę, graniczącą z wysoką ścianą lasu. Nacisnęła pedał hamulca, nie zdołała jednak zatrzymać rozpędzonego, ciężkiego samochodu. Gdy maska uderzyła w nasyp, Suzanne wpadła z impetem na kierownicę, a potem z powrotem na siedzenie.

Nie wiedziała, co się dzieje. Nie rozumiała, dlaczego blask słońca wciąż ją oślepia. Czemu nie może złapać tchu. Dlaczego jest jej tak zimno i dlaczego odrętwienie tak szybko ogarnia całe jej ciało.

– Marius – szepnęła, ale nie była w stanie obrócić głowy, by sprawdzić, czy mąż jest przy niej.

14

Pamiętny list od matki nadszedł, gdy Jack mieszkał w Kanadzie już prawie dwa lata. W 1949 roku, po przyjeździe z Anglii, skontaktował się z przyjacielem z wojska, który wyemigrował pod koniec wojny. Okazało się, że Wallace Maxwell jest właścicielem farmy w Saskatchewan i że ma dla Jacka pracę. Jack Chancellor po raz pierwszy zobaczył prerię pod koniec zimy. Znalazł się w kraju ogromnych, ciągnących się po horyzont pól przetykanych zielonymi zagajnikami i roziskrzonymi jak klejnoty jeziorami.

Maxwell miał żonę i czworo urodzonych po wojnie dzieci. Po tygodniu spędzonym w domu przyjaciela Jack uciekł przed jego gadatliwą połowicą i hałaśliwym potomstwem do pobliskiego miasteczka McKenna. W McKenna oprócz stacji kolejowej, odrapanego hoteliku, kilku sklepów i warsztatu samochodowego znajdowało się tylko kilkadziesiąt domów. Właścicielką jednego z nich była pani Turner, która wynajmowała pokoje.

Jack zamieszkał u niej i przez całe lato pracował na farmie Maxwella. Gdy w samo południe z nieba lał się żar, Jackowi przypominała się północna Afryka. Wieczorami pejzaż spowijały purpurowo–szare cienie. Maxwell uprawiał głównie pszenicę, wielkie złote morze pszenicy falującej na wietrze, urozmaicone tu i ówdzie żółcią gorzycy i błękitem lnu. Na krańcach posiadłości, z dala od domu i zabudowań gospodarczych z czerwonymi dachami, złote łany spotykały się z kopułą błękitnego nieba. W kanadyjskim krajobrazie pojawiały się elementy, których Jack nigdy przedtem nie widział; pomalowane kolorowymi farbami elewatory zbożowe wyglądały jak prehistoryczne bestie, tu i ówdzie zaś greckokatolickie i prawosławne cerkwie, podobne do monstrualnych cebul, nie pozwalały zapomnieć, że w tym kraju

osiedli ludzie z najróżniejszych, bardzo czasem odległych państw. W tych ogromnych przestrzeniach Jack odetchnął wreszcie z ulgą, jakby zrzucił z ramion jakiś wielki i przytłaczający ciężar.

W saloniku pensjonatu wisiała fotografia męża właścicielki, który zginął w czasie bitwy o Normandię w 1944 roku. Esther Turner świetnie gotowała, była taktowna i dyskretna. Na początku zachowywała się trochę opryskliwie i unikała rozmów z Jackiem. Dopiero po pewnym czasie się zorientował, że ta niewysoka, gustownie ubrana kobieta z orzechowymi oczyma jest po prostu nieśmiała. Jeszcze później dostrzegł urodę swojej powściągliwej i opanowanej gospodyni. Dopiero pod koniec lata przeszli na ty. A gdy spadł pierwszy śnieg, poszli razem do łóżka. Kochali się bardzo cicho i ostrożnie, ze względu na pozostałych mieszkańców pensjonatu.

Surowość kanadyjskiej zimy bardzo zaskoczyła Jacka. Termometr pokazywał dziesięć, potem dwadzieścia, a nawet trzydzieści stopni poniżej zera. Podczas najmroźniejszej nocy na jednej z pobliskich farm zamarł pasterz z kilkoma sztukami bydła. Zimą rozległe pola zamieniały się w biały ocean i tylko delikatna kreska horyzontu oddzielała je od bladego nieba. Mróz niemal oślepił ludzi i szarpał palce u rąk i nóg. Życie w zimie stawało się dziwnie skondensowane, ograniczone do tego, co najważniejsze.

Długie ciemne wieczory, podczas których Esther robiła patchworki, spędzali na rozmowach. Jack patrzył, jak jej sprawne palce zszywają różnobarwne kwadraty, słuchając opowieści o dzieciństwie w Montrealu, o zamażpójściu w wieku lat osiemnastu i o szoku, jaki przeżyła, przenosząc się na farmę męża. Słowami, w których nie było ani cienia żalu nad sobą, opisywała swoje skrajne zmęczenie i samotność w okresie, gdy bez jakiegokolwiek pomocy prowadziła farmę po wstąpieniu męża do wojska, oraz

decyzję o sprzedaży gospodarstwa, podjętą po jego śmierci. Straciła serce dla tej ziemi, tłumaczyła Jackowi. Pokonały ją warunki, w jakich przyszło jej żyć: bezlitosny klimat i poczucie odizolowania od świata. „Wydawało mi się, że zdołam jakoś ułożyć sobie życie na farmie od nowa, ale nie potrafiłam”. Sprzedała więc wszystko i kupiła pensjonat w McKenna. Z sypialni na poddaszu widać było farmę zmarłego męża. Siedząc obok Jacka w saloniku, Esther tłumaczyła: „Wciąż mam poczucie winy, Jack. Frank odziedziczył farmę po ojcu i chciał przekazać ją swoim synom. Ale nie mieliśmy synów, więc sprzedałam ziemię obcemu człowiekowi”.

Jack był coraz bardziej przekonany, że żaden człowiek nie jest w stanie spełnić wszystkich oczekiwań. Podczas wojny służył ojczyźnie i królowi, wrócił do domu, gdy zadanie zostało wykonane, i podobnie jak Esther próbował ułożyć sobie życie od nowa. Oplotła go sieć rodzinnych i życiowych zobowiązań. Starał się przyzwyczaić do nowej, bezbarwnej egzystencji w małym kraju, którym nagle stała się Wielka Brytania. Lękając się, że straci wszystko, trzymał się kurczowo tego, co uważał za swoje – Sixfields i Julii. Teraz wydawało mu się, że właśnie na tym polegał jego błąd. Spodziewał się, że wróci do tego, co zostawił cztery lata wcześniej. A tymczasem wszystko się zmieniło nie do poznania. Rodzina w ciągu tych czterech lat dojrzała i wiodła życie, którego reguł nie znał. Ojczyzna wydawała mu się czasami obcym krajem. Gdy wyjeżdżał z Dorset, Julia była jeszcze dziewczyną, po powrocie zastał dorosłą kobietę.

Jack nie potrafił się z tym wszystkim pogodzić i wydawało mu się, że stałości i niezmienności może oczekiwać jedynie od ziemi. To pragnienie znalezienia czegoś, co trwa, jakiegoś stabilnego punktu oparcia, zaprowadziło go do Sixfields: pociągała go stałość wzgórz i pól oraz iluzja bezpieczeństwa,

jakie zapewnić może bogactwo. W Kanadzie nie uwolnił się wprawdzie całkiem od brzemienia przeszłości, ale poczuł tchnienie wolności, patrząc na otwarty krajobraz, na potęgę i ogrom tworzących go elementów. Poczucie, że jest tylko małym, niewiele znaczącym trybikiem, umniejszało wagę jego błędów i niepowodzeń.

Jack opowiedział Esther o Egipcie i Italii, o Carrie Chancellor i Sixfields. Mówił jej o Willu, ale nie wspomniał o swym związku z Julią. Wiedział, że Esther czuje, iż nie zdradził jej wszystkiego. Wciąż nie mógł sobie darować tego, jak postąpił z bratem. Pomimo prób zagłuszenia w sobie wspomnień towarzyszyło mu niezmiennie poczucie, że w jego życiu są niedomknięte wątki.

Właśnie wtedy nadszedł list od Prudence. Jack siedział w saloniku i czytał o śmierci Suzanne Temperley. Ziemia była pokryta grubą warstwą śniegu, wiatr strącał śnieżne czapy z gałęzi.

Esther siedziała przy kominku zajęta cerowaniem koszul. Najprawdopodobniej Jack, pochylony nad niebieskim arkusikiem, wydał jakiś dźwięk, bo podniosła wzrok.

– Złe nowiny?

Powiedział jej o śmierci Suzanne.

– Och, Jack... – Westchnęła, wstała, odłożyła koszulę i usiadła obok niego. – Dobrze ją znałeś?

– W zasadzie nie. – Nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak wyglądała Suzanne. Pamiętał tylko jak przez mgłę energię, emanującą z żony Mariusa i wstrząs, jaki wszyscy, nie wyłączając jego i Julii, przeżyli, gdy ta kobieta pojawiła się nagle w ich kręgu. – Ale znałem od dziecka jej męża, Mariusa – dorzucił.

Przez kilka następnych dni podczas pracy na farmie Jack próbował ułożyć w myślach kondolencje. Zdania rozsypywały się jednak, nim je na dobre poskładał, a słowa nie mieściły w sobie głębi jego współczucia dla przyjaciela. Myślał często o własnej, żyjącej w rozsypce rodzinie. O bratanku, którego nigdy nie widział. Zastanawiał się, czy William jest podobny do Willa czy do Julii. Czuł, że ma pewne obowiązki wobec syna zmarłego brata. Dzięki listowi Prudence powinności wobec rodziny ukazały się mu nagle w innym świetle. Jack nie mógł już dłużej uważać tamtego życia za zamknięty rozdział.

Pewnego wieczoru objął Esther, patrząc na jej niemal przezroczystą cerę usianą piegami i orzechowe oczy. Zastanawiał się, czy zapomni o jej cichej, spokojnej urodzie, gdy ujrzy namiętne, pełne ognia oczy Julii.

– Powinienem pojechać do domu – powiedział. Pokiwała głową, jakby się tego spodziewała.

– Wrócisz?

– Chyba tak. – Ujął jej twarz obiema rękami, a potem zmarszczył brwi. – Są pewne sprawy...

Przerwała mu ze zniecierpliwieniem charakterystycznym dla początków ich znajomości.

– Wiem. Dawno się tego domyśliłam. Ale tam jest stary świat, Jack, a tu nowy. Musisz wybrać.

Wysunęła się z jego objęć. Znalazł ją w kuchni, szlochającą nad wałkowanym ciastem. Pocałował ją, a obsypane mąką dłonie Esther zostawiły białe ślady na ubraniu Jacka, gdy go do siebie przyciągnęła.

Topaz siedziała w kościele podczas pogrzebu i myślała ze złością, że mogliby ją wreszcie zaprosić na ślub, a nie na pogrzeb. Albo na chrzciny. Myśl o chrzcinach była zresztą nie do zniesienia (podobnie jak myśl o niemowlęcych

ubrankach i kocykach, które trzeba było czym prędzej usunąć z Missencourt), Topaz zaczęła więc wpatrywać się w witraż i powstrzymywała się od krzyku, powtarzając swoje przepisy kulinarne. Choć musiała mrugać rzęsami, by się nie rozpłakać i w gruncie rzeczy nie bardzo rozumiała (... omlet z pomidorami... weź jednego dojrzałego pomidora, obranego ze skórki i pokrojonego na kawałki...), dlaczego nie wypada wykrzyknąć bólu w takiej straszliwej sytuacji.

Parę dni później zadzwoniła do Angelique, by jej powiedzieć, że nie ma pojęcia, kiedy wróci do restauracji. Tłumaczyła, że potrzebują jej tu, w Missencourt. Czowała, że musi zostać, bo zorientowała się, że Adela jest zbyt zmęczona i chora, by zajmować się takim wielkim domem i maleńką, przerażoną wnuczką, Julia zaś (blada i wychudzona, a przy tym tryskająca jakąś niezdrową energią) była potrzebna w firmie. Marius bowiem nie robił nic, tylko pił ponad miarę i snuł się po pokojach, wyglądając jak siedem nieszczęść. Topaz nie przyznawała się nawet sama przed sobą, że została w Missencourt również dlatego, że nie za bardzo miała po co wracać do Londynu.

Ktoś musiał robić zakupy, gotować i podawać domownikom posiłki, nawet jeśli wcale ich nie jedli, Topaz mogła się więc zajmować tym, co lubiła robić. Dwa razy w tygodniu jeździła autobusem do Henscombe albo rowerem Mariusa do Great Missen i kupowała to, co jej wpadło w oko. Codziennie wieczorem przygotowywała zupy, zapiekanki albo świeżą rybę, którą można było dostać w porcie w Henscombe. Zjadali swoje porcje albo zostawiali wszystko na talerzu, ale w każdym razie, myślała Topaz, wstawiając resztki jedzenia do lodówki, nie musieli zaprzętać sobie tym głowy.

Dbiała też o porządek w domu, kręcąc się po pokojach z odkurzaczem i ściereczką do kurzu. Odprawiała domokrażców i odbierała telefony, wysłuchując kondolencji pomieszanych z niezdrową ciekawością, którą pamiętała z czasów żałoby po Willu. Notowała wszystko na karteczkach i prosiła Temperleyów do telefonu tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Popołudniami, gdy Tara wracała ze szkoły, pomagała Adeli zajmować się małą; po praniu razem z Tarą i panią Sykes składała bieliznę. Kiedyś, bardzo ostrożnie, zaproponowała Mariusowi, że pomoże mu przejrzeć rzeczy Suzanne, ale popatrzył na nią z taką furją, że czym prędzej się wycofała, mrucząc pod nosem przeprosiny.

Budziła się wcześniej rano, o piątej lub o szóstej, i nie mogła już zasnąć. Wiedziała, że Marius też wcześniej wstaje: słyszała, jak otwierają się drzwi jego sypialni, słyszała kroki na schodach. Stojąc przy oknie, patrzyła, jak chodzi po ogrodzie, a labrador oraz spaniel Adeli deptają mu po piętach. Krążył bez celu po tarasie albo po ogrodzie, a potem szedł w stronę zagajnika lub ścieżką wiodącą na wzgórze. Jakby czegoś szukał.

Topaz stała w oknie i nie spuszczała Mariusa z oczu. Było jej go bardzo żal w te szare, mgliste poranki. Gdy czekała, aż Marius wróci, myślała o Charliem i przypominała sobie spędzone razem lata, zastanawiając się, w którym momencie popełnili błąd. Czasami opanowywało ją przeświadczenie, że uczucie Charliego do niej nigdy nie było pełne. Nie była pierwszą kobietą, którą pokochał, i nigdy nie kochał jej wystarczająco mocno. A jednak zaakceptowała taki stan rzeczy i aż do ostatniego spotkania (przypomniała sobie padający deszcz ze śniegiem i wyraz oczu Charliego, gdy wspomniała o małżeństwie) nie prosiła o nic więcej niż to, co mógł jej ofiarować. Często wstydziła się za siebie, czasami się nie znosiła. Cóż za podłość, cóż za

nikczemność zgadzać się na taką ułomną miłość. Przyszło jej do głowy, że to uczucie miało posmak rozpacz.

Kiedy widziała, że Marius wraca, zbiegała na dół. Gdy wchodził do domu, proponowała mu tosta i herbatę. Najczęściej nie jadł tosta, ale wypijał herbatę. Siedzieli razem w niewielkiej rupieciarni na tyłach domu na odrapanych wiklinowych krzesłach, pośród kaloszy i starych kurtek przeciwdeszczowych, w towarzystwie zachwyconych długim spacerem psów. Ubranie miał poszarpane kolcami malin, które rosły wzdłuż ścieżki. Często był nieogolony, a włosy, niestrzyżone już od kilku tygodni, zaczęły wchodzić mu za kołnierz kurtki. Przerażała ją pustka, którą codziennie widziała w oczach Mariusa. Dlatego starała się nad nim czuwać.

Nie rozmawiali zbyt wiele. Topaz wiedziała, że w zasadzie z nikim nie rozmawiał od śmierci Suzanne. W oszołomieniu odpowiadał na pytania, które zadawała mu policja, a potem mruzczał coś w odpowiedzi na kondolencje podczas pogrzebu. Oczywiście przyjaciele próbowali z nim rozmawiać. Wszystkie wysiłki Johna i Prudence Chancellorów napotykały jednak mur milczenia. Adela kilkakrotnie starała się zacząć rozmowę, ale odpowiadał w tak zimny i niemiły sposób, że doprowadził matkę do płaczu. Julia natomiast nie podejmowała żadnych prób. Zwierzyła się Topaz, że nie ma pojęcia, jak postępować z bratem. Tłumaczyła, że nie może na niego nawet spojrzeć, nie mówiąc już o jakiegokolwiek rozmowie.

Julia pierwsza dowiedziała się o śmierci Suzanne. Policja się zjawiała, gdy skręcała właśnie do Missencourt, by odebrać Williama. Wspomnienia rozmowy z policjantem, podobnie jak świadomość tego, co się stało, wciąż były w niej żywe. Suzanne wracała z Londynu i skręcając na drogę prowadzącą do Henscombe, straciła panowanie nad kierownicą. Rolls-royce

wpadł na nasyp, Suzanne gwałtownie uderzyła w kierownicę, a potem w oparcie fotela. Pierwsze uderzenie złamało jej żebra, drugie – kark. Lois Barrington przejeżdżała tamtędy chwilę po wypadku. Suzanne wówczas jeszcze oddychała, ale dwadzieścia minut później, gdy przyjechała karetka pogotowia, już nie żyła. Koroner uznał, że najprawdopodobniej oślepiło ją słońce, podkreślając przy tym, że samochód był duży i ciężki i że drobnej, ciężarnej kobiecie bardzo trudno było go prowadzić.

To gromadzenie straszliwych detali i faktów wydawało się Julii wręcz nieprzyzwoitością. Przez kilka tygodni czuła przede wszystkim gniew. Gniew, że kolejna tragedia spadła na nich w chwili, w której zaczynali się oswajać ze śmiercią Willa.

Cieszyła się, że praca w Temperley's Radios pochłania jej tyle czasu. Czuła się bowiem na siłach zmagać z wyzwaniami zawodowymi, ale, jak tłumaczyła Topaz, nie była w stanie poradzić sobie z Mariusem. Czas nie uśmierzył jeszcze całkowicie jej własnego poczucia winy i żałoby po śmierci Willa. Ze względu na Williama i na własne nerwy cieszyła się, że jest bardzo zajęta i że tak rzadko bywa w Missencourt. Jej wdzięczność wobec Topaz nie miała granic: dzięki niej nie musiała się troszczyć o najbliższych. Zaglądając do rodzinnego domu raz na jakiś czas, zdołała jednak zauważyć, że Topaz bardzo się zmieniła. Od lat wszyscy przywykli myśleć o niej jako o młodszej kuzynce Willa i Jacka, która starała się im zawsze dotrzymać kroku. A przecież tamte dni bezpowrotnie minęły. Topaz była teraz rozsądną, kompetentną, zaradną i praktyczną kobietą. A może już dawno taka była, tylko oni tego nie zauważyli.

Julia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nie poradziłaby sobie także bez Ricka. Tylko że ta świadomość wprawiała ją w zakłopotanie. Przed śmiercią

Suzanne Hunter egzystował wyłącznie na obrzeżach jej życia. A potem już zawsze był na miejscu. Gdy wracała z pracy, okazywało się, że czeka na nią przed domem. „Zajrzałem, żeby sprawdzić, jak się miewasz”, tłumaczył wtedy. Albo: „Pomyślałem, że sprawdzę, czy nie mógłbym ci jakoś pomóc”. Przynosił kwiaty albo czekoladki, czasem miał balonik albo samochodzik dla Williama. Nie mogła więc go ominąć i zostawić na deszczu. A gdy już wszedł do domu, zawsze znalazł jakieś okno do naprawienia albo przynosił węgiel, spostrzegłszy, że wiaderko jest już puste. Robił to, na co Julii rzeczywiście nie starczało czasu. Z powodu śmierci Suzanne i nieobecności Mariusa w pracy była jeszcze bardziej zajęta niż przedtem. Nawet nie spostrzegła, kiedy zaczęła liczyć na Ricka Huntera. Na jego siłę, a w pewnym sensie nawet na jego towarzystwo, dzięki któremu zdarzało jej się zapomnieć o kłopotach i o wyczerpaniu.

Hunter niewiele mówił o sobie. Julia znacznie więcej się domyślała. Od czasu do czasu akcent zdradzał, że Rick pochodzi z East Endu. Zastanawiała się nawet, czy się wstydził swego pochodzenia, i zamierzała mu powiedzieć, że zawsze podziwiała ludzi, którzy potrafili znaleźć własną drogę w życiu. Nic jednak nie powiedziała, domyślając się, że wolałby nie rozmawiać na ten temat, i nie chcąc stwarzać zbyt intymnej sytuacji, którą mogłaby wytworzyć tego rodzaju rozmowa. Zarazem jednak odkrycie pewnego typu wrażliwości pod maską siły sprawiło, że poczuła do niego trochę większą sympatię.

Rick był bystry i otwarty na wszelkie nowości, najwyraźniej pragnął wciąż się rozwijać. Julia uwielbiała jego dziwne, wypełnione atmosferą morza domostwo, z przyjemnością patrzyła, jak budzi je do życia armia dekoratorów i szwaczek. Hunter traktował ją jak księżniczkę. Gdy tylko miała wolną chwilę, zabierał Julię do ekskluzywnych restauracji, troszcząc się o jej wygodę i

niemal spijając z jej ust każde słowo. Czowała się uwielbiana, a nieczęsto tego ostatnio zaznawała. Spotkania z Rickiem Hunterem były inne niż cała reszta jej życia. Inne niż macierzyńskie obowiązki, inne niż sprawy zawodowe i praca w firmie, w której w najlepszym razie traktowano ją jak jednego z chłopców, a w najgorszym czyniono nieprzyjemne aluzje do jej płci, w których specjalizował się Raymond Bell.

Raz czy dwa ujrzała jednak inne oblicze Ricka Huntera, oblicze, które ją zaniepokoiło i przypomniało jej o wrażeniach z ich pierwszego spotkania w warsztacie Willa. Pewnego dnia była w jego domu i notowała swoje propozycje rozwiązań kolorystycznych, gdy zadzwonił telefon. Głos Ricka zazgrzytał nieprzyjemnie w ciszy niedzielnego popołudnia. Ten mówiący bez cienia emocji i zionący chłodem człowiek był kimś zupełnie innym niż uprzejmy Rick Hunter, jakiego znała.

– Masz się go pozbyć – powiedział. A potem dodał: – I nie wciskaj mi więcej tego kitu. Masz się go pozbyć i basta.

Tylko raz widziała Ricka rozszoszczonego. Nie przyjęto go do klubu golfowego w Henscombe. Stukając dłonią w zaciśniętą pięść, mówił:

– Nie jestem tego godzien. Ich zdaniem dyskwalifikuje mnie moje pochodzenie. Nie życzą sobie takich jak ja w klubie. – Uderzenia dłoni podkreślały każde słowo.

– Co zamierzasz zrobić? – zagadnęła.

Chłód w jego oczach zupełnie ją zmroził.

– Zamierzam dowiedzieć się, kto przypiął mi tę etykietkę. I załatwić go.

Tego wieczoru pomyślała, że powinna zerwać stosunki z Hunterem. Ale dwa dni później Suzanne zginęła w wypadku samochodowym i Julia

zapomniała o tym incydencie. Gdy później wszystko sobie przypomniała, uznała to za nic nieznaczący epizod, a gniew Ricka za uzasadniony.

Nigdy więcej nie wspominał o Willu. Czasami Julia czuła się nieswojo, zastanawiając się, czemu on ją zapamiętał, a ona jego nie. Niepokoiło ją zwłaszcza wrażenie, jakie na niej wówczas wywarł, i fakt, że zauważyła w nim pewną drapieżność. Gdy jednak przypomniała sobie własną młodość, dumę i skłonność do pochopnych sądów, dochodziła do wniosku, że najprawdopodobniej wtedy się omyliła.

Od śmierci matki Tara była cicha, roztargniona i zamknięta w sobie. Powróciła nawet do pewnych obyczajów z wczesnego dzieciństwa. Zaczęła znów ssać kciuk, nie chciała puścić Adeli, wchodząc do szkoły, raz czy dwa zmoczyła się w nocy. W oczach miała wciąż ów dziwny wyraz, który rozdzierał Topaz serce.

Tygodnie mijały, a Topaz zauważyła, że Marius prawie w ogóle nie zauważa swojej córki. Gdy siedział na sofie, a Tara wdrapywała mu się na kolana, trzymał ją tylko przez chwilę, potem wstawał i wychodził z pokoju. Gdy prosiła, by jej opowiedział bajkę na dobranoc, odsyłał ją do kogoś innego: do Adeli, do Julii, do kogokolwiek. Jakby Tara zakłócała jego czarne myśli. Jakby nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

Topaz nic na ten temat nie mówiła. Trzy tygodnie po śmierci Suzanne mała wróciła ze szkoły, niosąc pod pachą wielki arkusz niebieskiego papieru.

– To jest rysunek dla tatusia – wyjaśniła Topaz. – Narysowałam fabrykę, w której robią radia.

Topaz podziwiała rysunek dziewczynki. Stary kamienny budynek z ozdobnymi drzwiami i łukowatymi oknami na tle błękitnego nieba i żółtego słońca.

Zastały Mariusa w salonie. Trzymał w ręku szklanę z whisky. Gdy rozpromieniona dziewczynka wręczyła mu rysunek, odłożył arkusz na stół, nawet na niego nie spojrzawszy, i wyszedł. Topaz spostrzegła w oczach dziecka tyle bólu i niezrozumienia, że postanowiła wstrząsnąć Mariusem. Zostawiła dziewczynkę z Adelą i poszła go poszukać.

Siedział w swoim gabinecie. Drzwi były zamknięte. Topaz zastukała i weszła, nie czekając na odpowiedź. Nie podniósł nawet oczu.

– To było karygodne. Postąpiłeś w Tarę w sposób niedopuszczalny – oświadczyła.

Jego biała twarz jeszcze bardziej pobladła.

– To mój gabinet i nie przypominam sobie, żebym cię tu zapraszał. Chciałbym, żebyś stąd wyszła.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie wyjdę, dopóki nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

– Proszę cię, Topaz, wyjdź. – Jego głos był niebezpiecznie cichy.

– Zraniłeś Tarę. Doprowadziłeś ją do łez.

Marius wziął swoją szklanę, podszedł do okna i odwrócił się plecami, czekając, aż Topaz wyjdzie. Ona jednak nie zamierzała ustąpić.

– Nie powinieneś nigdy traktować swojej córki w taki sposób. Niezależnie od tego, co się stało, bez względu na to, jak okropnie się czujesz, nie wolno ci tak jej traktować.

Marius odwrócił się gwałtownie.

– Do diabła, na jakiej podstawie uważasz, że masz prawo wchodzić tu nieproszona i pouczać mnie, jak mam wychowywać swoją córkę?

– Tara cię potrzebuje, Marius.

Otworzył butelkę whisky.

- Nie jesteś oryginalna, Topaz. Wszyscy już tego próbowali.
- Ale to prawda. Ona nie rozumie, co się wydarzyło, straciła matkę...
- Teraz wygłaszasz banały.

Topaz spostrzegła furię w jego oczach, ale postanowiła kontynuować.

- Czy próbowałeś z nią porozmawiać? Próbowaleś pomóc jej zrozumieć?

– Pomóc jej zrozumieć? A jak miałbym to zrobić? Chcesz śmierć... śmierć Suzanne – zająknął się na tych słowach – potraktować jak jakiś problem matematyczny? Wydaje ci się, że wystarczy wszystko odpowiednio poukładać, by nabrało sensu?

- Dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli...

– Doprawdy? – Jego oczy zmieniły się w bładoniebieskie kamienie. – Idź stąd, Topaz. Zostaw mnie samego.

Topaz poczuła, że Marius stał się dla niej obcym człowiekiem. Uwielbienie i podziw, jakie dla niego zawsze miała, zaczęły nagle topnieć.

- Tara cię potrzebuje – powtórzyła z uporem.

– Ma moją matkę, ciebie, Julię – powiedział tak, jakby uznał, że rozmowa została zakończona.

Topaz poczuła, że traci panowanie nad sobą.

– Ona potrzebuje ciebie! – zawołała drżącym głosem. – Nie tylko ciotek i babci, ale ojca!

Mariusz dolał sobie whisky. Topaz po raz pierwszy w życiu pomyślała, że go prawie nie lubi. Dorzuciła lodowatym tonem:

– A może w tym właśnie problem? Że nie jesteś ojcem Tary? Może dlatego ją zaniedbujesz, Marius? Dlatego, że tak naprawdę ci na niej nie zależy?

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że musiała odwołać się do całej siły woli, by nie wyjść z pokoju. Marius Temperley nigdy w życiu tak na nią nie patrzył. Miała ochotę zakończyć natychmiast tę okropną rozmowę i uciec czym prędzej, najchętniej prosto do Londynu.

– Jak śmiesz? – wykrztusił, a potem podszedł do niej. Miał wciąż taki sam wyraz oczu. Topaz przez chwilę pomyślała, że Marius chce ją uderzyć. Ale on powiedział tylko: – Kocham Tarę. A teraz, na miłość boską, idź już stąd, żebym nie zrobił czegoś, czego będę żałował do końca życia.

Topaz się cofnęła. Otwierając drzwi, raz jeszcze się zatrzymała.

– Zapytałeś, jakim prawem pouczam cię na temat wychowania Tary. No to ci powiem, Marius, jakim prawem. Nie mam własnych dzieci, ale przecież sama jestem córką, prawda? Mój ojciec zmarł, kiedy miałam sześć lat. Tyle samo, ile ma teraz Tara. A moja matka przez całe życie dawała mi do zrozumienia, że jestem dla niej obciążeniem, a nie błogosławieństwem. Masz rację, twierdząc, że nie wiem, jak to jest być rodzicem, ale wiem doskonale, jak się czuje ktoś, kogo nikt nie chce. I bardzo bym chciała oszczędzić tego Tarze.

Poszła do swojej sypialni, wyjęła walizkę spod łóżka i zaczęła wrzucać do niej ubrania. Opróżniła pierwszą szufladę, a potem usiadła na brzegu łóżka i rozplakała się, kryjąc twarz w dłoniach. Nie mogła przestać płakać. Wiedziała, że płacze nie tylko z powodu Suzanne i Mariusa, ale że oplakuje również Charliego, którego naprawdę kochała.

Została jednak w Missencourt. Została dlatego, że miała zbyt obolałą głowę i zanadto spuchnięte oczy, by studiować rozkład jazdy i tłumaczyć Temperleyom, czemu tak nagle wyjeżdża. A także dlatego, że Adela ją przytuliła, Tara wdrapała się jej na kolana, a Julia, która wpadła na chwilę po pracy, podarowała pudełko czekoladek.

– Wciąż dostaję czekoladki – wyjaśniła, wznosząc oczy do nieba.

– A przecież nie można ich jeść codziennie!

Gdy Julia pojechała po Williama do Prudence Chancellor, wciąż roztrzęsiona Topaz zaczęła się zastanawiać, jakim cudem ktoś może uważać, że nie można codziennie jeść czekoladek.

Następnego ranka znów obudziła się bardzo wczesnie. Zobaczyła, że Marius jak zwykle wychodzi z domu, i przez chwilę wahała się, co zrobić. Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę, zeszła więc na dół, by przygotować herbatę i tosta.

Marius popatrzył na nią ze zdziwieniem. Wędrował spojrzeniem od filiżanki do talerza.

– Czy nie wolałabyś raczej rzucić tym we mnie?

Topaz w milczeniu pokręciła głową. Marius wziął od niej naczynia i postawił je na parapecie. Potem objął ją i mruknął:

– Nie mogę się z tym uporać. To była albo moja wina, bo wtedy nie odwoziłem Suzanne do domu, albo...

– Marius... – Topaz była prawdziwie zaszokowana. – Chyba nie wierzysz w to, co mówisz.

Gdy na nią popatrzył, spostrzegła, że jego oczy są pełne przerażenia.

– Jeśli to był zwyczajny przypadek, to jeszcze gorzej. Bo jeśli śmierć jest taka ślepa, to i ją także mogę stracić, prawda? Mogę stracić Tarę. A tego bym nie zniósł. Nie po śmierci Suzanne. Nie po śmierci tego maleństwa. – Marius odwrócił wzrok i dodał cicho:

– Byłoby znacznie prościej, gdybym jej nie kochał.

– Nie możesz wybrać, kogo będziesz kochał, a kogo nie. – Topaz pomyślała o Charliem i znów poczuła ten dziwny, ostry ból. Przecież nie

wybrała tej miłości. A nawet jeśli tak uczyniła, był to zły wybór. Postąpiłaby znacznie rozsądniej, wybierając jakiegoś przeciętnego mężczyznę. Wyciągnęła rękę i dotknęła pochylonej głowy. Mariusa. – Tara cię kocha – powiedziała – bez względu na to, co się wydarzy. Ale jeśli nie będziesz dla niej dobry, zaczniesz myśleć, że nie zasługuje na miłość. Że jest nieudana.

Mariusz wyglądał tak, jakby był wycieńczony ponad wszelką miarę. Odezwał się dopiero po chwili:

– Wiem, że wszyscy czekają, bym, jak to się mówi, ułożył sobie życie na nowo. Ale nie wiem, jak to zrobić, Topaz. Naprawdę nie wiem.

Usiadła obok niego. Jej własne życie też się zamieniło w wielki chaos. Nie powinna nikomu udzielać rad na temat układania sobie życia.

– Ja też nie wiem – powiedziała. – Ludzie mówią, że od czegoś trzeba zacząć, prawda?

Znów długo się nie odzywał.

– W tej chwili wiem tylko, że bardzo mi jej brakuje. Przez cały czas. Nie mogę przestać o niej myśleć. Nie mogę przestać myśleć o tym, co się wydarzyło. Poprzedniego wieczoru w Londynie doszło między nami do sprzeczki. Wciąż się zastanawiam, nie przestaję się zastanawiać, czy dlatego wyjechała. Bo miała dość. Bo się pokłóciliśmy. Może miała dość mnie. – Mariusz obrócił się do niej. – Dlatego tyle piję. Alkohol sprawia, że w końcu przestaję myśleć. Wiem, że wszyscy uważają, że powinienem wrócić do pracy, do codziennych obowiązków. Ale jak mogę wrócić do pracy, jeśli nie jestem w stanie wsiąść do samochodu? Na samą myśl o tym cholernym rolls-royse dostaję mdłości. Nie ma mowy, abym siadł za kierownicą, wiedząc, co może się stać... – Mariusz zacisnął powieki i szepnął: – Samochód nawet nie był

specjalnie uszkodzony. Suzanne tylko uderzyła w nasyp, nic więcej. Ale złamała przy tym kark! Złamała kark!

Topaz nie wiedziała, co powiedzieć. Nie знаła żadnego lekarstwa na żalobę. Wzięła go tylko za rękę i siedziała przy nim bardzo, bardzo długo.

Gdy parter był już prawie wykończony, Rick zaprosił Julię na obiad.

Jadalnia była jednym z najbardziej uroczych pomieszczeń w tym domu. Wielkie okna wychodziły na piękny trawnik, a za gąszczem krzaków widać było morze. Zgodnie z sugestią Julii ściany pokoju pomalowano na błękitno, ozdabiając je kremowym paskiem. W oknach zaś zawieszono jedwabne, niebieskie zasłony z kremowymi dodatkami. Przez okna docierał tu szum morza. Julia poczuła, że po raz pierwszy od dłuższego czasu może się odprężyć, zrzucić z siebie stres i napięcie, które ją opanowało wiele tygodni temu. Uznała, że ten dom ma w sobie coś wyjątkowego. Że jest w nim spokojna, kojąca atmosfera. Zazdrościła Rickowi Hunterowi tak wspaniałej siedziby.

Po obiedzie Hunter podał szwajcarskie czekoladki, tureckie papierosy, francuską brandy i prawdziwą kawę.

– Cóż za delicje – powiedziała Julia, wzdychając z rozkoszą. –Gdzie zdobyłeś tyle wspaniałości?

– Tu i ówdzie – uśmiechnął się Rick.

– Rozpieszczasz mnie. Już prawie nie mogę się ruszyć. Czuję, że jestem strasznie gruba.

– Wyglądasz przepięknie. Idealnie.

Wyraz jego oczu sprawił, że poczuła się nieswojo, postanowiła więc zmienić temat.

– Nie pomyślałeś tylko o jednym, Rick.

- O czym?
- O nazwie. Taki dom powinien mieć nazwę.
- I miał. Od nazwiska ludzi, którzy go zbudowali – wyjaśnił. – Ale ja nie chcę, żeby się tak nazywał.
- Ciekawe, czy zmiana nazwy domu też przynosi pecha? Tak jak zmiana nazwy łodzi.
- Chyba nie wierzysz w takie bzdury.
- Chyba nie.
- Chyba?
- Wszyscy jesteśmy trochę przesądni, prawda? Lubimy myśleć, że nie jesteśmy, ale to nieprawda.
- Ja nie jestem przesądny.
- Każdy puka w niemalowane drewno albo trzyma kciuki...
- Ja tego nie robię. Każdy jest kowalem własnego losu.
- Czasami. Choć nie zawsze. Mnóstwo rzeczy zdarza się przypadkiem. – Oczy Julii pociemniały. – Pomyśl tylko o Suzanne. Może zapomniała odpukać w niemalowane tego dnia.
- A może samochód wpadł w poślizg na niewidocznym lodzie – odparł Rick. – Albo na błocie. Może była zmęczona i nie zdołała się skoncentrować, by w porę zahamować przed zakrętem.

Zapadła cisza.

- Myślisz także o swoim mężu, prawda?

Julia podniosła wzrok, zaskoczona, że tak szybko ją rozszyfrował.

- Will nie był kowalem swego losu.
- Przecież nie wiesz, co się właściwie wydarzyło tej nocy, Julio. Sama mi o tym mówiłaś. Nie wiesz, dlaczego Will poszedł do pubu, czemu został tam

tak długo i po co wypłynął razem z tamtymi mężczyznami na morze. Na pewno była jakaś przyczyna każdego z tych trzech wydarzeń.

Julia przypomniała sobie księgi rachunkowe, które były ukrytą przyczyną niepokoju Willa. Przypomniała sobie, jak wróciła do Hidcote Cottage parę dni po jego śmierci i zastała dom wywrócony do góry nogami.

– Tyle spraw chciałabym wyjaśnić. Nigdy nie przypuszczałam, że Will potrafi być taki skryty. A okazało się, że o wielu sprawach nic mi nie powiedział.

Rick obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

– O jakich sprawach? Julia wzruszyła ramionami.

– Teraz to nie ma znaczenia. – Podniosła się z miejsca. – Muszę już iść do domu.

– Tak wcześnie?

– Jutro wcześnie zaczynam dzień. – Uśmiechnęła się spokojnie. – Jak zwykle.

Hunter przyniósł jej płaszcz. Na dziedzińcu Julia podniosła wzrok. Noc była chłodna i pogodna, a na czarnym aksamicie nieba skrzyło się mnóstwo gwiazd.

– Moja opiekunka pokazywała mi gwiazdy. Nauczyła mnie, jak znaleźć Wielki Wóz. Do tej pory ją pamiętam. To była wspaniała kobieta, warta więcej niż cała reszta. Zawsze mi się wydaje, że tu jest więcej gwiazd niż w Londynie.

– To z powodu świateł – wytłumaczyła mu Julia. – W Londynie nie widać tylu gwiazd z powodu miejskich świateł. – Postawiła kołnierz płaszcza, drżąc z zimna, bo noc była chłodna. – Zamierzasz tu osiąść na stałe, Rick? Czy kupiłeś ten dom w charakterze letniska?

– Chciałbym tu osiąść, jeśli mój plan się powiedzie.

I wtedy ją pocałował. Julia nie całowała się z nikim od czasów Jacka i Willa. Zapomniała nawet, jak bardzo jej brakowało zarówno poczucia, że ktoś jej pożąda, jak i bezpieczeństwa, które dawały męskie ramiona. Na początku jego usta były chłodne i ostrożne, jakby oczekiwał, że zostanie odepchnięty. Po chwili jednak pocałunki stały się bardziej namiętne. Rick oddychał coraz szybciej. Julia poczuła jego dłonie na szyi, potem na plecach. Najbardziej zaskoczyła ją jednak szybka i intensywna reakcja własnego ciała. Zaabsorbowana macierzyństwem i sztuką przetrwania, odsunęła na bok wszystkie swoje potrzeby. I teraz, gdy jego usta pieściły jej kark, poczuła, że budzi się w niej pożądanie. Dłonie Ricka sięgnęły jej pośladków. Przycisnął ją do siebie tak, że poczuła jego siłę, jego moc. W tym geście był jakiś dziwny uwodzicielski czar. Julia nieomal zapragnęła oddać mu się tu, w świetle księżyca, przy wtórze szumu morza.

Usłyszała, jak Rick powtarza szeptem jej imię: „Julia, Julia, Julia”. Z jego gardła wydobywał się dziwny jęk, podobny do krzyku bólu. Odsunęła się od niego.

– Rick, proszę cię...

– Przepraszam – szepnął, z trudem łapiąc oddech. – Przepraszam.

Gdy poprawiała włosy i ubranie, odwrócił się i odszedł na bok.

W drodze do Longridge był znów dawnym Rickiem Hunterem, opowiadał jej beztroskim tonem o domu, prowadził zwyczajną, niezobowiązującą konwersację. Zaczęła się zastanawiać, ile wcieleń ma ten mężczyzna. I które z nich jest prawdziwe.

Jechali wąską wiejską drogą, gdy zobaczyli światła zbliżającego się z przeciwka samochodu. Rick zjechał na pobocze, ustępując drogi.

Kiedy tamten samochód ich minął, Julia wydała cichy okrzyk zadziwienia.

– Co się stało? – zapytał Hunter.

– Wydawało mi się, że widziałam... – szepnęła.

– Co takiego?

– Kogoś, kogo kiedyś znałam. – Julia wzięła głęboki oddech. – Ale to nieważne. Z pewnością się pomyliłam – powiedziała, choć wiedziała, że to nieprawda.

Jechali dalej. Miała przed oczami twarz kierowcy tamtego samochodu. Jack, pomyślała, gdy sunęli pośród drzew przez nocny mrok. Jack!

Topaz starała się w dalszym ciągu czuwać nad Mariusem. Zachowując należyty dystans, obserwowała jego próby powrotu do życia: patrzyła, jak bawi się z Tarą, rozmawia z matką, odpowiada na listy z kondolencjami. W jego wysiłkach było jednak coś dziwnego, coś automatycznego, co rozdzierało serce. Jakby patrzyła na kogoś, kto usiłuje sobie przypomnieć wersy zapomnianej roli.

Topaz chodziła razem z nim na poranne spacerunki. Psy biegły zawsze przodem, baraszkując pośród suchych liści. Obłoczki ich oddechów zakłócały przejrzystość ostrego wiosennego powietrza, pomiędzy gałęziami migotało słońce. Czasami rozmawiali. Raz zaczął mówić o utracie nienarodzonego dziecka. O niezrealizowanych możliwościach, o nadziejach, które legły w gruzach. Siedzieli na zwałonym pniu, a Marius oskubywał go z kory. Opowiadał Topaz historię, która skończyła się, zanim zdążyła się na dobre rozpocząć. Opisywał jej, jak wyobrażali sobie to dziecko. Chłopiec miał mieć na imię Francis, po ojcu Mariusa, dziewczynka zaś – Elizabeth, dlatego że oboje lubili to imię. Małeństwo miało odziedziczyć czarne oczy Suzanne albo

niebieskie Mariusa. Jej zręczne palce i jego siłę. Mówił też o tym, jak te wszystkie niezrealizowane wyobrażenia zasnuwały się mgłą, odchodziły w niepamięć. Nie pozostały mu żadne fotografie, żadne wspomnienia. Nic, co by wiązało go z tym dzieckiem. Pewnego dnia po prostu zapomniał, że kiedykolwiek istniało. I nie zostanie nic, zupełnie nic.

Innego deszczowego dnia opowiadał jej o Suzanne. Wspinali się wówczas na wzgórze za Missencourt. Marius mówił szybko i zdecydowanie, jakby się bał, że jeśli przerwie na chwilę, to już nigdy nie podejmie tej rozmowy.

– Spotkaliśmy się w pubie – powiedział. – W niewielkim pubie w Northumberland. Nawet nie pamiętam, jak się nazywał. Miejscowi nas nie lubili, bo zajęliśmy ich stałe miejsca przed kominkiem. Ale tam nie było żadnej innej rozrywki. Tylko pub i kasyno oficerskie. A można było zwariować, jeśli się nie wychodziło z obozu. Spojrzałem w głąb pubu i nagle ją zobaczyłem. Trudno by jej nie zauważyć. Chociaż wcale nie była najładniejsza. W wojsku służyły wtedy naprawdę wspaniałe dziewczyny.

– Zakochałeś się w niej.

– Tak. Ale upłynęło sporo czasu, nim się zorientowałem. Sporo lat. – Marius uśmiechnął się do niej. – Nie byliśmy przecież idealnie dobranym małżeństwem.

– Wszyscy przeżyli wtedy szok. – Topaz przypomniała sobie upalny sierpień 1946 roku, kiedy to Marius przedstawił im swoją żonę. – To było takie nieoczekiwane. Jak grom z jasnego nieba.

Wyjechała wtedy z matką do Londynu. Pamiętała tę podróż i swój dziwny smutek bez określonej przyczyny.

– Wcale nie chciałem się z nią żenić. Wtedy tego nie chciałem. Wiedziałem, że muszę to zrobić ze względu na dziecko, ale wcale nie miałem ochoty. Czułem się jak w potrzasku, jakbym został zmuszony do czegoś, czego nigdy sam bym nie wybrał. Dlatego ślub musiał się odbyć jak najszybciej. Żeby nie miał czasu zmienić zdania. – Marius rzucił patyk psom i oba zniknęły we mgle. – Suzanne obudziła mnie z letargu. Dzięki niej zacząłem myśleć. Rzuciła wyzwanie moim życiowym założeniom. Może za jakiś czas zapomnę o tym wszystkim. Może znów będę taki, jaki byłem, nim ją spotkałem.

Topaz pomyślała o Charliem i o tym, kim była, zanim on wkroczył w jej życie.

– Nie – odrzekła. – To nie jest możliwe.

Marius wsunął dłonie do kieszeni i ruszył szybkim krokiem pod górę.

– Wiodłem takie uporządkowane życie. Dom, szkoła, wojsko. Robiłem to, co mi kazano. Przez dwadzieścia parę lat o każdym moim kroku decydował ktoś inny: rodzice, szkoła, ojczyzna. Po raz pierwszy zrobiłem coś na własną rękę, gdy zakochałem się w Suzanne. Rodzina nigdy nie wybrałaby jej dla mnie. Suzanne nie była kobietą, z którą powinienem się ożenić. Nasze małżeństwo okazało się zresztą niełatwe. Pod tyłoma względami nie pasowaliśmy do siebie. I nigdy nie byłem pewien, czy ona mnie kocha. Tylko że człowiek nigdy nie jest tego pewien, prawda? Myślałem – dorzucił Marius, a Topaz odwróciła wzrok, nie mogąc znieść bólu w jego oczach – że dzięki temu drugiemu dziecku zyskam wreszcie pewność. Pewność, że Suzanne nigdy mnie nie opuści. Ale myliłem się, prawda?

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem na szczyt wzgórza. Topaz próbowała dotrzymać mu kroku, choć jej kalosze ślizgały się po wilgotnym wapiennym podłożu. Jej oddech zaczął się rwać, gdy zawołała do niego:

– Zawsze podziwiałam cię za to, co zrobiłeś!

– Podziwiałaś mnie? – Zatrzymał się ze zdziwienia. – Za co?

– Za to, że nie odszedłeś od Suzanne. Niejeden mężczyzna tak właśnie by postąpił. Czytałam tyle strasznych historii w gazetach. – Dobrze pamiętała te powojenne wzmianki w gazetach o żołnierzu, który wrócił do domu po trzech latach nieobecności i udusił żonę, leżącą w połogu z bliźniętami. O więźniu obozu koncentracyjnego, który nie mógł zaakceptować obecności dziecka innego mężczyzny, więc siedziało zamknięte w pokoju, nosiło łachmany i żywiło się odpadkami.

– Postępowałem zgodnie z twoimi instrukcjami, Topaz, o ile dobrze pamiętam.

Dotarli już prawie na szczyt; Marius popatrzył w dal.

– Nie widać morza – powiedział. – Ona tak bardzo kochała morze. – Topaz nie była pewna, czy na jego twarzy są ślady deszczu, czy łez.

– Żałujesz? – zapytała. – Żałujesz, że ożeniłeś się z Suzanne? – Bardzo chciała to wiedzieć. Czy lepiej kochać i stracić ukochanego, czy...

– Nigdy się z nią nie nudziłem. Ten związek był zawsze ekscytujący. Ożywczy. Przy niej czułem, że żyję. – Marius zmarszczył brwi. Padało coraz bardziej i włosy całkiem mu się przykleiły do głowy. – Sam podjąłem decyzję, że odprowadzę Suzanne do domu po wieczorze spędzonym w pubie. Sam podjąłem decyzję, że ją odnajdę po wojnie. I sam podjąłem decyzję, by z nią zostać, kiedy opowiedziała mi o Neilu Finleyu. W ciągu paru minionych tygodni czasami żałowałem tych decyzji. Bo gdybym ich nie podjął, to bym jej

teraz nie stracił. I nie czułbym się tak, jak się czuję! Ale przecież to nonsens! Mam Tareę, mam wspomnienia wspólnie spędzonych chwil. Nie da się spruć życia, pozostawiając tylko to, co najprzyjemniejsze. – Marius popatrzył na szare, ciężkie od chmur niebo. – Ciągłe mi się wydaje, że ona tylko wyszła na chwilę. Gdy ktoś wchodzi do pokoju, za każdym razem wydaje mi się, że to ona. Gdy się przewracam w łóżku na drugi bok, szukam jej ręką. I każdego ranka przypomina mi się to wszystko. Tak jakbym przed chwilą o tym się dowiedział. Gdybym wreszcie zdołał się do tego przyzwycząić. Na razie nie proszę o nic więcej, Topaz. Chcę się tylko przyzwycząić do tej myśli. Żebym nie musiał wszystkiego odkrywać co dzień na nowo.

Topaz towarzyszyła mu, gdy po raz pierwszy od śmierci żony usiadł za kierownicą. Rolls, w którym zginęła Suzanne, został sprzedany i Marius kupił dwuletniego wolseleya. Topaz patrzyła, jak dotyka skrzyni biegów i hamulca ręcznego, jakby robił to po raz pierwszy w życiu. Widziała, jak drżą mu ręce i blednie twarz. Zamierzali pojechać do Henscombe, ale po krótkiej przejażdżce do siedziby firmy w Great Missen wrócili do domu. Marius zaparkował auto, a potem wysiadł, trzaskając drzwiami, i poszedł do lasu. Stał na skraju zagajnika, pochylony do przodu, z zaciśniętymi pięściami. Topaz sądziła, że będzie wymiotował. Ale on zaczął grzebać w kieszeni, szukając papierosów. Wysypały mu się nagle z pudełka i upadły na trawę. Potem Topaz usłyszała kliknięcie zapalniczki i zobaczyła smużkę niebieskoszarego dymu.

Po chwili wrócił do samochodu.

– Przepraszam za to przedstawienie. – Topaz dostrzegła rozpacz w jego oczach. – Mam parę rzeczy do zrobienia... – Rzucił i czym prędzej oddalił się w stronę domu.

Parę dni później podjął jeszcze jedną próbę. Tym razem postanowiła, że będzie z nim rozmawiać. Poprzednim razem popełniła błąd i milczała, żeby go nie rozpraszać. Mówiła, co jej przyszło do głowy. O swoim mieszkaniu, o Angelique, o przyjęciach. Gdy opowiadała o przyjęciu, podczas którego kot zjadł łososa, byli już w połowie drogi do wybrzeża. Topaz triumfowała w duchu.

Następnego dnia pojechali do Lyme Regis. Gdy zaparkowali w mieście, wydało jej się, że Marius zdołał się trochę odprężyć. Zaciągnął ręczny hamulec i sięgnął po papierosa.

– Nie powinienem tyle palić – mruknął. – Jutro. Jutro rzucam palenie. Czy ty umiesz prowadzić samochód, Topaz?

– Jeszcze nie. Chociaż Charlie pokazał mi kiedyś, jak się rusza i hamuje.

– A co u niego słyhać? Nie tęskni za tobą?

Topaz wiedziała, że Marius mówi tylko po to, by zagłuszyć jakoś swoje myśli.

– Chyba nie. Pojechał do Ameryki.

– Na jak długo?

– Nie wiem. – Otworzyła okno i strząsnęła popiół z papierosa na chodnik. – Zerwaliśmy ze sobą.

Wysiadła z samochodu i ruszyła wąską uliczką w stronę portu. Skrzyżowała ręce, myśląc o Charliem, o swoim Charliem. Wiedziała, że Marius idzie tuż za nią, i ta świadomość podtrzymywała ją na duchu. Poczuła, że Charlie oddala się od niej coraz bardziej, jakby zniknął za spuszczonej wreszcie kurtyną.

Jack wybrał na swe odwiedziny moment najgorszy z możliwych; po bardzo trudnym i męczącym dniu pracy (spóźniła się dostawa aparatów

lampowych i Julia musiała zadzwonić do kilku osób, nim ustaliła, że ciężarówka, która je wiozła, zepsuła się i utknęła gdzieś po drodze). A gdy jechała do domu, samochód zaczął wydawać jakieś dziwne dźwięki. Na domiar złego przed jej domem stał już morgan Ricka Huntera, musiała się więc zdobyć na uprzejmość, choć marzyła o tym, by czym prędzej położyć Williama i wziąć gorącą kąpiel.

Rick usłyszał dziwne dźwięki, jakie wydawał jej samochód, i nie zważając na kiepskie oświetlenie, zaczął grzebać pod maską. Gdy zapukał do drzwi, Julii nie pozostawało nic innego, tylko zaprosić go do środka, by umył ręce, i zaproponować drinka. Poszedł za nią do kuchni. Przygotowywała właśnie kolację dla Williama i wściekała się, że Rick patrzy, jak ona miksuje ziemniaki i odcedza marchewkę. Potem zaczął coś mówić, a gdy Julia zmusiła się, by go posłuchać, okazało się, że zaprasza ją na przyjęcie. Szukała naprędce jakiejś wymówki, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Wyszła do holu i otworzyła drzwi. Ujrzała Jacka. W pierwszej chwili doznała szoku, potem jednak ogarnęła ją całkiem nieoczekiwanie prawdziwa wściekłość. Jak można zjawić się tak niespodziewanie po dwuletniej nieobecności!

– Mogę wejść? – zapytał, a Julia miała ochotę go odesłać z kwitkiem.

Wydała z siebie jednak jakiś przyzwalający dźwięk i wpuściła Jacka do środka. Serce jej biło szybko, a przy tym kręciło się jej w głowie. Przytuliła więc mocno Williama, jakby szukała wsparcia u dziecka.

Potem musiała przedstawić sobie obu mężczyzn. Uderzyła ją ogromna różnica między nimi: przysadzisty, potężny Rick i ciemnowłosey, przystojny Jack. Podali sobie ręce, ale Julia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że obwąchują się jak psy, ostrożni i zaborczy. Każdy ich ruch zdradzał skrywaną agresję.

Wtedy Rick wziął płaszcz i powiedział:

– W takim razie widzimy się w piątek? – A ona przytaknęła, bo chciała, by czym prędzej wyszedł. I była zbyt zmęczona, żeby szukać wymówki.

Gdy tylko zostali sami, Jack zapytał:

– Umawiasz się z nim na randki?

– Rick jest tylko znajomym – warknęła, choć nie umiałaby powiedzieć, dlaczego to pytanie tak bardzo ją dotknęło.

– On cię kocha – oświadczył.

– Nie bądź śmieszny.

– Kiedy to prawda. – Powiedział to rzeczowym tonem. Podeszedł nieco bliżej. – Czy to mój bratanek? – W jego głosie pojawiła się łagodna nuta, Julia więc także złagodniała.

– To jest William. Obawiam się, że zasnął, chociaż jeszcze nie zjadł kolacji... – Julia pociągnęła nosem, czując zapach spalenizny.

– Gulasz! – krzyknęła. – O, Boże, zapomniałam o gulaszu!

Jack wszedł do kuchni. Julia usłyszała, jak wyłączył kurek gazu i odkręcił kran.

– Chyba porządnie się przypalił – powiedział, gdy do niej wrócił – ale udało mi się trochę uratować.

– To nie ma znaczenia – mruknęła. – William śpi, a ja i tak nie jestem...

– Julio?... – zaczął Jack, siadając koło niej.

– Znowu pojawiaasz się ni stąd, ni zowąd! – syknęła.

– Wiem. Przepraszam. Bałem się, że jeśli zadzwonię, to pošlesz mnie do diabła. Ale źle trafiłem, prawda? Mam sobie pójść?

– Nie chodzi o ciebie, Jack – westchnęła. – Naprawdę, cieszę się, że cię widzę – powiedziała szczerze. Przynajmniej jeden z tych, których kochała, wrócił do domu. – Wszystko jest takie okropne. Suzanne... biedny Marius...

Jack trzymał ją w ramionach, gdy szlochała. Jego obecność była dla niej źródłem pociechy. Uzmysłowiła sobie, że płacze po raz pierwszy od śmierci Suzanne. Do tej pory nie miała na to czasu.

Gdy wreszcie była już w stanie mówić, zapytała:

– Dlaczego wróciłeś do domu, Jack?

– Mama napisała mi o śmierci Suzanne. Pomyślałem... no nie wiem... pomyślałem po prostu, że powinienem tu być. Biedny Marius. Nie miał pojęcia, z której strony spadnie cios. – Jack spojrzał na nią uważniej. – Chyba jesteś zmęczona.

Julia odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy.

– Jestem wykończona – przyznała. – Śmiertelnie zmęczona. – To była prawda. Nie miała nawet siły wstać z sofy. – Mógłbyś coś dla mnie zrobić? Mógłbyś rozwiązać Williamowi buty?

Jack ukląkł na podłodze i zdjął buty bratankowi. Julia zaniósła dziecko na górę, poruszając się bardzo ostrożnie, by go nie obudzić.

Gdy wróciła do saloniku, zapytała Jacka, czy coś jadł. Pokręcił głową.

– To może masz ochotę na trochę przypalonego gulaszu?

– Z przyjemnością.

Jedli przy stole w kuchni. Jack opowiadał o Kanadzie.

– Tam są takie wielkie przestrzenie. Człowiek ma poczucie, że został sam na sam z żywiołami.

– Zawsze lubiłeś wyzwania, Jack. – Julia bezmyślnie przesuwała jedzenie na talerzu. – Wyobrażam sobie, jak jedziesz saniami po śniegu. Z tymi psami... jak one się nazywają...

– Husky – odpowiedział. – To wygląda trochę inaczej. Choć bywają też piękne chwile. Częściej jednak są burze śniegowe i potworny mróz. – Jack skończył jedzenie, podszedł do zlewu i zaczął szorować przypalony garnek. – Dzięki temu miałem sporo czasu na myślenie.

Julia odłożyła sztuce. W gruncie rzeczy wcale nie była głodna.

– I o czym myślałeś?

– O Willu. O sobie. O nas.

Jack stał na tle okna, odwrócony do niej plecami. Julia patrzyła na jego barczyste ramiona i ciemne kosmyki wijące się na karku. I zastanawiała się, czy po wszystkim, co się wydarzyło, wciąż go pragnie.

– I doszedłeś do jakichś wniosków?

– Że byłem głupim, zazdrosnym idiotą. Że zniszczyłem życie kilku osobom.

– Och – rzuciła lekko. – Zdaje się, że przeceniasz swoją rolę, Jack. Sądzę, że zdołalibyśmy tego dokonać z Willem i bez ciebie. – Zebrała talerze i sztuce. – Nie musisz szorować tego garnka. Zostaw go w zlewie.

On jednak wciąż zeskrobywał spaleniznę nożem.

– Nigdy nie potrafiłem wybaczać – przyznał. – Zawsze długo żywiłem urazę. I kiedy wyszłaś za Willa, nie mogłem przebaczyć ani tobie, ani jemu. Uważałem, że zabrał coś, co należało do mnie. I od tego się wszystko zaczęło.

Julia była śmiertelnie zmęczona i na nic nie miała ochoty, czuła jednak, że dwa lata wygnania to dość i że trzeba w końcu wyjaśnić pewne sprawy.

– Szczerze mówiąc, nie powinnam wychodzić za Willa. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale nie pasowaliśmy do siebie jako mąż i żona. Wiedziałam o tym w dniu ślubu. A może i wcześniej. Duma nie pozwalała mi przyznać się do błędu. Sądzę, że Will też to sobie uświadomił. Myślał, że mnie kocha – i w pewien sposób naprawdę mnie kochał. A ja jego. Nie kochałam go jednak wystarczająco, by zostać jego żoną. – Obrzuciła Jacka taksującym spojrzeniem.

– Ale nie wiem też, czy nasze małżeństwo miałyby większe szanse powodzenia. Oboje jesteśmy chyba zbyt uparci. Walczylibyśmy z sobą jak pies z kotem.

– Pokłócilibyśmy się jeszcze przed ołtarzem – uśmiechnął się Jack.

– Cieszę się, że znów cię widzę. Myślałam, że masz kogoś w Kanadzie.

– W pewnym sensie tak – potwierdził, a Julia poczuła ukłucie w sercu.

Nie wiedziała, czy odetchnęła z ulgą, czy też ukłuła ją zazdrość.

– Opowiedz mi o niej.

– Ma na imię Esther. Prowadzi pensjonat w miasteczku McKenna. Była mężatką, ale jej mąż zginął na wojnie.

– Ma dzieci?

Jack pokręcił głową.

– A jak wygląda?

– Szatynka o orzechowych oczach...

– Czy jest piękna, Jack? – zniecierpliwiła się Julia. – Ożenisz się z nią?

– Tak, to odpowiedź na twoje pierwsze pytanie. Nie wiem – odpowiedź na drugie.

Julia wstawiła talerze do zlewu.

– Najwyższy czas, żebyś się ożenił – powiedziała stanowczo. – Będiesz szczęśliwszy. Małżeństwo powinno dobrze ci zrobić. – Spojrzała mu prosto w

oczy. – Mnie nie służyło. Chyba nie wyjdę drugi raz za mąż. Nie powinieneś jednak sądzić, że czułam się nieszczęśliwa przez te dwa lata. Wręcz przeciwnie. To znaczy na początku było strasznie, no i ostatnie tygodnie nie należały do najprzyjemniejszych. Ale jestem taka szczęśliwa, że mam Williama. Nic wspanialszego nigdy mi się nie przydarzyło. – Zamilkła, a potem zapytała: – Dlaczego właściwie wróciłeś?

– Nie jestem pewien. – Jack odstawił garnek na suszarkę. – Chyba z powodu zbyt wielu niezakończonych spraw. Z powodu długów do spłacenia. Wobec matki. Wobec Willa. Wobec ciebie i Williama. Nie wolno się z nikim wiązać, gdy ma się długi, prawda?

Powrót Jacka sprawił, że wszyscy spojrzeli na życie trochę bardziej optymistycznie. Topaz pomyślała, że jego obecność przypomniała im wszystkim lepsze czasy, nawet Marius nieco się rozpozogodził.

Wrócił do pracy. Na początku tylko na parę godzin, potem na pół etatu. Topaz trochę się odprężyła, zupełnie jakby przez cały ten czas wstrzymywała oddech. Czasami spała aż do ósmej. Gdy, na próbę, zaczynała myśleć o Charliem, wydawało się jej, że ukłucie w sercu nie wydaje się już tak bolesne. Doszła do wniosku, że jest kobietą niestałą, skoro tak szybko się wyleczyła z tej miłości. A może, podobnie jak Marius, w jakiejś mierze straciła zdolność odczuwania?

W przyszłości, przyrzekła sobie, będę mieć tylko przelotne, nic nieznaczące romanse. Wyobraziła sobie, że siedzi na wysokim stołku w jakiejś znacznie bardziej eleganckiej kafejce niż ta, w której razem z Francescą poznały Charliego. Będzie nosiła kolorowe jedwabie i aksamity oraz starą, dziwną biżuterię. Będzie paliła papierosa w szklanej lufce, piła koktajle i

śmiała się głębokim, gardłowym śmiechem. I spośród tłoczących się wokół niej mężczyzn wybierze jakiegoś na noc albo dwie.

Z całą zaś pewnością już nigdy się nie zakocha.

RS

Julia zauważyła ze zdziwieniem, że po powrocie Jacka zaczęła w inny sposób patrzeć na Ricka. Jakby porównywała obu mężczyzn, podsumowywała ich plusy i minusy, stwierdzając, że Rick nie wytrzymuje konkurencji.

Weźmy na przykład tamto przyjęcie z tańcami. To była wielka impreza w Barnemouth's Winter Gardens. Julia miała na sobie czarną suknię, którą kupiła u Selfridge'a. Podczas pobytu w Londynie spostrzegła tę suknię na wystawie i natychmiast się w niej zakochała. Sukienka była dopasowana w stanie, za to miała szeroką spódnicę do pół łydki. Zarówno spódnicę, jak i gorsecik zdobiły hafty. Sprzedawczyni namówiła ją na długie rękawiczki i czarne pantofle na wysokim obcasie do kompletu. Teraz Julia znalazła nawet trochę czasu, by pójść do fryzjera, który upiął jej niesforne włosy w kok. Spojrzenie w lustro i wyraz oczu Ricka potwierdziły, że wysiłki nie poszły na marne.

Kolacja była całkiem znośna. Julia jak zwykle dobrze się bawiła, tańcząc przez cały wieczór. Rick był uprzejmy i pełen uwielbienia. Ale później jego towarzystwo zaczęło jej ciążyć. Na początku poszło o drobiazgi. Wymieniał jej swoje najnowsze nabytki. Meble, obrazy, dywany, porcelanę i szkło. Julia zauważyła, że za każdym razem informował ją o cenie. „Zapłaciłem sto pięćdziesiąt funtów za ten dywan. Nawet nie wiedziałem, że dywan może tyle kosztować”. Dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, kogo jej przypominał: Maurice'a Chancellora. Rick był bogatszą wersją Maurice'a Chancellora.

Skarciła się w duchu za snobizm. Pomyślała, że łatwo jej, Julii Temperley, która się urodziła w pięknym domu i zawsze była otoczona pięknymi przedmiotami, spoglądać z wyższością na kogoś, kto mówi o

pieniądzach. Zasada, że nie rozmawia się o tym, ile co kosztowało, jest zresztą idiotyczna. W końcu ona także, podobnie jak wszyscy, musi zarabiać, żeby płacić swoje rachunki.

Potem zauważyła, że przez cały wieczór Rick rzucał obraźliwe uwagi na temat innych gości. „Wygląda jak okręt wojenny, mruknął na widok otyłej kobiety w szarej satynowej sukni, i ozdobionej zbyt wielką ilością diamentów. Okręt w pełnym rynsztunku, gotów do wypłynięcia w morze”. Julia zachichotała, bo porównanie było całkiem trafne, po chwili jednak uzmysłowiła sobie, że Rick nie powiedział o nikim nic miłego. Nigdy niczego nie chwalił, nigdy nie podziwiał. Wprawdzie miał rację, twierdząc, że goście są niezbyt interesującymi ludźmi, którzy rozmawiają tylko o polowaniach i o błędach rządu, ale w jego nieustającej krytyce było coś niepokojącego. Uwagi, które zrazu bawiły Julię, szybko zaczęły ją przygnębiać. Jakby Hunter nie był zdolny do odczuwania sympatii i nabierał pewności siebie, umniejszając wartość innych ludzi. Jakby prawdziwą wartość widział tylko w pięknych przedmiotach, którymi wypełnił swój dom – jedynie w tym, co można kupić.

Julia zaczęła się zastanawiać, czy owa mroczna strona natury Ricka nie była dla niej oczywista od zawsze i czy nie odsuwała od siebie tej świadomości. I dlaczego to robiła? Odpowiedzi, które jej przychodziły do głowy, nie świadczyły o niej najlepiej. Może wolała przymknąć oko na wady Huntera, ponieważ bardzo potrzebowała jego adoracji. A może było jeszcze gorzej: może czuła się tak bardzo osamotniona, że zaakceptowała towarzystwo człowieka, którego nie zawsze i nie tak bardzo lubiła.

Choć niewykluczone, że zaczęła spoglądać na Ricka trochę krytyczniej od czasu pierwszej wizyty Jacka. „On cię kocha, Julio”. Wyśmiała go wówczas, uznawszy tę sugestię za idiotyczną, ale wcale o niej nie zapomniała.

Teraz usiłowała przekonać samą siebie, że Rick widzi ich znajomość w takim samym świetle jak ona: jako coś niezobowiązującego. Chwila zastanowienia wystarczyła, by Julia uznała, że on raczej nigdy w ten sposób na to nie patrzył. Przypomniała sobie, jak się zachowywał po pierwszym spotkaniu na przyjęciu Maurice'a. Nigdy nie traktował jej odmowy jako ostatecznej decyzji. Przypomniała sobie prezenty, które jej przynosił, i gorliwość, z jaką pomagał jej po śmierci Suzanne. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, uznałaby to wszystko za przejawy naturalnego współczucia wobec kogoś, kogo dotknął los. Ale osoba Ricka jakoś nie pasowała do tego modelu.

Nękana coraz większym niepokojem, przypominała sobie pierwszą wizytę w jego domu, kiedy to porwał plany architekta wewnątrz i poprosił ją o radę. Założyła wówczas, że Rick nie ma zaufania do własnego gustu, ale przecież można było ów gest zinterpretować inaczej. Może chciał sprawić jej przyjemność. Może chciał ją oszołomić, wyrzucić na niej wrażenie. Julia wybrała kolory ścian, zasłony i dywany w jego budynku. Uświadomiwszy to sobie, poczuła się nieswojo, jakby niepostrzeżenie dopuściła Ricka do siebie znacznie bliżej, niż zamierzała, jakby w ten sposób związała się z nim znacznie mocniej niż wówczas, gdy pozwoliła na pocałunki. Odcisnęła swoje piętno na ścianach tego domu: czy po rozstaniu z nią Rick każe je przemaalować? Czy też jego dom zawsze mienić się będzie gołębimi szarościami, morskimi zieleniami i lazurowymi błękitami, na pamiątkę tego uczucia?

Julia wiedziała, że musi położyć kres tej znajomości, ale odkładała ów moment. Mówiła sobie, że trzeba zachować się taktownie i wybrać właściwą chwilę. Czuła się trochę niezręcznie, mając świadomość, że owa ostrożność wynika nie tyle z troski o to, by nie urazić uczuć Ricka, ile z lęku, by go nie sprowokować do ujawnienia drugiej strony swojej natury. „On cię kocha,

Julio". Uwaga Jacka otworzyła puszkę Pandory z możliwościami, o których wolałaby nic nie wiedzieć, choć w tej sytuacji nie mogła ich lekceważyć.

No i... Jack. Czasami żałowała, że nie został w Kanadzie. To była niegodziwa myśl, ponieważ wszyscy zauważyli, że Prudence wyglądała na znacznie szczęśliwszą od chwili, w której starszy syn wrócił do domu. Jack okazał też wiele życzliwości Mariusowi i zaglądał do Missencourt bardzo często nawet wówczas, gdy przyjaciel nie był zbyt rozmowny. A jednak jego powrót wprowadził Julię w niepokój i obudził uczucia, o których, jak się jej wydawało, całkiem już zapomniała. Gdy Jack był w Kanadzie, wcale o nim nie myślała. Teraz jednak, przyjmując go w domu raz albo dwa razy w tygodniu, widując go z Williamem (ciemna czupryna obok jasnych włosów dziecka) – wracała myślą do przeszłości.

Trawił ją wewnętrzny ogień. Uświadomiła sobie nagle wszystkie braki obecnego życia, choć wydawało się jej, że już się z nimi pogodziła. I poczuła, że coś powinno się w nim zmienić.

Podczas kilku tygodni po śmierci Suzanne, gdy Julia sama kierowała firmą, Raymond Bell notorycznie demonstrował niechęć wobec niej. Gdy tylko nadarzała się okazja, wchodził w jej kompetencje i podejmował decyzje, które ona powinna podjąć. Na wszelkie zarzuty odpowiadał z gładkim uśmiechem, który wkrótce znienawidziła: „Ależ ja chciałem tylko pomóc, pani Chancellor”. Gdy zaś popełniła jakiś błąd, Bell natychmiast go jej wytykał, najchętniej publicznie, wobec pracowników.

Marius wrócił do firmy na dobre pod koniec kwietnia i wkrótce Julia poczuła się zepchnięta na boczny tor. Zamierzała wprawdzie pomóc bratu i wciąż przychodziła do pracy codziennie, ale najczęściej siedziała z założonymi rękami w swoim gabinecie. Z wszystkimi problemami zwracano się do niego,

wszystkie jej sugestie zbywano milczeniem. „Jak to dobrze, że pan Marius już wrócił”, podkreślał Raymond Bell. Julia mogła wprawdzie porozmawiać o swych problemach z bratem, ale nie zrobiła tego. Nie zamierzała się zalić, nie zamierzała też wpadać w gniew. Wyrosła już z tego, a w dodatku, gdyby dała się ponieść nerwom, Raymond Bell miałby argument w ręku. Potwierdziłaby w ten sposób jego opinię, że jest nadwrażliwą, histeryczną i chwiejną kobietą.

Gdy wychodziła z pracy tego wieczoru, przekonywała siebie samą, że powinna czuć się lepiej, mogąc oddać ster firmy bratu. W pewien sposób rzeczywiście przyniosło jej to ulgę, ponieważ powrót Mariusa oznaczał, że udało mu się jakoś przetrwać trudne chwile. A jednak w gruncie rzeczy wcale się nie cieszyła. Bardzo lubiła swoją pracę, choć spędzała w biurze tyle godzin i musiała borykać się z Raymondem Bellem i jemu podobnymi. Prowadzenie firmy wiązało się ze zmęczeniem, czasem z frustracją, ale przynajmniej nigdy się nie nudziła. Po śmierci Suzanne znów miała wpływ na kształt rodzinnego przedsiębiorstwa. A teraz musiała się wycofać. Po raz kolejny musiała sobie uświadomić, że jej aspiracje podlegają określonym ograniczeniom. Ani profesjonalizm, ani ambicja Julii nie miały wielkiego znaczenia w obliczu elementarnego faktu, że była kobietą. Tego wieczoru myśli na ten temat szczególnie ją przygnębiały. Gdy zaparkowała samochód przed domem, przysiadła na chwilę na schodach, czując, że łzy jej napływają do oczu i pęka głowa.

Weszła do domu i zabrała Williama na górę, by mieć go na oku podczas przebierania. Usiadła przed toaletką, by rozpuścić włosy, a malec otworzył szkatułkę z biżuterią, choć wiedział, że nie wolno mu tego robić. Gdy rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, cofnął się, ale po chwili wrócił i, sądząc, że matka nie patrzy, zaczął grzebać w maleńkich szufladkach, płacząc bransoletki i

łańcuszki. Julia ponownie go skarciła i odsunęła szkatułkę, sama zaś obróciła się, by poszukać spinki, która jej spadła na podłogę. Gdy znów spojrzała na syna, trzymał w rękach jej niewielki zaręczynowy pierścionek z perłą.

– Och, William – powiedziała rozdrażniona i klepnęła go po rączce. To nawet nie było uderzenie, tylko klepięcie, ale mały skrzywił się i odszedł swym chwiejnym krokiem. Sądziła, że usiadł gdzieś w kącie.

Gdy rozplatała włosy, usłyszała dziwny hałas. Odgłos potknięcia się, krzyk i stukot dziecięcego ciała, zsuwającego się po schodach. Serce jej było jak oszalałe, gdy wybiegała z pokoju, gubiąc wszystkie spinki i gumki.

William leżał u stóp schodów. Podbiegła do niego z jękiem przerażenia. Odetchnęła z ulgą, gdy mały się poruszył. Wtedy zobaczyła krew. Część twarzy chłopca była umazana krwią, krew płynęła po policzku i kapłała na podłogę. William zaczął przeraźliwie płakać. Julia podniosła go, usiłując znaleźć ranę, a wtedy zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. Gdy klęczała na podłodze, odgarniając zakrwawione włosy z twarzy dziecka, uświadomiła sobie, że ktoś jest za drzwiami. Zadzwonił dzwonek i ktoś zawołał ją po imieniu. Nacisnęła klamkę i ujrzała Jacka.

Natychmiast zorientował się w sytuacji, wziął Williama na ręce i zaniósł go do salonu. Gdy Julia się podniosła, dostrzegła, że klęczała na metalowym samochodziku, na który najprawdopodobniej upadło dziecko. Na jej kolanie pozostał niewielki krwawy ślad.

Jack przyłożył chusteczkę do czoła bratanka.

– Rozciął sobie głowę u nasady włosów. Sądzę, że przydałoby się założyć kilka szwów.

– O, Boże... – Julia nie mogła opanować drżenia.

– Julio, popatrz na mnie, Williamowi nic się nie stało. Nic poważnego. Wszystkie dzieci się przewracają. – Głos Jacka działał na nią kojąco. – Zabierzemy go do lekarza, który opatrzy ranę.

U chirurga w Henscombe Julia trzymała syna na kolanach, podczas gdy lekarz zakładał mu sześć szwów i sprawdzał, czy chłopiec nie ma objawów wstrząsu mózgu. William z czasem przestał krzyczeć i tylko jęczał, wtulony w matkę, jakby chciał schronić się przed bólem. W drodze do domu zawzięcie ssał kciuk, a powieki stopniowo mu opadały.

Julia zaniósła go do sypialni i przebrała w piżamkę. Prawie się nie poruszał, gdy układała go w łóżeczku i otulała kocem. Uklękła koło łóżeczka, patrząc na śpiącego synka, i serce jej się ścisnęło na widok bandaża na tle złotych włosów.

Gdy zeszła na dół, Jack wcisnął jej w ręce filiżankę z herbatą. Julia mocno chwyciła filiżankę i powiedziała:

– Zbiłam go. Uderzyłam go i wtedy spadł ze schodów.

– Zbiłaś go do nieprzytomności i postraszyłaś, że zamkniesz w szafie?

– Oczywiście, że nie.

– Domyślam się. Dałaś mu po łapach, prawda? To nie była twoja wina, Julio.

– Jestem jego matką. William nie ma ojca. Czyja to wina, jeśli nie moja?

– Równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że moja, bo uciekłem do Kanady zamiast ci pomóc. Albo Willa, który zginął w tak idiotycznym wypadku. Ale przecież wiesz, że to nie ma sensu. Nie ma sensu obarczać się winą.

– Doktor Frobisher powiedział, że będzie miał bliznę. – Julia załamała rękę. – Noworodki są wcieleniem doskonałości. Chciałam, żeby na zawsze taki pozostał. Chciałam go uchronić, by nic złego mu się nie przytrafiło.

– To niemożliwe. Wiesz dobrze, że to niemożliwe. A zresztą blizny nie będzie widać pod włosami. Założę się, że będzie z niej dumny i zapragnie ją pokazywać innym małym chłopcom.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, tak? Jack się zaczerwienił.

– Oczywiście, że nie. Nie o to mi chodziło. Ale takie rzeczy się zdarzają i jakoś trzeba sobie z nimi radzić.

– Zawsze widzieć jaśniejszą stronę medalu? – Julia sama nie wiedziała, dlaczego szydzi z niego w ten sposób.

– Nie! Chcę tylko powiedzieć, że nie powinnaś wszystkiego tak bardzo rozpamiętywać. Trzeba patrzeć w przyszłość.

– Myślisz, że uwielbiam pograżać się w jałowych rozmyślaniach? Że siedzę tu i mam wieczną chandrę? – Julia okropnie się zdenerwowała. – Że moje życie jest bezsensowne?

– Nic takiego nie powiedziałem...

– Ale właśnie to miałeś na myśli, prawda? Że tkwię tutaj, podczas gdy ty wyjechałeś w świat...

– Julio...

– Coś ci powiem, Jack... – Odstawiła gwałtownym ruchem filiżankę na talerzyk. – Życie wygląda trochę inaczej, gdy się ma dziecko. Nie można wszystkiego zostawić i uciec. – Spostrzegła, że jego oczy nagle rozbłysły, jakby trafiła w czuły punkt. – Może ci się wydaje, że moje życie tu, w domu, jest bezbarwne i monotonne, ale ja nie miałam wyboru. A poza tym mam swoją pracę... – przyjęła postawę obronną – spotykam się z różnymi ludźmi...

– Na przykład z tym typem, którego tu widziałem w zeszłym tygodniu?

– Już ci mówiłam – oświadczyła lodowatym tonem – że Rick jest tylko moim znajomym.

Zapadła cisza. Porywisty wiatr szarpał gałązkami bzu w ogródku za domem. Gniew Julii zgasł równie niespodziewanie, jak zapłonął. Zamknęła oczy i osunęła się na sofę.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowuję. – W jej głosie brzmiało znużenie. – Zwłaszcza po tym, jak mi pomogłeś. Przepraszam, miałam straszny dzień.

– Masz rację – odezwał się Jack. – Ja rzeczywiście uciekłem.

– Jack...

– To prawda. Po śmierci Willa musiałem stąd uciec. Nie mogłem wytrzymać sam ze sobą.

Julia podeszła do niego. Jack stał koło okna. Oparła mu głowę na ramieniu.

– A ja myślałam, że jesteś taki odważny. Pojechałeś do innego kraju, zacząłeś wszystko od nowa.

– Naprawdę tak myślałaś? – W jego głosie była sceptyczna nuta. Julia zadrżała.

– Czasami mam wrażenie, że otaczają mnie duchy. Will... Suzanne... mój ojciec...

Jack otoczył ją ramieniem.

– Powinnaś wyjechać do Kanady. Z Williamem. To wspaniały kraj, by wychowywać tam dziecko.

Julia nie była pewna, co Jack chce przez to powiedzieć. Głaskał ją po włosach. Nagle cofnął dłoń i zmarszczył brwi.

– Co to takiego? – zapytał, wyjmując szpilkę z jej włosów. Julia zaśmiała się nerwowo.

– Właśnie się czesałam, gdy William spadł ze schodów. Wyglądam jak straszdyło.

– Ależ skąd! – Spojrzał na nią swymi niebieskimi oczami. – Wyglądasz pięknie, Julio. Ty zawsze wyglądasz pięknie.

– Z rozczochranymi włosami i plamami krwi na swetrze... Gdy pocałował ją w czoło, wstrzymała oddech, ale się nie cofnęła.

– Jack...

– Pójdę już, jeśli sobie tego życzysz.

Julia zrozumiała pytanie, które się pojawiło w jego oczach.

– Nie – odrzekła spokojnie. – Zostań. Chciałabym, żebyś został. A potem musnęła wargami jego usta. Gdy ją pocałował, zamknęła oczy i poczuła, że wreszcie wszystkie nieprzyjemne doznania minionego dnia zaczynają się zacierać. Jej palce wędrowały po jego plecach, a jego dłonie zanurzyły się w jej włosach. Poczowała delikatne muśnięcia ust Jacka na szyi i twarzy. Nie czuła się w jego obecności niczym skrepowana, co ją zarówno podniecało, jak i dawało poczucie bezpieczeństwa. Ściągnęła sweter, a Jack się pochylił, by ucałować jej piersi. Potem ukląkł przed nią i przyciskając usta do jej płaskiego brzucha, zaczął rozpinąć spódnice.

W przeszłości pożądanie było zawsze naznaczone poczuciem winy albo strachu. Teraz Julia niczego się nie bała, nie czuła się winna. Miała dwadzieścia sześć lat i po raz pierwszy kochała się z kimś z przyjemnością i satysfakcją.

Niespełna dwadzieścia cztery godziny później odwiedził ją Rick Hunter. Jack wyszedł rano, a Julia przez cały dzień była rozmarzona i nieobecna

duchem, nie zauważając drobnych przykrości czy upokorzeń, których doznawała w pracy. Nie mogła się na niczym skoncentrować; kilkakrotnie łapała się na tym, że siedzi beczynnie, patrząc w dal i rozmyślając o Jacku. Zastanawiała się, czy współpracownicy wszystko odgadli, czy dostrzegli radość bijącą z jej twarzy tego dnia. Doszła jednak do wniosku, że nie ma to dla niej żadnego znaczenia.

Wyszła z pracy wcześniej, by zająć się Williamem, i odetchnęła z ulgą, widząc, że mały znów zachowuje się niesfornie. Ledwo położyła go do łóżka, ktoś zadzwonił do drzwi. Gdy zaprosiła Ricka do saloniku, powiedział:

– Chcę cię o coś zapytać, Julio.

Był zdenerwowany i pełen napięcia. Ja też muszę ci coś powiedzieć, pomyślała, proponując mu drinka.

Rick przez chwilę w milczeniu krążył po pokoju. Potem zacisnął dłonie i powiedział:

– Przyszedłem, żeby poprosić cię... – Zwilżył wargi końcem języka –... żeby poprosić cię o rękę, Julio.

Julia oniemiała. Opadła na sofę, mocno zaciskając palce na szklance. Była zdumiona i zakłopotana.

– Od wielu tygodni chciałem cię o to zapytać. – Twarz Ricka Huntera oblała się rumieńcem, na jego brwiach zabłyśły krople potu. – Ale jakoś nie nadarzała się odpowiednia okazja.

– Rick, nie miałam pojęcia... – Była wściekła na siebie, że tak długo odwlekała rozstanie. Że mimowolnie dała mu nadzieję.

– Nie musisz mi teraz odpowiadać. Przemyśl to.

Julia odstawiła szklanekę, splotła palce i starała się jak najstaranniej dobierać słowa.

– Przepraszam cię, Rick. Czuję się zaszczycona twoją propozycją, ale nie mogę zostać twoją żoną. – Szukała jakiejś wymówki, która nie uraziłaby jego dumy. – Will umarł tak niedawno.

– Mogę poczekać – oświadczył natychmiast. – Wcale mi to nie przeszkadza. Poczekać tak długo, jak trzeba.

Julia pokręciła głową.

– Nie chcę, żebyś czekał, Rick. W moim życiu nie ma miejsca na małżeństwo. Mam Williama, pracę. Małżeństwo wymaga wiele wysiłku i energii oraz zaangażowania – zrozumiałam to, gdy wyszłam za Willa. Nie byłam do tego przygotowana wtedy i tym bardziej nie jestem do tego zdolna dziś. Bardzo mi przykro.

Hunter usiadł koło niej.

– Jeśli za mnie wyjdiesz, Julio, nie będziesz musiała pracować. Znajdę kogoś, kto pomoże ci zajmować się Williamem. Zatrudnisz nianię, pielęgniarkę, kogo tylko zechcesz. Nie będziesz musiała tak się męczyć. Wyprowadzisz się z tego ciasnego domku, przestaniesz jeździć rozpadającym się samochodem. Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz.

– Mam Williama i moją pracę – odparła stanowczym tonem. –I nic więcej nie potrzebuję.

– Wcale ci nie wierzę. Każdy pragnie się rozwijać. Pragnie piąć się coraz wyżej.

Julia poczuła, że ogarnia ją zniecierpliwienie. Czy powinna mówić jeszcze jaśniej?

– To zależy, co człowiek rozumie pod pojęciem rozwoju. A także od systemu wartości. Nie sądzę, byśmy mieli podobny system wartości. Przykro mi, Rick, lecz nie mogę za ciebie wyjść. Naprawdę nie mogę.

– Ale ja cię kocham, Julio. – Julia zamarła. A potem pokręciła głową.

– Nie, nie kochasz mnie. Podobam ci się, to prawda. A poza tym reprezentuję świat, do którego aspirujesz.

– Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Wiele lat temu, w warsztacie Willa. Pamiętam, co wtedy miałaś na sobie: szare spodenki i czerwono-białą bluzeczkę. I grzebienie we włosach.

Julia wciąż nosiła ten strój latem. Zgubiła tylko szylkretowe grzebienie. Po raz pierwszy się przeraziła. Odwróciła wzrok.

– To nie jest miłość, Rick. To pożądanie. Niewykluczone, że zawsze mnie pożądałeś. Ale nigdy mnie nie kochałeś.

– Kupiłem dla ciebie dom. Czy chcesz jeszcze innych dowodów? Julia, teraz już przerażona, obróciła się gwałtownie ku niemu.

– Dom?...

– Mój dom. Podoba ci się, prawda? Czeka na ciebie. Taki, jak chciałaś.

Przypomniała sobie jego piękny dom na brzegu morza i przeszył ją zimny dreszcz.

– Rick, to jest twój dom! – zawołała rozpaczliwie. – Urządziłeś go dla siebie!

– Jest twój – oświadczył. – Zawsze miał być twój. Nasz. Jej poczucie zagrożenia narastało.

– W takim razie bardzo mi przykro, że straciłeś tyle pieniędzy, ponieważ nie mogę zostać twoją żoną. I nigdy nią nie zostanę.

W pierwszej chwili w jego oczach było tylko niedowierzanie, ale zaraz pojawił się ból. Rick wziął ją za rękę i powiedział:

– Czy to dlatego, że pochodzę, skąd pochodzę, Julio? Rozwijam się dla ciebie. Ten, kto kiedyś był chłopcem na posyłki, wcale nie musi nim zostać do końca życia. Kiedyś byłem nikim, ale sporo osiągnąłem, prawda?

– Rick, proszę cię...

– Brałem lekcje pięknej wymowy, wiedziałaś o tym? Płaciłem pewnej kobiecie z Highstreet, żeby pozbyć się gwarowych naleciałości. I wystarczyło mi zaledwie kilka tygodni. Ja się szybko uczę, Julio. Będę czytał książki, jeśli sobie tego życzysz. Będę pięknie mówił, nauczę się dobrych manier. Jeśli trzeba, nauczę się jakiegoś obcego języka—już znam trochę francuski. Nie skompromituję cię.

Julia odsunęła się od niego i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nie o to chodzi, Rick.

– A więc o co?

– Nie kocham cię – powiedziała cicho. – Przykro mi.

Zamrugnął rzęsami i odwrócił wzrok.

– A jeśli... zdołam to jakoś przeżyć?

– Ja nie zdołam.

– Może z czasem...

– Nie. Za bardzo się od siebie różnimy. Nie mamy z sobą nic wspólnego.

– Mogę się zmienić. – Patrzył na nią pełnym pożądania wzrokiem.

– Nie jestem nawet pewna, czy cię lubię, Rick. Pochylił się i położył ręce na kolanach.

– Rozumiem.

Zapadła cisza. Gdy ponownie na nią spojrział, spostrzegła, że wyraz jego oczu całkowicie się zmienił.

– Czy twoja decyzja ma coś wspólnego z bratem Willa?

Coś ją ścisnęło w dołku.

– To nie ma nic wspólnego z Jackiem – oświadczyła. – Nic a nic.

– Widziałem, jak na ciebie patrzył.

Julia siedziała na krawędzi kanapy, wbijając paznokcie w dłonie. W oczach Ricka Huntera pojawiło się coś jadowitego.

– Najlepiej, żeby wszystko zostało w rodzinie, prawda?

Z trudem powstrzymała drżenie rąk. Starając się ukryć strach, powiedziała stanowczo, z dumą:

– Sądzę, że powinieneś już wyjść, Rick. Chciałabym, żebyś sobie poszedł.

Nie ruszył się z miejsca.

– I to w jakiej rodzinie. Na zewnątrz wszystko cacy, a pod spodem... Być może – wbił w nią swoje ciemne spojrzenie – niektóre moje interesy nie są najjaśniejsze. Ale ręce Chancellorów też nie są najczystsze.

– Wiem, że masz na myśli Maurice'a – powiedziała gniewnie Julia. – Nie powinieneś mierzyć całej rodziny jego miarą.

– Mam na myśli twojego męża, Julio.

Popatrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Willa? Nie bądź śmieszny.

Uśmiechnął się złośliwie.

– No cóż, taka jest prawda. Will prowadził dość ciemne interesy.

– Bzdura. Zupełna bzdura.

Rick wstał i zapalił papierosa, osłaniając ogień dłonią. Julia zmusiła się, by siedzieć spokojnie i nie zadrzeć pod wpływem jego zimnego, mrocznego spojrzenia.

– Nic o tym nie wiedziałaś, Julio? Will sprzedawał fałszywe kupony na benzynę. Zawsze się zastanawiałem, czy ci o tym powiedział. Nic nie wiedziałaś, prawda? Jakże mógł zapomnieć cię o tym poinformować...

– Kłamiesz – szepnęła.

– Nie – oświadczył ostro. – Twój święty, doskonały małżonek, który zmarł we właściwym momencie, sprzedawał sfałszowane kupony na paliwo. Miał też do czynienia z kradzionymi towarami. To też zapomniał ci powiedzieć. Ja natomiast o tym wiem, ponieważ Will pracował dla mnie. Niezawodny kuzyn Maurice skontaktował nas ze sobą, gdy się okazało, że Will potrzebuje trochę gotówki. Ale do niczego by nie doszło, gdyby twój mąż tego nie chciał.

Julia uznała nagle, że w pokoju zrobiło się niewiarygodnie duszno. Podeszła do okna i oparła się o parapet. Brakło jej powietrza, a jednocześnie wstrzymywała oddech. Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej, krzaki i trawnik spowiły już mroczne cienie. „Will potrzebował trochę gotówki”. Przypomniała sobie księgi rachunkowe męża.

– Miał długi. Will miał długi – szepnęła.

– Oczywiście, że miał. I pomogłem mu się z nich wydostać.

– Pomogłeś mu... – Julia zaczęła w końcu rozumieć, co się stało. Will, ty idioto, pomyślała. – Wplątałeś Willa w czarny rynek?

– Sam się wplątał. Ja tylko pokazałem mu drogę. Nic nadzwyczajnego. Otworzył warsztat w ciemno, nie mając kapitału na pokrycie pierwszych wydatków. A poza tym Maurice namówił go na ten interes, bo nikt inny nie dał się na to złapać.

Julia czuła, że Rick nie kłamie. Wszystko, co mówił, układało się w sensowną całość. Will zainwestował w interes, który w gruncie rzeczy nigdy

nie ruszył z miejsca. Kiedy wpadł w tarapaty –z powodu nieuczciwych klientów i nieoczekiwanie surowej zimy –szukał rozpaczliwie jakiegoś wyjścia. Najpierw wziął kredyt w banku i próbował jakoś go spłacać. A potem poszedł do Maurice'a. Ten zaś poznał go z Rickiem Hunterem.

– Chcę ci tylko uświadomić, Julio, że twoja pogarda wydaje się trochę nie na miejscu. Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Uważasz, że mamy niewiele wspólnego? To nieprawda. Nieprawda. Jak myślisz, skąd Will brał pieniądze na czynsz? I na ciebie?

Julia ze zgrozą przypomniała sobie prezenty. Kwiaty, perfumy, papierosy. Czy to także zawdzięczała Rickowi Hunterowi?

– Czarny rynek... – Spojrzała na niego. – A więc jesteś przestępcą – powiedziała z pogardą. – Zwyczajnym kryminalistą.

Na dnie ciemnych źrenic Huntera coś drgnęło.

– Nie powinnaś mówić takich rzeczy, Julio. Należy mi się wdzięczność. Pomogłem Willowi utrzymać się na powierzchni.

– Wdzięczność!?! – Nie mogła już na niego patrzeć. – Wdzięczność za to, że wplątałeś go w coś, z czym nie potrafił sobie poradzić? Wdzięczność za to, że go zastraszyłeś?

– Sam się na to zdecydował. Nikt go nie zmuszał.

W sercu Julii zakiełkowało jeszcze straszniejsze podejrzenie. Przypomniała sobie posiniaczoną i spuchniętą twarz męża w noc przed jego śmiercią.

– Był ranny. Ktoś go pobił. Tuż przed wypadkiem. Czy to ty?

– Nie ja. Nie osobiście.

– Dlaczego? Dlaczego mu to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

– Chciał z tym skończyć. A to było niemożliwe. W interesach tak się nie postępuje. Chyba to rozumiesz, Julio? Przecież ty także, podobnie jak i ja, prowadzisz interesy.

– Nie prowadzę interesów tak jak ty – szepnęła. – W ogóle nie jestem do ciebie podobna. Jesteś odrażający. Niedobrze mi się robi na twój widok. – Cofnęła się, jakby nie mogła znieść jego fizycznej bliskości. – Jak mogłam pozwolić, byś się do mnie zbliżył?... Zaszczułeś Willa.

– Ja mu pomogłem. Pomogłem mu wydostać się z kłopotów.

– Nie. Zaszczułeś go. Zaszczułeś go na śmierć.

Hunter mrugnął powiekami. Z jego oczu zniknęły ból i gniew, ustępując miejsca okrutnemu wyrachowaniu. Uśmiechnął się złośliwie:

– Zaszczułem go... tak, pewnie masz rację. Ale czy na śmierć? No cóż, może i tak.

– Może? – Julia bezwiednie podniosła głos. – Co masz na myśli, mówiąc „może”?

– Widzisz, moja droga – powiedział spokojnie – otóż ja nigdy nie byłem całkowicie przekonany, że Will nie żyje.

– Oczywiście, że nie żyje. Łódź...

– Tak, tak. Łódź zatoneła. Jeśli Will był na pokładzie, to nie żyje. Jeżeli tam był.

Julia podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

– Proszę cię, wyjdź – powiedziała głosem drżącym bardziej, niż tego sobie życzyła. Rick jednak nie ruszył się z miejsca i wciąż torturował ją spojrzeniem.

– Szczerze mówiąc, jest mi wszystko jedno, czy Will Chancellor żyje, czy nie. Założę się, że i tak nie wróci, bo nie będzie miał odwagi, by sprostać

rzeczywistości. Ale jeśli ja nie mogę ciebie mieć, Julio, to nikt nie będzie cię miał.

– Nie rozumiem... – Jej głos drżał tak bardzo, że nie mogła tego już dłużej ukrywać.

– Nie rozumiesz? Pomyśl, Julio. – Chwycił ją za ramiona i lekko nią potrząsnął. – Will żyje. Wiem, że on żyje.

– Mylisz się...

Hunter wciąż ją trzymał, a jego palce boleśnie wbijały się w ciało Julii.

– No cóż, nie mogę tego udowodnić. Ale w tej historii jest mnóstwo dziwnych zbiegów okoliczności, prawda? Will chce się wycofać z interesów i parę dni później udaje mu się wpaść na minę. Nigdy nie lubiłem zbiegów okoliczności. A poza tym tak się złożyło, że razem z Willem zginęła pewna rzecz, która do mnie należała. – Rozluźnił nieco uścisk i lekko ją popchnął. – Wyglądasz bardzo blado, Julio. Powinnaś sobie usiąść.

Nogi się pod nią ugięły, więc opadła ciężko na sofę. Rick wcisnął jej szklankę do ręki. Przełknęła trochę palącej whisky. Potem oparła szklankę o kolano i patrzyła, jak drży. W końcu zdołała wykrztusić:

– Rzecz, która do ciebie należała?

– Obraz. Nieduży. – Rick nakreślił palcem w powietrzu niewielki kwadrat. – Z aniołami. I kobietą w niebieskiej szacie. Znalazłem go we Francji. Parę lat temu na kontynencie można było znaleźć mnóstwo interesujących rzeczy. Will miał mi tego przez jakiś czas popilnować. – Hunter spostrzegł wyraz niezrozumienia na jej twarzy, – Ależ Julio, jesteś chyba dość inteligentna. Obrazek nie pochodził z całkiem legalnych źródeł.

– Był skradziony?

– Podejrzewam, że co najmniej kilka razy. Zapewne najpierw, na początku wojny naziści ukradli go z kolekcji jakiegoś bogatego Żyda. Potem, gdy Hitlerowi noga się powinęła, ktoś musiał sprzedać to cacko. Nie wiadomo za ile, nie wiadomo, ile razy. Może za worek węgla. Albo za paszport. Kupiłem to malowidło, w czterdziestym ósmym w Paryżu od starego lichwiarza, który podczas wojny był kolaborantem. Potrzebował gotówki, bo chciał wyjechać.

Julia przełknęła ślinę i ze zdziwieniem stwierdziła, że ma kwaskowaty posmak w ustach.

– Wciąż nie rozumiem...

– Takich rzeczy nie wwozi się do kraju całkiem zwyczajnie, prawda? Trudno coś takiego pokazać celnikom. A warsztat był bardzo wygodnym miejscem. Dlatego przedtem pomogłem Willowi. Nie sądzisz chyba, że zawarłem tę znajomość z czystej sympatii? Warsztat leżał na uboczu, niedaleko wybrzeża, mogliśmy więc dostarczać tam to i owo łodzią. Musiałem gdzieś trzymać te wszystkie cacka, póki nie znalazłem kupca. Doszedłem do porozumienia z pewnym jankesem z ambasady. W Stanach ludzie mają mnóstwo pieniędzy. Można tam znaleźć niejednego kupca na taką śliczną rzecz. I właśnie wtedy ten przeklęty obrazek zniknął. Razem z twoim mężem.

Julia zamknęła oczy, starając się zebrać myśli.

– W dalszym ciągu nie rozumiem...

– Will musiał zabrać obraz, prawda? Zapewne otworzył paczkę i uświadomił sobie, ile to jest warte. Nie przypuszczałem, że zdobędzie się na coś takiego. Nie sądziłem, że go na to stać.

– Will nie żyje – upierała się Julia. – Zginął, gdy łódź zatoneła.

– Nie. Jeśli naprawdę zginął, to czemu nie mogłem znaleźć mojego obrazu? Dlaczego nie było go w warsztacie? Ani w domu?

Umysł Julii pracował bardzo wolno. Przypomniała sobie nagle Hidcote Cottage. Opróżnione szuflady, ich zawartość rozsypaną po podłodze. Dokumenty, karty, modele aeroplanów, które Will zbierał w dzieciństwie...

– Przeszukałeś mój dom? – zapytała z niedowierzaniem.

– Oczywiście.

– Myślałam, że to wandalę... – Urwała. – I znalazłeś...

– I nic nie znalazłem. Zupełnie nic. – Rick zmrużył oczy. – Zastanawiałem się, czy brałaś w tym udział. Czy wiedziałaś, co zrobił, czy byliście w zмовie. Ale zdaje się, że ciebie także zostawił na lodzie...

– Mylisz się – szepnęła. – Will nie żyje. – Powtarzała to jak modlitwę do jakiegoś bożka, w którego przestała wierzyć. Szukała gwałtownie rozsądnego wytłumaczenia. – Prawdopodobnie wziął ten obraz na łódkę. Tak, na pewno tak zrobił. I dlatego nic nie znalazłeś.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie wiem. – Głowa pękała jej w szwach; przycisnęła pięści do swych skroni. – Może nie chciał tego zostawiać w warsztacie. Może niepokoił się, bo wiedział, że ta paczka pochodzi z kradzieży...

– Może. Ale nie sądzę. Pamiętaj, że Will chciał się wycofać z interesów. – Hunter wreszcie podszedł do drzwi. Zatrzymał się i jeszcze raz obejrzał. – Pamiętaj jednak, Julio, zanim rzucisz swoje czarujące spojrzenie na jakiegoś nieszczęśnika, że może nie jesteś wolna. Nie podpisuj żadnego małżeńskiego kontraktu. Bo znajdziesz się w niezręcznej sytuacji, jeśli Will zdecyduje się wrócić do domu.

Rick Hunter wyszedł, ona zaś przez dłuższy czas nie ruszała się z miejsca. W pokoju zrobiło się ciemno. W ogródku za domem zahuczała sowa,

wzbijając się w granatowe powietrze niczym biały duch; samochody jechały w różnych kierunkach.

Wreszcie Julia chwyciła latarkę i pobiegła na górę. Wdrapując się na strych, potknęła się o szczebel drabiny i zraniła sobie dłoń o klapę. Przyklękła i oświetliła pudła i pudełka. Spakowała je, wyprowadzając się z Hidcote Cottage. Schowała tam bezużyteczne prezenty ślubne i drobiazgi należące do Willa, wszystko, czego nie chciała trzymać w domu, ale też nie mogła po prostu tego wyrzucić. Niewykluczone, że sortując rzeczy zmarłego męża, coś przeoczyła. Przeoczyła niewielkie malowidło, przedstawiające Madonnę z aniołami.

Grzebała gorączkowo w pudłach, wykładając ich zawartość na bok. Szalik Willa, który wydziergała mu kiedyś na Gwiazdkę, jego świadectwa szkolne, stare okulary. Nigdzie nie było obrazu.

Gdy opróżniła ostatnie pudło, zaczęła wszystko porządkować. Złożyła starannie szalik Willa, schowała okulary do etui. Miała jednak wrażenie, że jej wysiłki idą na marne, oparła się więc o zbiornik z wodą, całkiem wykończona.

Próbowała przypomnieć sobie twarz męża. Jasne włosy, niebieskie oczy i ten charakterystyczny wyraz twarzy, jakby świat go nieustannie czymś zaskakiwał.

– Gdzie jesteś, Will? – szepnęła na głos. – Gdzie ty, do cholery, jesteś?

Czuła się jednak tak, jakby usiłowała ułożyć układankę, w której brakowało połowy klocków. Zaczęła się zastanawiać, czy w ciągu długoletniej przyjaźni i krótkiego małżeństwa zdołała go naprawdę poznać.

Czy można kogoś naprawdę poznać? Jej myśli powędrowały w stronę Jacka. Rozkosze poprzedniej nocy i radość, która jej towarzyszyła przez cały dzień, wydawały się teraz tylko snem. Pomyślała z żalem, że choć kocha go od

tylu lat, to już nigdy nie pójdą razem do łóżka. Nie tylko z powodu podejrzeń Ricka Huntera, ale także dlatego, że są do siebie za bardzo podobni, za dobrze się znają. I dlatego, że w ich związek wpisana jest zarówno namiętność, jak i zdrada, że mogą się za bardzo od siebie uzależnić.

Wspominając minione lata, doszła do wniosku, że za bardzo przywiązała się do przeszłości i że wybierała kochanków spośród zbyt wąskiego grona. W dzieciństwie i młodości ojcowska miłość dawała jej poczucie bezpieczeństwa, ale też nie pozwalała poznać świata. W reakcji na śmierć ojca pograżyła się w jeszcze większej izolacji. Mariusa nie było w domu, stosunki z matką nie układały się najlepiej, więc zbliżyła się do Willa. Gdy w 1946 roku Jack wrócił do domu, nie wiedziała nic o seksie i bardzo niewiele o miłości. Kilka osób, nie wyłączając jej samej, słono zapłaciło za tę ignorancję. Dotknięta samotnością, utratą pracy i tożsamości straciła poczucie orientacji w życiu i wyszła za męża, nim zdążyła tego zapragnąć i do tego dojrzeć. Miała dwadzieścia sześć lat i do tej pory tkwiła w miejscu, w którym się urodziła. Żyła wśród ludzi, z którymi dorastała. Pracowała w rodzinnej firmie. Nigdzie nie wyjechała, jak choćby Topaz czy Jack. Nawet wychodząc za męża, nie zeszła z utartego szlaku – tak jak to zrobił Marius.

Poczuła, że musi przerwać ten zakłęty krąg. Zrozumiała, że jeśli tego nie uczyni, nigdy się nie dowie, kim mogłaby być, i że będzie miała coraz mniej siły, żeby istnieć. Gdy tak siedziała na ciemnym strychu, przypomniła sobie strzępy swego nieudanego małżeństwa i zważyła, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by coś zmienić. Czy zdobędzie się na to, by powiedzieć Jackowi, że powinien wrócić do Kanady, do swej wdowy.

W piątek wieczorem Topaz poszła piechotą do Great Missen. Siedziała na zwalonym pniu, czekając na Mariusa. Ze szczytu wzgórza widziała starą,

kamienną kaplicę, w której mieściła się firma Temperleyów. Wiązki słonecznych promieni padały na liście rododendronów, rosnących przy wąskiej dróżce i tańczyły w górze, między gałęziami choinek.

Topaz spostrzegła Mariusa wychodzącego z biura. Zaciśnęła ręce i w zadumie żuła kosmyk włosów. Lubiała go obserwować, gdy o tym nie wiedział. Na moment zniknął, przesłonięty jakimś pagórkiem, więc Topaz pochyliła się do przodu i czekała. Gdy go znowu zobaczyła, wstała i podbiegła do niego.

– Topaz. – Pocałował ją w policzek.

– Przyszłam po ciebie.

– Świetny pomysł.

– Mogę wziąć twój neseser?

Mariusz bardzo się zdziwił.

– Oczywiście, że nie.

– Kiedy byłam mała, a ty zacząłeś właśnie pracować, czasami czekałam tu na ciebie i pozwalałeś mi nieść swój neseser. Czułam się wtedy strasznie ważna. Pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam. – Uśmiechnął się. – Chowaliśmy się za drzewem, żeby mnie zaskoczyć. Ale ja i tak zawsze cię widziałem.

Przez chwilę szli w milczeniu. W końcu Topaz znów się odezwała:

– Postanowiłam wrócić do domu. Jutro. Mariusz zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

– Nie będę próbował cię zatrzymać, bo i tak poświęciłaś nam mnóstwo czasu. Ale bardzo nam będzie cię brakować.

– Postaram się często przyjeżdżać – przyrzekła.

– Musisz często przyjeżdżać. To rozkaz.

Topaz od pewnego czasu odkładała tę decyzję. Pojadę do Londynu, gdy Tara wróci do szkoły po przerwie wielkanocnej, postanawiała. Gdy Marius zacznie pracować na cały etat.

– Dzwoniła moja matka – wyjaśniła.

– Aha. Stęskniła się za tobą?

– No wiesz! Jej partner do brydża jest chory, a jej ostatni wielbiciel ożenił się ze swoją sekretarką. – A poza tym za dużo pije, pomyślała Topaz, przypominając sobie bełkotliwy głos Veroniki. Ale o tym Mariusowi nie wspomniała.

– Dasz sobie radę? – zapytał, choć to raczej ona jemu powinna zadać to pytanie.

– Jasne. Znajdę jakąś pracę.

– Miałem na myśli tę historię z Charliem.

– Och, już się do tego przyzwyczaiłam. A poza tym, Charlie jest za oceanem i nie grozi mi, że natknę się na niego przypadkiem na ulicy.

– To jeszcze nie znaczy, że nie będziesz cierpieć.

Wąska dróżka wiodła teraz przez las. Z perspektywy czasu i bolesnych doświadczeń Topaz doszła do wniosku, że ten romans niewiele znaczył. Że sprzedała się za tanio, zadowoliły ją pozory miłości.

– Postanowiłam dać sobie spokój z mężczyznami na jakiś czas. Za dużo z nimi kłopotów. Postanowiłam, że na razie zdobędę sławę.

– Jak zamierzasz to osiągnąć? – Marius się uśmiechnął.

– Jeszcze nie wiem. – Topaz wsunęła mu rękę pod ramię. – Myślałam...

– Tak?...

– Myślałam, że znów zacznę organizować ludziom przyjęcia. Bardzo to polubiłam. I przyszło mi do głowy, by poprosić cię o pomoc w prowadzeniu księgowości. Powinnam chyba prowadzić księgowość, prawda, Marius?

– Powinnaś – przyznał. – Urząd skarbowy się ucieszy. Jasne, że ci pomogę. Zrobię to z przyjemnością, tym bardziej że znam się na tym.

Przez chwilę szli w milczeniu. Potem powiedział:

– Nie wiem, czy pamiętasz, co mi powiedziałaś parę miesięcy temu. Wtedy, gdy mnie karciałaś za to, jak traktuję Tarę.

– Zdaje się, że mówiłam wtedy różne rzeczy. Może lepiej, żebyś o tym zapomniał, Marius.

– Powiedziałaś, że wydaje ci się, iż nie zasługujesz na miłość. Czy naprawdę tak myślisz?

– Mówiłam o Tarze. – Topaz odwróciła wzrok.

– Naprawdę? Powiedziałaś, że dobrze wiesz, jak się czuje ktoś, kogo nikt tak naprawdę nie chce. Chcę ci uświadomić, Topaz, że jesteś w błędzie. Ze bardzo się mylisz. Zanim wyjedziesz, powinnaś się dowiedzieć, że są ludzie, którzy pragną twej obecności i bardzo cię potrzebują. Że jesteś ogromnie kochana. Przez Tarę, przez Julię, przez moją matkę.. I przeze mnie.

Następnego ranka Marius podwiózł Topaz do Longridge, żeby mogła się pożegnać z Julią przed wyjazdem do Londynu.

Gdy usiadły w ogródku, Topaz zauważyła, że Julia kiepsko wygląda, jest zdenerwowana, blada i ma podkrążone oczy. Julia opowiedziała jej o wypadku Williama; mały miał głowę owiniętą bandażem i wyglądał jak Indianin.

– Biedactwo! – zawołała Topaz ze współczuciem. – To okropne. Nic dziwnego, że jesteś roztrzęsiona.

Julia uśmiechnęła się niepewnie. Gdy Topaz jej wyjaśniła, że wraca do Londynu, spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– No tak. Nie powinniśmy byli zatrzymywać cię tu tak długo. Będzie nam cię bardzo brakowało.

– Sądzę, że Marius w końcu sobie z tym poradzi.

– Marius? – zdziwiła się Julia, jakby myślała o czymś innym.

– Zapewne nie tak szybko. To może potrwać długo, nawet całe lata. On potrafi zupełnie nieźle stwarzać pozory, ale czasem widać, ile go to kosztuje. Ale sądzę, że w końcu jakoś sobie z tym poradzi. Tak jak ty sobie poradziłaś po śmierci Willa.

– Will – powtórzyła Julia i jeszcze bardziej pobladła. Wstała i splotła dłonie. – Coś się wydarzyło – powiedziała nagle. Przygryzła sobie palce. – Czy sądzisz, że to możliwe?.. – Urwała i spojrzała na Topaz. A potem zapytała bardzo spokojnie: – Pomyślisz pewnie, że zwariowałam, ale czy sądzisz, aby była taka możliwość, że Will jednak żyje?

Topaz oniemiała. William bawił się w piaskownicy. Za płotem sąsiadka Julii wieszala pranie. Białe prześcieradła furkotały na tle błękitnego nieba. Pokręciła głową.

– Nie. Nie wydaje mi się, że jest taka możliwość. Bardzo mi przykro.

Julia miała nieprzytomne oczy i nie przestawała gryźć palców.

– A jeśli nie wypłynął na tej łodzi?

Po śmierci Willa Topaz miała kilkakrotnie wrażenie, że rozpoznaje go w metrze albo na ulicy. Dopiero po paru miesiącach pogodziła się z jego ostatecznym odejściem.

– Przecież ludzie go widzieli.

– Nikt go nie widział na pokładzie. – Julia mówiła podniesionym głosem.
– Nikt nie widział łodzi, gdy wypływała z portu. Wszyscy założyli, że on tam był, bo wyszedł z pubu z braćmi Gamble. I dlatego, że zaparkował samochód nieopodal zatoki.

– Jeśli jednak nie wsiadł na tę łódź – zasugerowała Topaz – to w końcu wróciłby do domu, prawda?

Julia usiadła na leżaku i pokręciła głową.

– Niekoniecznie. Właśnie w tym rzecz. Mógł nie wrócić. Miał kłopoty. Will mógł nie wrócić do domu, bo miał kłopoty.

Serce Topaz zgubiło właściwy rytm. Przypomniała sobie rozmowę z Willem na plaży w Henscombe, fale uderzające w brzeg i rozpacz w oczach przyjaciela.

– Will sprzedawał fałszywe kupony na benzynę na czarnym rynku – powiedziała Julia. – I miał coś wspólnego ze skradzionym obrazem... Wiem, wiem, to wcale niepodobne do Willa, prawda? – Skrzywiła się. – Przeprowadzał z nogi na nogę, gdy nie odrobił pracy domowej.

„Wpadłem w tarapaty, Topaz”. Topaz spojrzała na Julię.

– Skąd o tym wiesz? Czy jesteś tego pewna?

– Nie mogę być pewna. Ktoś mi o tym powiedział, ale nie wiem, czy mogę mu ufać. To znaczy wiem na pewno, że nie powinnam mu ufać. Przeczuję jednak, że tym razem powiedział prawdę. Po śmierci Willa przejrzałam księgi rachunkowe warsztatu. Will pożyczył bardzo dużo pieniędzy. Zaczął spłacać pożyczkę. Wczoraj znów zajrzałam do ksiąg i odkryłam, że są tam sumy, na które nie ma żadnych rachunków. – Westchnęła.
– Pamiętam też, że nie pozwolił, bym mu pomogła w księgowości. No cóż,

teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego wtedy tak się denerwował. – Była bardzo blada; poszarpane ślady wokół jej paznokci podeszły krwią.

– Może zrobię herbatę? – zaproponowała Topaz, a Julia pokiwała głową.

Napełniając czajnik wodą i zapalając zapałkę, zauważyła, że jej także drżą ręce. Na miejscu Julii zdarłaby sobie skórę z palców.

Wróciła do ogródka. Julia siedziała na leżaku z łokciami na kolanach, opierając twarz na pięściach.

– Może on to wszystko wymyślił – mruknęła. – Cały czas mam nadzieję, że on to wszystko wymyślił, żeby mnie ukarać.

Topaz wzięła głęboki oddech.

– Widziałam Willa parę dni przed śmiercią. Przyjechałam do Henscombe z grupą aktorów. Spędziłam z nim jedno popołudnie. I powiedział mi wówczas parę dziwnych rzeczy. Twierdził, że zrobił coś złego, ale nie chciał wyjawić co. Starłam się go przekonać, żeby zdradził coś więcej, ale nie chciał. – Topaz popatrzyła w pełne przerażenia oczy Julii. – Mówił jeszcze, że chciałby uciec. Że chciałby zacząć wszystko od nowa. Stać się kimś innym.

W ciszy, która zapadła po słowach Topaz, słychać było śpiew skowronka i głosik Williama, mruczącego coś do siebie.

– Nic nikomu nie powiedziałam, bo mu to przyrzekłam.

– Tyle tajemnic. – Julia się zdenerwowała. – Nigdy bym nie przypuszczała, że Will może mieć tyle tajemnic. Cały czas się nad tym zastanawiałam. Czy byłby zdolny do czegoś takiego. Czy byłby zdolny do tego, by nas wszystkich oszukać. Oszukać swoją matkę. Oszukać mnie. I teraz myślę, że może rzeczywiście był. Przecież nie powiedział mi nic o swoich długach, prawda? A wiesz, jaki on był... nigdy nie stał obiema nogami na ziemi... zawsze mu się wydawało, że wszystko się jakoś ułoży. Zawsze sądził,

że będzie jakaś druga szansa. – Julia znów zaczęła gryźć zakrwawione paznokcie. Potem zwróciła gniewne spojrzenie ku Topaz. – Mówił ci, że chce zacząć wszystko od nowa. Może właśnie to zrobił. Może zaczął nowe życie i teraz jest szczęśliwy. Może miał w nosie wszystkich, których tu zostawił, może miał w nosie nasze uczucia... – Zamknęła oczy i zakryła usta dłonią. Po chwili spytała szeptem: – Co ja mam zrobić? Czy mam o tym powiedzieć Jackowi? Czy mam powiedzieć Prudence? – Spojrzała na dziecko bawiące się w piaskownicy. – Czy mam powiedzieć coś Williamowi? Topaz, poradź mi, co mam zrobić?

Topaz patrzyła przez okno wagonu kolejowego na znajomy krajobraz. Za oknem przesuwały się wysokie wapienne skały, dolina otaczająca Missencourt, dwór w Sixfields. Jedynym stałym elementem pejzażu było morze, połyskujący szarobłękitny pas, graniczący z linią horyzontu.

W wagonie siedział tylko jeden współpasażer, bardzo młody urzędnik o sympatycznej, zaróżowionej twarzy, który zapewne z przyjemnością podjąłby konwersację, gdyby Topaz go do tego zachęciła. Na razie jednak chciała sobie wszystko przemyśleć. Rozmowę z Julią i oszałamiającą, szokującą możliwość, że Will jednak żyje.

Jej myśli krążyły także wokół Mariusa. „Powinnaś wiedzieć, że są ludzie, którzy cię bardzo kochają”. Pielęgnowała te słowa jak skarb i ukryła je starannie w zakamarku pamięci z równą pieczołowitością, jak kiedyś przed laty umieściła w sekretnej szufladzie bilecik, który dostała od Mariusa („Żebyś już nie musiała całować pułkowników. Twój Marius”).

Topaz przechyliła się i chuchnęła delikatnie na szybę. A potem napisała imię, inne niż to, które w podobny sposób zapisała przed laty, gdy odwiedziła Dorset pierwszy raz po wojnie.

Tym razem napisała imię Willa. Ale wcale go nie zmazała. Napis pozostał na szybie jako znak jej nadziei i wiary w to, że pewnego dnia Will wróci do domu.

Kierowca ciężarówki wiozącej buraki cukrowe wysadził Willa Chancellora na Lincolnshire Fens. Will pokonał później kilka kilometrów pośród płaskich, czarnych pól, patrząc w niebo. Po chwili zaczęło padać. Krople jednostajnego deszczu wpadały mu za kołnierz płaszcza i za cholewki butów.

Tego ranka ruszył na południe. O kierunku podróży zdecydowała przypadkowa ciężarówka, którą zatrzymał na drodze. Tak właśnie wyglądało teraz jego życie: naznaczone przypadkowością, sterowane jakąś zewnętrzną, beznamiętą ręką.

Nieliczne kępy mizernych drzew nie dawały żadnego schronienia przed deszczem. Zrobiło się późno, Will od wielu godzin nic nie jadł. W oddali, na tle zachmurzonego nieba widać było kilka niskich budynków. Will ruszył w tamtą stronę. Zatrzymał się przed bramą, próbując ocenić, czy znajdzie tu jakieś schronienie. Za ogrodzeniem oprócz domu była stodoła, a dalej kilka mniejszych budynków. I jeszcze jakieś szopy, a za kępą brzoź i topoli coś dziwnie długiego, co przypominało – Will musiał przetrzeć okulary – wagon kolejowy. Na bramie widniała nazwa farmy: Coldharbour Farm.

Drzwi do stodoły były uchylone i Will dojrzał w mroku sterty słomy. W oknach domu nie paliło się światło, na podwórzu było pusto. Will przedostał się przez dziurę w ogrodzeniu i pobiegł przez pole i podwórze. W stodole, wdychając dobrze znany zapach starego siana, zrzucił mokry płaszcz, włożył suchy sweter, który wydobyl z plecaka, i zwinąwszy się w kłębek na sianie, zasnął niemal w jednej chwili.

Gdy się obudził parę godzin później, było już prawie ciemno. Głodny i spragniony, połamał kilka kawałków czekolady i przegryzł resztką chleba. Smak suchego chleba wzmógł jego pragnienie. Na zewnątrz z pewnością jest studnia albo kran. Will otrzepał ubranie z siana, podszedł po cichu do drzwi i wyjrzał na podwórze.

W tym momencie zamroczyło go silne uderzenie i osunął się na śliski od deszczu bruk.

– Musi mi pan pomóc – mówił jakiś dziewczęcy głos. – Nie uniosę pana.

Ktoś go ciągnął przez podwórko jak worek kartofli. Obolała głowa podskakiwała na kamieniach.

– Proszę zaczekać chwilę – wykrztusił, a dziewczyna się zatrzymała.

– Pańskie okulary – mruknęła, podając mu je.

– Dziękuję. – Włożył okulary. Na szczęście nie były stłuczone.

– Jeśli panu pomogę, da pan radę wstać?

Dziewczyna, która go uratowała – a może zaatakowała? – była bardzo młoda. Latarka oświetlała jej pełne niepokoju oczy i jasne loki, ociekające deszczem. Gdy Will przyłożył dłoń do czoła, poczuł coś lepkiego.

– Proszę, niech pan spróbuje – błagała drżącym głosem. – Strasznie pan krwawi.

Podniósł się, choć ziemia kołysała się mu pod stopami i nękały go nudności.

– Obawiam się, że ma pan wstrząs mózgu.

Wzięła go pod ramię i zaczęli sunąć powoli po podwórzu. Gdy otwierała drzwi, Will oparł się o ścianę i, zamknawszy oczy, walczył z zawrotami głowy.

– Jeszcze trochę – zachęciła, znów ujmując go pod ramię. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Drzwi prowadziły do wąskiego korytarza, wyłożonego czerwoną terakotą. Na wieszaku wisiały płaszcze przeciwdeszczowe i sztormiaki, na podłodze leżały w nieładzie buty i kalosze. Parasole i laski sterczały ze specjalnego pojemnika.

Korytarz prowadził do wielkiej kuchni. Fala światła i ciepła sprawiła, że Will zachwiał się na nogach.

– Proszę usiąść – rozkazała, popychając go w stronę krzesła. – Proszę... – Podała mu papierowe ręczniki. – Niech pan to przyłoży do czoła, póki nie znajdę bandaży.

Korzystając z tego, że został sam, rozejrzał się po kuchni. Na przymocowanych do sufitu stelażach wisiały rondle i patelnie, w kominku płonęły szczapy drewna. Obok pieca znajdowała się jakaś konstrukcja, na której było mnóstwo mosiężnych gałek i malutkich drzwiczek, stały ogromny stół i serwantka, wyładowana naczyniami. Wszędzie leżały książki, mnóstwo książek. Na stole, na serwantce, na parapecie. Książki piętrzyły się obok krzesła, na którym siedział Will. Zerknął na obwolutę tomu, leżącego na wierzchu: „Romany Rye” George'a Borrowa.

Dziewczyna wróciła do kuchni, niosąc gazę, bandaże i coś do dezynfekcji.

– Proszę się nie niepokoić – uśmiechnęła się. – Zamierzam zostać lekarzem.

– Co się właściwie stało?

– Uderzyłam pana. – Była wyraźnie zakłopotana. – Myślałam, że to lis. Jakiś lis ciągle kradnie nam kury. Chciałam go odstraszyć. Strasznie mi przykro. No ale skąd mogłam wiedzieć, że to pan? Co pan, u licha, robił w stodole? Jest pan włóczęgą? Mój tata też kiedyś był wagabundą. – Spojrzała na

niego, tknięta nagłym przeczuciem. – Nie jest pan chyba jednym z tych bezdomnych, których przygarnia mój ojciec, prawda?

Za oknem błysnęło jakieś światło; Will usłyszał dźwięk silnika. Pod drzwiami rozległy się czyjeś kroki. Will zebrał siły, spodziewając się podejrzeń, gniewu i wściekłości gospodarza.

Do kuchni wszedł mężczyzna dobrze po czterdziestce. Niewysoki, potężny, o pięknych prostych siwych włosach, niebieskoszarych oczach i wyrazistych rysach. Spostrzegłszy Willa, zapytał:

– Co ty znowu wyrabiasz, Philly? – W jego głosie było więcej rozbawienia niż gniewu. – Wyjechałem na parę godzin, a po powrocie zastaję w kuchni rannego człowieka.

– Uderzyłam go kijem do krykieta, tato.

– To coś nowego. Masz niezłe uderzenie, sądząc z tego, w jakim stanie jest ten nieszczęśnik.

– Chyba trzeba będzie założyć szwy – orzekła Philippa z promiennym uśmiechem. – Może przyniosę igłę?

Palce mężczyzny rozchyliły delikatnie włosy Willa.

– Nie trzeba, dziecko. Zrób mu lepiej herbaty, a ja zajmę się twoimi dokonaniami.

– Tato...

– Zaparz herbatę, Philippo. Dla mnie też. Leje jak z cebra.

– Bardzo przepraszam... – zaczął Will.

– To chyba ja powinienem przepraszać za to, że mam taką bojową córkę.

Will poczuł, że musi bronić Philippy.

– To moja wina. Byłem w stodole, a pańska córka myślała, że to lis.

– Rzeczywiście, nietrudno się pomylić. Zaraz zobaczymy... Zdaje się, że rana tylko wygląda tak fatalnie. Mogę pana zawieźć do lekarza do Lincoln, ale jeśli nie ma pan na to ochoty, spróbuję sam założyć opatrunek. Obiecuję, że obronię pana przed igłą, której tak chętnie użyłaby moja żądna krwi córka. Co pan na to?

– Proszę zaczynać.

– Świetnie. Poczekalnie w gabinetach lekarskich nie należą do najprzyjemniejszych miejsc, prawda? Nazywam się Harold Bellchamber. Poznałeś już moją córkę, Philippę.

– Will Brown – przedstawił się Will, używając pseudonimu, do którego już się przyzwyczał. Mężczyźni podali sobie dłonie.

– Gdy będziemy dezynfekować ranę, może trochę piec. Philippa zapewne zdradziła ci już swoje plany, Will? Postanowiła zostać lekarzem. Jej lalki zawsze były owinięte bandażami, a każdy kotek czy królik, który miał pecha i się skaleczył, był otaczany troskliwą opieką. Muszę jednak przyznać, że jestem z niej dumny. Choć byłbym z niej dumny niezależnie od tego, co by zrobiła. Na razie boryka się z łaciną. To okropne zajęcie, gdy ma się osiemnaście lat, ale podobno konieczne, jeśli się zamierza zostać lekarzem.

Phillipa wróciła, niosąc tacę.

– Opowiadałem naszemu gościowi o twoim zamiłowaniu do łaciny, dziecko – powiedział Harold.

– Łacina to tylko środek, który prowadzi do celu. – Dziewczyna się skrzywiła.

– Ja też byłem tego zdania – wtrącił Will. – Zwłaszcza wtedy, gdy musiałem uczyć łaciny.

– Uczył pan łaciny? – Philippa szeroko otworzyła oczy. – Wyraży współczucia.

Will umilkł przerażony. Nigdy nie mówił o swej przeszłości. Nigdy nie mówił o przeszłości Willa Chancellora. Will Chancellor już przecież nie istniał. Uderzenie w głowę albo miła atmosfera panująca w tej ciepłej kuchni rozwiązały mu język.

– Okropne zajęcie – ciągnęła Philippa ze współczuciem. – Dlaczego pan uczył łaciny? A nie czegoś przyjemnego, jak choćby chemia czy plastyka? Dlaczego pan...

– Philippo, kochanie... – przerwał jej Harold. – Zostaw tego biednego człowieka w spokoju. Zameńczysz go pytaniami. Moja córka jest szalenie dociekliwa. Ta cenna w niektórych sytuacjach cecha bywa szalenie męcząca. – Bellchamber cofnął się o krok. – Gotowe. Teraz wystarczy zjeść kolację i będziesz jak nowo narodzony.

– Nie mógłbym...

– Oczywiście, że mógłbyś. Zawsze gotujemy trochę więcej, na wypadek gdyby zjawił się jakiś niespodziewany gość. Ktoś musi nam pomóc to zjeść.

Po chwili Will siedział przy drewnianym stole z Haroldem i Philippą. Swobodna, pełna humoru rozmowa przeskakiwała z tematu na temat, w tle grało radio. Po kolacji Harold powiedział:

– Zdaje się, że zapasowe łóżko jest posłane, prawda, Philly?

Will, wiedząc, że nie zdoła wyjść na deszcz i wiatr, zaprotestował tylko symbolicznie. Wziął gorącą kąpiel, włożył miękką piżamę, która dziwnym trafem pojawiła się na łóżku, wtulił się w czyściutką pościel i zasnął. Śnił, że wrócił do domu.

Dom. Will nie potrafiłby już policzyć miejsc, w których mieszkał, od kiedy uciekł z Dorset. Pensjonaty w Londynie i w północnej Anglii, przyczepy i stodoły, wiejskie domki i przydrożne rowy. Żadne z tych miejsc nie było prawdziwym domem.

Trzy lata temu, siedząc w obskurnej kafejce nieopodal Paddington, otworzył gazetę i przeczytał artykuł o swej śmierci. Artykuł o zatonięciu „Katie Rose” i o losach pasażerów łodzi.

Wszyscy trzej mężczyźni zaginęli, najprawdopodobniej ponieśli śmierć. John Gamble i William Chancellor zostawili żony, Michael Gamble był kawalerem. Wielu mieszkańców miasta komentuje fakt, że ostatnimi czasy rybackie łodzie często natrafiają na podwodne miny. Maurice Chancellor, kuzyn Williama, powiedział: „Ten wypadek to nieoczekiwana tragedia. Będzie nam brakowało tych młodych mężczyzn”.

Will uwierzył wówczas, że jest wolny. Niezwykły zbieg okoliczności sprawił, że ziściło się jego marzenie o nowym życiu. Ścisnął w rękach gazetę, a serce biło mu mocno z podniecenia i z radości. Parę dni później w małym pubie na Baker Street kupił fałszywą książeczkę z przydziałowymi kuponami bez wpisanego nazwiska. Nie posiadając tego rodzaju książeczki, umarłby z głodu, a jego własne nazwisko stało się już bezużyteczne.

Znalazł pracę i jakieś lokum. Przez kilka tygodni czuł się dziwnie lekko. Czasem się zastanawiał, czy nie zgubił gdzieś kurtki albo portfela. Dopiero po chwili uświadamiał sobie, że owo poczucie lekkości wiąże się z tym, że pozbył się zmartwień. Że nie boi się już, iż obudzi się w środku nocy zlany zimnym potem, lękając się tego, co przyniesie kolejny dzień.

Na początku przepełniało go bez reszty uczucie ulgi. Trzymał się z dala od ludzi, nie zawierał żadnych znajomości. Przygnębiała go tylko myśl o

rodzicach. Wtedy przypominał sobie Ricka. Przecież udało mu się uchronić ich przed hańbą. Bo czyż rodzice, postawieni wobec takiej alternatywy, nie woleliby mieć tragicznie zmarłego uczciwego syna niż syna, który jest przestępcą?

Podczas pierwszej zimy z trudem wiązał koniec z końcem, choć miał się każdej pracy. Jeździł ciężarówką do Dover. Jego szefowie o nic nie pytali, nie żądali żadnych dokumentów. Will często nie dojeżdżał, jeszcze częściej marzył. Spotkał w tamtym okresie wielu różnych rozbitków życiowych, wynajmujących pokoje w nędznych pensjonatach: byłych żołnierzy, którzy nie potrafili wrócić do normalnego życia, wdowy próbujące wyżyć jakoś z mizernych rent.

Odrętwienie, które na początku stanowiło jego pancerz ochronny, po pewnym czasie minęło. Will odzyskał zdolność przeżywania emocji. Wciąż brakowało mu pieniędzy i ciągle niedomagał. Nagle poczuł się w Londynie jak w więzieniu, więc pojechał na północ. Znalazł pracę w Leeds, w sklepie spożywczym. Wynajął pokój w kamiennej willi, należącej do kobiety, która straciła narzeczonego podczas wojny. Wyjechał stamtąd latem, ponieważ gospodyni bardzo go polubiła i zaczęła zapraszać do saloniku, wypytywać o dom, rodzinę i przeszłość. Potem zatrudnił się na farmie, zagubionej gdzieś pośród brzozowych zagajników, przetykanych rwącymi strumieniami w Trough of Bowland. Dorabiał sobie, podejmując różne prace we wsi. Gdy tylko zauważał, że jakaś dziewczyna robi do niego słodkie oczy, znikał czym prędzej. Był przecież żonaty.

Ciągle zaczynał od nowa. Wówczas miał już pełną świadomość, że w jego nowym życiu istnieją rzeczy zakazane: że nigdy nie będzie mógł używać swego nazwiska, nie wyjedzie za granicę, do nikogo się nie zbliży. Intymność

więzała się przecież nierozzerwalnie ze szczerością. Samotność znosił tak ciężko, że często był bliski rozpacz. Za dużo pił, źle sypiał. Gdy wspomniał rodzinę, ogarniał go wielki żal. Wiedział, że stracił coś, czego w żaden sposób nie da się zrekompensować. Musiał w końcu uznać potworność swego postępu i wydawało mu się, że poza zewnętrzną powłoką, którą prezentuje światu, nic już w nim nie istnieje. Że jest pustą skorupą, pozbawioną nazwiska, bez historii, odciętą od ludzi. Will Chancellor naprawdę przestał istnieć.

Nic dziwnego, że tego rodzaju myśli doprowadziły go do konkluzji, iż równie dobrze może od razu umrzeć. Nikt przecież nie będzie za nim tęsknił, nikt go nie będzie opłakiwał.

Wynajął przyczepę nieopodał plaży w Bamburgh; kupił aspirynę i butelkę whisky. Ale tabletki stanęły mu w gardle i wszystko zwymiotował. Wyszedł więc na chwiejnych nogach, z butelką whisky w jednej i ze sznurem w drugiej ręce, by znaleźć jakąś gałąź, na której można by się powiesić. Na wydmach nie było jednak żadnych drzew, więc w końcu położył się na nadmorskiej trawie i zasnął. Sznur wyslizgnał mu się z bezwładnej dłoni, a ostatnie krople whisky wsiąkły w piasek.

Gdy się obudził nad ranem, głowa pękała mu z bólu, ubranie cuchnęło alkoholem i wymiocinami. Powlókł się przez wydmy w stronę brzegu. Gdy zanurzył się po pas, zatrzymał się, wiedząc, że musi podjąć decyzję. Mógł iść dalej i mógł wrócić. Zamknął oczy i poczuł oczyszczający zapach morskiej wody, a zimne fale obmyły mu skórę. Po chwili zawrócił do brzegu.

To był – całkiem dosłownie – punkt zwrotny. Tego dnia przestał pić i codziennie wieczorem wychodził na długi spacer, by uniknąć kłopotów z zasypianiem. Maszerując po jasnym piachu, myślał o minionych latach. Uświadomił sobie kilka prawd: że on sam i tylko on ponosi odpowiedzialność

za swe wykolejone życie; że za miłość i zaufanie rodziców odpłacił zdradą i nieuczciwością; że sam pozwolił, by Rick Hunter omotał go swoją siecią.

Myślał też o Julii i doszedł do wniosku, że pragnął jej po części dlatego, że kochał ją Jack. Wydawało mu się, że gdy zabierze ją bratu, stanie się choć trochę do niego podobny. Sądził, że żeniąc się z Julią, będzie wreszcie równy bratu. Ale się zawiódł. A na dodatek wciąż dręczyły go podejrzenia, że żona woli Jacka. Lęk i obawa odebrały mu resztki pewności siebie, nie zwierzył się Julii, gdy wpadł w tarapaty, interesował się wyłącznie własnymi problemami. Gdy zaoferowała mu pomoc, odtrącił jej wyciągniętą rękę. Jego najgorsze podejrzenia potwierdziły się w tej straszliwej chwili, w której ujrzał Julię w ramionach Jacka. Teraz jednak zastanawiał się, czy sam nie pchnął jej w ramiona brata.

Powoli zyskiwał właściwą perspektywę; uznał, że jest zdolny sobie wybaczyć. Lepiej sypiał, czuł się silniejszy, raz, może dwa poczuł coś na kształt zadowolenia. I nie miało to nic wspólnego z odrętwieniem i paraliżem emocjonalnym, w jaki popadł po ucieczce do Londynu: tym razem naprawdę odzyskiwał równowagę i szacunek do samego siebie. Wędrowne życie wiele go nauczyło, wzbudziło w nim stopniowo wiarę we własne siły. Will, którego kiedyś paraliżował strach, teraz rzadko czegoś się lękał. Czasami wydawało mu się, że jest naprawdę kimś całkiem innym niż mężczyzna, który w 1948 roku uciekł w nieznaną, by nie utonąć w morzu problemów.

Will pomagał w różnych pracach domowych i w ogrodzie; wieczorami zaś uczył Philippę znienawidzonej łaciny. Z rozbawieniem spoglądał na swoich gospodarzy, ojca i córkę. Philippa była niecierpliwa, energiczna, ciągle czymś zajęta; Harold zaś emanował spokojem. Kłócili się często acz bez zajadłości i nie o to, o co zazwyczaj spierają się ojcowie z nastoletnimi dziećmi – nie o

porę chodzenia spać czy też chłopców i makijaż. Harold zostawiał córce całkowitą wolność; Philippa natomiast w ogóle się nie malowała, chodziła w sztruksach i swetrach i gardziła chłopakami. Kłócili się o to, czy ludzie muszą jeść mięso, czy osiemnastoletnia młodzież powinna mieć prawo głosu, czy samochody doprowadzą wieś do ruiny.

Po dwóch tygodniach Will spakował plecak i ze zdziwieniem stwierdził, że jest nieszczęśliwy. A przecież wydawało mu się, że przywykł już do życia w drodze. Zastał Harolda w kuchni. Wygłosił przygotowaną zawczasu mowę, z której wynikało, że nie chciałby nadużywać jego gościnności i że jest bezgranicznie wdzięczny za życzliwość Bellchamberów. Harold wysłuchał go cierpliwie i powiedział:

– Wcale nie musisz wyjeżdżać.

Zaskoczony Will mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

– Dokąd się wybierasz?

– Jeszcze nie wiem.

– A co przedtem robiłeś?

Do tej pory Harold nie zadawał mu żadnych pytań.

– To i owo – odrzekł mgliście Will. – Dużo podróżowałem.

– Ja też to robiłem, gdy byłem młodszy. Miałem takie romantyczne wyobrażenia o życiu w drodze. Wydawało mi się, że w ten sposób poczuję się wolny.

Will przypomniał sobie, jak siedział w londyńskiej kafejce, czytając o wybuchu i zatonięciu „Katie Rose”. Wówczas, w całej swej naiwności, myślał, że jest wolny.

Słowa Harolda stanowiły echo jego własnych myśli.

– Tego rodzaju wolność zaczyna nużyć po pewnym czasie, nie sądzisz? Człowiek marzy w końcu, by gdzieś osiąść. Pamiętam, jak o tym śniłem po roku włóczęgi. O domu.

– Wtedy się tu wprowadziłeś? Harold pokręcił głową.

– Po ślubie mieszkałem w Manchesterze. Philippa urodziła się w trzydziestym trzecim. A ja w trzydziestym szóstym pojechałem do Hiszpanii walczyć z faszystami. To jeszcze jeden romantyczny poryw. – Harold napełnił fajkę tytoniem. – Kupiłem tę farmę po powrocie z Hiszpanii. Zgłosiłem się na ochotnika do armii, ale mnie nie chcieli.

– Z powodu stanu zdrowia? – zapytał Will ze współczuciem.

– Z powodu poglądów politycznych – wyjaśnił Harold. Przyłożył zapalną do cybucha. – Nie chcieli mnie ze względu na moją hiszpańską przeszłość. Przez pewien czas byłem członkiem partii komunistycznej, uznali więc, że będą ze mną kłopoty. – Zaczął pykać fajeczkę. – Od tamtej pory tu mieszkam. Żona ode mnie odeszła, gdy Philly miała dziesięć lat. Kobiety czasem mają dość romantycznych porywów. I wtedy zostaliśmy sami.

– Philippa podejrzewała, że jestem jednym z twoich bezdomnych.

– Tak? Sprytna bestia. Przez ten dom przewinęło się wielu gości. Przywykła do tego. Lubi towarzystwo.

Will przestąpił z nogi na nogę.

– Muszę wyjechać, Haroldzie.

– Naprawdę? – Gospodarz spojrział na niego badawczo. – Jesteś tego pewien?

– I tak zbyt długo nadużywałem twojej gościnności.

– Niczego nie nadużywałeś. Miło nam cię gościć. – Zmarszczył brwi. – Walczyłem podczas jednej wojny i zostałem uznany za nieprzydatnego

podczas drugiej. Tego rodzaju doświadczenia zmuszają do namysłu, który sprawia, że człowiek się zmienia. Zaczyna rozumieć, że rzeczywistość nie jest czarno–biała. Nie masz dokąd pójść, prawda? Gdybyś miał, dawno by się tu nie było.

Serce Willa zaczęło bić szybciej.

– Nie ma się czego bać – uspokoił go Harold. – Nie zamierzam cię o nic wypytywać. Cokolwiek zrobiłeś, kimkolwiek jesteś, to tylko twoja sprawa. Nic mi do tego.

– Nie mam nic do ukrycia... – zaczął Will i zaczerwienił się, czując, że nienawidzi siebie samego.

Zapadła cisza.

– Mówiłem ci już, że przez ten dom przewinęło się wielu ludzi. Część z nich poznałem, gdy sam prowadziłem tułaczy żywot. Inni stracili dach nad głową w czasie wojny i nie zdołali znaleźć nic innego. Jeden z nich był dezerterem. Jeszcze inny uciekał przed służbą wojskową.

Harold przerwał i zapalił kolejną zapałkę. Will nie spuszczał go z oczu. Czuł się, jak gdyby stąpał po linii zawieszanej wysoko nad ziemią.

– Nie każdy nadaje się do wojskowego życia – ciągnął Harold. –I ja to rozumiem. W Hiszpanii przekonałem się, że walka wcale nie jest znakiem męskości. Walka wyzwala najgorsze, a nie najlepsze strony człowieka.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – szepnął Will.

– Że ja nie będę pytał, a ty nie będziesz kłamał. I że możesz zamieszkać w starym wagonie kolejowym, jeśli chcesz. Stoi na uboczu, może dobrze się tam poczujesz. I że przyda mi się ktoś, kto zna łacinę.

– Łacinę? – Will nie bardzo rozumiał.

– Prowadzę kursy wieczorowe w Lincoln. Od czasu do czasu ktoś pyta o łacinę. Dziwne, prawda?

Will zaniemówił.

– I co ty na to? Mam ci pokazać wagon, żebyś mógł podjąć decyzję? Wezmę latarkę, żebyś dokładnie sobie obejrzał wilgoć i rdzę. Co powiesz, Will?

Will w końcu odzyskał głos.

– Zgoda – odrzekł.

RRS

CZEŚĆ CZWARTA
Długa droga do domu
1952–1953

16

Usługi cateringowe Topaz cieszyły się coraz większym powodzeniem. Przygotowywała kolacje, szwedzkie stoły i przyjęcia okolicznościowe, wynajmując kelnerki i pomoc kuchenną w razie potrzeby. Dzięki zamożnym przyjaciółom Charliego pozyskiwała coraz to nowych klientów. Topaz uwielbiała tę pracę. Każdy wieczór miał w pewnym sensie wymiar przedstawienia teatralnego. Spotykała ludzi, których chciała spotykać, i robiła to, co lubiła najbardziej.

Na początku 1952 roku zaczęła u niej pracować Helena, która właśnie wróciła do Londynu. Helena postanowiła rzucić teatr, bo ten tryb życia przestał jej odpowiadać. Woląca bardziej stabilne i przewidywalne zajęcie, a poza tym zawsze lubiła gotować. Topaz nie poradziłaby sobie bez niej i Jerry'ego, który często woził je do domów, gdzie organizowały przyjęcia.

Wiosną Helena i Jerry wzięli ślub. Topaz dowiedziała się od przyjaciółki, że lepiej zadowolić się tym, co można mieć. Siedziały w ogródku na tyłach mieszkania Topaz, nad butelką wina. Dowiedziała się także, że Jerry jest uroczy i miły, a Helena rozkoszuje się tym, że w końcu stała się obiektem uwielbienia.

Topaz jako jedyna z kręgu dawnych przyjaciół z kawiarni przy Leicester Square pojawiła się na ślubie cywilnym. Wszyscy stracili kontakt z Miszą i Claudette, a Francesca nie mogła przyjechać, ponieważ właśnie urodziła drugie dziecko. Charlie natomiast był w Ameryce. On także się ożenił. Uroczystość odbyła się na początku roku, tuż po rozwodzie Jennifer z Brianem. Topaz przyjęła tę nowinę z pewną goryczą. „Nie znoszę zobowiązań... wtedy przestaje być tak miło”, powiedział kiedyś Charlie.

No cóż, pomyślała, szybko zacząłeś inaczej ćwierkać, Charlie.

Latem Topaz wyjechała na południe Francji, do kuzynki Angelique. Zakochała się w prowansalskich pejzażach, w leniwej atmosferze wsi i powietrzu przesyconym zapachem tymianku i lawendy. We wrześniu po raz pierwszy odwiedziła Włochy, zatrzymała się na kilka dni we Florencji, a potem wyruszyła do Umbrii. Zamieszkała w willi nieopodal Asyżu, by nauczyć się przyrządzać pasztety z dziczyzny i różne rodzaje makaronów. Właścicielka willi była znajomą Mary Hetherington, której mąż pracował w ambasadzie brytyjskiej w Rzymie.

Utrzymywała regularne kontakty z Temperleyami. Marius wrócił do pracy w Great Missen, a Julia przeniosła się do Londynu, by prowadzić biuro handlowe i warsztaty, w których produkowano obudowy do odbiorników. Dzięki temu Marius mógł spędzać więcej czasu z Tarą, a Julia rozpoczęła nowe życie w mieście. Firma Temperleyów prosperowała znakomicie, choć Topaz nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Marius raczej wegetuje, niż korzysta z okresu prosperity. Mniej więcej raz w miesiącu spędzali razem wieczór. Oboje udawali, że Marius wciąż pomaga jej prowadzić księgowość, choć Topaz szybko odkryła, że rachunki w tak niewielkiej firmie są dość proste. Potrzebowali jednak jakiegoś pretekstu, by się widywać, choć nie wiedziała, dlaczego. Dzięki tym spotkaniom mogła wciąż czuwać nad Mariusem i mieć pewność, że u niego wszystko w porządku. Wydawało jej się, że on przyjeżdża z przyzwyczajenia, a także dlatego, że po zniknięciu Willa, po śmierci Suzanne, powrocie Jacka do Kanady i przeprowadzce Julii trudno mu poradzić sobie z faktem, że wszyscy przyjaciele i krewni żyją w rozproszeniu.

Czasami Topaz przypominała sobie, jak się czuła, mając siedemnaście lat: jak bardzo pragnęła stać się częścią czegokolwiek –rodziny, paczki

przyjaciół, pary. Teraz jej notes pękał w szwach. Gdyby tylko zechciała, mogłaby wychodzić co wieczór. Gdy wstępowała do jakiegoś klubu czy restauracji, zawsze ktoś ją wołał i zapraszał, by usiadła przy jego stoliku. Wszyscy przyjaciele byli jednak tylko przyjaciółmi, bo Topaz nie miała czasu się zakochać. Czasami, zwłaszcza nocą, zastanawiała się jednak, czy ten pękaty notes z adresami naprawdę chroni ją przed dobrze znanym poczuciem braku przynależności.

– Ciociu, czy mogę rozbić skorupki? – zapytała Tara. – Tak bardzo lubię je rozbijać.

Topaz wrzuciła ugotowane na twardo jajka do sitka i wstawiła pod zimną wodę.

– To się robi w ten sposób. – Postukała skorupkę łyżką.

– Popękają – uprzedził ją Marius.

– To ozdobię je majonezem albo zrobię roladki jajeczne. Nigdy nie wiem, co zrobić z gotowanymi jajkami. Zwłaszcza na szwedzkim stole. Ale Lydia specjalnie o nie prosiła.

Był koniec listopada. Topaz przygotowywała przyjęcie dla przyjaciółki Mary Hetherington, Lydii Prescott. Lydia mieszkała w Bloomsbury, a ponieważ Jerry zachorował na gripę, Topaz skorzystała z tego, że Marius przyjechał do Londynu w interesach, i przyjęła propozycję, że ją podwiezie.

Rozejrzała się szybko po kuchni.

– Chyba wszystko gotowe. Jak to miło, Marius, że zechciałeś mi pomóc.

– Owinęła wędzonego indyka w pergamin i sprawdziła, czy pudełka z sałatkami są dobrze zamknięte. Zmarszczyła brwi. –Która godzina?

– Dochodzi szósta.

– Wielkie nieba! A ja jeszcze się nie przebrałam...

– To się przebierz, a ja tymczasem zapakuję wszystko do samochodu.

– Dziękuję ci, Marius.

Pocałowała go w policzek i pobiegła do sypialni, by zajrzeć do szafy. Zawsze ładnie się ubierała, gdy przygotowywała przyjęcie. Dawno temu uznała, że nie powinna się pojawiać w spodniach i poplamionym fartuchu, zdażyła więc już zgromadzić sporą kolekcję sukienek koktajlowych, które kupowała w niewielkim sklepiku na Brompton Road.

Wybrała czerwoną, aksamitną i upięła włosy. Potem zajęła się swoją twarzą: namalowała cieniutką, ciemną kreskę wzdłuż górnej wargi i musnęła usta czerwoną szminką, w tym samym odcieniu, co sukienka. Jak zwykle była pełna podniecenia i oczekiwań. Jakby to miało być jej własne przyjęcie. Przypięła złote kolczyki, skropiła się perfumami i jeszcze raz zerknęła do lustra.

– Może być – oceniła i wyszła z sypialni.

Marius podniósł oczy, gdy weszła do kuchni. Spostrzegła, że jego źrenice nieco się rozszerzyły. Ujęła spódnice i zakreśliła się wokół własnej osi.

– Podoba ci się?

– Wyglądasz olśniewająco. Jesteś gotowa? Topaz zerknęła na swą listę.

– Indyk... cielecina... sałatki... pikle... Chyba tak.

Gdy dotarli do Bloomsbury, Marius wyładował wszystkie pudła i zaniósł je do kuchni.

– To chyba wszystko. O której kończysz?

– Mam nadzieję, że koło dziewiątej.

– Zadzwoń, jeśli będziesz miała ochotę. Moglibyśmy pójść na drinka.

Przez pół godziny Topaz kroїła wędzonego indyka i przyprawiała sałatki. O szóstej trzydzieści zjawily się kelnerki, a o siódmej – goście. Topaz znała od

lat większość zaproszonych. Uległa więc namowom gospodyni i gdy tylko wszystkie potrawy znalazły się na stole, wyszła z kuchni. Mąż Lydii podał jej drinka, a Mary Hetherington natychmiast do niej pomachała z drugiego końca pokoju. Jakiś młody człowiek zaproponował, że napelni jej talerz, Topaz jednak pokręciła głową i oświadczyła:

– Bardzo dziękuję, ale obawiam się, że zrobi mi się niedobrze, gdy tylko popatrzę na jedzenie.

– To pani dzieło, prawda? Lydia mi mówiła. Dlatego postanowiłem, że muszę się pani przedstawić. Między innymi dlatego. Wyśmienity bufet. Ja nie potrafię nawet ugotować jajka.

– Szczerze mówiąc, to wcale nie jest łatwe. Wszystkim się wydaje, że nie ma nic prostszego od gotowania jajek, a to nieprawda. – Topaz przyglądała się nieznajomemu, sącząc swój gin z tonikiem. Miał dwadzieścia parę lat, był wysokim blondynem o niebieskich oczach.

– Czuję wielki podziw dla ludzi, którzy potrafią robić coś praktycznego. Sam jestem w tym beznadziejny.

– A czym się pan zajmuje?

– Och, mam do czynienia z liczbami. – Mężczyzna wyciągnął do niej dłoń. – Nazywam się Christopher Catchpole. A pani Topaz Brooke, prawda? Mary mi to zdradziła. Czy na pewno nie mógłbym pani czymś służyć?

– Z przyjemnością wypiję jeszcze jednego drinka.

Christopher Catchpole zniknął w tłumie. Obok Topaz pojawiła się natomiast Mary Hetherington.

– Jest nieprzyzwoicie bogaty – szepnęła. – To makler. Podobno zrobił zawrotną karierę, choć ma dopiero dwadzieścia siedem lat. Strasznie chciał cię poznać. – Mary spojrzała na przyjaciółkę znacząco. – Co o nim myślisz?

– Rewelacja – odrzekła swobodnie. – Przystojny, bogaty... nie wygląda na mordercę ani na człowieka o innych odpychających obyczajach.

Pod koniec przyjęcia, gdy Topaz sprzątała kuchnię, Mary znów ją zagadnęła:

– No i co?

– Zapytał, czy nie mam ochoty wybrać się do nocnego klubu, ale odmówiłam. – Topaz wzruszyła ramionami.

– Ależ Topaz! – Mary westchnęła. Przechyliła się przez stół. – Zapewne widziałas artykuł w „Picturegoer”?

Helena pokazała jej ten magazyn parę dni temu. Charlie i Jennifer wydali przyjęcie w swym domu w Beverly Hills. Fotografie były nieostre i znajoma, przystojna twarz Charliego straciła swój wyraz.

– Setki gości – powiedziała Topaz. – Wyobrażam sobie catering. *Vol-au-vent* i inne atrakcje.

– Zauważyłaś – zapytała Mary zgryźliwie – że zamieścili więcej zdjęć gości niż Charliego i Jen? Tak się to kończy, moja droga, gdy goście są sławniejsi niż gospodarze.

Topaz umieszczała pudełka jedno w drugim jak rosyjskie baby.

– To nie ma nic wspólnego z Charliem.

– No więc dlaczego? Znam mnóstwo facetów zakochanych w tobie do szaleństwa, a ty nawet nie chcesz na nich spojrzeć.

– To nieprawda. Spotykam się z różnymi mężczyznami.

– Raz, czasem dwa. A gdy tylko wykazują jakieś poważniejsze zamiary, z wielkim taktem się ich pozbywasz. Wiem o tym, kochanie, bo wyplakują się na moim ramieniu. Zaczęłam nawet podejrzewać, że masz jakiegoś tajemniczego wielbiciela, którego nie chcesz nikomu pokazać. To nieładnie.

– Nie mam nikogo – zaprzeczyła Topaz.

Rzeczywiście, nie miała nikogo od czasu Charliego.

– Musisz spróbować – upierała się Mary. – Musisz się postarać.

– Próbuję. – Topaz spakowała przybory kuchenne do torby. –I sama nie wiem, czemu nic nie wychodzi. Oni są nawet mili, ale... – Umilkła. Naprawdę nie rozumiała, dlaczego nie interesują jej młodzi mężczyźni, którzy zwracali na nią uwagę, i dlaczego nie zakochała się od czasu historii z Charliem. Nie chodziło przecież o to, że nie chciała. Pamiętała, że miłość bardzo dobrze robi kobiecie. –Zdaje się, że jestem zbyt zajęta. Pracą i matką.

– Jak ona się czuje? – zagadnęła Mary ze współczuciem.

Topaz zwierzyła się tylko dwóm osobom, Mary i Helenie, z problemów z pijącą Veronicą. Nie powiedziała ani słowa nikomu innemu: ani Julii, ani Mariusowi. Nie bardzo wiedziała, dlaczego. Nie mogła się wyzbyć przekonania, iż fakt, że matka zaczyna i kończy każdy dzień alkoholem, nie wypuszczając kieliszka z ręki, w jakiś sposób świadczy także o niej. Może jeszcze dlatego, że nie chciała, by zbyt wiele osób wiedziało o tym, że coś – alkohol, zgorzknienie albo tylko upływ czasu – odarło Veronicę Brooke z urody, którą zawsze uważała za oczywistość. Że matka, pozbawiona przyjaciół i jakiegokolwiek zajęcia, nie wiedziała, co z sobą począć. Jałowość życia Veroniki martwiła Topaz tak bardzo, że zawsze podporządkowywała się bełkotliwym żądaniom matki, pragnącej jakiegoś towarzystwa późno wieczorem.

– Mama nie czuje się najlepiej – powiedziała. – Nie znosi zimy. Nie cierpi zimna i mgły. Wychowała się w Indiach.

– Znam świetnego lekarza z Harley Street – podsunęła Mary. –Ma prywatną klinikę gdzieś na wsi.

– Spróbuję jej o tym napomknąć. – Topaz wiedziała doskonale, że tego nie zrobi. Wydawało jej się, że już słyszy ostry głos matki: „Nie zamkniesz mnie w żadnym domu wariatów, Topaz”.

Pożegnała się z Mary i pobiegła do domu. Postanowiła, że weźmie gorącą kąpiel i zadzwoni do Mariusa. Gdy tylko weszła do wanny, zadzwonił telefon. Owinęła się ręcznikiem i podniosła słuchawkę, spodziewając się, że to Marius. Ale w słuchawce rozległ się kobiecy głos niejakiej pani Foley, sąsiadki Veroniki. Pani Foley wyjaśniła, że matka zgubiła klucz do mieszkania. Po taktownej pauzie dodała:

– I zdaje się, że jest w nie najlepszej formie, moja droga.

Topaz czym prędzej naciągnęła spódnicę i sweter i wskoczyła do autobusu, jadącego do Bayswater. Matka siedziała na sofie w salonie pani Foley, szukając klucza w torebce, z której wyrzuciła już całą zawartość. Po podłodze turlały się szminki i tabletki, wysypane z pudełek. Veronica miała na głowie przekrzywiony kapelusz ozdobiony piórkami.

Topaz wrzuciła wszystko z powrotem do torebki i sprowadziła matkę na dół.

– Ależ ja nie mogę chodzić – narzekała Veronica, masując nogę w kostce. – Potknęłam się. To przez ten okropny chodnik na półpiętrze.

Potem kuśtykała, opierając się całym ciężarem na ramieniu córki i wpijając jej paznokcie w skórę. Gdy Topaz otworzyła drzwi, matka powiedziała ze złością:

– Basil obiecał, że mnie odprowadzi do domu.

– Basil?

– No wiesz. Ten major.

W życiu Veroniki było wielu majorów i pułkowników. Topaz straciła rachubę, zwłaszcza że wszyscy wyglądali tak samo.

Pomogła matce usiąść na krześle.

– Oczywiście, nie jest prawdziwym majorem. – Pani Brooke zaśmiała się pogardliwie. – Pewnie tylko zwykłym podoficerem w jakimś malutkim oddzialiku. Już ja się na tym znam. Nie ma właściwego stylu. Nie wspominając już o manierach...

Topaz zdjęła matce pantofle.

– To dlaczego z nim się spotykasz?

– Ostatnimi czasy nie ma żadnego wyboru. Zostało tak niewielu dżentelmenów.

– Wygląda na to, że kostka jest w porządku.

– Okropnie boli. – Veronica usiłowała się uśmiechnąć. – Musisz mi zrobić drinka, Topaz. Martini. Ty świetnie przyrządzasz martini.

– Przyniosę wody, żebyś mogła wymoczyć stopę.

Gdy Topaz wróciła z miską pełną wody, Veronica zapytała posępnie:

– Może powinnam jeszcze raz wyjść za mąż? – Na jej twarzy pojawiły się zmarszczki, zdradzające gorycz i rozczarowanie.

– To dlaczego nie wyszłaś? – zainteresowała się Topaz. W szafirowych oczach matki pojawiło się zdziwienie.

– Zdaje się, że żaden się do tego nie palił. A poza tym, nie sędzę, bym zdołała to jeszcze raz wytrzymać.

– Co takiego, mamó?

– Sprawy łóżkowe. Seks. – Veronica skrzywiła się z niesmakiem. – Oczywiście, mogłoby być całkiem inaczej...

– Co mogłoby być całkiem inaczej?

– Byłam już prawie zaręczona.

– Zanim poznałaś tatę?

– Mhm. – Zapaliła papierosa. – Podczas pierwszego sezonu miałam aż dziesięciu konkurentów. Pół regimentu się we mnie kochało. Był ktoś... Nic z tego nie wyszło. Miał niewłaściwe pochodzenie. A przecież liczą się zarówno maniery, jak i pieniądze, prawda? – Zaciągnęła się dymem i zmrużyła oczy. – Zawsze się jednak zastanawiałam...

– Nad czym, mamó?

– Czy byłabym szczęśliwsza.

Zapadła cisza.

– Może nie – mruknęła Veronica. – Pewnie nie byłoby żadnej różnicy. Wszystkie koty są czarne w ciemnościach, prawda?

– Zrobię ci coś do jedzenia, a potem sobie pójdę. Wybieram się do pubu z Mariusem.

– Z tym chłopcem Temperleyów?

Topaz przytaknęła.

– Czy on się ożenił powtórnie?

– Oczywiście, że nie.

– Ludzie to robią drugi raz. Tylko ja nie. Bo byłam zbyt lojalna wobec Thomasa.

– Przygotuję ci kanapkę – powiedziała Topaz i przeszła do kuchni. Wybiła już prawie dziesiątą. Śpieszyła się, krojąc chleb i smarując kromki masłem.

Wtedy usłyszała, jak matka mówi w zamyśleniu:

– Mogłaś trafić gorzej.

– Słucham?

– Mówię o Mariusie Temperleyu. Mogłaś trafić gorzej. Oni mają przynajmniej mnóstwo pieniędzy.

Topaz wróciła do salonu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie bądź naiwna, Topaz. – Veronica pstryknęła zapalniczką. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zastawiła sieci na Mariusa Temperleya. Gdybym była parę lat młodsza...

„Zastawiła sieci...”?

– Marius jest tylko moim przyjacielem.

– Jeśli tak uważasz, to jesteś głupsza, niż sądziłam. Mężczyźni nie przyjaźnią się z kobietami. On jest od ciebie starszy, ale to nie szkodzi. No i pochodzi z zamożnej rodziny. Nie wyobrażasz sobie chyba, że nie musisz myśleć o pieniądzach, moja droga. Ten okropny socjalistyczny rząd wykończył moje oszczędności, więc nie możesz się spodziewać okazałego spadku. Wprawdzie Temperleyowie zajmują się interesami, ale w tych czasach nie należy za bardzo grymasić. – Veronica się zaśmiała. – Nie patrz na mnie z takim oburzeniem. Nie powiesz mi chyba, że o tym nie myślałaś, bo i tak ci nie uwierzę. – Podniosła się, podeszła do barku i naląła sobie drinka. – Na twoim miejscu nie odkładałabym tego w nieskończoność. Nie ty jedna chcesz go złowić. Wiem, wydaje ci się, że na razie jest bolejącym nad swą stratą wdowcem, ale nie sądzę, by długo wytrzymał w pustym łóżku. Mężczyźni źle to znoszą. – Znowu się zaśmiała. – Oczywiście mogłabyś zrobić tak samo, jak ta kokota, z którą się ożenił. Wystarczy zaciągnąć go do łóżka i zadbać o to, by dzidzius szybko był w drodze. To honorowy facet, prawda? Natychmiast się z tobą ożeni.

Topaz poczuła, że dłużej nie może zostać w jednym pomieszczeniu z matką. Poszła do kuchni i tłumiąc gniew, tarła ser i kroїła pomidory. Potem postawiła talerz na stoliku w salonie i mruknęła:

– Muszę już iść.

Chwyciła płaszcz i wybiegła. W drodze do domu dźwięczały jej w uszach słowa matki: „Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zastawiła sieci na Mariusa Temperleya... Nie mów, że o tym nie myślałaś... ”.

Nie myślała. Naprawdę nie myślała. Marius był dla niej od niepamiętnych czasów tylko najstarszym i najdroższym przyjacielem. Kochała się w nim oczywiście, kiedy miała siedemnaście lat. Gdy zaraz po wojnie wróciła do Dorset, była prawie dorosła i po raz pierwszy poczuła się równa Mariusowi. Wciąż pamiętała wir uczuć, który ją ogarnął podczas tamtego gorzko-słodkiego tygodnia. Gdy rozmawiała z Mariusem w gabinecie w Missencourt, mgliste wspomnienia z dzieciństwa zatarły się jeszcze bardziej. Czuła się tak, jakby spotkała go po raz pierwszy w życiu. Bo jakże by mogła nie zauważyć wcześniej błękitu jego oczu, jego uśmiechu i siły?

Był dla niej taki miły, gdy rozbiła butelkę z ginem podczas przyjęcia na cześć Jacka. Pamiętała rozmowę w szkolnym ogrodzie, podczas której zaproponował wspólne wyjście do kina. Coś się w niej wówczas zmieniło: zaczęła widzieć się w innym świetle, jako kogoś, kto zasługuje na szacunek i sympatię, a może nawet na miłość. Jeśli Marius ją polubił, jeśli Marius uważał, że jest – do dziś pamiętała te słowa – uosobieniem spokoju, to chyba nie jest z nią tak źle.

Pamiętała do dziś, że poczucie szczęścia, które miała wówczas, pomogło jej znieść krytykę matki oraz niezbyt przyjemną wizytę u Carrie Chancellor. Pamiętała także, jak zmarkotniała, gdy Marius zadzwonił, by jej powiedzieć, że

musi zostać w Londynie i nie pójdą razem do kina. Parę dni później okazało się, że jest już żonaty i ma córkę, której istnienia nikt nie podejrzewał.

Gdy wyjeżdżała z Dorset pod koniec tygodnia, czekała na niego przed stacją. Nie mogła znieść myśli, że wyjedzie bez pożegnania z Mariusem. Serce zabiło jej mocniej, kiedy spostrzegła jego samochód, sunący w strugach deszczu. Przypomniała sobie, że pomimo chaosu, który zapanował nagle w jego życiu, Marius zadał sobie tyle trudu, by w kiepsko zaopatrzonych londyńskich sklepach znaleźć dla niej tabliczkę czekolady. Żeby nie musiała już więcej całować pułkowników.

To jego imię wypisała na zamglonym oddechem szkle, to jego bilecik ukryła jak skarb. Do dziś zachowała ten skrawek papieru. Dlaczego? Jako pamiątkę niezbyt udanych wakacji czy też z jakiegoś innego powodu, do którego nie chciała się przyznać sama przed sobą?

Niewiele brakowało, a przegapiłaby stację, ledwo zdążyła wysiąść, nim zamknęły się drzwi. Jadąc windą, wsunęła ręce do kieszeni i zapatrzyła się na plakaty. Reklamy przedstawień teatralnych i środków na przeziębienie nie zdołały jednak zwrócić jej uwagi. Marius jako jedyny spośród Temperleyów i Chancellorów przez cały czas utrzymywał z nią kontakt. Najpierw pokłócili się o Petera de Courcy; potem ona udzielała mu rad, gdy Suzanne wyznała prawdę na temat pochodzenia Tary. Ale to nie tylko opiekuńczość Mariusa sprawiła, że po śmierci Suzanne czuła potrzebę, by jakoś go wesprzeć i pocieszyć. Rozgniewała się, gdy Charlie ożenił się z Jennifer, zdradzając własne zasady, lecz w gruncie rzeczy nie miało to dla niej wielkiego znaczenia, ponieważ Marius już dawno temu zajął miejsce Charliego w jej sercu. Dziś zaś nie chciała pójść na randkę z przemiłym i jakże chętnym Christopherem Catchpole'em, ponieważ Marius był w Londynie i czekał na jej telefon.

Czy budził w niej pożądanie? Bo przecież na tym polega różnica między przyjaźnią a miłością. Czy chciała, jak to jej matka określiła, zaciągnąć go do łóżka?

Wchodząc na swoją klatkę schodową, Topaz zatrzymała się na chwilę, oparta o ścianę. Lampa oświetlała wózek, dziecięcy rowerek i kilka malutkich kaloszy.

Oczywiście, że budził w niej pożądanie. Oczywiście, że chciała pójść z nim do łóżka. Pragnęła jednak znacznie więcej. Jej spojrzenie zatrzymało się na wózku. Topaz pragnęła mieć dzieci. Wiedziała jednak, że marzenie o założeniu upragnionej rodziny z Mariu–sem Temperleyem nie może się ziścić.

Weszła po schodach i otworzyła drzwi do mieszkania. Przechodząc koło telefonu, musnęła palcami słuchawkę. Potem opuściła rękę i usiadła bez ruchu, w płaszczu i kapeluszu, wpatrzona w ciemność.

Rick Hunter uświadomił Julii, że żyje zawieszona w próżni, nie będąc ani żoną, ani wdową. Na początku owa dwuznaczność ją złościła. Z czasem przyzwyczała się jednak do takiej sytuacji i ją zaakceptowała; przede wszystkim dlatego, że nie bardzo miała ochotę na powtórne zamążpójście. Pamiętając o doświadczeniach pierwszego małżeństwa, doszła do wniosku, że nie nadaje się na żonę. Nie potrafiła się odnaleźć w roli kury domowej, w roli satelity krążącego wokół domu i rodziny. Wypełniała macierzyńskie obowiązki wobec Williama tylko dlatego, że szaleńczo i obsesyjnie go kochała. Chłopiec zaczął niedawno chodzić do przedszkola, a ona każdego ranka z westchnieniem ulgi oddawała go nauczycielce. Doszła do wniosku, że to musi mieć coś wspólnego z jej niechęcią do rozpraszania się. Nikomu jednak nie wspomniała o swym przypuszczeniu, lękając się, że zostanie uznana za szaloną. Czuła, że

potrzeby innych ludzi ją pożerają, i że w pewien sposób zagrażają jej integralności. William to wyjątek, ale też był przecież częścią jej samej.

Wyjechała do Londynu, ponieważ pragnęła uciec zarówno przed Chancellorami, jak przed własną rodziną. Uznała, że spędziła dwadzieścia siedem lat w klaustrofobicznej atmosferze. Z dala od wszystkiego, co znała już zbyt dobrze, odetchnęła pełną piersią. Zaczęła odkrywać swoje upodobania i charakter, zupełnie jakby poznawała jakąś obcą osobę. Niektóre z tych odkryć sprawiły jej niespodziankę: wolała jazz od muzyki klasycznej, którą uwielbiał jej ojciec, pomalowała swoje mieszkanie farbami w jaskrawych kolorach. Nie stroniła od modnych abstrakcyjnych wzorów, unikała zaś pastelowych odcieni z Missencourt.

Inne spostrzeżenia utwierdziły ją w przekonaniu, że jest indywidualistką i potrzebuje przestrzeni, czasu oraz swobody, by w spokoju decydować o własnym losie. Odkryła też, że źle się czuje ze swą urodą; zawsze zresztą traktowała własny wygląd jak broń obosieczną, coś, co sprawiało, że mężczyźni jej pożąдали i chcieli uczynić ją swą własnością. Julia wolałaby wyglądać bardziej przeciętnie, ponieważ niepowszednia uroda odbierała jej intymność. Męskie spojrzenia śledziły ją nieustannie, gdy tylko wchodziła do pokoju; obcy ludzie ją zagadywali, podziwiając symetrię rysów twarzy i wrodzony wdzięk.

W ciągu minionych osiemnastu miesięcy często rozmyślała o Willu. Po tamtej okropnej rozmowie z Rickiem nie mogła się otrząsnąć z szoku i gniewu. Czowała zresztą coś więcej niż gniew; na myśl, że Will mógł opuścić ją z premedytacją, że mógł rozmyślnie spowodować tyle bólu, Julię ogarniała istna furia. Powodowana wściekłością, pojechała nawet do Hidcote Cottage i do warsztatu (oba te miejsca były opuszczone i zrujnowane) i spenetrowała

wszystkie kąty w poszukiwaniu zaginionego obrazu Ricka Huntera. Nic jednak nie znalazła. Wściekłość skłoniła Julię do jeszcze jednej konfrontacji z Hunterem. W salonie swego nadmorskiego domu (zmieniające się światło igrało na tonącej w błękitach i zieleniach ścianie, której dekorację sama wybrała) Rick ani na jotę nie zmienił, przedstawionej wcześniej wersji wydarzeń. Will pracował dla niego; jego zdaniem Will żyje.

Pożądanie, które Julia spostrzegła w oczach Huntera, wytrąciło ją z równowagi. Gdy ruszyła ku wyjściu, Rick podjął jeszcze jedną próbę. Jeszcze raz wyznał jej miłość. „Pomyśl tylko, co mogę ci ofiarować, Julio”. Wtedy, po raz pierwszy w życiu, uświadomiła sobie, że jej uroda jest też niebezpieczną bronią, i znów dała mu kosza, tym razem krótko i brutalnie. Gdy patrzyła, jak cierpi, powiedziała do siebie z triumfem: To za ciebie, Will, bez względu na to, gdzie jesteś. Żeby choć trochę wyrównać rachunki.

W jakiś czas później wyjechała z Dorset do Londynu. Pragnęła znaleźć się jak najdalej od Ricka Huntera i jego domu nad morzem; chciała zacząć wszystko od nowa. Na początku miasto wydało się jej męczące, szokujące, ale i pełne życia. Szybko je jednak pokochała. Czasami budziła się w środku nocy, stawała przy oknie w łazience i patrzyła na latarnie i reflektory, na samochody i ciężarówki, które nawet o świcie jechały gęstym sznurem. Uwielbiała tempo miejskiego życia i ciągłe zmiany, świadomość, że nigdy się nie znudzi. Lubiła swoje mieszkanie na Fulham, z oknami wykuszowymi i lśniącymi parkietami. Znalazła sprzątaczkę, która utrzymywała sześć pokoi w porządku, jakiego Julia sama nie byłaby w stanie zaprowadzić. Zatrudniła nianię, Mitzi, aby zajmowała się Williamem popołudniami. Mitzi była niemiecką Żydówką, udało jej się uciec do Anglii tuż przed wybuchem wojny. Cała reszta jej bliskich została na kontynencie i zginęła w gettach i obozach kon-

centracyjnych. Mitzi uwielbiała Williama. Julia sądziła, że niania traktuje małego jak namiastkę utraconej rodziny.

Z dala od rodzinnego domu optymizm Julii pojawiał się i znikał, w zależności od nastroju, okoliczności, a nawet pogody. Czasami uważała, że jest idiotką, dopuszczając możliwość, że Will wciąż żyje. Rick Hunter kłamał, ponieważ chciał ją zranić za to, że odtrąciła jego zaloty.

A może Rick po prostu się mylił. Może Will razem ze skradzionym malowidłem został rozszarpany na kawałeczki podczas wybuchu miny, na którą natrafiła łódź Gamble'ów. Will zginął w 1948 roku jako późna, przypadkowa ofiara wojny. A nawet jeśli żyje, to przecież może nigdy nie wrócić do domu. Od jego zniknięcia upłynęły cztery lata. Niewykluczone, że Julia nigdy się nie dowie, co naprawdę się z nim stało.

Czasami natłok możliwych rozwiązań doprowadzał ją do bólu głowy. Nie ustawała w wysiłkach, by odkryć prawdę. Wynajęła prywatnego detektywa, zamieszczała w „Timesie” ogłoszenia, które Will i tylko on mógł zrozumieć. Na ogłoszenia nikt nie odpowiedział, a prywatny detektyw nie znalazł żadnego tropu. Jeśli Will nie zginął na „Katie Rose”, to w każdym razie bardzo dobrze się ukrył. Jeśli Will żyje – jeśli, jeśli – to wróci do domu dopiero wtedy, gdy sam tego zechce.

Czasami niepewność była źródłem goryczy. Czasami Julii wydawało się, że wolałaby wiedzieć, że on nie żyje. A potem przypominała sobie śmierć ojca, Suzanne, rodziny Mitzi i rozumiała, że wszystko jest lepsze niż całkowita utrata nadziei. Łut szczęścia sprawił, że ona miała nadzieję, nawet jeśli to była bardzo krucha i niepewna nadzieja. Wiedziała, że Prudence także wierzy skrycie w to, że Will kiedyś wróci do domu. Julia zastanawiała się, czy to możliwe, że on mieszka gdzieś tu, w Londynie, pośród miliona anonimowych

mieszkańców miasta. Rozglądała się za nim na zatłoczonych ulicach, wychwytyjąc każdą jasną czuprynę i każdą wysoką, lekko przygarbioną sylwetkę.

Jack wrócił do Kanady i ożenił się z Esther. Rok później urodziła mu się córeczka, Louise. Przesłał Julii kilka fotografii: biały, wysmagany wiatrami dom, ładna kobieta z orzechowymi oczami i maleństwo śpiące w kołysce. Patrząc na fotografię kobiety i dziecka, Julia przypomniała sobie, jak ona i Jack obdarowali się wzajemnie na pożegnanie. Ona ofiarowała mu siebie na jedną długą, cudowną noc; on zaś pokazał jej, że miłość fizyczna może być jedną z największych przyjemności w życiu.

Gdy się przeprowadziła do Londynu, poszła do fryzjera, by ściąć swoje długie, niesforne loki. Pasma włosów spadały na podłogę, a Julia czuła się coraz lżejsza na ciele i duszy. Potem zamówiła wizytę w gabinecie na Harley Street, podczas której lekarz założył jej spiralę. Na początku miała wobec tego instrumentu mieszane uczucia, potem jednak uznała, że zawdzięcza mu wolność i niezależność. Wdawała się w krótkie, dyskretne i przyjemne romanse. Gdy odnosiła wrażenie, że jakiś mężczyzna może się w niej zakochać, zrywała znajomość. Nie mogła przecież powiedzieć: „Nigdy za ciebie nie wyjdę, kochanie, ponieważ nie wiem, czy mój mąż żyje, czy nie”. To byłoby zbyt melodramatyczne, a wyjaśnienia trwałyby zbyt długo.

Narzuciła sobie pewne reguły. Nigdy nie umawiała się z pracownikami firmy, nigdy nie chodziła na randki z żonatymi mężczyznami. Nie sypiała z facetami, którzy nie znoszą kobiet (w ferworze damsko-męskich doświadczeń odkryła, że tacy też istnieją). Nigdy nie pozwalała swoim kochankom zostać do rana i nie przedstawiała im Williama. Dbała o to, by trzy sfery jej życia – praca, dom i seks – nie miały żadnych punktów wspólnych.

Z biegiem czasu Julia zaczęła odczuwać coś na kształt zadowolenia. Lubiła swoją pracę, zwłaszcza zaś pewną niezależność, która wiązała się z prowadzeniem londyńskiej filii firmy. Nauczyła się traktować osobników w typie Raymonda Bella z wyższością, nigdy nie tracąc panowania nad sobą i nie pozwalając, by spostrzegli, jak ją ranią. Czasami wydawało się jej, że w końcu zyskała umiejętność panowania nad sobą. I że zmniejszyła się skala jej odczuć oraz oczekiwań. Po raz pierwszy zawarła pokój sama ze sobą.

Will mieszkał na Coldharbour Farm niemal od osiemnastu miesięcy. Porzucony wagon kolejowy, będący teraz jego domem, stał w cieniu topoli z dala od drogi. Zgodnie z obietnicą Harolda Bellchambersa miejsce to okazało się zaciszne i zapewniało intymność. Will załatał ciekący dach, uszczelnił okna i drzwi, by uchronić wagon przed wiatrem, który nawet latem smagał leżącą na odludziu farmę. Ktoś podzielił wnętrze na część dzienną, gdzie mieściła się także kuchnia, oraz sypialnię. Była tam także niewielka łazienka. Will spał na łóżku polowym, miał też nieduży stolik i krzesła, półki zaś wypełnił książkami z antykwariatu. Ozdobił wnętrze muszlami, kamieniami i wodorostami, które zbierał na plaży w Northumberland. Obok urządził nawet niewielki ogródek, w którym uprawiał warzywa. Polubił swój nowy dom, choć było w nim ciasno, a czasem dość zimno. Stojący na skraju pola wagon wyglądał jak dwudziestowieczna Arka Noego, Coldharbour Farm zaś jak góra Ararat, na której łódź znalazła wreszcie przystań.

W ciągu dnia Will pomagał Haroldowi w ogrodzie oraz prowadził objazdowy warsztat samochodowy. Kupił używanego vana, by jeździć po okolicznych farmach i naprawiać przebite opony oraz kiepskie akumulatory. Bezgranicznie podziwiał Harolda, jego cierpliwość, altruizm i niezawodne poczucie humoru. Za prawdziwy cud uważał to, że Harold i Philippa mu

uwierzyli – uwierzyli w zagubionego i bezdomnego Willa Chancellora. Wieczorami uczył na kursach Robotniczego Stowarzyszenia Edukacyjnego w Lincoln, prowadzonych przez Harolda. Na początku pracował tam tylko ze względu na swego dobroczyńcę, z czasem jednak bardzo polubił to zajęcie. Wykładał na kursach letnich i wieczorowych. Uczestnicy kursów, górnicy, kolejarze czy marynarze, bardzo się różnili od znudzonych nastolatków, jakich uczył w czasie wojny. Naukę traktowali jak przywilej, a nie narzucony obowiązek, podchodzili więc do zajęć z ogromną żarliwością.

Wielu mężczyzn, którzy zgłaszali się na kursy, próbowało zacząć życie od nowa, mając za sobą nieudane małżeństwa czy pobyt w więzieniu. Prawie wszyscy wydawali się Willowi dobrymi ludźmi o czystych intencjach. Will myślał sobie czasem, że skoro błędy popełniane przez innych da się wybaczyć, to może i on zasługuje na to samo. Spoglądając w przeszłość, dochodził do wniosku, że przyczyną wielu jego karygodnych czynów był brak doświadczenia.

Will wiedział, że miał przysłowiowy łut szczęścia, gdy owego deszczowego wieczoru trafił do Coldharbour Farm. Dzień, w którym usiadł przy kominku w kuchni Bellchamberów, był kolejnym zwrotnym punktem w jego życiu. Dzięki temu odkrył na nowo coś, co w swym przekonaniu utracił już na zawsze: ciepło, nadzieję i życie rodzinne.

Odkrył też miłość. Uczucie do Philippy nie było doświadczeniem nagłym i niespodziewanym jak uderzenie kijem do krykieta, dzięki któremu wkroczył w jej życie. Dojrzewało w nim powoli, podsycane bliskością dziewczyny. Kochał jej dobroć i zapał, podziwiał ją za to, że była całkowicie wyzbyta próżności i wyrachowania. Kochał jej ciepło i wylewność, które odziedziczyła po ojcu, jej żywy intelekt i poczucie sprawiedliwości. Uwielbiał ją za to, że

śmiała się z jego głupich dowcipów, i za to, że potrafiła, za pomocą subtelnej ironii, rozproszyć jego najczarniejszy nawet nastrój. Kochałby także jej jasną, usianą piegami skórę i zmysłowe ciało, gdyby tylko sobie na to pozwolił. Nie zdradzał się jednak ze swymi uczuciami i zachowywał należyty dystans wobec Philly.

Wydawało mu się, że Philippa traktuje go jak starszego brata. Jeździli razem na koncerty do Lincoln i na wycieczki rowerowe; latem uczył ją prowadzić samochód. Pomagał jej w łacinie, poprawiał błędy ortograficzne i zrobił zamykany wybieg dla jej czerwono-nogich kurcząt. Gdyby mógł, całowałby ziemię, po której stąpała.

Gdy w październiku 1952 roku Philippa wyjeżdżała na studia medyczne do Cambridge, uśmiechał się i obiecywał często pisać. W głębi ducha czuł się jednak opuszczony. Bez Philippy Coldharbour Farm wydało mu się puste, nędzne i posępne. Pisywał do niej pogodne listy o życiu na farmie, o pogodzie i kurach. Zdziwił się, gdy dziewczyna zaczęła mu odpisywać. Spodziewał się, że zajęta studiami i nowym towarzystwem w Cambridge szybko o nim zapomni, że przyśle ze dwa listy i na tym ich korespondencja się zakończy.

Ale odpowiedzi nadchodziły z zadziwiającą regularnością. Will nie pisał o tym, że pod nieobecność Philly obaj z Haroldem nie mogli sobie znaleźć miejsca i snuli się po farmie bez celu. Nie pisał także o swym lęku, że pewnego dnia, w którymś z jej listów, przeczyta: „Poznałam chłopaka, który... ”.

W połowie grudnia Will wrócił bardzo późno ze swych kursów w Lincoln. Noc była wietrzna, wicher hulał po polach i szarpał gałęziami płaczącej wierzby, która rosła koło bramy. Gdy zaparkował vana na podwórzu, z domu wyszła Philippa. W świetle lampy jej jasne loki wydały mu się powleczone srebrem.

– Will! – wykrzyknęła i podbiegła do niego. A potem dodała: –Uściskaj mnie, mój drogi. – Gdy go objęła, poczuł się szczęśliwy.

– Spodziewałem się, że przyjedziesz dopiero jutro, Philly – powiedział.

– Odwołali nam wykład z anatomii. Wykładowca zachorował na gripę.

A ja bardzo tęskniłam za domem.

– Wcale ci nie wierzę – drażnił się z nią. – Zapomniałaś o nas, gdy tylko wjechałaś do Cambridge.

– Ty głuptasie. – Philly wsunęła mu rękę pod ramię. – Gdzie tata?

– W Lincoln. Niedługo wróci. Część studentów i nauczycieli wybrała się na przedświątecznego drinka do pubu.

– A ty jak zwykle stronisz od towarzystwa, Will? Wzruszył ramionami.

– A może masz ochotę na drinka, Philly?

Poszła razem z nim do jego wagonu. Gdy weszli do środka, nalał piwa do szklanek, a ona usiadła z głębokim westchnieniem.

– Tak się cieszę, że znów jestem w domu!

Will nagle się zaniepokoił. Może Philly rzeczywiście bardzo tęskniła za Coldharbour Farm? Może zbyt ciężko pracowała, może jej pokój w Griton College był za mały i niewygodny?

– Ale podoba ci się w Cambridge?

– Strasznie mi się podoba. Tylko że nie ma jak w domu, prawda?

Will nie skomentował tej uwagi.

– Lubisz swoje studia?

– Bardzo. Chociaż sędzę, że będzie ciekawiej, gdy zaczniemy się wreszcie zajmować żywymi ludźmi, a nie trupami. – Spojrzała na niego srogo.

– Dlaczego mnie nie odwiedziłeś, Will?

Odwrócił się do niej plecami, by włączyć palnik nad butlą gazową.

– Sądziłem, że masz mnóstwo nowych przyjaciół.

– Mam. To jednak nie znaczy, że nie potrzebuję moich starych przyjaciół

– powiedziała z uśmiechem. – Zawsze mi się wydaje, że ze względu na to, jak się poznaliśmy, łączy nas coś specjalnego.

Will zrobił zabawną minę i pomasaował sobie głowę.

– Do tej pory mam bliznę.

– Tęskniłam za tobą, Will.

– A ja za tobą. Tak pusto tu było bez ciebie. Żadnych kłótni. Stanowczo za cicho.

– Chcę powiedzieć – Philly spoważniała – że naprawdę za tobą tęskniłam. – Dziewczyna była wyraźnie zakłopotana.

– Philly? – Will się przestraszył, że ona coś przed nim ukrywa. Może kogoś poznała. Może zamierza mu się zwierzyć. Może potrzebuje rady „starszego brata” na temat jakiegoś młodzieńca, który się w niej zakochał.

Philippa spuściła wzrok.

– Will, chcę ci coś powiedzieć. Nie mówiłam o tym wcześniej, bo...

Na podjeździe rozległ się dźwięk silnika. Reflektory rozświetliły mrok. Will podskoczył, uradowany, że rozmowa została przerwana, i rozsunał zasłonki.

– To twój ojciec.

– Tata! – wykrzyknęła dziewczyna z uśmiechem i wybiegła.

Topaz nie widziała się z Mariusem od czasu owej pamiętnej rozmowy z matką. Odwołała spotkanie, podczas którego mieli się zająć bilansem rocznym, tłumacząc się – po części zgodnie z prawdą – nadmiarem pracy. Na razie nie była w stanie spojrzeć Mariusowi w twarz. Bała się tego, co ujrzy w jego oczach, uświadomiwszy sobie, co się kryje w jej własnym sercu. Sądziła, że

zobaczy przede wszystkim poczucie odpowiedzialności i obowiązku, tak charakterystyczne dla Mariusa Temperleya.

W ciągu dwóch poprzedzających Boże Narodzenie tygodni miała mnóstwo zleceń, ale nawet praca nie zdołała oderwać jej myśli od Mariusa. Nie mogła uwierzyć, że znów zakochała się w mężczyźnie, który był nieosiągalny. Po niewiernym wobec własnej żony Peterze de Courcy, po ambitnym i nieskorym do jakichkolwiek zobowiązań Charliem zakochała się w Mariusie Temperleyu. Nie porównywała go wprawdzie z żadnym z poprzedników, ale i on był poza jej zasięgiem. Topaz nie miała wątpliwości, że wciąż kochał Suzanne, wołała więc nie zastanawiać się nad tym, co ujrzałaby w jego oczach – zakłopotanie, a może nawet litość – gdyby zdradziła się ze swymi uczuciami.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem urządziła przyjęcie. Zaprosiła sześćdziesiąt osób do swego malutkiego mieszkanca. Przygotowała bardzo proste jedzenie: pieczywo, sery i *quiche*, a przede wszystkim mnóstwo piwa i jabłecznika. Lampy przesłoniła bibułą, powiesiła serpentyny, pożyczyła gramofon i płyty od Jerry'ego. Przyćmione różowe światło i zmysłowa muzyka spowijały tłum, który zjawił się u Topaz. Goście tłoczyli się w kuchni, starając się przekrzyczeć jeden drugiego. W saloniku rozpoczęły się tańce, choć trudno się było poruszać ze względu na brak miejsca. Zawarto nowe przyjaźnie, rozpoczęły się nowe romanse. Topaz doszła do wniosku, że to ze wszech miar udane przyjęcie i wszyscy się dobrze bawią.

Wszyscy oprócz niej. Dlaczego ona nie bawiła się dobrze? Dlaczego marzyła o tym, by wszyscy sobie poszli i mogła zostać sama? Wściekała się sama na siebie. Uznała, że za mało się stara. Wypiła więc jeszcze jednego drinka, potem następnego, tańczyła z kolejnymi partnerami, aż wreszcie jeden z nich zaciągnął ją do kąta i zaczął całować.

Ale nawet pocałunki nie zdołały zaabsorbować uwagi Topaz i zaczęła właśnie szukać jakiegoś uprzejmego sposobu wyplątania się z tej sytuacji, gdy w zgiełku usłyszała strzępy rozmowy:

– Ona z pewnością gdzieś tu jest...

– Dziękuję – odrzekł dobrze znany głos. – Rozejrzę się.

Gdy podniosła oczy, stał już parę kroków od niej.

– Marius!

– Pomyślałem, że wpadnę na chwilę, żeby dać ci to. – Położył paczuszkę na stoliku. – Ale zdaje się, że jesteś zajęta.

Dostrzegłszy chłód w jego spojrzeniu, Topaz straciła wszelką nadzieję na to, że nie widział jej w ramionach tamtego mężczyzny.

Poprawiła tylko ubranie, niepokojąc się, czy szminka się jej nie rozmazała.

– Napijesz się czegoś?

– Raczej nie. – Pokręcił głową i ruszył ku wyjściu.

– Marius!

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Tak?

– Nie możesz tak po prostu wyjść!

Nic nie odpowiedział. Słyszała tylko trzaśnięcie zamykających się drzwi. Stała przez chwilę z zaciśniętymi, w poczuciu bezsilności, pięściami. Ogarnęła spojrzeniem swój salonik. Pary obejmowały się na sofie i na dywanie przed kominkiem. Z popielniczek wysypywały się niedopałki, na stoliku były kałuże piwa. Podarte serpentyny zmieniały się powoli w papier mache w rozlanym alkoholu.

Wybiegła z mieszkania. Dogoniła Mariusa, nim zdążył dojść do rogu, i zawołała:

– Zawsze się tak zachowujesz! Zawsze!

Odwrócił się, ogromnie zaskoczony.

–Jak?

– Potępiasz. – Ciskała w niego bezlitośnie słowami. – Petera de Courcy. Charliego. Krytykujesz wszystkich mężczyzn, którzy się pojawiają w moim życiu. Jakbyś miał do tego prawo. A nie masz, Marius, nie masz. Nie masz prawa mówić mi, co powinnam robić, i nie masz prawa wygłaszać kazań na temat moich przyjaciół! I basta! Nie jestem twoją... twoją... siostrą... ani kuzynką! To nie twoja sprawa!

W świetle ulicznej latarni jego twarz była nieruchoma, jak wykuta w kamieniu.

– Masz, oczywiście, rację. To, co robisz, nie powinno mnie interesować. Przepraszam. – Zmierzył ją spojrzeniem. – Powinnaś iść do domu. Przeziębisz się.

Topaz spojrzała tam, gdzie patrzył Marius. Trzy guziki sukienki rozpięły się, ukazując, ku jej przerażeniu, kawał białego ciała.

Zanim zdążyła zapiąć sukienkę zeszywniałymi z zimna i gniewu palcami, Marius zniknął. Topaz wróciła do domu. Goście zaczęli się rozchodzić. Znalazła prezent, który jej przyniósł, wrzuciła paczuszkę do szafki pod zlewem i zamknęła drzwiczki kopniakiem.

Podczas świąt w Coldharbour Farm zawsze było mnóstwo pracy. Pierwsi goście Harolda zjawiali się w połowie grudnia, a ostatni wyciągali dłoń na pożegnanie po Nowym Roku. Pośród owych niezwykłych znajomych byli towarzysze broni Harolda z Brygad Międzynarodowych, absolwenci kursów

dla dorosłych, a także jeden czy dwóch włóczęgów w połatanych płaszczach i dziurawych butach. Spali w wolnych pokojach, na strychu i w stodole. Jednoreki kombatant z Hiszpanii spędził jedną noc na wąskiej ławie w kuchence Willa w wagonie; tęgi górnik przespał się na tylnym siedzeniu vana. Harold i Philippa stali nad ogromnymi garami w kuchni, podczas gdy Will rąbał drewno, załatwiał sprawunki i zmywał. W dniu Bożego Narodzenia rozwiązywali szarady, grali w szachy, dyskutowali, śpiewali kolędy i socjalistyczne pieśni, a potem dyskutowali jeszcze goręcej. Gdy Will wracał, dobrze po północy, do swego wagonu, uzmysłowił sobie, że nie pamięta tak miłych świąt.

Po Nowym Roku goście się rozpieczęli, a Will i Philippa zabrali się do sprzątania. Składali właśnie połowe łóżka na strychu, kiedy Philippa powiedziała:

– Zawsze mnie dziwi, że kombatanci z Hiszpanii są znacznie bardziej nieporządni niż włóczędzy.

– To dlatego, że włóczęga musi wszystko zmieścić w plecaku. Nie da się zrobić wielkiego bałaganu, jeśli ma się tylko tyle, ile można unieść na własnych plecach.

Philippa wytrzepała poduszkę, z której wysypało się sporo pierza.

– Przeczytałam książkę ojca na temat wędrownego życia. Wszystko brzmiało bardzo interesująco. Spanie pod rozgwieżdżonym niebem.

Will zwijał materace.

– Tak naprawdę jest tylko zimno i wilgotno, a gwiazd nie widać spoza zmrożonych rzęs.

– Naprawdę miałeś zmrożone rzęsy?

– Raz.

– Na pewno wyglądałeś jak zdobywca bieguna.

Przerzucił materace przez ramię i wyciągnął przed siebie drżącą dłoń.

– Amundsen w samym środku śnieżnej burzy...

Philippa zachichotała. Pierze zaczęło fruwać po całym strychu.

– Zagubiony między zaspami...

– Oddalony tysiące kilometrów od cywilizacji...

– Popijający tranem mięso białych niedźwiedzi...

– Tylko nie białych niedźwiedzi. Nie na tym kontynencie.

– Cóż za skrupulatność, Will. – Poduszka, którą rzuciła w niego Philippa, rozpadła się na dobre. Roześmiana dziewczyna usiadła na brzegu łóżka, obsypana pierzem. – O rany. – Kichnęła. Miała puch na głowie i na ramionach. – Zasytał mnie śnieg. Musisz mnie uratować. – Will wyciągnął do niej rękę. – Nie, nie tak.

– A jak?

– Pocałunkiem.

Wstrzymał oddech, a gdy pocałował ją lekko w policzek, mruknęła:

– Nie tak. Porządnie.

– Philly...

– Nie czytałeś bajek, Will? – Dziewczyna wstała. Mówiła wciąż żartobliwym tonem, ale Will dostrzegł w jej oczach niepewność. – Księżę musi pocałować księżniczkę, prawda?

Tylko jeden krótki pocałunek, pomyślał. To nie powinno nikomu zaszkodzić. Dotknął jej ust wargami.

Nie skończyło się na krótkim pocałunku. Philippa objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. W ciszy panującej na strychu Will odkrył, że ona także

znalazła w tym pocałunku rozkosz. Słyszał niemal, jak krew tętni w jej żyłach. Czuł bicie jej serca.

Wtedy usłyszeli czyjeś kroki na schodach i głos Harolda:

– Wybieram się do Lincoln. Jedziesz ze mną, Philly? Odkoczyli od siebie jak oparzeni.

Will wrócił do swojego wagonu. Wspomnienie tego pocałunku całkowicie odmieniło szare styczniowe popołudnie. Gdy zaczął zapadać zmierzch, Will poczuł, że rozsądek stopniowo wraca, by go przywołać do porządku. Tłumaczył sobie, że nic się nie wydarzyło, choć wiedział, że to nieprawda. Ten pocałunek odmienił wszystko. Will marzył, by pozwolić sobie na tę miłość, ale wiedział, że nie może tego zrobić, jeśli nie chce popełnić zdrady najgorszej z możliwych.

Patrzył przez okno wagonu. Noc była pogodna i mroźna. Na każdej gałązce, na każdym listku lśniła warstewka szronu. Will jęknął głośno. Żeby ochronić Philippe, musi zgasić wszystkie budzące się w niej uczucia, nim zdążą zapuścić korzenie. Ta myśl przytłoczyła go całkiem, niszcząc czar styczniowej nocy.

Chciał zrobić to jak najdelikatniej, żeby jej nie zranić. Gdy następnego dnia zapukała w jego okienko, otworzył jej drzwi.

– Philly – zaczął – wczoraj...

– Will, mój kochany. – Wzięła go za rękę i wplotła palce w jego dłoń.

– Philly, nie wygłupiaj się.

Palce dziewczyny zeszywniały, jakby coś ją ukłuło.

– Wcale się nie wygłupiam. Naprawdę.

Odsunął się od niej.

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Bo jesteśmy. Oczywiście, że jesteśmy. – Zmarszczyła brwi. – Ale czy to wszystko, czego pragniesz? Bo ja pragnę czegoś więcej.

Will uzbroił się w męstwo.

– To, czego ja pragnę, nie ma żadnego znaczenia. Nigdy nie będziemy nikim więcej niż przyjaciółmi.

– Nigdy? – szepnęła. Will nie mógł znieść wyrazu jej oczu. – Nie rozumiem. Dlaczego?

– Dlatego... och, jest mnóstwo powodów. Jestem znacznie starszy niż ty, Philly...

– O to chodzi. – Odetchnęła z ulgą. – To nie ma żadnego znaczenia. Nie jesteś przecież starcem.

– I posiadam mniej więcej dwa pensy całego majątku. Mam gdzie mieszkać tylko dzięki uprzejmości twojego ojca.

– Chyba nie sądzisz, że zależy mi na pieniądzach? – Spojrzała na niego wyniośle.

– No a poza tym, co twój ojciec by sobie pomyślał?

– Tata cię lubi. Dobrze wiesz.

Willowi zaczęło brakować pomysłów. Philly była taka młoda, taka krucha. Czuł się tak, jakby za chwilę zamierzał zdeptać motyla. Mając na względzie jej dobro, musiał jednak zebrać siły.

– Philippo, może mnie bardzo lubisz, może się we mnie zadurzyłaś, ale na pewno wkrótce spotkasz kogoś innego. Jestem o tym przekonany.

– Ja się nie zadurzam. – Jej oczy płonęły. – Nigdy w życiu się nie zadurzyłam. Nie jestem jakąś sentymentalną pensjonarką.

Will zdjął okulary, by przetrzeć szkła. Teraz widział twarz dziewczyny jak przez mgłę. To ułatwiło mu sprawę.

– Chodziło mi o to, że wkrótce kogoś poznasz. W college'u. –Na samą myśl o tym zrobiło mu się słabo, brnął jednak dalej. – Kogoś, kto będzie ciebie wart. Wtedy zrozumiesz, że twoje uczucia wobec mnie nie miały większego znaczenia. Że to tylko chwilowe zauroczenie i nic więcej.

Philippa usiadła na drewnianej ławeczce. Po chwili powiedziała cicho:

– Zawsze cię bardzo lubiłam, Will. Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, więc nie użyję tego określenia. Ale gdy pierwszy raz się spotkaliśmy, gdy uderzyłam cię kijem do krykieta i straciłeś przytomność, poczułam się tak okropnie. I nie chodziło tylko o to, że byłam zakłopotana i zaniepokojona, ale... – Zmarszczyła brwi. –... od razu pomyślałam, że masz taką miłą twarz. Taką przyjazną. I wiem, że nie pomyślałabym tego o kimkolwiek innym.

– Urwała na chwilę. Gdy znów zaczęła mówić, jej głos lekko drżał.

– Pamiętam, że padał deszcz, a ty leżałeś u moich stóp z krwawiącą głową. Bałam się, że potłukłam ci okulary. Uklękałam obok ciebie i zanurzyłam rękawiczkę w kałuży. Sądziłam, że zimna woda cię ocuci. Ale to nic nie pomogło, więc postanowiłam, że zaniosę cię do domu. Było bardzo zimno i bałam się, że dostaniesz zapalenia płuc, jeśli dłużej tam poleżysz. – Philly podniosła wzrok. – To nie jest chwilowe zauroczenie, Will. Nic do tej pory nie mówiłam, bo się bałam, że powiesz mi, iż jestem dla ciebie za młoda. Że jestem podlotkiem, a ty dorosłym mężczyzną. Obawiałam się też, że... –Urwała nagle.

– Czego się obawiałaś? – szepnął.

– Że ty nic do mnie nie czujesz. I że kogoś już masz. W tamtym życiu. W życiu, o którym nigdy nic nie mówiłeś, Will.

Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Podeszedł do okna i oparł dłonie o parapet. Krajobraz wciąż był zasnuty szronem.

– Nie lubisz mnie, Will?

Obrócił się gwałtownie.

– Oczywiście, że cię lubię.

– Ale mnie nie kochasz.

Nie pozostawało mu nic oprócz milczenia. Po chwili usłyszał jej szept:

– Zdaje się, że zrobiłam z siebie idiotkę. Przepraszam. Wyszła z wagonu.

Will usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Stał wciąż w oknie, pełen nienawiści do samego siebie, i patrzył na ślady stóp Philippy na ścieżce.

Po nieprzespanej nocy wstał bardzo wczesnie i pojechał do Market Rasen, żeby naprawić hamulce starego vauxhalla. Zabrało mu to więcej czasu, niż zakładał, wrócił więc na Coldharbour Farm dopiero po południu.

Gdy parkował, Harold wyszedł mu na powitanie.

– Jak minął dzień?

– Nieźle – odparł, choć był w nastroju równie pochmurnym, jak pogoda.

– Gdzie jest Philippa?

– Pojechała do Cambridge.

Słowa Harolda wstrząsnęły Willem, który właśnie wynosił narzędzia z bagażnika.

– Myślałem, że zostanie w domu jeszcze tydzień.

– Ja też tak myślałem. Ale powiedziała, że musi napisać jakąś pracę. –

Harold spojrzał na niego uważnie. – Czy wy przypadkiem się nie pokłóciliście?

Will pokręcił głową. Pomimo chłodu jego twarz była rozpalona.

– To dobrze – powiedział Harold. – Cieszę, że to słyszę.

Will wrócił do swego wagonu. Rzucił narzędzia na stół i rozejrzał się po chłodnym pomieszczeniu. Jego nędzny dobytek odzwierciedlał poczucie przegranej, jakie mu towarzyszyło.

Topaz spędziła świąteczny dzień z matką. W mieszkaniu na Bayswater nie było czym oddychać. Wiecznie zziębnięta Veronica nastawiła wszystkie grzejniki na najwyższe obroty. Po południu zjawili się jej dwaj znajomi na partyjkę brydża. Topaz nie mogła się skoncentrować na kartach, walcząc z duchotą i ze wspomnieniem zimnych, niebieskich oczu Mariusa Temperleya. I z echem jego głosu: „To, co robisz, nie powinno mnie interesować”. W zasadzie powinna się z tego cieszyć, ale jakoś nie mogła wzbudzić w sobie radości. Zamiast poczucia triumfu, że przyznał jej rację, Topaz prześladowały gorycz i wściekłość, że poszedł sobie w ten sposób, że ją tak surowo i tak łatwo osądził.

Postanowiła, że na przekór Mariusowi Temperleyowi będzie się dobrze bawić. Podczas licznych przyjęć między świętami a Nowym Rokiem wzięła sobie do serca radę Mary Hetherington i bardzo się starała. Wkładała najładniejsze sukienki, upinała włosy tak, jak jej poradziła Sylvia Ryder, używała francuskich perfum i nosiła złotą biżuterię, którą odziedziczyła po babce. Czasami zaskakiwało ją własne odbicie w lustrze. Nie była już zwyczajną, grubą Topaz Brooke. To zadziwiające, mówiła sobie cynicznie, ile można osiągnąć, gdy człowiek się postara.

Tak więc nie ustawała w staraniach podczas przyjęć. Śmiała się i błyszczała, była dowcipna i czarująca. Starła się za wszelką cenę zapomnieć, że kocha Mariusa Temperleya. Otoczona przyjaciółmi, powtarzała sobie cały czas, że wreszcie osiągnęła to, o czym zawsze marzyła: była w centrum uwagi.

Ale przestało ją to cieszyć. Z biegiem czasu gniew ustąpił miejsca cierpieniu. Podczas sylwestrowego przyjęcia dużo piła i tańczyła z jednym z przyjaciół Mary, Stephenem Page'em. Stephen miał ciemne włosy, gęste krzaczaste brwi i gładką skórę. Handlował antykami. Gdy powiedziała mu o swojej firmie cateringowej, uniósł lekko brew.

– To niezwykle – powiedział.

Kiedy zegar wybił dwunastą, obwieszczając początek 1953 roku, Stephen pocałował ją w taki sposób, że Topaz porównała go w myślach do gołębia skubiącego ziarno.

Potem wstąpili do jego mieszkania na kieliszek wina. W przytłumionym świetle rozmywały się kontury antyków: ogromnych chińskich waz, rzeźbionych komódek i gablotek. Stephen pieścił piersi Topaz, oglądał je taksującym spojrzeniem, jakby szacował ich wartość i stan. Gdy chciała usiąść na najbliższej sofie, upomniał ją ostro:

– Nie tutaj. To cenny mebel z osiemnastego wieku.

W końcu znaleźli się we francuskim łóżku i rozebrał ją metodycznie. Topaz poczuła, że seks sprawia jej pewną przyjemność. Kiedy było już po wszystkim, doszła jednak do wniosku, że nie chce tu zostać na noc, nie chce się obudzić u boku obcego mężczyzny, więc szybko się ubrała. Stephen Page zaprotestował tylko z grzeczności.

Wróciła więc do domu, czując, że pęka jej głowa. Jedwabna sukienka była pognieciona i brudna. Zerknąwszy w lustro łazienkowe, Topaz zobaczyła kogoś zupełnie innego niż przed kilkoma zaledwie godzinami. Makijaż rozmazał się, tworząc czarne cienie wokół oczu. Jej twarz była dziwnie ściągnięta, usta napięte. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że wygląda tak

samo jak matka. Jak jej młodsza i pełniejsza wersja, o tym samym wyrazie oczu i podobnie wygiętych w dół ustach.

Usiadła na sofie, nie zdejmując zimowego płaszcza. Przypomniała sobie przedświąteczne przyjęcie, starając się widzieć je oczami Mariusa. Pary splecione w uściskach na sofach, zapach piwa i papierosów. I ona, w opadającej z ramion sukience, wrzeszcząca na niego na środku ulicy. Na pewno myślał, że jest pijana.

Otworzyła drzwiczki szafki pod zlewem. Na początku nie mogła znaleźć prezentu od Mariusa i długo grzebała pomiędzy gąbkami i butelkami ze środkami czystości. W końcu pod stertą żółtych ściereczek spostrzegła kolorową bibułę i wstążkę. Siedząc wciąż koło szafki, otworzyła paczuszkę.

Marius kupił jej apaszkę, piękną apaszkę Chanel. Na delikatnym jedwabiu wiły się misterne niebieskie i zielone wzory. To dziwne, pomyślała, że Marius znał jej ulubione kolory.

Trzymając w dłoniach jedwabną chustkę, zrozumiała, że wciąż jeszcze ma wybór. Mogła pójść w ślady matki i zadawać się z coraz to nowymi mężczyznami, skazując się na to, że nigdy nie spotka tego właściwego. Albo też zadowolić się tym, co było w jej zasięgu: przyjaźnią zamiast miłości.

Jeżeli Marius zechce się kiedykolwiek do niej odezwać.

Pewnej nocy przyśniły mu się tańczące anioły. Zawieszane w błękitach, z wąskimi, nagimi stopami, w baletowych pozach, z rozwichrzonymi, delikatnymi skrzydłami. Anioły trzymały wstążkę z jakimś napisem, którego nie zdołał odcyfrować. Głowy miały zwrócone w bok. Na ich twarzach malowała się życzliwość naznaczona pewną obojętnością, jakby świat, na który patrzyły, bawił je troszeczkę.

Tego ranka Will zadzwonił w kilka miejsc, by przesunąć spotkania. A potem pojechał do Cambridge. Wspomnienie kłótni z Philippa było wciąż żywe i zepsuło mu czas, który upłynął od tamtego popołudnia. On, broniący swej czci, niczym jakaś stara panna. Ból w jej oczach. Powziął postanowienie, że musi to jakoś naprawić. Trzeba znaleźć sposób, by nie urazić dumy dziewczyny, a zarazem położyć kres marzeniom o tym, że mogłoby ich łączyć coś więcej niż przyjaźń. Will wiedział, że nie ma innego wyjścia.

Był szary, wilgotny, styczniowy dzień. Woda zebrała się w kałuże na poboczach, z drzew wciąż kapła woda. Czerwone dachy Cambridge lśniły, mokre i wilgotne, a studenci w czarnych ubraniach śpieszyli ulicami, chroniąc się pod parasolami przed deszczem. Will pojechał prosto do Girton, mając nadzieję, że złapie Philippę w przerwie na lunch. Miał szczęście, bo była w swym pokoju i zaraz przekazano jej wiadomość o wizycie. Czekał bardzo zdenerwowany i podniecony.

Odwrócił się na dźwięk jej kroków.

– Co ty tu robisz?

– Przyjechałem w odwiedziny. Sprawdzić, jak się miewasz.

– Świetnie, jak widzisz. Znakomicie. Tylko że jestem przeziębiona.

Nie wyglądała najlepiej. Miała podpuchnięte oczy, czerwony nos, chodziła w grubym swetrze i szaliku.

– Może mógłbym cię zaprosić na lunch – zaproponował.

– Nie sądzę – odparła zimnym, bezbarwnym głosem.

– Chciałem porozmawiać o tym, co się zdarzyło przed twoim wyjazdem...

– Tak?

– Chciałem ci coś wyjaśnić.

Po raz pierwszy naprawdę na niego spojrzała.

– Chyba nie warto.

– Warto. – Mijający studenci zerkali na nich ciekawie. – Pójdziemy tylko na lunch – namawiał ją. – Do jakiegoś pubu. A potem cię tu odwiozę, obiecuję. Proszę.

Philippa się zawahała, a potem powiedziała:

– Muszę wziąć płaszcz.

W samochodzie prawie nie rozmawiali. Will zaparkował w centrum Cambridge i poszli piechotą do pubu przy Bene't Street. Przy barze siedziało wielu studentów medycyny. Philippa flirtowała to z tym, to z owym, ale bez szczególnego entuzjazmu, jakby nawet nie potrafiła porządnie zranić Willa. Po chwili studenci wyszli, a on i Philippa usiedli przy stoliku. W kominku trzaskał ogień.

– Chciałem wyjaśnić, że wtedy...

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Nie chciałem cię zranić.

– I nie zraniłeś – odrzekła lekceważącym tonem. – Już ci mówiłam, że to nie ma znaczenia. Pomyliłam się i to wszystko.

Will nie znał dotąd takiej chłodnej, pełnej pogardy Philippy.

– Nie chodzi o to, że mi na tobie nie zależy – spróbował raz jeszcze.

– Szkoda słów, Will. – Dziewczyna przestała udawać, że je; zapatrzyła się na krople deszczu, które spływały po szybie.

– Rzecz w tym, że ja nie mogę się z nikim związać. Nie mogę.

– I przejechałeś taki kawał, żeby mi to powiedzieć?

– Nie chciałem, żeby do tego doszło.

– To żalosne, Will, doprawdy żalosne! – syknęła i znów się odwróciła.

Will dopiero po chwili zorientował się, że Philippa płacze; spostrzegł łzę spływającą po jej policzku.

– Och, Philly – powiedział, obejmując ją i przyciągając, pomimo oporu, do siebie.

Wydawało mu się, że znalazł się nagle na krawędzi czegoś strasznego, a zarazem wyzwającego. Zaczai się zastanawiać, czy nie pora porzucić fikcyjne życie, czy nie powinien zmierzyć się w końcu z przeszłością. Podczas wygnania odkrył, że sekrety są jak więzienie, izolują człowieka od innych. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, gdy pomyślał, że mógłby wreszcie wyjść z tego zamknięcia. Nie był pewien, czy przeważa w nim strach, czy podniecenie.

– Twój ojciec sądzi, że uciekłem przed służbą wojskową – zaczął.

Jej blada twarz oblała się delikatnym rumieńcem.

– Wiem. Mówił o tym. Ale to mi nie przeszkadza. Wiesz przecież, że jestem pacyfistką.

– Harold się myli. Zostałem zwolniony ze służby wojskowej. – Will dotknął klatki piersiowej z przelotnym uśmiechem. – Nie nadawałem się.

Kłopoty z sercem. Jako pięcioletni chłopiec miałem ostry atak gośćca stawowego. Od tego czasu szwankuje mi jedna zastawka.

– Ojej... – Najpierw się zdziwiła, a potem zaniepokoiła. – Ale teraz dobrze się czujesz?

– Świetnie. Nigdy nie czułem się lepiej. Nie nadawałem się jednak do tego, by walczyć za ojczyznę.

– I pozwoliłeś, by mój ojciec wierzył, że...

– Przepraszam. To... to mi pasowało.

Wyraz jej oczu sprawił, że Will drgnął, lecz mówił dalej:

– Nie chciałem, by Harold dowiedział się prawdy, bo się jej wstydzilem.

Wciąż się wstydzę.

Philippa miała podkrążone oczy i wydała mu się nagle taka delikatna.

– Kiedy mówiłem, że nie jestem cię wart, mówiłem szczerze. Bo to prawda, Philly. Nie jestem cię godzien.

– Czy to nie ja powinnam o tym zdecydować?

– Oddałbym wszystko, by było inaczej. Wszystko.

– W takim razie postaraj się, żeby było inaczej. Bez względu na to, czego się wstydzisz, postaraj się to naprawić.

– To nie takie proste.

– To, co najlepsze, nie zawsze jest proste. – Zmarszczyła brwi, a potem zapytała: – Czy ty mnie kochasz, Will?

– Philly – powiedział. – Philly. Ja jestem żonaty.

Domyślił się, że Philippa płacze, widział jej drżące ramiona. Tym razem jednak jej nie dotknął. Serce ciążyło mu jak kamień.

– Gdybym był wolny i mógł cię kochać, kochałbym cię, bez wątpienia. Ale ty nie powinnaś kochać mnie. Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz, co zrobiłem. Nie wiesz, kim jestem.

Philippa wstała. Zatrzymała się jednak przy drzwiach i spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami.

– Chyba najwyższy czas – odezwała się, nim odeszła – żebyś mi o tym opowiedział.

W połowie stycznia przyszedł list od Prudence Chancellor. Prudence łąjała ją bez ogródek za to, że Topaz nie przyjechała do Dorset w okresie Bożego Narodzenia. Topaz zajrzała do kalendarza. Na początku roku zawsze był martwy sezon. Nikt nie urządzał przyjęć. Pomyślała, że przyjemnie by było uciec na jakiś czas z Londynu, w którym panowała ponura, poświęteczna atmosfera. Ludzie kłócili się o miejsca w metrze i ze zniecierpliwieniem, w pędzie wykonywali swe codzienne obowiązki.

Topaz nie przyznałaby się nawet przed sobą, że jedzie do Dorset także ze względu na to, iż ma nadzieję natknąć się „przypadkiem” na Mariusa i załagodzić napięte stosunki. Od czasu owego nieszczęsnego przyjęcia nie pisywał do niej ani nie dzwonił. Dostała liścik z podziękowaniem za bożonarodzeniowy prezent od Tary, ale żadnej wiadomości od Mariusa. Topaz była rozdarta między optymizmem a rozpaczą. Jej optymizm wynikał z przeświadczenia, że przyjaciele nie zrywają stosunków tylko dlatego, że jeden z nich obraził drugiego, będąc pod lekkim gazem, a na domiar złego w rozpiętej sukience. Źródłem rozpaczcy była natomiast obawa, że Marius mógł, podobnie jak Topaz, zauważyć jej podobieństwo do matki. I może doszedł do wniosku, że lepiej zerwać tę przyjaźń teraz niż patrzeć, jak dwadzieścia pięć lat starsza Topaz nadużywa ginu i ogląda się za każdym mundurem.

Okazało się jednak, że niepotrzebnie się tak denerwowała, ponieważ już podczas pierwszej kolacji u Chancellorów dowiedziała się, że Marius wyjechał na północ w sprawach firmy. Musiała starannie ukryć swoje rozczarowanie, by Prudence niczego się nie domyśliła.

Przez kilka dni snuła się po domu, pomagając trochę ciotce, czytając książki i czasopisma albo zasypiając przed kominkiem. Nie uświadamiała sobie przedtem, że jest tak bardzo zmęczona.

I że odetchnie z ulgą, nie musząc się martwić o to, czy suflet grzybowy ładnie wyrośnie i czy wsypała dość soli do sosu. Gdy się trochę rozpogodziło, zaczęła robić długie wycieczki po okolicy, przemierzając szlaki, które doskonale znała od dziecka. Lodowe skorupki na kałużach pękały pod jej butami, zostawiała za sobą obłoczki pary.

Któregoś dnia trafiła do Sixfields. Gdy weszła na wzgórze, z mgły wyłoniła się nagle ciemna, masywna bryła domu. Topaz zatrzymała się, by złapać oddech. W oddali słychać było chłopięce głosy i wybuchy śmiechu. Przypomniała sobie ostatnie odwiedziny w Sixfields, gdy po przyjęciu powitalnym Jacka wspinała się na krzesło, by postawić talerze na półce, czując na plecach gniewne i pełne zniecierpliwienia spojrzenie niebieskich oczu Carrie Chancellor.

Stała w bramie, gotowa odejść, gdyby nagle rozległo się postukiwanie laseczki Carrie albo warczenie psów. Wydawało jej się, że ten wielki dwór podupadł, jakby przegrał bitwę z czasem i żywiołami. Mur był tu i ówdzie popękany, brakowało dachówek. Spod okapu sterczały popsute rynny, w sadzie leżały pozostałości jednego z pięknych, ozdobnych kominów

Głosy, które już wcześniej słyszała, dobiegały z za domu. Topaz otworzyła bramę i weszła na podwórze. Frontowe drzwi zupełnie zarosły

bluszczem, w oknach brakowało bardzo wielu szybek. Na murze zagnieździły się porosty, tworząc zielone i złote bąble na zwietrzałych ceglach. Głosy stały się coraz bardziej hałaśliwe. Ktoś krzyczał:

– Stłucz tę szybę!

Topaz zamarła bez ruchu, widząc, co się dzieje za domem. Wataha chłopców rzucała kamieniami w okna na piętrze. Ich pełne podniecenia głosy cięły mroźne powietrze.

– Weź to szkło!

– Dalej!

– Niech ma za swoje, kurwa jedna!

Rozległo się głośnie uderzenie, a po nim okrzyki radości. Na brukowanym podwórzu rozbiły się kolejne kawałki szkła.

– Ja się boję, Gary – powiedział jeden z chłopców.

– Co ty gadasz. Przecież to paralitka. Kuternogi się boisz?

– Dzwoniłam przed chwilą na policję – powiedziała głośno Topaz. – Patrol będzie tu lada moment.

Kilku mniejszych chłopców natychmiast wzięło nogi za pas. Jeden ze starszych chuliganów, który miał bezczelne spojrzenie i zaczątki zarostu na policzkach, podszedł do niej i zapytał:

– A tobie co do tego, ty głupia krowo? To twoja przyjaciółka?

Potem odszedł powoli, przerzucając kamienie z ręki do ręki, za nim zaś ruszyła reszta. Gdy dotarł do rogu, odwrócił się błyskawicznie i rzucił kamieniami. Topaz poczuła się tak, jakby spadł na nią grad. Potem usłyszała tupot chłopięcych nóg i wszyscy zniknęli za domem.

Otrzeptała płaszcz, otworzyła kuchenne drzwi i zawołała Carrie. Nikt jej nie odpowiedział. Pajęczyny całkiem już zasnuły stojące na półkach butelki. Szybę niewielkiego okienka pokrywała gruba warstwa kurzu.

Kolejne drzwi prowadziły do korytarza.

– Panno Chancellor? – zawołała Topaz, ale jej głos nie zabrzmiał zbyt donośnie w mrocznym i przepaścistym wnętrzu.

Korytarze zakręcały często pod bardzo dziwnym kątem. Topaz szła przed siebie na oślep, schylając niejednokrotnie głowę, by nie uderzyć się o niską powałę. Przez otwarte drzwi zaglądała do pokoi, w których królowały ogromne, staromodne meble. Stoły i stoliki zarzucone książkami i bibelotami tonęły pod warstwą szarego kurzu. Topaz zastanawiała się, czy ktokolwiek kiedykolwiek wchodził do tych pokoi. I kto rzucił na nie czar i wyjął je spod władzy czasu.

Nagle rozległ się dziwny dźwięk, który sprawił, że podskoczyła. Nad jej głową ktoś bębnił w podłogę. Wspięła się po schodach. Gdy dotarła do miejsca, z którego dobiegał hałas, spostrzegła dziwny kształt na podłodze. Carrie leżała koło wąskich schodów, prowadzących na strych, stukając laską w podłogę.

– Tutaj, dziewczyno. Szybko.

Topaz podbiegła do leżącej kobiety. Na podłodze wokół staruszki wałały się porozrzucane kartki.

– Podaj mi rękę – rozkazała Carrie władcym głosem. – Pomóż mi wstać.

– Mogła pani coś sobie złamać. Powinnam zadzwonić po doktora...

– Nie dyskutuj ze mną, tylko mi pomóż. Nie mogę swobodnie oddychać w tej pozycji. – Chwyła Topaz za rękę swą lodowatą dłonią. Miała zupełnie sine usta.

– Jak długo pani tu leży, panno Chancellor? Carrie zawahała się nieco.

– Chyba od rana... Wybrałam się na strych dziś rano... Dochodziło już południe.

– Pomogę pani usiąść.

Staruszka usiłowała utrzymać pionową postawę.

– Coś mi się stało w kostkę – mruknęła. Jej stopa była bardzo spuchnięta. Carrie oparła się o ścianę, z trudem łapiąc oddech. – Kim jesteś? – Spojrzała badawczo na Topaz.

– Jestem Topaz Brooke. Prudence...

– Wiem, wiem. Prudence jest siostrą twojego ojca. Pamiętam. Pomóż mi dojść do łazienki.

– Naprawdę sędzę, że powinien panią zbadać lekarz.

– Nie zadaję się z lekarzami – ucięła szorstko Carrie. – Żaden z nich nigdy nie zrobił mi nic dobrego. A poza tym i tak umieram, więc po co mi lekarz? Strata pieniędzy.

– Jestem pewna, że wkrótce poczuje się pani znacznie lepiej, panno Chancellor – powiedziała Topaz z grzeczności.

– Przecież ci mówię, że umieram. – W głosie Carrie nie było już tyle gniewu. – Właśnie dlatego chciałam to wyjąć. Muszę je spalić. On nie może się dowiedzieć.

Topaz uświadomiła sobie, że dokoła Carrie Chancellor leżały listy: na pożółkłych kartkach widniały starannie wykaligrafowane wyblakłym już atramentem litery. Na jednej z kartek Topaz spostrzegła nagłówek „Najdroższa Caroline”. Gdy pomagała Carrie wstać, zerknęła na inną kartkę i dojrzała podpis: „Twój kochający Francis”.

– Musisz mi pomóc dostać się do sypialni. To tutaj... drzwi są otwarte...

Przeszły powoli korytarzem. Topaz podtrzymywała staruszkę, czując, ile wysiłku wymagał od tej kobiety każdy krok. W płucach Carrie coś furkotało przy każdym wdechu, a jej kości wydawały się zbyt kruche, by unieść jakikolwiek ciężar.

W sypialni Carrie opadła na łóżko i leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, a jej twarz była równie biała, jak poszewka na poduszce. Gdy Topaz wytrzepała wyjedzony przez mole koc i przykryła chorą, Carrie mruknęła:

– Możesz już iść. Idź już, proszę.

Topaz zeszła na dół. W kuchni przygotowała herbatę. Przeszukała parter domu i znalazła zakurzoną butelkę sherry. Z trudem wyciągnęła korek.

Wniosła tacę na górę i zatrzymała się w połowie korytarza. Przez okna do wnętrza docierało trochę słabych promieni zimowego słońca, które rozświetliły listy, rozrzucone po podłodze. „Muszę to spalić”, powiedziała Carrie.

Topaz postawiła tacę na parapecie, zebrała listy i ułożyła z nich zgrabny stosik. Oparta o parapet, ściskając kartki w jednej ręce, powiedziała sobie w duchu, że czytanie cudzych listów to jedna z najgorszych rzeczy, jakie można zrobić. Że to coś niewybaczalnego.

I zaczęła czytać.

Weszła do pokoju Carrie, naląła jej herbaty i postawiła filiżankę wraz ze szklaneczką sherry koło łóżka. Staruszka nie poruszyła się od chwili, w której Topaz ją opuściła, ale na jej twarzy pojawiła się odrobina koloru.

– Mam tu listy Francisa Temperleya. Czy chce pani, żebym wrzuciła je do ognia? – zapytała Topaz.

Carrie natychmiast otworzyła oczy.

– Przeczytałaś je...

– Spostrzegłam podpis. Nie mogłam się oprzeć ciekawości.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – uśmiechnęła się krzywo Carrie.

Topaz przysiadła na brzegu łóżka.

– Była pani z nim zaręczona? Z ojcem Julii i Mariusa?

– Nie byłam zaręczona. Nie było żadnych zaręczyn. Ale obiecał mi małżeństwo, i owszem. – W głosie staruszki brzmiała gorycz.

– Gdzie go pani poznała?

– Nie twój interes, moja panno. – Carrie szarpnęła paznokciem kartkę. Po chwili jednak najwyraźniej złagodniała, ponieważ odrzekła: – Ma się rozumieć, że w kościele. A gdzie dobrze wychowana panna mogła poznać kawalera? Byłam wtedy ładna. Oczywiście nie piękna. Nigdy nie byłam piękną. Ale wyglądałam przyzwoicie. A już na pewno nie byłam ani brzydka, ani odrażająca. – Zerknęła na Topaz i zachichotała rozbawiona. – Nie możesz sobie tego wyobrazić, co? Carrie Chancellor jako młoda ładna dziewczyna! Ale to prawda. Wiosną nosiłam białe sukienki przewiązane niebieską szarfą i słomkowy kapelusz ozdobiony bukietem fiołków. Fiołki – powtórzyła jeszcze łagodniej. – Zawsze lubiłam fiołki.

Jej głos był coraz cichszy. Topaz podała jej filiżankę z herbatą. Carrie przez chwilę wpatrywała się w sufit, a potem z jej ust wypłynął potok dawno wstrzymywanych słów. Jakby po latach milczenia z ulgą komuś się zwierzała.

– Francis odprowadził mnie kiedyś z kościoła. Mój ojciec nie czuł się najlepiej, więc poszłam na nabożeństwo sama. Miałam siedemnaście lat, a Francis parę lat więcej. Widywaliśmy się, oczywiście, od dzieciństwa. To tu, to tam, w kościele, na plaży, podczas zakupów. Był przystojnym mężczyzną. Wysoki blondyn, oczy miał błękitne jak niebo. Nigdy nie przypuszczałam, że zwróci uwagę na mnie, małą jak myszka Carrie Chancellor. Za pierwszym

razem sądziłam, że odprowadził mnie z czystej uprzejmości. Ale w następną niedzielę przysłał mi w kościele bilecik z prośbą o spotkanie po południu.

– Pani ojciec...

– Nigdy by nie pozwolił, bym się zadawała z Francisem Temperleyem. Uważał, że to nie najlepsza partia. – W oczach Carrie pojawił się cień strachu.

– Mój ojciec był trudnym człowiekiem. Nie należało mu się sprzeciwiać. Kiedyś zamknął mnie w piwnicy za to, że coś odpyskowałam. Nigdy więcej tego nie zrobiłam. A poza tym za tamtych czasów młoda kobieta nie mogła się spotykać sam na sam z młodym mężczyzną. Groziło to utratą reputacji. Oczywiście teraz jest zupełnie inaczej. Wojna, ta druga wojna wszystko odmieniła. Nawet dzieci, te chłopaki, które wrzeszczały na podwórku. Najstarszy to Gary Prior. Jego ojciec pracował dla mnie przed wojną. Był dobrym człowiekiem. Podczas wojny wysłali go do Birmy. Jego dzieciaki zeszły na manowce, bo chłopcy potrzebują ojca, prawda? – Carrie przerwała, by zaczerpnąć tchu. – Michael Prior spędził trzy lata w japońskim obozie. Wrócił do domu, ale nie jest już tym samym człowiekiem. Prawie się nie odzywa. Nie nadaje się do żadnej pracy.

Ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara i poskrzypywanie starego domu. Carrie wypła trochę herbaty.

– On mnie kochał – powiedziała nagle. – Francis Temperley mnie kochał.

Minęło już prawie czterdzieści lat od czasu, gdy niewyobrażalnie młoda Carrie Chancellor w kapeluszu ozdobionym fiołkami pokochała Francisza Temperleya. Co się stało? Dlaczego się rozstali? Czemu Francis ożenił się z Adelą, a nie z Carrie? Topaz, pochłonięta starą historią miłosną, przestała zwracać uwagę na chłód i wilgoć w sypialni.

– Czy pani ojciec zorientował się, że się widujecie?

Carrie lekko pokręciła głową.

– To było w tysiąc dziewięćset szesnastym. Dwa lata wcześniej komisja lekarska odrzuciła Francisa, który zgłosił się na ochotnika do wojska, ale w środku wojny te rygory nie były już tak surowo przestrzegane. Wtedy wysyłali młodych chłopców do Francji całymi wagonami. Potrzebne było mięso armatnie. – Oczy Carrie pociemniały. – Francis pojechał na front. Pisał do mnie listy... Ja też pisałam do niego codziennie. Rok później przyjechał na dwutygodniowy urlop. Był już inny. Cichszy. Na wojnie widział straszne rzeczy, jak wszyscy. Nie chciał o tym rozmawiać. Mówił tylko o przyjemnych sprawach. Obiecał, że po wojnie się pobierzemy. Gdy tylko skończę dwadzieścia jeden lat.

Carrie ścisnęła filiżankę w pobielających z wysiłku palcach.

– Znów pojechał na front. Tej zimy zachorowałam na polio. Spędziłam sześć miesięcy w szpitalu zakaźnym. Od stycznia do czerwca. Myślałam tylko o nim i to pozwoliło mi wytrwać. Wydawało się, że wojna trwa całe wieki. Tyłu chłopców zginęło. Przez cały czas bardzo się o niego bałam.

– Ale on przeżył...

– Przeżył. – Twarz Carrie była jak wykuta w lodzie. Długo milczała, aż wreszcie powiedziała z wielką goryczą: – Wrócił do domu w listopadzie i przyszedł mnie odwiedzić. Miałam szynę na nodze, ale nauczyłam się chodzić o kulach. Gdy tylko na mnie spojrzał, zrozumiałam, że czuje do mnie obrzydzenie, że budzę w nim odrazę. Tego popołudnia – Carrie zaśmiała się nienaturalnie – już nie wspominał o zaręczynach. Ja też o tym nie wspominałam. Od początku nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście, a gdy zachorowałam... – Carrie odwróciła wzrok. Jej klatka piersiowa wznosiła się i opadała, gdy staruszka walczyła o oddech. – Sześć miesięcy później

dowiedziałam się o jego ślubie. Z jakąś jasnowłosą pięknoscią. Nie od razu zrozumiałam – nigdy nie byłam zbyt lotna – że patrząc na mnie, przypominał sobie wszystko, co widział we Francji. Wszystkich tych rannych żołnierzy, okaleczonych mężczyzn. A przecież chciał o nich zapomnieć, prawda? Francis Temperley był bardzo wybredny i wymagający. Pragnął mieć idealną żonę, która urodzi mu idealne dzieci. Nie potrzebował kuternogi.

Topaz nie mogła znaleźć żadnego słowa pocieszenia. Nie potrafiła wykrztusić zdania, które złagodziłoby ból dręczący tę kobietę od czterdziestu lat. Wyobraziła sobie, jak młodzianka Carrie, odrzucona przez ukochanego, zaczyna chować się przed światem, przestaje wierzyć komukolwiek i buduje wokół siebie pancierz, ucząc się cieszyć tylko tym, co uznała za niezawodne: pieniędzmi i ziemią.

– On był moją jedyną szansą – szepnęła Carrie. – Żeby mieć rodzinę. Żeby urodzić dziecko. Dziedzica Sixfields. Odebrał mi wszystko. – Filiżanka uderzyła o spodeczek. – Wcale nie pograżyłam się w czarnej rozpacz. Ojciec zmarł i na moją głowę spadła cała farma. – Jej przymrużone oczy zaśniły. Topaz ledwo dosłyszała jej kolejne słowa. – Ale kiedy się zorientowałam, że Jack spotyka się z jego córką...

– Jack? – zdziwiła się Topaz.

– Najlepsza gałąź rodu. Chancellorowie schodzą na psy. Tak to już jest ze starymi rodzinami, zaczyna brakować dobrej krwi. Większość z nich szasta pieniędzmi i nie chce pracować. Tylko Jack jest inny. – Głos Carrie trochę złagodniał. – Jack nigdy się mnie nie bał. Traktował mnie całkiem zwyczajnie. Ma to po twojej ciotce, po Prudence. Dobrze, że John Chancellor ożenił się z kimś spoza rodziny, dobrze, że wybrał sobie rozsądną żonę. – Carrie spuściła wzrok. – Jack to dobry chłopak. Ale ja nie mogłam się na to zgodzić, prawda?

– W jej głosie zabrzmiała jadowita nuta. – Nie mogłam pozwolić, żeby jego córka dostała mojego Jacka. Żeby dostała Sixfields. Nie mogłam pozwolić, po tym, co Francis mi zrobił.

Serce Topaz zabiło mocniej. W pierwszej chwili nie zdołała zrozumieć, o czym Carrie mówi. Teraz poczuła, jak zimno jest w tej sypialni. Otuliła się płaszczem, ale to nie pomogło.

– Nie chciała pani, żeby Jack ożenił się z Julią... – powiedziała powoli.

– Francis mnie zostawił. Zdradził mnie. Niewiele brakowało, a straciłabym także Jacka. – Starsza dama rzuciła Topaz dumne spojrzenie. – Kazałam mu wybrać. Musiał wybrać między dziewczyną a ziemią. – Uśmiechnęła się do siebie. – Wiedziałam, co wybierze. Czytałam w jego myślach jak w książce. Wszyscy Chancellorowie są chciwi i cenią sobie pieniądze. Wiedziałam, że nie będzie tracił czasu, by uganiać się za jakąś głupią dziewczyną.

– Ale Jack kochał Julię! A ona jego!

Carrie była nieporuszona.

– Chciałam, żeby poczuła to, co ja kiedyś. Chciałam, żeby doświadczyła tego jego córka.

Tyle nienawiści. Topaz musiała odwrócić wzrok. Jej spojrzenie zatrzymało się na pożółkłych kartkach, które ścisnęła w rękę. „Moja najdroższa... myślę o Tobie przez cały czas... ”.

– Nie mogła pani zranić Francisa Temperleya – powiedziała z niedowierzaniem – więc zraniła pani Julię. Nie mogła pani dosięgnąć ojca, więc ukarała dziecko.

– Oko za oko... – szepnęła Carrie. Jeszcze raz się uśmiechnęła. – Ty mi o tym powiedziałaś. Pamiętasz? Ty mi powiedziałaś.

Stała wtedy na krześle i układała talerze na kredensie. „Jack jest taki jak ja, nie lubi zamieszania”. W oczach Carrie błysnęła złośliwość. I wtedy ona, Topaz, powiedziała: „Ciocia Prudence sądzi, że Julia i Jack się kiedyś pobiorą. Strasznie się kochają”.

Odwróciła głowę od łóżka. Mgła już opadła, ukazując szarobrazowy krajobraz.

– Ale i tak straciła pani Jacka, prawda? Zostawił panią.

Carrie sama to spowodowała. Nie potrafiła nikomu okazać miłości i w ten sposób zraziła Jacka do Sixfields. Topaz zastanawiała się, czy to wszystko było warte takiej zaciekłości. Czy zemsta wynagrodziła tej kobiecie wszystko, co straciła?

– Zawsze mi się wydawało, że on do mnie wróci – szepnęła staruszka, a w jej głosie była dezorientacja.

Topaz nie była pewna, czy Carrie myśli o Francisie Temperleyu, czy o Jacku Chancellorze. O ukochanym czy o człowieku, w którym widziała swojego syna.

Zaprzagnęła nagle wyjść stąd czym prędzej. Ze ścian tego domu promieniowały rozgoryczenie i wrogość.

– Nie powiesz mu o tym, prawda? Nic nie powiesz Jackowi?

Topaz pomyślała o wydarzeniach, których źródłem był fakt, że Carrie nie umiała wybaczyć. O odrzuceniu Julii przez Jacka, o jej małżeństwie z Willem. Nawet zniknięcie Willa było w pewnym sensie późnym owocem tej zemsty.

A jednak wszyscy jakoś ułożyli sobie życie. Jack był szczęśliwy z żoną i małą córeczką. Julia, niespokojna, walcząca z konwenansami, znalazła zadowolenie dzięki synowi i pracy. Niewykluczone, że gdzieś daleko stąd Will

także był szczęśliwy. Może sprawy wcale nie ułożyłyby się lepiej, gdyby Carrie nie wprawiła w ruch tego koła fortuny.

– Nic nie powiem Jackowi – przyrzekła. Wyciągnęła rękę z listami. – Co mam z nimi zrobić?

– Spalić. – Głowa Carrie opadła na poduszki, jej twarz poszarzała ze zmęczenia. – Trzeba je wszystkie zniszczyć.

Will myślał przez pewien czas o tym, by opuścić Coldharbour Farm. Zawsze tak postępował, gdy zacieśniały się więzi między nim a innymi ludźmi. Zdążył jednak zaledwie zdjąć plecak z kołka i już porzucił ten pomysł.

Przez parę kolejnych tygodni cieszył się, że praca nie pozostawia mu wiele czasu na myślenie. Zimą zawsze jest dużo roboty z samochodami: akumulatory zamarzają, silniki nie chcą zapalać, auta wpadają w poślizg na oblodzonych drogach, tłuką się szyby i wgniatają zderzaki. Kilka razy śniły mu się tańczące anioły. Budził się wtedy o czwartej nad ranem i myślał o wszystkim, co za sobą zostawił, o porzuconych zobowiązaniach, niedokończonych sprawach. W tych snach spojrzenia aniołów były skierowane na niego. Jakby te dobre duchy oczekiwały, że Will wszystko naprawi.

Siedział godzinami w bibliotece w Lincoln, przeglądając grube książki na temat historii sztuki. Otaczały go anioły: surowe, uśmiechnięte, znudzone. Czytające książki i grające na instrumentach. Anioły balansowały na wełnianych obłoczkach i siedziały w mrocznych wnętrzach, przybrawszy uprzejmy wyraz twarzy, jakby ktoś je zaprosił na popołudniową niedzielną herbatkę. Na żadnym z obrazów nie były podobne do jego tańczących aniołów.

W innej sali biblioteki osaczały go całkiem inne wspomnienia. Czytając gazetowe doniesienia na temat procesu norymberskiego, myślał o Ricku. W porównaniu z Martinem Bormannem czy Hermanem Goringiem, którzy

dopuszcili się zbrodni wojennych, Rick był niewiele znaczącym pasożytem. Żywił się odpadkami ze stołu tamtych. Wojna stworzyła mu dogodne możliwości, warunki, w których jemu podobni mogli rozwinąć skrzydła. Will zastanawiał się, czy Rick zdołał się dostosować do nowych warunków czasu pokoju, czy może także nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Myśl o rodzinie budziła w nim ogromną, bolesną tęsknotę. Wiedział, że lata rozłąki z najbliższymi sprawiły, że rzeczywiście obumarła jakaś część jego prawdziwego ja. Wspominał choroby, które go prześladowały w dzieciństwie. Matka siedziała przy jego łóżku dniami i nocami przez wiele tygodni i miesięcy. Często był kłótlivy i marudny, ale nie pamiętał, by Prudence kiedykolwiek okazała zniecierpliwienie. Will wiedział doskonale, co jego zniknięcie oznacza dla matki. Pamiętał, jak cierpiała, gdy Jack poszedł na wojnę, i jak się cieszyła, kiedy wrócił. Z wyrzutami sumienia wspominał własne egoistyczne rozumowanie, którym próbował usprawiedliwić to, że pozwolił rodzinie uwierzyć w swoją śmierć. Powtarzał sobie, iż rodzice woleliby jego śmierć niż hańbę. Cóż za bzdura! Will zrozumiał wreszcie, na czym polega miłość. Wiedział, że kochałby Philippę bez względu na to, czy byłaby chora, oszpecona blizną czy zhańbiona. A gdyby przyszło mu ją stracić, opłakiwałby ją do końca życia. Odszedł, ponieważ nie był w stanie sprostać konsekwencjom tego, co zrobił; uciekł, ponieważ nie chciał patrzeć na rozczarowanie rodziców wywołane postępowaniem ukochanego syna. Kierowała nim troska o samego siebie; cierpienie rodziny nie odgrywało żadnej roli w jego postępowaniu.

Gdy wrócił na farmę, Harold w stodole otrząsał błoto i ziemię z rzepy.

– Muszę wyjechać – powiedział Will. – Nie wiem, na jak długo. Harold obrócił się ku niemu.

– Ale wrócisz?

– Mam nadzieję.

Zapadła cisza. Harold położył rzepę na drewnianej półce.

– A czy ty i Philippa... czy wyjaśniliście już wszystko między sobą? Z miejsca, gdzie stał, Will widział wagon kolejowy, który był jego domem i jego schronieniem.

– Właśnie o to mi chodzi. Haroldzie, zrobiłem coś złego, zanim się tu pojawiłem. Chciałbym to wszystko naprawić. Jeśli mi się uda, na pewno wrócę.

Harold się wyprostował.

– Philippa jest dla mnie wszystkim. Nie chciałbym, żeby ktoś ją skrzywdził, Will.

Will zmusił się, by spojrzeć mu w oczy.

– Nigdy mnie o nic nie pytałeś. Zaufałeś mi. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci się za to odwdzięczyć. Proszę cię tylko, abys jeszcze raz mi zaufał. – Podał Haroldowi skoroszyt. – Przygotowałem trochę ćwiczeń dla uczniów, żeby mieli co robić podczas mojej nieobecności.

Gdy Harold spojrział na skoroszyt, zmarszczył brwi. Na okładce było napisane wielkimi literami: „Will Chancellor”. Will ze zdziwieniem przekonał się, że ogarnęła go wielka radość, gdy odzyskał swe prawdziwe nazwisko.

Podczas pogrzebu Carrie Chancellor padał deszcz. Szara, nieustająca mżawka spowiła cmentarz i okolicę w lśniący welon. Słowa psalmu – „Pan wszelkiej nadziei, Pan wszelkiej radości” – wydały się Topaz wyjątkowo źle dobrane. Chowano przecież osobę, która ponad pół życia strawiła, pielęgnując swoje nieszczęście. Bóg Carrie był z pewnością Bogiem starotestamentowym, cierpliwym i mściwym, sędzią, który odpłacał dzieciom za grzechy ojców.

Upłynęły zaledwie trzy tygodnie od jej bytności w Sixfields; trzy tygodnie od chwili, w której poznała historię miłości Carrie do Francisa Temperleya. Dwa tygodnie po tej wizycie staruszka zmarła, wycieńczona ostatecznie zapaleniem płuc. Topaz dotrzymała słowa i nikomu nie zdradziła sekretów Carrie. Ale ta historia nie dawała jej spokoju.

Po nabożeństwie i pogrzebie klan Chancellorów udał się do Sixfields na stypę, którą przygotowały Prudence i Topaz. Prudence i pani Sykes spędziły cały poprzedni tydzień na odkurzaniu i szorowaniu, dzięki temu można było wprowadzić gości do kilku pokoi na parterze. Po pogrzebie prawnik Carrie odczytał testament. Topaz została w kuchni. Gdy skończył, zapadła śmiertelna cisza, a po chwili nastąpił wybuch wulkanu: cała rodzina zaczęła krzyczeć, machać rękami i protestować. Prudence wróciła do kuchni, napełniła czajniki i postawiła je na piecu.

– Herbata powinna ich trochę uspokoić – powiedziała. Była wyraźnie oszołomiona.

Topaz uciekła przed tym zgiełkiem na górę. Pokoje i korytarze na piętrze wciąż pokrywała gruba warstwa kurzu, a potłuczone szyby ktoś zastąpił dyktą. Weszła do sypialni Carrie i spojrzała na kominek, zasypyany zimnym popiołem. Zastanawiała się, czy zdołalaby dojrzeć w nim strzępy młodzieńczej namiętności Francisa Temperleya. Carrie spaliła listy dopiero przed śmiercią. Zniszczyła je, żeby Jack ich nie znalazł i nie dowiedział się, dlaczego pragnęła rozdzielić go z Julią. Gorycz i strach zniekształciły duszę staruszki znacznie bardziej niż choroba jej ciało. Strach kazał jej unikać miłości. Lęk przed odrzuceniem, przed bólem.

Topaz pomyślała, że nie wolno jej popełnić tego samego błędu. Trzeba podejmować ryzyko; czasem nawet stanąć na linie. Zamykając za sobą drzwi,

mruknęła do siebie: „Jeśli nic nie zaryzykujesz, nic nie zyskasz” – i pobiegła na dół. Wyszła na podwórko, wybrała jakiś rower z wielu opartych o ścianę i ruszyła przed siebie.

Gdy tylko wyszedł ze starej kaplicy, w której mieściła się firma, zawołała go po imieniu. W jego uśmiechu nie było ani cienia dezaprobaty, poczucia obowiązku czy uprzejmości, ale zaskoczenie i prawdziwa radość.

– Postanowiłam cię odwiedzić – powiedziała.

– Ja także chciałem się z tobą spotkać. Wiedziałem, że przyjedziesz na pogrzeb. Przyszło mi do głowy, że może trzeba cię wybawić od towarzystwa zbyt licznych Chancellorów. – Marius zmarszczył brwi. – Nie, to nieprawda. Chciałem cię po prostu przeprosić.

– Przeprosić mnie?

– Za tamten wieczór. Kiedy zjawiłem się nagle na twoim przyjęciu.

– Nie było aż tak źle, jak się mogło wydawać – usprawiedliwiła się szybko. – Wiesz, jaki jest nastrój w okresie Bożego Narodzenia: człowiek nawet się nie spostrzeże, a całuje kogoś, kogo nigdy w życiu by nie pocałował w innych okolicznościach.

– Tak czy inaczej, miałaś rację. To nie moja sprawa. – Marius zrobił śmieszny minę. – Wyobrażam sobie, co musiałaś o mnie myśleć, gdy od czasu do czasu wtrącałem się do twojego życia i cię strofowałem. To fatalne przyzwyczajenie i obiecuję, że już nigdy tego nie zrobię.

Topaz nie posiadała się z radości. Marius się na nią nie gniewał! Marius jej wybaczył!

– Możemy stać tu i przeproszać się nawzajem jeszcze przez jakiś czas, ale pada deszcz, a ja powinnam zwrócić to – poklepała kierownicę roweru – do Sixfields, nim ktoś się zorientuje, że brakuje jego roweru.

– To nie jest twój rower?

– Pożyczyłam go.

– Pożyczyłaś?

– No cóż. Raczej ukradłam. – Wykrzywiła się. – Ten hałas, Marius. Tam, w Sixfields. Musiałam stamtąd uciec. Wszyscy Chancellorowie się kłóca. Obawiam się nawet, że zaczną się bić. Właśnie odczytano testament. Carrie zostawiła wszystko Jackowi. Dom, pieniądze – zdaje się, że bardzo dużo – ziemię i wszystkie swoje ruchomości. Maurice chce zaskarżyć testament.

– Naprawdę? – Marius był nieco rozbawiony.

– Jack i Carrie się pokłócili. Myślał, że go wydziedziczyła.

– Ale nie zrobiła tego?

Topaz nagle posmutniała, przypomniawszy sobie starą kobietę, uwięzioną w zrujnowanym domu.

– Zdaje się, że Carrie zawsze zamierzała zostawić Sixfields Jackowi. Kochała go na swój sposób.

– Tęskniłem za tobą, Topaz – wyznał nagle Marius.

– Naprawdę?

– Bałem się, że mnie unikasz. Albo że w końcu wyrosłaś z tej znajomości. To się zdarza. Nie będę się dziwił, jeśli tak właśnie czujesz.

– Nigdy nie wyrosnę z tej znajomości, Marius. Nigdy. Coś błysnęło w jego oczach. Serce Topaz zatrzepotało.

– Tego nie można być pewnym.

– Ja jestem pewna. Byłam bardzo zajęta. A poza tym musiałam przemyśleć to i owo.

– I co? Przemyślałaś?

– Chyba tak. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Dziś wieczorem muszę koniecznie pójść na koncert do szkoły Tary. Będiesz tu jeszcze jutro wieczorem? Moglibyśmy wybrać się na kolację albo na jakiś film.

– Na film – zdecydowała Topaz.

– Dobrze. – Jego oczy wciąż były rozświetlone. – W takim razie koło siódmej.

Topaz wróciła do Sixfields. Pomagała Prudence w sprzątaniu i pakowaniu talerzy i przyborów kuchennych, nie zwracając uwagi na fatalną pogodę ani na gderanie Chancellorów, rozchodzących się do swoich domów.

W swoim pokoju w Dorset dała wreszcie upust rozedrganym emocjom. Marius zaprosił ją na randkę! Czy to rzeczywiście prawdziwa randka, czy też nagroda pocieszenia za to, że zawiódł ją wówczas, gdy miała siedemnaście lat? Nie bądź głupia, mówiła sobie w duchu, gdy wątpliwości zaczynały przeważać, on próbuje tylko przywrócić normalne, przyjacielskie stosunki po grudniowej kłótni.

Nie wierzyła w to jednak tak naprawdę. „Tęskniłem za tobą, Topaz”, powiedział. I miał takie promienne spojrzenie. Topaz dojrzała w tym promyczek nadziei.

Dźwięk telefonu na dole wyrwał ją z zamyślenia. Otworzyła szafę, by przejrzeć garderobę, którą ze sobą przywiozła. Uznała, że czarna sukienka, którą przywiozła na pogrzeb, jest zbyt surowa. Mogła włożyć spódnicę w szkocką kratę i sweter koloru rdzy. Albo jedwabną bluzkę, do której pasowałaby apaszka od Mariusa.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Topaz otworzyła.

– Dzwoniła twoja matka, Topaz. Obawiam się, że miała jakiś wypadek, moja droga – powiedziała Prudence.

Wiadomość o śmierci Carrie obudziła w Jacku mieszane emocje, wśród których przeważały niedowierzenie i żal. Przypuszczał, że ta stara wiedźma pożyje ze sto lat. Żałował natomiast, że nie zdążył się z nią pogodzić, choć przez cały czas zamierzał podjąć taką próbę.

Jack zostawił Esther i Louise w Kanadzie, sam zaś przyjechał na pogrzeb. Podczas podróży dużo myślał o Carrie. Pomimo kłótni i sporów szanował staruszkę i miał dla niej sporo ciepłych uczuć. Cenił ją za wytrwałość i odwagę. Przypomnił sobie, jak podczas żniw kuzynka wrzucała widłami siano na wóz, jak pracowała dłużej niż inni, nie pozwalając, by zwyciężyła ją fizyczna słabość. Bez wątpienia często musiała znosić ból, ale nigdy nie narzekała. Jackowi przyszło do głowy, że jędzowaty charakter pomógł Carrie wytrwać w tym, co postanowiła.

Oddał jej ostatni hołd, przyjeżdżając na pogrzeb. A potem prawnik odczytał testament. Tym razem Jacka ogarnęło niedowierzenie, ale i rozbawienie. Jak na starą jędzę przystało, do końca trzymała ich w niepewności. Wyobraził sobie, jak chichocze złośliwie, patrząc z góry na burzę, którą rozpętała. Nie zadała sobie nawet tyle trudu, by podzielić majątek. Żadnych zapisów za wierną służbę, żadnych ochłapów dla krewnych, którzy przez lata składali jej wizyty, w nadziei, że będzie o tym pamiętała, pisząc testament. Zostawiła wszystko jemu, Jackowi Chancellorowi. Od stosów starych gazet i zardzewiałych narzędzi rolniczych po akcje, obligacje i oszczędności umieszczone w Coutts Bank w Londynie.

Nazajutrz po pogrzebie Jack pojechał do Sixfields. Zaparkował samochód na wzgórzu. Z tego miejsca widać było całą posiadłość. W oddali morze mieniło się i opalizowało we mgle. Trudno wyobrazić sobie Sixfields bez Carrie. Jej uparty, krnąbrny duch był nieodłączną częścią farmy, tak samo jak

nierówny dach czy kręte korytarze dworu. Jack zastanawiał się, co Sixfields znaczyło dla Carrie. Czy było azylem, czy więzieniem? Czy naprawdę kochała tę ziemię, czy też odpowiedzialność za wszystko, co posiadała, odebrała jej chęć do ucieczki? On przecież w pewnej chwili pozwolił, by marzenie o Sixfields wpłynęło na bieg jego życia.

Zabrał się do sortowania rzeczy pozostałych po zmarłej. Przystąpił do pracy metodycznie, porządkował pokój za pokojem, oddzielając wszystko, co chciał zostawić, od tego, co zamierzał sprzedać lub spalić. Kurz wzbijał się w powietrze, a wilgoć sprawiała, że w Sixfields było zimniej niż w Saskatchewan, choć w Kanadzie panowały znacznie niższe temperatury. Jack chciał jak najszybciej uporać się z tą pracą, zamieszkał więc w Sixfields, żywił się kanapkami i konserwami i spał na jednej z sof, która była w trochę lepszym stanie niż pozostałe. Nie miał ochoty położyć się w żadnej sypialni, pod baldachimem, w poszarzałej pościeli. Czuł się tak, jakby po mrocznych wnętrzach przechadzały się duchy. Wkrótce śmieci, przeznaczone do spalenia, utworzyły potężny stos na dziedzińcu. Na wierzchu leżały pozbawiona rąk lalka, zepsuty wałek i mnóstwo poplamionych książek bez grzbietów.

We dworze znajdowały się także ukryte skarby. Większość mebli nadawała się wprawdzie tylko na podpałkę, ale Jack odnalazł także bogato rzeźbione skrzynie z czasów króla Jakuba oraz lekkie biurka i krzesła z okresu regencji. Pośród popękanych i wyszczerbionych naczyń stały śliczne stare talerze, niektóre pochodziły nawet z siedemnastego wieku. Jack zamierzał podarować je matce. W bibliotece dostrzegł pierwsze wydanie dzieł wszystkich Dickensa i kolekcję obrazów, wśród których królowały morskie pejzaże. Malarzowi udało się uchwycić zmienną urodę tej okolicy. Jack postanowił zabrać je do Kanady, by Esther zrozumiała, dlaczego tak kochał to miejsce.

Po dwóch dniach udało mu się doprowadzić do porządku parter; trzeciego przeniósł się na górę. Nim zapadł zmierzch, udało mu się uporać z sześcioma sypialniami. Zrobił sobie przerwę, by coś zjeść, i zaczął się zastanawiać, czy nie wrócić na noc do rodzinnego domu. Miał już serdecznie dość zupy z puszki i kanapek, a poza tym coraz gorzej czuł się w tym opustoszałym miejscu. Stary dwór krył wiele niespodzianek, Jack obracał się nerwowo, słysząc poskrzypywanie starych stropów. W kątach leżały dziwne cienie, w środku nocy całkiem niespodziewanie trzaskały jakieś drzwi. Źródłem energii elektrycznej w Sixfields był stary, kapryśny generator, który od czasu do czasu przerywał dostawę prądu i cały budynek pogrążał się wtedy w ciemnościach.

Jack doszedł do wniosku, że uporządkuje jeszcze jedno pomieszczenie, a potem wróci do domu. Tęsknił za towarzystwem. Czuł, że zbyt długa samotność może go doprowadzić do szaleństwa.

Zajął się komórką na samym końcu korytarza. Z trudem otworzył drzwi, jakby nikt tu od dawna nie wchodził. Na parapecie leżały mole, które przed laty trafiły do tej pułapki, ich delikatne brązowe skrzydełka pokryła warstwa kurzu. Od kąta do kąta ciągnęła się gruba jak sznur pajęczyna. Jej strzępy przykleiły się Jackowi do rąk, gdy próbował ją zmieść.

W komórce stało mnóstwo komódek i serwantek. Jack zaczął otwierać szuflady i szklane drzwiczki. W kartonowych pudłach ktoś jeszcze w poprzednim stuleciu poukładał kobiece magazyny. W dużym worku znajdowały się kłęбки wełny, ciemne kasztany i zielone butelki. Obok dziecięcej grzechotki z kości słoniowej leżały czyjeś narzędzia chirurgiczne.

Jack schował grzechotkę do kieszeni. Na samym dnie szuflady znalazł jakieś niewielkie zawiniątko, przypominające kafelek albo kawałek deski.

Odwinął osłonę z juty. Kiedy zobaczył, co się pod nią kryje, oparł się o drzwi, by złapać oddech.

Will siedział w samochodzie i czekał. Gęste chmury wróżyły ciemną, bezksiężycową noc; po szybach auta spływały krople deszczu. Od czasu do czasu włączał silnik, by się trochę rozgrzać.

Z trudem opanowywał zdenerwowanie. Przez chwilę chciał stąd odjechać i znów zacząć życie od nowa. Ale nie zrobił tego. Postanowił rozproszyc złe myśli, koncentrując się na sprawach praktycznych. Miał nadzieję, że dobrze pamięta rozkład pomieszczeń w domu. Zakładał, że, podobnie jak tamtej nocy, psy będą go pamiętały i nie zaczną szczekać. Miał nadzieję, że znajdzie wszystko na swoim miejscu i że kuzynka Carrie nie odkryła dziwnym zrządzeniem losu skarbu, który schował w jej domu.

O dziesiątej wysiadł z samochodu. Wyjął płaszcz przeciwdeszczowy i czekoladowe cukierki. Cukierki chciał dać psom.

Gdy dotarł do Sixfields, okazało się jednak, że nie ma żadnych psów. Na dziedzińcu panowała cisza. Niedaleko bentleya kuzynki Carrie ktoś usypał ogromny stos rupieci do spalenia. Pewnie zabrała się do porządków, pomyślał Will. Najwyższy czas.

Dwór był pogrążony w ciemnościach, Will uznał więc, że jego właścicielka położyła się spać. Miał nadzieję, że zasnęła głęboko. Przechadzka uspokoiła trochę jego nerwy. Dotykając klamki kuchennych drzwi, był dziwnie rozluźniony. Drzwi były otwarte. Will poświecił latarką do wnętrza. Zatrzymał się na chwilę w przedsionku, a krople deszczu z jego płaszcza spływały na podłogę. W pomieszczeniu było dziwnie pusto. Z półek zniknęły dobrze znane butelki, pokryte pajęczyną. Will otworzył kolejne drzwi i zatrzymał się na widok gąszcza korytarzy. Po chwili skierował się w stronę schodów po prawej

stronie. Ich poskrzypywanie brzmiało w ciszy jak wystrzały z rewolweru. Teraz w lewo, powiedział do siebie, dotarłszy na piętro. Po obu stronach holu były jakieś drzwi, Will nie zdążył się schylić w porę i uderzył głową w niską powałę, ale tylko przełknął przekleństwo. Nie mógł sobie przypomnieć, które to drzwi. Otworzył jedno, potem drugie, cały czas w strachu, że źle trafi i za chwilę wpadnie na wściekłą Carrie w koszuli nocnej, z pistoletem w ręku.

W żadnym pokoju nikogo jednak nie było, panował w nich dziwny, nietypowy dla Sixfields porządek, a czyjaś ręka przestawiła meble. Dopiero za zakrętem zobaczył właściwe drzwi, pomalowane łuszczącą się zieloną farbą. Nacisnął kłamkę.

Za jego plecami rozległ się znajomy głos:

– Will? Will, czy to ty? Czy tego szukasz?

Gdy Will odzyskał głos, zapytał:

– Co ty tu robisz, do diabła?

Jack podszedł bliżej.

– Pakuję.

– Pakujesz?

– Segreguję rzeczy Carrie. – Jack obrzucił brata uważnym spojrzeniem. –

Wszystko w porządku?

– W porządku. – Will oparł się o ścianę, bo coś go ścisnęło w dołku. – Ale mnie wystraszyłeś. Myślałem, że jesteś... myślałem, że jesteś... – Nie odrywał spojrzenia od brata, jakby się obawiał, że tamten rozplynie się nagle w powietrzu i wtopi w ścianę.

– Duchem? – dokończył za niego Jack. – A jak, twoim zdaniem, ja się czułem, gdy się obudziłem i usłyszałem, że ktoś się skrada?

Will rozmasował sobie czoło.

– Pakujesz... – powtórzył.

– Carrie zmarła miesiąc temu. Zapisała mi ten dom. Próbuję to wszystko uporządkować przed wyjazdem do Kanady.

– Do Kanady? – Will zachowywał się tak, jakby był echem, powtarzającym słowa brata w ciemnościach.

– Esther jest Kanadyjką – wyjaśnił Jack, a gdy brat znów spojrzał na niego ze zdumieniem, dodał: – Esther to moja żona.

– Och. – Przez głowę Willa przemknęła lawina myśli. Julia. Jack. Esther. Spojrzał na brata. – Masz jakiegoś papierosa?

Jack podał mu paczkę papierosów i zapalniczkę. Walcząc z drżeniem rąk, Will zapalił papierosa i się zaciągnął. Usłyszał głos brata:

– Wróciłeś po to, prawda?

Jack trzymał w ręku obraz z tańczącymi aniołami. Anioły wciąż się unosiły i uśmiechały, rozkładając swe mocne, pierzaste skrzydła, jakby na niego czekały.

– To pochodzi z kradzieży – wyjaśnił Will.

– Co ty powiesz... – Jack nie mógł się powstrzymać od sarkazmu.

– Chciałem znaleźć osobę, do której ten obraz należał. Chciałem zwrócić zagrabione mienie właścicielowi.

Zabrzmiało to śmiesznie i pompatycznie, zwłaszcza w mroku korytarza i wobec Jacka, który, jak to w przeszłości bywało, znów miał wystąpić w roli sędziego. Jack musiał odnieść podobne wrażenie, ponieważ pociągnął nosem i zapytał:

– Na miłość boską, Will, czy zawsze musisz być taki melodramatyczny?

Will się zirytował.

– Od czegoś musiałem zacząć. Chcę wszystko naprawić.

– A czy nie mógłbyś po prostu wrócić do domu, otworzyć drzwi i powiedzieć: „Już jestem”?

Tego właśnie należało się spodziewać po Jacku: że przywita go jakąś charakterystyczną dla starszego brata drwiną. Jack zawsze krytkował każde jego posunięcie. – Czy ty masz pojęcie, jakie to trudne? Tak po prostu wrócić do domu i otworzyć drzwi?

– Moim zdaniem to rozsądne rozwiązanie. – Jack niemal zmiądzzył go spojrzeniem.

– Przecież ja nie wiem, co oni o mnie myślą – czy w ogóle myślą, czy raczej mnie nienawidzą.

Jack wykrzywił wargi.

– Will, przestań wreszcie dramatyzować.

– Dramatyzować!?! – Podniósł głos. – Czy ty nie rozumiesz, jakie to trudne?

– A sądzisz, że nam było łatwo? – Tym razem w głosie Jacka zabrzmiała ironia. – Pozwoliłeś nam wierzyć, że nie żyjesz, podczas gdy wystarczyło po prostu zadzwonić.

– Czy ty naprawdę nie możesz pojąć – Will przestał nad sobą panować – że to było zupełnie niemożliwe? – Reakcja brata dotknęła go do żywego. – Ty nigdy nie miałeś za wiele wyobraźni, Jack. Dlatego że tobie wszystko zawsze przychodziło tak łatwo.

– Do diabła...

Will ucieszył się, widząc, że wytrącił Jacka z jego słynnej równowagi.

– Nie miałem pojęcia, czy chcecie, żebym wrócił do domu. Myślałem, że o mnie zapomnieliście. Myślałem, że najprawdopodobniej świetnie sobie radzicie beze mnie.

– Tak było ci wygodniej, prawda? Myśleć, że to my zapomnieliśmy o tobie. – Jack mówił pogardliwym tonem. – I sprawa załatwiona.

– Wcale nie uważałem, że sprawa jest załatwiona...

– Było ci wygodniej zrzucić całą winę na nas.

Will z wściekłości przestał rozumować logicznie.

– Zawsze musisz myśleć o mnie wszystko, co najgorsze? Powrót do domu... – Wspomnienia lat tułaczki zawirowały mu w głowie: ponure

pensjonaty, noce spędzone w rowach, samotność. –Przez całe lata zbierałem się na odwagę...

– Chyba nie starałeś się aż tak bardzo... – W niebieskich oczach Jacka także widniał gniew.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? – Will zacisnął pięści, z trudem powstrzymując ochotę, by uderzyć brata. – Ty nigdy niczego się nie bałeś, prawda? Więc skąd możesz wiedzieć, o czym ja mówię?

Jack lekceważąco machnął ręką.

– Tylko nie próbuj starych numerów. Biedny, mały Will, którego nikt nie rozumie. Czuję się dokładnie tak samo, kiedy wracałem tu po wojnie.

– To nieprawda, Jack, nieprawda. – Głos Willa drżał. – Ja nie jestem cholernym bohaterem. A ty byłeś.

Zapadła cisza. Will się odwrócił. Nie mógł pozwolić, by Jack zobaczył jego łzy. W końcu usłyszał:

– Masz rację. Rozumiem. – Jeszcze jedna pauza. – Ale tak czy inaczej było mi trudno wrócić do domu.

Will zamrugał powiekami, żeby powstrzymać łzy.

– Nie musisz tego mówić. Nie musisz kłamać. Nie chcę twojej litości.

– Nie kłamię. Było mi ciężko. Nie zauważyłeś? – Jack mówił innym, całkowicie pozbawionym brawury tonem. – Wydawało mi się, że będzie cudownie. Tyle lat czekałem na tę chwilę. Tak cholernie tęskniłem za domem. A gdy wróciłem, okazało się, że wszystko jest nie tak jak trzeba.

– Ale wszyscy na ciebie czekali. Było nawet przyjęcie.

Jack zaśmiał się ironicznie.

– Nie miej nadziei, że tobie się uda uniknąć przyjęcia – westchnął. – Oni wcale cię nie nienawidzą. Wręcz przeciwnie. Zarzną tłustego cielaka.

Will bardzo pragnął mu wierzyć, ale nie mógł.

– Nie. To zupełnie co innego. To, co ja zrobiłem.

– Chodź, napijemy się – przerwał mu Jack niecierpliwie. – Wyglądasz, jakbyś potrzebował drinka. Mnie też się przyda, jeśli mam być szczery.

Will zawahał się przez chwilę, a potem, nie mając siły dalej się kłócić, poszedł za bratem na dół. W salonie Jack nalał whisky do dwóch szklanek i podał jedną bratu.

– Generator jest uszkodzony i dlatego nie ma światła – wyjaśnił. – Mogę rozpaść ogień w kominku. W tym domu jest dość archaiczny system ogrzewania, ale nieźle mi szło, gdy używałem starych mebli na podpałkę.

Gdy ogień już płonął, Will, który tymczasem zdążył się zastanowić, zauważył:

– Wiedziałeś o obrazie.

– Nie wiedziałem, że jest tutaj. Julia szukała go w Hidcote Cottage i w warsztacie. Nikt z nas nie pomyślał, aby szukać tutaj.

– Julia... – szepnął Will.

– Mieszka teraz w Londynie. Dobrze sobie radzi. – Jack podniósł do góry szklankę. A potem dodał: – Twój stary wspólnik w ciemnych interesach, Rick Hunter, powiedział jej o tym malowidle.

Will zrozumiał, że Jack wie o wszystkim. O czarnorynkowych kuponach, o nielegalnym handlu walutą. Złapał się za głowę i jęknął.

– Jesteś idiotą, Will – stwierdził Jack dość przyjaznym tonem. – Dlaczego nie przyszedłeś do mnie, kiedy wpadłeś w tarapaty?

– Zamierzałem to zrobić. I wtedy zobaczyłem ciebie z Julią. To było wieczorem tego dnia, gdy zdarzył się wypadek. Widziałem was w twoim domu.

Jack odwrócił głowę, Will zdążył jednak dojrzeć wstyd w jego oczach.

– Mielicie romans, prawda?

– Nie.

– Nie musisz kłamać. To nie ma już żadnego znaczenia.

– Julia zerwała ze mną tego wieczoru. Widywaliście się, to prawda. Ale nigdy cię nie zdradziła.

Will patrzył na brata z niedowierzaniem.

– Wprawdzie robiłem, co mogłem, by poszła ze mną do łóżka – dokończył Jack z goryczą i machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Sam nie rozumiem, jak mogłem się w ten sposób zachować.

– Kochałeś ją.

– I to wystarczy, by coś takiego usprawiedliwić? – Spojrzał na niego swymi niebieskimi oczami.

– Może wystarczy, żeby... zrozumieć.

Ogień w kominku trzaskał i syczał.

– W każdym razie właśnie dlatego opuściłem Sixfields i wyjechałem do Kanady. Nie mogłem patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

– Ty, Jack?

– Zawsze uważałeś mnie za chodzącą doskonałość – za irytującą doskonałość – prawda? Ale to tylko twoje zdanie. Nie moje.

– Wszystko przychodziło ci z taką łatwością...

– To samo mówiłeś tam, na górze... wszystkie te bzdury. O tym, że się niczego nie bałem. Jezu! Gdybyś ty wiedział... Między innymi dlatego tak się cieszyłem, że wracam do domu. Cieszyłem się, że nie będę już musiał mieć oczu dookoła głowy, żeby nie dostać kuli w plecy. Że nie będę musiał uważać

na każdy krok, by nie nadepnąć na minę. Mój Boże, przez te cztery cholerne lata żyłem w ciągłym napięciu.

– Dlaczego o tym nie mówiłeś?

– Nie mogłem. – Pokręcił głową. – Nie wiem dlaczego. To znaczy... o tym się przecież nie gada. No bo z kim? Z facetami, którzy przeszli jeszcze gorsze piekło? Czy z tymi, którzy zostali w domu i nie mają pojęcia, o czym mówisz?

– Mogłeś porozmawiać ze mną. Może nie było ze mnie wielkiego pożytku, ale przynajmniej postarałbym się zrozumieć.

Jack nie odpowiedział.

– Przyjechałem tu dlatego, że... – zaczął Will.

– Tak?

– Poznałem kogoś.

– Aha..

– Tylko że wciąż jestem mężem Julii.

Jack wypił swoją whisky do końca.

– Niezły numer.

– Czy sądzisz... – zawahał się Will – że ona zgodzi się dać mi rozwód?

– No cóż, nie przypuszczam, by chciała zaczynać wszystko od nowa.

– Ale u niej wszystko w porządku? Naprawdę?

– Już ci mówiłem. Po śmierci Suzanne Julia wróciła do pracy w firmie.

– Po śmierci Suzanne? – powtórzył Will.

Jack zmarszczył brwi.

– No tak, ty nic nie wiesz. Skąd mógłbyś wiedzieć? Suzanne zginęła przed paru laty w wypadku samochodowym.

Will był bardzo poruszony. Dziwne, ale pomimo wszystko oczekiwał, że niewiele się zmieniło.

– Marius nie mógł sobie z tym poradzić. Julia zachowała się rewelacyjnie, zastąpiła go w pracy i dzięki niej firma dalej funkcjonowała.

– A co u mamy? – zaniepokoił się nagle Will.

– Wszystko w porządku. U taty także. – Jack przerwał. – Co się dzieje, Will?

– Nagle... nagle poczułem, że jestem już kimś obcym.

– Masz trochę do nadrobienia, to wszystko.

Will odwrócił wzrok. To była długa podróż do domu. Bardzo długa. Zacisnął pięści.

– Nie jestem pewien, czy zdołam temu sprostać. Wydawało mi się, że tak, ale teraz nie jestem pewien.

– Bzdura – podsumował Jack szorstko. – Jasne, że zdołasz. Pójdziemy razem. Będziemy cały czas rozmawiać. – Zapadła cisza. Po chwili Jack dodał trochę niezgrabnie: – Cieszę się, że cię widzę, Will. Naprawdę. – Nalał do obu szklanek jeszcze trochę whisky. – Wypijmy. Za odwagę.

– A jeśli... – zaczął Will, ale brat położył mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze. – Potem uśmiechnął się lekko i dodał stanowczym tonem: – Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć. Wyjął z kieszeni kilka zdjęć i podał jedno bratu. – To moja żona, Esther. – Podając Willowi fotografię pulchnego bobasa, dodał znacznie łagodniej: – To moja córka, Louise. A ty, Will, masz syna.

Prudence zawsze powtarzała, że Johna nie obudziłyby nawet huragan. Gdy więc o północy rozległ się dzwonek, sama musiała wstać i otworzyć drzwi. Otulona grubym szlafrokiem, ponieważ w mieszkaniu przy szkole zawsze było

zimno, zeszła po schodach. Schodziła z duszą na ramieniu, bo wiedziała z doświadczenia, że nocni posłańcy zazwyczaj przynoszą złe wiadomości.

Zdjęła łańcuchy, przekręciła klucze i otworzyła drzwi. Najpierw zobaczyła Jacka. A potem spostrzegła, że nie jest sam, że stoi za nim ktoś trochę niższy, jasnowłosy, z twarzą ukrytą w ciemnościach.

Gdy rozpoznała swego młodszego syna, nie mogła powstrzymać się od łez.

Veronica poślizgnęła się, wysiadając z windy u Selfridge'a, i złamała sobie nadgarstek. Po powrocie do Londynu Topaz przeniosła się do swej dawnej sypialni na Bayswater. Veronica, obolała, zamknięta w mieszkaniu i pozbawiona jakichkolwiek rozrywek, była rozdrażniona i marudziła jeszcze więcej niż zwykle. Potrawy, które Topaz przygotowywała, były zbyt skomplikowane, by można je jeść lewą ręką. Córka nie potrafiła wyszczotkować jej włosów tak, jak należy, a w pralni zginęła jedwabna bluzka. Topaz zachowywała się w sposób po prostu śmieszny, odmawiając podawania koktajli przed osiemnastą. Veronica musiała przecież pić, ponieważ tylko alkohol uśmierzał ból.

Topaz była wciąż rozdarta między pragnieniem, by czym prędzej uciec z dusznego, zagraconego mieszkania, a współczuciem dla matki. Przed południem, spodziewając się gości, Veronica czyniła nieporadne i żalosne wysiłki, by nałożyć sobie makijaż lewą ręką. Wyczerpujące, poranne wysiłki, by wtłoczyć matczyne ciało w zestaw skomplikowanej bielizny, którą koniecznie musiała włożyć, wprawiały w zakłopotanie i rozdrażnienie obie strony.

Topaz starała się myśleć jak najwięcej o Mariusie. „Tęskniłem za tobą”, powiedział. A w jego spojrzeniu pojawiło się coś na kształt pragnienia.

Trzy dni po powrocie do Londynu odebrała telefon, przygotowując lunch. W słuchawce usłyszała męski głos:

– Topaz?

– Marius! – Serce jej żywiej zabiło. – Jak się masz?

– Znakomicie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć... Chciałem pierwszy ci powiedzieć...

– Co takiego?

– Że Will wrócił do domu.

Topaz znieruchomiała zaskoczona, ściskając w rękę słuchawkę.

– Topaz? Topaz, jesteś tam? – wołał głos z drugiego końca drutu.

– Will?! Jesteś pewien?

– Widziałem go. Musiałem go zobaczyć na własne oczy, bo też nie wierzyłem. Wrócił wczoraj w nocy. Pojawił się w Sixfields i natknął na Jacka.

– Marius przerwał na chwilę. – Przepraszam, zdaje się, że cię zaszokowałem. Wszystko w porządku?

– Tak – szepnęła. Ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i musiała usiąść na indyjskim dywaniku. Słuchawka drżała jej w dłoni. – Powiedz mi wszystko – poprosiła.

– Niewiele wiem. Widziałem się z nim tylko przez parę minut. Prudence nie odstępuje go na krok, jak nietrudno się domyślić. Ale Will żyje i cieszy się zdrowiem, a to najważniejsze. Zmienił się oczywiście, ale przecież wszyscy się zmieniliśmy, prawda?

– Ale... łódź... „Katie Rose”...

– Nigdy na nią nie wsiadł. Wyszedł z pubu z braćmi Gamble, był jednak zbyt pijany, by prowadzić, i musiał wysiąść, żeby zwymiotować. Mick i

Johnny pojechali do portu bez niego. On zasnął na polu. A potem złapał okazję do Londynu, ukrywając najpierw obraz Huntera w Sixfields.

– A gdzie on się podziewał?

– Przez ostatni rok czy coś w tym stylu mieszkał i pracował na jakiejś farmie w Lincolnshire. A przedtem nigdzie nie zagrzebał miejsca. Zdaje się, że... nie było mu łatwo. Chyba nie wiodło mu się najlepiej.

– Czy powiedział, dlaczego to zrobił?

– Było tak, jak przypuszczaliśmy. – W głosie Mariusa pojawiła się nuta irytacji. – Wpakował się w tarapaty i nie wiedział, jak z tego wybrnąć. Biedny Will. Przepraszam cię, Topaz, ale miałbym ochotę zabić drania, który go w to wszystko wpakował. Pewnie nie wiesz, że ów łotr teraz pozuje na szacownego obywatela z lepszego towarzystwa. Działa już w tym cholernym stowarzyszeniu ludzi biznesu. Niedługo zostanie jeszcze rotarianinem!

– Ludzie nie zawsze dostają to, na co zasługują.

– Nie zawsze – zgodził się Marius. – Zdaje się, że jest w jego życiu jakaś dziewczyna. Philippa jakoś tam...

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos matki.

– Liczy się tylko to, że Will wrócił do domu. To wspaniała wiadomość. Brzmi jak cudowny sen.

– Też się boisz, że nagle się obudzisz?

– Czy Julia już wie?

– Jack pojechał do Londynu dziś rano, żeby powiedzieć jej o tym osobiście. Uznał, że to najlepsze rozwiązanie. Pamiętaj, że Will nie miał pojęcia o istnieniu Williama. Ciekaw jestem, jak sobie z tym poradzi. To niezwykle doświadczenie, gdy człowiek nagle odkrywa, że został ojcem. Zdaje się, że mógłbym udzielić mu paru rad w tym względzie, choć może nie

powinienem. Sam zrobiłem za wiele zamieszania. Will musi znaleźć swoje własne rozwiązanie.

– Topaz! – zawołała raz jeszcze Veronica.

– Marius, muszę już iść...

– Musisz?

– Will – powtórzyła raz jeszcze, z uśmiechem na twarzy. – Kiedy go zobaczę?

– Zdaje się, że Prudence planuje jakieś przyjęcie. W najbliższy weekend.

– O Boże! – Topaz wciąż siedziała na podłodze i zastanawiała się, czy kiedykolwiek w to uwierzy, czy przyzwyczai się do tej myśli. Czy też zawsze myśl o powrocie Willa będzie dla niej zaskoczeniem.

– Musisz mi poprawić poduszki, Topaz! – krzyczała Veronica. – Ręka mnie boli!

– Za chwilę, mammo!

Marius zapytał ją jeszcze:

– Radzisz sobie jakoś? Jak się czuje twoja matka?

– Lepiej. Znacznie lepiej. Wczoraj założyli jej porządny gips. Najprzyjemniejsza chwila dnia nadchodzi wtedy, gdy idę na zakupy. Do warzywniaka, do piekarni... Will! – powtórzyła raz jeszcze, a po jej policzkach potoczyły się łzy. – Nie mogę w to uwierzyć. O Boże, przecież nie wolno mi płakać. Jestem taka szczęśliwa. – Topaz pociągnęła nosem. – Przepraszam za kino, Marius. Mam nadzieję, że nie upłynie kolejnych siedem lat, nim mnie znowu zaprosisz.

Usłyszała, jak Marius śmieje się tam, w Dorset.

– Zamierzałem... – zaczął.

– Tak?

– Przyjechać do Londynu w piątek. Dopiero po pracy, więc dość późno.
Znajdziesz dla mnie godzinkę albo dwie?

– Tak – powiedziała. Cóż za szczęśliwy dzień! – Och, tak!

Gdy Julia otwierała drzwi Willowi, widząc go po raz pierwszy od czterech lat, czuła coś więcej niż pragnienie, by ta trudna rozmowa była już za nimi. Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co mówić, aż w końcu ona zaczęła:

– William jest w przedszkolu. Muszę go odebrać za godzinę.

– Mama pokazywała mi zdjęcia. Ma twoje oczy.

– Moim zdaniem jest podobny do ciebie. Tylko charakter odziedziczył po mnie. – Wprowadziła Willa do salonu. – Herbaty? Kawy? – zapytała, usiłując wprowadzić jakąś zwyczajną nutę do tej sytuacji.

– Dzięki. Mama stara się mnie za wszelką cenę odkarmić. Uważa, że schudłem. – Uśmiechnął się lekko.

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Zmieniłeś się.

Jest starszy, pomyślała. Silniejszy i pewniejszy siebie. I dziwnie obcy. Choć wciąż był jej mężem, to czuła, że zupełnie go nie zna.

– Podoba mi się twoja fryzura. Ładnie wyglądasz – powiedział nagle, a Julia przypomniała sobie nieśmiałego, wciąż prawiącego jej komplementy chłopca, którego kiedyś знаła. Po chwili jego uśmiech zgasł. – Musimy porozmawiać, Julio. Zamierzałem prosić cię o rozwód. W końcu to ja cię opuściłem. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o Williamie. Gdy Jack mi o nim powiedział... pomyślałem... że może mnie potrzebujesz.

– Nie, Will. – Julia odwróciła wzrok. – Nie potrzebuję. Już nie. Kiedyś mi się wydawało, że cię potrzebuję, ale się myliłam. – Julia lekko westchnęła. – Przepraszam. Nie chciałam, żeby te słowa zabrzmiały tak brutalnie.

– Z pewnością na to zasłużyłem. – Will stanął przy oknie. Potrząsnął lekko głową. – Za to, co zrobiłem, za ból, który ci sprawiłem, nie wystarczy tylko przeprosić. To stanowczo za mało.

Julia zacisnęła dłonie.

– Kiedy Rick powiedział mi, że prawdopodobnie żyjesz, byłam wściekła. Pewnie powinnam się wtedy ucieszyć, ale byłam wściekła. Ogarnęła mnie furia na myśl o tym, że mogłeś świadomie sprawić nam wszystkim tyle bólu. Teraz... – Spojrzała na niego. – Teraz już nic nie czuję. Ani gniewu, ani radości, nic. To dziwne, bo przecież coś powinnam odczuwać. A tu tymczasem nic. Zapewne kiedyś to się zmieni.

Spojrzenie Julii zaczęło wędrować po pokoju, od fotografii Williama, stojącej na bocznym stoliku, po stertę dokumentów, które przyniosła z firmy, aby popracować w domu. Rozpoczęła nowe życie, które – choć niekonwencjonalne – bardzo jej odpowiadało. Nie mogła pozwolić, by Will zburzył jej ledwo co osiągnięty spokój. Wiedziała, że nie ma dla niego miejsca w jej nowym życiu.

– Chętnie się rozwiodę. Tylko chciałabym, żebyś wziął winę na siebie. Moje życie zawodowe jest i tak dość trudne, bo wielu mężczyzn uważa, że powinnam wrócić do kuchni. Gdyby w gazetach opisano mnie jako nierządnicę, byłoby mi jeszcze trudniej.

– Jasne. Oczywiście. Zajmę się tą sprawą.

– A ten obraz... – zaczęła Julia.

– Wiem od Jacka, że Rick powiedział ci o wszystkim.

– Dlaczego ukryłeś ten obraz w Sixfields? Dlaczego właśnie tam?

– Nie miałem pojęcia, co z nim zrobić. A dwór w Sixfields jest taki wielki i zagracony, więc sądziłem, że nikt go tam nie znajdzie. – Will przeczesał włosy palcami. – Nie chciałem zostawiać go w naszym domku, bo wolałem, żebyś go nie znalazła. Wiedziałem, że bardzo byś się zdziwiła.

– Dlaczego nie zabrałeś obrazu ze sobą?

– Dlatego, że znałem jego wartość. A nie miałem pojęcia, co się ze mną stanie. Nie chciałem brać na siebie takiej odpowiedzialności. – Will zmarszczył brwi. – Zależało mi tylko, aby się znalazł w bezpiecznym miejscu. Nie chciałem, żeby trafił w ręce Ricka. Jest zbyt piękny. – Usadowił się na parapecie, machając nogami. – Marius zna kogoś z domu aukcyjnego Christie's i pokaże mu ten obraz. Trzeba się dowiedzieć, kto go namalował i do kogo to dzieło należy. Rick nie będzie chyba rościł sobie do niego pretensji?

– Nie teraz, gdy został szanowanym obywatelem. – Julia się wykrzywiła.

– Zabawne, ale już się go nie boję. Choć tak długo żyłem w strachu.

– Czy wiesz, że Rick mi się oświadczył? – Julia spostrzegła, że źrenice Willa gwałtownie się rozszerzyły. – Chciałabym, żeby usechł z tęsknoty i żeby pękło mu serce, to byłaby właściwa kara za wszystko, czego się dopuścił. Ale ludzie tacy jak Rick szybko się ze wszystkiego otrząsają, prawda? Nie wątpię, że wkrótce znajdzie inną kandydatkę, jakąś pannę, której rodzina podupadła i potrzebuje pieniędzy. – Julia uśmiechnęła się z goryczą. – Ciekawe, że Rick gardzi tego rodzaju ludźmi. A zarazem chce zyskać uznanie w ich oczach.

Will wzruszył ramionami.

– Rick się nie liczy. Nigdy się nie liczył. Najważniejsze, żeby tańczące anioły wróciły tam, skąd pochodzą. Żeby wróciły do domu. – Zapadła cisza, a po chwili dodał: – Tata i Jack uważają, że najlepiej będzie, jeśli zeznam, że

wszystko, co się wydarzyło, było efektem załamania nerwowego. Problemy psychiczne łatwiej zrozumieć niż działalność przestępczą.

– Czy to naprawdę było załamanie, Will?

– Może. – W jego oczach pojawił się wyraz zakłopotania. – Z całą pewnością nie byłem w stanie logicznie myśleć. Nie mogłem spać, nie mogłem jeść. Próbowalem nawet popełnić samobójstwo. Dość nieudolnie. Czy sądzisz, że próbę samobójczą można uznać za dowód załamania nerwowego? Pamiętam tylko, że musiałem uciec. Nie wiedziałem, co będę robił, nie wiedziałem, dokąd pójdę, ale musiałem uciec.

Ona też musiała uciec. Po przejściach z Jackiem, po doświadczeniach z Rickiem. Pierwszy raz zrobiło się jej żal Willa.

– Biedny Will – szepnęła.

Wzruszył lekko ramionami.

– Ale nie da się uciec daleko. Nie da się uciec od samego siebie.

Julia spuściła wzrok, układając fałdy spódnicy.

– Przepraszam, że nie udało mi się ułożyć jakoś naszego wspólnego życia – powiedziała z namysłem. – Staralam się, nic z tego jednak nie wychodziło.

– Och – uśmiechnął się znów tak samo jak kiedyś – oboje się staraliśmy, prawda? Ale i tak nie było szans. Nasze małżeństwo nie miało żadnej przyszłości.

Ta trzeźwa i logiczna ocena zraniła ją prosto w serce, choć Julia nie bardzo rozumiała, dlaczego. Aby przerwać przedłużającą się ciszę, zaproponowała:

– Może jednak napijesz się kawy?

– Rzeczywiście, w gardle mi zaschło.

Julia poszła do kuchni. Trochę ziarenek kawy rozsypało się po stole, gdy zacisnęła powieki, by powstrzymać napływające łzy. „Chyba nic nie czuję”, powiedziała przed chwilą. Julio, jesteś idiotką, skończoną idiotką, pomyślała, mając świadomość, że coś straciła.

Odłożyła łyżeczkę i kawę i podeszła do okna, by odetchnąć chłodnym, miejskim powietrzem. Miała przed oczami Londyn, pełen chaosu, ekscytujący, ale tym razem widok miasta nie przyniósł jej żadnej ulgi. Nie tak dawno wierzyła, że Will nie żyje. Dziś wrócił do nich wszystkich, ale Julia wiedziała, że w gruncie rzeczy dawno go straciła. Cichy, poważny mężczyzna, który siedział w salonie, był kimś obcym. Podobnie jak Jack, który przyjechał dwa dni temu, by uprzedzić ją o powrocie Willa. Jeden był synem marnotrawnym, drugi ojcem rodziny. Jack i Will: obu kochała i obu straciła.

– Będzie wielu innych – mruknęła pod nosem. – A pewnego dnia wszyscy przestaną się liczyć.

Ale na razie świadomość, że miłość nigdy już nie będzie tak słodka, gorąca i trudna zarazem, była nad wyraz bolesna.

Julia wyprostowała się, otarła oczy dłonią i wróciła do czajnika. Wchodząc z tacą do salonu, z wymuszonym uśmiechem powiedziała:

– Muszę zaraz odebrać Williama. Pojedziesz ze mną, Will? Masz ochotę zobaczyć swojego syna?

Nadszedł piątek. Marius uprzedził, że zjawi się późno. Czyli o ósmej, może o dziewiątej, założyła Topaz. Należało jakoś wypełnić czas do wieczora. Ugotowała obiad, posprzątała mieszkanie, umyła głowę, zagrała w wista z matką, a po południu wymknęła się na zakupy.

Gdy wracała do domu z pełnym koszykiem (tylko mięso wciąż podlegało reglamentacji; Topaz pomyślała, że teraz Prudence będzie miała znacznie

łatwiejsze zadanie z przygotowaniem przyjęcia powitalnego dla Willa), usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

Wokół latarni i parkanów snuła się londyńska mgła.

– Charlie! – wykrzyknęła Topaz, gdy się odwróciła.

Zaprosiła go do mieszkania. Matka właśnie odpoczywała. Charlie się zmienił; był potężniejszy, opalony, miał okrągłą twarz. Ale jego rysy jakby się rozmazały, tak jak na fotografii w „Picturegoer”.

– Co słyhać u Jennifer? – zapytała.

– Jen? Nie mam pojęcia. Od tygodni jej nie widziałem. Wszedł za nią do kuchni; Topaz odłożyła kosz z zakupami

– Rozstaliśmy się. Jennifer chce rozwodu.

– To chyba... niespodzianka. – Otworzyła lodówkę.

– Niezupełnie. Od pewnego czasu między nami nie było najlepiej. – Charlie miał smutną minę. – Zresztą chyba nigdy się nie układało.

Kończyła rozpakowywanie zakupów.

– A zatem wróciłeś do Anglii, Charlie?

– Przestałem grać. – Uśmiechnął się nieznacznie. – W Hollywood liczą się tylko znajomości. Gdy byłem mężem Jennifer, znałem mnóstwo ludzi, ale dziś już chyba nie. Jen ma siedmioletni kontrakt, więc tam zostaje. A ja postanowiłem wrócić. Kupuję właśnie dom. Wpadło mi w oko coś na Cheyne Walk.

Przypomniała sobie, jak kiedyś tańczyli na chodniku, przypomniała sobie pierwszaki w dziurce od guzika i pocałunki.

– Jakiś uroczy domek, w którym będziesz urządzać wspaniałe przyjęcia?

– Żywię taką nadzieję. Choć na razie mam serdecznie dość przyjęć. – Zrobił zabawną minę. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem. Przecież

zawsze tego właśnie pragnąłem. Splendoru. –Twarz mu spochmurniała. – Zdaje się, że tego już mi wystarczy do końca życia.

Topaz umyła jabłka pod kranem i dokładnie je osuszyła.

– Chyba zawsze pragniemy czegoś, czego nie mamy – ciągnął Charlie. – Chciałem podróżować i bawić się, pragnąłem zaznać rozkoszy życia wyższych sfer, bo tego mi brakowało w dzieciństwie.

– Z tego samego powodu zainteresowałeś się mną. Reprezentowałam to, czego nie znałeś.

– Nie. – Charlie z powagą w oczach pokręcił głową. – Z tobą było inaczej.

– Daj spokój, Charlie – powiedziała lekko. – Podobałam ci się, bo myślałeś, że jestem ulepiona z innej gliny. Wydawało ci się, że jestem kimś w stylu „ę-ą”. Sam mi to powiedziałeś.

– Naprawdę? To w takim razie mówiłem głupstwa. Do dziś żałuję, że pozwoliłem ci odejść. Na własnym ślubie byłem najmniej znaną osobą. Nikt nie miał ochoty ze mną rozmawiać. Sława to dość zabawne zjawisko. Składa się na nią wiele warstw i każda kolejna jest jeszcze trudniejsza do przeskoczenia. Nim pojechałem do Los Angeles, wydawało mi się, że odnoszę spore sukcesy. A tam uświadomiłem sobie, że jestem nikim. Małą plotką w ogromnym stawie. Potem wydawało mi się, że życie w Hollywood mnie zmieni. Że stanę się interesujący, piękny i fascynujący, obracając się wśród osób, które wszyscy pragną poznać. Nic takiego się nie wydarzyło. Nie da się rzucić własnej skóry. Człowiek zawsze jest sobą.

W jego głosie była gorycz, której Topaz nigdy przedtem nie zauważyła. A gdy podszedł do okna, spostrzegła kilka siwych włosów w jego czarnej czuprynie.

– Charlie, ty zawsze byłeś interesujący, piękny i fascynujący. Tylko że sam nigdy w to nie wierzyłeś.

– Zanim poznałem Jennifer, wydawało mi się, że jestem ambitny. O mój Boże! Okazało się, że nie wiedziałem, czym naprawdę jest ambicja, która potrafi kogoś pożreć bez reszty.

– Czy ambicja pożarła Jennifer?

– Jeszcze nie. – Charlie zaproponował jej papierosa, ale pokręciła głową. – Ale w końcu ją pożre. Jennifer nie potrafi się zatrzymać. Ciągłe do przodu: pokazy, przyjęcia, kolacje. A potem nie może spać, bo jest tak nakręcona, więc bierze tabletki, żeby zasnąć. Rano bierze inne tabletki, żeby się obudzić i sprostać zadaniom, które czekają ją na planie. – Zadrżał. – Po pewnym czasie nie mogłem już tego znieść. A ona się wściekła. Wrzeszczała na mnie, rzucała we mnie, czym popadło. – Spojrzał na swoje dłonie. Palce pożółkły mu od nikotyny. – A poza tym tak bardzo tęskniłem za krajem. Nigdy nie sądziłem, że będzie mi brakować Anglii. Nie przypuszczałem, że zatęsknię za mgłą i szarością. Ale zatęskniłem. Okazało się, że można mieć dość słońca.

– Dlaczego mnie odwiedziłeś, Charlie? – zapytała Topaz. Rzucił jej czarujący uśmiech.

– Stare wspomnienia. Byłem w twoim mieszkaniu, ale cię nie zastałem. Sąsiadka powiedziała mi, że mieszkasz u matki. Co słyhać u innych? U Heleny, u Donalda?

– Helena i Jerry pobrali się jakiś czas temu.

– O Boże. – Charlie szeroko otworzył oczy.

– Są bardzo szczęśliwi. Jerry uczy w podstawówce w Harrow. Francesca ma dwie córki. Nie wiem, co się stało z resztą. Z czasem kontakty się urywają.

– A co u ciebie, Topaz? Jak ty się miewasz?

– Och, ja się zupełnie nie zmieniłam – odrzekła pogodnie. – Wciąż gotuję. Wszystko jest jak dawniej. – Chciała powiedzieć Charliemu o powrocie Willa, wyjaśnić, że gdy wtedy, przed laty, widziała go na ulicach, w metrze, w kinie, nie zachowywała się zupełnie idiotycznie. Nic jednak nie powiedziała. Pomyślała, że na pewno o tym zapomniał. I że wcale go to nie zainteresuje. Powiedziała więc tylko: –Moja matka wkrótce się obudzi, Charlie. – Była szesnasta trzydzieści.

– Oczywiście. Powinienem już iść. – Zgasił papierosa w popielniczce. – Tak się cieszę, że się spotkaliśmy, Topaz.

Odprowadziła go na dół i wyszła z nim przed frontowe drzwi. Charlie zatrzymał się przez chwilę na schodach.

– Czy zobaczymy się jeszcze?

– Mam bardzo dużo pracy.

– Chciałbym ci pokazać mój nowy dom. Pamiętasz? Umawialiśmy się kiedyś, że zaproszę cię na kolację, gdy już będę mieć piękny dom, i że będziemy jeść oliwki i inne smakołyki.

Topaz rozważała to przez chwilę. Rozważała, czy chciałaby być znów z Charliem, z innym Charliem, który by ją kochał, który by jej potrzebował.

– Nie sędzę, aby to był dobry pomysł, mój drogi.

Charlie wsunął ręce do kieszeni.

– Poznałaś kogoś innego, prawda?

–Tak.

– Aha. – Uśmiechnął się. – Tak czy inaczej, warto było spróbować. – Potem wziął ją za rękę i pocałował. – Życzę ci szczęścia, Topaz. Zaslługujesz na to. Dużo szczęścia.

I zniknął we mgle.

W południe Marius zostawił stertę papierów na biurku i dzwoniący bez przerwy telefon, włożył płaszcz i powiedział sekretarce, że nie będzie go po południu.

W pociągu, którym jechał do Londynu, sam się sobie dziwił. Nie miał w zwyczaju wychodzić z pracy przed południem, podejmując decyzję tak nagle. Rozradowało go jednak poczucie wolności; postanowił, że będzie to robił częściej.

Nie mógł już dłużej czekać. Bardzo chciał ją zobaczyć. Przyjedzie do Londynu wcześniej, zrobi jej niespodziankę. Myślał o niej od samego rana i ciągle popełniał jakieś gafy, gubił wątek w samym środku rozmowy. Pragnął zobaczyć się z nią jak najszybciej i powiedzieć jej w końcu, co do niej czuje. Musi to zrobić, zanim firma pograży się w chaosie z powodu jego pomyłek w rachunkach i niewłaściwych zamówień.

Nie miał pojęcia, kiedy właściwie się w niej zakochał. Uczucie dojrzewało powoli, oplatając jego serce jak bluszcz. Pamiętał ją jako małą, pulchną dziewczynkę z mysimi ogonkami, która nigdy nie mogła ich dogonić. Potem była wojna, a po wojnie wciąż utrzymywał z nią kontakt, bo było mu jej żal. Brakowało jej ojca, miała tylko tę swoją okropną matkę.

Po latach, gdy Suzanne zginęła w wypadku, właśnie Topaz była mu podporą. To ona go pocieszała, podnosiła na duchu i zmusiła do powrotu do życia. Przez kilka ładnych miesięcy czuł się jak ktoś, kto próbuje się wydostać z ciemnej jaskini. Gdyby nie Topaz, siedziałby w tej jaskini do dziś.

Wszystko się zmieniło tego wieczoru przed dwoma miesiącami, gdy przyszedł do niej, by wręczyć bożonarodzeniowy prezent. Trafił na przyjęcie; ze zdumieniem stwierdził, że w niewielkim mieszkaniu tłoczyło się chyba ze stu gości. Miał poważne wątpliwości, czy jemu udałoby się sprosić choćby

pięćdziesięciu przyjaciół. A potem zobaczył ją w rogu pokoju. Przez chwilę patrzył na obce dłonie, które ją obejmowały, dotykały jej włosów. Ogarnęła go taka wściekłość, że nie mógł złapać tchu. A przy tym poczuł, że jest zazdrosny. Zapamiętał widok białych piersi, wysuwających się spod aksamitu, i obcych ust, całujących miękkie ciało, które, wbrew rozsądkowi, uważał za coś, co należy do niego.

Mógł też bez trudu przywołać obraz Topaz, stojącej na ulicy i krzyczącej na niego. „Nie wolno ci się wtrącać”. Miała rację, prawda? Gdy wracając do domu, siedział w wagonie restauracyjnym i sącył whisky z ponurą miną, wstyd mu było za to, że zachował się jak znajomy sprzed lat, który wcale nie zauważył, że stosunki między nimi dawno się ochłodziły. Przyszło mu do głowy, że Topaz widuje się z nim z litości. Był przecież nudnym wdowcem, o dziesięć lat od niej starszym, a ich znajomość pochodziła z tego okresu życia, z którego Topaz już dawno wyrosła. Nie była już przecież samotną, niezdarną dziewczynką. Była piękną kobietą, która prowadziła swoją własną, świetnie prosperującą firmę, stworzyła w swoim mieszkaniu przy Kensington miłe gniazdko i obracała się pośród przyjaciół i wielbicieli. Jakiż był zadufany w sobie, sądząc, że Topaz go potrzebuje. Wydawało mu się, że ledwo go znosi.

Od dawna ją podziwiał i szanował. Ale do tamtej chwili nie wiedział, że ją kocha. Później nie kontaktował się z nią, sądząc, że Topaz z ulgą przyjmie jego nieobecność w swoim życiu. W czasie świąt starał się przezwyciężyć ponury nastrój ze względu na Tarę i matkę. Miał trzydzieści trzy lata, nie powinien rozpaczać z miłości. A jednak, gdy nikt go nie widział, poddawał się rozpaczy.

A potem umarła Carrie Chancellor. I gdy w dniu jej pogrzebu wychodził z pracy, po drugiej stronie drogi zobaczył Topaz. Przejechała osiem

kilometrów na ukradzionym rowerze, żeby się z nim zobaczyć. Powiedziała, że nigdy z niego nie wyrośnie. I Marius zaczął mieć nadzieję.

W Paddington złapał taksówkę, żeby pojechać od razu do Bayswater. Była piąta i taksówka często zatrzymywała się w korkach. Gdy dotarli na Cleveland Close, Marius zaczął grzebać w kieszeni, szukając drobnych. Nagle spojrzał na drugą stronę ulicy w kierunku domu Veroniki Brooke. W świetle lampy wiszącej nad frontowymi drzwiami stała jakaś para.

Marius natychmiast rozpoznał Topaz. Opary mgły sprawiły, że dopiero po chwili zorientował się, że mężczyzną, który ją całuje, jest Charlie Finch.

Topaz nie straciła nadziei aż do północy. Wiele godzin siedziała przy oknie w salonie, przyciskając twarz do szyby i patrząc na chodnik. Gdy wreszcie się podniosła, poczuła, że cała jest zeszywniała. Zasunęła zasłony, by nie patrzeć już na pustą ulicę. Telefon, który milczał przez cały wieczór, przycupnął w holu jak wstrętna ropucha. Topaz mogła zadzwonić do Missencourt, ale nie zrobiła tego.

Wstała wcześnie rano, włożyła zieloną wełnianą sukienkę i ciepły płaszcz. Wybierała się do Dorset na powitalne przyjęcie Willa. Tylko ze względu na niego nie wymyśliła żadnego usprawiedliwienia, nie wymówiła się chorobą czy ważnym spotkaniem. Wyobraziła sobie, że spotka na przyjęciu Mariusa i będą ze sobą grzecznie rozmawiać. Zamierzała udawać, że nie przejęła się zupełnie tym, iż zapomniał o randce. Postanowiła starannie ukryć, jak bardzo zabolęło ją to, że tak niewiele dla niego znaczy.

Pociąg miał opóźnienie, w Longridge nie było żadnej taksówki, więc Topaz poszła piechotą do domu przy szkole. Pod drzewami pojawiły się już krokusy i pierwiosnki. Z bezlitosnego nieba lały się strugi deszczu. Nim się zjawiła w domu Prudence i Johna, przyjęcie już się rozpoczęło.

Chancellorowie tłoczyli się w pokojach i na korytarzach, klócili się i rozmawiali, przekrzykując muzykę płynącą z gramofonu.

Prudence układała kanapki na talerzach. Jak to miło, że Dorothy Blanchard zgodziła się zostać z Veronicą, by Topaz mogła tu przyjechać. Jak to miło, że Topaz chciała wyruszyć w taką długą podróż. Jak cudownie – oczy Prudence błyszczały, wyglądała, jakby ubyło jej dziesięć lat – że Will wreszcie wrócił do domu. Nie, Temperleyowie chyba jeszcze się nie zjawili. Julia zresztą nie przyjedzie – Prudence doskonale rozumiała, że czułaby się tu niezręcznie – ale Marius, Adela i Tara powinni być lada moment. Och – obie poczuły zapach spalenizny – zapomniała na śmierć o paluszkach serowych...

Topaz przeszła przez zatłoczone pokoje. Kuzyni, ciotki i wujowie Willa i Jacka snuli wspomnienia, śmiali się po raz setny z tych samych anegdot, podejmowali kłótnie sprzed lat. Topaz uzmysłowiła sobie, że nie należy już do tego światka. Nikt jej nie zatrzymywał, nikt nie chwycił za ramię, nikt nie nalegał, by wypła z nim drinka. Nikt jej nie zdradzał żadnych sekretów, nie powtarzał plotek, nie strofował za rzekome afronty.

Pomyślała, że w gruncie rzeczy nigdy nie była częścią tego świata. Błądziła po jego peryferiach i, zawsze obca, z zazdrością obserwowała ciepło i niemożność doświadczenia samotności, charakterystyczną dla wielkich rodzin. Topaz czuła, że zawsze ją tu raczej tolerowano, niż akceptowano. „Musimy jeszcze zaprosić Topaz”, mówili zapewne Chancellorowie, przygotowując listę gości na kolejne przyjęcie.

Jako dziecko uważała ich za swoją rodzinę. Za namiastkę raj. Coś, co wypełniało pustkę w jej życiu. Ale tylko ona ich potrzebowała. Oni świetnie sobie bez niej radzili.

W ogrodzie koło garażu spotkała Willa. Gdy już go uściskała, powtarzając wiele razy „Will, Will”, gdy już wypłakała się na jego ramieniu, cofnęła się o krok i uważnie mu się przyjrzała.

– Chowasz się?

– Tak. Ty też?

Pokiwała głową. Will podsunął jej talerz z jedzeniem.

– Zupełnie zapomniałem, jak to jest. Tylu ludzi. Strasznie długo żyłem całkiem sam.

– Marius mówił, że mieszkałeś na jakiejś farmie.

– W wagonie kolejowym na skraju pola. – Uśmiechnął się. – W sam raz dla kogoś, kto jest w drodze, prawda?

– Chcesz tam wrócić?

– Gdy tylko minie całe to zamieszanie. – Will zdjął okulary i przetarł szkła gestem, który pamiętała z dzieciństwa. – Zabawne, ale wcale nie czuję, że to mój dom. To znaczy – dodał pośpiesznie – bardzo się cieszę, że ich zobaczyłem, byli dla mnie tacy dobrzy, choć zakładałem, że mogą mi pokazać drzwi, ale...

– Zmieniłeś się...

– Chyba tak. – Oparł się o ścianę garażu. Zapomniała już, że Will jest taki wysoki; zauważyła też, że ma szersze ramiona.

– Opowiedz mi o Philippie – poprosiła. – Opowiadał długo, podczas gdy Topaz zjadła dwie kiełbaski i trzy makaroniki (za dużo skrobi, pomyślała, ale się tym nie przejęła). Z opowieści wynikało, że Philippa jest wrażliwą i praktyczną dziewczyną, której towarzystwo dobrze zrobi takiemu marzycielowi, jak Will.

– Nie wiem, czy ona zechce mieć ze mną do czynienia, ale muszę spróbować, nie sądzisz?

– Tak – potwierdziła Topaz. – Musisz. – Ona także długo próbowała. Choć w końcu trzeba się przyznać do porażki.

– Na pewno jeszcze tu wrócę – obiecał. – Wrócę, aby odwiedzić was wszystkich. – Popatrzył w stronę mokrego od deszczu ogrodu. – Czasami wydaje mi się, że zbyt łatwo się z tego wyplątałem. Jeśli się weźmie pod uwagę, co naprawdę zrobiłem. Mogłem skończyć w więzieniu. Powinienem tam trafić. No i jest jeszcze William. To wspaniały chłopiec. Mój syn. Powinien być moim synem, ale w gruncie rzeczy nim nie jest. Zawiodłem go wtedy, gdy byłem najbardziej potrzebny. Bez względu na to, jak bardzo będę się starał go poznać, minione lata są bezpowrotnie stracone.

Topaz zdjęła lukier z ciasta, popatrzyła na słodką kuleczkę, którą ulepiła, i wrzuciła ją między rabaty.

– Dowiedziałam się od Prudence, że Jack wraca do Kanady w przyszłym tygodniu.

– Postanowił sprzedać Sixfields.

Topaz przypomniała sobie zrujnowany stary dwór.

– Wszystko?

– Dwór i ziemię. Mały domek przepisał na Toma Crabtree. Część pieniędzy oddał tacie i nalega, bym i ja coś od niego przyjął. Kiedy próbowałem odmówić, wyglądał tak, jakby miał zamiar mnie uderzyć. Wiesz, jaki on jest, potrafi być strasznie apodyktyczny.

Ale to bardzo przyzwoity gest. Nie mogę powiedzieć, że pieniądze mi się nie przydadzą. Postanowiłem pójść na studia i zostać nauczycielem. W tej sytuacji przyda się trochę grosza.

Will znów jej podsunął talerz. Zjadła jeszcze jeden kawałek ciasta i poczuła, że ogarniają ją mdłości.

– Obiecałem, że za jakiś czas pojedę do Kanady i odwiedzę Jacka. Poznam jego rodzinę. A co u ciebie, Topaz? Jak się miewasz?

Opowiedziała mu o swojej firmie cateringowej, o mieszkaniu, o przyjaciółach, o problemach z matką. Will słuchał uważnie, ale Topaz nie mogła się oprzeć poczuciu, że interesuje go coś całkiem innego.

– A co z tym... nie pamiętam, jak miał na imię, ale byliście razem, gdy spotkaliśmy się w Henscombe.

– Z Charliem? – Ze zdziwieniem uprzytomniła sobie, że widziała się z nim wczoraj, a przecież niemal zupełnie już o tym zapomniała. – Och, rozstaliśmy się całe wieki temu.

Zapadła cisza. Po chwili Topaz ją przerwała:

– Ciągle cię szukałam. Oglądałam się za każdym blondynem. Jakoś nie mogłam uwierzyć w twoją śmierć. – Podała mu rękę.

– Zmarłaś – zauważył i zaczął rozcierać jej dłonie. – To nie jest najwłaściwsza pora roku, by urządzać sobie pogaduszki w ogrodzie. Wejdziemy do środka pomimo tej muzyki?

Topaz, ubrana w ciekawą wełnianą sukienkę, zadrżała z zimna.

– Chyba muszę już się wymknąć, Will. – Wciąż miała poczucie, że znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Pragnęła wrócić już do domu, choć nie potrafiłaby powiedzieć, gdzie jest właściwie jej dom.

– Dobrze się czujesz? – zmartwił się Will.

– Oczywiście – Zmusiła się do uśmiechu. – Nie przepadam za przyjęciami. A poza tym czeka mnie taka długa podróż.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś. – Ucałował ją serdecznie. – Chyba pożegnasz się z mamą?

– Nawet nie zauważy, że zniknęłam. – Nagle zaczęło jej się bardzo śpieszyć. – Taki tu tłum. Lepiej będzie, jeśli od razu sobie pójdę. – Z przerażeniem wyobraziła sobie, że po wejściu do wnętrza domu wpada na Mariusa. – Will, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

Wymknęła się z ogrodu boczną furtką. Po paru chwilach Will przyniósł jej płaszcz. Gdy szarpana wiatrem, szła wąską drogą w stronę stacji, obawiała się, że natknie się na Mariusa śpieszącego na przyjęcie. Nic takiego się nie zdarzyło. Minał ją tylko samochód dostawczy, rozpryskując kałuże. Czekala chwilę przed stacją, tym razem jednak Marius się nie pojawił.

W pociągu udało się jej znaleźć wolny przedział. Pora zacząć wszystko od nowa, powiedziała do siebie, sadowiąc się wygodnie z czasopismami i tabliczką czekolady. Powinna pójść w ślady Willa i przestać oglądać się za siebie. Może nadszedł czas, by pozwolić zakiełkować ambicjom, które od dłuższego czasu majaczyły gdzieś na drugim planie. Poradzi sobie sama. Przecież radzi sobie sama już od tylu lat.

Nie mogła jednak skupić się na żadnym z artykułów, bo wszystkie traktowały o pannach młodych albo niemowlętach. Nie miała ochoty na czekoladę. Odłożyła więc wszystko do torby i zapatrzyła się w szybę, spoglądając na umykające szybko krajobrazy. Po chwili chuchnęła na szybę i napisała jego imię na szkle. A potem siedziała, patrząc, jak litery znikają bez śladu.

Marius spóźnił się na przyjęcie Willa, tak samo jak przed laty spóźnił się na przyjęcie Jacka. Tara, która zawsze kaprysiła przy ubieraniu, w ostatniej chwili uznała, że w wełnianej sukience w szkocką kratę wygląda zbyt

dziecinnie, i postanowiła się przebrać w różową, z organdy. Próbował ją od tego odwieść – dzień był chłodny, wilgotny i Marius nie chciał, by dziewczynka się przeziębiła – ale zorientowawszy się, że mała jest strasznie rozdrażniona, zgodził się na różową kreację pod warunkiem, że Tara włoży też sweter. Tylko że nie mogła znaleźć żadnego swetra oprócz szkolnego, zielonego, którego szczerze nie znosiła i który zupełnie nie pasował do sukienki. Marius wydobył w końcu z szafy odpowiedni, różowy. Gdy zeszli na dół, okazało się, że matka cierpi na straszną migrenę. Na początku zaprzeczała, ale rzeczywiście ostatnio często bolała ją głowa; a lekarz nie potrafił temu w żaden sposób zaradzić. Podczas ataków migreny Adela nie mogła się ruszyć i była blada jak ściana. Marius zrobił jej herbatę i podał aspirynę. Oczekali jeszcze jakiś czas, by zdołała odzyskać równowagę i wsiąść do samochodu. Potem pojechali bardzo ostrożnie i powoli w stronę domu Prudence i Johna.

Tylko po to, by się dowiedzieć, że Topaz już wyszła. Zabawiła zaledwie pół godziny i wymknęła się niepostrzeżenie. Pewnie nie mogła się doczekać spotkania z tym cholernym aktorzyzną.

Marius roztrząsał wszystko ciągle od nowa. Zazwyczaj tego nie robił, ale tym razem mroczne myśli uparcie powracały. Jak ona mogła? Jak mogła rzucić się w ramiona mężczyzny, który zupełnie na to nie zasługiwał? Człowieka, który nie potrafił jej docenić, który zawsze ją zawodził, a w końcu zostawił dla jakiejś głupiej gwiazdy filmowej. Który ją skrzywdził, a po powrocie do Anglii postanowił pstryknąć, spodziewając się, że Topaz natychmiast do niego wróci. Na samą myśl o tym draniu krew się w nim gotowała.

W poniedziałek zbeształ sekretarkę za to, że wysłała listy trochę za późno, i zrugął szefa warsztatów za jakiś nic nieznaczący błąd. Po pewnym czasie zauważył, że sekretarka ma zaczerwienione oczy i że wszyscy

pracownicy milkną, gdy wchodzi do hali. Marius poczuł przyływ niechęci do samego siebie. Poszedł do łazienki, by spryskać twarz zimną wodą. Potem chwycił płaszcz i wyszedł.

Trzeba walczyć, postanowił, jadąc na stację kolejową. Nie wolno stać z boku i patrzeć, jak Topaz marnuje sobie życie. Postanowił pokazać jej przynajmniej, że są inne możliwości.

Minęła już szósta, gdy dotarł na Cleveland Close. Drzwi otworzyła mu Veronica. Poszedł za nią do salonu.

– Moja ręka jest już w nieco lepszym stanie – oświadczyła. – Kto by pomyślał, takie głupstwo, a człowiek czuje się taki bezradny.

Marius wymamrotał parę słów współczucia i przeprosił za najście.

– Czy Topaz jest w domu?

Veronica pokręciła głową.

– Musisz wypić ze mną drinka, Marius. Bardzo proszę. Czuję się taka samotna.

Nie mógł zachować się niegrzecznie i odmówić. Veronica zmagala się z korkiem, więc zaproponował, że jej pomoże. Nalał dwie porcje ginu.

– Jeszcze odrobinę – poprosiła. – Lubię mężczyzn, którzy serwują porządne drinki. – Pani Brooke bez wątpienia była już pijana.

– Czy Topaz... – zaczął, ale Veronica zaglądała uparcie do wiaderka na lód.

– Nie ma ani kawałka. Uzupełnisz zapasik, mój drogi? Lód jest w zamrażarce.

Marius przyniósł kostki z kuchni.

– Cudownie – rozpromieniła się Veronica. Marius zauważył, że na ustach miała krzywo nałożoną warstwę szminki. – Prawdziwe wydarzenie. Świetny drink w towarzystwie przystojnego mężczyzny.

– Muszę zaraz iść – powiedział czym prędzej.

– Chyba mnie nie zostawisz samej, Marius? – Spojrzała na niego spod rzęs. Poklepała miejsce na sofie tuż obok siebie. – Musisz opowiedzieć mi wszystkie nowiny.

– Miałem nadzieję, że zastanę Topaz – powiedział, siadając.

– Nie ma jej tutaj. Wróciła do swojego mieszkania. I znów jestem sama. Wprawdzie Dorothy Blanchard czasami mnie odwiedza, ale trudno to uznać za przyzwoite towarzystwo. – Pani Brooke nie kryła irytacji. – Młode dziewczęta potrafią być takie bezczelne. Topaz była wczoraj niegrzeczna. Niegrzeczna wobec mnie, swojej matki! Więc jej powiedziałam, że poradzę sobie bez niej. – Veronica dopiła drinka i z hukiem odstawiła szklanekę. – Ale – uśmiechnęła się – nie mówmy już o niej. Co u ciebie słyszę, Marius? Chciałabym wiedzieć, co u ciebie? – Położyła mu dłoń na kolanie i pochyliła się do przodu, usiłując skupić na nim zamglone spojrzenie.

– Wszystko w porządku.

– To świetnie. Bo bałam się, że możesz być trochę osamotniony. Wiem, jak się człowiek czuje, gdy straci swą lepszą połowę.

– Naprawdę, muszę już iść – oświadczył, zdejmując jej rękę ze swego kolana delikatnie, acz stanowczo.

Pani Brooke wydeła wargi.

– Zawsze w takim pośpiechu. Tak samo jak Topaz. Powiedziałam jej, że nie jest mi do niczego potrzebna, jeśli ma być taka niecierpliwa. Taka niemiła. Powiedziałam, że jeśli nie potrafi być uprzejma, to powinna się wynieść.

Łagodność charakteru to bardzo pożądana cecha u kobiety, prawda, Marius? Powiedziałam...

Kontynuowała swój monolog, ale Marius przestał jej słuchać. Podniósł się z miejsca.

– Chyba nie wychodzisz jeszcze? – Była zaskoczona i dotknięta. Zatrzymał się w drzwiach.

– Twój problem, Veronico, polega na tym – oznajmił spokojnie – że nie masz pojęcia, jaka jesteś szczęśliwa. Masz cudowną córkę, która zawsze była lojalna wobec ciebie. Jeden Pan Bóg wie, dlaczego, bo jesteś najbardziej prózną i samolubną istotą, jaką zdarzyło mi się spotkać. Nie pamiętam, byś kiedykolwiek przedłożyła potrzeby Topaz nad swoje własne. Wątpię, czy kiedykolwiek jej wysłuchałaś, gdy była nieszczęśliwa, i czy się z nią cieszyłaś, gdy odnosiła sukcesy. Nie masz pojęcia, co znaczy kochać. I jeśli Topaz skończy w ramionach faceta, który na nią nie zasługuje, będzie to przede wszystkim twoja wina.

Veronica otworzyła usta ze zdziwienia, gdy Marius zamykał za sobą drzwi.

Topaz siedziała przy kuchennym stole obłożona notesami, piórami i najnowszym numerem „Evening Standard”. Cały poprzedni dzień poświęciła na porządki w kuchni, szorując podłogę i polerując miedziane rondle. Podczas jej nieobecności całe mieszkanie zasnuła cieniutka warstwa kurzu. Tego ranka wybrała się do Soho i kupiła czosnek, zioła, cytryny i przyprawy. Zapachy mieszały się teraz w powietrzu, ożywiając jej wspomnienia z ciepłych krajów. Może w tym roku wybierze się do Afryki Północnej? Nauczy się przyrządzać kebab i pilaw. „Podróż”. Podkreśliła to słowo na swojej liście podwójną

kreską. I starała się nie myśleć, że byłoby znacznie milej zwiedzać świat w towarzystwie kogoś bliskiego.

Wtedy rozległ się dzwonek. Gdy otworzyła drzwi, ujrzała Mariusa Temperleya, zupełnie jakby wywołała go swoimi myślami, wyobrażając sobie pustynie i egzotyczne bazyry.

– Spóźniłeś się trzy dni – powiedziała swobodnie.

– Mogę wejść?

– Jestem zajęta, Marius.

– Tylko parę minut. – Gdy spojrzała w jego stalowe oczy, doszła do wniosku, że chyba nie warto się spierać.

Wszedł za nią do kuchni i spojrzał na rzeczy rozłożone na stole.

– Co robisz?

– Zamierzam otworzyć restaurację. Własną restaurację. Próbowałam obliczyć, ile pieniędzy potrzebowałabym na początek.

Marius pokiwał głową.

– Nie zapomniałem o naszym spotkaniu w piątek. Przyjechałem do Londynu znacznie wcześniej, niż zamierzałem. I widziałem cię z Charliem.

– Och! – Topaz przypomniała sobie, że Charlie ją pocałował, gdy stali na schodach. Zaczerwieniła się lekko i powiedziała: – To nie było...

– On nie jest ciebie wart, Topaz – przerwał jej Marius. – Znowu cię zostawi.

– Marius...

Uciszył ją pełnym zniecierpliwienia gestem.

– Wiem, co myślisz: znów się zjawiam po to, żeby cię pouczać. Pewnie masz rację. Ale nie chodzi mi o to, iż jestem przekonany, że Bóg dał mi prawo

do kierowania twoim losem. Po prostu zależy mi na tobie. I nie chcę, aby znowu cię zranił.

– Powiedziałam Charliemu, że nie chcę go już więcej widzieć. – Teraz na twarzy Mariusa odmalowało się zdziwienie. – Powiedziałam, że między nami wszystko skończone. Ładnych parę lat temu.

Marius oparł się o kredens.

– A ja myślałem, że wyszłaś od Chancellorów tak wcześnie, bo się śpieszyłaś do niego.

Topaz pokręciła głową.

– Wyszłam, ponieważ poczułam, że jestem tam obca. – Wciąż jeszcze nie otrząsnęła się ze smutku, jaki ją wówczas ogarnął. – Wszystko się zmieniło. Julia mieszka w Londynie, Jack wraca do Kanady. Nawet Will zamierza znów wyjechać. Czuję się taka samotna. I cały czas myślałam, że jestem idiotką, mając przez cały czas nadzieję, że wszystko będzie jak dawniej. Te dni bezpowrotnie minęły.

– Topaz.. – zaczął Marius, ale ona go nie słuchała.

– Ty masz Tarę. I zawsze będziesz kochać Suzanne, prawda? I ja to rozumiem. Doskonale rozumiem.

Popatrzyła na swoją listę przez łzy. Słowa zaczęły się rozmazywać. „Restauracja. Podróż. Remont sypialni. Cerowanie pończoch”. To było dość żalosne podsumowanie tego, co jej w życiu pozostało.

Marius znów chciał zacząć mówić, ale Topaz go uprzedziła.

– Oboje z Julią – głos jej drżał nieznacznie – zawsze byliście przyjaciółmi Jacka i Willa. A ja cię tylko pożyczyłam. Mam już tego dość. Chciałabym wreszcie mieć coś własnego. Nie chcę pożyczać nic od innych.

Zmarszczył brwi.

– Może przyszedł czas na nieco bardziej ustabilizowany tryb życia. Jeśli uważasz, że już dość „pożyczonych” rodzin.

– Co masz na myśli?

Marius usiadł koło niej.

– Gdzie zamierzasz otworzyć swoją restaurację?

Drogi, zawsze uprzejmy Marius, pomyślała. Chce mi zaoferować pomoc w prowadzeniu księgowości.

– Chyba w Londynie.

Marius wziął ją za rękę.

– Czy to musi być Londyn?

– W zasadzie nie. Dlaczego pytasz?

– A co powiesz o Dorset?

– Marius, nie mam pojęcia, o co ci właściwie chodzi.

Podniósł jej dłoń i przycisnął do ust.

– Nie jesteś sama, Topaz. Masz Tareę, Adelę. I mnie.

Zdobyła się na uśmiech.

– A więc znów jesteśmy przyjaciółmi?

– Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Och. – Znów powróciły wszystkie nieprzyjemne uczucia.

– Chciałem zapytać – w jego głosie pojawiła się nietypowa nuta wahania – czy zechciałabyś zostać moją żoną, Topaz.

Jej serce zatrzymało się na moment. Nim zdążyła coś odpowiedzieć, Marius znów się odezwał:

– Nie zdziwię się, jeśli nie będziesz miała na to wielkiej ochoty. Masz rację, że zawsze będę kochał Suzanne. Ale to nie znaczy, że nie Kocham Ciebie,

Topaz. Tylko że mam dziecko. I matkę. Jeśli zostaniesz moją żoną, wejdiesz do gotowej rodziny. Nie wykluczam, że może ci to nie odpowiadać.

Cały świat ukazał jej się nagle w zupełnie innych, radosnych barwach. – Naprawdę chcesz, żebym za ciebie wyszła? – szepnęła.

– Tak. Bardzo chcę. Niczego innego nie pragnę tak bardzo. – Pocałował jej nadgarstek. – Zaskoczyłem cię, prawda? To rzeczywiście dość zawrotne tempo: jednego dnia kłótnia, drugiego oświadczyń. A na dodatek nawet cię jeszcze porządnie nie pocałowałem. Chociaż to akurat bez trudu można naprawić. – Spojrzał na gazetę i notatniki rozłożone na stole. – W Henscombe przyda się porządna restauracja. Będziesz musiała konkurować z Copper Kettle. Ale sądzę, że wygrasz przez nokaut.

Serce Topaz trzepotało się teraz jak oszalałe.

– Nie zamierzam podawać kanapek z wołowiną ani łykowatego gulaszu.

– Specjalność Copper Kettle.

Marius odchylił delikatnie jej głowę do tyłu i pocałował Topaz u nasady szyi.

– Coś znacznie bardziej wyrafinowanego – *quiche* i *coq au vin*...

– Henscombe jeszcze nie wie, co je czeka. – Kolejny pocałunek. – To będzie istna rewolta.

Jego usta dotknęły jej warg. Topaz zamknęła oczy. Dziwne, że cały świat wydał jej się nagle dość przyjemnym miejscem – ależ nie, wprost doskonałym – tylko dlatego, że Marius Temperley trzymał ją w ramionach.

– I co powiesz?

– Tak – szepnęła i odwzajemniła pocałunek. – Tak!

– Och – westchnął nieoczekiwanie. Topaz otworzyła oczy.

– Co się stało?

– Przypomniałem sobie, że jest jeszcze jeden problem.

–Jaki?

– Przed chwilą zachowałem się bardzo bezczelnie wobec twojej matki.

Nie wykluczam, że mi tego nie wybaczy.

– Ależ Marius!

– Ależ Topaz! – odparł całkiem innym tonem niż wszyscy ci, którzy do tej pory tak do niej mówili.

I znów zaczął ją całować.

Spis treści

RS